



WINSTON GRAHAM

POLDARK

Cztery łabędzie

WINSTON GRAHAM

POLDARK
Cztery łabędzie

POWIEŚĆ O KORNWALII W LATACH 1795-1797

Przełożył Tomasz Wyżyński

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2017

Spis treści

[Okładka](#)

Strona tytułowa

[Strona redakcyjna](#)

KSIĘGA PIERWSZA

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

KSIĘGA DRUGA

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

KSIĘGA TRZECIA

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

[przypisy końcowe](#)

Tytuł oryginału: *THE FOUR SWANS*

Redakcja: Beata Kołodziejska

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka / Aureusart

Zdjęcia na okładce: © sysasya photography/Shutterstock, © Helen Hotson/Shutterstock, © Preobrajenskiy/Shutterstock

Korekta: Igor Mazur

Redaktor prowadzący: Anna Brzezińska

Copyright © Winston Graham 1976. All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2017

Copyright © for the Polish translation by Tomasz Wyżyński, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-465-0

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

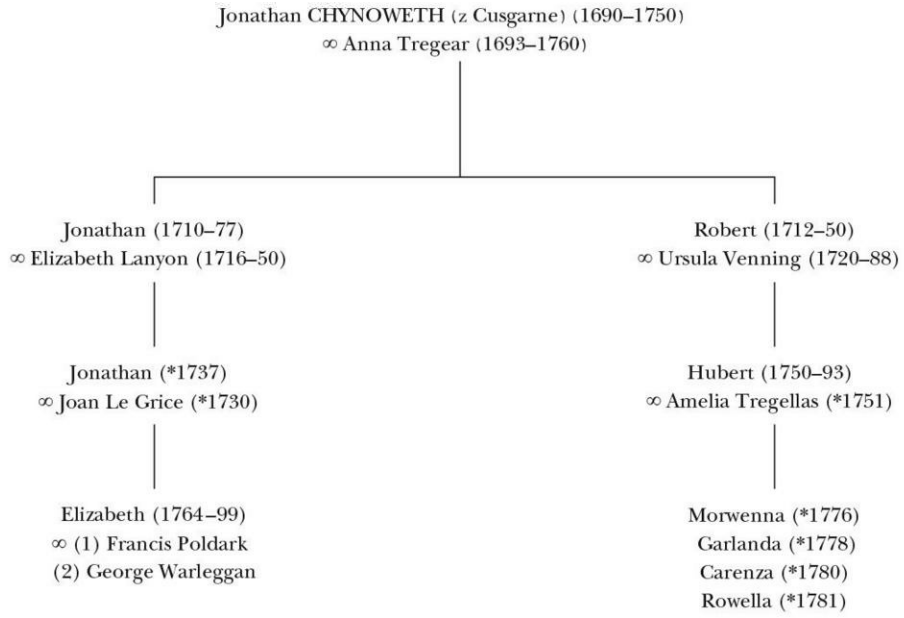
Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Dla Freda i Gladys



Tom CARNE (1740–94)
 ∞ Demelza Lyon (1752–77)

Demelza (*1770)
 Luke (*1771)
 Samuel (*1772)
 William (*1773)
 John (*1774)
 Robert (*1775)
 Drake (*1776)

Luke WARLEGGAN (*1715)
 ∞ Bethia Kemp (1716–44)

Nicholas (z Cardew) (*1735)
 ∞ Mary Lashbrook (*1732)

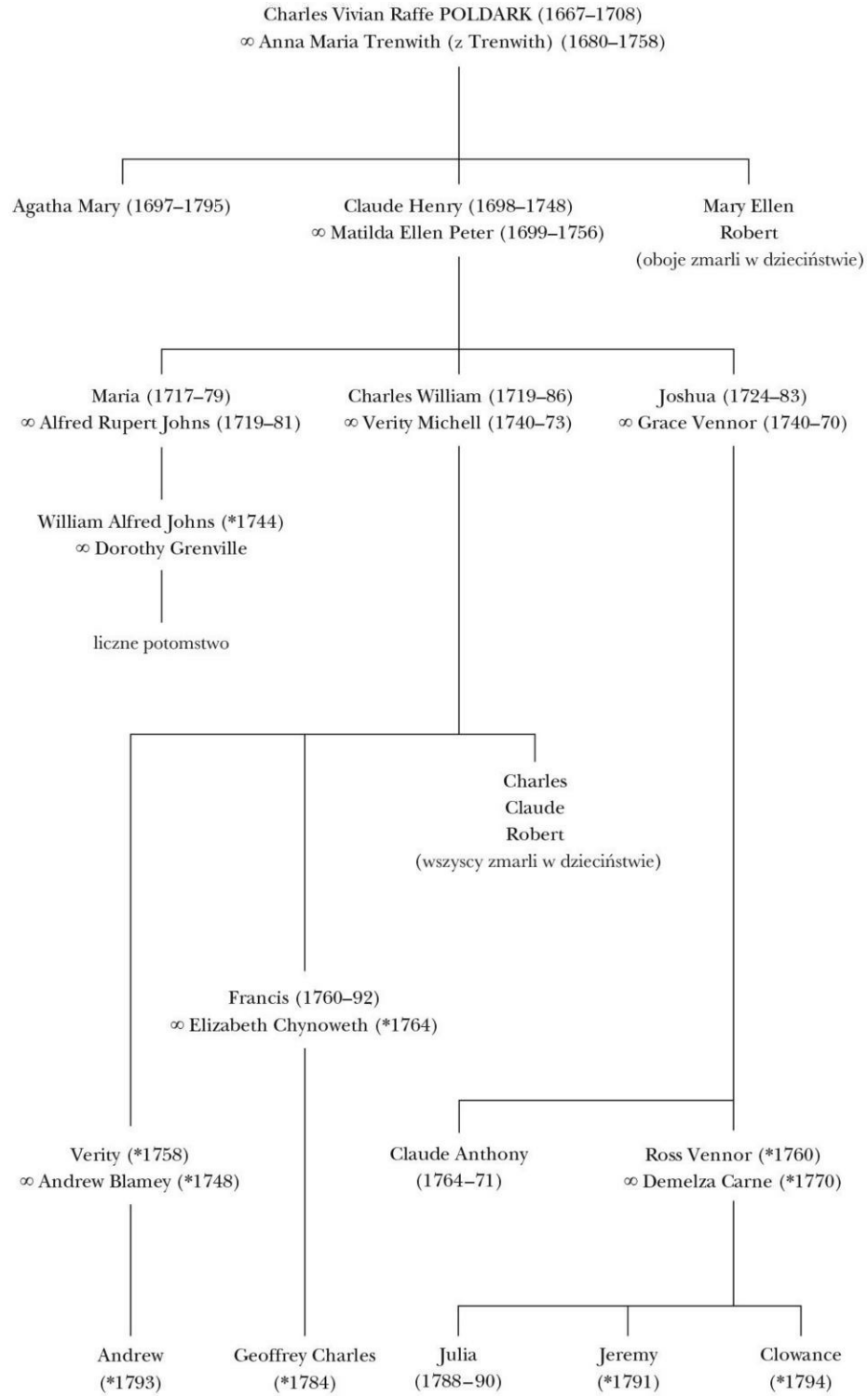
George (*1759)
 ∞ Elizabeth Poldark (z d. Chynoweth) (*1764)

Valentine (*1794)

Cary Warleggan (*1740)

```

graph TD
    T1["Tom CARNE (1740–94)  
∞ Demelza Lyon (1752–77)"]
    T1 --- D1["Demelza (*1770)"]
    T1 --- L1["Luke (*1771)"]
    T1 --- S1["Samuel (*1772)"]
    T1 --- W1["William (*1773)"]
    T1 --- J1["John (*1774)"]
    T1 --- R1["Robert (*1775)"]
    T1 --- DR1["Drake (*1776)"]
    L2["Luke WARLEGGAN (*1715)  
∞ Bethia Kemp (1716–44)"]
    L2 --- N1["Nicholas (z Cardew) (*1735)  
∞ Mary Lashbrook (*1732)"]
    L2 --- C1["Cary Warleggan (*1740)"]
    L2 --- G1["George (*1759)  
∞ Elizabeth Poldark (z d. Chynoweth) (*1764)"]
    N1 --- G1
    G1 --- V1["Valentine (*1794)"]
  
```

KSIĘGA PIERWSZA

Rozdział pierwszy

1

Daniel Behenna, lekarz i chirurg, miał czterdzieści lat i mieszkał w kwadratowym, odosobnionym, nieporządnym domu przy Goodwives Lane w Truro. Behenna również odznaczał się kwadratową sylwetką i żył w odosobnieniu, lecz był zadbany, ponieważ mieszkańcy miasta i okręgu dobrze płacili za nowoczesną wiedzę medyczną. Wcześniej się ożenił, owdowiał, ponownie wstąpił w związek małżeński, ale druga żona także zmarła. W tej chwili dwiema córkami Behenny opiekowała się gospodyni, pani Childs, która mieszkała na stałe w domu. Asystent, o nazwisku Arthur, spał nad stajnią.

Behenna przebywał w Truro zaledwie od pięciu lat. Przeprowadził się z Londynu, gdzie nie tylko wyrobił sobie markę jako praktykujący lekarz, ale także napisał i opublikował monografię na temat położnictwa, w której skorygował część poglądów wyrażonych w słynnym *Traktacie o położnictwie* Smelliego. Po przybyciu do Kornwalii zrobił wielkie wrażenie na bogatych mieszkańcach prowincji dzięki swojemu autorytetowi i zręczności.

Zwłaszcza autorytetowi. Chorzy nie lubili pragmatycznego podejścia doktora Dwighta Enysa, który dokładnie badał pacjentów i wiedział, że lekarstwa często bywają nieskuteczne, toteż unikał podejmowania kategoriycznych decyzji. Nie byli zadowoleni z medyka, który przychodzi, grzecznie rozmawia, odzywa się miło do dzieci, a nawet głaszcze psa. Woleli

kogoś, kto robi ważną minę, okazuje pewność siebie, zachowuje się jak półbóg. Głos Behenny odbijał się echem w całym domu już na schodach, gdy rozkazywał służącym biec po wodę i koce. Krewni pacjenta wyczekiwali na każde jego słowo. Samo pojawienie się Behenny sprawiało, że serce biło szybciej, choćby nawet, jak często się zdarzało, wkrótce przestawało bić. Nie przygnębiały go niepowodzenia. Śmierć chorego nie była winą kuracji, tylko pacjenta.

Dobrze się ubierał, zgodnie z najwyższymi standardami swojej profesji. Kiedy odbywał dalekie podróże – do czego coraz częściej zmuszała go znakomita reputacja, jaką zyskał w okolicy – dosiadał ładnego karego konia o imieniu Emir, wkładał bryczesy z kozłej skóry, wysokie buty do konnej jazdy i ciężką pelerynę narzuconą na aksamitny surdut z mosiężnymi guzikami. Zimą podróżował w grubych wełnianych rękawiczkach, a w mieście posługiwał się mufką. Nie rozstawał się z laską ze złotą gałką, w której znajdował się flakonik z ziołami zapobiegającymi infekcjom.

Wieczorem na początku października tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego piątego roku Behenna wrócił do domu po wizycie u pacjentów mieszkających po drugiej stronie rzeki. Poddał bolesnym kuracjom dwóch chorych na cholereę oraz usunął przeszło półtora litra płynu z żołądka kupca zbożem, cierpiącego na puchlinę wodną. Po koszmarnej zimie i brzydkim lecie nadszedł ciepły miesiąc i niewielkie miasto spokojnie drzemało w upale. Przez całe popołudnie mieszkańcom dokuczał smród ścieków i gnijących odpadków, lecz wieczorem powiał lekki wiatr i powietrze znów stało się rześkie. Był przyływ: rzeka podpełzła do gęstych zabudowań Truro i otoczyła je jak senne jezioro.

Dotarłszy do frontowych drzwi, doktor Behenna odprawił skinieniem dłoni niewielką grupkę ludzi czekających na jego przybycie. Mniej zamożni mieszkańcy najczęściej korzystali z usług miejskich aptekarzy, a biedota

leczyła się wywarami, które sama przygotowała albo kupiła za pensa od wędrownych Cyganów, jednak czasem Behenna pomagał komuś za darmo – nie był pozbawiony wspaniałomyślności i łechtało to jego próżność – dlatego przed domem zawsze czekało na niego kilku ludzi w nadziei na krótką konsultację na schodach. Lecz dziś nie był w nastroju.

Kiedy oddał konia stajennemu i wszedł do domu, wyszła mu na powitanie pani Childs, gospodyni. Była rozczochrana i wycierała ręce brudnym ręcznikiem.

– Panie doktorze – szepnęła. – Przyjechał do pana dżentelmen. Siedzi w salonie. Czeka już od dwudziestu pięciu minut. Nie wiedziałam, kiedy pan wróci, ale powiedział do mnie, powiedział: „Zaczekam”. Po prostu: „Zaczekam”. Więc zaprosiłam go do salonu.

Odkładając płaszcz i torbę, Behenna patrzył na gospodynię. Była niechlujną młodą kobietą i często się zastanawiał, dlaczego ją toleruje. Tak naprawdę istniała tylko jedna przyczyna.

– Jaki dżentelmen? Dlaczego nie wezwałaś pana Arthura? – Behenna nie zniżył głosu i gospodyni nerwowo zerknęła przez ramię.

– Pan Warleggan – odrzekła.

Behenna przejrzał się w zapleśniałym lustrze, przygładził włosy, strzepnął z mankietu pyłek i spojrzał na swoje ręce, by sprawdzić, czy nie ma na nich nieprzyjemnych plam.

– Gdzie panna Flotina?

– Poszła na lekcję muzyki. Panna May ciągle leży w łóżku, ale pan Arthur powiedział, że gorączka spadła.

– Naturalnie, że spadła. Dopilnuj, by mi nie przeszkadzano.

– Tak, sir.

Behenna odchrząknął i wszedł do salonu. Był zdziwiony.

Pani Childs się nie pomyliła. Przy oknie stał George Warleggan, z rękami

splecionymi do tyłu, barczysty i spokojny. Miał świeżo ufryzowane włosy i nosił ubranie uszyte w Londynie. Był najbogatszym człowiekiem w Truro i jednym z najbardziej wpływowych obywateli, lecz teraz, gdy zbliżał się do czterdziestki, coraz bardziej przypominał z wyglądu swojego dziadka kowala.

– Pan Warleggan. Mam nadzieję, że nie musiał pan długo czekać. Gdybym wiedział...

– Nie wiedział pan. Dla zabicia czasu podziwiałem pański szkielet. Rzeczywiście, dziwne są sprawy Boga i żadna kość człowieka nie jest dla niego tajemnicą ¹.

Mówił chłodnym tonem, jak zawsze.

– Trofeum z moich lat studenckich. Wykopaliśmy go. Należał do zbrodniarza, który źle skończył. W wielkim mieście nigdy takich nie brakuje.

– Nie tylko w wielkim mieście.

– Czy mógłbym poczęstować pana czymś do picia? Może kordiał albo kieliszek madery?

George Warleggan pokręcił głową.

– Pańska kobieta, gospodyni, już mi proponowała.

– A zatem proszę usiąść. Jestem do pańskich usług.

George Warleggan zajął miejsce w fotelu i skrzyżował nogi. Rozglądał się po pokoju, nie poruszając głową. Behenna żałował, że w salonie panuje taki bałagan. Na stole walały się książki i papiery, słoje z solą głauberską i proszkiem Dovera. Na biurku, między notatkami medycznymi, stały dwie puste butelki z korkami nadgryzionymi przez robaki. Koło wiszącego szkieletu stało krzesło z dziewczęcą sukienką przewieszoną przez oparcie. Chirurg zmarszczył brwi: nie spodziewał się odwiedzin swoich bogatych pacjentów. Wygląd salonu mógł wyrzeć złe wrażenie.

Siedzieli w milczeniu przez całą minutę. Wydawało się, że minęło dużo czasu.

– Przyszedłem w prywatnej sprawie – powiedział George.

Doktor Behenna skinął głową.

– Z tego powodu wszystko, co powiem, musi pozostać tajemnicą. Rozumiem, że nikt nas nie podsłuchuje?

– Wszystkie rozmowy między lekarzem a pacjentem są poufne – odparł medyk.

George obrzucił go beznamiętnym wzrokiem.

– Istotnie. Ale tym razem ma to szczególne znaczenie.

– Nie bardzo rozumiem, co ma pan na myśli.

– To, że o naszej rozmowie będziemy wiedzieć tylko my dwaj, pan i ja. Jeśli dowie się o niej ktoś jeszcze, to nie ja zdradzę sekret.

Behenna wyprostował się w fotelu, lecz nie odpowiedział. Miał bardzo silne poczucie własnej ważności, choć zdawał sobie sprawę z jeszcze większej ważności Warlegganów.

– W takich okolicznościach nie zachowałbym się po przyjacielsku, doktorze.

Medyk podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownie. Korytarz był pusty. Znow zamknął drzwi.

– Jeśli chce pan ze mną rozmawiać, panie Warleggan, może pan to zrobić. Zapewniłem już pana, że zachowam pańskie słowa w tajemnicy.

George skinął głową.

– Niechaj tak będzie.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

– Jest pan człowiekiem przesadnym? – spytał Warleggan.

– Nie, sir. Naturą rządzą niezmiennie prawa, na które nie ma wpływu człowiek czy amulet. Rola lekarza polega na zrozumieniu istoty tych praw i zastosowaniu ich w celu wyleczenia choroby. Wszystkie choroby są uleczone. Nikt nie powinien umrzeć przed nadejściem starości.

– Ma pan dwoje dzieci?

– Dwie córki, dwunastoletnią i dziewięcioletnią.

– Nie obawia się pan, że źle na nie wpłyną kości zbrodniarza wiszące w ich domu?

– Nie, sir. Gdybym zauważył, że szkielet wywiera na nie zły wpływ, uleczyłaby je duża dawka środka przeczyszczającego.

George znów skinął głową. Wsunął trzy palce do kieszonki od zegarka i zaczął obracać znajdujące się tam monety.

– Asystowałem pan przy narodzinach mojego syna. Później był pan częstym gościem w naszym domu. Rozumiem, że odbierał pan wiele porodów.

– Tysiące. Przez dwa lata pracowałem w szpitalu położniczym w Westminsterze pod kierunkiem doktora Forda. Sądzę, że nikt w Kornwalii nie ma równie dużego doświadczenia, i niewielu jest takich lekarzy w innych częściach kraju. Ale... przecież pan o tym wie, panie Warleggan. Wiedział pan o tym, gdy pańska żona, pani Warleggan, spodziewała się dziecka, i postanowił pan skorzystać z moich usług. Ufam, że jest z nich pan zadowolony.

– Tak. – George Warleggan wysunął do przodu dolną wargę. Jeszcze bardziej niż zwykle przypominał cesarza Wespazjana podejmującego decyzję o losach imperium. – Ale chciałbym się z panem skonsultować.

– Jestem do pańskich usług – powtórzył Behenna.

– Mój syn Valentine urodził się w ósmym miesiącu ciąży. Czy to się zgadza? Doszło do wypadku, moja żona spadła ze schodów, i poród nastąpił miesiąc przed terminem. Czy się nie mylę?

– Nie myli się pan.

– Proszę mi powiedzieć, doktorze: skoro odebrał pan tysiące porodów, z pewnością widział pan bardzo wiele wcześniaków. Czy tak?

– Owszem, znaczną liczbę.

– Urodzonych w ósmym miesiącu? Siódmym? Szóstym?

– Ósmym i siódmym. Nigdy nie widziałem sześciomiesięcznego wcześniaka, który przeżył.

– Czy wcześniaki, które przeżywają tak jak Valentine, mają w chwili narodzin jakieś szczególne cechy? Czy różnią się czymś od dzieci, które przyszły na świat o czasie? Czy są jakieś różnice?

Behenna zastanawiał się przez chwilę, dokąd zmiierzają pytania gościa.

– Różnice? Jakiego rodzaju?

– To ja pana pytam.

– Nie ma istotnych różnic, panie Warleggan. Może pan być spokojny. Przedwczesne narodziny nie wywarły żadnego negatywnego wpływu na pańskiego syna.

– Nie mam na myśli różnicy po upływie wielu lat. – W głosie George’a Warleggana pojawiła się opryskliwość. – Jakie są różnice w chwili narodzin?

Behenna jeszcze nigdy tak starannie nie dobierał słów.

– Naturalnie waga. Ośmiomiesięczne dziecko prawie nigdy nie waży więcej niż dwa kilogramy i siedemset gramów. Często płacze ciszej. Paznokcie...

– Słyszałem, że ośmiomiesięczny wcześniak nie ma paznokci.

– To nieścista informacja. Są małe i bardziej miękkie...

– Słyszałem, że skóra takich dzieci jest pomarszczona i czerwona.

– Bywa taka również u wielu dzieci urodzonych o czasie.

– Słyszałem, że wcześniaki nie mają włosów.

– Och, czasem mogą mieć włosy, ale bardzo rzadkie i cienkie.

Na ulicy rozległ się turkot wozu. Kiedy ucichł, George powiedział:

– Cel moich pytań może być już dla pana jasny, doktorze. Muszę zadać panu ostatnie pytanie. Czy mój syn był wcześniakiem, czy nie?

Daniel Behenna oblizwał wargi. Zdawał sobie sprawę, że jest uważnie obserwowany, i czuł napięcie gościa. U człowieka mniej panującego nad sobą można by to nazwać cierpieniem.

Wstał i podszedł do okna. Silniejsze światło sprawiło, że zauważył plamki krwi na swoim mankencie.

– W przypadku wielu pytań o charakterze fizycznym nie potrafię udzielić jednoznacznej odpowiedzi, panie Warleggan. Musi pan pozwolić, bym sobie wszystko przypomniał. Pana syn ma teraz – ileż to? – osiemnaście, dwadzieścia miesięcy, prawda? Od jego narodzin odbierałem wiele porodów. Proszę mi powiedzieć, kiedy dokładnie mnie pan wezwał.

– Trzynastego lutego zeszłego roku. Moja żona spadła ze schodów w Trenwith. Zdarzyło się to w czwartek wieczorem, około szóstej. Natychmiast posłałem po pana służącego i przybył pan około północy.

– Ach tak, pamiętam. W tamtym tygodniu leczyłem lady Hawkins, która złamała zebra w czasie polowania. Kiedy usłyszałem, że pana żona uległa wypadkowi, miałem nadzieję, że nie spadła z konia, bo w takiej sytuacji...

– Więc pan przyjechał – przerwał George.

– Przyjechałem. Zajmowałem się pana żoną przez całą noc i następny dzień. Jeśli dobrze pamiętam, dziecko przyszło na świat wieczorem.

– Valentine urodził się kwadrans po ósmej.

– Tak... Cóż, mogę panu powiedzieć, panie Warleggan, że nie przypominam sobie, bym zauważył coś dziwnego w chwili narodzin pańskiego syna. Naturalnie nie miałem powodu, by się zastanawiać, spekulować, uważnie obserwować. Dlaczego miałbym to robić? Nie przypuszczałem, że nadejdzie chwila, gdy będę musiał wydać kategorię opinię. Chodzi o zaledwie miesiąc. Pana żona nieszczęśliwie upadła i byłem rad, że urodziła żywego, zdrowego chłopca. Zwracał się pan do położnej?

George również wstał.

– Musi pan pamiętać, jak wyglądało dziecko, które pan odebrał. Czy miało w pełni uformowane paznokcie?

– Tak mi się zdaje, ale nie jestem pewien, czy...

– A włosy?

– Trochę ciemnych włosów.

– Czy skóra była pomarszczona? Zobaczyłem dziecko po godzinie i pamiętam tylko lekkie zmarszczki.

Behenna westchnął.

– Panie Warleggan, jest pan jednym z moich najzaciewniejszych klientów i nie chciałbym pana urazić. Czy mogę być zupełnie szczery?

– Właśnie o to pana proszę.

– Cóż, z całym szacunkiem sugeruję, by wrócił pan do domu i nie myślał więcej o tej sprawie. Nie ośmielam się zgadywać, jakie są przyczyny pańskich pytań. Ale jeśli spodziewa się otrzymać ode mnie w tej chwili – ode mnie lub od kogokolwiek innego – jasną opinię, czy pana syn był lub nie był wcześniakiem, prosi pan o coś niemożliwego, sir. Nie da się w ten sposób kategoryzować natury. Norma jest tylko normą, zawsze istnieje margines tolerancji.

– A zatem nic mi pan nie powie.

– Nie mogę panu powiedzieć. Gdyby zadał pan to pytanie w chwili porodu, mógłbym zaryzykować bardziej zdecydowaną opinię. *Naturalia non sunt turpia*, jak mawiają.

George ujął laskę i uderzył nią w dywan.

– Rozumiem, że doktor Enys wrócił do Kornwalii i wkrótce zacznie odwiedzać pacjentów?

Behenna zeszywniał.

– Wciąż jest niezdrów, a niebawem poślubi bogatą pannę.

– Niektórzy go cenią.

– To ich sprawa, nie moja, panie Warleggan. Ze swojej strony czuję tylko pogardę dla większości jego metod, które świadczą o słabości charakteru i braku przekonania. Człowiek, który nie opiera swoich działań na jasnej, udowodnionej teorii medycznej, nie może być dobrym lekarzem.

– Naturalnie, naturalnie. Doskonale wiem, że lekarze nigdy nie mówią dobrze o swoich kolegach po fachu.

A czy bankierzy mówią dobrze o innych bankierach? – pomyślał medyk.

– Cóż... – powiedział George. – Życzę panu miłego wieczoru, Behenna.

– Mam nadzieję, że pani Warleggan i panicz Valentine cieszą się dobrym zdrowiem – rzekł doktor.

– Dziękuję, tak.

– Nadszedł czas, bym ich odwiedził. Może na początku przyszłego tygodnia...

Zapadło milczenie i wydawało się, że George rozważa, czy nie powiedzieć: „Proszę więcej nie przyjeżdżać”.

– Staram się nie spekulować, panie Warleggan, dlaczego pyta mnie pan o te kwestie – odezwał się Behenna. – Ale nie byłbym człowiekiem, gdybym nie rozumiał, jak ważna może być dla pana odpowiedź. Nie jestem w stanie wydać opinii, która, według mojej wiedzy, mogłaby rzucić cień na honor szlachetnej i cnotliwej damy – i nie zrobię tego. Nie mogę tego zrobić, nie mając pewności co do istoty sprawy, a chciałbym wyraźnie zaznaczyć, że nie mam takiej pewności. Gdybym ją miał, uważałbym za swój obowiązek powiedzieć panu prawdę. Nie mam pewności. To wszystko.

George spoglądał na lekarza chłodnym wzrokiem. Niesmak malujący się na jego twarzy mógł wyrażać niechęć do Behenny lub niezadowolenie, że musiał ujawnić własne myśli przed obcym człowiekiem.

– Pamiętaj pan, co powiedziałem na początku naszej rozmowy, doktorze?

– Jestem zobowiązany do zachowania tajemnicy.

– Proszę o tym nie zapominać. – George ruszył w stronę drzwi. – Moja rodzina czuje się dobrze, ale może pan przyjechać, jeśli pan chce.

Po wyjściu Warleggana Behenna poszedł do kuchni.

– Nellie, dom jest w koszmarnym stanie! Marnujesz czas, plotkując, zajmując się bzdurami i gapiąc się na ulicę! Salon nie nadaje się do podejmowania zamożnych pacjentów! Zabierz tę sukienkę i buty! Uważaj, bo możesz stracić pracę!

Przez trzy lub cztery minuty łąła Nellie Childs donośnym głosem, który rozlegał się w całym domu. Słuchała, patrząc cierpliwie spod grzywy kasztanowych włosów, i czekała, aż burza minie. Czuła, że doktor musi odbudować autorytet, który w jakiś sposób podważyła wizyta dziwnego gościa. Kiedy Behenna odwiedzał swoich najbogatszych pacjentów, byli oni w potrzebie i wymagali pomocy. Stawiał diagnozy, oni zaś z lękiem wyczekiwali jego słów. Nigdy nie leczył George'a Warleggana, który cieszył się nienaturalnie dobrym zdrowiem. Dzisiaj, jak zawsze w czasie spotkań z właścicielem dworu w Trenwith, Behenna musiał się przed nim płaszczyć. Nie sprawiało mu to przyjemności, męczyło go i teraz wyżywał się na Nellie Childs.

– Tak, sir – powtarzała. – Nie, sir. Zajmę się tym jutro, sir.

Za każdym razem zwracała się do niego „sir”, nawet gdy szedł za nią do sypialni: była to podstawa ich relacji. Istniało między nimi milczące *quid pro quo*. Traktowała jego reprimendy poważnie, lecz nie zanadto poważnie. Kiedy skończył, zaczęła w milczeniu porządkować salon, a tymczasem Behenna stał przy oknie z dłońmi pod połami surduta, rozmyślając o tym, co się wydarzyło.

– Panna May chciałaby z panem porozmawiać, sir.

– Za chwilę.

Próbowała zabrać rozrzucone buty i upuściła dwa. Włosy opadły jej na twarz.

– Bogaci dżentelmeni rzadko pana odwiedzają, sir. Potrzebował czegoś związanego z medycyną?

– Tak, z medycyną.

– Myślę, że mógł przysłać jednego ze swoich służących, prawda, sir?

Behenna nie odpowiedział. Nellie wyszła z butami i wróciła po sukienkę.

– Chyba nigdy wcześniej nie widziałam u nas pana Warleggana. Może to jakaś prywatna sprawa i nie chciał, żeby wiedzieli o niej domownicy?

Behenna odwrócił się od okna.

– Zdaje się, że Katon powiedział: *Nam nulli tacuisse nocet, nocet esse locutum*. Na zawsze zapamiętaj te słowa, Nellie. Powinnaś przestrzegać tej zasady. Inni ludzie także.

– Może tak, ale nie wiem, co to znaczy.

– Przetłumaczę ci. „Milczenie jeszcze nikomu nie zaszkodziło, ale mowa często”.

2

George Tabb miał sześćdziesiąt osiem lat i pracował jako stajenny i dozorca w gospodzie Pod Walecznym Kogutem. Zarabiał dziewięć szylingów tygodniowo i czasem dostawał dodatkowego szylinga za pomoc w trakcie walk kogutów. Mieszkał w przybudówce obok gospody, a jego żona, w dalszym ciągu sprawna mimo kłopotów zdrowotnych, zarabiała dwa funty rocznie jako praczka. Tabb czasem otrzymywał napiwki jako dozorca, co pozwalało mu wiązać koniec z końcem, lecz w ciągu dziewięciu lat od śmierci swojego przyjaciela i pracodawcy Charlesa Williama Poldarka często zaglądał do butelki, a obecnie pił tak dużo, że nie stać go było na utrzymanie. Emily Tabb próbowała kontrolować wydatki, ale tygodniowo trzeba było przeznaczyć pięć szylingów na chleb, dziewięć pensów na mięso, dziewięć

pensów na pół funta masła i kolejne dziewięć pensów na pół funta sera oraz szylinga na dwadzieścia kilogramów kartofli, co ograniczało pole manewru. Pani Tabb gorzko żałowała – podobnie jak jej mąż, gdy był względnie trzeźwy – że dwa i pół roku wcześniej opuścili Trenwith. Elizabeth Poldark, owdowiała i pozbawiona pieniędzy, musiała po kolei zwalniać służących, aż zostali tylko wierni Tabbowie, ale pijany Tabb zrobił się bezczelny i zaczął uważać się za niezastąpionego. Po nagłym ślubie pani Poldark musieli odejść.

Pewnego popołudnia na początku października George Tabb czyścił arenę na tyłach gospody, przygotowując ją do walk kogutów, które miały się odbyć następnego dnia, gdy zagwizdał na niego szynkarz, po czym powiedział, że ktoś chce się z nim widzieć. Tabb wyszedł na ulicę i zobaczył wychudzonego mężczyznę w czarnym stroju, z oczami osadzonymi tak blisko siebie, że wydawał się zezowaty.

– Tabb? George Tabb? Ktoś chce zamienić z tobą kilka słów. Powiedz swojemu panu. Zajmie to pół godziny.

Tabb przyjrzał się gościowi i spytał, o co chodzi, kto chce się z nim widzieć i dlaczego, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Na ulicy czekał drugi mężczyzna. W końcu Tabb odłożył miotłę i wyszedł z gospody.

Nie szli daleko. Kilka kroków zaułkiem, a następnie wzdłuż brzegu rzeki, która lśniła i migotała w czasie przypływu. Później ulicą, do furtki w murze i przez dziedziniec. Tylna część wysokiego domu.

– Tędy.

Tabb wszedł do środka. Pokój przypominał biuro prawnika.

– Zaczekaj tu. – Zamknięto za nim drzwi. Został sam.

Rozglądał się niespokojnie po pomieszczeniu, zastanawiając się, czy wezwanie nie oznacza jakichś kłopotów. Nie musiał długo czekać. Drugimi drzwiami wszedł dżentelmen. Tabb spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Pan Warleggan! – Tabb był łyсы i uniósł dłoń do pomarszczonego czoła.

Jego imiennik, nieskończenie ważny George Warleggan, skinął mu głową, po czym usiadł za biurkiem. Zajrzał do jakichś dokumentów, a Tabb zaniepokoił się jeszcze bardziej. To właśnie George Warleggan po poślubieniu pani Poldark kazał zwolnić ze służby Tabba i jego żonę. W jego dzisiejszym powitaniu nie czuło się sympatii.

– Chcę ci zadać kilka pytań, Tabb – rzekł George, nie unosząc wzroku.

– Sir?

– Pytania, które ci zadam, są poufne i spodziewam się, że będziesz je tak traktował.

– Tak, sir.

– Widzę, że nie pracujesz już na posadzie, którą ci załatwiłem na prośbę pani Warleggan, po odejściu z Trenwith.

– Tak, sir. Moja żona nie dawała sobie rady z pracą i...

– Wręcz przeciwnie. Panna Agar była niezadowolona z twojej pracy i chciała zatrzymać twoją żonę, a zwolnić ciebie.

Tabb rozglądał się niespokojnie po pokoju.

– Teraz wegetujesz jako dozorca w gospodzie. Bardzo dobrze, to twoja decyzja. Nie skorzystałeś z mojej pomocy i ponosisz tego konsekwencje!

Tabb odchrząknął. George Warleggan wsunął palce do kieszonki na zegarek i wyjął dwie monety. Były złote.

– Mimo to mogę na pewien czas złagodzić twój los. Dostaniesz te dwie gwinee pod pewnymi warunkami.

Tabb wpatrywał się w monety jak sroka w gnat.

– Sir?

– Chcę ci zadać kilka pytań na temat ostatnich miesięcy twojej pracy w Trenwith. Pamiętasz je? Odszedłeś niespełna dwa lata temu.

– O tak, sir, pamiętam bardzo dobrze.

– Jesteśmy w tym pokoju tylko my dwaj, Tabb. Tylko ty będziesz wiedział,

jakie pytania ci zadam. Tak więc, jeśli w przyszłości usłyszę, że inni znają te pytania, będę wiedział, kto o nich opowiadał, prawda?

– Och, nie zrobiłbym tego, sir...

– Doprawdy? Nie jestem pewien. Pijacy bywają gadatliwi. Zatem posłuchaj, Tabb.

– Sir?

– Jeśli kiedykolwiek usłyszę jedno słowo na temat pytań, które ci dziś zadam, zostaniesz wypędzony z miasta i dopilnuję, żebyś zdechł z głodu. Zdechł z głodu. W rynsztoku. Przymierzam ci to. Będziesz o tym pamiętał po pijanemu?

– Sir, uczciwie obiecuję. Daję słowo. Nie mogę zrobić nic więcej. Ja...

– Tak, możesz tylko dać słowo. Więc go dotrzymaj, bo ja dotrzymam swojego.

Zapadła cisza. Tabb oblizał wargi.

– Dobrze pamiętam ten okres, sir. Dobrze pamiętam czas, gdy ja i pani Tabb sami jedni dbaliśmy o dwór i gospodarstwo. Nikt nam nie pomagał, a było mnóstwo roboty...

– Wiem, wiem. I zacząłeś nadużywać swojej pozycji. Dlatego zostałeś zwolniony. Ale ze względu na długą służbę znaleziono ci inną pracę, którą potem straciłeś. Tabb, należy rozstrzygnąć pewne kwestie prawne związane z majątkiem i możesz pomóc mi to zrobić. Przede wszystkim chciałbym, żebyś przypomniał sobie wszystkie osoby odwiedzające dwór. Od kwietnia do czerwca tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku, gdy odszedłeś.

– Kto odwiedzał dwór? Żeby się zobaczyć z panią Poldark albo panną Agathą? Niewielu ludzi, sir. Prawie nie mieliśmy gości... Pamiętam wieśniaków. Betty Coad przynosiła sardynki, a raz w tygodniu pojawiał się Lobb, roznosiciel „Sherborne Mercury”. Aaron Nanfan...

George dał znak ręką, nakazując Tabbowi milczenie.

– Kto odwiedzał Poldarków na gruncie towarzyskim?

Tabb zastanawiał się przez chwilę, drapiąc się po podbródku.

– Pan, sir! Najczęściej ze wszystkich! Poza tym doktor Choake, który przyjeżdżał do panny Agathy. Raz w tygodniu pastor Odgers, nadsztygar Henshawe, administrator parafii, kapitan Poldark z Nampary, ze dwa razy sir John Trevaunance i chyba raz pani Ruth Treneglos. Raz widziałem panią Teague. Ale przez pół dnia byłem na polu i dlatego nie mogę...

– Jak często przyjeżdżał kapitan Poldark z Nampary?

– Och... raz w tygodniu. Mniej więcej.

– Zwykle wieczorami?

– Nie, sir, zawsze po południu. W czwartki po południu. Pił herbatę, a potem odjeżdżał.

– Więc kto przychodził wieczorem?

– Nikt, sir. We dworze było cicho, cicho jak w grobie. Wdowa, młody panicz, co to nie miał jeszcze dziesięciu lat, i bardzo stara dama. Jakby pan mnie spytał o gości za czasów pana Francisa, to wtedy...

– A pani Elizabeth? Na pewno wyjeżdżała wieczorami?

Tabb zamrugął.

– Wyjeżdżała? Nic o tym nie wiem, sir.

– Wieczorami było jeszcze jasno. W kwietniu, maju i czerwcu. Musiała jeździć konno.

– Nie, bardzo rzadko. Sprzedaliśmy prawie wszystkie konie, oprócz dwóch, które były za stare, by się ich pozbyć.

George obracał w palcach dwie gwinee, a Tabb spoglądał na monety. Miał nadzieję, że to już koniec.

– Spokojnie, spokojnie, jeszcze nic nie zarobiłeś – rzekł George. – Zastanów się, człowieku. Musieli być inni goście.

Tabb gorączkowo się zastanawiał.

– Wieśniacy... Wuj Ben przynosił króliki. Żadnych obcych ani...
– Jak często pani Poldark jeździła do Nampary?
– Do Nampary?
– Mówię wyraźnie. W odwiedziny do Rossa Poldarka i jego żony.
– Nigdy. Ani razu. Nic o tym nie wiem. Nie, nigdy.
– Dlaczego tam nie jeździła? Byli sąsiadami.
– Myślę... myślę, że nigdy za bardzo nie lubiła żony kapitana Poldarka. Ale tak tylko myślę.

Zapadła długa cisza.

– Spróbuj dokładnie sobie przypomnieć, co się działo w maju. Na początku lub w połowie miesiąca. Kto przyjeżdżał do Trenwith? Kto przyjeżdżał wieczorem?

– No... nikt, sir. Nie widziałem żywej duszy. Już mówiłem.

– Kiedy kładłeś się spać?

– Eee... o dziewiątej albo dziesiątej. Szybko po zmroku. Od rana do zmierzchu byliśmy na polu, a potem...

– O której pani Elizabeth udawała się na spoczynek?

– Eee... o tej samej porze. Wszyscy byliśmy zmęczeni.

– Kto zamykał dwór?

– Ja, wieczorem. Wcześniej nigdy nie zamykaliśmy, ale potem, jak nie było innych służących, a wszędzie roiło się od włóczęgów...

– Cóż, obawiam się, że niczego nie zarobiłeś – oznajmił George, poruszając dłonią, jakby chciał schować pieniądze.

– Och, sir, powiedziałbym panu, gdybym wiedział to, co pan chce usłyszeć!

– Nie wątpię. A zatem oświeć mnie w jednej kwestii. Czy usłyszałyś dzwonek, gdyby ktoś odwiedził dwór po twoim pójściu spać?

– To znaczy w nocy?

– A kiedy indziej?

Tabb się zastanawiał.

– Wątpię. Wątpię, czy usłyszałbym dzwonek. Jest w kuchni, na dole, a wszyscy śpimy na górze.

– Nigdy byś się nie zorientował, że ktoś przyszedł?

– Na pewno bym coś zauważył. Po co ktoś miałby przychodzić do dworu? Tylko po to, żeby kraść. A nie było dużo do ukradzenia.

– Jest jakieś sekretne wejście do dworu, o którym słyszałeś? Mógłby je znać jeden z członków rodziny?

– Nie... Nic o tym nie wiem. A pracowałem w Trenwith dwadzieścia pięć lat.

George Warleggan wstał.

– Bardzo dobrze, Tabb. – Upuścił monety na stół. – Weź swoje dwie gwinee i idź. Masz nikomu o tym nie wspominać, nawet żonie.

– Nic jej nie powiem – odparł Tabb. – Inaczej... no, sir, wie pan, jak to jest. Zaraz będzie chciała zabrać pieniądze.

– Weź swoje gwinee i idź – powtórzył George.

3

Elizabeth Warleggan miała trzydzieści jeden lat i dwoje dzieci. Starszy syn, Geoffrey Charles Poldark, wkrótce jedenastolatek, przebywał w szkole w Harrow, gdzie rozpoczął pierwszy semestr nauki. Matka otrzymała jak dotychczas trzy poplamione atramentem listy, w których syn pisał, że żyje, jest zdrowy i poznaje zwyczaje panujące w szkole. Elizabeth przechowywała je starannie złożone w rogu biurka i kiedy na nie patrzyła, zawsze czuła ból w sercu: potrafiła wyczytać wiele między wierszami. Młodszy syn, Valentine Warleggan, nie miał jeszcze dwóch lat i powoli dochodził do siebie po ciężkiej krzywicy, która zaatakowała organizm poprzedniej zimy.

Elizabeth skończyła właśnie grać w karty z trzema starymi przyjaciółkami – była to jedna z przyjemności związanych ze spędzaniem zimy w Truro. W mieście wszyscy grali w karty i pobyt w Truro był zupełnie inny od nudnych, samotnych zim, gdy przebywała w Trenwith z Francisem i mieszkała tam po jego śmierci. Życie z nowym mężem bywało trudne, zwłaszcza ostatnio, lecz również znacznie ciekawsze, a Elizabeth lubiła podniety.

Zawijała w salonie niewielką paczuszkę, gdy pojawił się George. Przez chwilę się nie odzywał: przeszedł przez pomieszczenie i zaczął przeglądać papiery leżące w szufladzie.

– Powinnaś kazać to zrobić służącej – rzekł w końcu.

– I tak mam niewiele zajęć – odpowiedziała lekkim tonem. – To prezent dla Geoffreya Charlesa. Pod koniec przyszłego tygodnia ma urodziny, a jutro odjeżdża dylizans do Londynu.

– Tak, cóż, możesz dołączyć drobny prezent ode mnie. Nie zapomniałem o jego urodzinach.

George podszedł do innej szuflady i wyjął małe pudełeczko. Znajdowało się w nim sześć guzików z masy perłowej.

– Och, George, są takie ładne! To miło, że pamiętałeś... Myślisz, że powinien je nosić w szkole? Nie pogubi ich?

– Nawet jeśli je zgubi, nie będzie to miało znaczenia. Geoffrey Charles lubi eleganckie stroje: przyszyje mu je miejscowy krawiec.

– Dziękuję. W takim razie dodam je do swojego prezentu. I dołączę notatkę do życzeń urodzinowych, by wiedział, że guziki są od ciebie.

Geoffrey Charles w ogóle nie wspominał o ojczymie w listach do domu. Oboje to zauważyli, lecz unikali rozmów na ten temat.

– Wychodziłaś? – spytał George.

– Byłam u Marii Agar. Wspominałam ci o tym.

– O tak, zapomniałem.

– Bardzo lubię towarzystwo Marii. Jest taka wesoła i beztroska.

Zapadło pełne napięcia milczenie.

– Valentine dziś cię wołał – powiedziała Elizabeth.

– Och, Valentine?

– Tak. Bez przerwy wołał: „Papa! Papa! Papa!”. Nie widział cię od kilku dni i tęskni.

– Hm, cóż... może jutro. – George zamknął szufladę. – Widziałem dziś twój dawny służący. Przypadkiem spotkałem go Pod Walecznym Kogutem.

– Kogo? Którego służącego?

– George’a Tabba.

– Ach... Jest zdrow?

– Usiłował gadać o dawnych czasach.

Elizabeth ponownie owinęła papierem jeden z boków paczuski.

– Przyznaję, że miałam wyrzuty sumienia po jego odejściu.

– Dlaczego?

– Pracował dla nas – dla mojego teścia i Francisa – przez tyle lat. Szkoda, że wszystko stracił, ale w końcu zrobił się nieznośny.

– Dałem mu dwie gwinee!

– Dwie gwinee! To wyjątkowa hojność z twojej strony! – Elizabeth popatrzyła na męża, próbując coś wyczytać z jego beznamiętnej twarzy. – Czasem się zastanawiałam, czy nie powinniśmy znów go przyjąć. Dostał nauczki.

– Pijaka? Pijacy mają długie języki.

– O czym mógłby opowiadać? Nie mamy żadnych sekretów, które należałoby ukrywać przed światem.

George ruszył w stronę drzwi.

– Kto nie ma sekretów? Wszyscy jesteśmy narażeni na wypowiedane

szeptem kalumnie i brzydkie plotki, prawda? – Wyszedł.

Później zjedli razem kolację. Rodzice Elizabeth pozostali w Trenwith, a rodzice George'a przebywali w Cardew. Ostatnio George i Elizabeth spożywali posiłki w milczeniu. George zawsze miał nienaganne maniery i rzadko robił coś niezwykłego. Pierwszy mąż Elizabeth, Francis, bywał buńczuczny, ponury, cyniczny, dowcipny, wyrafinowany, szorstki, pedantyczny i bałaganiarski. George prawie nigdy nie zachowywał się w ten sposób: zawsze panował nad emocjami. Mimo to nauczyła się odczytywać nastroje męża i rozumiała, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy jego stosunek do niej bardzo się zmienił. Nieustannie ją obserwował, jakby próbował odgadnąć, czy jest naprawdę szczęśliwa w małżeństwie. Ostatnio jego baczne spojrzenie stało się trudne do zniesienia. Dawniej, jeśli Elizabeth unosiła oczy i napotykała wzrok George'a, patrzył wprost na nią, otwarcie się jej przyglądał w sposób, który nie wywoływał przykrych wrażeń, lecz teraz szybko odwracał oczy, nie pozwalając odgadnąć swoich myśli.

Czasem miała również wrażenie, że obserwują ją służący. Kilka razy otrzymała listy, które wyglądały, jakby je otwarto i z powrotem zapieczętowano. Było to bardzo nieprzyjemne i Elizabeth często się zastanawiała, czy to tylko twory jej wyobraźni.

– Nadal nie odpowiedzieliśmy na zaproszenie na ślub Caroline Penvenen – rzekła po odejściu służących. – Musimy wkrótce to zrobić.

– Nie mam ochoty jechać. Doktor Enys zachowuje się zbyt wyniośle. Jego status tego nie usprawiedliwia.

– Zapewne pojawi się tam całe hrabstwo.

– Może.

– Wyobrażam sobie, że w czasie wesela będzie traktowany jak bohater. O mało nie zginął, nim go uratowano z rąk Francuzów.

– Niewątpliwie pojawi się tam również jego zbawca. Wszyscy będą go

podziwiać i chwalić za karygodnie nierozważny czyn, który doprowadził do ocalenia jednego człowieka za cenę śmierci wielu innych.

– Cóż, wszyscy wiemy, że ludzie uwielbiają romantyczne gesty.

– I romantyczne postacie. – George wstał i odwrócił się plecami do Elizabeth. Zauważyła, jak schudł, i rozmyślała, czy zmiana jego zachowania wobec niej nie jest skutkiem choroby. – Powiedz mi, Elizabeth, co teraz myślisz o Rossie Poldarku?

Było to zaskakujące pytanie. Po ślubie nie wymawiali przez rok imienia Rossa.

– Co o nim myślę, George? O co ci chodzi? Jak to myślę?

– Po prostu pytam. To naturalne. Znasz go... Jak długo? Od piętnastu lat? Byłaś jego przyjaciółką, mówiąc oględnie. Kiedy cię poznałem, broniłaś go przed wszelką krytyką. Próbowałem nawiązać z nim przyjaźń, lecz odrzucił moje starania, a ty stanęłaś po jego stronie.

Elizabeth siedziała przy stole, nerwowo mnąc skraj serwetki.

– Nie przypominam sobie, bym stawała po jego stronie. Ale co do reszty masz rację. Jednak... w ciągu ostatnich kilku lat moje uczucia wobec niego się zmieniły. Musisz to wiedzieć, na pewno. Po tak długim czasie... Boże...!

– Mów dalej.

– Myślę, że mój stosunek do Rossa zaczął się zmieniać z powodu jego stosunku do Geoffreya Charlesa. Później, kiedy wyszłam za ciebie za mąż, wywołało to jego niezadowolenie. W arogancki sposób wdarł się do naszego domu na Boże Narodzenie i groził nam, bo jego żona miała sprzeczkę z twoim gajowym. Uznałam to za bezczelność.

– Nie wdarł się do dworu – zauważył George. – Zna jakieś wejście, o którym nie wiemy.

Elizabeth wzruszyła ramionami.

– Co to za różnica?

– Co masz na myśli?

Słuchali stukotu na ulicy przed domem. Ślepiec uderzał laską w bruk, szukając drogi. Okno było lekko uchylone i George je zamknął. Dźwięki ucichły.

– Czasem myślę, Elizabeth, czasem się zastanawiam...

– Nad czym?

– Możesz uznać, że mąż nie powinien tak myśleć o żonie, że to coś niewłaściwego... – Urwał. – Twoja nagła wrogość do Rossa Poldarka wydaje się mniej szczerą od dawnej sympatii...

– Masz rację! – odpowiedziała natychmiast. – Rzeczywiście uważam, że to niewłaściwa uwaga z twojej strony! Oskarżasz mnie o hipokryzję lub coś gorszego?! – W jej głosie brzmiał gniew. Chciała zagłuszyć nim strach.

Elizabeth i George często miewali różne poglądy, ale nigdy się nie kłócili. Po zawarciu małżeństwa ich wzajemne relacje opierały się na kurtuazji. George się zawahał, cofając się przed konfrontacją, do której nie był przygotowany.

– Skąd mam wiedzieć? – zapytał. – Może to nawet nie hipokryzja, tylko oszukiwanie samej siebie?

– Czy kiedykolwiek... czy kiedykolwiek w ciągu tych dwóch lat dałam ci choć raz powody do przypuszczeń, że darzę Rossa cieplejszymi uczuciami, niż sugerują moje słowa? Czy pamiętasz choć jeden taki przypadek?!

– Nie, nie pamiętam. Nie o to chodzi. Posłuchaj. Musisz przyznać, że odznaczasz się silnym poczuciem lojalności. Zawsze stajesz po stronie przyjaciół. W czasie małżeństwa z Francisem darzyłaś Rossa przyjaźnią. Szttywniałaś, gdy wymieniałem jego imię. Jednak po naszym ślubie przestałaś traktować go jak przyjaciela, czujesz do niego taką samą niechęć jak ja. We wszystkich sporach stajesz po mojej stronie...

– Skarżysz się?

– Oczywiście, że nie. Sprawia mi to przyjemność. Cieszę się, że jesteś moją sojuszniczką. Ale nie jestem pewien, czy ta zmiana pozostaje w zgodzie z twoim charakterem. Zachowywałabyś się naturalniej, gdybyś niechętnie wspierała mnie przeciwko staremu przyjacielowi, ponieważ uważasz to za swój obowiązek jako moja żona. Bez silnych emocji, jakie okazujesz. Dlatego czasem budzą one moją podejrzliwość. Mówię sobie w duchu: może nie są szczerze? Może Elizabeth mnie oszukuje, bo uważa, że sprawia mi to przyjemność. A może oszukuje samą siebie, błędnie interpretując własne uczucia?

Elizabeth w końcu wstała od stołu i podeszła do kominka. Ogień niedawno zapalono i ledwo się tlił.

– Widziałeś dziś Rossa? – Wsunęła kosmyk włosów pod grzebień podtrzymujący fryzurę. Ruch dłoni był równie chłodny jak słowa.

– Nie.

– W takim razie zastanawiam się, skąd się wzięły twoje oskarżenia przeciwko mnie.

– Wspomnieliśmy, że na pewno będzie obecny na ślubie Caroline. Czy to nie wystarczy?

– Nie wystarczy, by usprawiedliwić te... te insynuacje. Jestem zmuszona przyjąć, że już od dawna żywisz wobec mnie jakieś podejrzenia.

– Te myśli przychodzą mi od czasu do czasu do głowy. Niezbyt często. Po prostu się zastanawiam. Musiałem ci to powiedzieć.

Zapadło długie milczenie. Elizabeth z wielkim wysiłkiem zapanowała nad swoimi emocjami. Uczyła się od George'a.

Podeszła do męża i stanęła obok niego. Była smukła i miała w sobie coś dziewiczego.

– Jesteś zbyt zazdrosny, mój drogi. Nie tylko o Rossa, ale o wszystkich mężczyzn. Czy wiesz, że kiedy idziemy na przyjęcie, nie mogę się uśmiechnąć

do nikogo poniżej siedemdziesiątki, bo czuję, że byłbyś gotów przeszyć go szpadą!

Warleggan chciał coś powiedzieć, lecz dotknęła dłonią jego ramienia.

– Jeśli chodzi o Rossa... Myślałeś, że chcę zmienić temat. Nie, nie mam takiego zamiaru... Jeśli chodzi o Rossa, w ogóle mnie on nie obchodzi. Jak mam cię przekonać? Spójrz na mnie. Mogę tylko powiedzieć, że kiedyś darzyłam go uczuciem, a teraz jest mi całkowicie obojętny. Nie kocham go. Mogłabym go nigdy więcej nie zobaczyć i wcale by mnie to nie obeszło. Nawet nie darzę go sympatią. Wydaje mi się pyszałkiem i kimś w rodzaju bandyty, człowiekiem w średnim wieku, który usiłuje udawać młodzieńca, kimś, kto kiedyś prowadził życie spod znaku płaszcza i szpady, lecz nie zauważył, że to wyszło z mody.

Gdyby miała więcej czasu na zastanowienie się nad doborem słów, prawdopodobnie nie znalazłaby lepszych sformułowań, by przekonać George'a. Wyznanie, że nienawidzi Rossa lub nim gardzi, nie brzmiałoby przekonująco. Ale te kilka chłodnych, miażdżących zdań, które doskonale wyrażały poglądy George'a, choć sam nie byłby w stanie wymyślić tak trafnych określeń, całkowicie go uspokoiło.

Zaczerwienił się, co zdarzało mu się wyjątkowo rzadko, i powiedział:

– Może jestem zbyt zazdrosny. Nie znam, nie znam przyczyny, ale ty powinnaś ją znać.

Uśmiechnęła się.

– Nie powinieneś być zazdrosny. Nie masz o kogo, zapewniam cię.

– Zapewniasz mnie... – Na jego twarzy znów pojawiło się zwątpienie. Pociemniała i stała się brzydka. Później wzruszył ramionami i uśmiechnął się.
– Cóż...

– Zapewniam – powtórzyła Elizabeth.

Rozdział drugi

1

Doktor Dwight Enys i panna Caroline Penvenen wzięli ślub w dzień Wszystkich Świętych, który w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym piątym roku przypadał w niedzielę. Ceremonia odbyła się w kościele pod wezwaniem Matki Boskiej w Truro. Dwór w Killewarren, gdzie mieszkała Caroline, znajdował się w parafii obejmującej Sawle i wioskę Grambler, lecz kościół w Sawle wydawał się za mały, a większość gości mieszkała w Truro lub w pobliżu miasta. Poza tym listopad nie jest dobrym miesiącem do podróży po wiejskich drogach.

Mimo wszystko było to wielkie wesele. Dwight od początku protestował, jednak Caroline postawiła na swoim, gdy był jeszcze zbyt słaby, by skutecznie się sprzeciwiać. Bardzo powoli dochodził do zdrowia po długim pobycie we francuskim więzieniu. Przez wiele tygodni był apatyczny i smutny, nie mógł się pozbyć męczącego kaszlu, miewał duszności w nocy. Chciał odłożyć ślub do wiosny, lecz Caroline powiedziała:

– Mój kochany, dostatecznie długo jestem starą panną. Poza tym musisz pamiętać o mojej reputacji. Już w tej chwili całe hrabstwo jest zgorszone, bo mieszkamy w tym samym domu bez przyzwoitki. Musisz wyzdrowieć, ale babcie nalegają, żebym postępowała jak uczciwa kobieta.

W końcu ustalono datę ślubu i szczegóły uroczystości.

– Nie powinieneś się mnie wstydzić – oznajmiła Caroline. – To

zawstydzające, że mam tyle pieniędzy, lecz wiedziałeś o tym od początku, uroczyste wesele jest jedną z konsekwencji.

Przewidywania Elizabeth się potwierdziły i na ślubie pojawiła się większość hrabstwa, a przynajmniej ci, którzy mogli dojechać na miejsce. W nocy padał ulewny deszcz, po czym wstał jasny dzień, a kałuże pokrywające ulice Truro lśniły jak oczy, w których odbija się niebo. Caroline miała na sobie suknię z białej satyny obszytą ozdobną złotą nicią, na głowie zaś diadem z perełek. Ojca panny młodej zastępował jeden z jej wujów z Oxfordshire. Przyjęcie weselne odbyło się w gmachu Assembly Rooms przy High Cross.

Elizabeth udało się w końcu przekonać George'a, by jej towarzyszył. Warleggan bardzo szybko zauważył swojego dawnego wroga stojącego obok państwa młodych. Prawie nie był w stanie znieść myśli, że mógłby się zbliżyć do Rossa i jego żony, lecz jedynie Elizabeth zauważyła jego wahanie, gdy szli naprzód.

Ross Vennor Poldark, posiadacz czterdziestu hektarów jałowej, nieurodzajnej ziemi na północnym wybrzeżu Kornwalii, jedyny właściciel niewielkiej, za to bardzo dochodowej kopalni cyny, dawny oficer i wieczny buntownik, ubrany był w czarny aksamitny surdut, szarą zamszową kamizelkę i obcisłe spodnie z szarego nankinu. Kamizelka i spodnie były nowe, natomiast surdut otrzymał na dwudzieste pierwsze urodziny od ojca i nie chciał go wymieniać, choć w tej chwili mógłby sobie na to pozwolić. Być może powodowała nim lekka duma, że w ciągu czternastu lat ani nie przytył, ani nie schudł. Naturalnie krój surduta wyszedł z mody, lecz Ross nie przejmował się opiniami ludzi, którzy mogliby to spostrzec.

Mimo to nalegał, by jego żona Demelza włożyła nową suknię, choć ona uważała to za zbyteczne. Demelza Poldark miała teraz dwadzieścia pięć lat i chociaż nigdy nie była olśniewającą piękną, jej oczy, uśmiech, sposób

poruszania i witalność przyciągały uwagę mężczyzn jak magnes. Macierzyństwo nie zmieniło jej figury, więc w dalszym ciągu mogła nosić wciętą w tali suknię z zielonego adamaszku ozdobioną srebrnymi haftami. Robiło jej się słabo na myśl o cenie stroju, mimo to była bardzo zadowolona. Wydawała się w tej sukni równie smukła jak Elizabeth, choć nie tak dziewicza. Demelza nigdy nie wyglądała dziewczęco.

Dwie pary spowinowaconych sąsiadów lekko się sobie ukłoniły, nie zamieniając ani słowa. Warlegganowie podeszli do państwa młodych, uścisnęli im dłonie i złożyli życzenia szczęścia, które George z trudem zdołał wykrztusić. Enys zawsze był protegowanym Rossa Poldarka, jego fagasem. Kiedy był jeszcze ubogim, zmagającym się z przeciwnościami losu lekarzem górników, odrzucił protekcję bogatych Warlegganów i jasno dał do zrozumienia, wobec kogo jest lojalny. George zauważył, że Dwight w dalszym ciągu źle wygląda. Stał obok wysokiej, rozpromienionej, rudowłosej żony, wyższej od niego o dwa centymetry. Jej młodość, szczęście i wyrafinowanie kontrastowały z zabiedzoną, ściągniętą twarzą Enysa, posiwiałymi skroniami i wychudzonym ciałem.

Warlegganowie ruszyli dalej i przez chwilę rozmawiali z wielebnym Osborne'em Whitworthem i jego małżonką. Ossie jak zwykle był ubrany wyjątkowo modnie, a żona, którą poślubił w lipcu, miała na sobie nową suknię w kolorze tabaczkowym. Nie wyglądała w niej najlepiej, bo ciemna cera dziewczyny wydawała się teraz jeszcze ciemniejsza. Morwenna Whitworth prawie cały czas spuszczała oczy i milczała, ale gdy się do niej zwracano, unosiła wzrok, uśmiechała się i grzecznie odpowiadała. Wyraz jej twarzy nie pozwalał odgadnąć udręki i odrazy, którą czuła, ani mdłości wywołanych delikatnymi ruchami spłodzonego przez Ossiego dziecka w jej brzuchu.

Po chwili George pożegnał się z Whitworthami i poprowadził Elizabeth w stronę, gdzie stali sir Francis Basset i lady Basset. Trwało przyjęcie

weselne, goście podzielili się na grupki odbywające miłą konwersację. Dwieście osób, śmietanka towarzyska środkowej Kornwalii, ziemianie, kupcy, bankierzy, wojskowi, miłośnicy polowań na lisy, utytułowani posiadacze majątków, pozbawieni tytułów bogacze, ludzie poszukujący życiowej szansy, wpływowe osobistości. Pośród tłumu gości Demelza rozdzieliła się z Rossem, zauważyła Ralpa-Allena Daniella z żoną i podeszła do nich. Powitali ją jak starą przyjaciółkę, co sprawiło jej przyjemność, bo wcześniej spotkali się tylko raz, a Ross odmówił wtedy przyjęcia stanowiska sędziego pokoju, które zaproponował mu Daniell. Obok nich stał krzepki, bezpretensjonalnie ubrany, pełen rezerwy mężczyzna przed czterdziestką. Daniell zwrócił się do niego:

– Milordzie, proszę pozwolić mi przedstawić panią Demelzę Poldark, żonę kapitana Poldarka. Wicehrabia Falmouth.

Demelza i wicehrabia złożyli sobie ukłon.

– Dużo się mówi o pani mężu. Jeszcze nie miałem przyjemności pogratulować mu znakomitego wyczynu.

– Mam nadzieję, że gratulacje, które otrzymuje, nie uderzą mu do głowy i nie skłonią go do następnej eskapady tego rodzaju.

Falmouth uśmiechnął się lekko, z wielką rezerwą, jakby odmierzał niezwykle cenny płyn, którego nie wolno marnować.

– Rzadko się zdarza spotkać żonę, która tak bardzo pragnie zatrzymać męża w domu. Ale możemy jeszcze potrzebować kapitana Poldarka i innych dzielnych ludzi podobnych do niego.

– Stawimy się na wezwanie – odparła Demelza. Popatrzyli sobie prosto w oczy.

– Muszą państwo kiedyś nas odwiedzić – rzekł lord Falmouth i odszedł.

Poldarkowie zatrzymali się na noc w domu bankiera Harrisa Pascoe przy Pydar Street i w czasie późnej kolacji Demelza powiedziała:

– Nie jestem pewna, czy dobrze usposobiłam do ciebie lorda Falmoutha,

Ross. – Zrelacjonowała krótką rozmowę z wicehrabią.

– Nieważne, czy mu się spodobałaś – odparł Ross. – Nie potrzebujemy jego patronatu.

– Och, Falmouth zawsze tak się zachowuje – zauważył Pascoe. – Szkoda, że nie znaliście jego stryja, drugiego wicehrabiego. Wyglądał niepozornie, ale był straszliwie arogancki. Z jego następcą łatwiej rozmawiać.

– Walczyliśmy na tej samej wojnie, jednak się nie spotkaliśmy – powiedział Ross. – Służył w King's Own Royal Regiment i był wyższy rangą. Przyznaję, że nie podobają mi się jego maniery, ale cieszyłbym się, gdybyś zrobiła na nim dobre wrażenie.

– Uważam, że nie zrobiłam na nim dobrego wrażenia – odrzekła Demelza.

– Chyba wiecie, że Hugh Armitage to kuzyn Falmouthów – powiedział Pascoe. – Jego matka pochodzi z Boscawenów.

– Kto? – spytał Ross.

– Hugh Armitage. Powinieneś znać porucznika Armitage'a. Wyciągnąłeś go z więzienia w Quimper. – W ciągu roku Pascoe i Ross przeszli na „ty”.

– Do licha! Nie, nie wiedziałem. Mało rozmawialiśmy w drodze powrotnej.

– Falmouthowie mają wobec ciebie dług wdzięczności.

– Nie bardzo rozumiem dlaczego. Nie popłynęliśmy do Francji, by go ratować. Był jednym z nielicznych szczęśliwców, którzy wykorzystali nasz wypad, by uciec z Quimper.

– Tak czy inaczej, przywiozłeś go do Anglii.

– Tak... przywieźliśmy go do Anglii. Znał się na nawigacji i przydał się w czasie rejsu...

– Więc obaj macie wobec siebie dług wdzięczności – zauważyła Demelza.

– Rozmawiałaś z Whitworthami? – spytał Ross.

– Nie. Nigdy nie poznałam Morwenny i nie przepadam za Osborne'em.

– Kiedyś wydawało się, że bardzo mu się podobasz.

– Ach, tamto przyjęcie... – odpowiedziała Demelza i zmarszczyła nos.

– Zamieniłem z Morwenną kilka słów – rzekł Ross. – Jest nieśmiała i odpowiada tylko „tak” albo „nie”. Trudno się zorientować, czy czuje się nieszczęśliwa.

– Nieszczęśliwa? – odezwał się Harris Pascoe. – Po czterech miesiącach małżeństwa? Kto mógłby się tego spodziewać?

– Mój szwagier, brat Demelzy, miał krótki, nieudany romans z Morwenną Chynoweth. Chłopak w dalszym ciągu cierpi z tego powodu i próbujemy znaleźć mu jakieś zajęcie. Dlatego warto wiedzieć, czy jego ukochana jest szczęśliwa w małżeństwie, któremu, jak mówi Drake, była głęboko przeciwna.

– Wiem tylko, że Whitworth wydaje stanowczo za dużo na stroje jak na duchownego – stwierdził Pascoe. – Nie chodzę do jego kościoła, ale rozumiem, że wywiązuje się ze swoich obowiązków. To jakaś pozytywna odmiana.

Kiedy Demelza poszła spać, Ross zwrócił się do bankiera:

– A twoje sprawy, Harris? Dobrze ci idzie?

– Tak, dziękuję. Bank nieźle sobie radzi. Pieniądze są ciągle tanie, łatwo uzyskać kredyt, wszędzie powstają nowe przedsiębiorstwa. Tymczasem staramy się kontrolować emisję naszych biletów bankowych – trochę na tym tracimy – chociaż, jak wiesz, jestem ostrożnym człowiekiem i przewiduję, że ta koniunktura nie będzie trwać wiecznie.

– Słyszałeś, że obejmę jedną czwartą udziałów w nowej odlewni cyny Ralpa-Allena Daniella?

– Wspomniałeś o tym w ostatnim liście. Jeszcze trochę porto?

– Tak, proszę.

Pascoe nalał wina do kieliszków, dbając, by nie powstały bąbelki. Trzymał przez chwilę w dłoniach karafkę.

– Daniell ma głowę do interesów. Gdzie zostanie wybudowana?

– Kilka kilometrów od Truro, przy gościńcu do Falmouth. Będzie miała dziesięć pieców płomiennych wysokości stu osiemdziesięciu centymetrów i szerokości stu dwudziestu centymetrów, obsługiwanych przez wielu robotników.

– Daniellowi na pewno nie zabrakło pieniędzy.

– Nie, ale nie zna się na górnictwie, więc zaproponował mi spółkę. Będę miał wpływ na projekt i zarządzanie.

– Dobrze. Dobrze.

– I nie trzyma pieniędzy u Warlegganów.

Harris się roześmiał. Dopili porto i podjęli rozmowę na inne tematy.

– Skoro już mówimy o Warlegganach – odezwał się Pascoe. – Zawarli jakiś rodzaj sojuszu z firmą Basset, Rogers i Spółka, co wzmocni oba banki. Naturalnie nie jest to fuzja, ale zaczną koordynować swoje działania, co może być niekorzystne dla firmy Pascoe, Tresize, Annery i Spry.

– Dlaczego?

– Teraz ich łączny kapitał będzie pięć lub sześć razy większy od naszego. Zawsze jest niekorzystnie być firmą mniejszą niż firma konkurentów, zwłaszcza w niespokojnych czasach. Wielkość banku działa w magiczny sposób na depozytariuszy. Jak wiesz, przed kilku laty dokooptowałem trzech wspólników z powodu niebezpieczeństwa, że przyćmią mnie inne banki. Teraz znów zostaliśmy trochę przyćmieni.

– Nie możesz zaprosić kogoś do współpracy, by przywrócić równowagę?

– Nie z sąsiedztwa. Dalej, oczywiście... ale Truro jest za daleko od, powiedzmy, Helston albo Falmouth, by łatwo i bezpiecznie transportować gotówkę i bilety bankowe. – Pascoe wstał. – Niczego nie zmienimy i damy sobie radę, jestem pewien. Kiedy wieją sprzyjające wiatry, nikomu nic nie grozi.

W innej części Truro Elizabeth cesała włosy przy toaletce, a George siedział przy kominku w długim płóciennym szlafroku i jak zwykle ją obserwował. Teraz, w ciągu ostatniego tygodnia, po niedawnej rozmowie, obserwacja miała nieco łagodniejszy charakter. George trochę się uspokoił. Wydawało się, że przeszedł kryzys nerwowy, którego powodów Elizabeth nawet nie chciała odgadywać, i miał go już za sobą.

– Zauważyłaś, jak Falmouth nas unikał? – spytał.

– Kto? George Falmouth? Nie, nie zauważyłam. Dlaczego miałby nas unikać?

– Zawsze był niemiły, chłodny, nieprzyjemny.

– Taką ma naturę! A przynajmniej tak się zachowuje, bo w gruncie rzeczy wcale taki nie jest. Pamiętam, jak po naszym ślubie spotkałam wicehrabiego Falmoutha i jego żonę na balu. Zachowywał się tak chłodno i odstręczająco, że zastanawiałam się, czym go uraziłam. Później zganił mnie, że mamy teraz dwie pary identycznych imion: dwóch George'ów poślubiło dwie Elizabeth. Mówił, że możemy się pomylić, kto ma z kim dzielić łóżko!

– Falmouth cię aprobuje, ale ja i mój ojciec nigdy nie zdobędziemy jego łask – odparł George. – Zawsze zachowywał się nieprzyjaźnie, a ostatnio jeszcze się to pogorszyło.

– Bardzo przeżył śmierć żony. To smutne, że został sam z małymi dziećmi. Nie wygląda, żeby zamierzał znów się ożenić.

– Tylko kiwnąłby palcem i zaraz przybiegłoby sto panien. Tytuł to łakomy kąsek.

Pogarda, jaka zabrzmiała w głosie George'a, sprawiła, że Elizabeth spojrzała na męża, po czym odwróciła wzrok. Zdobyć tytułu byłoby również łakomym kąskiem dla Warlegganów.

– Nie chce być jedynie właścicielem posiadłości nad rzeką Fal, chce być

również panem Truro. Nikt nie ma prawa go przyćmić!

– Cóż, jest panem Truro, prawda? – odparła Elizabeth. – Dzięki majątkowi i wpływom. Nikt tego nie kwestionuje. Moim zdaniem mieszkańcy to akceptują.

– Mylisz się – odparł George. – Miasto i okręg wyborczy są zmęczone traktowaniem ich jak własność bogatego człowieka. Nigdy nie byliśmy skorumpowanym okręgiem, w którym głosujący otrzymują gratyfikacje finansowe. A zachowanie Falmoutha sprawia, że rada miejska staje się pośmiewiskiem.

– Masz na myśli wybory – odpowiedziała Elizabeth. – Niezbyt dobrze się na tym znam.

– Rada miejska wybiera dwóch członków Izby Gmin. Jak dotychczas wybierała kandydatów Boscawenów. Do niedawna mandaty sprawowało dwóch młodszych członków rodu. Nie ma w tym nic złego, bo wszyscy reprezentujemy tę samą opcję polityczną, jednak radni, choćby dla zachowania szacunku do samych siebie, powinni mieć bodaj pozór swobody wyboru. To, że głosowaliby wbrew życzeniom Falmoutha, i tak jest bardzo mało prawdopodobne.

Elizabeth splatała włosy.

– Zastanawiam się, dlaczego George niepotrzebnie ich obraża. Wiem, że jego stryj był wielkim autokrata, ale...

– Wszyscy Boscawenowie to autokraci.

Elizabeth domyślała się, dlaczego George Evelyn, trzeci wicehrabia Falmouth, i w ogóle wszyscy Boscawenowie trzymają Warlegganów na dystans. Wiedziała, że Nicholas, ojciec George'a, oraz sam George zadali sobie mnóstwo trudu, by przypodobać się Falmouthom. Częściowo chodziło o naturalną niechęć starego, utytułowanego rodu wobec parweniuszy błyskawicznie powiększających swój majątek – obie rodziny prowadziły

interesy na tym samym polu. Warlegganowie stale powiększali swoje wpływy; nie kolidowały one z interesami Boscawenów, biegły równolegle. Poza tym Boscawenowie byli przyzwyczajeni, że mają do czynienia z równymi sobie arystokratami lub ludźmi stojącymi niżej. Warlegganowie nie należeli do żadnej z tych kategorii: byli nowobogackimi, którzy nie stali się jeszcze częścią żadnej z tradycyjnych sfer społeczeństwa. Istnieli naturalnie inni nowobogacy, zwłaszcza w Londynie, lecz niektórzy adaptowali się szybciej niż inni. Elizabeth widziała, że mimo wszystkich swoich wysiłków Warlegganowie nie adaptują się szybko.

– W mieście panuje duże niezadowolenie – powiedział George. – Postacią, wokół której skupią się niezadowoleni, może się stać sir Francis Basset.

– Francis? Och, jestem pewna, że jest bardzo wpływowy, bardzo bogaty i bardzo zajęty, ale...

– Oczywiście znasz go całe życie, a ja poznałem go dopiero w lutym. Okazało się, że wiele nas łączy. Jako właściciel trzeciego co do wielkości banku w Truro daje mi okazje do robienia interesów, a ja się odwzajemniam. W istocie współpracujemy w wielu sprawach.

– W jaki sposób to...

– Od dwóch lat kupuje nieruchomości w mieście i niedawno został wybrany do rady miejskiej. Jest posłem do Izby Gmin z Penryn i kontroluje kilka innych okręgów wyborczych. Wiem, że interesuje się wyborami w Truro...

Elizabeth związała koniec warkocza chabrową wstążką. Ubrana do snu wyglądała jak osiemnastoletnia dziewczyna.

– Wspominał o tym?

– Jeszcze nie. Na razie nie jesteśmy na tak poufalej stopie. Ale widzę, o czym myśli. I sądzę, że jeśli nasza przyjaźń się rozwinie, mogę zostać jednym z jego nominatów.

Elizabeth się odwróciła.

– Ty?!

– Dlaczego nie? – spytał ostro.

– Nic w tym złego, ale ten okręg wyborczy należy do Boscawenów. Miałybyś jakieś szanse?

– Tak przypuszczam. Jeśli sytuacja się nie zmieni. Byłabyś przeciwna, gdybym kandydował?

– Naturalnie, że nie. Chyba sprawiłoby ci to przyjemność. – Wstała. – Ale Basset to przecież wig!

Chynowethowie od pokoleń byli zaprzysięgłymi torysami.

– Mnie również się to nie podoba, ale Basset zerwał z Foxem – odparł George. – Wszedłbym do Izby Gmin jako jeden z jego posłów i popierałbym obecny rząd.

Elizabeth zdmuchnęła świecę. W stronę lustra popłynęła smużka dymu i znikła.

– Skąd to zainteresowanie? Nie słyszałam, by wspomiano o wyborach powszechnych.

– Nikt o nich nie mówi. Ale Pitt rządzi już bardzo długo. Nie... nie mówi się o wyborach powszechnych, tylko o wyborach uzupełniających w Truro. Sir Piers Arthur jest ciężko chory.

– Nie wiedziałam.

– Podobno nie może oddawać moczu i uparcie nie pozwala założyć sobie cewnika.

Elizabeth zasunęła kotary łóżka.

– Biedny człowiek...

– Po prostu mówię ci, o czym myślę i do czego może prowadzić moja przyjaźń z sir Francisem Bassetem.

– Dziękuję, George, że zdradzasz mi swoje sekrety.

– Oczywiście nikt nie powinien się o tym dowiedzieć. To niezwykle ważne. Trzeba przygotować grunt.

– Nikomu o tym nie wspomnę.

– Czy nie zdradzam ci wszystkich swoich sekretów? – spytał po chwili George.

– Mam nadzieję, że będziesz zawsze to robił – odpowiedziała Elizabeth.

3

W jeszcze innej części Truro Ossie Whitworth, zakończywszy cwieczorną zabawę z żoną, przewrócił się na bok, obciągnął koszulę nocną, poprawił szlafmycę i powiedział:

– Postanowiłem zaprosić twoją siostrę. Kiedy może przyjechać?

– Muszę napisać do mamy – odrzekła stłumionym głosem Morwenna, ukrywając mdłości i ból. – Myślę, że Rowella nie ma żadnych zobowiązań, ale mogą być jakieś sprawy, o których nie wiem.

– Pamiętaj, że nie stać nas na to, by po prostu siedziała w domu, nic nie robiąc, jako twoja towarzyszka. Powinna się zajmować dziewczynkami, a kiedy urodzisz dziecko, ma pomagać w prowadzeniu domu.

– Napiszę jej to jasno.

– Zaczekaj, ile ona właściwie ma lat? Masz tyle sióstr, że nie pamiętam ich wieku.

– W czerwcu skończyła czternaście lat.

– Jest zdrowa? Zna się na prowadzeniu domu? Nie stać nas na goszczenie młodej damy, która boi się brudzić sobie rąk.

– Potrafi szyć, gotować i zna trochę greki. Ojciec mówił, że była najlepszą uczennicą w rodzinie.

– Hm... Nie rozumiem, po co kobiecie znajomość starożytnego języka.

Twój ojciec był uczonym człowiekiem, muszę mu to przyznać.

Zapadło milczenie.

– Dzisiejszy pan młody wyglądał na ciężko chorego – rzekł Osborne. –
Moim zdaniem długo nie pociągnie.

Morwenna nie odpowiedziała.

– „Lekarzu, ulecz się sam”, prawda? Nie sądzisz, że o to chodzi? Śpisz?

– Nie, nie.

– Często spotykałem Caroline Penvenen na przyjęciach. Odważna kobieta –
dodał w zamyśleniu. – Założę się, że narowista, z tymi rudymi włosami.

– Pamiętała mnie, choć spotkałyśmy się tylko dwa razy.

– Zaskakujące. Masz tendencję do znikania w tłumie. Wielka szkoda.
Pamiętaj, że jesteś żoną Osborne’a Whitwortha i możesz wysoko nosić głowę
w tym mieście.

– Tak...

– Towarzystwo było dziś dość miłe. Chociaż niektórzy goście mieli
straszliwie niemodne ubrania. Widziałaś córki Teague’ów? I ten Poldark...
Jego surdut musiał zostać skrojony pół wieku temu!

– To dzielny człowiek.

Ossie usiadł wygodniej na łóżku i ziewnął.

– Jego żona bardzo dobrze się trzyma.

– Jest ciągle młoda, prawda?

– Tak, ale zwykle ludzie z niższych sfer starzeją się szybciej od dobrze
urodzonych... Kilka lat temu w czasie przyjęć i balów robiła z siebie niezłe
widowisko. Wkrótce po ślubie.

– Widowisko?

– Cóż, zwracała na siebie uwagę, kokietowała mężczyzn, możesz mi
wierzyć. Nosiała suknie z głębokimi dekolcami... Była z siebie bardzo dumna.
Podejrzewam, że ciągle jest.

– Elizabeth nigdy o tym nie wspominała. Chyba nie lubi swojej kuzynki.

– Ach, Elizabeth... – Wielebny Whitworth znów ziewnął, zgasił jedną palącą się świecę i zaciągnął zasłony. Zakończenie wieczoru jak zwykle wywołało przyjemną senność. – Elizabeth nigdy o nikim źle nie mówi. Chociaż zgadzam się: nie przepadają za sobą.

Morwenna westchnęła. Najgorszy ból powoli mijał, jednak nie chciało jej się spać.

– Opowiedz mi o tym. Jaka jest przyczyna kłótni między Poldarkami a Warlegganami? Wszyscy o tym wiedzą, ale nikt nic nie mówi.

– Nie znam szczegółów. Wiem tylko, że chodzi o zazdrość i rywalizację. Elizabeth Chynoweth obiecano Rossowi Poldarkowi, lecz poślubiła Francisa, jego brata stryjecznego. Kilka lat później Francis zginął w wypadku w kopalni i Ross chciał wyrzucić dziewczkę kuchenną, z którą zdążył się ożenić, i wziąć Elizabeth. Ta jednak nie chciała się zgodzić i poślubiła George’a Warleggana, zaprzysięgłego wroga Rossa... od czasu, gdy chodzili razem do szkoły... –

Głos Ossiego stawał się coraz słabszy, jakby duchowny odchodził w głąb tunelu.

Morwenna spojrzała przez szparę w kotarach na światło księżyca zalewające sypialnię. W łóżku było tak ciemno, że ledwo widziała twarz męża, ale wiedziała, że za chwilę zaśnie i przez następne osiem godzin będzie spał na wznak z otwartymi ustami. Na szczęście nie chrapał, choć miał ciężki oddech.

– Kochałam Drake’a Carne’a, brata pani Poldark... – szepnęła.

– Co? Co... mówisz?

– Nic, Ossie. Zupełnie nic... Dlaczego Ross Poldark i George Warleggan stali się wrogami?

– Co mówisz? Och... nie wiem. Jeszcze nie mieszkałem w Truro. To ogień i woda. Każdy to widzi... Obaj mają sztywne karki, choć z różnych powodów.

Myślę, że Poldark gardzi Warlegganem z powodu jego niskiego pochodzenia i nigdy tego nie ukrywał. A w przypadku George'a to niezbyt bezpieczne... Odmówiłaś dziś wieczorem modlitwę?

– Tak, Ossie.

– Powinnaś bardziej się przykładać do swoich... Przypomnij mi rano – ciągnął. – O jedenastej mam chrzciny... Rosewarnesowie... zamożna rodzina. – Jego oddech stał się głęboki i miarowy. Ciało i umysł jednocześnie się uspokoiły. Od ślubu z Morwenną był w wyjątkowo dobrym zdrowiu. Koniec z frustracjami wdowca pełnego energii, duchownego w niewielkim mieście.

– Ciągle kocham Drake'a Carne'a – rzekła Morwenna, tym razem głośno, spokojnie, z przekonaniem. – Kocham Drake'a Carne'a. Kocham Drake'a Carne'a. Kocham Drake'a Carne'a. Kocham Drake'a Carne'a...

Powtarzała te słowa przez godzinę lub dwie, aż ukołysały ją do snu. Czasami rozmyślała, czy Ossie się obudzi i usłyszy. Ale tak się nie stało. Może tylko Drake Carne budził się i słyszał słowa Morwenny wiele kilometrów dalej.

4

W starym dworze w Killewarren młodzi małżonkowie przebywali w sypialni. Caroline siedziała na łóżku w długim zielonym peniuarze, a Dwight, ubrany w luźną jedwabną koszulę i spodnie, leniwie grzebał pogrzebaczem w kominku. Horacy, mops Caroline, dzięki któremu się poznali, został wygnany z pokoju i umieszczony wystarczająco daleko, by nie słychać było jego protestów. W pierwszych miesiącach był bardzo zazdrosny o Dwighta, lecz młody lekarz zjednał go sobie dzięki cierpliwości. W następnych tygodniach pies pogodził się z nieuniknionym i zrozumiał, że pojawił się konkurent zabiegający o względy pani.

Dwight i Caroline zamieszkali w Killewarren, bo nie mieli lepszego miejsca, gdzie mogliby się udać. Był to ich wspólny dom, odkąd Dwight wrócił wynędzniały z francuskiego więzienia dla jeńców wojennych w Quimper. Caroline nalegała, żeby wprowadził się do domu, w którym mogła się nim opiekować. W ciągu tych miesięcy, naruszając zasady przyzwoitości, zachowywali się tak przyzwoicie, że zadowoliliby to nawet najbardziej pruderyjnych sąsiadów.

Nie kierowały nimi jedynie względy moralności. Życie Dwighta tliło się jak słabo płonąca świeca i gdyby pojawiła się w nim namiętność, łatwo mogłoby zgasnąć.

– Cóż, mój drogi, w końcu jesteśmy razem, jako małżeństwo pobłogosławione przez Kościół anglikański. Wiesz, że trudno mi zauważyć jakąś różnicę?

Dwight się roześmiał.

– Mnie też. Nigdy nie czułem się jak cudzołożnik. Może dlatego, że tak długo czekaliśmy?

– Zbyt długo.

– Zbyt długo. Ale nie mieliśmy wpływu na zwłokę.

– Nie na początku. Wina leży po mojej stronie.

– Nikt nie ponosi winy. Ostatecznie wszystko w końcu się ułożyło.

Dwight odłożył pogrzebacz, odwrócił się i spojrzał na Caroline, po czym usiadł obok niej na łóżku i położył dłoń na jej kolanie.

– Wiesz, że słyszałam o lekarzu, który tak się interesował anatomią, że zabrał ze sobą szkielet w podróż poślubną? – powiedziała Caroline. – Żona obudziła się i spostrzegła, że szkielet leży w łóżku, a mąż dotyka kości.

Dwight znów się uśmiechnął.

– Żadnych kości. Przynajmniej przez najbliższe dwa dni.

Pocałowała go. Dotknął dłońmi jej włosów, przyciskając je do policzków.

– Może powinniśmy poczekać, aż zupełnie wyzdrowiejesz? – spytała.

– Może nie powinniśmy tak długo czekać – odparł.

Jasny, migotliwy ogień sprawiał, że pokój wypełniły ruchome cienie.

– Niestety, moje ciało nie jest dla ciebie niespodzianką – powiedziała. –

Na pewno jeśli chodzi o górną część, bo dokładnie ją badałeś w jasnym świetle dnia. Na szczęście nic mnie nie bolało poniżej pępka.

– Caroline, za dużo mówisz.

– Wiem. Zawsze będę mówić. To moja wada i taką mnie poślubiłeś.

– Muszę znaleźć jakiś sposób, żebyś przestała gadać.

– Są na to sposoby?

– Tak mi się zdaje.

Znów go pocałowała.

– Więc spróbuj...

Rozdział trzeci

1

Szczęście Samuela Carne'a miała tylko jedna zgryzota. Kilka lat wcześniej, gdy w dalszym ciągu znajdował się w szponach Szatana, jego brutalny ojciec częściowo przekonał go, a częściowo zmusił do pójścia na spotkanie modlitewne metodystów. Uczestnicząc w nim, Samuel nagle poczuł, że topnieje w nim serce, po czym po bolesnych zmaganiach duchowych doświadczył radości przebaczenia: otrzymał łaskę płynącą z Chrystusa i jego życie całkowicie się zmieniło. Teraz, opuściwszy rodzinny dom w poszukiwaniu pracy w kopalni szwagra, kapitana Rossa Poldarka, przeniósł się w okolice Nampary i okazało się, że miejsce to jest jałowym pustkowiem duchowym, gdzie regularne spotkania metodystów przestały się odbywać i gdzie prawie wszyscy mieszkańcy z wyjątkiem nielicznych już dawno pograżyli się w grzechu i nieprawości. Mimo to w ciągu niespełna dwóch lat Sam spowodował, że ruch metodystyczny się odrodził. Podtrzymał na duchu wiernych, zmagał się z Szatanem w sercach wielu słabszych i zbłąkanych, zdobył kilku nowych zwolenników, modlił się za nich, oni zaś odkryli w sobie bezcenną łaskę Jehowy i z czasem ich serca się oczyściły i wypełniły świętością.

Było to wielkie osiągnięcie, lecz Sam na tym nie poprzestał. Nie prosząc o zgodę przywódców ruchu metodystycznego, zbudował na skraju majątku Poldarków nowy dom modlitwy z pięćdziesięciu miejscami siedzącymi. Dom

był prawie gotowy. Niedawno Samuel poszedł pieszo do Truro i spotkał się tam z przywódcami zgromadzenia, którzy nadali mu tytuł przywódcy okręgu i obiecali wysłać jednego z najlepszych wędrownych kaznodziejów, by wiosną uczestniczył w otwarciu domu modlitwy.

Sam uważał to za cud. To, że Bóg działał za jego pośrednictwem, że wybrał go Chrystus, aby stał się Jego misjonarzem w tym niewielkim zakątku kraju, było źródłem nieustannego zdumienia i radości. Każdego wieczoru długo modlił się, klęcząc, żeby łaska, którą otrzymał, nie doprowadziła do grzechu pychy. Był najpokorniejszym ze wszystkich sług Boga i zawsze taki pozostanie, służąc Przedwiecznemu i wychwalając go w życiu i do końca świata.

Ale może istnieje w nim jakaś słabość i skłonność do grzechu, której nie zdołał wykorzenić? Przyczyną jego trosk był upadły młodszy brat.

Drake nie miał jeszcze dwudziestu lat. Nigdy nie odznaczał się taką żarliwością jak Sam, lecz otrzymał błogosławieństwo w młodszym wieku. Jego serce i życie stały się naprawdę święte. Dwaj bracia żyli razem w idealnej jedności, której źródłem jest służba Chrystusowi, do chwili, gdy Drake pokochał kobietę.

Małżeństwo z odpowiednią kobietą to jeden z boskich nakazów. Nie należy nim gardzić ani do niego zniechęcać, jednak dziewczyna, w której zakochał się Drake, należała niestety do wyższej sfery społecznej. Chociaż była córką dziekana Kościoła anglikańskiego i niewątpliwie szczerze i gorliwie czciła Boga, jej wychowanie i tradycyjne przekonania religijne czyniły ją nieodpowiednią małżonką dla kornwalijskiego metodysty. Drake i dziewczyna zostali rozdzieleni – nie przez Sama, który nie potrafiłby nakazać tego bratu, nawet gdyby chciał, tylko przez krewnego dziewczyny, pana Warleggana, i jej matkę. Wyszła dobrze za mąż za młodego pastora z Truro, robiącego karierę w Kościele anglikańskim.

Z pewnością była to najlepsza rzecz, jaka mogła się zdarzyć, chociaż Drake

tak nie uważał. Nie dawało się go przekonać. Wszyscy sądzili, że to po prostu nieszczęśliwa pierwsza miłość i że w ciągu roku o niej zapomni i będzie równie wesoły jak przedtem, lecz nic takiego nie nastąpiło, a minęło już kilka miesięcy.

Jednak Drake nie okazywał cierpienia. Dobrze pracował i miał apetyt. Rana po francuskiej kuli z muszkietu, która trafiła go w ramię, zupełnie się zagoiła – z łatwością wspinał się po drabinach i na drzewa. Sam, który dobrze znał brata, wiedział, że w głębi duszy Drake całkowicie się zmienił. Prawie opuścił zgromadzenie. Rzadko pojawiał się na wieczornych spotkaniach modlitewnych, a czasem nawet nie przychodził na niedzielne nabożeństwa w kościele, tylko spacerował po plaży Hendrawna i znikał na całe godziny. Wieczorami nie chciał się modlić z Samem i nie można było przemówić mu do rozsądku.

– Wiem, że błędzę – mówił. – Dobrze to rozumiem. Wiem, że tracę wiarę, wiem, że nie służę Chrystusowi. Wiem, że straciłem zbawienie. Ale, bracie, to, co straciłem na tej ziemi, wydaje mi się bardziej... W porządku, masz rację, to bluźnierstwo. Niestety nie potrafię zmienić swojego serca...

– Sprawy doczesne...

– Tak, mówiłeś mi o tym, niewątpliwie to prawda, chociaż nie zmienia to moich uczuć. Jeśli chwycił mnie w swoje szpony Szatan, trzyma mnie i jest zbyt silny, by z nim walczyć. Zostaw mnie, bracie, są inne dusze, którymi powinieneś się zająć.

Samuel dał mu spokój. Drake przez dwa tygodnie mieszkał z siostrą i szwagrem w Namparze. Demelza powiedziała, że nie musi się wyprowadzać, mimo to wrócił do chaty w Reath i znów zamieszkał z bratem. Po raz pierwszy panowało między nimi napięcie. W styczniu tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego szóstego roku Ross rozwiązał problem.

Drake w dalszym ciągu pracował przy przebudowie biblioteki, gdy

pewnego dnia na początku grudnia wezwano go do salonu.

– Drake, wiem, że od dawna pragniesz opuścić ten okręg – powiedział Ross. – Uważasz, że nie możesz tu osiąść na stałe po tym, co się wydarzyło. Chociaż bardzo cierpisz, ani ja, ani Demelza nie możemy patrzeć, jak marnujesz życie na próżny żal. Jesteś Kornwalijszczykiem, znasz się na rzemiośle, w okolicy są lepsze możliwości niż w środkowej Anglii, gdzie musiałbyś pracować jako prosty robotnik, by w ogóle przeżyć. Możemy ci pomóc... Mówiłem to już wcześniej i mówię jeszcze raz, ponieważ pojawia się możliwość – rozsądna możliwość – byś otworzył własny interes.

Wziął ostatni numer „Sherborne & Yeovil Mercury & General Advertiser” i podał go młodemu mężczyźnie. Na ostatniej stronie złożonej gazety zaznaczono ogłoszenie. Drake, wciąż czytający dość słabo, z trudem odcyfrował treść:

We środę dziewiątego grudnia w gospodzie Pod Herbem Króla Jegomości w Chacewater odbędzie się licytacja gospodarstwa, domu i gruntu w parafii St Ann's, własności zmarłego Thosa Jewella. Skład majątku: dom złożony z czterech izb, gorzelnia, piekarnia, stodoła, obszerna kuźnia, a w niej 1 kowadło, 1 para miechów, młoty, szczypce i dwa tuziny nowych końskich podków. Poza tym stajnia z 1 klaczą, 1 źrebakiem, 1 belą starego siana. Razem 2,5 hektara gruntu, w tym pół hektara pszenicy ozimej, hektar zaoranej ziemi, 6 chudych owiec. Zadłużenie 21 funtów.

Przed licytacją zainteresowani mogą obejrzeć gospodarstwo.

Skończył czytać, po czym oblizał wargi i uniósł wzrok.

– Nie rozumiem...

– Ma to wady i zalety – rzekł Ross. – Główna wada polega na tym, że St Ann's znajduje się zaledwie dziesięć kilometrów od Nampary, więc nie przeniósłbyś się zbyt daleko. Poza tym mieszkałbyś bliżej Warlegganów z Trenwith. Do Warlegganów należą dwie z czterech kopalni czynnych w tej chwili w okręgu. St Ann's to najważniejsza wioska w tej części wybrzeża,

handel idzie coraz lepiej i mogą się pojawić szanse na rozwinięcie interesu – dla kogoś, kto nie boi się ciężkiej pracy i ma dość inicjatywy.

– Mam zaledwie dwa funty i dwa szylingi – powiedział Drake. – Chyba mógłbym kupić za to tylko podkowy!

– Nie wiem, ile to będzie kosztować, ale zdajesz sobie sprawę, że stać mnie, by kupić dla ciebie to gospodarstwo – odparł Ross. – Jeśli się zgodzisz, mogę to zrobić. W lipcu, w czasie naszej wyprawy do Francji, odniosłeś poważną ranę i o mało nie przypląciłeś tego życiem. Chociaż temu zaprzeczałeś, odniosłeś ją przynajmniej częściowo dlatego, by ocalić moją skórę. Nie lubię mieć długów, zwłaszcza wobec kogoś, kto mógłby być moim synem. W ten sposób spłacę swoje zobowiązania. – Ross przemawiał chłodnym tonem w nadziei, że zniechęci Drake’a do składania podziękowań lub proponowania czegoś w zamian.

– Ale Demelza...

– Demelza nie ma z tym nic wspólnego, choć naturalnie aprobeje pomysł.

Drake dotknął gazety.

– Dwa i pół hektara i... To duże gospodarstwo.

– Więc trzeba będzie zapłacić godziwą cenę. Szczęście, że to się pojawiło, bo takie kuźnie i niewielkie gospodarstwa najczęściej przechodzą z ojca na syna. Pally Jewell, zmarły w zeszłym miesiącu, był wdowcem i zostawił dwie córki, które wyszły za mąż za farmerów. Dziewczęta chcą się podzielić pieniędzmi.

Drake popatrzył na Rossa.

– Dowiadywał się pan?

– Tak.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Licytacja jest w środę. Nieruchomość można obejrzeć tego samego dnia, ale uważam, że powinniśmy pojechać tam wcześniej. Oczywiście sam musisz

podjąć decyzję.

– Co pan ma na myśli?

– Masz zaledwie dwadzieścia lat. Może jeszcze sobie nie poradzisz. Nigdy nie pracowałeś na swoim. To duża odpowiedzialność.

Drake wyrzwał przez okno. Spojrzał również na szary pejzaż własnego serca. Stracił chęć do życia, dziewczyna, którą pokochał, poślubiła kogoś innego, czas włókł się niemiłosiernie. Mimo to musiał żyć. Nawet w najczarniejszych chwilach nie myślał o samobójstwie. Propozycja Rossa była wyzwaniem, nie tylko dla przedsiębiorczości Drake'a, lecz również dla jego woli przetrwania.

– Dałbym sobie z tym radę, kapitanie. Mimo to chciałbym się nad tym dobrze zastanowić.

– Naturalnie. Masz cały tydzień.

Drake się zawahał.

– Nie wiem, czy mógłbym przyjąć taki dar. Moim zdaniem to nie w porządku. Musiałby pan dużo zapłacić. Co nie znaczy, że nie jestem wdzięczny za...

– Z tego, co słyszałem, gospodarstwo może kosztować dwieście funtów. Ale pozwól mi podjąć ostateczną decyzję co do ceny. Ty pomyśl, czy przyjmujesz propozycję. Idź do domu, porozmawiaj z Samem i daj mi znać.

Drake poszedł do domu i porozmawiał z Samem. Brat stwierdził, że to wspaniała okazja, dar zesłany przez Boga. W dalszym ciągu znajdują się w okowach doczesności, lecz mają prawo próbować poprawić swoje życie pod względem materialnym i duchowym. Należy służyć Panu i przykładać się do pracy, a nie ulegać lenistwu. Człowiek powinien modlić się do Boga, by pobłogosławił każde przedsięwzięcie powodowane dobrem, uczciwością i skromną ambicją. Dzięki pracy ciemna chmura spoczywająca na duszy Drake'a może zniknąć i znowu odnajdzie on pełne i trwałe zbawienie.

Drake zadał Samowi pytanie. Przypuśćmy, że obejrzy gospodarstwo i że kapitan Poldark kupi je dla niego – albo pożyczy mu pieniądze na zakup, co wydawało się właściwsze – czy Samuel pojedzie z bratem i zawiązą spółkę? Mogliby razem pracować i dzielić trudy lub sukcesy, jakie mogą się pojawić.

Samuel uśmiechnął się swoim młodzieńczo-starczym uśmiechem i odpowiedział, że spodziewał się tego pytania. Cieszy się, że brat je zadał, jednak już się nad tym zastanawiał i uważa za swój obowiązek pozostać w Namparze. Dzięki łasce Chrystusa i Jego miłości nawrócił już wielu mężczyzn i wiele kobiet, prowadząc ich do tronu Pana Boga. Mianowano go lokalnym przywódcą zgromadzenia, nowy dom modlitwy jest prawie gotowy, jego praca przynosi błogosławione owoce, nie może odejść i nie wolno mu tego zrobić.

– Dalej nie wiem, czy powinienem przyjąć dar kapitana Poldarka – powiedział Drake. – Wydaje się zbyt hojny.

– Hojność to jedna z najszlachetniejszych cnót chrześcijańskich i ludzi nie wolno do niej zniechęcać. Chociaż dawanie jest bardziej błogosławione niż branie, trzeba umieć z wdzięcznością przyjmować dary.

– Tak... tak... – Drake potarł podbródek pokryty młodzieńczym zarostem. – Jesteś ubogi i ciężko harujesz, bracie. To tylko dziesięć kilometrów. Wielu ludzi chodzi tak daleko do pracy. Dlaczego nie miałbyś mi pomóc?

– Może później – odparł Sam. – Jeśli... – Urwał.

– Jeśli co?

– Może za rok albo dwa, kiedy twoje życie się ustabilizuje, zechcesz zmienić stan? Wtedy nie będziesz mnie potrzebował.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Możesz zrezygnować ze stanu kawalerskiego i się ożenić. Wtedy będziesz miał własną rodzinę.

Drake popatrzył na strugi padającego deszczu.

– Dobrze wiesz, że nie mam na to ochoty.

– Wszystko może się zmienić. Modlę się za ciebie co wieczór, Drake, każdej nocy i każdego dnia. Proszę Boga, by uwolnił twoją duszę od wielkiego ciężaru. Ta młoda kobieta...

– Nie mów nic więcej. Już dość powiedziałaś.

– Tak, może.

Drake się odwrócił.

– Myślisz, że nie wiem, co myślą ludzie. Uważasz, że nie sądzę, że mogą mieć rację? Ale to nie pomaga. Nie pomaga mojemu sercu. – Dotknął swojej piersi. – Nie pomaga, bracie! Rozumiesz?! Nie pomaga! Gdyby... gdyby się okazało, że Morwenna umarła, i gdybym wiedział, że nigdy więcej jej nie zobaczę, byłoby mi ciężko, bardzo, bardzo ciężko, ale bym to zniósł. Inni też tracili kochanych ludzi. Lecz nigdy nie zniósę tego, że jest żoną tamtego człowieka, nigdy! Bo wiem, że go nie lubi, Sam. Wiem, że nie może go znieść! Czy to po chrześcijańsku? Czy to dzieło Ducha Świętego? Czy Jezus nakazał, by mężczyzna i kobieta spali razem i stawali się jednym ciałem, kiedy kobietę mdli od dotyku mężczyzny?! Gdzie mówi o tym Biblia?! Gdzie coś takiego napisano w świętych księgach?! Powiedz mi: gdzie jest miłość, miłosierdzie i przebaczenie Boga?!

Sam wydawał się bardzo poruszony.

– Bracie, to tylko twoje domysły o tej młodej kobiecie. Nie możesz wiedzieć...

– Wiem dosyć! Niewiele powiedziała, ale dużo okazała. Nie mogła mnie okłamywać w takiej sprawie! Jej twarz nie mogła kłamać! Nie mogę tego znieść, rozumiesz, bracie?!

Samuel podszedł do Drake'a i stanął obok niego. Obaj byli bliscy płaczu i milczeli przez chwilę.

– Może nie wszystko rozumiem – rzekł Sam. – Może kiedyś zrozumiem

i mam nadzieję, że pewnego dnia z Bożą pomocą wybiorę sobie żonę. Widzę, co czujesz, bracie. Mogę tylko się za ciebie modlić. Robię to od czasu, gdy to się stało.

– Módl się za nią – odparł Drake. – Módl się za Morwenę.

2

Kuźnia Pally'ego, jak nazywano gospodarstwo wystawione na licytację, znajdowała się w niewielkiej, głębokiej dolinie w pobliżu drogi z Nampary i Trenwith do St Ann's. Schodziło się do niej krętą ścieżką ze stromego wzgórza. Po drugiej stronie znajdowała się kręta ścieżka wspinająca się na inne strome wzgórze, którą można było dotrzeć do niewielkiej nadmorskiej osady. Między kuźnią a wybrzeżem rozciągały się płaskie, kamieniste ugory i wrzosowiska szerokości dwóch kilometrów, a w dali, wśród kolcolistów i wrzosów, dymił komin Wheal Spinster, jednej z kopalni Warlegganów. Za zabudowaniami gospodarstwa teren był dość równy i właśnie tam leżały pola o powierzchni dwóch i pół hektara. Oddzielała je od majątku Warlegganów zatoka Trevaunance oraz dwór i posiadłość starego kawalera, sir Johna Trevaunance'a. Na wzgórzu od strony St Ann's stało sześć zrujnowanych chat. Za jedyną kępą drzew w okolicy wznosiła się nieostra wieża kościoła w St Ann's, ledwo widoczna nad wzgórzem.

Demelza pojechała z Rossem i Drakiem, by obejrzeć gospodarstwo. Uparła się, że musi to zrobić. Biegała po obejściu i oglądała wszystko z dużo większym zapałem niż dwaj mężczyźni. Dla Rossa zakup kuźni Pally'ego był spłatą długu wdzięczności, dobrym uczynkiem, rozsądnym wykorzystaniem pieniędzy. Drake czuł, że śni, że dzieje się coś nierzeczywistego: gdyby został właścicielem tego gospodarstwa, stałby się zamożnym człowiekiem, wykwalifikowanym rzemieślnikiem mogącym pracować na swoim, mającym

przed sobą przyszłość. Nie mógł pytać, po co to wszystko, bo byłaby to ogromna niewdzięczność. Tymczasem Demelza oglądała gospodarstwo, jakby Ross chciał je kupić wyłącznie dla niej.

Wokół dziedzińca pokrytego głębokim błotem wznosił się niski kamienny murek. Na dziedzińcu walały się kawałki żelaza, części zardzewiałych pługów i połamanych okuć wozów. Obok znajdowała się kuźnia – kamienny słup do wiązania koni, palenisko, pompa z beczką, kowadło i szeroki komin. Wszędzie leżało końskie łajno. W pobliżu warsztatu stała chata z wąską kuchnią i klepiskiem zamiast podłogi, maleńką izbą ulokowaną nieco wyżej oraz dwiema sypialniami na poddaszu.

W drodze powrotnej Demelza bez przerwy paplała. Co wyrzucić, naprawić i ulepszyć. Co zrobić z polami, stodołą i dziedzińcem, jak Drake powinien wykorzystać tanią siłę roboczą, by doprowadzić gospodarstwo do porządku. Mężczyźni głównie milczeli, a kiedy dotarli do Nampary, Drake pomógł siostrze zejść z konia, uścisnął jej rękę, pocałował ją w policzek, uśmiechnął się do Rossa i poszedł do swojej chaty.

Ross patrzył za nim.

– Prawie się nie odzywa. Można by coś zrobić z tej kuźni, ale przede wszystkim on musi się otrząsnąć z melancholii.

– Myślę, że to mu pomoże, Ross. Kiedy zostanie właścicielem tego gospodarstwa, nie będzie mógł pozwolić, by wyglądało jak chlew. Tyle dałoby się tam zrobić...

– Zawsze lubisz wszystko ulepszać. Mam nadzieję, że Drake jest wystarczająco podobny do ciebie. Przynajmniej tak zakładam.

Dwa dni potem Ross i Drake pojechali do gospody Pod Herbem Króla Jegomości w Chacewater. Stali wśród dwudziestu innych potencjalnych kupców, aż w końcu Ross przebił wszystkich i zakupił kuźnię Pally'ego za dwieście trzydzieści dwa funty. Siedem tygodni później Drake Carne opuścił

chatę w Reath, uścisnął i ucałował brata, wsiadł na kuca pożyczonego na tę okazję z kopalni, po czym odjechał, by objąć w posiadanie gospodarstwo. Podążał za nim drugi kuc objuczony żywnością, przyborami kuchennymi, meblami i zasłonami zgromadzonymi przez Demelzę. Na początku miał wszystko robić sam, ale opłacono wdowę mieszkającą w najbliższej chacie, by od czasu do czasu gotowała mu posiłki. Dwóch jej wnuków mogło pomóc mu w pracy w polu, gdyby nie dawał sobie rady. Przez cały dzień pracy było mnóstwo, lecz o tej porze roku zmrok zapadał wcześniej i trwał długo, więc Demelza zastanawiała się czasem, czy dobrze wybrali moment przeprowadzki.

– Trzydzieści lat temu przeżywałem to samo – odparł Ross. – Nie zazdroszczę mu. To przykre przeżycie dla młodego człowieka. Przede wszystkim musi się otrząsnąć.

– Szkoda, że Samuel z nim nie pojechał.

– Spodziewam się, że będzie go często odwiedzał.

W pierwszych miesiącach Samuel stale zaglądał do Drake'a, a czasami, kiedy pogoda była zła, nocował u brata. Miał jednak dużo obowiązków wobec swoich podopiecznych, a także innych wieśniaków. Uważał, że zawsze należy przestrzegać głoszonych zasad. Trzeba naśladować Chrystusa, pomagając cierpiącym nie tylko duchowo, lecz także fizycznie. Chociaż w porównaniu z poprzednim rokiem zima okazała się łagodna, pod pewnymi względami było jeszcze gorzej. Cena pszenicy wynosiła blisko czterdzieście szylingów za buszel i w dalszym ciągu rosła. W zimnych, przeciekających norach kuliły się półnagie dzieci z wzdętymi brzuchami. Wszędzie panował głód, szalały choroby.

Pewnego jasnego, słonecznego ranka na początku lutego, po nocy spędzonej w kuźni Pally'ego, Samuel miał jeszcze godzinę na dotarcie do Wheal Grace na swoją szychcę, toteż po drodze wstąpił do samotnej, zrujnowanej chaty w wiosce Grambler, gdzie, jak wiedział, prawie wszyscy chorowali na febrę.

Ojciec rodziny Verneyów najpierw pracował w kopalni Grambler, a po jej zamknięciu w Wheal Leisure na szczycie klifu. Kiedy ją zlikwidowano, żył z parafialnej jałmużny. Jim Verney nie chciał szukać pracy daleko od domu, bo oznaczałoby to opuszczenie żony; nie chciał również oddać synów do terminu, ponieważ wiedział, że czekałaby ich niewolnicza praca.

Tego ranka Samuel odkrył, że febra i tak ich rozdzieliła. Jim Verney zmarł w nocy, a Lottie Verney próbowała przygotować go do pogrzebu. W jedynej izbie znajdowało się tylko jedno łóżko; obok trupa ojca leżał i majaczył jego najmłodszy syn, również chory na febrę, a w nogach łóżka leżał najstarszy syn, osłabiony i blady, ale odzyskujący zdrowie. W pobliżu, w balii, leżał trzeci syn. Był martwy. Rodzina nie miała jedzenia, ognia ani żadnej pomocy. Chociaż w chacie panował nieznośny smród, Samuel spędził tam pół godziny, próbując pomóc młodej wdowie. Później poszedł pokrytą głębokimi koleinami drogą do ostatniej chaty we wsi, by powiedzieć Judowi Paynterowi, że musi pochować jeszcze dwa trupy w zbiorowej mogile dla nędzarzy.

Jud Paynter prychnął, gwizdnął przez przednie zęby i zauważył, że w zbiorowej mogile dla nędzarzy jest już dziewięć trupów. Może pochować tylko jednego i musi ją zasypać. Jeśli szybko tego nie zrobi, do zwłok dobiorą się mewy, mimo wapna i desek, którymi zakrył ciała. Albo psy. W ostatnich tygodniach w okolicy kręci się wstrętny kundel. Węszy, szczeka. Jud odgrażał się, że w końcu go dopadnie. Samuel wyszedł z chaty Juda i poszedł przekazać wiadomość doktorowi.

Fernmore, dwór doktora Thomasa Choake'a, znajdował się w odległości zaledwie ośmiuset metrów, lecz ruszywszy w jego kierunku, Samuel natychmiast przeniósł się z krainy rozpaczliwej nędzy do świata spokojnej zamożności. Poczuł różnicę już po przebyciu dziesięciu kroków. Kiedy oddalił się od śmierdzącej chałupy, otoczyło go mroźne, czyste powietrze. W nocy pojawiła się szadź, ale słońce szybko ją roztopiło. Wysoko na niebie

skrzeczały mewy – chociaż miotał nimi wiatr, usiłowały panować nad kierunkiem lotu. W dali huczały fale przyboju. Dzień, w którym dobrze żyć, jeśli człowiek jest młody i ma co jeść. „Chwała Jezusowi w niebiosach!” – rzekł na głos Samuel i poszedł w dalszą drogę.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że Choake nie jest zainteresowany leczeniem nędzarzy, jednak problem dotyczył ludzi mieszkających w bezpośrednim sąsiedztwie jego domu i taka straszliwa tragedia zasługiwała na szczególną uwagę. Dwór Fernmore był niewiele większy od gospodarstwa wiejskiego, ale z własnym ogrodem, podjazdem i kępą starych sosen pogiętych przez wichury wyglądał dużo dostojniej. Samuel poszedł do tylnych drzwi. Otworzyła je wysoka służąca. Jeszcze nigdy nie widział kobiety o tak śmiałym, szczerym spojrzeniu.

Nie zbiło go to z tropu – czy człowiek głoszący chwałę Bożą może odczuwać nieśmiałość? Uśmiechnął się smutno, jak miał w zwyczaju, i poprosił dziewczynę, by przekazała jego słowa doktorowi. W pobliskiej chacie zmarło dwóch ludzi z rodziny Verneyów, a najmłodszy syn bardzo potrzebuje pomocy. Bez przerwy kaszle, ma wysoką gorączkę i sine plamy na policzkach i wargach. Czy doktor mógłby go zbadać?

Dziewczyna zmierzyła Sama od stóp do głów, jakby oceniając, z kim ma do czynienia. Kazała mu zaczekać, mówiąc, że zapyta doktora. Samuel ciałniej owinał się szalikiem i dla rozgrzewki kopnął nogą kamień. Myślał o nędzy życia doczesnego i potędze wieczystej łaski. W końcu dziewczyna wróciła.

– Doktor mówi, że masz to zanieść Verneyom. Przyjdzie do nich później. Rozumiesz? A teraz idź precz.

Samuel wziął buteleczkę gęstego zielonego płynu. Dziewczyna miała bardzo białą skórę i niezwykle czarne włosy o miedzianym połysku. Wydawały się farbowane.

– Chłopiec ma to pić? – spytał. – Pić czy...

– Trzeba go nacierać, idioto! Piersi i plecy. Piersi i plecy! Jakże inaczej?! Doktor powiedział, że powinni mieć dla niego dwa szylingi, jak przyjdzie.

Podziękował służącej i się odwrócił. Spodziewał się usłyszeć trzaśnięcie drzwiami, lecz nie rozległ się żaden dźwięk. Wiedział, że dziewczyna stoi i patrzy na niego. Idąc krótką kamienną ścieżką, śliską od topniejącego śniegu, walczył z pokusą, by zawrócić. Kiedy przeszedł osiem lub dziewięć kroków w stronę bramy, pokusa stała się zbyt silna. Wiedział, że gdyby się jej oparł, popełniłby błąd, chociaż rozumiał też, że gdyby jej uległ, zaryzykowałby, że ta młoda kobieta, będąca w jego wieku, źle go zrozumie.

Zatrzymał się i odwrócił. Stała z rękami splecionymi na piersiach i patrzyła na niego. Zwilżył wargi i spytał:

– Siostrze, co z twoją duszą? Czy spłynęła na ciebie łaska Boża?

Nie poruszyła się, spoglądała na niego nieco rozszerzonymi oczyma. Była bardzo atrakcyjna, choć nie wyjątkowo piękna, kilka centymetrów niższa od Sama.

– Co masz na myśli, durniu?

– Wybacz, ale bardzo się niepokoję o zbawienie twojej duszy – odpowiedział. – Czy nigdy nie spłynęła na ciebie łaska Pana?

Przygryzła wargi.

– Niech mnie licho! Nigdy wcześniej nie widziałam takiego człowieka jak ty! Wielu próbowało, ale żaden na religię! Przychodzisz z jarmarku w Redruth, co?

– Mieszkam w chacie w Reath – odparł spokojnie. – Niedaleko Mellin. Przybyłem tu z bratem prawie dwa lata temu. On teraz...

– Ach, więc jest drugi podobny do ciebie! Zastrzel mnie, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałam! Dlaczego...

– Siostrze, trzy razy w tygodniu spotykamy się w chacie w Reath, czytamy Ewangelię i otwieramy przed sobą serca. Wszyscy z radością cię powitają.

Modlimy się razem. Jeśli nie poznałaś jeszcze szczęścia, twoja dusza się nie przebudziła, nie znasz Boga i nie masz nadziei na świecie, padniemy razem na kolana i będziemy szukać Odkupiciela.

– Poszukam psów, żeby cię nimi poszczuć! – odpowiedziała z nagłą pogardą. – Zastanawiam się, dlaczego doktor nie daje takim jak ty arszeniku. Ja na pewno...

– Może ci się to wydawać trudne, ale kiedy twoja dusza zrozumie obietnicę przebaczenia...

– Niech mnie gęś kopnie! – zawołała. – Naprawdę myślisz, że mnie zaciągniesz na spotkanie modlitewne?!

– Siostro, proponuję to tylko ze względu na twoją...

– Idź precz, durniu! Opowiadaj swoje bajeczki tym, co chcą ich słuchać!

Zatrzasnęła drzwi. Spoglądał przez chwilę na las, po czym z filozoficznym spokojem ruszył z powrotem do chaty Verneyów, by zanieść im buteleczkę płynu. Musiał im dać dwa szylingi dla doktora.

Po wyjściu z chaty przyśpieszył, bo słońce stało już dość wysoko i powinien iść do kopalni. W Wheal Grace czekał już pomocnik Sama, Peter Hoskin. Mężczyźni zeszli po wielu drabinach na poziom czterdziestu sążni. Ruszyli zgarbieni wąskimi chodnikami, mijali wielkie komory, w których rozlegało się echo ich kroków, aż dotarli do przodka, gdzie drążyli tunel na południowy zachód, w stronę starych wyrobisk Wheal Maiden.

Sam Carne i Peter Hoskin byli starymi przyjaciółmi. Przyszli na świat w sąsiednich wioskach Pool i Illuggan, w dzieciństwie uprawiali zapasy. Teraz pracowali jako robotnicy akordowi, otrzymując od właściciela kopalni stałe wynagrodzenie za każdy sążeń wydobytej skały. Nie byli sztygarami zmianowymi, którzy zawierali umowy z kierownictwem kopalni, a następnie eksploatowali wyrobiska za uzgodniony procent wartości wydobytej rudy.

Obecnie zajmowali się drążeniem chodnika oddalającego się od głównych

wyrobisk, co utrudniało pracę, ponieważ odległość od szybów wentylacyjnych stale się zwiększała. W związku z tym musieli co godzinę wychodzić z tunelu, by odetchnąć świeżym powietrzem. Tego ranka zebrali skały pokruszone poprzedniego dnia, wynieśli je z chodnika i wysypali w najbliższej podziemnej komorze pozostałej po eksploatacji rudy. Następnie przystąpili do wysadzania skał.

Umieścili w przodku ładunki wybuchowe, przykucnęli za załomem skalnym i czekali na eksplozję. W końcu rozległ się ogłuszający huk, który odbił się echem w szybach, tunelach i przesmykach. Musieli osłonić świece, by nie zgasił ich podmuch gorącego powietrza. Kiedy zapadła cisza, wrócili do chodnika. Przedzierali się przez gruz i odłamki skał, po czym zaczęli machać koszulami, by rozproszyć dym i zobaczyć, ile skał udało się skruszyć. Wdychanie dymu po wybuchach było jedną z głównych przyczyn chorób płuc, ale czekanie, aż dym się rozproszy, oznaczało stratę dwudziestu minut po każdym strzale.

W czasie porannej szycoty Samuel wiele razy przypominał sobie śmiały, wyzywający, lecz szczery wyraz twarzy służącej, która otworzyła drzwi w domu doktora. Wiedział, że wszystkie dusze są równie cenne w obliczu Boga. Rozumiał, że wszyscy ludzie powinni paść na kolana przed tronem łaski i czekać na wyzwolenie jak niewolnicy, niektórzy jednak wydawali się bardziej godni zbawienia od innych. Ta dziewczyna wydawała się godna zbawienia. Dokonywanie takich ocen może być grzechem. Powinien się modlić, by Bóg zechciał go oświecić.

A przecież wszyscy przywódcy ruchu metodystycznego – on również został mianowany przywódcą, choć bardzo niskiego szczebla – wszyscy przywódcy muszą próbować wejrzeć w dusze ludzi, których spotykają, by zrozumieć, co się w nich kryje. Jak Jezus wybierał swoich uczniów? On również oceniał. Rybak, poborca podatków... Nie może być nic złego w tym, co robił

Odkupiciel.

Dziewczyna jednak stanowczo odrzuciła jego zaproszenie na spotkanie metodystów. Powinien się za nią modlić. Potęga Bożej łaski prowadzi czasem do niezwykłych nawróceń, a grzesznicy przeżywają dramatyczną przemianę duchową. Ta dziewczyna mogłaby ujrzeć światło. „Szawle, Szawle! przecz mię prześladujesz?”².

W porze drugiego śniadania weszli do podziemnej komory, gdzie trzy lata wcześniej wydobywano rudę miedzi, nim odkryto złożę cyny na poziomie sześćdziesięciu sążni. Powietrze było tu chłodniejsze i mniej skażone. Włożyli koszule, zdjęli kaski i przez pół godziny spożywali posiłek przy kopających łojówkach. Peter Hoskin gryzł grube plastry zimnego pasztetu i żartował na temat nowego gospodarstwa Drake'a. Spytał grzecznie, czy Samuel zrobi go kierownikiem robót na powierzchni kopalni, którą kupi mu kapitan Poldark. Samuel znosił te uwagi z filozoficznym spokojem, gdyż był przyzwyczajony do żartów górników, którzy naśmiewali się z jego przekonań religijnych, tkwili w grzechu i nie zamierzali się go wyrzec. Jego zrównoważony charakter wiele razy mu pomógł. Święcie wierzył w zbawienie, toteż nie przejmował się bluźnierstwami. Uśmiechał się spokojnie i nie gniewał na ludzi, którzy sztydzili z prawd wiary.

Po chwili przerwał żarty Petera i powiedział, że rankiem odwiedził doktora Choake'a, prosić o pomoc dla Verneyów, i że drzwi otworzyła służąca, wysoka, atrakcyjna i śmiała, z jasną cerą i czarnymi włosami. Czy Peter ją zna?

Hoskin mieszkał w okręgu rok dłużej od Sama i obracał się wśród różnych ludzi, stąd dobrze wiedział, o kogo chodzi. Wypluł na spodnie kilka okruchów i odparł, że to na pewno Emma Tregirls, siostra Lobba Tregirlsa, który pracuje w młynie kruszącym rudę cyny w kotlinie Sawle. Jest córką starego łajdaka Bartholomew Tregirlsa, który niedawno znalazł sobie wygodne mieszkanie

u Sally-Na-Rozgrzewkę.

– Tholly pojechał z twoim bratem Drakiem i kapitanem Poldarkiem na wyprawę do Francji. Pamiętasz, w zeszłym roku, gdy zginął Joe Nanfan i wrócili z młodym doktorem...

– Tak, dobrze pamiętam! Oczywiście!

– Tholly też z nimi popłynął. Prawdziwy stary diabeł. Długo by nie pożył, gdyby niektórzy mogli go dopaść.

– A Emma?

Peter zwilżył palec i zaczął zbierać okruchy wyplute na spodnie.

– O, już mi lepiej. Byłem piekielnie głodny. Wczoraj wieczorem prawie nic nie jadłem... Emma? Emma Tregirls? Ładna dziewczucha. Ale muszę cię ostrzec. Ugania się za nią połowa chłopaków w wiosce.

– Nie ma męża?

– Nie ma i chyba nie będzie mieć. Zawsze ktoś dostaje kręćka na punkcie Emmy Tregirls, choć Bóg jeden wie, czy znajduje to, czego szuka. Spotyka się ze wszystkimi, ale nie miała jeszcze bachora, przynajmniej nic o tym nie słyszałem. Trochę dziwne. Trochę dziwne. Chłopaki jeszcze bardziej od tego wariują...

Sam milczał. Później zabrali się z powrotem do pracy. Zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Bóg działa w tajemniczy sposób. Nie ośmielał się kwestionować woli Ducha Świętego. I nie zamierzał wpływać na jego decyzje. W odpowiednim czasie wszystko zostanie mu objawione. Czyż nie istniała także Maria Magdalena?

Rozdział czwarty

1

Było słoneczne lutowe popołudnie, lecz chociaż utrzymywała się piękna pogoda, w powietrzu przez cały dzień wyczuwało się chłodny oddech mrozu. Dylizans pocztowy, pokonawszy ostatni etap podróży z Bodmin do Truro, zatrzymał się około półtora kilometra od miasta, w pobliżu drogi prowadzącej nad rzekę, i wysiadły z niego dwie dziewczyny. Czekająca na nie wysoka, zgrabna, nieśmiała młoda kobieta, która w ostatnich miesiącach stała się znana mieszkańcom miasta jako nowa żona proboszcza kościoła pod wezwaniem Świętej Małgorzaty.

Młoda kobieta, której towarzyszył służący, radośnie uściskała dziewczęta, a jej oczy się zaszkliły. Po chwili kobiety ruszyły stromą drogą. Podążał za nimi służący z kuferkiem i walizką dziewcząt. Wszystkie trzy bez przerwy mówiły, a służący, przyzwyczajony do wyjątkowo chłodnego i pełnego rezerwy zachowania swojej pani, ze zdumieniem zauważył, że bierze ona udział w rozmowie i nawet się śmieje. Był to zaskakujący dźwięk.

Chociaż dziewczęta były siostrami, nie wydawały się do siebie podobne. Wszystkie nosiły niezwykle imiona nadane przez ojca, nieuleczalnego romantyka. Najstarsza i zamężna Morwenna miała ciemne włosy, śniadą cerę i piękne, łagodne, krótkowzroczne oczy. Nie odznaczała się wybitną urodą, lecz zwracała uwagę jej ładna figura, teraz lekko zniekształcona z powodu ciąży. Druga siostra, Garlanda, która towarzyszyła najmłodszej i zamierzała

wrócić do Bodmin następnym dyliżansem, była krzepka jak wieśniaczka i miała szczere błękitne oczy oraz gęste brązowe włosy. Poruszała się żywo i mówiła dziwnym głębokim głosem przypominającym głos chłopca tuż po mutacji.

Najmłodsza z sióstr, Rowella, mimo że nie skończyła jeszcze piętnastu lat, była prawie tak wysoka jak Morwenna – chuda, z mysimi włosami, długim, cienkim nosem i oczami osadzonymi blisko siebie. Urody dodawały jej ładna cera i jasne brwi, lecz dolna warga zbyt często drżała. Miała bystre spojrzenie i była najinteligentniejszym członkiem rodziny.

U stóp wzgórza znajdowało się skupisko krytych strzechą chat, brama z drewnianym daszkiem i stary granitowy kościół wzniesiony w tysiąc trzysta dwudziestym szóstym roku, a za nim plebania, przyjemny kwadratowy dom z widokiem na rzekę. Dziewczęta weszły do domu, strzepnęły z sukni błoto i topniejący śnieg, po czym udały się do salonu na podwieczorek. Dołączył tam do nich wielebny Osborne Whitworth. Ossie był wysokim mężczyzną o tubalnym głosie, lecz mimo modnego, ekstrawaganckiego stroju zachowywał się niezgrabnie w obecności kobiet. Chociaż miał już drugą żonę, jako człowiek pozbawiony wyobraźni nie rozumiał płci pięknej. Traktował kobiety jak przedmioty, istoty ubrane inaczej niż mężczyźni, lubiące słuchać fałszywych komplementów, zdolne do macierzyństwa, użyteczne narzędzia do przedłużania rodzaju ludzkiego, często, choć na krótki czas, nagie przedmioty pożądania. Gdyby znał stwierdzenie Kalwina, że kobiety stworzono, by rodziły dzieci i umierały w położu, prawdopodobnie by się z nim zgodził.

Właśnie w położu zmarła pierwsza żona Ossiego, pozostawiając go z dwiema małymi córkami. Whitworth podjął szybkie kroki, by zastąpić ją nową kobietą. Wybrał taką, która podobała mu się fizycznie i której posag, ufundowany przez hojnego kuzyna, George'a Warleggana, pozwolił mu spłacić stare długi i poprawić standard życia. Jak dotąd wszystko się układało.

Jednak mimo swojej tępoty nawet Whitworth musiał zauważyć, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy jego żona nie jest zadowolona z małżeństwa ani ze swojego nowego statusu. W pewnym sensie był przygotowany na to, że po zawarciu małżeństwa kobieta staje się z czasem nieco oziębła, ponieważ jego pierwsza żona, choć na początku wydawała się zadowolona ze związku fizycznego, stopniowo okazywała coraz mniejszą ochotę, by przyjmować jego karesy. Nigdy nie ośmieliła się odmówić, ale w jej zachowaniu pojawiło się coś na kształt rezygnacji, która nie sprawiała Ossiemu przyjemności.

W przypadku Morwenny zawsze było tak samo. Wiedział, że żona go nie kocha – jasno zadeklarowała to przed ślubem. Zlekceważył to jako kobiecy kaprys, coś, co łatwo można zmienić w małżeńskim łóżu. Był pewny, że jest atrakcyjnym mężczyzną i że panieńskie wahania żony wkrótce znikną. Ale chociaż obdarzał ją atencją pięć razy w tygodniu – z wyjątkiem sobót i niedziel – jej uległość przypominała niekiedy cierpienia męczennicy. Rzadko spoglądał w łóżku na twarz Morwenny, lecz gdy czasem na nią zerkał, widział zaciśnięte wargi i zmarszczone brwi; później często drżała na całym ciele. Chciałby wierzyć, że z przyjemności – choć kobiety nie powinny odczuwać przyjemności tego rodzaju – jednak wyraz oczu Morwenny świadczył dobitnie, że tak nie jest.

Jej zachowanie irytowało go i sprawiło, że stał się drażliwy. Niekiedy skłaniało go do drobnych aktów okrucieństwa, fizycznego okrucieństwa, których później się wstydził. Morwenna dość dobrze wypełniała obowiązki domowe. Zajmowała się sprawami parafii i często nie zastawał jej w domu, choć spodziewał się, że tam będzie. Lubiała córki Ossiego, które po krótkim okresie próbnym również ją polubiły. Chodziła na nabożeństwa, wysoka i smukła – cóż, w tej chwili już nie taka smukła. Siedziała z nim przy stole i jadła jego jedzenie. Bez ostentacji nosiła suknie, które kazał jej uszyć. Rozmawiała z nim o sprawach kościoła, a czasem nawet o tym, co dzieje się

w mieście. Stała u jego boku, gdy chodzili na przyjęcia, na przykład na weselu panny Penvenen. Nie trajkotała w trakcie posiłków jak Esther, nie skarżyła się, kiedy źle się czuła. Nie trwonila pieniędzy na błahostki i miała w sobie godność, jakiej zupełnie brakowało jego pierwszej żonie. Mógłby być całkowicie zadowolony z Morweny, gdyby nie główny cel małżeństwa, którego z konieczności nie dało się ignorować.

Właśnie – cel małżeństwa. W zeszłym tygodniu, odprawiając w kościele ceremonię ślubną, Ossie zapomniał na chwilę o swoim obowiązku i zaczął się zastanawiać nad własnym małżeństwem. Według *Modlitewnika powszechnego* związek małżeński ma trzy cele. Pierwszy, czyli spłodzenie potomstwa, został już osiągnięty. Trzeci, wzajemne wsparcie, towarzystwo i tak dalej, można by przyjąć, że jest dostatecznie realizowany. Problemem był drugi cel. „Po drugie stan ów został ustanowiony, aby wrodzone uczucia i skłonności zaszczerpione przez Boga człowiekowi mogły być poświęcone i skierowane na właściwą drogę, a ci, których Bóg do tego świętego stanu powołał, aby mogli w nim przebywać w czystości żywota”³. Otóż to, Morwenna powinna skierować na właściwą drogę wrodzone skłonności Ossiego zaszczerpione mu przez Boga, chroniąc go przed pokusą cudzołóstwa i pozwalając żyć w czystości. Nie miała prawa drzeć z obrzydzenia, gdy jej dotykał. „Żony niechaj będą poddane mężom jako Panu” – powiedział święty Paweł w Liście do Efezów⁴ i powtórzył to w Liście do Kolossan⁵. Nie powinna patrzeć na ciało swojego męża ze zgrozą i wstrętem.

Czasem sprawiała, że grzeszył. Niekiedy zadawał jej niepotrzebny ból. Raz wykręcił jej stopy, aż krzyknęła – nie powinno się to powtórzyć. Dręczył się tym po nocach. Obwiniął Morwenę.

Ale teraz, w obecności trzech młodych kobiet, osiągnął szczyty elegancji, na jaką potrafił się zdobyć. Bardzo dbał o swoją godność – przed przyjazdem sióstr powiedział żonie, że w domu powinny go nazywać panem Whitworthem,

a w obecności obcych tytułować pastorem. Czuł się bezpieczny, więc zachowywał się swobodnie i dobrodusznie, a zarazem niezgrabnie. Stał przed kominkiem z rękami splecionymi do tyłu i połami fraka zarzuconymi na przedramiona, opowiadał o sprawach parafii, a dziewczęta piły herbatę, odpowiadały monosylabami i grzecznie śmiały się z jego żartów. Później, jeszcze bardziej rozluźniony, opisał ze szczegółami jedno z rozdań wista rozegranego poprzedniego wieczoru. Morwenna odetchnęła, bo takie opowieści świadczyły, że Whitworth jest w dobrym humorze. Grał w wista trzy razy w tygodniu, była to jego pasja, i zwykle opowiadał o grze przy śniadaniu następnego dnia.

Zanim opuścił dziewczęta, najwyraźniej uznał, że należy skorygować wrażenie, jakoby interesował się tylko błahostkami, toteż streścił swoje poglądy na temat wojny, braków artykułów żywnościowych w Anglii, niebezpiecznego wzrostu niezadowolenia wśród klas niższych, deprecjacji pieniądza i otwarcia nowego cmentarza w Truro. Spełniwszy obowiązek, pociągnął za sznur dzwonka, by służący sprzątnął ze stołu – Garlanda jeszcze nie dopiła herbaty – po czym wyszedł i udał się do swojego gabinetu.

Kiedy opuścił salon, dziewczęta mogły wreszcie normalnie rozmawiać na temat ostatnich wydarzeń w Bodmin i o wspólnych przyjaciółach. Dobroduszna, szczerza, praktyczna Garlanda chciała zapytać Morwennę o różne sprawy – przygotowania do narodzin dziecka, czy Morwenna jest szczęśliwa w małżeństwie, czym różni się życie żony proboszcza od życia córki dziekana, czy poznała wielu ludzi i jakie nowe suknie sobie uszyła. Wiedziała coś o kłopotach sercowych Morwenny i kiedy spotkały się tego popołudnia, szybko się zorientowała, że wcale nie należą do przeszłości. Miała nadzieję i modliła się, że po kilku miesiącach małżeństwa, mając w perspektywie narodziny dziecka, siostra zapomni o „innym mężczyźnie”. Garlanda jeszcze nie wiedziała, czy troski Morwenny wynikają z nieszczęśliwej miłości, czy

z niezadowolenia z małżeństwa, ale teraz, gdy poznała Ossiego, domyślała się, co trapi siostrę. Żałowała, że nie zostanie w Truro, bo mogłaby pomóc Morwennie bardziej niż Rowella. Morwenna była łagodną, dobrą dziewczyną, którą łatwo zranić, lecz której usposobienie predestynowało do szczęścia. W ciągu kilku najbliższych lat powinna nauczyć się radzić sobie z Ossiem, przeciwstawiać się mu, gdyż inaczej mąż całkowicie ją zdominuje, a ona zmieni się w szarą myszkę żyjącą w ciągłym lęku jak jego dwie córki. Powinna nauczyć się być silna.

Jeśli chodzi o Rowellę, Garlanda nie wiedziała, co myśli siostra, która miała zostać z Morwenną, i prawdopodobnie nigdy się tego nie dowie. Milkliwość Morweny spowodowana była jedynie nieśmiałością, którą można było przełamać, toteż szybko dawało się odgadnąć jej myśli, uczucia i lęki. Natomiast Rowella, o cienkim nosie, oczach osadzonych blisko siebie i drżącej dolnej wardze, pozostawała całkowicie nieprzenikniona od najwcześniejszego dzieciństwa. Rowella, mimo młodego wieku osiem centymetrów wyższa od Garlandy, prawie nie uczestniczyła w rozmowie. Od chwili wejścia do domu uważnie wszystko obserwowała i teraz rozglądała się po pokoju, oceniając go, formułując własne wnioski, podobnie jak wcześniej z pewnością wyrobiła sobie własne zdanie na temat szwagra.

Morwenna gawędziła z Garlandą, a Rowella wstała i podeszła do okna. Mimo że zapadł już zmierzch, nad rzeką w dalszym ciągu lśniła słaba luna widoczna między nagimi drzewami.

Służący wniósł świece, których blask przyćmił resztki światła dziennego.

Morwenna zauważyła, że Rowella jest bardzo milcząca. Wstała, podeszła do okna i objęła młodszą siostrę.

– Myślisz, że ci się tu spodoba, kochanie?

– Dziękuję, siostró. Będę blisko ciebie.

– Ale daleko od mamy i domu. Będziemy się potrzebować.

Tym razem Garlanda w milczeniu obserwowała swoje wysokie siostry.

– Pastor ma bardzo ładnie ułożone włosy – zauważyła Rowella. – Kto jest jego fryzjerem?

– Och... Alfred, nasz służący.

– Wcale nie przypomina papy, prawda?

– Nie... nie przypomina.

– Nie jest też podobny do nowego dziekana.

– Nowy dziekan pochodzi z Saltash – wtrąciła Garlanda. – Wygląda jak ptaszek.

Zapadła cisza.

– Chyba nie jesteśmy tak bliscy rewolucji, jak sugeruje pastor – rzekła Rowella. – Ale w zeszłym tygodniu doszło do groźnych zamieszek we Flushing... Jak daleko jesteśmy od Truro?

– Około półtora kilometra. Trochę więcej, jeśli jedzie się gościńcem.

– Są tam jakieś sklepy?

– O tak, na Kenwyn Street.

Chwila milczenia.

– Wasz ogród ładnie wygląda. Dochodzi do samej rzeki?

– O tak. – Morwenna zdobyła się na wysiłek. – Sarah, Anne i ja świetnie się bawimy. W połowie przypływu na rzece tworzy się niewielka wysepka, a my stajemy na niej i udajemy, że jesteśmy rozbitkami czekającymi na łódź. Jeśli nie uciekniemy w odpowiednim momencie, nasze stopy toną w błocie i jesteśmy mokre... Karmimy łabędzie. Są cztery, całkiem oswojone. Jeden ma złamane skrzydło. Nazywamy go Leda. Podkradamy odpadki z kuchni. Anne się boi, ale Sarah i ja karmimy je z ręki...

Zapadła całkowita ciemność i widziały tylko swoje odbicia w szybie.

– Przywiozłam dla ciebie poduszeczkę na igły – powiedziała Rowella. – Jest z białej satyny i ma dwa różne pikowane wzory u góry i u dołu. Myślę, że

ci się spodoba.

– Na pewno. Pokażesz mi ją, gdy się rozpakujesz.

Rowella się przeciągnęła.

– Właśnie mam ochotę to zrobić, Wenno. Uwierają mnie buty i marzę, żeby je zdjąć. Należały do Carenzy, która z nich wyrosła, więc są teraz moje. Choć wydaje mi się, że dla mnie też są już za małe.

2

Ross Poldark znał Bassetów prawie całe życie, była to jednak typowa powierzchowna znajomość między kornwalijskimi ziemianami, nie zaś przyjaźń. Sir Francis Basset był zbyt wielkim panem, by nawiązywać przyjaźnie z właścicielami niewielkich majątków. Posiadał majątek Tehidy niespełna dwadzieścia kilometrów na zachód od Nampary i miał ogromne udziały w kopalniach, które zapewniały mu największe dochody w hrabstwie. Pisał i wydawał artykuły o polityce, agronomii i bezpieczeństwie robót górniczych. Był patronem sztuk i nauk i spędzał połowę każdego roku w Londynie.

Dlatego Poldarkowie czuli się zaskoczeni, gdy w marcu otrzymali od Basseta list z zaproszeniem na obiad w Tehidy, choć nie było to aż taką niespodzianką jak rok wcześniej. Ross z irytacją zauważył, że po przygodzie w Quimper jest traktowany w hrabstwie jak bohater. Jego nazwisko znali ludzie, którzy nigdy wcześniej o nim nie słyszeli, i nie było to pierwsze niespodziewane zaproszenie. Czasem je odrzucał – musiał w tym celu prowadzić negocjacje z Demelzą, która z zasady nie chciała odrzucać żadnych zaproszeń. W zimie Clowance ząbkowała i była w złym humorze, co pozwalało Rossowi łatwiej przekonać żonę do pozostania w domu. Demelza w dalszym ciągu dobrze pamiętała śmierć Julii i narodziny drugiej córki

wzmagały jej niepokój. Ale teraz Clowance czuła się lepiej, więc Ross nie miał żadnej wymówki.

– Och, dość go lubię – powiedział, zapędzony w kozi róg. – To zupełnie inny człowiek niż nasi bliscy sąsiedzi. Jest obdarzony wrażliwością, choć prowadzi interesy w sposób nieco bezwzględny. Po prostu nie lubię zaproszeń, które biorą się stąd, że stałem się nagle powszechnie znany jako awanturnik.

– Awanturnik to niezbyt dobre słowo – zaprotestowała Demelza. – Sądzę, że jesteś po prostu sławny.

– Można to i tak określić, choć moja sława jest zupełnie niezасłużona.

– Inni mogą to ocenić lepiej od ciebie, Ross. Masz opinię dzielnego, odważnego człowieka. To żaden wstyd.

– Nieroztropnie odważnego. Straciłem tyle samo ludzi, ilu uratowałem.

– Tylko jeśli zakładasz, że ktoś zginął, próbując uciekać nie na własną rękę.

– Podtrzymuję swoje zdanie – odpowiedział nerwowo Ross. – Nie lubię, gdy ktoś ma o mnie zbyt dobrą opinię z niewłaściwych powodów. Ale poddaję się, kapituluję. Pojedziemy stawić czoło sir Francisowi w jego jaskini. Jego żona ma na imię Frances, podobnie jak córka. Jeśli wypijesz za dużo porto, wszystko ci się popłacze.

– Od razu wiedziałam, że powiesz coś złośliwego – odparła Demelza. – Stroszysz uszy tak samo jak Garrick, gdy zobaczy królika.

– Może to podobna reakcja – zauważył Ross.

Demelza wolałaby, żeby przyjęcie odbywało się wieczorem, ponieważ wtedy mogłaby wypić kieliszek porto natychmiast po przyjeździe. Rossowi nie przeszkadzało, że urodziła się półtora kilometra od Tehidy Park i że jej ojciec przez całe życie pracował w kopalni, której prawa wydobywcze należały do sir Francisa Basseta. Basset był większościowym udziałowcem kopalni, gdzie pracowało czterech braci Demelzy. W Illuggan i Camborne nazwisko sir Francisa Basseta znaczyło tyle samo co imię króla Jerzego i Demelza była

onieśmielona na weselu Dwighta i Caroline, gdy mu ją przedstawiono. Czy sir Francis wie, że pani Poldark to córka górnika wychowana w nędznej chacie wraz z sześcioma braćmi, córka pijaka, który lał ją pasem za najdrobniejsze przewinienie? A jeśli tego nie wie, czy nie świadczy o tym jej akcent, choć już i tak znacznie się poprawił? Wycwiczone ucho z łatwością wychwyci różnice w wymowie mieszkańców różnych okolic.

Jednak Demelza nie wspominała o tym Rossowi, gdyż mogłoby mu to dać kolejny powód do odrzucenia zaproszenia. Uważała, że mąż powinien pojechać do Tehidy, a z pewnością nie mógł udać się tam sam.

Zaproszono ich na czwartek na pierwszą po południu, więc wyjechali tuż po jedenastej, w lekkim deszczu.

Tehidy Park był największym i najbogatszym dworem na północnym wybrzeżu Kornwalii między Crackington a Penzance. Chociaż posiadłość otaczały wrzosowiska i wszechobecne hałdy po robotach górniczych, okolice dworu porastały ładne zagajniki, a w pobliżu znajdował się staw krajobrazowy i park, w którym hodowano jelenie. Przeszło trzysta hektarów ziemi sprawiało, że dwór był odseparowany od kopalni, które rocznie przynosiły właścicielowi dochody przekraczające dwanaście tysięcy funtów. Sam dwór był ogromnym, kwadratowym budynkiem w stylu palladiańskim. Przy każdym narożniku znajdował się tak zwany pawilon, czyli mniejszy budynek – w jednym mieściła się kaplica, w drugim ogromna oranżeria, a pozostałe dwa stanowiły pomieszczenia mieszkalne dla służby.

Weszli do środka i zostali powitani przez gospodarzy. Nawet jeśli słyszeli oni o pochodzeniu Demelzy, zupełnie tego nie okazali. Demelza z wielką ulgą zauważyła wśród gości Dwighta i Caroline Enysów.

Był również pan Rogers, pulchny mężczyzna w średnim wieku pochodzący z południowej części wybrzeża, szwagier sir Francisa, a ponadto jego czternastoletnia córka i naturalnie lady Basset, atrakcyjna, elegancka, drobna

kobieta, pasująca wzrostem do niskiego męża. Resztę towarzystwa stanowili rumiany generał William Macarmick oraz młody człowiek o nazwisku Armitage, w mundurze marynarki wojennej, z epoletem porucznika na lewym ramieniu.

Przed obiadem obeszli dwór, który urządzono z takim przepychem, że pozostałe duże dwory w okolicach rzeki Fal wydawały się skromne. Na ścianach i nad marmurowymi kominkami wisały ładne obrazy olejne. Wymieniano nazwiska sławnych malarzy: Rubensa, Lanfranca, van Dycka, Rembrandta... Kiedy Demelzie przedstawiono porucznika Armitage'a, jego nazwisko początkowo nic jej nie powiedziało, lecz później zobaczyła, jak wita się z Rossem, i przypomniała sobie, że to krewny Boscawenów uwolniony przez Rossa z więzienia w Quimper. Był uderzająco przystojnym młodym mężczyzną, a jego blada cera, być może skutek długiego pobytu w więzieniu, podkreślała duże, ciemne oczy z rzęsami, których mogłaby mu pozazdrościć każda kobieta. Ale w jego twarzy o ostrych rysach i w spokojnym, melancholijnym zachowaniu nie było nic dziewczęcego. Demelza zauważyła błysk w oczach oficera, gdy na nią spojrzał.

Obiad rozpoczął się dopiero o trzeciej. Demelza siedziała naprzeciwko porucznika Armitage'a, między Dwightem a generałem Macarmickiem. Ten ostatni, choć już posunięty w latach, był wesoły i wylewny: miał zdecydowane poglądy na różne tematy i nie wahał się ich wyrażać. Niegdyś był posłem do Izby Gmin z Truro, sformował regiment mający służyć w Indiach Zachodnich i dorobił się majątku na handlu winem. Zachowywał się uprzejmie i czarująco, ale między daniami, gdy miał wolne ręce, kilkakrotnie dotknął nogi Demelzy ponad kolanem.

Czasem się zastanawiała, cóż takiego ma w sobie, że mężczyźni do tego stopnia się nią interesują. Na początku małżeństwa, kiedy jeździła na przyjęcia i bale, zawsze dwóch lub trzech prosiło ją o następny taniec – często licząc na

znacznie więcej. Sir Hugh Bodrugan w dalszym ciągu przyjeżdżał do Nampary kilka razy w roku, prawdopodobnie w nadziei, że prędzej czy później jego upór zostanie wynagrodzony. Dwa lata temu podczas obiadu w Trellissick pewien Francuz przez cały czas robił niestosowne aluzje. Wydawało się to dziwne.

Gdyby Demelza uważała, że jest niezwykle piękna lub olśniewająca – na przykład tak piękna jak Elizabeth Warleggan albo tak olśniewająca jak Caroline Enys – byłoby to bardziej zrozumiałe. Zachowywała się po prostu miło, a mężczyźni opacznie to rozumieli. Może wyczuwali w niej coś wyjątkowo kobiecego, co ich ekscytowało? A może jej brak wychowania sprawia, że uważają ją za łatwy łup? Niewykluczone również, że wszyscy tak się zachowują. Musi spytać Rossa, jak często ściska kobiety pod stołem w czasie obiadów.

Dużo rozmawiano o wojnie. Pan Rogers miał niedawno kontakty z francuskimi emigrantami i uważał, że nowo powołany dyktatoriat jest na pograniczu rozpadu, a wraz z nim cała republika.

– To już nie tylko rozkład moralny i religijny – powiedział. – Pojawił się również rozkład woli, niechęć do podejmowania obowiązków czy zobowiązań, jakichkolwiek działań w imię garstki bezbożnych fanatyków, którzy utrzymują się u władzy. Jestem pewien, że poprzez pan moją opinię, sir – zwrócił się do Rossa.

Ross skinął głową bardziej z uprzejmości niż z przekonania.

– Miałem niewielką styczność z francuskimi republikanami, z wyjątkiem kilku, z którymi toczyłem coś w rodzaju walki. Niestety moje kontakty z francuskimi przeciwnikami rewolucji sugerują, że ten opis pasuje również do nich.

– Mimo to obecny reżim francuski musi wkrótce upaść. – Rogers nie dał się zbić z tropu. – Co pan o tym sądzi, Armitage?

Młody porucznik oderwał wzrok od Demelzy i powiedział:

– Chociaż spędziłem we Francji dziewięć miesięcy, widziałem kraj zaledwie w ciągu pierwszych dziewięciu dni, gdy przenoszono mnie z więzienia do więzienia. A ty, Enys?

– W Quimper czuliśmy się jak w czyścicu – odparł Dwight. – To prawda, czasem słyszało się rozmowy strażników. W ciągu roku cena wielu artykułów wzrosła dwudziestokrotnie.

– W tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym roku w Paryżu można było kupić kapelusz – i to dobry kapelusz – za czternaście liwrów. Teraz podobno kosztuje blisko sześćset liwrów. Rolnicy nie chcą sprzedawać swoich towarów na targach, ponieważ papierowe pieniądze, które otrzymują, tracą wartość już po tygodniu. Kraj nie może prowadzić wojny bez zdrowych źródeł finansowania.

– Pitt również tak uważa – zauważył sir Francis Basset.

Zapadła cisza.

– Czy ten młody generał, który stłumił kontrrewolucję w Paryżu, został niedawno dowódcą armii francuskiej we Włoszech? – spytał Ross. – W tym miesiącu, jakoś w tym miesiącu. Zawsze zapominam jego nazwiska.

– Bonaparte – powiedział Hugh Armitage. – To on zdobył Tulon pod koniec dziewięćdziesiątego trzeciego roku.

– Jest cała grupa młodych generałów – ciągnął Ross. – Najbardziej utalentowany to Hoche. Dopóki żyją, dowodzą wojskiem i nie zostali pokonani w bitwie, trudno uwierzyć, że rewolucja całkowicie wyczerpała swoje siły. Istnieje ryzyko, że zdołają ją podtrzymać, ignorując konwencjonalne zasady finansowania wojny. Od lat armia otrzymuje tylko łupy zdobyte na podbitych terytoriach.

– Bonaparte zdławił bunt przeciwników rewolucji, strzelając do nich z armat: oczyścił ulice Paryża za pomocą kartaczy, zabijając i okaleczając

setki swoich rodaków! Niewątpliwie należy się liczyć z takimi ludźmi. A pięcioosobowy dyrektoriat, który obalił poprzednich krwawych tyranów, to grupa zwykłych przestępców. Nie mogą pozwolić, by machina wojenna się zatrzymała. Muszą zwyciężyć albo zginąć, podobnie jak młodzi generałowie.

– Przyjmuję pańskie słowa z wielką ulgą – odezwał się porucznik Armitage. – Mój wuj spekulował, że jedząc obiad z tak znanym, wybitnym wigiem, możemy usłyszeć uwagi o pokoju i pozytywne opinie o rewolucji francuskiej.

– Pana wuj się pomylił – odparł chłodno sir Francis. – Prawdziwy wig jest takim samym patriotą jak każdy Anglik. Nikt nie czuje większej odrazy do rewolucjonistów niż ja, ponieważ złamali wszystkie prawa ludzkie i boskie.

– Przez całe życie byłem torysem i nie mógłbym wyrazić tego lepiej! – zauważył generał Macarmick.

Demelza odsunęła nogę.

– Salwa kartaczy – ciągnął Macarmick, znów dotykając jej kolana – salwa kartaczy przydałaby się od czasu do czasu również w Anglii. Strzelać do karety króla, gdy jedzie otworzyć parlament?! Skandaliczne!

– Zdaje się, że po prostu rzucono kamieniami – rzekł Dwight. – Potem ktoś strzelił z wiatrówki...

– Przewrócili karetę, gdy wracała pusta, i o mało jej nie zniszczyli! Ci nikczemnicy i szubrawcy powinni dostać nauczkę!

Demelza spojrzała na stojącego przed nią gotowanego dorsza w sosie krewetkowym, a później zerknęła na lady Basset, by sprawdzić, który widelec należy wziąć. Czasy były ciężkie, celowo ograniczano spożycie żywności i skromność uchodziła za wyraz patriotyzmu, mimo to obiad był wystawny. Zupa, ryby, dziczyzna, wołowina, baranina, ciasto ze śliwkami, syllabuby, pudding cytrynowy. Do tego burgund, madera, sherry i porto.

Przez pewien czas plotkowano o sprawach okręgu: o nagłej śmierci sir

Piersa Arthura, jednego z posłów do Izby Gmin z Truro, co pociągało za sobą konieczność wyborów uzupełniających, i o tym, czy wicehrabia Falmouth wyznaczy nowego posła spośród mieszkańców okręgu jako nowego partnera kapitana Gowera. Kiedy wszyscy spojrzeli na porucznika Armitage'a, ten uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Proszę mnie nie pytać. Nie jestem kandydatem ani nie mam pojęcia, kto może nim zostać. Wuj nie wtajemnicza mnie w swoje plany. A pan, generale?

– Nie, nie – odparł Macarmick. – Jestem już za stary. Pana wuj będzie szukał kogoś młodszego.

Później rozmawiano o gorących dyskusjach toczących się w hrabstwie na temat potrzeby stworzenia dużego szpitala leczącego choroby górników; o propozycji doktora Dwighta Enysa, sir Francisa Basseta i innych właścicieli ziemskich, by zbudować taki szpital w pobliżu Truro.

Wspomniano również, że najstarszy syn Ruth i Johna Treneglosów, Jonathan, zachorował na ospę i że doktor Choake wyrażał się z uznaniem o jego siłach żywotnych; trzy siostry Jonathana, które również zapadły na tę chorobę, szybko odzyskiwały siły.

Demelza poczuła ulgę, gdy obiad dobiegł końca. Nie przejmowała się zbyt karesami generała Macarmicka, lecz jego ręka stawała się coraz cieplejsza i dziewczyna bała się o swoją suknię. I rzeczywiście, kiedy obejrzała ją w pokoju na piętrze, były na niej tłuste plamy.

W czasie obiadu całkowicie się rozchmurzyło, wiatr ustał i na niebie świeciło ciepłe żółte słońce, więc Bassetowie zaproponowali spacer po ogrodach, a później przez zagajnik na taras, z którego widać było północne klify i morze.

Damy wzięły peleryny i lekkie szale, po czym towarzystwo ruszyło dwójkami na spacer. Na początku szli lady Basset i generał Macarmick, a za nimi sznur gości, który stopniowo się wydłużał, gdy część osób zatrzymywała

się, by podziwiać rośliny lub widoki, albo zbaczała ze ścieżki.

Demelza od początku szła obok porucznika Armitage'a. Z jej strony nie było to celowe, lecz zdawała sobie sprawę, że w przypadku oficera jest inaczej. Milczał przez kilka pierwszych minut, a potem powiedział:

– Mam wobec pani męża wielki dług wdzięczności.

– Tak? Jestem szczęśliwa, że wszystko dobrze się skończyło.

– Był to szlachetny postępek z jego strony.

– Ross tak nie uważa.

– Moim zdaniem zbyt nisko ocenia własny wyczyn.

– Musi mu pan to powiedzieć, poruczniku.

– Och, już to zrobiłem.

– Przeszli kilka kroków. Goście idący z przodu rozmawiali o narodzinach dziecka księcia Walii i jego żony, księżnej Karoliny Brunszwickiej.

– Piękny widok – odezwał się Armitage. – Prawie tak piękny jak z domu mego wuja. Była pani kiedyś w Tregothnan, pani Poldark?

– Nie.

– Ach, musi pani zobaczyć dwór. Mam nadzieję, że wkrótce go państwo odwiedzą. Mieszkam tam. Oczywiście ten pałac jest wspanialszy. Wuj czasem wspomina, że zamierza przebudować swój dom.

– Moim zdaniem taki wielki dwór nie pasuje do małej rodziny – rzekła Demelza.

– To normalne w przypadku ważnych osobistości. Proszę spojrzeć na łabędzia lecącego nad stawem. Przed chwilą wzbił się w powietrze: jak pięknie słońce ozłaca mu skrzydła!

– Lubi pan ptaki?

– Teraz lubię cały świat, pani. Kiedy człowiek spędził tyle czasu w więzieniu, wszystko wygląda prześlicznie. Patrzy się na świat ze zdumieniem, oczami dziecka. Nie utraciłem tej zdolności nawet po kilku

miesiącach.

– Dobrze mieć niewielką rekompensatę za takie nieprzyjemne przeżycia.

– To coś wspaniałego, proszę mi wierzyć.

– Może wszystkim by pan to zalecił, poruczniku?

– Co?

– Kilkumiesięczny pobyt w więzieniu, by poprawić smak zwykłych doznań.

– Cóż... życie składa się z kontrastów, prawda? Dzień jest zawsze miłszy po długiej nocy. Myślę jednak, że pani żartuje.

– Bynajmniej. Wcale nie.

Panna Mary Basset, idąca z przodu, powiedziała:

– Szkoda, że to dziewczynka. Jeśli księżna będzie rodzić w takim tempie, można się zastanawiać, czy przeżyje ojca.

– Księżę Walii porzucił Karolinę – odparła pani Rogers. – Stało się to tuż przed naszym wyjazdem z Londynu. Prawie natychmiast po narodzeniu dziecka zostawił ją i żyje otwarcie z lady Jersey.

– Lady J. zupełnie nie ukrywa tego związku – rzekła panna Cathleen Basset.

– Gdyby wszystko odbywało się w przyzwoity, dyskretny sposób, miałoby to o wiele mniejsze znaczenie.

– Podobno Karolina Brunszwicka śmierdzi – zauważyła Caroline Enys. Zapadło krótkie milczenie. – To prawda! – powtórzyła Caroline i wybuchnęła śmiechem. – Jest gruba i wulgarna, a poza tym straszliwie śmierdzi. Gdyby jakikolwiek mężczyzna miał się ożenić z taką kreaturą, z pewnością wolałby spędzić noc poślubną z butelką whisky, leżąc przed kominkiem! Kobieta może mieć przykre humory, ale powinna szanować nos mężczyzny.

– Bo inaczej nos mógłby się skrzywić, co? – spytał generał Macarmick i również wybuchnął śmiechem. – Na Boga, ma pani rację! Trzeba szanować nos mężczyzny, trzeba szanować nos mężczyzny, bo inaczej mógłby się skrzywić! Ha, ha, ha, ha, ha!

Śmiech generała odbijał się echem od młodych sosen i był tak zaraźliwy, że wszyscy zaczęli się śmiać.

– Pójdziemy najpierw do stawu? – spytał Hugh Armitage. – Lady Basset wspominała, że jest tam ładne dzikie ptactwo.

Demelza się zawahała, po czym ruszyła za porucznikiem. Jak dotychczas ich rozmowa była miła, oficjalna i lekka. Przyjemny poobiedni spacer w wiejskim ogrodzie w towarzystwie miłego, grzecznego młodego człowieka. W porównaniu z groźnymi drapieżnikami, przed którymi w przeszłości się broniła, na przykład Hugh Bodruganem, Hectorem McNeilem czy Johnem Treneglosem, tym razem nie istniało absolutnie żadne ryzyko ani niebezpieczeństwo. Problem polegał jednak na tym, że mimo to czuła się niespokojna. Ostry profil młodego oficera, jego głębokie, wrażliwe ciemne oczy i łagodny głos dziwnie ją poruszyły. Niebezpieczeństwo mogło nie polegać na sile ataku, lecz na nagłej słabości obrony.

Zeszli w stronę stawu i zaczęli rozmawiać o dzikim ptactwie, które tam zobaczyli.

Rozdział piąty

1

– Od pewnego czasu uważam, że powinniśmy lepiej się poznać, Poldark – powiedział sir Francis Basset. – Oczywiście pamiętam pańskiego stryja z czasów, gdy sprawował funkcję sędziego pokoju, ale kiedy osiągnąłem odpowiedni wiek, by aktywnie uczestniczyć w sprawach okręgu, rzadko opuszczał swoją posiadłość. A pana brat stryjeczny... raczej nie interesował się sprawami publicznymi.

– Po zamknięciu kopalni Grambler popadł w kłopoty finansowe. Zniechęcało go to do zajęć, którymi normalnie by się zajmował.

– Cieszę się, że Wheal Grace przynosi w tej chwili duże zyski.

– Hazard, który się udał.

– Górnictwo to zawsze hazard. Szkoda, że sytuacja całego przemysłu nie jest lepsza. W promieniu pięciu kilometrów od tego domu działało kiedyś trzydzieści osiem kopalni. Teraz jest osiem. To ponury obraz.

Trudno było kwestionować opinię Basseta. Ross milczał.

– Wiem, że uchodził pan za nonkonformistę, Poldark – rzekł Basset, spoglądając na wysokiego rozmówcę. – Ja również, w mniej drastyczny, ale niekonwencjonalny sposób, nie przestrzegałem ustalonych zasad. Niektóre bardziej konwencjonalne rody w dalszym ciągu uważają mnie za niesforne go młodego człowieka, którym rzeczywiście byłem przed kilku laty.

Ross się uśmiechnął.

– Od dawna podziwiam pańską troskę o warunki pracy górników.

– Pański brat stryjeczny miał kłopoty finansowe – odparł Basset. – Jeszcze dwa lata temu był pan w podobnej sytuacji. Teraz to się zmieniło.

– Zdaje się pan orientować w moich sprawach, sir Francisie.

– Jak pan wie, mam bank w Truro i wielu przyjaciół. Sądzę, że moja ocena jest prawidłowa. – Ross nie zaprzeczył. – Czy miałby pan teraz czas na służbę publiczną? Pańskie nazwisko stało się szeroko znane w Kornwalii. Mógłby pan to wykorzystać.

– Jeśli ma pan na myśli możliwość objęcia przeze mnie stanowiska sędziego pokoju...

– Znam tę sprawę. Ralph-Allen Daniell wspominał, że odrzucił pan jego propozycję, i podał przyczyny. Nie wydają mi się istotne, lecz wyobrażam sobie, że się nie zmieniły?

– Nie zmieniły się.

W głównej grupie gości znów rozległy się śmiechy; ośrodkiem zainteresowania była Caroline.

– Posadziłem te drzewa iglaste – rzekł Basset. – Już w tej chwili stanowią osłonę przed najgorszymi wichurami, chociaż w pełni urosną dopiero po mojej śmierci.

– Cierpliwości, sir Francisie – odpowiedział Ross. – Może pan mieć przed sobą długie życie.

Basset zerknął na Poldarka.

– Ufam, że tak. Jest jeszcze wiele rzeczy do zrobienia. Ale przed czterdziestką... Jest pan wigiem, Poldark?

Ross uniósł brwi.

– W pewnych kwestiach wigiem, w innych torysem.

– Podziwia pan Foxa?

– Kiedyś go podziwiałem.

– Ja również go podziwiam, z wieloma zastrzeżeniami. Reformy należy wprowadzać odgórnie, sprawnie zarządzając krajem, a nie za pomocą rewolucji.

– Ogólnie rzecz biorąc, zgadzam się z tym poglądem, pod warunkiem że rząd rzeczywiście wprowadza reformy.

– Myślę, że bylibyśmy zgodni w wielu kwestiach. Rozumiem, że nie wierzy pan w demokrację?

– Nie.

– Kilku moich dawnych kolegów – na szczęście nieliczni – w dalszym ciągu wyznaje wyjątkowo ekstrawaganckie poglądy. Jakie byłyby konsekwencje proponowanych przez nich działań? Powiem panu. Władza wykonawcza, prasa, wielcy przedsiębiorcy przestaliby pełnić właściwą funkcję i byliby zmuszeni do przejęcia władzy poprzez przekupstwa i korupcję, a wtedy...

– Sądzę, że nasz obecny system wyborczy jest również głęboko skażony przekupstwem i korupcją.

– To prawda. Nie pochwalam tego, choć muszę wykorzystywać tę sytuację. Równa reprezentacja zwiększyłaby korupcję, a nie ją zmniejszyła. Król i Izba Lordów staliby się jedynie dekoracjami, a cała władza skupiłaby się w Izbie Gmin, wybieranej spośród najgorszych szumowin, podobnie jak we Francji. W zdegenerowanej Anglii powstałaby najgorsza forma rządów, czyli demokracja, uważana przez niektórych za ostateczny cel. Władza motłochu oznaczałaby koniec wolności politycznej i religijnej; wszystko zostałoby sprowadzone do najniższego poziomu w imię mitycznej równości.

– Ludzie nie mogą być równi – rzekł Ross. – Społeczeństwo pozbawione klas społecznych byłoby martwe: w jego żyłach nie płynęłaby krew. Między klasami powinien być jednak znacznie większy ruch, powinno być więcej możliwości awansu i upadku. Szczególnie należy ustanowić większe nagrody

dla przedsiębiorczych przedstawicieli klas niższych oraz większe kary dla członków klas wyższych nadużywających swojej władzy.

Basset skinął głową.

– Dobrze powiedziane. Mam dla pana propozycję, kapitanie Poldark.

– Obawiam się, że moja odmowa mogłaby pana urazić.

2

– Wejdziemy na wzgórze i dołączymy do pozostałych gości? – spytał Hugh Armitage. – Myślę, że może być ładny zachód słońca.

Demelza się wyprostowała. Przez chwilę pochylała się nad powierzchnią wody i zachęcała małą mandarynkę do podpłynięcia do brzegu.

– Koło naszego domu nie ma stawu ani jeziora, tylko strumień, ale najczęściej zanieczyszczony szlamem po płukaniu cyny.

– Może kiedyś mógłbym panią odwiedzić? Naturalnie również pani męża. Mieszkacie kilka kilometrów na północ?

– Jestem pewna, że Ross byłby zadowolony.

– A pani?

– Oczywiście... ale nie mamy wielkiej posiadłości ani pałacu.

– Ja też nie. Rodzina mojego ojca pochodzi z Dorset. Nasz dwór stoi między niewielkimi stromymi wzgórzami w pobliżu Shaftesbury. Często jeździ pani do środkowej Anglii?

– Nigdy nie opuszczałam Kornwalii.

– Pani mąż powinien panią zabrać. Nie powinna się pani ukrywać przed światem. I oczywiście pani mąż.

Wydawało się, że porucznik Armitage dwukrotnie przypomniał o Rossie dopiero po chwili.

Wspinali się na wzgórze krętą ścieżką częściowo porośniętą ostrokrzewem,

wawrzynami i kasztanowcami. Reszta towarzystwa była niewidoczna, lecz słyszeli głosy.

– Wkrótce wróci pan do służby w marynarce? – spytała Demelza.

– Nie natychmiast. Jeszcze nie widzę na odległość. Lekarze mówią, że z czasem odzyskam dobry wzrok. Przyczyną jest czytanie i pisanie w półmroku.

– Bardzo mi przykro...

– Mój wuj chciałby, żebym na razie mieszkał w Tregothnan. Po śmierci jego żony gospodarstwem zajmuje się jego siostra, moja ciotka, ale brakuje mu towarzystwa i popadł w melancholię.

Demelza zatrzymała się i spojrzała do tyłu, w stronę dworu. Przypominał ogromny kwadratowy meczet strzeżony przez cztery minarety. Na słonecznej polanie między drzewami widać było biegnące stadko jeleni.

– Mógł pan pisać listy do domu? – spytała. – Dwight nie mógł. Caroline otrzymała tylko jeden list w ciągu całego roku.

– Nie... Pisałem dla własnej przyjemności. Miałem tak mało papieru, że każdy skrawek był zapisany po obu stronach, poziomo i pionowo, tak drobnym maczkiem, że czasem nie mogę go teraz odczytać.

– Pisał pan...

– Poezję. A może skromniej byłoby powiedzieć, że po prostu wiersze.

Demelza zamrugła.

– Jeszcze nigdy nie spotkałam poety.

Hugh się zaczerwienił.

– Nie należy tego traktować poważnie. Ale skoro pani spytała... W tamtym okresie pomogło mi to nie zwariować.

– Będzie pan dalej pisał?

– O tak. W jakiś sposób, choćby niewielki, staje się to częścią mojego życia.

Znów zaczęli się wspinać i po chwili dotarli na taras, skąd mogli podziwiać zachód słońca. W dalszym ciągu wyprzedzali resztę towarzystwa, która zatrzymała się gdzieś po drodze. Taras był wyłożony ceglami, a obok prowadzących nań schodków stały dwa kamienne lwy. W środku znajdowała się niewielka grecka świątynia z posągami Bachusa spoglądającym na morze.

Słońce schowało się za pasmem obłoków. Wydawało się, że ktoś otworzył drzwiczki pieca i że za bryłami węgla żarzy się czerwone palenisko. Czarne, poszarpane klify kontrastowały z porcelanowym morzem. W górze krążyły mewy, tnąc w ciszy powietrze. Zbliżał się wieczór.

– Mam wobec kapitana Poldarka dwa wielkie długi wdzięczności – oznajmił Hugh Armitage.

– Doprawdy?

– Zawdzięczam mu wolność, a także możliwość poznania jego żony.

– Nie mam wprawy w takich kurtuazyjnych rozmowach, poruczniku, ale dziękuję – odparła Demelza. – Czy nie...

– Co chciała pani powiedzieć?

– Chciałam spytać, czy nie jest niestosowne wymieniać te rzeczy obok siebie. Jakby... – Znów umilkła. Pozostali goście wspinali się za nimi po schodkach.

– Nie była to tylko kurtuazja – rzekł Hugh. – Powiedziałem prawdę.

– O, nie...

– Kiedy mogę znów panią zobaczyć?

– Spytam Rossa, kiedy może pana zaprosić.

– Bardzo proszę.

– Ach, już państwo tu są! – zawołał generał Macarmick, wchodząc po schodkach. Jego okrągła, dobroduszna twarz lśniła w promieniach słońca. – Dotarli tu państwo przed nami!

Ross stawiał dwa kroki na trzy kroki sir Francisa Basseta.

– Mam dwa gospodarstwa rolne: pierwsze o powierzchni stu dwudziestu hektarów, a drugie zaledwie dwudziestu. Ziemia nie jest dobra, nieurodzajna i kamienista, jej wartość nie przekracza trzydziestu szylingów za hektar. Pańska jest droższa?

– Nie. Domyślam się, że może być warta od dwudziestu dwóch do dwudziestu pięciu szylingów za hektar, pod warunkiem że jest uprawiana.

– Zamierzam wprowadzić na próbę kilka nowych roślin – rzepy, kapustę, ozdobne trawy – których nie sieje się jeszcze w tej części kraju. W ten sposób miejscowi rolnicy będą się mogli przekonać, co daje dobre plony, i nie poniosą własnych kosztów. Mam mnóstwo nieużytków i zachęcam ubogich, by budowali tam chaty. Wydzielam każdej rodzinie trochę ponad hektar gruntu. Płacą cztery szylingi czynszu za hektar. Często udaje im się zmienić ugory w ziemię uprawną. To głównie górnicy, którzy w wolnych chwilach zajmują się pracą na roli.

– Sir Francisie, sugeruje pan coś w rodzaju rewolty w okręgu wyborczym w Truro, prawda? – odezwał się Ross. – Chodzi o to, by w czasie zbliżających się wyborów uzupełniających rada miejska nie zagłosowała na nominata lorda Falmoutha, tylko na pańskiego kandydata? Czy na tym polega propozycja?

– Mniej więcej. Jak pan na pewno wie, prawo głosu mają radni miejscy, łącznie dwadzieścia pięć osób. Sądzę, że mogę w tej chwili liczyć na wystarczające poparcie. Mają serdecznie dość sposobu, w jaki są traktowani przez lorda Falmoutha. Muszą wykonywać wszystkie jego polecenia, a jego wybór kandydatów na posłów do Izby Gmin z Truro jest arbitralny i despotyczny. Nie chcą być marionetkami, które sprzedają swoje głosy.

– Czy nie jest to dalekie od prawdy?

Basset uśmiechnął się blade.

– Myślę, że usiłuje mnie pan sprowokować. W porównaniu z innymi okręgami wyborczymi zachowują się całkiem przyzwoicie. Mogą liczyć na przysługi w zamian za głosy, lecz nie otrzymują pieniędzy. To zrozumiałe, że czują się urażeni, gdy traktuje się ich jak lokai.

– Rewolucja pałacowa... Kto byłby przywódcą?

– Nowy burmistrz, William Hick.

– Niewątpliwie deklarował niewzruszoną lojalność wobec Falmoutha, nim go wybrano.

– Na pewno szczerze. Jest różnica między wdzięcznością wobec patrona a poczuciem, że człowiek staje się marionetką.

Zatrzymali się na chwilę. Między drzewami krakało stado kawek.

– Czuję się zaszczycony pana propozycją, ale byłbym zupełnie nieodpowiednią osobą – stwierdził Ross.

– Możliwe. Przekonalibyśmy się o tym. Zanim powie pan coś więcej, proszę mi pozwolić postawić sprawę jasno. Gdyby zechciał pan kandydować, nie poniósłby pan żadnych kosztów. To wyjątkowa sytuacja, jak pan zapewne wie. Gdyby zdobył pan mandat, byłby pan posłem do końca kadencji obecnego parlamentu, niezależnie od tego, kiedy zostanie rozwiązany. Po zakończeniu kadencji obaj – pan i ja – zastanowilibyśmy się, czy chcemy, żeby był pan w dalszym ciągu posłem. Parlament może zostać rozwiązany za rok albo za kilka lat. Pitt nie zwierza mi się ze swoich planów.

– Ale oczekiwałby pan, że będę głosował zgodnie z pana instrukcjami?

– Nie instrukcjami. Nie jestem Falmouthem. Ale, ogólnie, jako zwolennik Pitta. Oczywiście w niektórych przypadkach ja, mój kolega z Penryn, a także kilku innych posłów – w tym pan – moglibyśmy zająć niezależne stanowisko.

– Indywidualnie czy jako grupa?

Sir Francis spojrział na Rossa.

– Jako grupa.

Ruszyli dalej. Zmierzali w stronę tarasu okrężną drogą i szli teraz grzbietem wzgórza.

– Moja propozycja jest dla pana zaskoczeniem – zauważył Basset. – Proszę się zastanowić przez tydzień nad odpowiedzią.

Ross skinął głową na znak zgody.

– Mój ojciec miał zwyczaj cytować Chathama, który twierdził, że prowincjonalne okręgi wyborcze to wrzody i należy je wyciąć, by ocalić Anglię przed gangreną. Przyjąłem ten pogląd, nie starając się sprawdzić, czy jest słuszny, lecz obawiam się, że trudno mi będzie go zmienić.

Zeszli z głównej ścieżki. Basset poprowadził Rossa przez krzaki, aż dotarli do innej, węższej ścieżki biegnącej pod górę. Przez chwilę szli gęsiego. Później sir Francis przystanął, żeby złapać oddech, i popatrzył na dwór.

– Zaprojektował go Thomas Edwardes z Greenwich – powiedział. – Poza tym dobudował wieżę do kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej w Truro. Biorąc pod uwagę, że rezydencja jest względnie nowa, bardzo dobrze wtopiła się w krajobraz...

– Wspominał pan, że sufit biblioteki ozdobiono niedawno?

– Kazałem zmienić dekorację. Poprzednia mi się nie podobała.

– Rozbudowuję nieco własny dwór i wkrótce będę potrzebował sztukatora.

Czy to rzemieślnik z okolicy?

– Z Bath.

– Och... trudno będzie go zaangażować!

– Proszę mi przypomnieć. Kiedy wrócimy do domu, dam panu jego nazwisko. Może znów przybyć do naszego okręgu i wykonać kilka prac w różnych rezydencjach.

– Dziękuję.

Ruszyli naprzód.

– Ma pan syna, Poldark? – spytał Basset.

– Jak dotąd jednego syna i jedną córkę.

– Szczęściarz z pana. My mamy tylko Frances. Utalentowana panna, utalentowana muzycznie, ale nie mam męskiego potomka. Wydaje się, że Frances odziedziczy cały mój majątek. Nie jesteśmy liczny rodem.

– Ale starym.

– O tak, nasza genealogia sięga czasów Wilhelma Zdobywcy. Mam nadzieję, że przyszedł mąż Frances przyjmie nasze nazwisko.

Znawali się blisko schodków prowadzących na taras.

– Proszę się zastanowić nad tym, co powiedziałem, Poldark – rzekł Basset.
– Niech pan udzieli mi odpowiedzi za tydzień. Gdyby miał pan jakieś pytania, proszę wcześniej mnie odwiedzić.

4

Ross, Demelza, Dwight i Caroline przebyli część drogi powrotnej razem. Ponieważ gościniec był wąski, Ross i Dwight jechali z przodu, a Demelza i Caroline z tyłu. Na końcu podążał masztalerz Caroline. Słychać było cichy dźwięk kopyt uderzających w błotnistą ziemię, skrzypienie siodeł, brzęk wędzideł, parskanie koni i odgłosy rozmów. Zapadł już zmrok. Na rozgwieżdżonym niebie latały nietoperze.

– Podejrzewam, że mój mąż ma ukrytą sympatię do Francuzów, mimo wojny i warunków, jakie panowały w więzieniu, w którym przebywał – odezwała się Caroline. – Jego humanitaryzm bywa czasem dość dziwaczny. Wiesz, że jest całkowicie przeciwny karze śmierci? Uważa, że przestępca powinien pracować, by zmyć swoją winę. Obawiam się, że nigdy nie zmienię go w angielskiego ziemianina.

– Nawet nie próbuj – odparła Demelza.

– Wielka szkoda, prawda? Nie troszczy się o majątek, nie lubi broni palnej

i nie chce strzelać nawet do królików. Od czasu do czasu wsiada na konia, choć tylko po to, by przemieszczać się szybciej z miejsca na miejsce. Nie chce uczestniczyć w polowaniach, nigdy nie upija się do nieprzytomności, nigdy nie wrzeszczy na służących. Moim zdaniem nasze małżeństwo to wielka pomyłka.

Demelza spojrzała na Caroline.

– Jeden z nielicznych pozytywnych aspektów naszego życia małżeńskiego polega na tym, że Horacy, który z początku czuł do Dwighta wyjątkową niechęć, teraz w zdumiewający sposób go polubił. Dwight potrafi nawet skłonić tego małego grubaska do robienia sztuczek – w tym wieku, wyobraź sobie! Horacy staje na tylnych łapkach i prosi o cukierka, jeśli daje mu go Dwight – ale tylko Dwight – po czym leży na grzbiecie, trzymając go w pyszczku, aż Dwight pozwoli mu go zjeść!

– Dwight ma dar skłaniania ludzi, by robili to, czego chce – zauważyła Demelza.

– Wiem. Muszę stale uważać. Co sądzisz o jego stanie zdrowia?

– Wygląda trochę lepiej, choć ciągle jest blady.

– Chudy jak szczapa. Oczywiście sam się kuruje. Zresztą nawet gdyby się zgodził, by leczył go inny doktor, nie znam w Kornwalii nikogo, komu mogłabym zaufać.

– Kiedy zrobi się cieplej, wszystko się zmieni. Tegoroczne lato...

– Jest przeraźliwie obowiązkowy, Demelzo. Dopiero przed świętami zdołałam go namówić, by napisał prośbę o zwolnienie z marynarki wojennej. Chociaż sympatyzuje z Francuzami, chce z nimi walczyć! A teraz, mimo moich obiekcji, zamierza rozpocząć normalną pracę jako lekarz. Nie znoszę, gdy jeździ do pacjentów! Kiedy myślę, jakimi wstrętnymi chorobami może się od nich zarazić...

– Z pewnością szybko dojdzie do siebie, Caroline. Opuścił więzienie przed kilkoma miesiącami i wkrótce odzyska siły. Wiem, co czujesz, ale musisz się

z tym pogodzić. Mężczyźni bywają uparci.

– Jak konie, których nigdy nie ujeżdżono – zauważyła Caroline.

Jechały dalej. Słysząc było stukot końskich podków. Wokół szumiał zimny nocny wiatr.

– To wymaga czasu – powiedziała Demelza.

– Co?

– Żeby ktoś taki jak Dwight wyzdrowiał. Ma szczęście, że żyje. Porucznik Armitage mówił mi, że ma kłopoty ze wzrokiem. Próbował czytać w półmroku...

– Słaby wzrok nie przeszkadzał dziś porucznikowi Armitage'owi stale się na ciebie gapić. Na miejscu Rossa trzymałabym cię przez jakiś czas pod kluczem!

– Och, Caroline, cóż za nonsensy opowiadasz... To przecież tylko...

– Moja droga, jestem pewna, że gdybyśmy weszły razem do sali pełnej młodych mężczyzn, wszyscy natychmiast spojrzeliby na mnie, ale po pięciu minutach skupiliby się wokół ciebie! Bardzo ci zazdroszczę, lecz chyba nie ma na to rady.

– Dziękuję. Moim zdaniem to niezupełnie prawda. Może tylko czasami... – Demelza roześmiała się krótko, choć głos jej zadrżał. – Niekiedy w ogóle nie mam wpływu na ludzi, którzy są dla mnie ważni. – Wskazała szpicrutą Rossa jadącego z przodu.

– Tak, obaj są nieznośni – zgodziła się Caroline.

– Spróbuję... spróbuję porozmawiać z Dwightem. Kiedy przyjedzie następnym razem obejrzyć Jeremy'ego albo Clowance. Nie powinien zbyt szybko rozpoczynać pracy. Wzięliście ślub bardzo niedawno. Jeśli uważasz...

– Dwight wie, co o tym sędzę. Ale mogłabyś go przekonać, że to ważne...

Niebo przecięła spadająca gwiazda. Zaćwierkał ptak, jakby jej widok go przestraszył. Koń Dwighta potrzęsął łbem i parsknął cicho, nie mogąc się

doczekać powrotu do domu.

– Powiesz Demelzie? – spytał Dwight.

– Oczywiście.

– Jak to przyjmie?

– Jeśli na świecie istnieje coś nieprzewidywalnego, to właśnie reakcja Demelzy.

– Jesteś pewny, że odmowa to właściwa decyzja?

– Mogłoby być inaczej?

– Status posła do Izby Gmin dałby ci wielkie możliwości.

– Kariery?

– Wpływu na to, co się dzieje na świecie. Wiem, że łagodziłbyś spory.

– Tak, o tak. Gdybym mógł odpowiadać za siebie.

– Cóż, czy Basset nie mówił...

– Poza tym nie mam ochoty być wybranym z Truro jako marionetka, symbol niechęci wobec tego, jak George Falmouth traktuje radę miejską. Gdyby rewolta się udała, a ja bym się do niej przyłączył, nie czułbym, że zdecydowały moje osobiste zalety. Gdyby się nie powiodła, byłbym jeszcze bardziej upokorzony. Oczywiście nie mam żadnych długów wdzięczności wobec Boscawenów – to, czy ich urażę, nie ma żadnego znaczenia – ale miałbym dług wdzięczności wobec patrona, który w końcu chciałby to wykorzystać.

– Basset to najbardziej oświecony spośród okolicznych ziemian.

– Tak, tylko że wykorzystuje swoją władzę do własnych celów. I staje się dziwnie nerwowy, gdy mowa o zwykłych ludziach.

– Pochodzi ze starego rodu – odparł sucho Dwight. – Magna Carta uwolniła od tyranii baronów, a nie gmin.

Jechali w milczeniu. Ross pograżył się we własnych myślach.

– Demelza mówi, że rozczulam się losem nędzarzy. To niebezpieczny

zwyczaj ludzi, którzy zawsze mają pełny brzuch. Nie wątpię, że dobro i zło pojawiają się w różnych klasach z jednakową częstotliwością... Ale rozruchy we Flushing w zeszłym miesiącu, o których ktoś wspomniał dziś po południu – Rogers – pamiętasz?

– Pamiętam.

– Wiesz, co się tam wydarzyło? Pisała mi o tym Verity, moja siostra stryjeczna. Do Flushing przyszło czterystu zdesperowanych ludzi uzbrojonych w kije i pałki, zamierzali zdobyć zboże niedawno wyładowane ze statku, wydawali się zdeterminowani. W porcie nie było żadnych okrętów wojennych ani nikogo, kto mógłby ich powstrzymać, z wyjątkiem kilku dozorców magazynów ze zbożem. Mogli splądrować elegancko umeblowane domy w mieście, gwałcić dobrze ubrane kobiety, a tymczasem ktoś posadził chłopca o ładnym głosie na worku zboża i kazał mu zaśpiewać hymn. Mężczyźni jeden po drugim zdejmowali czapki i śpiewali razem z nim – większość z nich była metodystami. Później wszyscy spokojnie się odwrócili i odeszli, niosąc tylko kije i pałki, do Carnon, Bissoe i innych wiosek, skąd przybyli.

– Kiedy w przyszłości historycy opiszą naszą epokę, mogą ją uznać za czas dwóch rewolucji. Rewolucji francuskiej i rewolucji metodystów, rewolucji angielskiej. Celem pierwszej jest wolność, równość i braterstwo w oczach ludzi, a celem drugiej wolność, równość i braterstwo w oczach Boga.

– Twoja uwaga jest głębsza, niż sądzisz – odpowiedział Ross. – A jednak walczę z pierwszą rewolucją, druga zaś wydaje mi się podejrzana. Natura ludzka jest odrażająca, nawet natura własnych rodaków.

– Moim zdaniem człowiek nie może stać się lepszy – odrzekł Dwight. – Kiedy próbuje realizować swoje ideały, zawsze ponosi klęskę. Cokolwiek zamierza, jego plany udaremnia grzech pierworodny.

Zbliżali się do Bargas, gdzie spotykały się granice czterech parafii.

– Nie mam ochoty być pionkiem Basseta! – rzucił z irytacją Ross. – Równie

dobrze mógłbym całować Francuzów po rękach! Nie uważam się za lepszego od innych, ale mam twarde kark. Jestem drobnym ziemianinem i zależę tylko od siebie. Jako poseł do Izby Gmin pod patronatem wielkiego właściciela ziemskiego nigdy nie mógłbym być sobą, możesz mówić, co chcesz.

– Czasem, Ross, trzeba iść na kompromis, by zrealizować niektóre ze swoich celów.

Ross się roześmiał. Jego nastrój nagle się zmienił.

– Zgódź się, żebym zaproponował sir Francisowi ciebie zamiast siebie. W końcu jesteś w tej chwili znacznie większym właścicielem ziemskim ode mnie. O wiele bogatszym!

– Wiem, że teoretycznie, zgodnie z prawem, cały majątek Caroline należy teraz do mnie, lecz zamierzam to ignorować – odparł Dwight. – Nie, Ross, nie chcę dłużej się z tobą sprzeczać. Próbowałem po prostu przedstawić argumenty drugiej strony. W Izbie Gmin są zarówno uczeni, jak i sprzedajni ludzie: Basset, Pitt, Burke, Wilberforce, wielu innych. Tak czy inaczej...

– Co chcesz powiedzieć?

– Rozstajemy się w tym miejscu. Chcesz, żeby nasz służący towarzyszył wam w drodze do domu?

– Dziękuję, nie, mam pistolet. Co chciałeś powiedzieć?

– Coś mi przyszło do głowy... Rozumiem, że kiedy odmówiłeś przyjęcia stanowiska sędziego pokoju, zaproponowano je George'owi Warlegganowi. Zamierzałem powiedzieć, że na szczęście tym razem nie ma ryzyka, że to się powtórzy, bo George nie jest zainteresowany sojuszem z Boscawenami.

Rozdział szósty

1

Pewnego dnia do kopalni Wheal Grace przybył wędrowny druciarz naprawiający garnki i oznajmił, że ma wiadomość dla braci Carne'ów. Był w zeszłym tygodniu w Illuggan. Ich brat Willie miał wypadek i prawdopodobnie straci obie nogi. Wdowa po Tomie Carne kazała im o tym powiedzieć. Wiadomość przekazano Samowi, gdy przyszedł do kopalni, więc poprosił o wolny dzień, by udać się do Illuggan.

Kiedy wyruszył w drogę, niósł nie tylko kilka rzeczy dla swojej rodziny, lecz również coś dla Hoskinów. Peter powierzył mu trzy szylingi – prosił, by nie mówić o tym żonie – oraz ćwierć kilo masła i sześć jaj. Samuel dotarł do Illuggan po południu i odkrył, że przekazywana sobie z ust do ust wiadomość została przeinaczona, czego prawdopodobnie należało się spodziewać. Ranny był nie Willie, lecz Bobby Carne, który wypadł z cebrzyka opuszczanego w szybie kopalni – miał rany głowy i piersi, lecz nogi były nienaruszone.

Samuel zjadł skromną kolację, słuchając męczących opowiadań macochy, która nieustannie się skarżyła. Zgromadzone przez nią oszczędności stale się kurczyły, bo musiała je wydawać na potrzeby rodziny, do której weszła przez małżeństwo. Luke się ożenił i wyprowadził, lecz w chacie mieszkało jeszcze trzech braci, a wdowa miała oprócz tego swoje dziecko. John, czwarty z braci, niedawno zawarł związek małżeński – jego ponura, teraz brzemienna żona mieszkała razem z nimi. Kto wie, ile jeszcze gąb trzeba będzie wykarmić?

Sam przenocował na podłodze obok rannego brata i spędził z nim następny ranek. Później wyruszył do Poole w innej sprawie, pozostawiwszy wdowie pieniądze zarobione w ciągu tygodnia.

Przy drodze między Poole a Camborne, między dwoma kominami nieczynnych kopalni, w pokrytej hałdami dolinie znajdowała się chata, w której mieszkała gromadka Hoskinów. Byli typową górniczą rodziną, nie brakowało im chęci do pracy, lecz nie radzili sobie z biedą. Można z nią żyć, jeśli znosi się ją z dumą. Pracowali, jeśli nadarzała się okazja, i pracowali dobrze, brakowało im jednak inicjatywy. Samuel siedział przez jakiś czas w kuchni, rozmawiając z dorosłymi członkami rodziny, gdy tymczasem na podłodze, pokrytej grubą warstwą brudu i sadzy, bawiły się półnagie dzieci. Później, przekazawszy podarki od Petera i odmówiwszy modlitwę, miał zamiar wyjść, gdy John, najstarszy brat Petera, przyprowadził ze spotkania pewnego mężczyznę. Sam znał go i uważał za malkontenta – nazywał się Sampson i miał przyzwisko „Różyczka” z powodu rumianej twarzy.

Samuel zadał kilka dyskretnych pytań, a John Hoskin, powitawszy go, odpowiedział, że nie byli na spotkaniu modlitewnym. Uśmiechnął się, zerknął na swojego przyjaciela i więcej się nie odezwał. Odezwał się Różyczka Sampson:

– Ach, to żaden sekret. Nie powinniśmy mieć tajemnic przed Samem. Byliśmy na spotkaniu, na którym zmawialiśmy się przeciwko młynarzom i handlarzom zbożem. Pszenica kosztuje dwie gwinee za buszel, a oni i tak ją chowają, czekając, aż podrożeje! Ludzie są biedni i głodują, młynarze zaś opływają w dostatki w domach pełnych zboża! To wstrętne, wstrętne i powinniśmy coś z tym zrobić!

– Nic dobrego z tego nie wyniknie, jeśli weźmiesz sprawy w swoje ręce, Różyczko – powiedział ojciec Petera. – Ani ty, John. To niebezpieczne. Dwa lata temu...

– Wiem, wiem, dwa lata temu żołnierze... – odparł Różyczka. – Na szczęście już się wynieśli. W okolicy nie ma prawie żadnych żołnierzy. Czego chcemy? Nie rewolucji, tylko sprawiedliwości. Jedzenia za uczciwą cenę. Pracy za uczciwe pieniądze. Żeby utrzymać żony i dzieci. Co w tym złego?

– Nic złego, to dobre i słuszne – rzekł ojciec Petera. – Ale musicie przestrzegać prawa, czy chcecie, czy nie. Żołnierze odeszli, ale wszędzie są ochotnicy. Sformowano ich, by odeprzeć Francuzów, i mogą tłumić rozruchy. Na pewno przyjadą bronić młynarzy.

– Wiesz co? – zwrócił się do ojca John Hoskin. – Wiesz co? Górnicy z St Just gadają, że trzeba stworzyć armię górników, by ochotnicy siedzieli cicho. Rozumiesz? Trzeba coś robić. Nie chodzi o rewolucję, tylko o sprawiedliwość. Sprawiedliwość dla wszystkich!

Dla Sama najważniejszy był tamten świat, a życie doczesne miało mniejsze znaczenie, toteż nie czuł solidarności z ludźmi rozmawiającymi o łamaniu prawa. Mimo to wrócił do domu przygnębiony. Współczuł sąsiadom z powodu ich cierpienia, lecz uważał, że chcą poprawić swój los w niewłaściwy sposób. Wiedział, że nie mógłby wypowiedzieć tej opinii w ich towarzystwie, ponieważ zaczęliby z niego szydzić. Tkwili w nieprawości i chociaż byli ludźmi religijnymi, oddalili się od Boga. „Ty mnie prowadzisz, o Panie, przed śmiercią chronisz i krzywdą...” – szedł i modlił się na głos, by Bóg ocalił ich przed niebezpieczeństwami rozruchów i przemocy, by zdali sobie sprawę z miłosierdzia i łaskowości Chrystusa.

2

Kiedy Samuel dotarł do kuźni Pally'ego, Drake podkuwał konia pana Vercoe, dowódcy miejscowych celników. Usiadł na kłodzie przy bramie i czekał, aż brat skończy pracę. W końcu Vercoe odjechał. W czasie każdej wizyty w kuźni

Samuel zauważał, że dom wygląda coraz lepiej: Drake porządkował dziedziniec, naprawiał ogrodzenia i usuwał kamienie z pól. Dni stawały się coraz dłuższe i mógł spędzać więcej czasu na pracy. Samuel żałował, że Drake nie zmienia się tak jak jego gospodarstwo. Pracował bez przerwy od świtu do zmierzchu, lecz wieczory wciąż były długie, a Drake nie znalazł jeszcze odpowiedniego sposobu, by je wypełnić. Nie okazywał żadnego zainteresowania miejscowymi dziewczętami ani robotnicami z kopalni, których większość z radością poślubiłaby przystojnego młodego rzemieślnika. Miał niewielkie, wolne od długów gospodarstwo i dobry fach o długiej tradycji, więc stał się najlepszą partią w okolicy.

Samuel poruszał miechy, a Drake kuł żelazny pręt wielkim młotem. Wokół tryskały fontanny iskier. Opowiedział młodszemu bratu, gdzie był.

– Biedny Bobbie! Sądzisz, że wyzdrowieje?

– Uważają, że nie odniósł poważnych obrażeń, Bogu niechaj będą dzięki!

– Myślałem, że wcześniej skończyłeś szychtę. Dobrze, że poszedłeś, ale powinieneś dać mi znać. Poszedłbym z tobą.

– Musisz służyć klientom – odpowiedział Samuel, rozglądając się po gospodarstwie. – Jeśli nie będzie cię przez cały dzień, ktoś przyjdzie, pomyśli, że cię nie ma, i pójdzie gdzie indziej.

Drake otarł pot z czoła wciąż jeszcze słabym przedramieniem.

– Straciłeś dniówkę w kopalni? Pozwól, że ci zapłacę. Mam więcej pieniędzy, niż mi potrzeba.

– Nie, daj spokój, chłopcze. Przez pewien czas powinieneś oszczędzać każdy grosz, który tu zarobisz... Dobry Bóg podarował ci ładny dom...

– To dzięki kapitanowi Poldarkowi... W zeszłym tygodniu dostałem list, Sam...

Po twarzy starszego brata przemknął cień, bo zawsze się obawiał, że do Drake'a może napisać Morwenna.

– ...od Geoffreya Charlesa.

Był blisko, choć na szczęście nie do końca.

– Pisze, że dobrze się uczy w Harrow i że nie może się doczekać lata, gdy mnie zobaczy.

– Wątpię, czy ojciec mu pozwoli.

– Ojczym. Państwo Warlegganowie jeszcze nie wrócili do Trenwith. Im mniej mam z nimi do czynienia, tym lepiej, ale Geoffrey Charles może przychodzić, kiedy chce...

Jednym z pierwszych zakupów Drake'a był stary, popękany dzwon okrętowy, który nabył za kilka pensów w St Ann's. W tej chwili wisiał on przy wejściu na dziedziniec, by klienci mogli wezwać Drake'a, gdy pracował w polu. Nagle ktoś zaczął mocno bić w dzwon. Drake podszedł do drzwi. Samuel podążył za nim powoli i usłyszał kobiecy śmiech, który natychmiast poznał, czując ból w sercu.

– Kołodzieju Carne! Skończyłeś dla nas robotę? Minęły już dwa tygodnie, odkąd przyniosłam ten drąg... Na moje życie, przecież to pastor Carne! Przerwałam wam modlitwę? Mam wrócić w piątek?

Emma Tregirls z włosami rozwianymi przez wiatr, w różowej bawełnianej sukience związanej w talii czerwonym aksamitnym pasem, w ciężkich czarnych butach umazanych gliną. Jej skóra lśniła w promieniach słońca, a w oczach płonęła zwierzęca żywotność.

– Wszystko gotowe – odpowiedział Drake. – Wyciosałem nowy drąg. Nie będzie drożej kosztować niż naprawa starego, a wystarczy na dłużej.

Emma weszła do kuźni i stanęła z rękami splecionymi na piersiach, gdy tymczasem Drake uniósł ciężki drewniany drąg z żelaznym hakiem na końcu. Samuel milczał. Po pierwszym szyderstwie Emma nie odzywała się do niego i obserwowała Drake'a.

Była trochę zirytowana, że zastała Sama. Dwa tygodnie wcześniej, gdy

miała wolne popołudnie, odwiedziła swojego brata Lobba, który zajmował się kruszeniem rudy cyny w dolnej części wioski Sawle w pobliżu chaty Guernseyów, i okazało się, że złamał mu się drąg dźwigu. Lobb miał zamiar zarzucić go na ramię i zanieść do kowala w wiosce Grambler, ale jak zwykle bez przerwy kasłał i martwił się o rupturę, więc zaproponowała, że odda drąg do naprawy. Na szczycie kotliny Sawle skręciła w prawo zamiast w lewo. Kuźnia Pally'ego znajdowała się dalej, Emma słyszała jednak, że budynek sprzedano i że mieszka tam teraz przystojny młody kołodziej, toteż postanowiła mu się przyjrzeć.

Jej widok nie zrobił na Drake'u żadnego wrażenia. Drake natomiast zrobił wrażenie na niej. Była poirytowana, że tym razem nikt nie zwrócił uwagi na jej urodę. Drake odnosił się do Emmy grzecznie i poważnie, odprowadził ją do bramy, gdy odchodziła, ale w jego oczach nie pojawił się żaden błysk. Jakby miała ze trzydzieści lat. Nie podobało się to Emmie.

Teraz wróciła, by sprawdzić, czy znowu ją zignoruje, i zastała pobożnego brata, który wszystko zepsuł! Była pewna, że pobożny brat spogląda na nią z większym zainteresowaniem niż kołodziej, choć nie wiedziała, czy bardziej interesuje się jej ciałem, czy duszą.

Wyjęła sakiewkę i zapłaciła. Lśniące monety zabręczczały, gdy wkładała je Drake'owi do ręki. Później zarzuciła ciężki drąg na ramię, zbierając się do odejścia.

– Idzie pani do Sawle? – spytał Sam. – Zmierzam w tamtą stronę. Zaniosę ten drąg. To za duży ciężar dla panny.

Emma roześmiała się głośno.

– Sama go tu przyniosłam, więc mogę i odnieść! Co to za różnica?

– Muszę już iść, Drake – rzekł poważnie Sam. – Nie mogę się spóźnić na spotkanie dziś wieczorem. Nikt mnie nie zastąpi, jeśli się nie pojawię.

– Idź sobie, idź! – powiedziała Emma. – Jestem równie silna jak ty! Chyba

pokonałabym cię w zapasach, gdyby dziewczynie wypadło uprawiać zapasy z mężczyzną. Na Boga!

– Przyjdę w przyszłym tygodniu, Drake – dodał Sam. – W święto nie będzie dużo roboty. Przyjdę w święto Sawle.

– Tak, Sam. Wpadaj, kiedy chcesz. Jestem tu dzień i noc.

Rozbawiona Emma oparła bark o bark Sama i pozwoliła mu wziąć drąg. Później potarła miejsce, gdzie leżał ciężar, i spojrzała na Drake'a.

– Twój braciszek to prawdziwy dżentelmen! Myślisz, że mnie nawróci? Co o tym sądzisz, kołodzieju?

– Może się pani śmiać z Sama, ale nigdy nie sprawi pani, by się wstydził swojej dobroci.

Emma wzruszyła ramionami.

– Spokojnie. Możesz sobie gadać. Chodź, pastorze. Wracajmy do domu.

3

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Wysoka, mocno zbudowana dziewczyna kroczyła obok wyższego, mocniej zbudowanego mężczyzny. Silny wiatr z północnego wschodu rozwiewał włosy Emmy, tak że widać było czyste, silne rysy jej twarzy. Sprawiał, że sukienka oblepiała jej ciało, podkreślając bujne piersi, wąską talię, krzywiznę ud. Samuel zerknął na nią raz, lecz później odwrócił oczy.

– Twój brat nie lubi dziewczyn, kaznodziejo?

– Nie o to chodzi.

– Myślę, że za mną nie przepada.

Sam się zawahał, nie wiedząc, czy mówić dalej. Ale sprawa była powszechnie znana. Wystarczyłoby, żeby Emma kogoś spytała.

– Drake bardzo lubił pewną młodą kobietę. Nie była dla niego.

– Dlaczego?

– Nie pasowali do siebie. Pochodziła z innej sfery. Teraz jest mężatką.

– Tak? Ciągłe mu żal, co?

– Tak.

– Co za dureń! Za mną nie płakał żaden mężczyzna! Ha! Ani ja za nimi! Życie jest na to za krótkie, kaznodziejo. Ach... więc pragnie dziewczyny, której nie może mieć, co? Cóż... źle to wygląda, przyznaję. A ty?

– Ja? – spytał zaskoczony Sam.

– Bóg nie mówi, że nie możesz się ożenić, prawda?

– Nie... Kiedy przyjdzie czas, może... Eee... nie tędy, Emmo. To ścieżka przez posiadłość Warlegganów.

Spojrzała na niego.

– Ach, więc znasz moje imię... To skrót. Ominiemy wioskę Grambler.

– Wiem. Ale oni nie lubią, gdy ludzie chodzą po ich posiadłości. Już mnie raz zatrzymali.

Emma się uśmiechnęła, ukazując białe zęby.

– Zawsze tędy chodzę. Nie bój się. Kiedy jesteś ze mną, pastarze, nic ci nie grozi.

Sam znowu chciał zaprotestować, lecz Emma przeszła już przez murek i ruszyła naprzód. Podążył za nią, dźwigając na ramieniu jej drąg. Pomyślał, że to dziwne. Kiedy poprzednim razem szedł tą drogą, niosąc z Drakiem ciężką belkę, spotkali w zagajniku Morwennę Chynoweth oraz Geoffreya Charlesa Poldarka. Wtedy zaczęły się wszystkie kłopoty.

– Wiesz, jak się nazywam? – spytała Emma.

– Tregirls.

– A znasz mojego ojca? Rozpustny stary diabeł. Znalazł sobie wygodne gniazdko u Sally-Na-Rozgrzewkę. Mam nadzieję, że zdechnie jak pies!

Wstrząśnięty Samuel nie wiedział, co odpowiedzieć. Owszem, nie kochał

własnego ojca ani go nie lubił, mimo to próbował darzyć go synowską miłością. Z pewnością nigdy nie wypowiedziałby takich słów, było to nie do pomyślenia.

Emma popatrzyła na niego i wybuchnęła śmiechem.

– Nie podoba ci się takie gadanie, co? Czcij ojca swego i matkę swoją... wiem. Ale ojciec nas opuścił, gdy Lobb miał dwanaście lat, a ja sześć. Wychowaliśmy się w przytułku. Później Tholly wrócił i chciał znowu być naszym ojcem, choć zostawił nas na trzynaście lat. Kazaliśmy mu iść swoją drogą.

– Przebaczenie to szlachetna cnota chrześcijańska – powiedział Sam.

– Tak, na pewno. Wiesz, że Tholly w zeszłym miesiącu zaczął mnie macać za żywopłotem? Co ty na to, pastarze? Chciałbyś, żebym mu przebaczyła, co? Powiedziałam: Nie, ojcze! Kiedy mam na to ochotę, w pobliżu jest mnóstwo młodych mężczyzn, lepszych od starego diabła z jedną ręką, który porzucił matkę i dzieci, gdy byliśmy mali!

Samuel przełożył drąg na drugie ramię. Emma nie próbowała kryć się w lesie, szła na skróty tuż obok dworu w Trenwith. W dali pojawili się dwaj mężczyźni. Oznaczało to kłopoty, a Samuel szczególnie chciał ich uniknąć po zajściu z zeszłego roku. Poznał jednego z nadchodzących mężczyzn: był to Tom Harry, młodszy z braci Harrych, gajowych pana Warleggana, którzy wykonywali dla niego brudną robotę.

– Lobb bez przerwy choruje – powiedziała Emma. – Kiedy miał siedemnaście lat, poszedł do więzienia za kradzież jabłek i od tego czasu jego zdrowie szwankuje. Czasem zaglądam do niego, żeby zobaczyć, co słychać u jego dzieciaków. Ma ich piątkę... Ach, Tom, stary leniu, harowałeś przez cały dzień, gapiąc się na bażanty, co?

Tom Harry, barczysty mężczyzna z nalaną, czerwoną twarzą, był mniej brzydki z dwóch braci, lecz wyglądał równie groźnie. Emanowała z niego

brutalna siła kontrolowana przez prymitywny umysł rozumiejący tylko najprostsze pojęcia. Wyszczrzył zęby do Emmy, pożerając ją wzrokiem, po czym zerknął na Sama i w jego oczach natychmiast pojawił się lodowaty chłód.

– Hej, czego tu szukasz, co? – odezwał się. – Wynoś się, nim każę cię wyrzucić. Jack, zabierz tego durnia z naszej ziemi i dopilnuj, żeby tu się nie pokazywał!

– Samuel Carne niesie ten drąg dla mnie! – rzuciła ostro Emma. – To własność mojego brata Lobba i gdyby nie Sam, musiałabym dźwigać ten ciężar!

Tom obejrzał ją od stóp do głów, gapiąc się na sukienkę podwiewaną przez wiatr.

– Już nie potrzebujesz tego bęcwała, Emmo, bo zaniosę ten drąg prosto do Lobba. A teraz wynoś się, Carne!

– Sam przyniósł ten drąg aż tutaj, Tomie Harry, i poniesie go do końca – rzekła Emma. – Dlaczego miałbyś korzystać z jego pracy?

Tom spojrział na dziewczynę, a później na jej towarzysza. Jego umysł pracował powoli.

– Wynoś się stąd, Carne, albo dostaniesz w skórę! Robaki takie jak ty nie będą pełzać po majątku Warlegganów. Jack!

– Spróbuj go dotknąć, a więcej się do ciebie nie odezwę! – przerwała Emma. – Wybieraj!

Zapadła cisza. Tom Harry zastanawiał się.

– Dalej jesteś moją dziewczyną? – spytał.

– Tak samo jak zawsze, ani mniej, ani więcej. Nie jestem jeszcze twoją własnością i nigdy nie będę, jeśli zabronisz mi chodzić po swojej ziemi...

– Zawsze ci na to pozwalam! Pamiętaj, zawsze mówiłem, że możesz tędy chodzić. Ale to...

Nastąpiła krótka dyskusja, w trakcie której drugi mężczyzna spoglądał pustym wzrokiem to na Emmę, to na Toma. Samuel milczał, patrząc w stronę morza. Wreszcie dyskusja się zakończyła i dziewczynie i jej towarzyszowi pozwolono iść dalej. Szli w milczeniu, aż dotarli do Stippy-Stappy Lane prowadzącej w dół do Sawle. Emma się roześmiała.

– Widzisz? To proste, nie? Robią to, co im każą, rozumiesz?

– To prawda, co mówił? – spytał Samuel.

– Co?

– Że jesteś jego dziewczyną?

– No cóż... – Znow się zaśmiała. – Tak, jak powiedziałam. Mniej lub więcej. Chciałby się ze mną ożenić.

– A co ty na to?

– Ach, to zależy, nie? Nie pierwszy chłop prosi mnie o rękę.

– Pewnie nie ostatni.

Zerknęła na niego.

– Zdaje mi się, Samie, że dziewczyna jest silna tylko wtedy, gdy trzyma mężczyzn na sznurku. Jak już ją dostaną, jest po niej. Wtedy sama ma sznur na szyi. Zajmuj się domem, rób, co masz robić, rodź dzieci, piecz chleb, zamiataj podłogę, uprawiaj ziemię: stale to samo od nocy poślubnej aż do śmierci. Nie rozumiem, jak mogłabym poprawić swój los, wychodząc za kogoś za mąż.

Samuel przypomniał sobie plotki krążące o Emmie. Czuł do niej instynktowną sympatię, a poza tym widział w niej duszę, którą warto zbawić. Mimo to zdawał sobie sprawę, że gdyby zaczął z nią rozmawiać o sprawach duchowych, jak zwykle przyjęłaby to szyderczym śmiechem. Zeszli ze stromego wzgórza, docierając do zrujnowanych chat i składów na ryby znajdujących się na dole. Wokół straszliwie śmierdziały zepsute ryby, choć tego lata szprotki w ogóle nie pojawiły się u wybrzeży Kornwalii. Kilku młodych ludzi właśnie wróciło z połowu, a nad odpadkami pokrywającymi

plażę latały mewy, skrzecząc głośno. Smród nigdy nie znikał: nie był to tylko smród ryb.

Po prawej stronie zwirowej drogi znajdował się ostatni młyn kruszący rudę cyny, który wykorzystywał niewielki dopływ strumienia Mellingey. Emma podążyła w tę stronę.

Samuel był już tu wcześniej, bo w okolicy mieszkała Betty Carkeek, niedawno nawrócona, lecz nigdy nie spotkał Lobba Tregirlsa zajmującego sąsiednią chatę. Ze zdumieniem ujrzał bladego, pomarszczonego mężczyznę, zgarbionego, z przerzedzonymi, siwymi włosami. Lobb wyglądał na człowieka zbliżającego się do pięćdziesiątki, a nie dwudziestosześcioletka, jeśli wierzyć słowom Emmy. Otaczała go gromadka dzieci, które, zależnie od wieku, raczkowały lub pracowały – były półnagie, z nogami i ramionami chudymi jak patyki. Ich matka zbierała na plaży wodorosty.

Emma wniosła do chaty powiew świeżości i zdrowia. Śmiejąc się, przedstawiła Sama i powiedziała, że jej pomógł. Lobb uściśnął mu rękę, skinął głową, zatrzymał młyn i poprosił Sama, by pomógł mu założyć drąg. W trakcie tej operacji prawie się nie odzywał, a Samuel wykonywał jego polecenia, od czasu do czasu zerkając na różową bawełnianą sukienkę i rozwiane czarne włosy. Emma poszła na plażę przywitać się z bratową.

Po półgodzinie drąg był na właściwym miejscu i Lobb pociągnął za dźwignię, uruchamiając koło wodne. Samuel z zainteresowaniem obserwował, jak niewielki strumyk wody stopniowo znów uruchamia wielki młyn. Koło obracało metalowy bęben, w którym miarowo unosiły się żelazne bolce, poruszając w różnych odstępach wielkie młoty kruszące surową rudę wrzucaną do pochylni na górze. Całe urządzenie przypominało gigantyczną pozytywkę. Spływającą w dół wodę wykorzystywano w obrotowej płuczce oddzielającej rudę cyny od płonnej skały.

– Chyba powinienem być ci wdzięczny, Carne – rzekł Lobb. – Jesteś jednym z chłopów Emmy?

– Nie – odparł Sam.

– Myślę, że próbuje wybrać najlepszego. To mądre. Inaczej wpadnie jak śliwka w kompot. Wiele dziewczyn źle kończy, jeśli nie uważa.

Samuel spojrział na morze.

– Zdaje się, że muszę już iść.

W ostatnich latach rzadko czuł się tak niezręcznie jak wśród Tregirlsów. Mógł się nie zgadzać z Hoskinami, czy górnicy powinni brać sprawy we własne ręce, lecz nawet w razie sporu dyskusja opierała się na wspólnych przekonaniach: różnice polegały na tym, jak je interpretować. Tutaj było inaczej. Tego popołudnia Samuel rzadko wypowiadał długie, mądre zdania z Biblii, która stanowiła treść jego życia. Nie chodziło o to, że nie pasują do sytuacji – czuł się tak, jakby rozmawiał po angielsku z ludźmi znającymi tylko chiński. Znalazł się wśród pogan, dla których słowo Boże nie miało absolutnie żadnego znaczenia. Nie warto było strzepić sobie języka.

– Hej, popatrz! – odezwał się Lobb.

Ze wzgórza zjeżdżał mężczyzna na ośle. Miał na głowie kapelusz z szerokim rondem, a jego nogi prawie dotykały ziemi. Trzymał wodze jedną chudą, mocną ręką, druga spoczywała na łęku siodła i była zakończona żelaznym hakiem. Twarz miał pomarszczoną, lecz wesołą.

– Ojciec – rzekł z bezbrzeżną pogardą Lobb. – Nie chcę z nim gadać.

– Nawet jeśli nie możecie go znieść, czy nie powinniście zejść na dół i go przywitać? – spytał Sam.

– Posłuchaj – odparł Lobb – to nie twoja sprawa.

– Wiem, że was porzucił. Emma mi mówiła.

– Kiedy odszedł, wszyscy trafiliśmy do przytułku. Wiesz, jak wyglądają przytułki? Na taki los skazał matkę. Nagle wrócił, podlizuje się, przynosi

prezenty... Nie chcę z nim rozmawiać. Idź, jeśli masz ochotę, Carne. Dziękuję za pomoc.

Kiedy Sam zszedł na dół, Tholly zsiadł już z osła. Grzebał zdrową ręką w torbie wiszącej na haku zastępującym drugą dłoń.

– Widzicie? Miałem dziś rano w Redruth łut szczęścia, więc przywiozłem wam trochę rzeczy. Zobaczcie tylko! – Wyciągnął parę skórzanych bryczesów i uniósł je do góry. – Nie pasują na mnie. Pomyślałem, że mogą być dobre na Lobba. Kosztowały trzy szylingi i sześć pensów. Kawał grosza. Można je nosić jeszcze przez długie lata, długie lata.

– Dziękujemy, wujku Tholly – rzekła Mary Tregirls, obszarpana chuda kobieta, która pewnie jeszcze nie tak dawno była ładna. – Powiem Lobbowi, jak zejdzie z koła.

– Hej, Lobb! – wrzasnął Tholly, niezrażony niechęcią syna. – Kupiłem też coś dla Mary! – Zerknął na Sama. – Brat Drake’a Carne’a, co? Peter, tak?

– Sam.

– Sam Carne, co? Pomagałeś Lobbowi, tak? Wszyscy próbują pomóc Lobbowi, jeśli na to pozwala. Emma, mój mały ptaszek, ładna jak zawsze.

– Lepiej już pójdę, Emmo – odezwał się Samuel. – Powinienem być w domu przed szóstą. Jeszcze nie idziesz?

– Nie – odparła Emma, po czym zwróciła się do ojca: – Co masz dla Mary? Tholly wsadził dłoń do torby.

– Zobaczcie. Ciepła sukienka. Kosztowała cztery szylingi! To razem siedem szylingów i sześć pensów! Teraz nie powiecie, że wasz stary ojciec nigdy nic wam nie dał! O mało nie kupiłem ci czepka, Emmo, ale zabrakło mi pieniędzy! – Rozkaszał się straszliwie i w promieniach słońca rozbłysły kropelki lecącej śliny. – Peter! – zawołał za odwracającym się Samem.

– Mam na imię Samuel.

– Oczywiście. Jestem okropnie roztargniony. Uprawiasz zapasy, Sam?

Samuel się zawahał.

– Nie. Dlaczego pytasz?

– W przyszłym tygodniu jest święto i będę zapasy. Organizuję turniej. Nigdy nie uprawiałeś zapasów?

– Tylko jako chłopak.

– A jednak!

– Nie, to nie w moim stylu. Już nie. – Uśmiechnął się do Tholly'ego, by złagodzić odmowę. – Do widzenia, Emmo!

– Do widzenia – odpowiedziała dziewczyna. – Powinieneś przynieść jedzenie, ojciec, a nie stare łachy!

– Tak, tak. Czy to całe podziękowanie? Następnym razem kupię coś sobie! Sam!

– Tak? – Samuel znów się zatrzymał.

– Interesują cię szczeniaki buldogi? Mam dwie piękne sztuki. Wspaniałe, wspaniałe. Ostatnie z miotu. Przyjacielowi sprzedałbym jednego bardzo tanio. Są świetne do szczucia. Za rok...

– Dziękuję. – Samuel pokręcił głową. – Dziękuję, nie. – Odszedł.

Oddalając się, słyszał sprzeczkę na temat prezentów Tholly'ego, gdy tymczasem Lobb uparcie majstrował przy kole wodnym i nie schodził na dół.

Samuel pomyślał, że widział całą rodzinę Tregirlsów, dziewięciu kłótliwych, hałaśliwych, niezadowolonych, obdartych pogan. Wszyscy zasługują na zbawienie, ponieważ każda dusza jest cenna dla Boga, lecz Sam uważał, że tylko Emma budzi jakieś nadzieje. Jednak źródłem tej nadziei wydawało się raczej serce Sama, a nie Emmy.

Chociaż podobnie jak wszystkie istoty była grzeszna, po dzisiejszym spacerze i rozmowie Sam nie mógł uwierzyć w okropne rzeczy, jakie o niej opowiadano. Była taka szczerą, bezpośrednią, inteligentną, patrzyła i zachowywała się tak uczciwie, że nie wierzył, iż mogła ulec jakiemuś

mężczyźnie. I nawet gdyby okazało się to prawdą, biblijna analogia, która przyszła mu tamtego dnia do głowy w kopalni, w dalszym ciągu mogła pasować.

Jak skłonić Emmę do okazania skruchy? Jak uświadomić grzesznikowi, że tkwi w grzechu, gdy zupełnie nie zdaje sobie z tego sprawy? Powinien się modlić, by Bóg go oświecił.

Rozdział siódmy

1

Innym człowiekiem, który modlił się w tym czasie o oświecenie, był wielbny Osborne Whitworth, choć jego troski różniły się od problemów Sama. Dręczyły go dwie sprawy, jedna moralna, druga praktyczna.

Minęło już osiem tygodni, odkąd doktor Behenna powiedział Osborne'owi, że przed porodem musi zaprzestać stosunków z Morwenną.

– Jest pan dobrze zbudowanym mężczyzną, panie Whitworth, jeśli wolno mi tak powiedzieć, i za każdym razem ryzykuje pan, że dziecko zostanie zmiażdżone. Nie jestem zadowolony ze stanu zdrowia pani Whitworth. Z pewnością potrzebuje w tej chwili szczególnej troski i odpoczynku.

Ossie niechętnie się zgodził. Naturalnie rozumiał zasadność zalecenia Behenny i nie chciał zranić dziecka, zwłaszcza jeśli był to syn, lecz wymuszona wstrzeźliwość z każdym tygodniem stawała się coraz bardziej irytująca. Podczas ciąży pierwszej żony oczywiście musiał znosić podobne ograniczenia, jednak krócej niż obecnie. Poza tym pierwszą żonę mógł całować, tulić i pieścić, co sprawiało, że okres wymuszonej ascezy stawał się łatwiejszy do wytrzymania.

Ale jak całować, tulić i pieścić kobietę, która cofa się ze wstrętem, gdy jej dotyka, i sama nie chce go dotykać? Wydawało się to niemożliwe. Z tego powodu Ossie był pozbawiony możliwości prowadzenia życia seksualnego, którego ma prawo oczekiwać żonaty mężczyzna, i okazało się to dla niego

trudnym wyzwaniem. Tym trudniejszym, że w domu przebywała druga kobieta.

Naturalnie Rowella to jeszcze dziecko. Skończy piętnaście lat dopiero w maju. Mimo to była wysoka jak dorosła kobieta, poruszała się i mówiła jak kobieta, siedziała przy stole jak kobieta, a czasem uśmiechała się do Ossiego sekretnie jak kobieta. Niespecjalnie mu się podobała – długi nos, jasne brwi, chude, bezkształtne ciało. Zainteresowanie nią w sensie fizycznym wydawało się nonsensem – i do tego grzesznym nonsensem. Jednak na plebanii pracowały tylko dwie starsze kobiety jako pokojówki, a żona była smutną, milczącą istotą z wielkim brzuchem, toteż w tym towarzystwie Rowella wyróżniała się młodością i urodą.

Naturalnie w Truro nad rzeką znajdowały się spelunki, gdzie mógłby zapłacić za kilka przyjemnych chwil. Odwiedził je parokrotnie jako wdowiec i teraz również nie oparł się pokusie. Ale w mieście mającym trzy tysiące mieszkańców było to niebezpieczne, nawet jeśli nosił gruby płaszcz, zdejmował koloratkę, szedł szybko ciemnymi ulicami po zmroku. Ktoś mógł go poznać i donieść administratorom parafii, mógł zostać nawet obrabowany. I co wtedy? Gdyby jedna z kobiet go rozpoznała, mogłaby się posunąć do szantażu.

Ossie czuł się coraz gorzej.

Drugi problem miał związek z karierą kościelną i postanowił z kimś o tym porozmawiać. W końcu zwrócił się do George'a.

Zastał Warleggana w jego kantorze, dyskutującego o czyichś wiarygodnościach ze swoim stryjem Carym Warlegganem. George znalazł dla czas dopiero po półgodzinie. Osborne przedstawił mu swoją sprawę.

Dwa tygodnie wcześniej zmarł na ropień nerki wielebny Philip Webb, tytularny proboszcz parafii Sawle i Grambler, więc powstał wakat na tym stanowisku. Osborne zapragnął je otrzymać.

Whitworth poinformował George'a, że dochody z beneficjum wynoszą dwieście funtów rocznie. Jak wiadomo, wielebny Webb, mieszkający

w Londynie i Marazion, rzadko odwiedzał kościół w Sawle i funkcje proboszcza pełnił wielebny Odgers, który otrzymywał za to czterdzieści funtów rocznie. Osborne uznał, że nadarza się znakomita okazja powiększenia swoich dochodów, i napisał do dziekana i kapituły katedry w Exeter, dysponentów beneficjum, prosząc o mianowanie na wakujące stanowisko. Napisał również do swojego wuja Conana Godolphina, mającego wpływy na dworze, by się za nim wstawił. Doszedł do wniosku, że gdyby George napisał do dziekana i kapituły katedry w Exeter, mogłoby to ich skłonić do podjęcia pożądanej decyzji.

George beznamiętnie rozważał prośbę przedstawioną przez Ossiego. Nie było w niej nic niezwykłego, a jednak wzbudziła jego niezadowolenie. Chociaż sam zaaranżował małżeństwo kuzynki Elizabeth z tym młodym duchownym i doprowadził je do skutku mimo różnych przeszkód, a także obiekcji Morwenny, Whitworth budził w nim lekki niesmak. Ubierał się zbyt ekstrawagancko jak na pastora; mówił zbyt pewnym siebie głosem, wydawał się zarozumiały. George pamiętał długie targi na temat posagu. Ossie nie powinien zapominać – i najwyraźniej nie zdawał sobie z tego sprawy w wystarczającym stopniu – że chociaż dzięki jego małżeństwu Warlegganowie skoligacili się z ważnym rodem Godolphinów, to jednak sam jest płótką pod względem finansowym, podobnie zresztą jak Godolphinowie. Młody duchowny powinien okazywać większy szacunek starszemu, znacznie bogatszemu bankierowi, który zechciał wprowadzić go do swojej rodziny.

George wiedział, że Elizabeth nie jest zadowolona z wyglądu Morwenny. Dziewczyna miała woskową cerę i jej oczy dziwnie pociemniały, jakby przeżywała wewnętrzny dramat. Większość panien, które bogato wychodziły za mąż bez miłości, szybko dostosowywała się do sytuacji i jakoś sobie radziła. Podobnie powinna zareagować Morwenna. George nie miał cierpliwości do tej dziewczyny. Jednak Elizabeth obwiniała Ossiego.

Uważała, że to niemiły bufon, a nie wschodząca gwiazda Kościoła anglikańskiego. Pytana przez George'a o szczegóły, wzruszała ładnymi ramionami i odpowiadała, że nie wie nic konkretnego – Morwenna nic jej nie mówi. To po prostu ogólne wrażenie, które się pogłębiło w ciągu ostatniego roku.

Kiedy Osborne skończył, George milczał przez jakiś czas, obracając monety w kieszeni na zegarek, i spoglądał przez okno złożone z wielu kwadratowych szybek.

– Wątpię, czy mój wpływ na dziekana i kapitułę jest tak wielki, jak przypuszczasz – rzekł w końcu.

– Może nie wielki, ale jako właściciel dawnego majątku Poldarków w Trenwith jesteś największym właścicielem ziemskim w parafii – odpowiedział praktycznie Osborne. – Dziekan na pewno wzięłby to pod uwagę.

George spojrział na młodego człowieka. Osborne nigdy nie formułował swoich myśli zrećźnie. „Może nie wielki”, „dawny majątek Poldarków”. Gdyby napisał coś w tym duchu do dziekana, raczej by go nie przekonał. Jednak Ossie jest teraz członkiem rodziny. George nie lubił myśleć, że dokonał złego wyboru. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, elegancki przyjaciel w Londynie, zwłaszcza z koneksjami na dworze, jak Conan Godolphin, może mieć dużą wartość dla nowego posła do Izby Gmin usiłującego znaleźć swoje miejsce w Westminsterze, niepewnego własnej pozycji społecznej lub przyjaciół.

– Napiszę. Masz adres?

– Adresuję listy do dziekana i kapituły w Exeter. To wystarczy.

– Jak się czuje Morwenna?

Ossie uniósł brwi, zaskoczony zmianą tematu.

– Trochę niedomaga. Na pewno wróci do formy po urodzeniu dziecka.

– Kiedy poród?

– Uważa, że za miesiąc. Ale kobiety tak często się mylą... Pisząc list, George, zwróć uwagę dziekanowi, że ponieważ mieszkam w Truro, będę mógł lepiej nadzorować Odgersa, niż robił to Webb, a nawet od czasu do czasu wygłaszać kazania w Sawle w czasie pobytów w Trenwith.

– Niewykluczone, że pod koniec roku pojedę do Londynu, Osborne – rzekł George. – W następnym liście do wuja mógłbyś go poinformować, że spodziewam się możliwości złożenia mu wizyty.

Ossie zamrugał, wyrwany z zamyślenia. W głosie George'a Warleggana zabrzmiała żelazna determinacja.

– Naturalnie, George. Nie omieszkam tego zrobić. Wyjedziesz na dłużej?

– To zależy. Nic nie jest jeszcze przesądzone.

Przez chwilę panowało milczenie. Ossie wstał, zbierając się do wyjścia.

– Dodatkowe dochody byłyby bardzo użyteczne po narodzinach nowego członka rodziny.

– Zdaje się, że Odgers nie dostał podwyżki od dwudziestu lat – zauważył George.

– Słucham? Tak, to prawda. Cóż... będę musiał się zastanowić nad tą kwestią... Skądinąd przypuszczam, że życie na wsi jest bardzo tanie.

George również wstał. Zerknął do swojego biura, gdzie pracowało dwóch kancelistów, lecz się nie odezwał.

– Napiszę też do lorda Falmoutha – rzekł Ossie. – Chociaż nie jest bezpośrednio zainteresowany tą sprawą, ma duże wpływy. Myślałem także o zwróceniu się do twojego przyjaciela sir Francisa Basseta, mimo że nie miałem okazji poznać go osobiście. Na weselu Enysa...

– Myślę, że w następnych tygodniach ci dwaj dżentelmeni będą zbyt zajęci, by poświęcić uwagę twojej prośbie – odparł krótko George. – Na twoim miejscu nie zawracałbym im głowy.

– Sugerujesz, że będą zajęci wyborami uzupełniającymi? Słyszałeś, kogo popiera lord Falmouth?

– Dowiemy się na krótko przed wyborami.

2

Tej nocy Ossie dokonał bardzo niepokojącego odkrycia.

Kiedy Morwenna poszła spać, udał się do składziku, by znaleźć stare kazanie, które zamierzał wykorzystać jako podstawę własnego kazania w niedzielę. Znalazł plik papierów i już miał opuścić graciarnię, gdy zauważył błysk światła w ścianie. W drewnianym przepierzeniu dzielącym pomieszczenie od sypialni Rowelli znajdowała się szpara. Podeszedł na palcach i zajrzał przez otwór, lecz widok zasłaniała niebieska tapeta po drugiej stronie. Wyjął szpilkę, którą spięto arkusze papieru, i bardzo ostrożnie przebił tapetę. Zobaczył Rowellę w białej koszuli nocnej, czeszącą długie, proste włosy.

Szybko upuścił szpilkę, wymknął się na palcach z graciarni i poszedł do swojego gabinetu. Siedział w nim przez długi czas, przewracając stronicę kazania, lecz go nie czytając.

3

W środy Ross dokonywał cotygodniowej inspekcji Wheal Grace wraz z nadsztygarem Henshawe'em. Po zawale w kopalni, który wydarzył się w maju tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku, nie pozostawiał niczego przypadkowi i nie polegał na raportach podwładnych.

Tego dnia przed zejściem na dół zmienili zasady pracy na powierzchni kopalni. Rudę cyny ładowano na muły i transportowano do młynów, gdzie ją

kruszono. W kornwalijskich kopalniach istniał zwyczaj pakowania rudy do wielkich worków, które dwóch ludzi umieszczało na plecach trzeciego, a ten odnosił worek i rzucał na grzbiet muła. Ale wypełnione worki ważyły przeszło sto sześćdziesiąt kilogramów; ładowano je na karawany złożone z dwudziestu pięciu mułów, często dwa razy dziennie. Ross widywał ludzi, którzy zostali inwalidami wskutek dźwigania takich ciężarów, i zaproponował zakup dwukrotnie mniejszych worków.

Ku jego zaskoczeniu wywołało to sprzeciw tragarzy. Byli dumni ze swojej krzepy i podejrzewali, że po wprowadzeniu nowych worków kopalnia zatrudni więcej robotników, co zmniejszy zarobki. Henshawe i Ross przekonywali ich blisko dwie godziny, że zmiana ma na celu wyłącznie ich dobro. Dlatego rozpoczęli inspekcję kopalni dopiero po jedenastej. Tuż przed dwunastą dotarli do chodnika drążonego przez Sama Carne'a i Petera Hoskina na poziomie czterdziestu sążni.

– Nic dziś nie robią? – spytał Ross.

– Carne poprosił o wolny dzień, by odwiedzić brata, który zranił sobie obie nogi wskutek upadku, a Hoskin pomaga w kopaniu południowego kanału odpływowego.

– Samuel dobrze pracuje? Nie przeszkadza mu religia? Cóż, nie, trzeba przyznać, że metodyści są dobrymi robotnikami. Jak daleko się posunęli?

– Przeszło dwadzieścia metrów. Mierzyłem w zeszłym tygodniu. Skała jest twarda i robota idzie powoli.

Zgięci w pół, dotarli do końca chodnika. Świece na kaskach kopciły w zepsutym powietrzu. Światło padło na stosy kamieni na przodku.

Ross przykucnął, popatrzył na skały, potarł je w kilku miejscach poślinionym palcem.

– Żył kwarcowe i plamki rudy.

– Tak jest przez cały czas. Wcześniej pojawiały się masy skalne z drobnymi

żyłkami rudy.

– Problem polega na tym, że można kopać sześć metrów na zachód albo sześć metrów na wschód, a i tak minąć żyłę rudy o cały sążeń. Myśli pan, że warto kontynuować?

– Nie możemy być daleko od dawnych wyrobisk Wheal Maiden, sir. Eksploatował je pana ojciec i przez pewien czas przynosiły zyski. Tamte stare żyły na pewno są blisko.

– Tak, właśnie dlatego kopujemy w tym kierunku. Czy w Wheal Maiden kopano na głębokości czterdziestu sążni?

– Wątpię. Wheal Maiden stoi na wzgórzu...

– Tak... nie podobają mi się te szczeliny. Nie mam ochoty ryzykować kolejny zawał.

– Och, ryzyko jest bardzo małe. Można by tu wykuć komorę wielkości katedry i wszystko dalej by się trzymało.

– Jeśli ich stąd zabierzemy, możemy ich przerzucić na lepsze miejsce?

– Tylko do stemplowania pochyłego chodnika za Trevethan i Martin.

– Więc zostawmy ich tu jeszcze na jakiś miesiąc. Zakładam, że nie zaleje nas woda z Wheal Maiden?

– Boże broń! To mało prawdopodobne. Wheal Maiden zawsze była suchą kopalnią.

Powoli wrócili drogą, którą przyszedli, i wspięli się po wyślizganych, krzywych drabinach. Po chwili w górze pojawił się jasny punkt, który stopniowo się powiększał, aż w końcu przypominał wielkie usta rozwarte w ciemności. Wyszli na powierzchnię. Deszczowy dzień wydawał się zdumiewająco jasny.

Ross stał i rozmawiał z Henshawe'em jeszcze kilka minut. W trakcie dyskusji zauważył, że niedaleko dworu w Namparze stoi uwiązany koń. Gość? Zmrużył oczy, lecz nie potrafił rozpoznać konia. Jasny deresz, dobrze

utrzymany. Nowy nabytek Caroline? Kolejne zaloty sir Hugh Bodrugana?

Nad plażą Hendrawna wiatr rozwiewał drobną mżawkę, która z dala wyglądała jak obłoki dymu. Martwa fala, krajobraz pozbawiony barwy i kształtu. W dolinie pracowały dwa lub trzy młyny kruszące rudę. Wszyscy byli tak przyzwyczajeni do rytmicznego łoskotu i brzęku, że wymagało skupienia, by je usłyszeć. W tym roku na długim polu wyrosła mizerna trawa. Ross powinien spytać Basseta o wyniki jego eksperymentów rolniczych. O ile Basset zechce się z nim spotkać po odrzuceniu propozycji kandydowania do Izby Gmin. Wczoraj Ross wysłał list w tej sprawie.

Najpierw rozmawiał z Demelzą i zgodnie z Ross przewidywaniami jej reakcja była niespodziewana. Uważała, że nie powinien przyjmować propozycji Basseta. Podjął nieodwołalną decyzję, że odmówi, lecz zdecydowany opór żony dziwnie go zirytował.

– Byłaś rozczarowana, że odrzuciłem propozycję objęcia funkcji sędziego pokoju, która nie jest zbyt ważna, a teraz popierasz moją rezygnację ze startu w wyborach do Izby Gmin, co jest znacznie ważniejszą sprawą.

Demelza odgarnęła kosmyk włosów, który opadł jej na czoło.

– Ross, nie spodziewaj się, że zawsze będę postępować rozsądnie. Często rządzą mną uczucia, nie myśli. Nie potrafię wyrazić wielu rzeczy.

– Spróbuj – odpowiedział. – Nie raz bardzo dobrze potrafiłaś doskonale wyrażać to, co czujesz.

– Moim zdaniem... Moim zdaniem, Ross, żyjesz na ostrzu noża.

– Noża? Co masz na myśli?

– Nóż to nóż. Nożem jest to, co twoim zdaniem powinieneś zrobić, co dyktuje ci sumienie, dusza albo umysł. Jeśli tego nie robisz, jeśli się oddalasz... jak to nazwać...? kaleczysz się.

– Proszę, mów dalej. Jestem pod wrażeniem, naprawdę.

– Nie, nie powinieneś się śmiać. Poprosiłaś mnie, żebym powiedziała, co

myślę, i próbuję to zrobić. Jako sędzia pokoju uczestniczyłbyś w rozprawach i wydawałbyś wyroki. Czy mam rację? Pomagałbyś egzekwować prawo. Uważałam, że mógłbyś i powinienes to robić. Jeśli czasem popełniłbyś błąd, nigdy by cię to nie zламаło. Sprawowanie funkcji sędziego pokoju to twój obowiązek jako dżentelmena. Czy tak nie jest? W dalszym ciągu chciałabym, żebyś był sędzią pokoju. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, czy w Izbie Gmin nie musiałbyś zbyt często postępować wbrew sobie? – Demelza niecierpliwie odgarnęła włosy. – Nie mam na myśli tego, że musiałbyś się płaszczyć przed możnymi, tylko że musiałbyś robić coś, czego zabrania ci sumienie.

– Zbaczałbym z właściwej drogi – rzekł Ross.

– Tak. Czy to właściwe określenie? Zbaczałbyś z właściwej drogi.

– Sugerujesz, że jestem bardzo wyniosły i szlachetny.

– Żałuję, że nie potrafię lepiej tego wyrazić. Nie wyniosły. Nie szlachetny. Choć potrafisz być wyniosły i szlachetny. Często mam wrażenie, że zachowujesz się jak sędzia, który ma wydać wyrok. A kto siedzi na ławie oskarżonych? Ty sam.

Ross się roześmiał.

– Któż inny powinien siedzieć na ławie oskarżonych?

– Wydaje mi się, że większość mężczyzn w średnim wieku jest dość zadowolona z siebie – odparła Demelza. – A ty z każdym rokiem stajesz się coraz mniej zadowolony.

– Dlatego uważasz, że powinienem odmówić?

– Chcę, żebyś był szczęśliwy. Tak rozumię, Ross. Chcę, żebyś robił to, co sprawia ci przyjemność, ciężko pracował i żył pełnią życia. Nie mam ochoty patrzeć, jak próbujesz robić rzeczy, których nie potrafisz, i popierasz coś, z czym się nie zgadzasz. W ten sposób sam się pokaleczysz, bo uznasz, że poniosłeś klęskę.

– Daj mi dobrą zbroję. Wtedy nic mi się nie stanie.

– Sam sobie znajdź taką zbroję. Nie mam nic przeciwko temu!

Ross zakończył rozmowę, dodając z irytacją:

– Cóż, moja droga, twoje podsumowanie moich cnót i wad może być całkiem trafne, ale muszę szczerze wyznać, że moim zdaniem słusznie odmawiam. Przyczyną nie są powody podane przez ciebie, w ogóle jeszcze ich nie przedstawiłem. Prawdziwa przyczyna tkwi w tym, że nie mam ochoty być niczym fagasem. Nie należę do świata dobrych manier i wielkopańskiej mody. Jak wiesz, najczęściej jestem w stanie przestrzegać konwencjonalnych reguł, z wiekiem, jako człowiek względnie zamożny, coraz bardziej lubię życie rodzinne. Moja buntowniczość słabnie, ale rezerwuję sobie prawo do buntu. To, co zrobiłem rok temu we Francji, niewiele się różni od tego, co zrobiłem kilka lat wcześniej w Anglii. Teraz uważają mnie za bohatera, a poprzednio uważali mnie za renegata! Gdybym pełnił funkcję sędziego pokoju i wymierzał sprawiedliwość albo zasiadał w Izbie Gmin i uchwalał prawa, czułbym się jak największy hipokryta na świecie!

W pobliżu dworu Ross przypomniał sobie, że widział deresza już wcześniej – w zeszłym tygodniu – i miał rację.

Wszedł do salonu. Porucznik Armitage wstał na jego widok.

– Ross! Miałem nadzieję cię spotkać, ale obawiałem się, że się miniemy. Muszę zaraz jechać.

Uścisnęli sobie dłonie i prowadzili uprzejmą konwersację. Demelza była nieco zarumieniona, co zdarzało się tak rzadko, że Ross nie mógł tego nie zauważyć.

– Porucznik Armitage przywiózł mi roślinę z ogrodu swojego wuja – powiedziała. – To nowa, rzadka roślina. Mówi, że powinna się przyjąć pod ścianą biblioteki. To mag... Co o tym sądzisz?

– Niezupełnie z ogrodu wuja – rzekł Hugh Armitage. – Zamówił trzy i przysłano je w doniczkach. Namówiłem go, by rozstał się z jedną z nich, gdyż

postanowiłem ją podarować żonie mężczyzny, który uwolnił jego siostrzeńca z koszmarne go więzienia. Rozmawiałem z twoją żoną o tych roślinach, kiedy spotkaliśmy się w Tehidy w zeszłym tygodniu. Najlepiej rosną pod ścianami, są dość delikatne i pochodzą z Karoliny w Ameryce.

– Dla Demelzy każda nowa roślina to nowy przyjaciel, którego należy rozpieszczać i pielęgnować. Dlaczego miałbyś odjeżdżać? Zostań na obiedzie. Wybrałeś się na daleką wyprawę.

– Teague’owie zaprosili mnie na obiad. Obiecałem przybyć o drugiej.

– Pani Teague ma cztery niezamężne córki, których musi się pozbyć – zauważył Ross.

Armitage się uśmiechnął.

– Tak słyszałem. Ale sądzę, że będzie rozczarowana, jeśli żywi nadzieje tego rodzaju. Niedawno uciekłem z jednego więzienia i nie mam ochoty znaleźć się w drugim.

– Pesymistyczny pogląd na małżeństwo – zauważyła Demelza, również się uśmiechając.

– Ach, pani Poldark, mam pesymistyczny pogląd na małżeństwo tylko dlatego, że wielu moich przyjaciół żyje w nudnych, krępujących związkach. Dla wszechogarniającej miłości Heloizy, Chloe albo Izoldy w razie potrzeby poświęciłbym wszystko, nawet życie. Życie to w najlepszym razie efektowna błyskotka, prawda? Kilka chwil, kilka słów pośród ciemności. Prawdziwa miłość pozwala przebywać w świecie bogów.

Demelza znów się zarumieniła.

– Moim zdaniem pani Teague ma inny pogląd na tę sprawę – powiedział Ross.

– Cóż, liczę po prostu na znośny obiad – odparł Hugh Armitage.

Gawędząc, odprowadzili porucznika do drzwi, znów obejrzeni roślinę o ciemnozielonych, mięsistych liściach stojącą w glinianej doniczce przy

schodach, wyrazili zachwyt koniem, obiecali odwiedzić Hugh, gdy zdoła skłonić wuja, by przestał się zajmować absurdalnymi wyborami. Później patrzyli, jak zajmuje miejsce w siodle i przejeżdża ze stukotem przez mostek. Dotarwszy do zakrętu doliny, pomachał im ręką.

Kiedy porucznik Armitage zniknął z pola widzenia, Ross się rozejrzał i zobaczył, że Demelza ogląda roślinę.

– Zapomniałam spytać o jej nazwę.

– Powiedziałaś „mag”.

– Mag jakoś tam. Maglina?

– Może magdalena?

– Nie, nigdy sobie nie przypomnę.

– Trochę przypomina laur. Ciekawe, czy się przyjmie na wybrzeżu Kornwalii.

– Nie rozumiem, dlaczego miałyby się nie przyjąć – odpowiedział. – Pod murem.

– Na południowym wybrzeżu rośliny mają inne warunki. Gleba jest żyźniejsza, mniej piaszczysta. Cóż, możemy spróbować. – Demelza wstała.

– Wzrusza cię, kochanie? – spytał Ross, gdy weszli do salonu.

Zerknęła na niego z błyskiem skrępowania.

– Tak...

– Głęboko?

– Trochę. Ma takie ciemne, smutne oczy.

– Rozpromieniają się, gdy na ciebie patrzy.

– Wiem.

– Ty też się rozpromieniasz, gdy na niego patrzysz.

– Kim są ci ludzie, o których wspominał? – spytała. – Heloiza? Izolda?

– Legendarne ukochane. Znam opowieść o Tristanie i Izoldzie. Nie pamiętam, kto kochał Heloizę. Może Abelard? Moja edukacja była bardziej

praktyczna niż klasyczna.

– Żyje w krainie marzeń – rzekła Demelza. – A jednak nie jest marzeniem. Jest bardzo rzeczywisty.

– Mam nadzieję, że zawsze będziesz o tym pamiętać. Polegam na twoim cudownym zdrowym rozsądku.

– Cóż... tak. Próbuję pamiętać, że jest taki młody.

– Młody? Trzy, cztery lata młodszy od ciebie, nie więcej. Nie jest to przepaść nie do pokonania.

– Wolałabym większą różnicę wieku.

– Chciałabyś być stara? Cóż za pragnienie! – Objął ją, a ona natychmiast się o niego oparła. – Przypominasz roślinę potrzebującą podpórki – zauważył.

– Jestem po prostu trochę wstrząśnięta – odpowiedziała.

Rozdział ósmy

1

Tydzień później w wielkim salonie dworu w Tregothnan powoli spacerowali dwaj dżentelmeni. Była to duża sala, podniszczona, z cedrową boazerią. Fotele pochodziły z okresu panowania króla Jakuba I i były dość niewygodne, herby wymagały odkurzenia, a zawieszona pod sufitem flaga bitewna nadgryzła mole. Wysokiego, rzeźbionego gzymsu kominka strzegły cztery małe armatki z epoki elżbietańskiej.

Dwaj dżentelmeni czekali już od blisko trzech godzin. Dokładnie co godzinę pojawiał się ochmistrz z maderą i ciasteczkami. Mężczyźni przebywający w salonie, William Hick, burmistrz Truro, oraz Nicholas Warleggan, właściciel odlewni i bankier, byli zdenerwowani, lecz obaj okazywali to w różny sposób. Hick oblewał się potem, choć noc była zimna i w salonie panował chłód. Miał całkowicie mokrą chusteczkę i pachniał potem, jakby przez cały dzień zajmował się ciężką pracą fizyczną. Nicholas Warleggan zachowywał absolutny spokój i o jego zdenerwowaniu świadczył tylko trzask wyłamywanych palców.

– Niesłychane! – powtórzył po raz dziesiąty Hick. Nie był człowiekiem zdolnym do robienia oryginalnych uwag, a sytuacja już dawno wyczerpała jego inwencję. – Pożałowania godne... Zaprosił nas na wpół do ósmej, a nie przybył do dziesiątej! Ani słowa wyjaśnienia! Wyjątkowo nieprzyjemna sytuacja!

– Potwierdza ona słusność naszej decyzji – zauważył Warleggan.

– Co takiego? Eee... O tak. Na pewno. Naszej decyzji. – Hick znów zaczął się pocić. – Naturalnie.

– Powinien się pan uspokoić, przyjacielu – rzekł Warleggan. – Wie pan, co powiedzieć. Nie ma się czego obawiać. Wszyscy jesteśmy wolnymi ludźmi.

– Wolnymi ludźmi? Tak. Ale status sędziego miejskiego, wpływy... To oczekiwanie tylko pogarsza sprawę.

– Nie chodzi o status ani wpływy z racji urzędu sędziego, Hick. Przybył pan do Tregothnan, by zakomunikować Falmouthowi decyzję podjętą przez całą radę miejską. Jest pan tylko reprezentantem, posłańcem... Ach... Mam wrażenie, że może nie będziemy musieli czekać dłużej...

Na zewnątrz rozległy się hałasy – rżenie konia, kroki, odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Później trzasnęły kolejne drzwi i we dworze znów zapadła cisza.

Czekali kolejny kwadrans. Wreszcie w drzwiach pojawił się służący i powiedział:

– Jego lordowska mość przyjmie panów.

Poprowadzono ich przez wysoką, monumentalną salę do mniejszego salonu, gdzie lord Falmouth, odziany w zabłocony strój podróżny, jadł pasztet z dziczyzny.

– Ach, panowie, musieliście czekać – rzekł. – Proszę usiąść. Wypijcie ze mną kieliszek wina.

Hick zerknął na swojego towarzysza, po czym z niepewną miną zajął miejsce na końcu stołu. Nicholas Warleggan zrobił to samo, następnie gestem dłoni odmówił przyjęcia wina.

– Przyjechałem pośpiesznie z Portsmouth – rzekł Falmouth. – Spędziłem wczorajszy wieczór z przyjaciółmi w pobliżu Exeter. Interesy sprawiły, że dziś rano mój wyjazd się opóźnił, i nie miałem czasu nic zjeść po drodze.

– A zatem... – zaczął Hick i głośno odchrząknął. – Wasza lordowska mość niewątpliwie będzie chciał porozmawiać...

– Ponieważ musieli panowie długo czekać, od razu przejdę do rzeczy – przerwał wicehrabia. – Nowym posłem do Izby Gmin ma zostać Jeremy Salter z Exeter. Pochodzi ze starego, zasłużonego rodu, jest kuzynem sir Basila Saltera, głównego szeryfa hrabstwa Somerset. Łączy nas odległe pokrewieństwo i był już posłem z Arundel w hrabstwie Sussex. To odpowiedni kandydat, będzie doskonałym partnerem drugiego posła, kapitana Gowera. – Zjadł kęs i skinął w stronę służącego stojącego za jego krzesłem, który nałożył mu na talerz kolejny plaster pasztetu.

– W czasie pana nieobecności, milordzie, radni odbyli kilka spotkań i... – zaczął Hick.

– Tak – przerwał Falmouth i sięgnął ręką do kieszeni. – Oczywiście muszą znać jego nazwisko w pełnym brzmieniu. Oto ono. Proszę przekazać je radnym z samego rana. Będzie potrzebne w czasie wyborów. – Podał kartkę służącemu, ten zaś przekazał ją Hickowi, który ujął papier drżącymi palcami.

– A Arthur Carmichael? – spytał cicho Warleggan.

– Rozmawiałem z nim w Portsmouth. Tak, mógłby się przydać Truro ze względu na kontrakty z marynarką wojenną, lecz jest nieodpowiedni pod innymi względami.

Zapadło milczenie. Spocony Hick wypił łyk wina.

– Może jest pan zaskoczony, że przybyłem z panem Hickiem, milordzie – rzekł Warleggan. – Normalnie...

– Bynajmniej. Jest pan mile widzianym gościem. A teraz, panowie, jestem bardzo zmęczony po podróży, poza tym czeka was godzinna jazda do domu...

– Normalnie – ciągnął z naciskiem Nicholas Warleggan – normalnie pan Hick przybyłby sam, ale musimy zakomunikować waszej lordowskiej mości decyzję podjętą wczoraj wieczorem na spotkaniu grupy radnych miejskich.

Dlatego uznano, że przynajmniej jedna osoba powinna towarzyszyć burmistrzowi dziś wieczorem, by potwierdzić to, co ma do powiedzenia.

George Evelyn Boscawen, trzeci wicehrabia Falmouth, nalał sobie drugi kieliszek wina i wypił niewielki łyk. Nie spojrzął na delegatów rady miejskiej.

– Czy ma mi pan do powiedzenia coś, co nie może poczekać do jutra, panie Hick?

Hick jękał się przez chwilę.

– Wasza lordowska mość, we wtorek w moim domu odbyło się spotkanie, a wczoraj wieczorem drugie. W obu zgromadzeniach uczestniczyła liczna grupa radnych miejskich. W czasie tych spotkań wyrażano wiele krytycznych opinii na temat metody wyboru kandydatów na posłów do Izby Gmin w naszym okręgu. Jak wasza lordowska mość wie, rada miejska Truro od niepamiętnych czasów ma ogromne zaufanie do rodu Boscawenów i darzy go wielką przyjaźnią i szacunkiem. Wasza lordowska mość, a wcześniej pana szanowny stryj byliście sędziami w naszym okręgu wyborczym. Dwóch przedstawicieli pańskiego rodu pełniło funkcję posłów w kilku sesjach parlamentarnych. Wybierano ich uczciwie, bezinteresownie, swobodnie, bez przekupstwa, w sposób przynoszący zaszczyt kandydatom i elektorom. Jednak w ostatnich czasach, w ciągu ostatniej sesji parlamentu i wcześniej...

– Proszę dać spokój, panie Hick – przerwał ostro wicehrabia. – Co chce mi pan powiedzieć? Jestem zmęczony, jest już późno. Jeremy Salter to bardzo dobry kandydat i nie ma żadnych przeszkód, by go wybrano.

Hick wypił łyk wina.

– Gdyby wasza lordowska mość zadowolili się wyborem do parlamentu dwóch członków własnego rodu, co nie wiązałoby się z żadnymi kosztami ani kłopotami, pana wpływy pozostałyby tak wielkie jak zawsze. Nikt nie byłby w stanie ich ograniczyć...

– Kto sugeruje... kto ośmiela się sugerować, że moje wpływy mogą zostać ograniczone? – spytał lord Falmouth.

Hick zakasłał. Nie mógł wykrztusić słowa. Otarł twarz moką chusteczką.

– Pan Hick chciałby powiedzieć, milordzie, że rada miejska nie może być dłużej traktowana jak prywatna własność waszej lordowskiej mości – odezwał się Nicholas Warleggan. – Podjęliśmy wczoraj wieczorem taką decyzję i potwierdzą ją jutrzejsze wybory.

Przez chwilę panowała martwa cisza. Falmouth spojrział na Warleggana, a następnie na Hicka. Później wrócił do posiłku.

Ponieważ nikt się nie odezwał, Warleggan ciągnął:

– Z całym szacunkiem, milordzie, ośmielam się zauważyć, że tę zmianę naszego nastawienia wywołało dziwne, a nawet – posunę się do takiego stwierdzenia – niewłaściwe i niewdzięczne traktowanie rady miejskiej przez waszą lordowską mość. Rada, znana z otwartości i niezależności, pragnie podtrzymać swoją reputację, lecz jak ma to zrobić, gdy sędzia miejski sprzedaje mandat osobie oferującej najwyższą cenę i dopiero w przeddzień wyborów informuje radę, na kogo ma głosować?! To nadużycie praw rady, które czyni nas pośmiewiskiem całego kraju!

– Sami robicie z siebie pośmiewisko, przychodząc tu i mówiąc takie rzeczy. – Falmouth odwrócił się w stronę służącego. – Ser.

– Tak jest, milordzie.

– Poza tym jestem pewien, że nie reprezentujecie większości rady miejskiej, tylko niewielką grupkę malkontentów...

– Większość, milordzie! – wtrącił Hick.

– To się okaże. Przekonamy się jutro. Zobaczymy, kim są ludzie – jeśli tacy są – którzy zostali radnymi po tym, jak wyrazili najgłębszą lojalność wobec rodu Boscawenów, a następnie złamali swoje przyrzeczenia dla korzyści materialnych...

– Nie ma korzyści – odpowiedział ciepło Nicholas Warleggan. – Korzyści odnosi wasza lordowska mość. Wiemy z doskonałych źródeł, że próbując sprzedawać mandaty swoim przyjaciółom, wasza lordowska mość nieustannie się skarży, że ponosi ogromne wydatki na utrzymanie miasta. Podobno wasza lordowska mość twierdzi, że pokrył koszty budowy nowego cmentarza i domu pracy dla ubogich. To nieprawda. Wasza lordowska mość nie przekazał ani pensa na dom pracy dla ubogich i ofiarował miastu ziemię na cmentarz, wartą około piętnastu funtów, wraz z trzydziestoma gwineami w gotówce w ramach publicznej zbiórki. Ja sam wpłaciłem sześćdziesiąt gwinei, a pan Hick piętnaście. Inni dokonali podobnych wpłat. Nie jesteśmy sprzedajnym okręgiem wyborczym, milordzie. Właśnie dlatego jutro zamierzamy odrzucić kandydata waszej lordowskiej mości.

Ze stołu zabrano pasztet. Przed gospodarzem postawiono ser i słój z figami w syropie. Lord Falmouth wyjął figę i zaczął ją gryźć.

– Rozumiem, że macie kontrkandydata?

– Tak, milordzie – odparł Hick.

– Mógłbym poznać jego nazwisko?

Zapadła cisza, po czym odezwał się drugi przedstawiciel rady miejskiej.

– To mój syn George Warleggan. Poproszono go, by zgodził się kandydować.

– Ach, teraz widać, kto za tym stoi... – rzekł Falmouth.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do salonu wszedł wysoki, przystojny młody człowiek o ciemnych oczach.

– Przepraszam, wuju. Słyszałem, że wróciłeś, i nie wiedziałem, że masz gości.

– Ci dżentelmeni właśnie wychodzą. Będę wolny za dwie minuty.

– Dziękuję. – Młody człowiek wyszedł.

Falmouth dopił wino.

– Myślę, że nie ma już nic więcej do dodania. Wszystko jest jasne. Życzę panom dobrej nocy.

Nicholas Warleggan wstał.

– Chciałbym pana poinformować, milordzie, że to nie ja zgłosiłem kandydaturę swojego syna. On także tego nie zrobił. Wyboru dokonali inni członkowie rady, którym nie podobają się pańskie metody.

– A zatem sir Francis Basset znowu pręży muskuły, tak? Cóż, jutro się przekonamy. Jutro się dowiem, kto jest moim przyjacielem, a kto wrogiem. Dobrze to zapamiętam.

– Jeśli wasza lordowska mość tak traktuje te wybory, nie możemy już nic zrobić – rzekł Warleggan, zbierając się do wyjścia.

– Panie Hick, na pewno pamięta pan kontrakt na dywany dla gmachu dowództwa marynarki wojennej w Plymouth – odezwał się lord Falmouth. – Pańskie listy w tej sprawie, które przechowuję w swoim biurku, to bardzo ciekawa lektura.

Hick spurpurowiał. Wydawało się, że za chwilę się rozplacze.

– Chodźmy, Hick – powiedział Warleggan, biorąc burmistrza za ramię. – Nie możemy zrobić nic więcej.

– Hawke, wyprowadź tych dżentelmenów – rozkazał Falmouth. Zjadł plaster sera.

– Wicehrabio! – wykrztusił Hick. – Naprawdę muszę zaprotestować...!

– Chodźmy, przyjacielu – powtórzył niecierpliwie Warleggan. – Zrobiliśmy to, co nam polecono, i nie ma sensu zostawać dłużej.

– Proszę pozdrowić ode mnie swoich przyjaciół – dodał Falmouth. – Wyświadczyłem przysługi wielu z nich. Przypomnę im o tym rano.

Rozeszły się pogłoski, że w czasie wyborów uzupełniających może dojść do walki. Wielebny Osborne Whitworth, jeden z wybitnych obywateli Truro, był w naturalny sposób zainteresowany wynikiem. Zwłaszcza wtedy, gdy się okazało, że jednym z kandydatów będzie George Warleggan, spowinowacony przez małżeństwo.

Dlatego Ossie był wyjątkowo zirytowany, gdy o szóstej rano w dniu wyborów jego żona poczuła pierwsze bóle porodowe. Whitworth, który nie był członkiem rady miejskiej, nie zostałby wpuszczony do sali, gdzie odbywały się wybory, lecz miał nadzieję, że znajdzie się w niewielkiej grupce ludzi zebranej na zewnątrz. Mógłby wtedy obserwować rozwój wypadków i poznać wyniki jako pierwszy. Ale o dziesiątej trzydzieści – dwa kwadransy przed rozpoczęciem wyborów – doktor Daniel Behenna, towarzyszący Morwennie od godziny – posłał Rowellę, by przywiozła Ossiego do domu. Whitworth spotkał się z lekarzem w niewielkim saloniku na piętrze, z którego korzystały dziewczęta, wtedy gdy Ossie grał w karty z przyjaciółmi na parterze. W pomieszczeniu znajdowały się kołowrotek, kosze z robótkami, tamborek do haftowania i dziecięce ubranka przygotowywane przez Morwennę.

Behenna odczekał, aż Rowella wyjdzie, po czym rzekł:

– Panie Whitworth, muszę pana poinformować, że pojawiły się komplikacje w *accouchement*, których nikt nie mógł przewidzieć. Chociaż pierwsza faza porodu przebiegła normalnie, pańska żona jest teraz w krytycznym stanie.

Ossie popatrzył na lekarza.

– O co chodzi? Proszę mi powiedzieć. Czy dziecko nie żyje?

– Żyje, ale obawiam się, że zarówno matka, jak i dziecko są w poważnym niebezpieczeństwie. – Behenna wytarł ręce brudną ścierką. – Kiedy ukazała się główka dziecka, pani Whitworth dostała konwulsji. Po chwili minęły, lecz

po pojawieniu się kolejnych skurczów porodowych wróciły. Chciałbym zauważyć, że to bardzo rzadki przypadek w czasie porodu. *Musculorum convulsio cum sopore*. Mimo wieloletniego doświadczenia spotkałem się z tym zaledwie trzykrotnie.

Osborne czuł mieszaninę niepokoju i złości.

– Co należy zrobić? Mogę iść i zobaczyć Morwennę?

– Odradzałbym. Zastosowałem kamforę, a także *tartaris antimonii*, lecz działanie emetyczne jak dotąd nie zmniejszyło konwulsji.

– A teraz? Co się dzieje teraz, gdy pan ze mną rozmawia? Zdoła pan uratować dziecko?

– Po ostatnim ataku pana żona straciła przytomność. Czuwa przy niej pani Parker i wezwie mnie po pierwszej oznace...

– Nic z tego nie rozumiem! Pani Whitworth czuła się dość dobrze do dzisiejszego ranka. Prawie nie wstawała, prawie nie wstawała, to przecież pan zabronił jej wstawać, prawda? Nie miała gorączki.

– W przeszłości zauważyłem, że damy cierpiące na konwulsje odznaczają się wrażliwą, niespokojną naturą. Nerwowość, która może doprowadzić do tego stanu, wydaje się wywołana niestabilnością emocjonalną, przesadnym lękiem lub smutkiem. Pani Whitworth musi być bardzo nerwowa...

Z sąsiedniego pokoju dobiegł zduszony wrzask, po którym nastąpił przeciągły, piskliwy krzyk. Ossie pobladł.

– Muszę iść teraz do pani Whitworth – rzekł Behenna, wyjmując z kieszeni szpatułkę. – Proszę się nie obawiać, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, zastosujemy wszelkie metody medyczne i chirurgiczne i znaną nam wiedzę. Wysłałem pańską pokojówkę po pana Rowe, aptekarza. Po jego przybyciu otworzymy żyłę szyjną i puścimy pacjentce znaczną ilość krwi. To powinno złagodzić konwulsje. A tymczasem... cóż... nie zaszkodziłaby modlitwa za pana żonę i dziecko...

Z tego powodu Ossie nie mógł uczestniczyć w wyborach. Zszedł do swojego gabinetu, a następnie udał się do ogrodu, by nie słyszeć nieprzyjemnych hałasów dobiegających z góry. Był ładny dzień, chwilami świeciło słońce, chwilami pojawiały się chmury; trwał przypływ. W tym rejonie rzeki woda osiągała tak wysoki poziom tylko w czasie pełni i nowiu, poza tym widać było błotniste brzegi, na których śpiewały rybitwy i czajki. Pojawiały się także łabędzie, karmione często kawałkami chleba przez Morwennę i dziewczynki. Teraz płynęły w stronę Ossiego, wyciągając szyje i poruszając ogonami – spodziewały się, że coś dla nich przyniósł. Odpędził je złamaną gałęzią i popatrzył nad wodą na gęstwinię zielonych drzew na drugim brzegu, rozmyślając o swoim pechu.

Jego pierwsza żona zmarła w podobnych okolicznościach – co prawda nie w czasie porodu, tylko na gorączkę połogową. Urodziła bez najmniejszych trudności. Spodziewał się, że Morwenna także urodzi bez komplikacji. Miała dość szerokie biodra. Chciał mieć syna, który odziedziczyłby jego nazwisko. Oczywiście każda rodząca kobieta jest stale narażona na śmierć: jako duchowny uczestniczący w pogrzebach przyzwyczaił się do widoku młodych mężów z małymi dziećmi, płaczących nad grobami. Jeszcze nie tak dawno sam był takim mężem.

Jednak wiele kobiet – potrafiłby wskazać liczne przykłady – rodziło jedno dziecko po drugim, rok po roku, bez żadnych problemów. Miały dziesięcioro, piętnascioro dzieci i ponad połowa przeżywała, one same zaś dożywały starości – często żyły dłużej od mężów, którzy musieli bez przerwy pracować, by utrzymać powiększającą się rodzinę. Byłoby niedobrze, gdyby Morwenna umarła jak Esther, na dodatek razem z dzieckiem – z pewnością chłopcem.

Mniej więcej pół godziny po wyjściu do ogrodu Ossie zobaczył przybywającego pana Rowe, aptekarza. Zerknął na zegarek. Była dwunasta

w południe i wybory musiały się już zakończyć. Dwadzieścia pięć osób powinno szybko oddać głosy. Zastanawiał się, czy nie wpaść na chwilę do ratusza, który znajdował się zaledwie półtora kilometra od plebanii. Mógłby wrócić za pół godziny. W końcu się rozmyślił. Nie zrobiłoby to dobrego wrażenia na parafianach. Gdyby Morwenna zmarła w czasie jego nieobecności, wyglądałoby to jeszcze gorzej.

Z domu wyszła śpiesznie Rowella, zbiegła po schodach, zawiązując po drodze czepek, i pobiegła w stronę miasta. Co teraz? Ossie spoglądał za nią, po czym odwrócił się znowu w stronę ogrodu. Ten szelma Higgins nie przyciął równo skrajów trawnika: trzeba mu o tym przypomnieć. Ossie popatrzył na plebanię. Tej nocy dwa razy chodził na poddasze, by szukać kazania, lecz nie miał szczęścia: nie dostrzegł Rowelli przez dziurkę w ścianie i niczego nie zobaczył, choć ośmielił się nieco powiększyć otwór.

Jeśli Morwenna umrze, czy straci kontakt z Warlegganami? Wprawdzie dostał pieniądze, lecz żałowałyby utraty ich przyjaźni. Przypuśćmy, że zainteresowałyby się Rowellą? Ona również jest kuzynką Elizabeth. Ale czy George okazałby się tak hojny po raz drugi? Wydawało się to mało prawdopodobne. Rowella będzie musiała wrócić do Bodmin, a Ossie, trzydziestodwuletni, dwukrotnie owdowiały, wybitny młody duchowny z ładnym kościołem i rocznym dochodem w wysokości trzystu funtów – czterystu sześćdziesięciu, jeśli uzyska beneficjum w Sawle – stanie się znakomitą partią jako syn sędziego, krewny Godolphinów i powinowaty Warlegganów. Matka niejednej córki będzie zerkać na niego łakomym wzrokiem. Tym razem nie będzie się śpieszył, starannie się rozejrzy, zobaczy, jakie panny są do wzięcia. Kilka wydawało się rozsądnymi partiami pod względem finansowym. Betty Michell? Loveday Upcott? Joan Ogham? Powinien poszukać panny, która nie tylko będzie dysponowała rozsądnym posagiem i spodoba mu się jako kobieta, ale też sama zafascynuje się nim jako

mężczyzną. Nie powinno to być bardzo trudne. Kiedy patrzył na siebie w lustrze, nie wątpił, że może być atrakcyjny dla kobiet. Jedynie Morwenna się nie sprawdziła. Podejrzywał, że robi wrażenie nawet na Rowelli, która czasem zerkała na niego ukradkiem.

Spacerował nad rzeką, aż zobaczył powracającą Rowellę. Bardzo się śpieszyła. Zatrzymał ją, zastępując jej drogę.

– Są jakieś wiadomości o twojej siostrze? Po co chodziłaś? Jak się czuje? Powiedz mi!

Rowella spojrzała na Ossiego, jej warga zadrżała.

– Doktor Behenna wysłał mnie po to do swojego domu. – Uniosła torbę utrzymaną w ręce. – Kiedy wychodziłam, Morwenna była spokojniejsza, ale nie wolno mi tam wchodzić. – Przeszła obok Ossiego.

Whitworth ruszył przez ogród w stronę kościoła. Przy ścieżce znajdował się nagrobek Esther ze świeżym bukietem laków wonnych w wazonie. Osborne zastanawiał się, kto je tam przyniósł. Wszedł do kościoła i zbliżył się do ołtarza. Był dumny ze swojej rozległej parafii, obejmującej trzy główne ulice Truro. W tym okręgu mieszkał niegdyś Condorus, ostatni przywódca Celtów, który zginął wkrótce po podboju Anglii przez Normanów. Co niedziela do kościoła Ossiego przybywali zamożni właściciele ziemscy, by oddawać cześć Bogu. Chociaż otrzymywał niewysokie wynagrodzenie jako proboszcz, było to dobre stanowisko.

Tego dnia kościół był pusty. Doktor Behenna bezczelnie zasugerował, że Osborne powinien się pomodlić za zdrowie żony i dziecka. Wielebny robił to codziennie przed udaniem się na spoczynek. Czy obecna sytuacja uprawnia Ossiego do przypuszczenia, że Bóg w swojej nieskończonej mądrości nie wysłuchał jego codziennych modlitw? Czy rzeczywiście powinien zwracać uwagę Boga na coś, co mógł przeoczyć? Nie wydawało się to właściwe. Nie wydawało się to właściwe z punktu widzenia religii. Znacznie lepiej

przyklęknąć na chwilę i pomodlić się, by Ossie miał siłę dźwigać ciężar, który Bóg w swojej łaskawości raczy złożyć na jego barkach. Drugie wdowieństwo w tak młodym wieku – dwójka małych dzieci po raz drugi pozbawiona matki. Pusty dom. Kolejny grób.

Ossie klęczał przed ołtarzem z pochyloną głową i w takiej pozie dwadzieścia minut później znalazł go lekarz. Whitworth wyglądał odpowiednio do sytuacji – z pozoru mogło się wydawać, że spędził dwie godziny, prosząc Boga o ocalenie ukochanej żony i dziecka.

Gdy usłyszał kroki, zachnął się i rozejrzał z irytacją, jakby przerwano mu modlitwę.

– Doktor Behenna! Co się stało?

Behenna niedbale narzucił na plecy aksamitny surdut. Miał poplamioną koszulę i rozpięty kołnierzyk.

– Ach, wielebny Whitworth... Kiedy nikt nie mógł pana znaleźć, pomyślałem, że poszukam pana w kościele.

Ossie popatrzył na lekarza. Oblizął wargi, lecz się nie odezwał.

– Ma pan syna, panie Whitworth.

– Na Boga! – zawołał Ossie. – Naprawdę? Żywego i zdrowego?

– Żywego i zdrowego. Waży blisko trzy kilogramy.

– To mało, prawda?

– Nie, nie, to normalna waga.

– Obie dziewczynki ważyły więcej. Zdaje się, że każda ważyła trzy i pół kilograma. Ale oczywiście matka była inna. Na Boga, jakże się cieszę! Syn! Ach, do licha! Wie pan, że zawsze chciałem mieć syna, by kontynuował ród? My, Whitworthowie, mamy długą genealogię, a ja jestem jedynym dziedzicem. Podobno trudno było mnie urodzić: ważyłem przeszło cztery i pół kilograma. Moja matka będzie zadowolona. Syn jest całkowicie zdrowy? Wybrałem już imię. John Conan Osborne Whitworth, na pamiątkę naszego pokrewieństwa

z Godolphinami. A zatem...?

– Pani Whitworth przeżyła bardzo ciężkie chwile. Teraz śpi.

– Śpi? Wyzdrowieje?

– W tej chwili można mieć taką nadzieję. Muszę powiedzieć, że kiedy ostatnio rozmawialiśmy, byłem bardzo zaniepokojony jej stanem. Nieustanne konwulsje bezpośrednio zagrażały życiu jej i dziecka. Gdyby trwały jeszcze kwadrans, oboje by umarli. Ale przecięcie żyły szyjnej zakończyło się sukcesem. Po utracie dużej ilości krwi pana żona natychmiast się uspokoiła i chwilę później urodziło się dziecko. Należało usunąć łożysko, naturalnie z niezwykłą ostrożnością, by moje zabiegi nie podrażniły macicy, co mogłoby wywołać nawrót konwulsji, a nawet jej wypadnięcie. Ale wszystko skończyło się dobrze. Pańskie modlitwy zostały wysłuchane, panie Whitworth, a zręczność lekarza została wynagrodzona!

Ossie spojrzał przenikliwie na Behennę. Nagłe zakończenie kryzysu wprowadziło go w lekkie zdumienie. Był człowiekiem zrównoważonym emocjonalnie: nie potrafił w jednej chwili zapomnieć o tym, że wkrótce ma zostać wdowcem, i odczuwać radości jako szczęśliwy mąż i ojciec. Przyszło mu do głowy, że lekarze niekiedy wyolbrzymiają niebezpieczeństwa związane z chorobą, aby pacjenci byli im bardziej wdzięczni za pomoc. Pomyślawszy o tym, zmarszczył brwi.

– Chłopiec... Kiedy mogę go zobaczyć?

– Za kilka minut. Szybko przyszedłem, by pana uspokoić, lecz jest jeszcze coś do zrobienia. – Behenna, zdetonowany chłodem szczęśliwego ojca, również zmarszczył brwi. – Chciałbym pana ostrzec, panie Whitworth. Chodzi o pana żonę.

– Tak? Powiedział pan, że jest zdrowa.

– Wydaje się zdrowa, ale przeżyła ciężkie chwile. Teraz zapadła w głęboki sen i nie wolno jej budzić. Oczywiście pozostawię położnej dokładne

instrukcje. Kiedy pana żona w końcu się obudzi, prawdopodobnie nie będzie pamiętać porodu, zwłaszcza konwulsji. Pod żadnym pozorem nie wolno jej o nich mówić. Miałoby to szkodliwy wpływ na jej emocje i mogłoby doprowadzić do poważnej choroby nerwowej.

– Ach, w takim razie najlepiej nic nie mówić, prawda? – powiedział Ossie.

– To proste. Wydam rozkazy domownikom.

Behenna zbierał się do odejścia.

– Może pan zobaczyć swojego syna za dziesięć minut, panie Whitworth.

Wyszedł z kościoła w sposób, który sugerował dezaprobatę dla zachowania duchownego.

Ossie podążył za lekarzem. Znowu świeciło słońce i popatrzył na ścieżkę zmrużonymi oczyma. John Conan Osborne Whitworth. Osobiście ochrzci syna, gdy tylko Morwenna wstanie. Można nawet wydać przyjęcie. Jego matka będzie zadowolona. Małżeństwo z Morwenną Chynoweth nigdy nie budziło jej entuzjazmu: uważała, że mógłby znaleźć lepszą kandydatkę. Zaprosi George'a i Elizabeth, a także inne wpływowe rodziny. Polwhele'ów, Michellów, państwa Andrew, Thomasów...

Już miał wejść do domu, gdy zauważył wysokiego, chudego, blisko trzydziestoletniego młodego mężczyznę w okularach, który szedł ścieżką koło kościoła i niósł niewielką paczkę, kierując się w stronę frontowych drzwi plebanii.

– Czego tu szukasz? – spytał ostro Ossie.

– Och, przepraszam, pastorze. Nie zauważyłem pana, bo szedłem pod słońce. Dzień dobry, sir.

– Hawke, prawda?

– Nie. Solway, sir. Arthur Solway. Z biblioteki miejskiej.

– Tak, tak... – Ossie z roztargnieniem skinął głową. – Czego chcesz?

– Przyniosłem książki, sir. Prosiła o nie panna Rowella. Dla siebie i dla

pani Whitworth. Powiedziała... powiedziała, że mogę je przynieść.

– Ach, rzeczywiście. – Ossie wyciągnął rękę. – Nie powinieneś teraz wchodzić do domu. Wezmę je.

Solway się zawahał.

– Dziękuję, sir. – Podał Whitworthowi paczkę, lecz z pewnym ociąganiem.

– Co to takiego? Romanse? – Whitworth spoglądał z niesmakiem na pakunek. – Nie wydaje mi się...

– O nie, sir. Jedna książka o ptakach, a pozostałe o historii. Pierwsza o historii Francji, a druga o starożytnej Grecji.

– Hm... – mruknął Ossie. – Oddam je panie Chynoweth.

Solway zbierał się do odejścia.

– Sir, gdyby zechciał pan powtórzyć panie Chynoweth, że książka po grecku jeszcze nie została zwrócona...

Whitworth kiwnął głową, odprowadzając młodego człowieka, i wszedł do domu. Bibliotekę publiczną otwarto przed czterema laty przy Princes Street: gromadziła około trzystu książek na różne tematy. Whitworth nigdy nie aprobował tego pomysłu, bo w gruncie rzeczy nie dawało się sprawdzić, co zawierają te książki. Trzy czwarte miało świecki charakter i narażało nieukształtowane, pozbawione edukacji umysły na kontakt z myślami i ideami, które wykraczały poza ich zdolność zrozumienia. Solway to bibliotekarz – teraz sobie przypominał. Powinien ostrzec Morwenę – a także Rowellę – przed złymi nawykami, w które mogą popaść. Później przypominał sobie o czymś jeszcze.

– Zaczekaj – rzekł do odchodzącego młodego mężczyzny.

– Sir?

– Powiedz mi. Może coś wiesz. W bibliotece na pewno plotkowano. Dziś odbyły się wybory?

– O tak, sir, jakieś dwie godziny temu. W sali rady miejskiej. Wszyscy byli

bardzo podekscytowani...

– Tak, wiem, wiem. Kogo wybrano?

– Ach, pastorze, panowało wielkie podniecenie, bo, jak słyszałem, wszystko rozstrzygnęło się o włos. Trzyście głosów do dwunastu. Trzyście do dwunastu. Dosłownie o włos!

– I...?

– Podobno kandydat lorda Falmoutha przegrał. Jak on się nazywa? Dziwne nazwisko, chyba Salter...

– Więc chcesz powiedzieć...

– Wybrano kandydata sir Francisa Basseta, zwyciężył jednym głosem. Wszyscy o tym mówią! Wygrał pan Warleggan, sir! Nie ojciec, ale syn. Pan George Warleggan, bankier. Ogromnie ekscytujące! Zwycięstwo o włos! Dosłownie o włos!

– Dziękuję. To wszystko, Solway. – Osborne się odwrócił i ruszył powoli w stronę plebanii.

Stał przez chwilę na schodach przed frontowymi drzwiami i patrzył za odchodzącym młodym mężczyzną. Ale myślał o czymś innym.

Wiatr rozwiał mu włosy. Przypomniał sobie, że jest głodny, i wszedł do domu.

Rozdział dziewiąty

1

W miesiącu narodzin Johna Conana Osborne'a Whitwortha do Kornwalii dotarły najpierw plotki, a następnie pewne wiadomości, że generał, którego nazwiska Ross Poldark nigdy nie mógł zapamiętać, dokonał niezwykłych czynów wojennych w północnych Włoszech. Na czele czterdziestu tysięcy Francuzów, źle uzbrojonego, obdartego, często bosego i wygłodzonego motłochu – żołnierze żywili się głównie chlebem i kasztanami – przekroczył Alpy, stoczył sześć bitew, pokonał Austriaków i Piemontczyków i piętnastego dnia miesiąca zdobył Mediolan. Podobno od dwóch lat przekonywał przełożonych do tego planu i w końcu pozwolili mu go zrealizować, po czym odniósł sukces mimo niesprzyjających warunków terenowych, wbrew wszelkim regułom sztuki wojennej. Oficer angielskiej marynarki wojennej, niejaki komodor Nelson, pływający po Morzu Śródziemnym, zauważył szybki marsz Francuzów wzdłuż wybrzeża Ligurii. Ustalił dzięki szpiegom charakter sił francuskich i zaproponował wysadzenie na ląd niewielkiego brytyjskiego desantu na tyłach Francuzów, co natychmiast powstrzymałoby ich ofensywę, odcinając łączność z Francją. Teraz jednak było już za późno i generał Bonaparte stał się sławny w całej Europie.

Miał przed sobą bezbronną Italię. Co prawda, jak mówiono, Austriacy gromadzili nową wielką armię po drugiej stronie Alp, lecz w tej chwili nic nie mogło powstrzymać Bonaparte'go od opanowania bogatych miast środkowych

i wschodnich Włoch. Koalicja Anglii, Austrii, Rosji, Prus, Sardynii i Hiszpanii od dawna była w rozsypce. Holandia przeszła już na stronę nieprzyjaciela. Kto następny? Eskadra francuskiej marynarki wojennej wpłynęła do Kadyksu, okręty jawnie remontowano w królewskich stoczniach. Gdyby Francja podbiła Włochy, Hiszpania przyłączyłaby się do zwycięzcy jako pierwsza. A Hiszpania miała flotę złożoną z osiemdziesięciu okrętów liniowych.

– Muszę ci wyznać, Ross, że ostatnie wybory były dla twoich przyjaciół w Truro źródłem wielkiego zażenowania – rzekł Harris Pascoe. – Również dla mnie, zapewniam cię, również dla mnie.

– Na kogo głosowałeś? – zapytał Poldark.

– Nie domyślasz się?

– Tak... Obawiam się jednak, że muszę spytać. Bardzo cię przepraszam. Jesteś raczej wigiem i stronnikiem Basseta, a nie Falmoutha. Wiele razy mówiłeś...

– I jeszcze raz bym powiedział. W czasie ostatnich wyborów radnych poinformowano, na kogo mają głosować, dopiero na dziesięć minut przed wejściem na salę obrad. Chociaż wzbudziło to ich wielkie niezadowolenie, nie mogli go wyrazić. Tym razem opozycja skupiła się wokół sir Francisa. Lord Falmouth dostał nauczkę – ale za jaką cenę!

– George może być bardzo użyteczny dla Truro. Mieszka w mieście, a to rzadka cnota w przypadku posłów do Izby Gmin.

– Do tych kłopotów nigdy by nie doszło, gdybyś przyjął propozycję Basseta.

Ross spojrział z zaskoczeniem na przyjaciela. Pascoe zdjął okulary i je przetaił. Jego oczy miały beznamiętny wyraz; wydawały się ślepe.

– Kto ci o tym powiedział?

– W naszym hrabstwie prawie nigdy nie da się utrzymać niczego

w tajemnicy, Ross.

– Na Boga, nigdy nie przypuszczałem, że to się rozniesie! Bardzo mi przykro. Propozycja Basseta była dla mnie nie do przyjęcia; znasz mnie i musisz zdawać sobie z tego sprawę. Przepraszam, jeśli naraziło cię to na niespodziewany konflikt sumienia!

Pascoe poczerwieniał.

– Sam podjąłeś decyzję. Nie mogę ci niczego nakazywać. Ale zgłoszenie przez Basseta kandydatury George’a Warleggana postawiło mnie – i nie tylko mnie – przed problemami, których nigdy się nie spodziewałem, przyjmując funkcję radnego miejskiego. Jak dotychczas zawsze utrzymywałem przyjazne stosunki z Bassetami – tak jak bankier może utrzymywać przyjazne relacje z wielkimi właścicielami ziemskimi. Basset, Rogers i Spółka, bank kierowany przez Basseta i jego szwagra, również miał dobre kontakty z naszym bankiem – chociaż, jak ci już wspominałem, ostatnio nawiązał znacznie ściślejszą współpracę z bankiem Warlegganów i zaangażował się we wspólne przedsięwzięcia, które jeszcze bardziej zacieśnią te związki. Lord Falmouth ma chyba rachunki we wszystkich trzech bankach, lecz trzyma większość swoich kapitałów w Londynie. Nie mam nic przeciwko obecnemu wicehrabiemu, choć nie podoba mi się jego aroganckie, wyniosłe traktowanie rady miejskiej. Z tego powodu wypowiadałem się przeciwko niemu w czasie zebrań rady i w pełni popierałem rosnące wpływy Basseta w mieście. Ale kiedy przyszło głosować na kandydata Basseta, było to dla mnie nie do przełknięcia!

– Chcesz powiedzieć, że...

– Tamtego ranka wyparłem się wszystkich swoich zasad i poglądów politycznych. Oddałem głos na Saltera, kandydata lorda Falmoutha!

– Wielki Boże... Nie spodziewałem się, że to zrobisz! – Ross wstał i spojrzał na ulicę. Strugi deszczu wypłukiwały błoto spomiędzy kocich łbów.

– A jednak Salter i tak nie przeszedł.

– Nie, i właśnie dlatego wynik okazał się bardzo wyrównany. Inne osoby głosowały podobnie jak ja – przeciwko kandydatowi Basseta, choć to jego stronnicy. Jak wiesz, George nie jest zbyt popularny wśród części mieszkańców miasta.

– Zawsze sądziłem, że George to przyjaciel Boscawenów.

– Nieustannie szukał ich przyjaźni i chyba nigdy jej nie zdobył. Właśnie dlatego zmienił front, gdy nadarzyła się okazja. Muszę przyznać, że rankiem Falmouth zachowywał się wyjątkowo odrażająco.

– Falmouth? Dlaczego?

– Z całych sił próbował zgnieść rewoltę. Bez żadnych skrupułów. Publicznie przekonywał radnych tuż przed wyborami. Trzymał w ręce plik papierów – listów, prywatnych listów pisanych do niego przez członków rady miejskiej w ciągu ostatnich kilku lat – i groził, że je upubliczni, jeśli nie zagłosują na jego kandydata! Nie słyszałem wszystkiego, ale wydawało się, że grozi części elektorów, że cofnie im zamówienia i pozbawi ich wsparcia finansowego!

– To zaskakujące, że mu się nie udało.

– Moim zdaniem rada miejska uległa impulsowi, nad którym nie mogła zapanować. Chcieli pokazać, że nie będą marionetkami lorda Falmoutha. Cieszę się z tego. Nie podoba mi się tylko ostateczny wynik.

Ross się zamyślił.

– Szkoda, że kolejna osoba wybrana przez sir Francisą okazała się jeszcze gorsza od pierwszej... Mam nadzieję, że to głosowanie nie wpłynie na twoje dobre relacje z Bassetami.

– To się okaże. Później próbowałem wytłumaczyć sir Francisowi swoje motywy, lecz chyba nie uznał ich za usprawiedliwione. Przede wszystkim obawiam się, że przypisze moją zmianę frontu nowej polityce jego banku,

który rozpoczął współpracę z Warlegganami.

– Powinieneś głosować na George’a.

Pascoe z irytacją zatrzasnął księgę rachunkową.

– I spośród wszystkich ludzi ty mi to mówisz!

Ross się uśmiechnął.

– Przepraszam, drogi przyjacielu, nie powinienem był tego powiedzieć. Ale zawsze twierdziłeś, że bank musi zachowywać neutralność w sporach między rodzinami. Twoja przyjaźń ze mną jest zbyt znana, byś mógł się jej wyprzeć, lecz jako bankier zawsze ukrywałeś niechęć do George’a pod maską dyplomacji. Martwię się, że to wyszło na jaw teraz, gdy może wpłynąć na twoje stosunki z Bassetem. Jeśli tak się stanie, twoja lojalność wobec mnie może cię drogo kosztować.

Harris Pascoe znów otworzył księgę i niecierpliwie przewracał stronicę.

– Spójrz, podpisz to teraz, bo inaczej zapomnę.

Ross podpisał się pod kwotą wskazującą stan konta. Miał na rachunku blisko dwa tysiące funtów.

– Przynajmniej raz przeceniasz swoje znaczenie, Ross – rzekł bankier.

– Tak?

– Głosowałem nie z powodu lojalności do ciebie, lecz, jeśli można to tak określić, wobec własnego sumienia. Szczęśliwie dla siebie stykasz się z Warlegganami znacznie rzadziej ode mnie. W ciągu ostatnich kilku lat nabrałem do nich prawie tak głębokiej antypatii jak ty. Nie są nieuczciwi – bynajmniej – ale stanowią typowy przykład nowej grupy przedsiębiorców, którzy pojawili się w Anglii w ostatniej dekadzie. Zysk jest dla nich wszystkim, ludzkie uczucia niczym. Człowiek, który dla nich pracuje, ma dokładnie taką samą wartość jak cyfra w księdze rachunkowej. Poza tym jest coś wyjątkowo niebezpiecznego w tym, że są wiecznie niezadowoleni z rozmiaru swoich interesów. Stale się rozrastają, przypominają kolonię psich

grzybów. Chwytają, rosną, rosną, chwytają... – Pascoe urwał, by nabrać tchu.
– Może jesteśmy staroświeccy, skoro ich nie lubimy. Może tak będzie wyglądał przyszły świat, ale ja nie chcę się zmieniać i nie mogę się zmusić do oddania głosu na takiego człowieka, choćby miało mi to zaszkodzić!

Ross położył rękę na ramieniu przyjaciela.

– Jeszcze raz bardzo cię przepraszam. Uważam, że ta linia rozumowania jest godna szacunku... Zastanawiam się, czy Basset i George dobrze się znają.

– Muszą się dobrze znać.

– Tak, w związku z interesami. Ale to przecież nie jest przyjaźń.

– Nie wychodź teraz – rzekł Harris. – Zaczekaj, aż przestanie padać.

– W takim wypadku miałbyś gościa na noc: myślę, że dziś nie przestanie. Nie... deszcz mi nie przeszkadza. Ale dziękuję za zaproszenie.

2

Kiedy Ross wyszedł na dwór, w kocie łby uderzały strugi wody, a rynsztokiem płynął spieniony potok. Żółte, błotniste kałuże przypominały wrzątek. Na ulicach było niewielu ludzi, a na Powder Street leżały lśniące sztaby cyny, których nikt nie pilnował. Nazajutrz miało się rozpocząć wybijanie cech probierczych. Nie obawiano się kradzieży metalu, choć każda sztaba była warta dziesięć lub dwanaście gwinei. Każda ważyła jednak przeszło sto pięćdziesiąt kilogramów i nikt nie zdołałby jej zabrać niepostrzeżenie.

Z Truro eksportowano więcej cyny niż z jakiegokolwiek innego portu w Anglii. Miasto miało duże, wygodne nabrzeża, a na rzekę mogły bez trudu wpływać statki o wyporności stu ton. W tej chwili na Powder Street i sąsiedniej ulicy panował większy bałagan niż zwykle, ponieważ burzono kwartał domów o nazwie Middle Row. Wkrótce miała tam powstać duża nowa ulica, która zapewni przestrzeń i oddech otaczającym ją słoczoným budynkom.

Nazajutrz w południe inspektor probierczy i jego asystent mieli rozpocząć ważenie i badanie sztab cyny wnoszonych do gmachu urzędu. Po stwierdzeniu, że jakość metalu jest zgodna ze standardami, wybijano na nich herb hrabstwa będący gwarancją czystości i opłacenia podatku. Cechowanie sztab mogło trwać tydzień; uczestniczyli w nim przedstawiciele kopalni, kupcy z Londynu i zagranicy, pośrednicy handlowi, konwisarze i niezbędni urzędnicy. Cechowanie odbywało się raz na kwartał, czyli stanowczo za rzadko. Cyny bez znaków probierczych nie można było sprzedać, toteż kopalnie, zwłaszcza mniejsze, musiały zaciągać kredyty na opłacenie bieżących wydatków. Pożyczały pieniądze od kupców handlujących cyną, płacąc wysokie odsetki, a większe kopalnie otrzymywały równie drogie kredyty z banków, zwłaszcza banku Warlegganów, gotowego podejmować większe ryzyko niż inne. W razie bankructwa kopalni wierzyciele przejmowali cały jej majątek: ziemię, zapasy i wyposażenie.

System ten wymagał zmiany. Cromwell zniósł obowiązek oznaczania sztab cechami probierczymi, co przyniosło wielką korzyść całej branży, lecz po restauracji Karola II przywrócono poprzedni system i tak już zostało. Ross czuł niekiedy pokusę, by zapoczątkować kampanię na rzecz reform, ale powstrzymywały go bolesne wspomnienia związane z próbą złamania monopolu odlewni miedzi. Niemal doprowadziło go to do bankructwa i miało katastrofalne skutki dla wielu jego przyjaciół. Sparzył się, więc dmuchał na zimne.

To, że tuż przed cechowaniem cyny dysponował znacznym zasobem gotówki zdeponowanym w banku Pascoe, świadczyło o niezwykłym bogactwie żył odkrytych w Wheal Grace. Nie zamierzał jednak uczestniczyć w cechowaniu. Miał go zastąpić Zacky Martin, który chorował przez półtora roku, lecz wrócił do sił dzięki staraniom Dwighta Enysa.

Ross brnął przez błoto w strugach deszczu, aż dotarł do gospody Pod

Czerwonym Lwem – powinna ona znacznie skorzystać na budowie nowej ulicy, bo na tyłach zajazdu powstanie wolna przestrzeń. W gospodzie panował tłok. Ulewny deszcz sprawił, że wszyscy schronili się pod dachem i tego pili. Ross prawie natychmiast zauważył w głównej sali Bligha, właściciela, z kucykiem, w czerwonej kamizelce. Mały człowieczek przepchnął się w jego stronę, a Ross strzepnął wodę z kapelusza i powiedział:

– Szukam swojego plenipotenta, Martina.

– Tak, sir. Przez cały dzień nie widziałem pana Martina. Może jest Pod Królem.

– Musiałeś go dziś widzieć. Byliśmy tu razem rano. I ma u ciebie pokój.

– Ach tak, sir, zapomniałem. Hm... nie ma go w tej chwili. Myślę, że jest Pod Królem. A może Pod Siedmioma Gwiazdami.

W głosie oberżysty wyczuwało się nieprzyjazną nutę, której Ross nie rozumiał. Bójka, jaką stoczył w tej gospodzie z George'em Warlegganem, wydarzyła się przed wielu laty i później Ross pojawiał się tu wielokrotnie.

– Zobaczę, czy jest w swoim pokoju. Jaki ma numer?

– Och, pošlę chłopca.

– Nie, wolę iść sam.

– Eee... numer dziewięć. Zapewniam, że go nie ma, sir.

Ross przepchnął się przez tłum, od czasu do czasu zamieniając z kimś słowo lub wymieniając pozdrowienia. Przedsiónek gospody był bardzo ciemny, ale i tak pełen ludzi. Kiedy szedł w stronę schodów, minął dwa gabinety przeznaczone na prywatne spotkania. Drzwi jednego z nich były uchylone; w środku znajdowała się grupa mężczyzn, którzy pili i rozmawiali. Ruszył w stronę schodów. Gdy pokonał sześć pierwszych stopni, usłyszał za plecami głos:

– Kapitan Poldark!

Niski mężczyzna w krótkiej peruce. Thomas Kevill, zarządca Basseta.

– Proszę mi wybaczyć, sir. Sir Francis jest w prywatnym gabinecie i byłby głęboko wdzięczny, gdyby zechciał pan łaskawie dotrzymać mu towarzystwa.

Ross odwrócił się i zszedł po schodach. Nie był pewien, czy chce w tej chwili rozmawiać z sir Francisem, lecz odmowa byłaby grubiaństwem. Kiedy wchodził do bocznego pomieszczenia, przyszło mu do głowy, że może nadarza się okazja, by złagodzić niechęć sir Francisza do Harrisa Pascoe. Zatrzymał się w drzwiach. Bassetowi towarzyszyły trzy osoby: lord Devoran, mężczyzna, którego Ross nie znał, dobrze ubrany, w średnim wieku, oraz George Warleggan. Nic dziwnego, że oberżysta i Blight wydawali się zdenerwowani.

– Kapitan Poldark – odezwał się Basset. – Zauważyłem pana, jak mijał pan drzwi, i pomyślałem, że mógłby pan się z nami napić. – W połowie uprzejme zaproszenie, w połowie rozkaz.

– Dziękuję. Muszę wrócić dziś wieczorem do domu – odparł Ross. – Ale chętnie spędzę z panami chwilę.

– Domyślam się, że zna pan lorda Devorana, choć może pan nie znać sir Williama Moleswortha z Pencarrow. I pan George Warleggan.

– Znam lorda Devorana. – Ross skłonił się lekko. – Chyba nie miałem przyjemności poznać sir Williama. Bardzo mi miło, sir. – Kolejny ukłon. – Tak, znam pana Warleggana. Chodziliśmy razem do szkoły.

– Nie wiedziałem, że są panowie przyjaciółmi od tak dawna. – Czyżby nikt nigdy nie powiedział Bassetowi? A może czuje się tak ważny, że ignoruje drobne spory między osobami o niższym statusie? – Pijemy gin holenderski, lecz jeśli ma pan ochotę na coś innego...

– Dziękuję. Właśnie to wybrałbym w taki deszczowy dzień.

Ross usiadł między George'em a sir Williamem Molesworthem – nie było innego wolnego krzesła – i wziął kieliszek podany przez Kevilla.

– Rozmawiamy o projekcie budowy szpitala, który mamy zamiar wznieść w pobliżu Truro, i próbuję przekonać do swoich poglądów zarówno lorda

Devorana, jak i sir Williama Moleswortha.

Więc o to chodzi. Sir Francis to człowiek, który stara się wcielać w życie swoje idee. Sir William, właściciel majątku w pobliżu Wadebridge, uważał, że szpital położony tak daleko na zachodzie byłby bezużyteczny dla wschodniej części hrabstwa. Lord Devoran sądził, że budowa jednego dużego szpitala jest błędem i że lepiej stworzyć około sześciu niewielkich, lecz pożytecznych izb chorych w różnych częściach regionu.

Kiedy George zobaczył wchodzącego Rossa, jego twarz stężała, ale teraz zachowywał się, jakby ich spotkanie nie było niczym nadzwyczajnym. Ross zauważył, że Warleggan znacznie stracił na wadze – spostrzegł to już na ślubie Dwighta – i nie wyglądało to na oznakę zdrowia. George nie wydawał się chudszy, tylko starszy. Lord Devoran, nerwowy niski mężczyzna, finansował razem z Rossem budowę odlewni miedzi i stracił na tym sporo pieniędzy. W owym czasie wydawał się niezadowolony, lecz później okazał się dostatecznie wspianiałomyślny, by wpłacić kaucję za Rossa przed procesem w Bodmin. Miał córkę o imieniu Betty, o której krążyły skandaliczne plotki. Sir William Molesworth, pulchny mężczyzna z siwymi wąsami i zdrową cerą człowieka spędzającego dużo czasu na otwartym powietrzu, był znacznie ważniejszą osobistością niż Devoran i jego sprzeciw wobec propozycji Basseta miałby w hrabstwie duże znaczenie.

– Jakie jest pańskie zdanie, Poldark? – spytał Basset. – Wiem, że popiera pan projekt w ogólnych zarysach, jednak jak dotąd nie wypowiadał się pan na temat szczegółów.

Ross nie miał własnych poglądów na temat szpitala dla górników, ale znał opinię Dwighta.

– Ideałem byłoby stworzenie zarówno głównego szpitala, jak i mniejszych izb chorych. Ponieważ powstanie takiej sieci jest mało prawdopodobne, uważam, że szpital powinien mieć pierwszeństwo i powinien powstać gdzieś

w okolicach Truro. Leżymy w równej odległości od Bodmin, Wadebridge i Penzance.

Basset skinął głową na znak zgody, gdyż spodziewał się takiej opinii. Wywiązała się ogólna dyskusja. Ross zauważył zmianę w zachowaniu George'a, w sposobie jego mówienia. Warlegganowi nigdy nie brakowało pewności siebie, starał się nie posługiwać gminnym akcentem, którego używał w dzieciństwie: unikał przedłużania głoski „r”, zmieniania pojedynczych samogłosek w dyftongi, piskliwej intonacji. Jednocześnie bardzo dbał, by nie przemawiać w sposób, który świadczyłby, że usiłuje nieudolnie naśladować przedstawicieli klas wyższych. Starał się mówić jak najbardziej neutralnie. Teraz to się zmieniło. Posługiwał się akcentem dość podobnym do akcentu Basseta lub Moleswortha, bardziej wyrafinowanym niż Devoran. Już. Zajęło to zaledwie kilka tygodni. Został posłem do Izby Gmin.

– Myślę, że powinienem ci pogratulować, George – rzekł Ross.

Warleggan uśmiechnął się blado, na wypadek gdyby pozostali mężczyźni to słyszeli, lecz nie odpowiedział.

– Kiedy obejmiesz mandat?

– W przyszłym tygodniu.

– Wynajmiesz dom w Londynie?

– Możliwe. Na część roku.

– A zatem rzadko będziemy się spotykać na wybrzeżu?

– Och, tylko w sierpniu i we wrześniu.

– Domyślam się, że nie zamierzasz sprzedać Trenwith?

– Nie zamierzam.

– Gdybyś kiedykolwiek myślał o sprzedaży, byłbym zainteresowany.

– Trenwith nigdy nie będzie na sprzedaż, zwłaszcza dla ciebie.

– Zastanawiamy się, kapitanie Poldark, nad publicznym zadeklarowaniem wsparcia dla planu budowy szpitala – wtrącił Basset. – Moim zdaniem

sytuacja jeszcze nie dojrzała, by zbierać fundusze. Mamy wiele innych rzeczy do zrobienia, na przykład – uśmiechnął się – przekonać do projektu część miejscowych ziemian. Nazwiska pięćdziesięciu wpływowych osób obiecujących udzielić pomocy, gdy sprawa ruszy do przodu, mogłyby na tym etapie wpłynąć na wielu ludzi, którzy jeszcze się wahają. Zgadzą się panowie?

– Ja z pewnością tak.

– Sir Francis na początek zadeklarował sto gwinei – rzekł George i oblizał wargi. – Ja zrobiłem to samo.

Na twarzy Basseta pojawił się cień irytacji.

– Nie proszę o konkretną kwotę, Poldark. Jeszcze za wcześnie. Potrzebuję pańskiego nazwiska.

– I ma je pan – odparł Ross. – A także sto gwinei.

– To bardzo miło z pana strony. Mam nadzieję, że nie czuje się pan przymusowo wcielony do wojska.

– To porównanie jest dla pana krzywdzące, sir Francisie. Nie jestem tak pijany, by dać się zwerbować. Wypiszę panu weksel na bank Pascoe.

Basset uniósł brwi, niezadowolony z kąśliwego tonu rozmowy.

– Jak już wspomniałem, nie jest to konieczne, ale dziękuję, jestem wdzięczny. Zakładam, że dwaj panowie nie są jeszcze wystarczająco przekonani o słuszności naszego planu?

Devoran wypowiadał się niezobowiązująco, mimo to sir William Molesworth nie dawał za wygraną. Ross spojrzął na George'a. Po raz pierwszy od wielu lat spotkali się w miejscu, gdzie nie mogli się otwarcie kłócić ani szybko rozstać.

– Niewiele ostatnio słyszę o Geoffreju Charlesie – rzekł Ross. – Ufam, że dobrze sobie radzi w szkole.

– Za wcześnie, by coś powiedzieć. Myślę, że ma pewną skłonność do

lenistwa, podobnie jak jego ojciec.

– Jak może pamiętasz, w szkole jego ojciec był bystrzejszy od nas.

– Nie spełnił pokładanych w nim nadziei.

Zamilkli, a tymczasem mówił Molesworth.

– Naturalnie pokrywam znaczne koszty edukacji Geoffreya Charlesa – odezwał się George. – Choć powinien mieć własne dochody.

– Z czego?

– Z udziałów w twojej kopalni.

– Elizabeth sprzedała udziały w mojej kopalni.

– Tobie, za ułamek rzeczywistej wartości. Udało ci się ją do tego namówić.

– Nie radzę ci propagować tej fikcyjnej wersji wydarzeń. Nazwałaby cię kłamcą nawet twoja własna żona...

– Kwestią znalezienia odpowiednich pacjentów zajmą się apteki – rzekł lord Devoran. – Nie będzie to zależało od niczyjej protekcji. Jeśli...

– Gdyby przenieść główny szpital dalej na wschód, to w tej sytuacji... – przerwał sir William Molesworth.

– Co z grobem ciotki Agathy? – spytał Ross.

– O co ci chodzi?

– Domyślam się, że zamówiłeś nagrobek.

– Nie.

– Chociaż jej nie lubiłeś, z pewnością nie zaprzeczysz, że należy jej się kamień nagrobny.

– Musi o tym zdecydować Elizabeth.

– Mógłbym przyjechać i porozmawiać z nią o tej sprawie.

– Nie byłbyś mile widzianym gościem.

– Przez kogo?

– Przez nią. I przeze mnie.

– To sprawa rodzinna. Czy możesz odpowiadać za Elizabeth?

– Elizabeth nie pochodzi z rodu Poldarków.
– Ale kiedyś nazywała się Poldark, George.
– Już dawno tego pożałowała.
– Kto wie, czego będzie jeszcze żałować, nim zakończy się nasze życie...
– Niech diabli porwą ciebie i całą twoją rodzinę...
– Panowie, to nie przystoi żadnemu z was... – rzekł Basset, usłyszawszy ostatnie zdanie.

– Nie przystoi, ale jednak tak do siebie mówimy – odparł Ross. – Kłócimy się od czasu do czasu jak uczniowie w szkole, którzy za często się widują. Proszę nam wybaczyć i nie zwracać na nas uwagi.

– Chętnie nie zwracam uwagi na to, co się dzieje pod moją nieobecność, ale nie należy okazywać wzajemnej niechęci, gdy rozmawiamy o przedsięwzięciu wymagającym dobrej woli.

– Niestety, niechęć i dobra wola to dwie strony tego samego medalu – odparł Ross.

Zapadło milczenie. Sir Francis chrząknął z irytacją.

– Sir Williamie, miałem zamiar powiedzieć, że kwestię lokalizacji szpitala należy omówić na posiedzeniu komitetu...

3

Tego wieczoru Ross późno wrócił do Nampary. Przez cały czas jechał pod wiatr i przemókł do suchej nitki.

– Mój drogi, to nie było rozsądne! – rzekła Demelza. – Jadłeś kolację? Pozwól, zdejmę ci buty. Powinieneś przenocować u Harrisa.

– A ty byś myślała, że utopiłem się w rowie przydrożnym albo napadły mnie opryszki? Jak się czuje Jeremy?

Syn Rossa dochodził do siebie po szczepieniu na ospę. Zainteresowali go

książką, by nie widział przygotowań, lecz i tak krzyczał przeszywająco, gdy Dwight wykonał głębokie nacięcie. Demelza czuła się tak, jakby to ją ugodzono nożem.

– Gorączka minęła i zjadł dziś lekki posiłek. Dzięki Bogu Clowance nie musi jeszcze znosić tej męczarni. Wątpię, czy się na to kiedykolwiek zgodzę. Jestem... jak nazywają to lekarze...? Jestem odporna, więc dlaczego Clowance nie miałyby taka być?

Ross zdjął koszulę i spojrzał przez okno sypialni na morze. Cały dzień było ciemno i długi wieczór bardzo powoli przechodził w zmrok. Wiał porywisty wiatr i padał deszcz. Na szerokich połaciach piasku pojawiały się wzory podobne do pajęczyny. Morze było dość spokojne. Fale zbliżały się do brzegu niczym ciąg ponurych zielonych gąsienic.

Ross zmienił ubranie. Plotkowali o codziennych sprawach. Później Demelza zeszła na dół i kazała Jane przynieść pieczony karczek barani, choć Ross zarzekał się, że nie jest głodny.

– Mamy jeszcze jedno zaproszenie, Ross! Teraz, gdy jesteś sławny, jest ich mnóstwo!

Ross wziął list. Wysłano go z Tregothnan i brzmiał następująco:

Droga Pani Poldark!

Mnie oraz mojemu bratu byłoby bardzo przyjemnie, gdyby zechciała nas Pani odwiedzić wraz z Mężem w dniu dwudziestego szóstego lipca, spożyć z nami kolację i spędzić u nas noc. Mój siostrzeniec, Hugh, wyjeżdża nazajutrz, by dołączyć do załogi okrętu, i chciałby wcześniej się z Państwem zobaczyć. Ja również cieszyłabym się z możliwości poznania Państwa. Chętnie podziękowałabym kapitanowi Poldarkowi za uratowanie mojego siostrzeńca ze straszliwego więzienia, w którym przebywał.

Z najserdeczniejszymi życzeniami

Frances Gower

Demelza oglądała jedno z uszu Garricka, bo podejrzewała, że zagnieździł

się w nim pasożyt. Psa przez wiele lat nie wpuszczano do salonu, ale gdy z wiekiem przestał mieć skłonność do nagłych, gwałtownych ruchów, dzięki czemu meble i porcelana były nieco bezpieczniejsze, pozwolono mu tam wchodzić. Kiedy Ross nieśmiało zaprotestował, Demelza stwierdziła: „Każdy dżentelmen trzyma psy w salonie”, na co on odpowiedział: „Ale nie każdy dżentelmen ma Garricka”.

Ross wypił łyk piwa i znowu wziął do ręki list.

– Kto przyniósł zaproszenie?

– Roznosiciel „Sherborne Mercury”.

– Nasz przyjaciel porucznik Armitage nie dostarczył go sam?

– Nie, nie.

– A jednak wydajesz się trochę podekscytowana.

Demelza podniosła wzrok.

– Co masz na myśli?

– Cóż... jesteś... poruszona... zaczerwieniona, prawda?

– Mój Boże, czasami jesteś zabawny, Ross. Wiesz, że lubię porucznika Armitage’a, ale musisz mnie uważać za idiotkę, skoro myślisz, że jestem podekscytowana z powodu zwykłego zaproszenia.

– Tak... może wyobrażam sobie różne rzeczy. Może wyglądasz tak, bo martwisz się o Jeremy’ego.

Ross jadł dalej. Garrick, który uwielbiał, gdy ktoś się z nim bawił, leżał na grzbiecie, czekając na kolejne pieszczoty. Jedna z przednich łap była zgięta, a spod zmierzwionej sierści lypało białe oko. Szczeknął głośno, by zwrócić na siebie uwagę Demelzy.

– Co za dzień... – westchnął Ross. – Leje od samego rana.

– Nasza trawa wygląda jak włosy Jeremy’ego, nim go uczeszę.

– Rozmawiałem dziś po obiedzie z George’em Warlegganem.

– Ach! No i co?

Ross opisał, co się stało.

– W jakimś sensie wszystko odbyło się pokojowo. Mimo to było nieprzyjemnie. W naszych charakterach jest coś, co natychmiast wywołuje negatywną reakcję. Kiedy go zobaczyłem, nie podobało mi się, że muszę zająć miejsce obok, nie miałem jednak zamiaru go prowokować! Może on czuje to samo?

– Nie będzie ich w Trenwith przez dużą część roku. Dobre i to.

– Postawię nagrobek ciotce Agacie, nie zwracając im więcej głowy.

Demelza pochyliła się nad Garrickiem, a Ross spojrział na jej młodzieńczą sylwetkę: na małe, jędrne pośladki i uda, podeszwy pantofli z jaśniejszymi miejscami jak wewnętrzna strona dłoni Murzyna, niebieską jedwabną bluzkę, spódnicę z holenderskiego płótna, ciemne kosmyki opadające na twarz i muskające psa, krzywiznę szyi, lekko kręcone włosy.

– I co z tym zrobimy? – spytał po chwili.

– Z czym? Ach... Cóż, tym razem nie mogę nic powiedzieć, prawda?

– Dlaczego?

– Jeśli zacznę nalegać, żebyśmy pojechali, pomyślisz, że mam jakieś szczególne powody.

– Ja na pewno nie chcę jechać.

– W takim razie lepiej, byśmy zostali w domu.

Ross wstał od stołu i trącił Garricka stopą. Pies zaszczeakał z zadowoleniem, przewrócił się na brzuch i stanął na długich nogach.

– Wszystko zepsułeś – powiedziała Demelza. – Chyba łapie robaki od królików. – Przykucnęła i odsunęła głowę, by pies nie polizał jej po twarzy.

Ross zaczął nabijać fajkę.

– Diabli wiedzą, jak powinniśmy rozmawiać z tą kobietą, żeby jej nie obrazić. – Był tak przyzwyczajony, że Demelza namawia go do przyjmowania zaproszeń, że odczuwał pewien niedosyt. Jego niechęć do towarzystwa –

eleganckiego towarzystwa – była całkowicie szczerą, ale przekora właściwa naturze ludzkiej sprawiła, że rozważał trudności związane z odrzuceniem zaproszenia. Uwolnił Hugh Armitage’a z więzienia – jeśli nawet przez przypadek – lecz młody oficer marynarki uratował życie Dwightowi dzięki znakomitym umiejętnościom nawigacyjnym (następna noc spędzona na morzu mogła go zabić). Odrzucenie zaproszenia byłoby grubiaństwem i niegrzecznością, chyba że zdołałby wymyślić jakąś wiarygodną wymówkę. I chociaż wiedział, że Demelza czuje sympatię do przystojnego porucznika, wydawało się mało prawdopodobne, że podczas ostatniego spotkania rozkwitła między nimi przyjaźń.

– Drzę na myśl o spędzeniu dnia i nocy w towarzystwie Falmoutha – powiedział. – Harris twierdzi, że lord zachowywał się haniebnie w czasie wyborów.

– Basset i Falmouth są w tej chwili wrogami, Ross. Czy gdybyśmy pojechali do Tregothnan, nie uznano by, że próbujemy sobie zjednać obie strony sporu?

– Obie strony? Och, nie przypuszczam. Spory między Bassetem a Falmouthem to ich sprawa. Nie stoję po niczyjej stronie, zwłaszcza że Basset ostentacyjnie lekceważy mój spór z George’em Warlegganem.

– Wiesz, czego się zawsze obawiam, gdy spotykasz George’a, Ross? Że się pokłócicie – tak jak zwykle – i w końcu wyzwiecie się na pojedynek.

Ross się roześmiał.

– Możesz być najzupełniej spokojna. George to człowiek interesu, o bardzo chłodnej głowie i wybitnej inteligencji. Owszem, kilka razy się biliśmy – ostatnio parę lat temu. Z wiekiem stajemy się coraz mądrzejsi. Chętnie wyzwałby mnie na pojedynek handlowy w jakiegokolwiek sferze, w której rzuciłbym mu wyzwanie. Ale pistolety... Jego zdaniem to melodramat, zabawa arystokratów, drobnych ziemian i wojskowych, których nie stać na nic

lepszego.

– Niepokoi mnie, że spotykasz go teraz w towarzystwie wielkich panów, z którymi się zadajesz – rzekła Demelza. – Czy nie istnieje groźba, że George znajdzie się w potrzasku? Będzie musiał cię wyzwać, bo uzna, że tego od niego oczekują?

Ross zastanawiał się przez chwilę.

– Nie znam innej kobiety, która mówi tak konkretnie.

– Dziękuję, Ross.

– Czy naprawdę należy się tego obawiać? Jestem żołnierzem, Warleggan kupcem. Taki pojedynek byłby dla niego bardzo ryzykowny. Podejrzewam, że zdrowy rozsądek powstrzyma go przed takimi działaniami.

– Mam nadzieję, że nie będziecie musieli spotykać się zbyt często w arystokratycznym towarzystwie.

Kilka minut później Ross poszedł obejrzeć dwoje nowo narodzonych cieląt, a Betsy Ann Martin weszła do jadalni, by sprzątnąć ze stołu. Kiedy skończyła, Demelza wyrzuciła Garricka za drzwi i została sama. Poszła na górę spojrzeć na dzieci. Jeremy głośno oddychał: gorączka ustąpiła, ale miał zapchany nos. Clowance spała jak aniołek, przycisnęła do buzi piąstki, nie całkiem wkładając kciuk do ust.

Demelza weszła do swojej sypialni i wsunęła rękę do wewnętrznej kieszeni spódnicy. Wyjęła drugi list, który przywieziono tego dnia.

Nadawca był ten sam, choć list miał inną pieczęć i zaadresowano go inną ręką.

Nagłówek brzmiał: „Dla D.P. od H.A.”, a poniżej znajdował się wiersz:

Do D.

W świetle księżycy, wśród ulewy

Płynie jak Diana czysta.

*Nad morską tonią, niczym mewy,
Leci przez świat, świetlista.
Wokół niebiańskie słycać śpiewy,
Lęk i niepewność pryska.*

*Gdy jej uśmiechy, niczym zorze,
Błyskają gdzieś w oddali,
Światłość przenika całe morze,
Sunie na szczycie fali.
Wokół cudowna luna gorze,
A serce jak młot wali.*

*Płynie nad światem, radosna, promienna,
Wśród niestałości i grzechu.
Czy jest to tylko nadzieja daremna
Liczyć na łaskę uśmiechu?*

Rozdział dziesiąty

1

W połowie czerwca przypadały piętnaste urodziny Rowelli. Jej matka przysłała tort, który dostarczono dyliżansem pocztowym. Morwenna dała siostrze niewielki srebrny krzyżyk zamówiony u złotnika Solomona, a wielebny Whitworth książkę z rozważaniami na temat Apokalipsy Świętego Jana.

W tym dniu minął równo miesiąc od narodzin Johna Conana Osborne'a Whitwortha.

Chłopiec czuł się znakomicie, matka natomiast w dalszym ciągu niedomagала. Uczestniczyła w chrzcinach i każdego popołudnia wstawala na trzy godziny, ale była blada i apatyczna, nie miała pokarmu, a jej delikatna uroda przygasła. Doktor Behenna twierdził, że Morwenna cierpi na połogowe zakażenie dróg rodnych, i regularnie puszczał jej krew. Ostrzegł Osborne'a, że infekcja może się rozprzestrzenić, i aby temu przeciwdziałać, każdego ranka Morwennę owijano kocami nasączonymi ciepłym octem. Niani zaangażowanej do Johna Conana kazano nacierać uda i boki Morwenny maścią rtęciową. Jak dotąd kuracja nie przynosiła poprawy.

W piątek na dworze panowała lekka wilgoć. Osborne siedział w swoim gabinecie i przygotowywał tekst kazania. Drzwi gabinetu były lekko uchylone – Whitworth uważał, że służący lepiej pracują, gdy ich pan nie siedzi w zamkniętym pokoju. Nagle usłyszał kroki, brzęk metalu i zobaczył Rowellę

niosącą na pierwsze piętro szarą cynową balię. Upewniwszy się, że to nie pomyłka, wrócił na swoje miejsce i przyszło mu do głowy, że Sarah i Anne leżą już w łóżkach. Była to duża balia, w której w rzadkich przypadkach sam się kąpał. Pamiętał o tym, usiłując się skupić na kazaniu. Ale po napisaniu kolejnego akapitu usłyszał, jak Rowella schodzi po schodach, a po około pięciu minutach schodami powędrowała w górę procesja złożona z Rowelli i dwóch pokojówek. Każda niosła w ręce dzban wody, ciągnęła się za nimi smuga pary.

Ossie położył na biurku gęsie pióro i musnął kciukiem końcówkę. Czy już wcześniej nie wygłaszał kazania na podobny temat i czy jego notatki nie znajdują się w skrzyni na poddaszu? Kiedy o tym pomyślał, nagle zaschło mu w ustach: miał wrażenie, że nie ma w nich ani kropelki śliny. Podszedł do bocznego stolika i wypił dwa kieliszki malagi. Teraz usłyszał dwie schodzące pokojówki. Rowella została na górze.

Chociaż był niezgrabny, w razie potrzeby potrafił poruszać się cicho. Wszedł bezszelestnie na pierwsze piętro i zbliżył ucho do drzwi pokoju żony. Słyszał, jak zakasłała. Wiedział, że tego dnia prawdopodobnie już nie wstanie. Później, niczym dobry ojciec, zajrzał do córeczek i pocałował je na dobranoc. Chciały, by z nimi posiedział, ale oświadczył, że nie może, ponieważ ma dużo pracy. Następnie wspiął się na drugie piętro. Klamka w drzwiach składziku nie wydała żadnego dźwięku, jakby niedawno ją naoliwiono. Przeszedł na palcach przez pomieszczenie, przysiadł na drewnianej skrzyni stojącej pod ścianą i przyłożył oko do otworu.

Z początku denerwowało go, że jest ciągle jasno. Obawiał się, że nie zobaczy Rowelli, bo oślepi go światło z okna. Po chwili jednak skupił wzrok i ją ujrzał. Siedziała w fotelu i czesała włosy. Stała przed nią cynowa balia, nad którą unosiła się para. Patrzył, jak Rowella dolewa do niej wodę z jednego z dzbanów, a potem sprawdza dłonią temperaturę. Naprawdę nie

była urodziwa: jasne, mysie brwi, długi, cienki nos i drżąca dolna warga nie dodawały jej urody. Podciągnęła halkę, po czym zdjęła podwiązki i pończochy. Uporawszy się z tym, usiadła z podkasaną halką, uniosła kolano i sprawdziła temperaturę wody palcami u nogi.

Nie miała szczególnie kształtnych nóg, ale zafascynowały go jej stopy. Były długie, smukłe, niezwykle proporcjonalne, z ładnymi, kwadratowymi paznokciami. Piękna, alabastrowa skóra i kilka niebieskawych żyłek. Kiedy poruszała palcami w wodzie, pojawiał się i znikał zarys jej delikatnych kości. Ossiego zawsze fascynowały kobiece stopy i jeszcze nigdy nie widział czegoś tak niezwykłego.

Wstała, położyła na podłodze ręcznik, stanęła na nim, zdjęła dwie halki i została tylko w długich, białych pantalonach. Wyglądała bardzo głupio. Później ściągnęła bluzkę. Pod nią miała drugą bluzkę i kamizelkę. Ubrana jedynie w pantalon i kamizelkę, odeszła i zniknęła z pola widzenia. Osborne zamknął oczy i w desperacji oparł głowę o ścianę. Po chwili wróciła z dwoma zielonymi wstążkami i zaczęła splatać włosy. Jej wargi przez cały czas się poruszały, zdał sobie sprawę, że dziewczyna nuci jakąś melodię. Nie przypuszczał, żeby to była pieśń religijna. Raczej głupawa, wpadająca w ucho piosenka usłyszana w mieście.

Światło nieco przybladło, lecz pod wieczór się wypogodziło i na niebie płonęła pomarańczowa łuna. Stopniowo wypełniła pokój. Na parterze rozległ się łoskot. Rowella przestała splatać włosy, nasłuchiwała. Pochyliła głowę, jej palce znieruchomiały. Ossie również słuchał. To ten kretyn Alfred, służący, coś przewrócił. Należałoby go wychłostać.

Zapadła cisza. Rowella wróciła do splatania włosów. Whitworth czekał, znowu zaschło mu w ustach.

Wstała, wysoka i koścista, ściągnęła kamizelkę przez głowę i została naga do pasa. Ossie o mało nie krzyknął, gdy zobaczył jej piersi. Była to największa

niespodzianka w jego życiu. Rowella miała zaledwie piętnaście lat, ale jej piersi były dojrzałe i piękne. Większe niż u siostry, krągłejsze niż u pierwszej żony Ossiego, bielsze i czystsze niż u kobiet w burdelach w Oksfordzie. Gapił się, nie wierząc własnym oczom. Takie piersi?! Jak to możliwe?! Schowane pod koronkami żabotów, pod plisami sukni, pod płótnem i bawełną, u dziewczyny o chudych ramionach i wąskich plecach, takie piersi?!

Rowella uniosła ręce, by upiąć włosy, i piersi wystrzeliły naprzód niczym dorodne owoce nagle dojrzałe na drobnym drzewie. Po chwili ściągnęła pantalon, wyprostowała się na moment, a potem przykucnęła w wąskiej balii i zaczęła się myć.

2

Gdy Ossie wszedł do sypialni, Morwenna czytała książkę. Czytanie stało się jedynym ratunkiem – ucieczką przed słabością własnego ciała, nędzą codzienności, wymaganiami dziecka, którego nie była w stanie karmić ani kochać, poczuciem uwięzienia w domu wraz z mężczyzną, którego sama obecność ją przygnębiała. Rowella stale przynosiła jej z biblioteki nowe książki, głównie na temat historii, czasem geografii i niekiedy – bardzo rzadko – teologii. W ciągu ostatniego roku głęboko zakorzeniona religijność Morwenny przeszła ciężką próbę: książki o cnotach chrześcijańskich, pokorze, dobroczynności, cierpliwości i posłuszeństwie przestały do niej przemawiać. Modliła się, lecz nie czuła, że Bóg słucha jej modlitw. Była rozgoryczona, wstydziła się własnego rozgoryczenia i nie potrafiła się otrząsnąć z przygnębienia.

Gdy tylko zobaczyła Ossiego, zrozumiała, że jest pijany. Zdarzało mu się to rzadko – zwykle dużo pił, lecz wiedział, kiedy przestać. Nigdy nie widziała, by się zataczał albo bełkotał. Przestrzegał zasad.

Teraz wszedł do sypialni w kanarkowożółtym jedwabnym szlafroku, z rozczochranymi włosami i z mętnym wzrokiem.

– Ach, Morwenno... – powiedział i usiadł ciężko na łóżku.

Włożyła zakładkę do książki.

– Te ty... tygodnie, miesiące, gdy dumnie nosiłaś pod sercem nasze dzie... dziecko, to dla ciebie trudny okres. Dobrze o tym wiem, nie zaprzeczaj. Proszę, nie zaprzeczaj. Doktor Behenna mówi, że wydobrzałaś, ale potrzebujesz troski. Jak wiesz, zamierzam się o ciebie troszczyć. Troszczę się o ciebie i nie ustane. Troska... wielka troska... Dałaś mi wspaniałego syna. Teraz jesteś już prawie zdrowa.

– Doktor Behenna tak powiedział?

– Moim zdaniem powinnaś pomyśleć... pomyśleć, jakie to dla mnie ciężkie... przez tyle tygodni, tygodni... Dla mnie, rozumiesz?! Dla mnie... To druga strona medalu. Twoja ciąża była cierpliwym, niespokojnym oczekiwaniem. W czasie porodu znowu oczekiwanie, znowu niepokój. W pewnej chwili obawiałem się o twoje życie. Nigdy nie wiadomo, jak bardzo Behenna wyolbrzymia powagę choroby, by go ceniono jako lekarza. Ale to nieważne. Od tego czasu minął miesiąc – cztery długie tygodnie – i znowu niepokój, znowu oczekiwanie.

Morwenna, mimo woli lekko wzruszona, odpowiedziała:

– Wkrótce wyzdrowieję, Ossie. Jeśli ta kuracja okaże się nieskuteczna, doktor Behenna na pewno zaleci coś innego.

– To nie może tak trwać... – wybełkotał Ossie.

– Co nie może trwać?

– Jestem duchownym, służyć Panu i staram się wykonywać swoje obowiązki zgodnie z przysięgą, którą złożyłem, lecz jestem również mężczyzną. Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi, Morwenno, czy mnie rozumiesz?! Czasami się zastanawiam, czy rozumiesz.

Spojrzała na męża i z przerażeniem zdała sobie sprawę, że bełkoce nie tylko dlatego, że jest pijany. Może wcale nie był pijany?

– Ossie, jeśli masz na myśli...

– Właśnie to mam na myśli...

– Przecież choruję! Jest za wcześnie!

– Za wcześnie?! Po czterech tygodniach?! Nigdy nie czekałem tak długo z Esther. Chcesz, żebym ja też zachorował?! Musisz zrozumieć, że to niezgodne z ludzką naturą...

– Ossie! – Uniosła się na łóżku, a jej splecione włosy przypomniały Whitworthowi o innych splecionych włosach, które niedawno widział. I o wszystkim innym, co widział. Było to nie do zniesienia.

– Mąż ma prawo pożądać żony. Żona ma obowiązek mu ulegać. Większość żon jest zadowolona, gdy mąż znów okazuje nimi zainteresowanie. Zawsze. – Chwytał ją za rękę. – Esther mi nie odmawiała.

– Ossie... – wyszeptała Morwenna. – Ossie, przecież wiesz, że jestem ciągle...

– Nie mów nic więcej – przerwał. Pocałował ją w czoło, a później w usta. – Odmówię krótką modlitwę za nas oboje. Potem musisz być moją żoną. Zaraz będzie po wszystkim.

3

W marcu otwarto dom modlitwy w Namparze i przybył tam główny kaznodzieja metodystów w okręgu, by przemówić do wiernych i przekazać im swoje błogosławieństwo. Był to wielki triumf Sama, ponieważ w maleńkiej kaplicy pojawiło się nie tylko dwudziestu dziewięciu członków jego trzódki, którzy odnaleźli Chrystusa, za co mógł ręczyć, lecz również dwadzieścia kilka innych osób. Większość niewątpliwie przybyła z ciekawości, choć wielu

wydawało się głęboko wzruszonych kazaniem. Później grupa Samuela wzrosła do trzydziestu czterech osób, a kilka innych w dalszym ciągu zmagало się z własnymi duszami i dojrzewało do nawrócenia. Kaznodzieja pogratulował Samowi i przed odjazdem zjadł posiłek wraz ze starszymi zgromadzenia.

W czerwcu przybył kolejny wysłannik. Jego pojawienie się nie przyniosło jednak tego samego ciepła i radości. Nazywał się Arthur Champion i był jednym z administratorów okręgu duszpasterskiego. Wygłaszał dobre kazania, ale bez spodziewanego natchnienia. Po spotkaniu spędził noc u Sama w chacie w Reath: przyjął zaproponowany chleb z dżemem i spał na starym łóżku Drake'a. Miał około czterdziestu lat i przed nawróceniem był wędrownym szewcem. Kiedy zjadł kolację, zaczął grzecznie, lecz stanowczo zadawać pytania na temat finansów niewielkiej grupy Sama. Chciał wiedzieć, czy uczestnicy spotkań modlitewnych płacą składki, czy Samuel prowadzi jakies rachunki i czy ma dobrego, wiarygodnego pomocnika, który pomaga mu pilnować pieniędzy. Ciekawiło go, jak zbudowano niewielką kaplicę, ile kosztowała i czy zaciągnięto jakies pożyczki. Czy miejsca z przodu są droższe od miejsc z tyłu, a jeśli tak, to jaka jest różnica w cenie? Poza tym pytał, kto prowadzi rejestr działalności grupy i planuje cotygodniowe spotkania. Jaką ofiarę mogliby złożyć miejscowi metodyści, by finansować wędrownych kaznodziejów i sługi Boże utrzymywane przez zgromadzenie?

Samuel słuchał cierpliwie i z pokorą, po czym odpowiadał na kolejne pytania. Większość uczestników spotkań płaciła składki w miarę możliwości, ale ponieważ w okolicy panowała wielka bieda, wpłaty te nie były tak regularne jak w miastach.

– Moim zdaniem powinny wpływać regularnie, Sam – powiedział Champion z dobrotliwym uśmiechem. – Nie warto należeć do zgromadzenia, dla którego nie chce się ponosić ofiar, zwłaszcza jeśli jest to zgromadzenie znające drogę do zbawienia.

Sam odrzekł, że ma wielu dobrych pomocników, ale nie prosił nikogo, by prowadził rejestr lub przechowywał pieniądze. Zapisuje wszystko w małym czarnym notesie, natomiast pieniądze – jeśli są jakieś pieniądze – trzyma pod łóżkiem, na którym Champion ma spędzić noc.

– Świetnie – rzekł kaznodzieja. – Świetnie sobie radzisz, Samie, ale kiedy w grupie wiernych jest kilku starszych, moim zdaniem warto rozłożyć odpowiedzialność. W istocie jest to nieodzowne w każdym dobrze zarządzanym stowarzyszeniu.

Samuel wyjaśnił, że kaplicę zbudowano na gruncie podarowanym przez kapitana Poldarka, a kamienie zebrano w ruinach maszynowni pobliskiej kopalni Wheal Maiden. Dach sklecono z drewna wyrzuconego przez morze na plaży Hendrawna, strzecha kosztowała bardzo niewiele. Wszystkie ławki zbito na miejscu; ołtarz i pulpit wykonał brat Sama, Drake, obeznany z ciesielstwem, wykorzystując drewno ze starej biblioteki kapitana Poldarka, którą akurat przebudowywano. Budynek prawie nic nie kosztował, choć ludzie włożyli w niego dużo pracy na chwałę Jehowy. Samuel uważał, że nie ma prawa domagać się opłat za wstęp od ludzi, którzy własnymi rękami zbudowali Dom Boży.

– Słusznie, Sam, słusznie – rzekł łagodnie Champion. – Słusznie i po chrześcijańsku. Choć wkrótce można by wprowadzić niewielką opłatę, bo inaczej nie będziecie mogli składać ofiar na zgromadzenie. Kierownictwo ruchu wykonuje wielką pracę, rozsyła po kraju wędrownych kaznodziejów i ludzi, którzy poświęcili Bogu całe życie. Potrzebujemy wdowiego grosza od każdej duszy, która odnalazła zbawienie.

Samuel przyznał się do błędu, po czym przeszli do spraw organizacyjnych: jak zwoływać spotkania, czego nauczać i kto mógłby pełnić funkcję kaznodziei, gdyby Samuel zachorował lub wyjechał. Doskonale rozumiał, że to konieczne, że prawdziwi, aktywni członkowie wielkiego ruchu

metodystycznego powinni przestrzegać ustalonych reguł. Nie wątpił, że organizacja jest równie ważna jak objawienie. Miał jednak niemiłe poczucie, że sprowadzono go na ziemię. Dla Sama istniały dwa źródła zbawienia: duch mieszkający w nim samym i duch przenikający wielkie zgromadzenie w Gwennap niczym błyskawica w czasie letniej burzy. Chociaż umiał podchodzić do codziennych spraw praktycznie, czuł, że praktyczne podejście do kwestii duchowych można porównać do próby budowy mostu nad przepaścią, którą się wcześniej przeskoczyło.

Rozmawiali i modlili się razem przeszło godzinę, po czym Arthur Champion powiedział:

– Samie, chciałbym zamienić z tobą jeszcze kilka słów o innej, bardziej prywatnej sprawie. Z pewnością uważasz, że twoja wiara w Zbawiciela jest mocna i czysta. Spotkałem niewielu ludzi tak przepełnionych radością zbawienia, ale mam obowiązek złożyć zgromadzeniu sprawozdanie i chciałbym, żebyś wejrzał w głąb własnej duszy i powiedział, czy nie masz potrzeby porozmawiać ze mną o trapiących cię grzesznych myślach i pokusach.

Samuel popatrzył na kaznodzieję.

– Potrzebujemy oczyszczenia w każdej chwili życia, bracie, lecz trudno mi powiedzieć, czy dziś grozi mi większe niebezpieczeństwo niż w zeszłym roku lub w całym okresie, odkąd zostałem zbawiony. Jeśli przypuszczasz, że stoi w pobliżu mnie Szatan, prosiłbym, abyś uświadomił mi, w jakim jestem niebezpieczeństwie.

– Mam na myśli... – zaczął Champion i odchrząknął. – Podobno zadajesz się z kobietą, która ma złą reputację w okolicy.

Zapadło milczenie. Samuel rozluźnił chustkę pod szyją.

– Chodzi o Emmę Tregirls?

– Chyba właśnie to nazwisko słyszałem.

– Uważałem, że nawracanie zbłąkanych dusz to jeden ze świętych

obowiązków przywódcy metodystów.

Champion znów odchrząknął.

– Tak, bracie, tak.

– A zatem w czym pobiłdziłem?

– Pamiętaj, że nie mam żadnej własnej wiedzy na ten temat, Sam. Absolutnie żadnej. Ale słyszałem, że to niebezpieczna kobieta, młoda i urodziwa. Podobno zło jeszcze nie zniekształciło jej twarzy. Ty też jesteś młody, Sam. Pragnienia mężczyzny, chociaż czyste, często ulegają skażeniu. Właśnie w tym tkwi największe niebezpieczeństwo piekła.

Samuel wstał. Jego wysoka, krzepka sylwetka zasłoniła część okna, za którym stopniowo zapadał zmrok.

– Widziałem ją pięć – nie – sześć razy, starszy bracie. Czy Pan Jezus uważa ją za gorszą, bo błądziła i grzeszyła jak zagubiona owieczka? Bo podążała we własnym sercu za podszeptami Szatana? „Powiadam wam, żeć tak będzie radość w niebie nad jednym grzesznikiem pokutę czyniącym niż nad dziewięćdziesiąt i dziewięć sprawiedliwych...” ⁶.

– Czy okazała skruchę?

– Jeszcze nie. Ale pokładam nadzieję w modlitwie i wierze.

Champion również wstał i pogładził się po twarzy pokrytej krótkim zarostem.

– Podobno widywano ją pijaną, pijaną na ulicy po wyjściu z szynku. W zeszłym tygodniu poszedłeś jej tam szukać.

– Kiedy Chrystus zstąpił na ziemię, zadawał się z celnikami i grzesznikami.

– Mówią, że to ladacznica. Straszne, straszne! Że oddaje swoje ciało mężczyznom dla rozpusty, ofiarując je każdemu, kto skinie ręką.

Samuel zmarszczył brwi z udręczoną miną.

– Nie wiem, czy to prawda, starszy bracie. To plotki, a plotki są złe, nikczemne, niszczą ludzką duszę. Nie wiem nic na pewno. Nawet jeśli to

prawda, u stóp krzyża Naszego Pana była taka niewiasta...

Champion uniósł dłoń.

– Spokojnie, bracie. Nie osądzam, jedynie ostrzegam. Chociaż podążamy śladami Najwyższego Pana, nie mamy jego nieskończonej mądrości. Rozumiesz? Jesteś przywódcą zgromadzenia i nie wypada, byś zadawał się z nieobyczajną kobietą. Jest wiele innych dusz, które czekają na zbawienie. Chrystus był tak czysty, że nic nie mogło go skazić. Żaden z nas taki nie jest. Nikt nie jest równie bezpieczny.

Samuel skłonił głowę.

– Będę się modlił o oświecenie. Już się modliłem. Wiele razy. Bardzo pragnąłbym uratować jej duszę.

– Módl się, byś o niej zapomniał, Sam.

– Nie mogę! Jej dusza ma prawo do zbawienia i na pewno go pragnie.

– Niechaj spróbują inni. Nie przystoi, by o was plotkowano.

– Możliwe, bracie. Będę się o to modlił.

– Pomódlmy się razem – powiedział Champion. – Zanim udamy się na spoczynek. Padnijmy na kolana i módlmy się...

4

W tym samym tygodniu George Warleggan opuścił Kornwalię, by objąć mandat posła do Izby Gmin. Elizabeth nie towarzyszyła mężowi.

Przez ostatni rok ich relacje często się zmieniały: niekiedy były lodowate, czasem po prostu chłodne, lecz mimo to przyjazne jak w okresie kilku pierwszych lat małżeństwa. George zachwycał się swoim sukcesem, wzbudził on podziw wszystkich Warlegganów oraz Elizabeth. Nie brakowało jej ambicji i małżeństwo z posłem do Izby Gmin, nawet kupcem, z natury rzeczy podnosiło prestiż Elizabeth. Była zadowolona z sukcesu George'a, bo

uważała, że takie wyróżnienie pomoże mu zapomnieć o poczuciu niższości, które mimo bogactwa nieustannie dręczyło go jak włośiennica. Potrafił je ukryć przed większością ludzi, ale nie przed nią, choć gdy się pobrali, początkowo nie zdawała sobie sprawy z siły tego uczucia.

Przed wyborami i później zaproszono ich na obiad do Tehidy, a sir Francis był wyjątkowo czarujący. Później Bassetowie przybyli na obiad wydany przez George'a w Truro. Uczestniczył w nim burmistrz z małżonką, rodzice Warleggana, a ponadto spora liczba wybitnych osobistości z całego okręgu. Wieczór okazał się wielkim sukcesem i dom wyglądał lepiej niż w czasie balu z okazji wyzdrowienia króla w tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym roku. Bassetowie spędzili noc u Warlegganów, a George był tak dumny z żony, że dzielił z nią łóżko.

Jednak tydzień później wrócił ze ściągniętą, bladą twarzą i aż do chwili wyjazdu zachowywał się lodowato. Spotkał się z sir Francisem, by przedyskutować projekt budowy szpitala w okręgu, i Elizabeth nie rozumiała, co się stało, że tak się zmienił. Nie odpowiadał na jej uprzejme pytania, więc w końcu przestała pytać. Wcześniej rozmawiano o jej wyjeździe do Londynu. Chętnie towarzyszyłaby mężowi, ponieważ ostatnio odwiedziła stolicę w dzieciństwie; lecz teraz o tym nie mówili. George wspomniał, że chciałby się najpierw zaaklimatyzować, że w Londynie trudno o wygodne kwatery, że zabierze ją następnym razem. Elizabeth zrezygnowała z wyjazdu, rozumiejąc, że podróż w towarzystwie męża będącego w takim nastroju nie sprawi jej przyjemności.

George w dalszym ciągu odnosił się chłodno do syna. Valentine przestał być jego dumą i radością; ojciec zaniedbywał go, ignorował. Ledwo dawało się go namówić, by poszedł się z nim zobaczyć. Było to nienaturalne i niesprawiedliwe. Zauważyła to nawet matka George'a i robiła mu łagodne wyrzuty.

Elizabeth nie miała się komu zwierzyć. Teściową, prostą kobietę, można było co najwyżej poprosić o radę, jakim haftem ozdobić kamizelkę lub kiedy zażywać proszek z rabarbaru. Matka Elizabeth, przebywająca w Trenwith, nie widziała na jedno oko, kulała i z trudem mówiła. Była tak samo zniedołężniała jak mąż, który w ogóle przestał wstawać z łóżka.

Elizabeth zdawała sobie sprawę, że jej małżeństwo się rozpada, i czuła dreszcz trwogi, myśląc o przyczynie. Dlatego kiedy George wyjechał, ogarnęła ją ulga, bo na pewien czas mogła zapomnieć o niepokoju. Ceremonialnie pocałował ją w policzek, obiecał pisać, nie podał konkretnej daty powrotu. Teraz była panią domu w całym tego słowa znaczeniu – mogła każdego popołudnia zapraszać przyjaciółki na wista, gawędzić z nimi, pić herbatę, robić sprawunki, prowadzić spokojne, wygodne życie bez konieczności dostosowywania się do zmiennych humorów męża.

Około tygodnia po jego wyjeździe odwiedziła bibliotekę i zauważyła kuzynkę Rowellę rozmawiającą z bibliotekarzem. Podeszła do niej i spytała o Morwennę.

Rowella zamrugła i zaprowadziła Elizabeth do narożnika sali, gdzie nikt nie mógł ich słyszeć.

– Nie czuje się lepiej, kuzynko, jestem tego pewna. Widziałaś ją na chrzcinach, teraz wygląda nawet gorzej. Zastanawiam się, czy nie napisać do mamy.

– Powinnam was odwiedzić, ale miałam wiele zajęć w związku z wyjazdem pana Warleggana... Przyjdę dziś po południu. Mogłabyś ją uprzedzić?

Przybyła około szóstej, nie przejmując się późną porą, ponieważ wiedziała, że służący George'a, Harry Harry, przez całą drogę podąża za nią w pewnej odległości. Wypiła herbatę z Morwenną, po czym odszukała wielebnego Whitwortha, którego znalazła w kościele, gdzie na próbę układał na ołtarzu

nową czerwoną kapę z aksamitu ze złotymi frędzlami.

– Moim zdaniem Morwenna jest bardzo chora, Osborne – powiedziała. – Sądzę, że powinieneś zasięgnąć porady innego lekarza.

Ossie zmarszczył brwi.

– Zgadza się, że nie czuje się najlepiej. Powinna po południu leżeć w łóżku, dobrze jej to robi. Behenna regularnie ją odwiedza. Nie byłby zadowolony.

– Domyślam się. Nie był też zadowolony, że wezwaliśmy innego lekarza, gdy w zeszłym roku Valentine miał krzywicę. Nie mogliśmy się przejmować jego uczuciami, bo chodziło o życie naszego syna.

Ossie spojrzał na kapę.

– To dar pani Thomas dla naszego kościoła. Trochę zbyt krzykliwa jak na mój gust. W tym kościele. Okna są za małe, brakuje światła. W parafii nie ma nikogo dość bogatego, by sfinansował powiększenie okien. Zastanawiam się, czy...

– Potrzebna jest konsultacja innego lekarza.

– Słucham? Cóż... Kto leczył Valentine'a?

– Doktor Pryce z Redruth. Doskonały specjalista, bardzo doświadczony. Niestety zmarł zeszłej zimy.

– A zatem jest teraz dalej niż w Redruth, prawda? Co? Ha! Ha! Podobno aptekarz, który praktykuje w Malpas, zna się na lekarstwach. Mógłbym spytać o niego Behennę.

– Myślę, że powinnam poprosić doktora Enysa, by przyjechał i zbadał Morwennę, Ossie.

– Enysa? – Zmarszczka Whitwortha się pogłębiła. – Sam jest chorowity. Może małżeństwo mu nie służy. Nie każdemu służy, wiesz. Miałem w parafii człowieka o nazwisku Jones, podkuwacza koni. Poślubił dziewczynę z rodziny Crudwellów i wkrótce potem zgasł jak świeca.

– Doktor Enys przyjechałby, gdybym po niego posłała. Znam go od kilku lat. Byłeś na jego weselu.

– Tak... Jeśli dobrze pamiętam, wyglądał na przygnębionego. Wydaje mi się także, że doktor Behenna go nie lubi. Pamiętam, że wygłosił kilka pogardliwych uwag o Enysie. Bardzo pogardliwych. Wspominał o przypadku, o którym słyszała. Enysa wezwano do starego człowieka cierpiącego na ból zęba, on zaś wyrwał mu ząb, złamał szczękę i pacjent umarł...

Kontury twarzy Elizabeth traciły miękkość.

– Osborne, uważam, że Morwenna jest poważnie chora. Jeśli nie pošlesz po doktora Enysa, ja to zrobię.

– Ach... – Ossie odetchnął głęboko i próbował zdeprymować Elizabeth surowym spojrzeniem, ale siostra stryjeczna Morwenny nie była jedną z jego parafianek. – Dobrze, pošlę po niego. Oczywiście bardzo się niepokoję o jej zdrowie. Napiszesz czy ja mam to zrobić?

– Napiszę do Enysa, jeśli nie masz nic przeciwko temu, lecz powinienś dodać kilka słów od siebie.

Działo się to w środę. Dwight przyjechał w piątek. O terminie jego wizyty powiadomiono doktora Behennę, który jednak nie chciał być obecny przy badaniu pacjentki.

Zanim Dwight zaczął zadawać pytania na tematy medyczne, siedział przez kilka minut przy łóżku Morwenny. Rozmawiali o Trenwith, wyborze George'a do Izby Gmin i mopsie Caroline. Enys spytał o narodziny Johna Conana i późniejsze dolegliwości, po czym zaprosił do sypialni nianię dziecka i zbadał pacjentkę w jej obecności. Niania była wstrząśnięta szczegółowością badania. Damy muszą zachodzić w ciążę, ale nie ma zwyczaju ich niepokoić po urodzeniu dziecka. Później chorą przykryto kołdrą i nianię wyproszone.

Rozmawiali przez następne dziesięć minut. Z twarzy Morwenny zniknął rumieniec, później znów się pojawił, a kiedy ponownie zniknął, twarz się

zapadła i zrobiła się woskowa. W końcu Dwight wymienił z nią uścisk dłoni i zszedł na dół, gdzie Ossie rozmawiał z Rowellą. Po wyjściu dziewczyny Dwight powiedział:

– Nie jestem zupełnie pewny, co dolega pańskiej żonie. – To wstępne zdanie natychmiast pogрузyło Dwighta w oczach Ossiego. – Nie jestem zupełnie pewny, lecz nie sądzę, by pańska żona cierpiała, jak sugerowano, na połogowe zakażenie dróg rodnych. Mogłyby na to wskazywać powierzchowne oznaki, gdyby tak jednak było, spodziewałbym się, że w tej chwili pojawiłyby się również inne symptomy. To, że tak się nie stało, nie jest dobrym prognostykiem. Pani Whitworth jest bardzo słaba i zdenerwowana. Jestem przekonany, że organizm nie zregenerował się jeszcze po utracie krwi w czasie porodu. Jeśli przyczyną jest zatrucie krwi, lekarstwa mogą nie przynieść poprawy. Tymczasem, na próbę, doradzałbym rezygnację z puszczania pacjentce krwi i pożywną dietę.

Ossie stał z rękami splecionymi do tyłu i spoglądał przez okno.

– Musi codziennie zjadać co najmniej sześć surowych jajek – ciągnął Dwight. – Może je spożywać w różnej postaci. I wypijać litr porteru dziennie.

– Litr... litr porteru?! Na Boga, człowieku, zostanie pijaczką!

Dwight się uśmiechnął.

– Ona również to powiedziała. Ale wielu ludzi pije znacznie więcej i nie przynosi im to szkody.

– Nie jest przyzwyczajona do alkoholu!

– Powinna pić porter przez miesiąc. Później może go odstawić, bo wówczas jej stan się poprawi albo nie, zależnie od tego, czy moja diagnoza jest słuszna.

Ossie prychnął i zarzucił na przedramiona poły fraka.

– Jest tu pani Warleggan. Przyjechała dziesięć minut temu, więc sądzę, że powinien ją pan poinstruować w sprawie szczegółów kuracji. Uważa się za

nieomylną.

– Jeszcze jedna sprawa, panie Whitworth – rzekł Dwight i zapiął pasek torby. – Nie mogę tego powiedzieć przy pani Warleggan.

– Tak?

– Rozumiem, że znów podjął pan stosunki małżeńskie z żoną.

– Wielki Boże, co to pana obchodzi?! Pani Whitworth nie miała prawa panu o tym wspominać!

– Nie wspomniała. Zadałem jej pytanie.

– Nie miała prawa na nie odpowiadać!

– Nie mogła mnie okłamać, pastorze. Jestem jej lekarzem, więc byłoby to bardzo nierozsądne. A zatem...

– Zatem?

– Należy to przerwać, pastorze. Na pewien czas. Przynajmniej na miesiąc, na czas nowej kuracji.

Wielebny Whitworth poczerwieniał na twarzy.

– Jakim prawem, jeśli wolno spytać?! Jakim prawem...

– Ze względu na miłość, jaką czuje pan do żony, pastorze. Rana jeszcze się nie zagoiła. Pani Whitworth jest roztrzęsiona nerwowo. Jej zdrowie absolutnie nie pozwala, by spełniała jakiekolwiek obowiązki małżeńskie. Ma to podstawowe znaczenie.

Osborne zerknął na szczupłą sylwetkę Rowelli, która szła za oknem w stronę ogrodu warzywnego. Zaśmiał się gorzko.

– Kto może wiedzieć i na jakiej podstawie, czy moja żona jest wystarczająco zdrowa, by spełniać obowiązki małżeńskie? Kto, pytam pana?

– Proszę, żeby przez jakiś czas przestrzegał pan mojej rady – odparł chłodno Dwight. – Jeśli w ciągu miesiąca kuracja nie przyniesie poprawy, może pan zrezygnować z moich usług i zwrócić się do innego lekarza.

Rozdział jedenasty

Chociaż Elizabeth i George nie uzgodnili tego wprost, oboje przyjęli, że Elizabeth nie powinna się przenosić do Trenwith przed powrotem męża. Jednak tydzień po wyjeździe Warleggana Geoffrey Charles przyjechał do domu z Harrow na dwa tygodnie przed planowanym końcem semestru, ponieważ w szkole wybuchła epidemia szkarlatyny. Bardzo zeschupłał, był straszliwie blady i urósł przeszło osiem centymetrów. Elizabeth uważała, że jest chorobliwie chudy, choć waga tego nie potwierdziła. Tak jak się obawiała, stał się kimś na wpół obcym, dorównywał jej wzrostem, mimo że nie miał jeszcze dwunastu lat. W jego oczach pojawił się cień sugerujący, że przeżył trudne chwile. Opuściła go rozkoszna chłopięca spontaniczność, lecz kiedy się uśmiechał, miał w sobie nowy, dojrzały urok. Elizabeth uważała, że wygląda na piętnastolatka.

Nie chciał zostać w Truro. Nudził się w mieście. Nie miał tam przyjaciół ani swobody. Po kilku wizytach u Morwenny i dwóch dniach spędzonych nad rzeką powiedział, że chciałby pojechać na wybrzeże. Mógł tam jeździć konno, pływać, ubierać się mniej oficjalnie i cieszyć się latem. W tym tygodniu Elizabeth otrzymała list od ojca, który informował, że matka dziwnie się zachowuje. Ojciec skarżył się na służbę, pisał, że sam niezbyt dobrze się czuje, i dodał, że chętnie porozmawiałby z córką o nierzetelności Lucy Pipe, której po śmierci ciotki Agathy kazano się zająć rodzicami Elizabeth.

Pan Chynoweth, piszący raz na miesiąc, zawsze na coś się skarżył i wspominał o chorobach, lecz jego list oraz żądania Geoffreya Charlesa,

a także irytacja, że każdy ruch Elizabeth w Truro śledzą służący George'a, przelały czarę goryczy. Wyjechała w sobotę rano, kilka dni po powrocie Geoffreya Charlesa, zabierając ze sobą tylko synów, Polly Odgers, która pełniła funkcję niani Valentine'a, oraz woźnicę. Harry Harry i jego kompani pozostali w Truro.

Podróż okazała się bardzo nieprzyjemna, ponieważ po dziesięciu dniach ładnej pogody drogi nagle stwardniały i karetka nieustannie podskakiwała na wybojach. Kiedy dotarli do dawnej siedziby rodu Poldarków, świeciło słońce i panował upał, który rzadko zdarzał się na wybrzeżu. Terrier Toma Harry'ego szczekał z podnieceniem, skrzypiała skórzana uprząż, a zaskoczeni służący spoglądali przez okno na panią, której przybycia się nie spodziewali.

Elizabeth ucieszyła się z przyjazdu do Trenwith. Chociaż wspomnienia związane z dworem budziły w niej mieszane uczucia, nie należał on do Warlegganów jak dom w Truro i rezydencja w Cardew. Służba, zrozumiałwszy, że nie czeka jej surowa reprimenda, powitała Elizabeth ze szczerą radością. Nawet rodzice wydawali się mniej męczący. I nikt jej nie szpiegował.

Na chwilę ogarnęły ją wątpliwości, gdy pierwszego ranka Geoffrey Charles wziął kuca i pojechał do Drake'a Carne'a. Właśnie tego się obawiała: nakaz nie może zabić przyjaźni. Kiedy jednak Geoffrey Charles wrócił na obiad, wydawał się najszczęśliwszy od chwili powrotu ze szkoły. Odwiedzał Drake'a również w następnych dniach. Teraz, gdy Morwenna była mężatką, jedyną przeszkodą stojącą na drodze przyjaźni syna Elizabeth z młodym kowalem było to, że Drake należy do niższej klasy społecznej i że jest szwagrem Rossa Poldarka. Mieszkał po przeciwnej stronie Trenwith, dalej od Nampary, a rzemiosło i niewielkie gospodarstwo nieco poprawiły jego status. Elizabeth miała kilku przyjaciół wśród wieśniaków w wioskach Grambler i Sawle, których czasem odwiedzała na pogawędkę. Większość z nich stanowiły dawne pokojówki pamiętające Francisa oraz jego ojca albo

wieśniaczki związane z kościołem. Różnica była niewielka.

Jedną z rodzin, za które Elizabeth zawsze w jakiś sposób czuła się odpowiedzialna – najpierw gdy była zamożną młodą mężatką, później przez długie lata niedostatku, a następnie w okresie, kiedy nowe małżeństwo uczyniło ją znacznie bogatszą – była rodzina wielebnego Clarence’a Odgersa – jego żona i dzieci. Polly Odgers, najstarsza córka, opiekowała się Valentine’em. W tej chwili większość dzieci pastora osiągnęła wiek odpowiedni, by pracować. W ciągu ostatnich lat troje zmarło, lecz pozostało siedem. Dlatego, posławszy pierwszego popołudnia po wielebnego Odgersa, przywitawszy się z nim i wymieniwszy nowiny, Elizabeth zaprosiła go wraz z rodziną do Trenwith na kolację we wtorek. Po skończonym posiłku, ponieważ wieczór był ciepły i przyjemny, odprowadziła Odgersów do ich małego zatłoczonego wiejskiego domku pełniącego funkcję plebanii. Na progu domu pastor nagle zemdlął.

Nie cierpiął na żadną poważną chorobę. Po ciągłym niedojadaniu przez całą wiosnę nagle spożył obfity posiłek w Trenwith i teraz bardzo uciskały go spodnie, a wstydził się je rozpiąć w obecności dziedziczki. Nadęty brzuch i cztery kieliszki madery sprawiły, że jego słabe ciało się poddało.

Najstarszy syn Odgersa, dwunastolatek robiący za kościelnego i wykonujący większość prac w ogrodzie, zaniósł ojca do łóżka. Duchowny odzyskał przytomność i natychmiast pośpieszył na dół, by przeprosić Elizabeth za kłopot.

Odczekała dwadzieścia minut, by się przekonać, że wszystko w porządku, po czym kolejne dwadzieścia minut, bo nagle spadł deszcz, zalewając liście i nierówne kamienne ścieżki strugami wody. Na olśniewająco jasnym niebie płonęło zachodzące słońce, zabarwiając wrzosowiska na pomarańczowo, lecz nadpłynęło kilka ciemnych chmur deszczowych. W końcu ulewa ustała, znikła barwna tęcza i słońce skryło się za horyzontem.

– Paul panią odprowadzi, pani Warleggan – powiedziała Maria Odgers. – Odprowadzi panią do bramy. Paul...

– Powinien się zająć ojcem – przerwała Elizabeth. – To tylko dziesięć minut drogi, a chłodne wieczorne powietrze dobrze mi zrobi.

– Lepiej, by Paul z panią poszedł, pani Warleggan. Mąż nigdy by mi nie wybaczył, gdyby...

– Nie, nie, dziękuję. Dobranoc. Rano przyślę kogoś, by sprawdzić, jak pastor się czuje. – Elizabeth wyszła na dwór, nie mając ochoty, by ktoś jej towarzyszył.

Kiedy odchodziła, spadło jej na włosy kilka kropli deszczu, który jeszcze nie ustał, więc włożyła biały czepek niesiony w rękę. W drodze z Trenwith wielebny Odgers drżącym głosem opowiadał Elizabeth o wakującym beneficjum w Sawle. Bardzo chciał je otrzymać. Administrował parafią i odprawiał nabożeństwa od osiemnastu lat, pełniąc funkcję proboszcza, a otrzymanie beneficjum w jednej chwili czterokrotnie powiększyłoby jego dochody i stałby się na resztę życia zamożnym człowiekiem. Mógłby oddać jednego z synów do terminu, a drugiego, obdarzonego rzadkim talentem do łaciny i greki, wysłać do szkoły. Chorowita córka lepiej by się odżywiła, inna córka, wyjątkowo urodziwa, spędziłaby rok u kuzynów w Cambridge. Żona Odgersa, Maria, wreszcie przestałaby z trudem wiązać koniec z końcem, sam pastor zaś – cóż, wystarczyło na niego spojrzeć, by zrozumieć, co by to dla niego znaczyło.

Odgers nie miał ustosunkowanych przyjaciół, toteż nie żywił prawie żadnych nadziei, że otrzyma beneficjum. Ale teraz, gdy pan Warleggan został posłem do Izby Gmin, istnieje szansa, że mógłby się wstawić za pastorem u dziekana i kapituły, a nawet napisać list lub szepnąć słówko swoim wpływowym przyjaciołom.

Elizabeth wysłuchiwała prośby Odgersa i obiecała zrobić wszystko, co w jej

mocy.

Kiedy dotarła do kościoła, deszcz znów się rozpadał, więc schroniła się w portyku, zdjęła czepek i spojrzała w niebo. Wcześniej tak się śpieszyła, że nie spostrzegła nadciągających chmur. Deszcz padał ukośnymi strugami, pojawiła się tęcza. Wkrótce powinno się wypogodzić. Kościół był zamknięty, dlatego też nie miała wyboru i musiała czekać w portyku.

„Proboszczowi, miast wiedzy, wystarczy znać księcia”⁷. Kto to powiedział? Po powrocie George’a wspomni mu o nadziejach Odgersa, jeśli mąż będzie w dobrym nastroju. Zwrócić się do Francisa Basseta? Mogłaby to zrobić. Zbyt daleka jazda jak na taką drobnostkę, ale wystarczyłby list. Czy Odgers nadaje się na posiadacza beneficjum? Biedakowi bardzo na tym zależy, wygląda żałośnie w peruce z końskiego włosa, z brudnymi paznokciami. Wydaje się skazany na to, by służyć innym. Czy jednak parafia powinna mieć następnego tytularnego proboszcza, który nigdy się w niej nie pojawi? Elizabeth nawet nie pamiętała nazwiska człowieka, który niedawno zmarł. Odgers, niedouczony i zaniedbany, całe życie poświęcił parafii. Zauważyła, że wielebny ostatnio czasem stawia po swoim nazwisku litery „SPC”. „Student prawa cywilnego” – tak niekiedy próbowali poprawić swój status ludzie, którzy nie ukończyli studiów.

Kiedy deszcz ustał, zrobiło się już prawie ciemno. Elizabeth ruszyła przez dziedziniec kościoła, starając się omijać kałuże, by nie pobrudzić białych pantofli z grubego lnianego płótna. Najkrótsza droga do Trenwith biegła na ukos ścieżką między nagrobkami do narożnika cmentarza, gdzie znajdowało się przejście w murku. Poszła w tę stronę, wiedząc, że po drodze minie grób ciotki Agathy.

Rodziny tak ważne dla parafii jak Poldarkowie miały zwykle własne kaplice. Po drugiej stronie kościoła w Sawle znajdowała się stara kaplica rodu Trenwithów, w której już od dawna nie było miejsca i która popadała

w ruinę. Poldarków chowano w ziemi w tej części cmentarza, indywidualnie lub co najwyżej parami. Kilku upamiętniono tablicami wewnątrz kościoła. Była to jedyna niezarośnięta część dziedzińca. W wielu miejscach, jak skarżył się Jud Paynter, natychmiast po wbiciu łopaty natrafia się na kości. Jud oczywiście skarżył się na wszystko, ale to samo mówił dawny kościelny, który pełnił przed nim funkcję grabarza. Elizabeth powinna przekonać George'a, by podarował kościołowi nowy kawałek ziemi. Ślady prac górniczych widać było nawet pod murem.

Tuż obok grobu ciotki Agathy rosły trzy karłowate głogi, tak pochylone przez wichury, jakby przycięto je gigantycznymi nożycami. Elizabeth zwróciła na nie uwagę w czasie pogrzebu. W tej chwili, na tle wieczornego nieba, ich czarne zarysy przypominały sylwetkę starej damy. Zgarbione plecy, długi płaszcz, nos i podbródek wysunięte do przodu, czepki na głowie. Ktoś oparł o głogi łopatę z długim trzonkiem, która wyglądała jak laska.

Elizabeth się zawahała, popatrzyła na krzywe drzewa i uśmiechnęła się do siebie. Po chwili uśmiech zgasł, przeszył ją dreszcz i ruszyła naprzód. Kiedy mijala głogi, jeden z nich ożył i zmienił się w postać mężczyzny. Stała.

Odwróciła się, by odejść szybko drogą, którą przyszła, i usłyszała głos:

– Elizabeth!

Znow się zatrzymała. Był to głos Rossa. Nie miała ochoty go spotkać. Wolałaby zobaczyć zgniłego trupa wygrzebującego się z ziemi.

Odszedł kilka kroków od zniekształconych głogów i zobaczyła krople deszczu lśniące na jego włosach.

– Przeszedłem obejrzeć grób Agathy i schroniłem się przed deszczem. Byłaś w kościele?

– Tak.

Pomyślała, że upływ lat niewiele go zmienił. Ta sama niespokojna, koścista twarz, te same nerwowe oczy z ciężkimi powiekami.

– Idziesz... wracasz do Trenwith?

– Tak.

– Będziesz bezpieczniejsza w towarzystwie mężczyzny. Odprowadzę cię do bramy.

– Dziękuję, wolę iść sama.

Minęła go i przeszła przez mur, lecz podążył za nią.

– Zastanawiałem się, jak duży nagrobek zamówić dla Agathy – odezwał się beznamiętnym tonem. – Rozumiem, że George nie planuje go postawić, więc zamierzam to zrobić za niego.

Przeszli kilka metrów po nierównym terenie, po czym znaleźli się znów na ścieżce i mogli iść obok siebie. Gdyby Elizabeth chciała się uwolnić od Rossa, musiałyby wrócić do domku Odgersów.

– Myślałem o obramowaniu z granitu i o krzyżu jak na grobie jej brata, tylko mniejszym. Kornwalijskiej pogody nie wytrzyma nic oprócz granitu.

Elizabeth poczuła przyływ strasznego gniewu. Ross wyrządził jej potworną, niewybaczalną krzywdę. Była wściekła, że idzie obok niej i przemawia pozornie niedbałym tonem, jakby był zwykłym krewnym rozmawiającym o banalnej kwestii wyboru nagrobka dla siostry dziadka. Gdyby jej furia nie była tak wielka, Elizabeth zauważyłaby, że spokój Rossa jest pozorny, że ukrywa emocje wywołane spotkaniem. Wściekłość nie pozwoliła jej tego dostrzec. W tym momencie wydawał się źródłem, przyczyną, sprawcą wszystkich jej obecnych i przeszłych nieszczęść.

Znów się odezwał, ale ostro mu przerwała:

– Kiedy widziałeś się z George'em? Kiedy ci powiedział, że nie zamierzamy postawić nagrobka?

Były to pierwsze słowa, jakie skierowała do Rossa, i usłyszał w jej drżącym głosie gniew.

– Kiedy? Och, w zeszły wtorek. Byłem w Truro i Francis Basset zaprosił

mnie do rozmowy o akcji charytatywnej budowy szpitala.

Zatrzymała się.

– A więc o to chodziło!

– Słucham? Co się stało, Elizabeth?

– Przypuszczasz, że coś się stało?

– Wiem, dlaczego staliśmy się wrogami przez te wszystkie lata, ale czy zdarzyło się coś nowego?

– Nowego? – Roześmiała się. – Naturalnie, że nie! Co nowego mogłoby się wydarzyć?!

Zaskoczył go jej nieprzyjemny śmiech.

– Nie rozumiem.

– To drobnostka, zwykła drobnostka. Po prostu George zmienia się po każdym spotkaniu z tobą. Staje się drażliwy, niemiły. Staje się...

Ross przez chwilę zastanawiał się w milczeniu nad słowami Elizabeth.

– Przykro mi. Nasza wzajemna niechęć nie zmniejszyła się z upływem lat. Przyznaję, że ostatnio chyba nawet się pogłębiła. Zamieniłem z nim kilka słów tamtego popołudnia i jak zwykle działaliśmy sobie na nerwy, ale nie wydarzyło się nic strasznego. Odkąd go poślubiłaś i złączyłaś z nim swój los, nie chciałem zrobić ani powiedzieć niczego, co mogłoby uprzykrzyć ci życie albo popsuć szczęście, którym na pewno się cieszysz.

Wbrew intencjom Rossa ostatnie zdanie zabrzmiało ironicznie.

Elizabeth stała w białej sukni w zapadającym zmroku. Ross pomyślał dokładnie to samo co ona o nim. Upływ lat niewiele ją zmienił. Wyglądała tak jak trzynaście lat wcześniej w Trenwith, gdy była dla niego wszystkim i gdy zależało od niej całe jego życie.

Rozmawiali ze sobą po raz pierwszy od maja tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Ross rozumiał, że postąpił haniebnie i że później, kiedy nic z tym nie zrobił, jego postępowanie stało się jeszcze

bardziej haniebne. Wiedział, że Elizabeth nigdy mu tego nie wybaczy. Dała to do zrozumienia w czasie krótkich spotkań w obecności George'a. Ross jej nie obwinał. Gdyby znajdował się na jej miejscu, prawdopodobnie czułby to samo. Spodziewał się jednak chłodu, nie wściekłości. Był zdumiony, wstrząśnięty. Z wiekiem czuł coraz większą potrzebę łagodzenia dawnych konfliktów.

– Dlaczego moje spotkanie z George'em miałoby sprawiać, że się na ciebie gniewa? Nie wspominam o tobie. Nie wymieniam twojego imienia... Chociaż, zaczekaj, zasugerowałem wtedy, że mógłbym z tobą porozmawiać o nagrobku Agathy. Była to zwyczajna propozycja, którą szorstko odrzucił. Ciągłe jest zazdrosny z powodu naszej dawnej sympatii?

– Tak! W tej chwili podejrzewa, jaki charakter miała ta sympatia!

– Ale... jak to możliwe? Co masz na myśli?

– A twoim zdaniem, co mogę mieć na myśli?

Spoglądali na siebie.

– Nie wiem. To dawno minione czasy.

– Nie, jeśli podejrzewa, że Valentine nie jest jego synem!

Nie mogłaby tego powiedzieć nikomu innemu. Przez długi czas nie przyznawała się do tego nawet przed sobą.

– O Boże... – jęknął Ross. – Boże, Boże, Boże!

– Bóg nie miał z tym nic wspólnego!

Nad łądem prawie zapadła noc, lecz morze delikatnie lśniło w mroku.

– A jest? – spytał Ross.

– Słucham?

– Czy Valentine jest synem George'a?

– Nie mogę powiedzieć.

– To znaczy nie chcesz powiedzieć.

– Nie chcę powiedzieć.

– Elizabeth...

– Już pójdę.

Odwróciła się i chciała go minąć. Chwycił ją za rękę, ale się wyrwała.

– Chciałabym, żebyś umarł, Ross... – szepnęła.

Patrzył za nią głupkowato, gdy odchodziła szybkim krokiem. Podbiegł, chwycił ją za ramię. Szarpnęła się gwałtownie, lecz tym razem trzymał mocno.

– Elizabeth!

– Puść mnie! A może jesteś takim samym nieokrzesanym brutalem jak dawniej?!

Puścił jej rękę.

– Wysłuchaj mnie!

– Co masz do powiedzenia?

– Dużo. Ale niektórych słów nie można powiedzieć na głos.

– Dlaczego? Jesteś także tchórzem?!

Nigdy jej takiej nie widział. Nigdy nie wpadła w taką furję. Zawsze była bardzo spokojna, z wyjątkiem dnia, gdy zniszczył jej spokój. Ten wybuch wściekłości i nienawiści był jednak czymś zupełnie innym. Nienawidziła go z całego serca.

– Tak, jestem tchórzem, moja droga. Nie da się odgrzebać wszystkich wspomnień z piętnastu lat. Jeszcze bardziej by cię zraniły i w niczym by mi to nie pomogło. Trzy lata temu z pewnością najbardziej cię skrzywdziłem, nigdy nie wybacysz mi tego afrontu i nigdy o nim nie zapomnisz. Proszę cię tylko, żebyś się zastanowiła – gdy będziesz w spokojniejszym nastroju – jakie wypadki doprowadziły do mojej wizyty tamtego wieczoru. Nie tylko ciebie zraniono...

– Chcesz powiedzieć...

– Tak, chcę powiedzieć. Nie próbuję się usprawiedliwiać. Kiedy będziesz w spokojniejszym nastroju, pomyśl po prostu o tym, co się działo w ciągu

poprzednich dziesięciu lat. Czy nie była to tragedia kobiety, pięknej kobiety, która nie mogła się zdecydować i zrujnowała życie sobie i mnie?

Wydawało się, że Elizabeth coś powie, lecz tego nie zrobiła. Jej włosy i suknia lśniły, twarz pozostawała niewidoczna w półmroku. Odwróciła się i ruszyła naprzód. Znajdowali się w pobliżu bramy Trenwith.

– W tej chwili to przeszłość. Przed trzema laty popełniłem przestępstwo. Szokuje mnie teraźniejszość. – Zawahał się, szukając słów. – Jak miałby się dowiedzieć?

– Może zrobiłeś jakąś aluzję...

– Wielki Boże, musisz uważać mnie za potwora!

– Dlaczego miałbyś tego nie robić? Po tym wszystkim?

– Dlatego że cię kochałem. Byłaś największą miłością mego życia. Miłość nie może się zmienić w tak okropną nienawiść.

Elizabeth milczała. W końcu odrzekła nieco zmienionym głosem, jakby słowa Rossa miały tu coś na rzeczy:

– W takim razie musiał mu powiedzieć ktoś inny.

– Na przykład kto?

– Demelza.

– Oczywiście wiedziała. O mało nie zniszczyło to naszego małżeństwa, ale teraz rana się zagoiła. Nigdy niczego nie powie, nikomu. Nie zniosłaby tego.

Przeszli kilka kroków.

– Czy zachowywał się w ten sposób tuż po narodzeniu Valentine'a?

– George? Nie.

– Uznał go za wcześniaka?

– Nie twierdzę, że Valentine nie jest wcześniakiem. Mówię tylko o podejrzeniach George'a.

– Bardzo dobrze. Musiał się czegoś niedawno dowiedzieć i to wzbudziło w nim podejrzenia.

– Och, czy jest sens o tym rozmawiać? – spytała z wielkim znużeniem. – Nasze małżeństwo zostało zniszczone. Jeśli zamierzałeś je zniszczyć, znakomicie ci się udało.

Ross nie dał się zbić z tropu.

– Kto był tamtej nocy w domu? Geoffrey Charles? Spał jak kamień w pokoju w wieżycze. Ciotka Agatha? Prawie nie wychodziła z łóżka. Tabbowie?

– George widział się z Tabbem przed kilkoma miesiącami – rzekła z ociąganiem Elizabeth. – Wspomniał mi o tym.

Ross pokręcił głową.

– Jak Tabb mógłby coś zauważyć? W tamtych czasach skarżyłaś mi się, że nigdy nie chodzi spać trzeźwy. Nie wszedłem drzwiami, wiesz o tym.

– Jak diabeł – odparła. – Miałaś twarz diabła, wyglądałeś jak diabeł.

– Ale po pierwszym szoku wcale nie traktowałaś mnie jak diabła. – Ross nie zamierzał tego powiedzieć. Elizabeth go sprowokowała.

– Dziękuję, Ross. Właśnie takich szyderstw powinnam się spodziewać.

– Może, może... Jednak to nasze spotkanie, po tylu latach... nie widzę początku ani końca.

– Koniec jest teraz. Idź swoją drogą.

Dotarli do drewnianej furtki.

– Samo nasze spotkanie to dla mnie szok, Elizabeth, ale to, co mi mówisz, jest jeszcze gorsze. Jak możemy się w tej chwili rozstać? Trzeba coś wyjaśnić. Zostań na pięć minut.

– Nawet pięć lat niczego by nie zmieniło. Wszystko skończone.

– Nie zamierzam wskrzeszać tego, co było między nami. Próbuję zrozumieć to, co mi powiedziałaś... Jesteś absolutnie pewna, że George ma takie podejrzenia?

– Jak inaczej wytłumaczyć jego stosunek do syna?

– To dziwny człowiek. Miewa humory, które mogły cię wprowadzić w błąd. To, że czujesz naturalny lęk...

– Masz na myśli poczucie winy, tak?

– W żadnym wypadku. Ponoszę całą winę za to, co się stało.

– Jakie to wielkoduszne z twojej strony!

– Możesz sądzić, co chcesz – odparł z nutą niecierpliwości. – Ale powiedz mi, dlaczego jesteś taka pewna, że George coś podejrzewa.

Milczeli przez chwilę. Panowała tak głęboka cisza, że tuż obok nich przeleciała sowa, prawie między nimi, i Elizabeth uniosła rękę, by osłonić twarz.

– Kiedy Valentine się urodził, George nie mógł się nim nacieszyć. Stale go odwiedzał, bez przerwy mówił o jego perspektywach, edukacji, dziedzictwie. We wrześniu zeszłego roku zupełnie się zmienił. Ma humory, zdarza się, że przez wiele dni nie przychodzi do pokoju syna. Po waszym ostatnim spotkaniu zaniósłam Valentine’a do jego gabinetu i nawet na niego nie spojrział.

Ross wpatrzył się w mrok, zastanawiając się nad słowami Elizabeth.

– Wielki Boże, sami wykopaliśmy sobie grób!

– I Valentine’owi... Teraz pozwól mi odejść.

– Elizabeth...

– Proszę, Ross. Źle się czuję.

– Nie, zaczekaj. Nie możemy nic zrobić?

– Powiedz mi co.

Ross milczał.

– W najgorszym razie... Dlaczego z nim nie porozmawiasz?

– O czym?

– O tych podejrzeniach. Lepiej postawić sprawę jasno, niż milczeć.

Roześmiała się gorzko.

– Cóż za szlachetna propozycja! A może ty chciałbyś z nim porozmawiać?

– Nie. Zabiłbym go albo on mnie, co nie rozwiązałoby problemu. Nie sugeruję, żebyś powiedziała prawdę. Rzuć mu wyzwanie, skłoń, by wypowiedział swoje podejrzenia, i im zaprzecz.

– To znaczy mam go okłamać.

– Jeśli to konieczne, tak. Jeśli nie potrafisz zaprzeczyć inaczej, zaprzecz w mniej bezpośredni sposób. Nie wiem, jaka jest prawda. Może ty też nie wiesz. Tylko ty możesz ją znać. George nie ma żadnego dowodu, bo nie istnieje taki dowód. Tylko ty możesz wiedzieć, kto jest ojcem Valentine’a. Tylko my dwoje wiemy, co między nami zaszło. Reszta to domysły, podejrzenia, szept i pogłoski. Co mógł usłyszeć od września, że zniszczyło mu to spokój ducha? Mówisz, że ma humory. Czyli nie wie nic na pewno. Słyszał jakieś podszepty i nie może się od nich uwolnić. Tylko ty możesz go wyzwolić.

– Jak wspaniale potrafisz rozwiązać ten problem! Powinnam przyjść do ciebie wcześniej!

Ross nie dał się sprowokować.

– Niczego nie próbuję rozwiązać, moja droga, ale myślę, że właśnie to powinnaś zrobić. Znam George’a od dwudziestu pięciu lat. Ty od piętnastu. I wiem, że się nie doceniasz. Staw czoło jego podejrzeniom. Może je wyolbrzymiasz wskutek lęku, ale jesteś jedyną osobą na świecie, która nie ma potrzeby, nie ma powodu się go bać.

– Dlaczego?

– Bo wciąż cię ceni, podobnie jak ceni cię wielu innych mężczyzn. Nie zniósłby utraty ciebie. Jego namiętność... mówię ci, znam go, zrobiłby wszystko, by cię zatrzymać, by wiedzieć, że go kochasz i że nie interesujesz się innymi mężczyznami. Pragnął cię od chwili, gdy cię poznał, gdy po raz pierwszy cię zobaczył, wiem o tym. Nigdy nie przypuszczałem, że cię zdobędzie. On także.

– Ja również – odparła Elizabeth.

– Nie...

W gęstym mroku wśród drzew pohukiwała sowa. Ross nie miał pewności, lecz wydawało mu się, że Elizabeth opuścił największy gniew.

– Wyobrażasz sobie, co czułem, gdy się dowiedziałem, że cię zdobył? – spytał.

– Nie pozostawiłeś mi wątpliwości.

– Postąpiłem źle, ale do dziś niczego nie żałowałem.

– Przypuszczałam, że żałowałeś, prawie natychmiast.

– Źle przypuszczałaś. Przecież nie mogłem przyjść do ciebie znowu, by zniszczyć wszystkim życie.

– Powinieneś wcześniej o tym pomyśleć.

– Byłem szalony, szalony z zazdrości. Niełatwo zachować rozsądek mężczyźnie, kiedy widzi, że kobieta, którą zawsze kochał, oddaje się człowiekowi, którego zawsze nienawidził.

Elizabeth popatrzyła na Rossa. Nawet w półmroku zauważył pytający wyraz jej twarzy.

– Przypisywałam ci wiele złych cech, Ross, ale nie to, że jesteś podstępny.

– Dlaczego uważasz, że teraz zachowuję się podstępnie?

Cofnęła się przed tym, co nagle pojawiło się między nimi.

– Próbujesz uratować małżeństwo, które wcześniej z całych sił próbowałeś zniszczyć. Czy nie stałeś się podstępny?

– Niezupełnie. Teraz trzeba brać pod uwagę trzecią osobę.

– Miałyś mniej wyrzutów sumienia, gdybyś...

– Dobry Boże, nie chodzi o moje sumienie! Ważne jest twoje życie i życie twojego syna! – Urwał. – Przez cały czas zakładam, że nie chcesz, by twoje małżeństwo z George’em się rozpadło?

– Moje małżeństwo z George’em już się rozpada.

– Ale mówisz tak, jakbyś chciała je uratować.

Zawahała się.

– Tak... Chcę je uratować.

– Przede wszystkim musisz uratować Valentine'a. To najważniejsze. Warto o niego walczyć.

Elizabeth zesztywniała.

– Myślisz, że nie jestem gotowa walczyć?

– Tak czy inaczej, to twój syn – rzekł szorstkim tonem. – Mam nadzieję, że to syn George'a. Nie chcę, by dziecko spłodzone przeze mnie odziedziczyło majątek Warlegganów. Przede wszystkim to twój syn i jako taki powinien dorosnąć wolny od podejrzeń... Poza tym, Elizabeth...

– Co takiego?

– Gdybyś... gdybyś kiedykolwiek dała George'owi kolejne dziecko...

– Co chcesz powiedzieć?

– Gdyby tak się stało, czy nie przypieczętowałyby to waszego małżeństwa? Nikt nie mógłby go wtedy kwestionować.

– Cóż... mów dalej.

– Kobieta może pomylić miesiąc, w którym stała się brzemienna. Może tak było w przypadku Valentine'a, może nie. Niech następnym razem powstanie zamieszanie, tylko zaplanowane. Kolejne dziecko urodzone w siódmym miesiącu przekonałoby George'a jak nic innego.

Elizabeth wpatrywała się w rękaw swojej sukni.

– Myślę... – zaczęła. – Proszę, przestań o tym mówić, dobrze?

Na rękawie Elizabeth wylądował chrabąszcz majowy, nieszkodliwy ogromny owad. Większość kobiet obawia się, że chrabąszcze wplaczą im się we włosy. Ross ujął Elizabeth za rękę i usiłował strącić owada gwałtownym ruchem dłoni, ten jednak tak silnie przywarł do tkaniny, że Ross musiał ująć palcami jego duży, miękki odwłok, po czym oderwał go i rzucił na ziemię.

Chrabąszcz zniknął w ciemnej trawie, brzęcząc bezradnie i próbując wzbić się w powietrze.

– Dziękuję – powiedziała Elizabeth. – A teraz żegnaj.

Nie puścił jej ręki i chociaż chciała odejść, nie pozwolił na to. W milczeniu przyciągnął ją do siebie i obsypał jej twarz pocałunkami. Tym razem żadnej przemocy: pięć lub sześć lekkich muśnień wargami, pełnych miłości i podziwu, zbyt erotycznych, by mieć niewinny charakter, zbyt czułych, by budzić niechęć.

– Do widzenia, moja kochana – rzekł.

Rozdział dwunasty

1

Dwighta i Caroline również zaproszono do Tregothnan, więc Ross i Demelza przyjechali po nich do Killewarren. Wypili razem czekoladę i ruszyli w drogę. Ross kupił ostatnio od Tholly'ego Tregirlsa dwa nowe konie o imionach Sheridan i Swift, toteż on sam i Demelza prezentowali się zupełnie nieźle. Ponieważ wieźli spory bagaż z ubraniami na wieczór i na noc, wzięli ze sobą Johna Gimletta, który jechał na starej Czarnulce. Gimlett od dawna nigdzie nie wyjeżdżał i Ross uznał, że służący może ten czas spędzić na koszt Boscawenów. Caroline wzięła ze sobą pokojówkę i lokaja.

Zjeżdżali w stronę Truro długą, stromą, piaszczystą drogą zrytą racicami świń. Mijali nędzne chaty i szopy, gdy nagle Dwight oznajmił, że musi ich opuścić na pół godziny, bo powinien odwiedzić pacjentkę.

– Zamierza pojechać do żony pastora. Dwight nie potrafi oddzielić pracy od przyjemności. Przypuszczam, że czasem znajduje przyjemność w wykonywaniu swoich obowiązków, zwłaszcza gdy leczy ładną młodą kobietę!

– Caroline, proszę... – Dwight lekko się uśmiechnął.

– Nie, nie, nie zaprzeczaj! Wszystkie młode kobiety cię uwielbiają. Nawet, przyznaję z rumieńcem wstydu, twoja własna żona, która stoi w tłumie, pokornie czekając na chwilę uwagi!

– Caroline uwielbia mnie oskarżać, że ją zaniedbuję, ponieważ ośmielam

się pracować jako lekarz. Proszę, nie rób mi wyrzutów przy przyjaciółach. Oni wiedzą, jak jest naprawdę.

– To żona Whitwortha, Morwenna Whitworth? – spytał Ross. – Nie wiedziałem, że jest chora.

– Tak... choruje – odparł Dwight.

– Kilka miesięcy temu urodziła dziecko – wtrąciła Demelza. – Czy to powód choroby?

– Powoli dochodzi do siebie.

– Dwight nie chce rozmawiać o swoich pacjentach – odezwała się Caroline. – Zupełnie inaczej niż lekarz mojego stryja w Oksfordzie, który swobodnie gawędzi o tym, jak pewna dama wzięła na przeczyszczenie suszony rabarbar, a jakiś dżentelmen zaraził się francuską chorobą i dobrze reaguje na kurację. Wszystko z nazwiskami, oczywiście, wszystko z nazwiskami. Wizyty u niego są bardzo ciekawe: zawsze można poznać najświeższe plotki.

– Co sądzisz o Whitworcie? – spytał Ross. – Wydał ci się sympatyczny?

– Rzadko jest w domu, gdy przyjeżdżam.

– Zawsze miałem ochotę go wrzucić do śmierdzącego stawu.

– Podziwiam twoją subtelność, Ross – powiedziała Caroline. – Cóż uczynił ten biedak, by zasłużyć na taką niechęć?

– Pewnego razu obwąchiwał Demelzę, ale nie mam do niego urazy...

– Mam nadzieję, że nie czujesz antypatii do każdego, komu podoba się Demelza, bo inaczej trudno ci będzie znaleźć przyjaciela!

– Nie, ale Whitworth jest nieznośnie zarozumiała, bez przerwy się przechwala. Jestem pewien, że Demelza również go nie lubi.

– Obwąchiwał... – rzekła Demelza. – Nie pamiętam, by mnie obwąchiwał. Nie podobał mi się tylko sposób, w jaki merdał ogonem.

Nad miastem wznosiła się wysoka wieża kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej. Na niebie wisały niskie chmury i zanosило się na deszcz. Podążali

wąskimi ulicami. Kopyta koni ślizgały się na kocich łbach, wśród błotnistych kałuż. Biegły za nimi dzieci w łachmanach. Caroline rozwiązała sakiewkę i rzuciła im kilka półpensówek. Łobuziaki natychmiast chciały je pozbierać, lecz zostały odpędzone przez niemal tak samo obdartych mężczyzn i kobiety siedzące w bramach domów.

Skręcili za róg. Odgłosy walki, krzyki i wrzaski oraz szczekanie psów zostały w tyle. Ruszyli w stronę Malpas i tam Dwight ich opuścił. Spadło kilka kropli deszczu. Droga była wąska i jechali gęsiego, omijając koleiny pozostawione przez wozy.

Ross popatrzył na proste plecy Demelzy podążającej z przodu. Nie trzymała się w siodle tak pięknie jak Caroline, choć całkiem nieźle, wzięwszy pod uwagę, jak rzadko jeździła konno. Nie powiedział jej o spotkaniu z Elizabeth. Nawet gdyby próbował wszystko wytłumaczyć, mogłaby opacznie to zrozumieć. Nic dziwnego, jeśli pomyśli się o wydarzeniach z przeszłości. Mimo to miał wielką ochotę to zrobić. Kiedy Elizabeth powiedziała mu o podejrzeniach George'a, był wstrząśnięty i zmartwiony. W tej chwili bardzo by się przydała mądrość Demelzy. Chociaż w tym przypadku nad mądrością Demelzy mogłyby wziąć górę emocje. Trudno oczekiwać czegoś innego. Ross zdawał sobie sprawę, że sytuacja jest niebezpieczna, i nie miał prawa wciągać w nią Demelzy jeszcze dalej.

Bardzo chciałby jej opowiedzieć o swoich uczuciach do Elizabeth. Próbował już kiedyś to zrobić i niemal doprowadziło to do rozpadu ich małżeństwa, po raz drugi. Dobra wiadomość, którą wtedy próbował jej przekazać, a mianowicie że jego miłość do Elizabeth nie równa się już miłości do żony, zabrzmiała dziwnie pompatycznie i protekcyjnie, po czym nastąpiła straszliwa awantura i Demelza już zaczęła siodłać konia, by odjechać, lecz powstrzymała ją ostatnia prośba Rossa i zalanie kuchni przez sfermentowane piwo.

Ponowne rozdrapywanie starej rany, która goiła się od trzech lat, z pewnością nie doprowadziłoby do niczego dobrego. Jednak jadąc w skwarne lipcowe popołudnie w stronę przystani promowej, słuchając pszczoł brzęczących nad żywopłotami, patrząc na motyle latające nad brzegiem rzeki i krążące ważki, Ross miał ochotę powiedzieć: „Demelzo, spotkałem Elizabeth i rozmawialiśmy po raz pierwszy od kilku lat. Na początku była rozgoryczona i zła, ale pod koniec złagodniała i pocałowałem ją przed rozstaniem. Ciągle ją lubię: tak jak mężczyzna, który kiedyś kochał kobietę. Smuci mnie jej nieszczęście i bardzo chciałbym jej pomóc. Celowo starałem się okazać swoją sympatię, gdyż boli mnie, że czuje do mnie taką niechęć. Mam wyrzuty sumienia z powodu dwóch złych uczynków. Najpierw wziąłem ją wbrew jej woli; choć nie do końca było to wbrew jej woli. A później nigdy do niej nie pojechałem i uważam, że to znacznie większa krzywda, której nie mogę niczym usprawiedliwić. Chciałbym znów być jej przyjacielem – jeśli to możliwe ze względu na to, kogo poślubiła. Tamtego wieczoru chciałem, by myślała, że ciągle ją Kocham – w jakiś sposób to prawda, nie powinnaś się jednak niczego obawiać, moja droga. Piętnaście lat temu oddałbym za nią cały świat. Nie zmieniła się, nie zestarzała, nie stała się wulgarna, brzydka. Ja się zmieniłem, Demelzo. Ty się do tego przyczyniłaś”.

Bardzo chciałby powiedzieć to wszystko Demelzie, ale podjął już jedną próbę wyjaśnienia, co czuje do Elizabeth, i miał dość. Wolał dmuchać na zimne. W trakcie rozmowy straciłby pewność siebie i starał się przekonać żonę o czymś, w co sam nie wierzył. Jego inteligentna, praktyczna, nieskończenie urocza żona użyłaby swojego dowcipu i zmysłu praktycznego, by zniszczyć rozsądek i dobrą wolę Rossa, po czym szybko zaczęliby mówić sobie rzeczy, w które żadne z nich nie wierzyło i których żadne nie miało zamiaru powiedzieć. Zapłaciliby za to straszliwą cenę.

Dlatego trzeba trzymać wszystko w tajemnicy. Milczeć.

Obok Tresillian od bramy wjazdowej biegł do dworu podjazd długości sześciu kilometrów, ale przebyli rzekę promem, co pozwoliło uniknąć długiej jazdy i dotrzeć do Tregothnan po kilku minutach. Demelza zauważyła, że dwór wicehrabiego Falmoutha jest starszy i znacznie bardziej zaniedbany niż Tehidy. Brakowało mu również szczególnej elżbietańskiej elegancji małego Trenwith. Wzniesiony z białego kamienia, miał dach pokryty jasnoszarym łupkiem i stał na wzgórzu z widokiem na rzekę. Wnętrza były surowe i dość posępne: dekorację stanowiły flagi, trofea wojenne, liczne zbroje i niewielkie armatki.

– Nie wiedziałam, że pańska rodzina ma takie zamiłowanie do wojny – rzekła Demelza do Hugh Armitage’a. – Wydaje się...

– Część z tych eksponatów należała do mojego dziadka, wielkiego admirała – odparł porucznik. – Wdowa po nim w dalszym ciągu mieszka w Londynie. Zgromadziły się na przestrzeni lat. Członkowie rodziny biorą udział w większości wojen, ale wzbogaciliśmy się głównie na interesach.

Zszedł po schodkach, by ich powitać. Tuż za jego plecami podążała pani Gower, miła, pulchna kobieta w wieku czterdziestu kilku lat. W głównej sali znajdowało się dwoje dzieci lorda Falmoutha oraz wuj, pułkownik Boscawen, ale sam wicehrabia jeszcze się nie pojawił. W tym samym czasie przybyło kilku innych gości i w zamieszaniu Demelza zdołała uwolnić rękę z dłoni Hugh, by Ross nie zauważył, jak długo porucznik ją trzyma.

– Chyba panią uraziłem, pani Poldark – rzekł Armitage.

– Jeśli tak było, nawet tego nie spostrzegłam – odpowiedziała.

Uśmiechnął się. Mimo opalenizny w dalszym ciągu miał bladą cerę.

– Nie spotkałem jak dotąd równie dowcipnej kobiety, tak zupełnie pozbawionej złośliwości jak pani. Ani kogoś tak pięknego, kto nie ma w sobie odrobiny pychy.

– Miłe słowa... Gdybym na nie zasługiwała, z pewnością mogłyby

wzbudzić we mnie zarozumiałość.

– Nigdy w to nie uwierzę.

– Chyba mnie pan przecenia, poruczniku.

– Ma pani na myśli, że tworzę obraz idealnej kobiety, która nie mogłaby istnieć? Wręcz przeciwnie. Wręcz przeciwnie, naprawdę. Proszę pozwolić mi wytłumaczyć...

Hugh nie mógł wyjaśnić, o co chodzi, ponieważ nadszedł lokaj, by zaprowadzić Poldarków na górę. Przebrali się, po czym zjedli kolację przy długim stole, przy którym siedziało dwudziestu gości, nie licząc członków rodziny. Po kolacji przybyło kolejnych dwudziestu kilku gości i tańczono w wielkim salonie, gdzie nie tak dawno temu Hick i Nicholas Warleggan spędzili kilka godzin na męczącym oczekiwaniu. Teraz usunięto większość mebli i uzbrojenia, a w rogu przygrywało do tańca trzech muzyków stojących w pobliżu wygasłego kominka, którego drewniany gzyms podtrzymywały dwie duże kariatydy.

Jego lordowska mość przybył na obiad. Zachowywał się uprzejmie, lecz z rezerwą, która sprawiała, że wesoła zabawa wydawała się nie na miejscu, więc nikt się nie skarżył, gdy odszedł i znów rozpoczęły się tańce.

Większość gości była młoda, dlatego dobrze się bawiono. Funkcję gospodarza pełnił porucznik Armitage, który nie narzucał się Demelzie i dopiero w połowie wieczoru podszedł do Rossa i spytał, czy mógłby zatańczyć z jego żoną. Ross, który chwilę wcześniej tańczył z Demelzą i trochę się zmęczył, z uśmiechem wyraził zgodę. Stał przy dwuskrzydłowych drzwiach i obserwował, jak Demelza i Hugh wychodzą na środek sali. Był to jeden z tradycyjnych tańców, gawot. Widział, że rozmawiają, gdy zbliżają się do siebie w czasie kolejnych figur. Demelza miała szczególny dar – potrafiła zachować atrakcyjność nawet w najbardziej niesprzyjających okolicznościach. Widział ją już w wielu niekorzystnych sytuacjach – chorą na febrę,

z przepoconymi włosami; z twarzą wykrzywioną bólem w czasie porodu; brudną i rozczochraną, gdy wyręczała służących w jakiejś niewdzięcznej pracy; wściekłą w trakcie koszmarnej kłótni. Jedną z jej największych zalet była umiejętność entuzjazmowania się drobnostkami. Nic jej się nigdy nie nudziło. Pierwsze piskłę strzyżyka było w tym roku równie fascynujące jak w poprzednim. Mając dwadzieścia sześć lat, była równie zafascynowana balem jak w wieku lat szesnastu.

Dlatego Ross nie powinien przywiązywać wielkiej wagi do jej dzisiejszego zachwyty. Miał jednak wrażenie, że w Demelzie pojawiło się coś szczególnego – błogość, której nigdy wcześniej nie widział. Oczywiście każda kobieta lubi, gdy ktoś ją podziwia, a do tego ktoś nowy. Demelza nie różniła się pod tym względem od innych kobiet. Pokłócili się niegdyś w czasie balu – Bóg jeden wie, jak dawno to było. Jeśli dobrze pamiętał, zarzucił jej wtedy, że zadaje się z niewartymi uwagi mężczyznami, a Demelza odparowała, że Ross ją zaniedbuje.

Tym razem nie zaniedbywał żony, lecz był ktoś, kto okazywał jej większe zainteresowanie – mężczyzna, z którym właśnie tańczyła. Armitage był uczciwym, uroczym, sympatycznym człowiekiem, nic jednak nie wskazywało na to, że Demelza odwzajemnia jego podziw i uwagę. Ross nigdy nie wątpił w lojalność żony, znali się za długo i za dobrze, ale miał nadzieję, że nie pozwoli Armitage'owi wyobrazić sobie, że jest inaczej.

Za jego plecami rozległo się chrząknięcie. Odwrócił się. Lokaj w białej peruce.

– Proszę wybaczyć, sir, ale jego lordowska mość prosi, aby był pan łaskaw odwiedzić go w jego gabinecie.

Ross się zawahał. Nie miał najmniejszej ochoty rozmawiać z wicehrabią, lecz nie mógł odmówić jako gość. Przeszedł przez salę i spotkał Caroline schodzącą po schodach.

– Gdyby Demelza zeszła z parkietu, powiedz jej, proszę, że jestem w gabinecie wicehrabiego – zwrócił się do niej. – Mam nadzieję, że nie zabawię tam długo.

Caroline uśmiechnęła się do Rossa.

– Naturalnie.

Dopiero kiedy wszedł za lokajem do gabinetu Falmoutha, ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że Caroline nie zrobiła żadnej dowcipnej ani ironicznej uwagi.

3

– Jestem najniezwyklejszym z ludzi – rzekł Hugh Armitage.

– Dlaczego? – spytała Demelza.

– Ponieważ kobieta, która stała się dla mnie droższa niż życie, jest żoną mężczyzny, który uratował mi życie.

– Nie powinien pan mówić tego, co pan przed chwilą powiedział.

– Skazaniec ma prawo mówić prosto z serca.

– Skazaniec?

– Jestem skazany na rozstanie. Na stratę. Jutro wyjeżdżam do Portsmouth.

– Poruczniku Armitage, ja...

– Czy mogłabyś nazywać mnie Hugh?

Rozdzielili się, po czym wkrótce znów znaleźli się obok siebie.

– Cóż, Hugh, skoro to konieczne... Nie uważam, że jesteś skazany na stratę, bo czy mógłbyś stracić coś, czego nigdy nie miałeś?

– Przebywałem w twoim towarzystwie, rozmawiałem z tobą, dotykałem twojej dłoni, słyszałem twój głos, widziałem światło w twoich oczach. Czy to nie wystarczająca strata?

– Jesteś poetą, Hugh. Na tym polega problem...

– Tak, pozwól mi wyjaśnić. Zamierzałem powiedzieć to już wcześniej. Myślisz, że dążę do niedościgniętego ideału. Ale nie wszyscy poeci to romantycy. Nie jestem romantykiem, wierz mi. Od czternastego roku życia służę w marynarce wojennej, wiele razy dostałem nieźle w kość, dużo widziałem, w tym wiele brudów. Znałem kilka kobiet. Nie mam co do nich żadnych złudzeń.

– Więc nie możesz mieć złudzeń również co do mnie.

– Nie mam. Nie mam.

– Tak, masz. Ten wiersz...

– Pisałem inne. Niestety nie odważyłem się ich wysłać.

– Myślę, że tego również nie powinienes wysłać.

– Naturalnie, że nie powinienem. Było to zupełnie niestosowne. Ale jeśli mężczyzna śpiewa pieśń miłosną, ma nadzieję, że obiekt jego westchnień przynajmniej raz go usłyszy.

Demelza powiedziała coś pod nosem.

– Co takiego? Co powiedziałaś?

Uniosła głowę.

– Martwisz mnie.

– Ośmielam się mieć nadzieję, że to znaczy...

– Nie miej na nic nadziei. Czy nie możemy być szczęśliwi po prostu dlatego... dlatego, że żyjemy? Pamiętasz, co powiedziałeś mi w Tehidy? Że wszystko można docenić od nowa.

– Tak – odparł. – Obracasz przeciwko mnie moje własne słowa.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Nie, Hugh, nie przeciwko tobie. Dla ciebie. W ten sposób możemy odczuwać sympatię, nie ranić nikogo i samemu nie odnosić ran.

– Właśnie to do mnie czujesz? Sympatię? – spytał.

– Myślę, że nie powinienes o to pytać.

– Twój uśmiech jest jak blask słońca, a ja je zasłoniłem – rzekł. – Ale warto było to zrobić, bo widzę, że jesteś zbyt uczciwa, by mnie oszukiwać. Nie czujesz do mnie sympatii, tylko coś innego.

– Taniec się skończył. Goście się rozchodzą.

– Nie czujesz do mnie tego, co czułabyś do brata. Czy to prawda, Demelzo?

– Mam wielu braci, lecz żaden z nich nie jest taki jak ty.

– A siostry?

– Nie.

– Ach, niestety... Trudno spodziewać się czegoś takiego. Bóg nie powtarza swoich arcydzieł.

Demelza głęboko odetchnęła.

– Mam wielką ochotę na kieliszek porto.

4

– Przemysł osiągnął niewiarygodne rozmiary – rzekł wicehrabia Falmouth. – Wie pan, że w zeszłym tygodniu do portu w Falmouth przyplłynął szkuner, Mary Armande, z ładunkiem węgla. Ktoś doniósł i w czasie rozładunku na pokład weszli celnicy. Okazało się, że w skrytce w ładowni znajdowało się dwieście siedemdziesiąt sześć baryłek brandy.

– Niewiarygodne – odparł Ross. Przyszło mu do głowy, że Falmouth, Basset i George Warleggan mają przynajmniej jedną wspólną cechę: nienawiść do przemysłowców. Ross nie miał nic przeciwko kontrabandzie, jeszcze nie tak dawno sam w niej uczestniczył, toteż nie chciał się wypowiadać. Tak czy inaczej, nie przypuszczał, że jego lordowska mość zaprosił go, by rozmawiać o tej kwestii.

Falmouth siedział przy dymiącym kominku, w którym zapewne niedawno rozpalono niewielki ogień. Miał na sobie zielony aksamitny surdut i niewielką

zieloną myckę zasłaniającą rzadkie włosy. Wyglądał jak zamożny drobny ziemianin, dość młody, zdrowy, przybierający na wadze. Tylko w oczach było coś autokratycznego. Na talerzu obok jego łokcia leżała kiść winogron, czasem sięgał po jeden z owoców.

Rozmawiali o zbiorach, gdyż była akurat pora żniw. Rossowi przyszło do głowy, że mogliby rozmawiać na prawie każdy temat związany z hrabstwem: o górnictwie, żegludze, szkutnictwie, kamieniołomach, rybactwie, odlewnictwie albo nowych robotach na południowym wschodzie, gdzie wydobywano szlachetne glinki ceramiczne – Falmouth uczestniczył w każdym z tych przedsięwzięć. Nie w tak praktyczny sposób jak Warlegganowie, nie bezpośrednio: miał udziały, którymi zajmowali się jego zarządcy, administratorzy, prawnicy, zarabiający na życie pilnowaniem interesów swojego pracodawcy. Poza tym był właścicielem ziemi, na której znajdowały się fabryki lub kopalnie.

– Myślę, że mam wobec pana dług wdzięczności, kapitanie Poldark – odezwał się wicehrabia.

– Doprawdy? Nic o tym nie wiem.

– Tak, i to dwojakiego rodzaju. Gdyby nie pan, syn mojej siostry w dalszym ciągu gnąłby w śmierdzącym więzieniu w Bretanii. W tej chwili mógłby już nie żyć.

– Jestem szczęśliwy, że wasza lordowska mość przypisuje mi tę zasługę, ale muszę zwrócić uwagę, że popłynąłem do Quimper tylko w celu uwolnienia doktora Enysa, który jest tu dziś z nami, a cała reszta to przypadek.

– Nieistotne. Nieistotne. Było to odważne przedsięwzięcie. Jeszcze nie tak dawno służyłem w wojsku i potrafię docenić odważny pomysł oraz ogromne ryzyko, na które się pan naraził.

Ross skłonił głowę i czekał. Falmouth wypluł na dłoń dwie pestki i wsunął do ust trzy następne winogrona. W końcu Ross powiedział:

– Jestem szczęśliwy, że umożliwiłem Hugh Armitage’owi ucieczkę, ale nie mam pojęcia, na czym mogłaby polegać druga przysługa wyświadczona waszej lordowskiej mości.

Wicehrabia wypluł pestki.

– Rozumiem, że nie wyraził pan zgody na kandydowanie przeciwko mojemu nominatowi w wyborach uzupełniających w Truro.

– Och, wielki Boże!

– Dlaczego pan to mówi?

– Wydaje się, że w naszym hrabstwie nie można odbyć żadnej rozmowy, choćby najbardziej prywatnej, by jej treść nie stała się powszechnie znana.

Falmouth spojrzał na swój nos.

– Nie przypuszczam, żeby była powszechnie znana, ale taka informacja do mnie dotarła. Zakładam, że jest prawdziwa.

– O tak, prawdziwa. Muszę jednak zauważyć, że moje powody były czysto prywatne. Nie działałem w niczym interesie ani przeciwko nikomu.

– Wydaje się, że inni nie wahają się działać przeciwko moim interesom.

– Ludzie mają różne ambicje, milordzie.

– A pan, kapitanie Poldark? – spytał nagle wicehrabia.

Pytanie było tak niespodziewane, że Ross nie był pewien, co odpowiedzieć.

– Żyję tak, jak chcę – rzekł w końcu. – Chciałbym wychować dzieci, sprawić, by otaczający mnie ludzie byli szczęśliwi, nie dźwigać ciężaru długów.

– Cele godne podziwu, lecz dość skromne.

– A kto realizuje ważniejsze cele?

– Ludzie, którzy poświęcają się służbie publicznej, zwłaszcza gdy kraj jest w stanie wojny... Kiedy myślę o pana zeszłorocznej przygodzie, podejrzewam, że nie docenia pan swoich możliwości albo brakuje panu

okazji, by je wykorzystać dla dobra Anglii.

– Jednak nie skłaniam się do kariery parlamentarnej.

– W przeciwieństwie do George’a Warleggana.

– Na to wygląda.

Falmouth zjadł kolejne winogrono.

– Pewnego dnia z przyjemnością pokrzyżowałbym plany poselskie pana George’a Warleggana.

– Myślę, że istnieje tylko jeden sposób.

– Jaki?

– Pogodzenie się waszej lordowskiej mości z sir Francisem Bassetem.

– Wykluczone!

Ross wzruszył ramionami i nie odpowiedział.

– Basset wciska się do moich okręgów wyborczych, przekupuje stronników, usiłuje przejmować prawa należące do mojego rodu od pokoleń. Jest równie bezczelny jak jego lokaje!

– Czy kontrola nad okręgami wyborczymi nie polega na kupowaniu wpływów?

– W najbardziej cynicznym sensie – tak. To sprawny system pozwalający utrzymać ciągłość władzy. Załamuje się, gdy bezczelni, zanadto ambitni młodzi właściciele ziemscy mający dużo pieniędzy kwestionują odwieczne prawa starej arystokracji.

– Nie jestem pewien, czy obecny system wyborczy sprawnie pozwala utrzymać ciągłość władzy. Oczywiście sytuacja jest lepsza niż wcześniej, ponieważ król, wielcy panowie i gmin nie mogą rządzić samodzielnie. Może to nam oszczędzić powtórki tysiąc sześćset czterdziestego dziewiątego roku, a nawet, jeśli spojrzeć na Francję, powtórki tysiąc siedemset osiemdziesiątego dziewiątego. Ponieważ sir Francis zaproponował mi udział w wyborach w Truro, zainteresowałem się systemem istniejącym obecnie w Anglii.

Przypomina on starą, rozklekotaną karetę: resory popękały, orczyk dawno się złamał, a w podłodze są dziury po jeździe po nierównych drogach. Trzeba zbudować nową karetę, bo ta do niczego się nie nadaje.

Ross mówił bez ogródek, ale nie zrobiło to wrażenia na arystokracji.

– Jakie ulepszenia sugeruje pan przy budowie nowej karety?

– Cóż... przede wszystkim nowy podział mandatów, by posłowie lepiej reprezentowali interesy kraju jako całości. Nie wiem, ilu ludzi mieszka w Kornwalii – moim zdaniem mniej niż dwieście tysięcy – lecz wybieramy czterdziestu czterech posłów do Izby Gmin. Manchester i Birmingham, wielkie, nowe miasta, każde liczące około siedemdziesięciu tysięcy mieszkańców, nie mają żadnego przedstawicielstwa w parlamencie!

– Jest pan zwolennikiem demokracji, kapitanie Poldark?

– Basset pytał mnie o to samo. Odpowiedź brzmi: nie. Jednak to, że nowe, wielkie skupiska ludności na północy nie mają wpływu na sprawy kraju, nie jest rzeczą zdrową.

– Wszyscy reprezentujemy naród – rzekł Falmouth. – To jeden z celów posłowania do parlamentu. I jeden z przywilejów.

Ross nie odpowiedział. Gospodarz poprawił pogrzebaczem ogień, aż w kominku pojawiły się płomienie.

– Jak pan na pewno wie, krążą plotki, że pański przyjaciel Basset może wkrótce otrzymać tytuł arystokratyczny.

– Nie, nic o tym nie wiem.

– Jako jeden z lordów, którzy kupili tytuł od Pitta. Baronat lub coś w tym rodzaju w zamian za pieniądze i poparcie posłów kontrolowanych przez Basseta.

– Jak powiedziałem, nie jest to dobry system.

– Nigdy nie wykorzenimy przekupstwa, chciwości i ambicji.

– Nie, ale można je kontrolować.

Przez chwilę panowało milczenie.

– A pozostałe reformy, które pan proponuje? – W głosie wicehrabiego pojawił się cień ironii.

– Mogłyby pana jeszcze bardziej zbulwersować.

– Nie mówiłem, że poprzednie mnie zbulwersowały.

– Cóż, niewątpliwie jakaś zmiana w mechanizmie wyborów. Mandaty nie powinny być kupowane i sprzedawane, jakby były prywatną własnością. Elektorów nie należy przekupywać, ani darami, ani pieniędzmi. W wielu przypadkach wybory to zwykłe oszustwo. W Truro jest przynajmniej kilku zdrowych mężczyzn, którzy udają, że wybierają posłów, niezależnie od tego, kto na nich wpływa. W innych okręgach jest znacznie gorzej. Również w Kornwalii. Podobno w Midhurst w hrabstwie Sussex jest tylko jeden faktyczny wyborca, który wybiera dwóch posłów zgodnie z instrukcjami otrzymanymi od swojego patrona.

– Och, to prawda – rzekł Falmouth. – W Old Sarum koło Salisbury są tylko ruiny zamku, ani jednego domu czy mieszkańca, lecz wybiera się tam dwóch posłów do Izby Gmin. – Zastanawiał się przez chwilę. – A zatem jak zbudowałby pan nową karekę?

– Przede wszystkim należy poszerzyć prawa wyborcze. Nie można...

– Prawa wyborcze?

– Liczbę elektorów, jeśli pan woli. Bez tego niczego się nie osiągnie. Elektorzy muszą mieć wolny wybór, nawet jeśli jest ich zaledwie dwudziestu pięciu. Posłowie również powinni mieć swobodę wyboru, nie zależeć od patronów ani wpływów zewnętrznych. Może właśnie dlatego coraz częściej mówi się o prawach wyborczych, bo oznaczają one wolność. Ani głosy, ani mandaty nie powinny być na sprzedaż.

– A parlamenty zwoływane co roku, emerytury w wieku pięćdziesięciu lat i reszta tych nonsensów?

- Widzę, że jest pan czytany, milordzie.
- Trzeba znać poglądy wrogów.
- Czy dlatego dziś mnie pan zaprosił, milordzie?

Wicehrabia uśmiechnął się po raz pierwszy od początku rozmowy.

– Nie uważam pana za wroga, kapitanie Poldark. Jak pan pamięta, zauważyłem, że moim zdaniem jest pan człowiekiem o niewykorzystanym potencjale. I chociaż nie popiera pan najradykałniejszych idei Towarzystw Korespondencyjnych, czy naprawdę uważa pan za możliwe wybory bez patronatu, bez jakiejś formy zapłaty?

– Tak sędzę.

– Mówił pan o przekupywaniu elektorów. Wspomniał pan z pogardą, że są przekupywani darami lub pieniędzmi. Czy wypłata nagrody w chwili głosowania jest gorsza od obietnicy nagrody, obietnicy, którą, jak pan wie, można później złamać? Proszę powiedzieć, co pan uważa za uczciwsze: wypłacenie komuś dwudziestu gwinei za głosowanie na wskazanego kandydata czy obiecanie mu uchwalenia prawa, które wzbogaci go o dwadzieścia gwinei?

– Nie uważam, że musiałyby się to odbywać w ten sposób.

– Pana ocena natury ludzkiej jest bardziej optymistyczna od mojej.

– Człowiek nigdy nie będzie doskonały, więc nigdy nie osiąga ideału – rzekł Ross. – Cokolwiek próbuje zrobić, zawsze przeszkadza mu grzech pierworodny.

– Kto to powiedział?

– Mój przyjaciel, który dziś tu jest.

– Mądry człowiek.

– Ale nie cynik. Jak sędzę, zgodziłby się ze mną, że lepiej pokonać trzy stopnie drabiny, a potem spaść o dwa, niż w ogóle się nie ruszać.

Falmouth uniósł się z miejsca, stanął odwrócony plecami do ognia i grzał

sobie ręce.

– Cóż, stoimy po przeciwnych stronach barykady i wyobrażam sobie, że tak pozostanie. Naturalnie uważa mnie pan za człowieka mającego dziedziczną władzę, który nie zamierza z niej zrezygnować. Sprawuję rządy, kupując i sprzedając. Żołnierze, marynarze, duchowni, celnicy, burmistrzowie, urzędnicy – ich nominacje i kariery zależą od mojego słowa. Wszędzie panuje nepotyzm. Czym chciałby go pan zastąpić? Władzy nie da się dzielić w nieskończoność, musi jednak istnieć. Ktoś musi ją mieć, a ponieważ, jak sam pan mówi, człowiek nigdy nie będzie doskonały, niekiedy władza bywa nadużywana. Kto skorzysta z niej bardziej niewłaściwie: demagog, który nagle ją zdobędzie i któremu uderzyła do głowy jak mocne wino, ponieważ nigdy wcześniej nie miał w ustach kropli trunku, czy człowiek, który zdobył wiedzę, jak się nią posługiwać, który przez całe życie korzysta z tego trunku i może go pić, nie upijając się?

Ross również wstał.

– Uważam, że oprócz arystokraty i demagoga mogą istnieć inni, lepsi politycy, ale to nieważne. Zdaję sobie sprawę, że zmiany zawsze są niebezpieczne, choć nie odrzucałbym ich z tego powodu... Myślę, że powinienem wrócić do sali balowej.

– Ma pan ładną żonę, która zasługuje na szacunek – rzekł wicehrabia. – Proszę się nią cieszyć, dopóki to możliwe. Życie jest niepewne.

– Mógłby mi pan wyświadczyć pewną przysługę, milordzie – powiedział Ross przy drzwiach. – Byłoby to wykorzystanie dziedzicznej władzy, którą ośmieliłem się skrytykować. Czy zna pan kościół w Sawle?

– Tak, znam. Mam ziemię w tej parafii.

– Zdaje się, że dysponentami beneficjum są dziekan i kapituła katedry w Exeter. Dotychczasowy posiadacz beneficjum zmarł, a obecny proboszcz, przepracowany, źle wynagradzany mały człowieczek, pracuje tam od

dwudziestu lat i byłby w siódmym niebie, gdyby otrzymał to beneficjum. Nie wiem, czy są jacyś inni kandydaci. Chociaż wielu mogłoby mieć lepsze koneksje, nikt nie zasługuje na to bardziej od tego człowieka.

- Jak się nazywa proboszcz w Sawle?
- Odgers. Clarence Odgers.
- Zapiszę to nazwisko.

Rozdział trzynasty

1

Idąc korytarzem, Ross usłyszał śmiechy i miał wrażenie, że rozpoznaje głos Demelzy. Ogarnęła go irytacja. Obecna wizyta wydawała się osobliwą, nieprzyjemną powtórką wizyty w Tehidy. Prowadził poważną rozmowę o sprawach kraju i hrabstwa z poważnym gospodarzem, a tymczasem jego młoda żona bawiła się w towarzystwie rówieśników i flirtowała z porucznikiem marynarki wojennej. Ross zachowywał się jak ważna osobistość w zaawansowanym wieku: zgodnie z zasadami powinien zażywać tabakę, mieć wydatny brzuch i pierwsze oznaki podagry. Do licha z tym!

Przeszedł przez główną salę, miał ochotę wywołać awanturę, lecz powstrzymywał go wrodzony zdrowy rozsądek. Natychmiast zauważył, że w roześmianej grupie osób nie ma Demelzy: ośrodkiem zainteresowania była Caroline. Do Rossa podeszła gospodyni, pani Gower.

– Och, kapitanie Poldark, pańska żona poszła z innymi na górę, by obejrzeć widok z kopuły, dopóki jest jeszcze widno. Wolno mi wskazać panu drogę?

Pokonali dwa piętra, po czym wspięli się wąską klatką schodową prowadzącą do szklanej kopuły nad dachem dworu. Stała tam Demelza wraz Armitage'em, Dwigthem i St Johnem Peterem, kuzynem Rossa. Ross bez entuzjazmu wszedł do niewielkiej przeszklonej półkuli, ale uradowane spojrzenie Demelzy złagodziło jego irytację.

Grzecznie podziwiał panoramę, a pani Gower wskazywała najważniejsze

punkty terenu. Po zachodzie słońca wypogodziło się i na perłowym niebie lśniło już kilka gwiazd. Rzeka o zalesionych brzegach wyglądała jak roztopiony ołów. W pobliskim basenie portowym kotwiczyło kilka wysokich żaglowców, na których suszono żagle po deszczu. W dali widać było port w Falmouth i migające światła miasta. Na niebie leciały trzy czaple.

– Rozmawialiśmy o fokach, Ross – powiedziała Demelza. – Opowiadałam o Foczej Zatoce między Namparą a St Ann's. O wielkich rodzinach fok mieszkających w jaskiniach.

– Służę na morzu od dziesięciu lat, ale nigdy nie widziałem foki – rzekł Hugh Armitage. – Potrafią państwo w to uwierzyć?

– Ja również nie widziałem foki – wtrącił Dwight.

– Na Boga, są również w tej części wybrzeża! – zawołał St John Peter. – Pojawiają się stale wokół Mevagissey i ujścia rzeki Helford. Figlują na skałach. Kogo to obchodzi? Nie ruszyłbym się z domu, by je oglądać!

– Pamiętam, że kiedy byłam dziewczynką, wybraliśmy się na wycieczkę do St Ives – powiedziała pani Gower. – Mieszkałam z bratem i siostrą u St Aubynów. Pewnego słonecznego ranka wypłynęliśmy w morze, ale rozpuściła się burza i o mało nie zginęliśmy w katastrofie morskiej.

– Nie ufam temu przekłętemu morzu! – rzekł bełkotliwie St John Peter. – Jest wyjątkowo zdradliwe! Za żadne skarby nie wsiadłbym do łodzi, ani dużej, ani małej. To jak pływanie między zębami aligatora!

– Czasem wybieramy się na ryby – zauważyła Demelza. – To dość bezpieczne, jeśli potrafi się przewidzieć pogodę. Rybacy łowiący sardynki znają się na tym i dają sobie radę... Cóż, prawie zawsze.

– Byłoby miło wybrać się jutro na niewielką wycieczkę, gdyby pogoda okazała się sprzyjająca – powiedziała pani Gower. – Do Helford nie jest zbyt daleko i wiem, że moje dzieci byłyby zachwycone. Nie mógłbyś odłożyć wyjazdu, Hugh?

– Niestety, muszę być w czwartek w Portsmouth.

– No cóż... – Pani Gower uśmiechnęła się do Demelzy. – Moglibyśmy to odłożyć i popłynąć do Foczej Zatoki innego dnia. Słyszałam o niej. Jest bardzo znana.

– Jeśli w czasie tego brzydkiego lata kiedykolwiek zapanuje ładna pogoda, proszę przywieźć swoje dzieci do Nampary – odezwał się Ross. – Do Foczej Zatoki płynie się od nas dwadzieścia minut i sądzę, że nie byłiby państwo rozczarowani.

Demelza spojrzała z zaskoczeniem na męża. Nie chciał dziś przyjeżdżać do Tregothnan, więc był to z jego strony zadziwiająco przyjazny gest. Nie wiedziała, że zmianę jego nastroju wywołały wyrzuty sumienia. Irytację i zazdrość zastąpiła duma z żony.

– Mogą państwo spędzić u nas noc. – Demelza zwróciła się nierozważnie do pani Gower.

– To byłoby cudowne. Choć... może powinniśmy poczekać, aż Hugh znowu wróci do domu.

Armitage pokręcił głową.

– Byłaby to dla mnie wielka przyjemność, ale mogę wrócić do kraju dopiero za dwa lata.

– Do licha! – zawołał St John Peter. – Są lepsze sposoby spędzania czasu niż pływanie w niebezpiecznej łodzi, by patrzeć na ssaki morskie z wąsami. Ale *chacun à son goût*, jak sądzę.

Zeszli na dół, pili herbatę, tańczyli, rozmawiali i znów tańczyli. Demelza wypijała za dużo porto i zachowywała się swobodniej, niż kiedykolwiek by się ośmieliła, zwłaszcza w domu arystokraty. Ponieważ wiedziała, że zanadto lubi porto, starała się unikać alkoholu przed narodzinami Clowance i tego wieczoru nadużywanie trunku miało emocjonalne, wręcz masochistyczne przyczyny. Hugh Armitage uważał ją za ideał, wzór kobiecości, bóstwo

z mitologii greckiej i Demelza musiała pozbawić go złudzeń dla jego własnego dobra. Mimo zapewnień, że zna inne kobiety i ich wady, młody oficer uparcie nie chciał widzieć wad Demelzy. Tylko pijąc za wiele, mogła dowieść, że nie różni się od innych kobiet. Fałszywe wyobrażenia Hugh na jej temat sprawiały Demelzie przyjemność, a konieczność ich rozwiania budziła w niej smutek, lecz uważała to za konieczne.

Należało to zrobić przed jego wyjazdem. Bardzo sobie ceniła przyjaźń Hugh i chciała ją zachować niczym dobrą myśl, przyjemne wspomnienie. Za dwa lub trzy lata mogą się znowu spotkać i odnowić znajomość, jakby nigdy się nie rozstali. Miał prawo czuć sympatię do Demelzy. Nawet ją podziwiać, jeśli – niechaj Bóg ma go w swojej opiece – rzeczywiście uważał, że Demelza zasługuje na podziw. Ale nie może jej idealizować, adorować, kochać. Nie powinien wyjeżdżać w stanie uniesienia, z głową pełną złudzeń.

Tego wieczoru w sypialni przeżyła kryzys: rozsądek obrócił się przeciwko niej. Siedziała na skraju łóżka i zdejmowała pończochy, gdy nagle ogarnął ją straszliwy smutek. Zdarzało się to rzadko i Ross szybko spostrzegł, że coś się stało.

– Mdli cię, kochanie? – spytał.

– Nie.

– Wypiłaś za wiele porto. Już dawno nie piłaś dla kurazu.

– Nie piłam dla kurazu.

– Nie, myślę, że nie.

– Naprawdę?

– Cóż, to mi powiedz.

– Nie mogę.

Usiadł na łóżku obok Demelzy i objął ją ramieniem. Oparła głowę na jego barku.

– Och, Ross, tak mi smutno!

– Z jego powodu?

– Chciałabym być dwiema kobietami.

– Powiedz mi o tym.

– Pierwszą, twoją kochającą żoną, którą zawsze chcę być i zawsze będę.

I matką. Szczęśliwą, szczęśliwą, szczęśliwą... Ale na jeden dzień...

Zapadło długie milczenie.

– Chciałabyś być kochanką Hugh Armitage'a.

– Nie, nie o to chodzi. Chciałabym być inną kobietą, nie Demelzą Poldark, tylko kimś, kto by go rozumiał i mógł dać mu szczęście, choćby na jeden dzień... Kimś, kto mógłby się z nim śmiać, rozmawiać, flirtować, iść na spacer, jeździć konno, pływać w morzu, rozmawiać, bez poczucia, że jest nielojalny wobec mężczyzny, którego darzy prawdziwą, absolutną miłością.

– I uważasz, że to by mu wystarczyło?

Poruszyła głową.

– Nie wiem. Chyba nie.

– Ja też sądzę, że nie. Jesteś pewna, że tobie by to wystarczyło?

– O tak!

Świeca skwierczała, a unoszący się z niej dym przypominał ciemny dym z komina kopalni. Ross i Demelza nie próbowali jej zgasić.

– Takie przypadki się zdarzają – rzekł Ross.

– Jakie?

– To, co czujesz. Takie rzeczy się zdarzają. Zwłaszcza wśród ludzi, którzy wcześniej się zakochali i których miłość trwała długo.

– Dlaczego właśnie wśród takich ludzi?

– Bo inni jedli najpierw przy innych stołach. A jeszcze inni sądzą, że miłość nie musi się łączyć z lojalnością. Poza tym...

– Nie chcę być nielojalna! Nie chcę kochać nikogo innego! Wcale nie o to chodzi. Chciałabym dać drugiemu mężczyźnie coś w rodzaju szczęścia, mojego

szczęścia... Nie mogę tego zrobić i to boli...

– Spokojnie, kochanie. Mnie również to boli.

– Naprawdę, Ross? Bardzo mi przykro.

– Cóż, po raz pierwszy widzę, jak patrzysz na innego mężczyznę tak jak na mnie.

Demelza wybuchnęła płaczem.

Milczał przez chwilę, wystarczała mu świadomość, że siedzi obok żony, że poznaje jej myśli i emocje.

Nie przyjęła chusteczki Rossa. Miała własną schowaną w rękawie.

– Boże, to nic... – westchnęła. – To tylko porto.

– Nigdy wcześniej nie słyszałem o kobiecie, która wypija tak dużo porto, że zaczęło jej kapać z oczu.

Zachichotała cicho, po czym dostała czkawki.

– Nie śmieję się ze mnie, Ross. Nieładnie śmiać się z kogoś, kto ma kłopoty.

– Przysięgam, że nigdy więcej tego nie zrobię.

– To nieprawda. Wiesz, że będziesz się ze mnie śmiał.

– Obiecuję, że będę się z ciebie śmiał dwa razy mniej niż ty ze mnie.

– Ale to nie to samo.

– Nie, kochanie. – Pocałował ją lekko. – To nie to samo.

– Obiecałam, że jutro rano go pożegnają – powiedziała. – O szóstej.

– Więc go pożegnasz.

– Ross, jesteś dla mnie bardzo dobry. Masz dużo cierpliwości.

– Wiem.

Ugryzła go w rękę, która przypadkiem znalazła się w pobliżu. Przez chwilę dotykał obolałego kciuka.

– Myślisz, że popadam w samozadowolenie jako twój mąż i obrońca. Tak nie jest. Oboje stąpamy po linie. Wolałabyś, żebym sprawił ci porządne lanie?

– Może właśnie tego mi potrzeba – odpowiedziała.

Dwight odwiedził plebanię kościoła pod wezwaniem Świętej Małgorzaty i stwierdził poprawę stanu zdrowia Morwenny. Delikatne tkanki narządów kobiecych prawie się zagoiły. Nie pojawiły się wydzieliny, pacjentka była znacznie mniej nerwowa. Dwight powiedział Morwennie, że powinna wstawać o normalnej porze, odpoczywać po obiedzie przez pewien czas i wieczorem znów schodzić na dół. Jeśli pogoda będzie ładna, może chodzić z siostrą na krótkie spacerunki po ogrodzie, karmić łabędzie, zbierać kwiaty, wykonywać lekkie prace domowe. Pod żadnym pozorem nie powinna się przemęczać i musi przestrzegać zalecanej diety, dopóki nie miną cztery tygodnie.

Został jeszcze tydzień. Dwight obiecał przyjechać w przyszły czwartek i spodziewał się kolejnej nieprzyjemnej sceny z udziałem pastora Whitwortha. W ciągu rocznego pobytu w więzieniu Enys miał dużo czasu, by obserwować wpływ radości i przygnębienia na własny stan fizyczny i dolegliwości innych ludzi. Uznał, że istnieje szczególny związek między emocjami a reakcjami organizmu. Był przekonany, że odzyska zdrowie, jeśli jak najszybciej rozpocznie normalną praktykę lekarską – Caroline nie podzielała tego poglądu. Kiedy umysł Dwighta zmuszał ciało do wysiłku wbrew woli organizmu, pod koniec dnia czuł się lepiej. A to ożywiało umysł. Inni reagują podobnie. Oczywiście nie da się wyleczyć złamanej nogi, kazać choremu chodzić, ale jeśli można nakazać umysłowi, by wspomagał ciało, często stanowi to połowę udanej kuracji.

Dwight nie miał wątpliwości, że problem Morwenny polega nie tylko na błędnej diagnozie Behenny: dziewczyna cierpiała na ostrą melancholię. W dalszym ciągu była przygnębiona, lecz nieco mniej. W trakcie oględnych rozmów z Morwenną, krążąc wokół tematu, Dwight nabrał przekonania, że czuje ona trwogę na myśl o zbliżeniu fizycznym z mężem i że jest to jedno ze

źródeł melancholii.

Mąż Morwenny był duchownym, a Dwight jedynie lekarzem, więc mógł tylko delikatnie sugerować, by pastor powstrzymał się od stosunków z żoną, choć z góry wiedział, że spotka się to z głęboką niechęcią. Nie powinien kierować cudzym małżeństwem. Ostatnim razem zabronił Whitworthowi stosunków z Morwenną na okres czterech tygodni. Zrobił to z powodów medycznych i miał do tego niekwestionowane prawo jako lekarz. Jednak w tej chwili Morwenna była wystarczająco zdrowa fizycznie, by znów rozpocząć współżycie małżeńskie. Chorowała jej dusza. Po prostu nie chciała kontaktów seksualnych. Albo czuła odrazę do męża, albo była jedną z tych nieszczęśliwych kobiet, które cierpią na nieuleczalną oziębłość.

Czy Dwight ma prawo się wtrącać? Wielebny Whitworth niewątpliwie znajduje się w trudnej sytuacji. Ale Morwenna jest pacjentką Dwighta. Whitworth wydaje się obdarzony niezwykłą siłą fizyczną – chyba mógłby unieść wołu. Czy z medycznego punktu widzenia lekarz ma prawo zabronić małżonkom stosunków na, powiedzmy, kolejne dwa tygodnie? Whitworth, duchowny i dżentelmen, prawdopodobnie posłucha. W ciągu dwóch tygodni stan Morwenny może się znacznie poprawić. Powinien wtedy delikatnie napomknąć o obowiązkach małżeńskich, jakie na niej spoczywają. Równie trudne zadanie.

Na szczęście został jeszcze tydzień.

Po wyjściu Dwighta na plebanię podano obiad. Przy stole panowała cisza. Proboszcz kościoła Świętej Małgorzaty w Truro, a zarazem kandydat na tytularnego proboszcza kościoła Sawle w parafii obejmującej wioski Sawle i Grambler, siedział między dwiema wysokimi siostrami przy stole zbyt długim jak na trzy osoby. Przed uczestnikami posiłku lśniły sztuczce, a służący w białych rękawiczkach podał gotowany udziec cielęcy z sosem rozmarynowym.

– Jego lordowska mość mówi, że wracasz do zdrowia, Morwenno – odezwał się Whitworth, nadziewając na widelec kawałek cielęciny. Szybko włożył mięso do ust, jakby obawiał się, że ucieknie, i żuł w zamyśleniu. Sarkastycznie nazywał Dwighta jego lordowską mością od pierwszej wizyty młodego lekarza. – Wzmacniająca dieta dała dobre efekty i choroba ustępuje, co? – Spojrzał na Rowellę i przez chwilę zatrzymał na niej wzrok.

– Tak, Ossie – odparła Morwenna. – Czuję się lepiej. Ale doktor Enys mówi, że pełne wyzdrowienie zajmie jeszcze trochę czasu.

– Nie mam pojęcia, jaki rachunek zamierza wystawić doktor Enys, lecz spodziewam się, że będzie równie wysoki jak jego pretensje, odkąd poślubił pannę Penvenen. Czy kuracja Behenny nie była równie dobra? Potrzebowałaś spokoju i odpoczynku, więc je miałaś.

– Doktor Behenna zalecił ścisłą dietę, pastorze – zauważyła Rowella. – Doktor Enys miał przeciwne zdanie. Nie sądzi pan, że to duża różnica?

– Widzę, że jestem w mniejszości, więc muszę się poddać – odparł dobrodusznie Ossie. W ostatnich tygodniach zachowywał się znacznie bardziej dobrodusznie w towarzystwie obu sióstr, niż gdy zostawał sam na sam z żoną.

– Jaka jest ta panna Penvenen, to znaczy pani Enys? – spytała Rowella. – Chyba nigdy jej nie widziałam.

– Wielka chuda tyczka o rudych włosach, bardzo wygadana – rzekł Ossie. – Lubi polować. – W jego głosie wyczuwało się złość, może wspomnienie doznanych afrontów. – Jej stryj nie chciał się zgodzić na małżeństwo z ubogim medykiem, ale kiedy staruszek umarł, szybko się pobrali. Naturalnie to długo nie potrwa.

– Nie potrwa, pastorze?

Ossie uśmiechnął się do szwagierki.

– Ach, może będą udawać kochające się małżeństwo, choć nie wyobrażam sobie, by hałaśliwa pani Enys była długo zadowolona z męża, który albo

odwiedza pacjentów, albo spędza całe dni na eksperymentowaniu.

– Coś mi się przypomniało – odezwała się Rowella. – Pamiętasz doktora Tregellasa, Wenno?

– Tak, tak, pamiętam.

– Był staruszką mieszkającym w pobliżu Bodmin, pastorze – wyjaśniła Rowella z dziwnie ożywioną twarzą. – Podobno szukał sposobu zamiany miedzi w złoto. Kiedy raz odwiedził go mój ojciec, Tregellas miał na sobie tokę i biret, na buty opadały mu pończochy, czytał arabską księgę i trzymał w ręce pustą filiżankę po herbacie, gdy tymczasem imbryk na kuchni wykypiał i woda zalała ogień!

– Ha, ha! – zawołał Ossie. – Cóż za ekscentryk! Naprawdę piękna opowieść!

– Prawdziwa, pastorze! Przysięgam, że prawdziwa!

– Och, wierzę.

– Kiedy pewnego razu chory doktor Tregellas zemdlął i spadł z fotela, jego córki ponownie go na nim posadziły i doktor zaczął czytać książkę w miejscu, gdzie przerwał lekturę, jakby nic się nie stało!

Zjedzono cielęcinę, po której podano pieczoną przednią ćwiartkę jagnięcia z miętą i szparagami. Morwenna kilkakrotnie spojrzała na siostrę. Rowella uniosła wzrok.

– Nic nie jesz, Wenno.

– Nie, moja droga. Muszę jeszcze wypić piwo. – Morwenna wskazała wysoką szklankę wypełnioną portem. – Rano zjadłam jajka. Są smaczne, ale odbierają mi apetyt. Dobrze się odżywiam. W porównaniu z tym, co jadłam kilka tygodni temu, stałam się prawdziwym łakomczuchem!

Po jagnięcinie podano dwa kurczęta z kalafiolem, szpinakiem i ogórkami, a następnie budyń śliwkowy i syllabub. Ossie, który lubił mocne trunki, wypił pół butelki madery i duży kieliszek koniaku. Nie było to wiele jak na standardy

epoki.

Tymczasem Morwenna udała się na popołudniowy odpoczynek. Rowella siedziała długo przy stole. Ostatnio czasem jej się to zdarzało. Ossie opowiadał szwagierce o wszystkim, co przyszło mu do głowy: o swojej pierwszej żonie, matce, sprawach parafii, ambicji zostania proboszczem kościoła w Sawle, swoich relacjach z Conanem Godolphinem, sukcesach Warlegganów i nikczemnych postępkach administratorów parafii.

W końcu Rowella wstała, wysoka, szczupła i z pozoru bezkształtna. Lekko się garbiła, jej długa sukienka muskała aksamitne pantofle na płaskim obcasie. Ossie wstał wraz z Rowellą i niby przypadkiem podążył za nią do ciemnego przedsionka. Było wilgotne, skwarne lipcowe popołudnie i w całym domu panował półmrok. Nad rzeką unosiła się rzadka mgła nadająca drzewom na końcu ogrodu widmowy wygląd.

Rowella wzięła z salonu książkę – była to *Iliada* – i poszła schodami na górę. Minęła pokój, gdzie Anne i Sarah odrabiały lekcje, minęła sypialnię Morwenny i pokój dziecięcy, z którego dobiegały dźwięki świadczące, że John Conan Whitworth się obudził. Pokonała następne piętro i dotarła do swojej sypialni. Otworzywszy drzwi, zdała sobie sprawę, że idzie za nią wielebny Osborne Whitworth. Spojrzała na niego pytająco, trzymając dłoń na klamce. Jej zmrużone zielone oczy były nieprzeniknione i wyrażały tylko lekką ciekawość.

– Pastorze?

– Rowello, chciałbym z tobą porozmawiać. Mógłbym wejść? Zostanę tylko chwilę.

Zawahała się, po czym uchyliła drzwi szerzej, by przepuścić Whitwortha. Przytrzymał drzwi i przepuścił ją przodem.

Małeńki pokój mieścił się na strychu, ale był przytulny, a Rowella po kobiecemu ozdobiła go kwiatami, kolorową poduszką, barwnym pledem

narzuconym na fotel i powiesiła nowe zasłony przeniesione z jednego z pokoi na dole.

Whitworth stał w drzwiach, masywny i wysoki, głośno oddychając. Rowella skinęła dłonią w stronę jedyne go wygodnego fotela, lecz nie usiadł.

– Chciał pan ze mną porozmawiać, pastorze?

Zawahał się.

– Rowello, czy mogłabyś nazywać mnie Osborne'em, gdy jesteśmy sami?

Skinęła głową. Popatrzył na nią. Obejrzał ją od stóp do głów. Przewróciła stronicę książki.

– Zazdroszczę ci, że tak dobrze znasz grekę – powiedział.

– Ojciec zaczął mnie uczyć, gdy byłam mała.

– Ciągłe jesteś dzieckiem. Choć pod pewnymi względami nim się nie wydajesz.

– Pod jakimi względami?

Nie ośmielił się odpowiedzieć na to pytanie.

– O czym w tej chwili czytasz?

Rowelli rozbłyły oczy.

– Achilles pozwolił Patroklesowi stanąć do walki.

– Oczywiście uczyłem się trochę greki, lecz niestety większość wyleciała mi z pamięci – odrzekł. – Chyba nie pamiętam nawet całej historii.

– Patrokles prowadzi armię przeciwko Trojańczykom. Ale opętała go hybris...

– Co?

– Hybris. Hubris. Można to różnie nazywać...

– Ach tak...

– ...i koniecznie chce zatriumfować.

Dzień był zupełnie bezwietrzny. Ossie ujął dłoń Rowelli.

– Mów dalej.

Cofnęła rękę, by przewrócić stronicę. Dolna warga Rowelli drżała, ale nie ze strachu ani wstydu.

– Musi pan pamiętać, pastorze, że Patrokles zginął z ręki Hektora, po czym dochodzi do straszliwej walki wokół jego ciała, ponieważ Grecy chcą pochować bohatera, przestrzegając wszystkich rytuałów pogrzebowych...

– Tak, tak...

– Jest pan pewien, że interesuje pana to, o czym mówię, pastorze?

– Tak, Rowello, naturalnie... – Znow wziął ją za rękę i tym razem pocałował.

Pozwoliła mu ją trzymać i kontynuowała opowieść:

– Achilles przez cały czas jest posępny. Ogarnęło go szaleństwo (Grecy nazywali je ate, co było również imieniem bogini zaślepienia, błędu). Dlatego nie chciał walczyć, ponieważ... ponieważ obraził go Agamemnon. Pastorze, myślę...

– Osborne. Mów do mnie po imieniu.

– Moim zdaniem ta historia w ogóle cię nie interesuje, Osborne.

– Sądzę, że masz całkowitą rację.

– Więc dlaczego tu przyszedłeś?

– Chciałem z tobą porozmawiać.

– O czym?

– Nie możemy po prostu... usiąść i porozmawiać?

– Jeśli chcesz. – Znow wskazała mu fotel i tym razem zajął na nim miejsce.

Później, w dalszym ciągu trzymając za rękę, przyciągnął ją delikatnie ku sobie, aż usiadła mu na kolanach.

– Moim zdaniem to niewłaściwe, Osborne.

– Dlaczego? Jesteś jeszcze dzieckiem.

– Musisz pamiętać, że dziewczęta bardzo szybko dojrzewają.

– A ty już dojrzałaś? Hm... Ach... Tak, no cóż, ja...

– Tak, Osborne. Dojrzałam. O czym chciałbyś ze mną porozmawiać?

– O... o tobie.

– Tak podejrzewałam.

– Co?

– Że nie interesuje cię walka o ciało Patroklesa. Że w ogóle nie interesuje cię ciało Patroklesa.

Popatrzył na Rowennę, wstrząśnięty jej otwartością – tak dziwną w ustach młodej dziewczyny – wstrząśnięty, że doskonale rozumie, o co mu chodzi.

– Och, daj spokój, moja droga, takie myśli są nie na miejscu! Przecież...

W milczeniu zeszła z jego kolana i stanęła przed nim, chuda i niezgrabna w bladym świetle popołudnia.

– Nie jesteś mną zainteresowany? Jeśli jestem dzieckiem – a nawet jeśli jestem kobietą – czy nie powinieneś powiedzieć mi prawdy? Z pewnością ostatnio bardzo się mną interesujesz.

Odchrząknął, kaszlnął i zrobił niepewną minę.

– Nie wiem, dlaczego tak sądzisz.

– Naprawdę? Naprawdę, pastorze? Więc dlaczego patrzysz na mnie przy każdym posiłku i w czasie każdego spotkania? Nie odrywasz ode mnie wzroku. I najczęściej spoglądasz w to miejsce. – Dotknęła długą, szczupłą dłońią bluzki. – A teraz poszedłeś za mną na górę. – Zerknęła na niego z ukosa. – Czy to nieprawda?

Patrzył na nią i jego oczy nagle się zaczerwieniły, jego spojrzenie stało się ciężkie, pozbawione wstydu. Kiedy usiadła mu na kolanach, a później się odsunęła, była to kropla, która przelała czarę...

– Skoro pytasz...

– Pytam.

– Tak, rzeczywiście. Muszę ci to powiedzieć. Muszę... muszę ci to powiedzieć, Rowello. To prawda. Prawda...

– Więc czego chcesz?

Nie mógł odpowiedzieć. Twarz miał napiętą, niespokojną.

– Tego chcesz? – spytała.

Patrzył na nią, słysząc szybkie bicie własnego serca, i bez tchu skinął głową. Zerknęła przez okno na ciemniejące niebo. Wydęła wargi i przymknęła oczy.

– Nie ma dziś wiatru – rzekła.

– Rowello, ja...

– Tak?

– Nie... nie mogę tego powiedzieć.

– Nie musisz – odparła. – Jeśli chcesz, jeśli naprawdę chcesz...

Zaczęła powoli rozpinać bluzkę pod szyją.

Rozdział czternasty

1

– Podaj mi ten drugi młotek, dobrze? – poprosił Drake. – Nie, ten duży. Inaczej nie wbiję gwoźdza.

– Nie wiem, jak to robisz, Drake – powiedział Geoffrey Charles. – Nie miałem pojęcia, że jesteś takim zręcznym rzemieślnikiem!

– Przez cztery lata terminowałem u Jacka Bourne’a. Zazdrośnie strzegł swoich tajemnic: tylko mu pomagałem i nigdy nie robiłem niczego samodzielnie. Mimo to wiele się nauczyłem.

Drake robił nowe koło do wozu należącego do kopalni Wheal Kitty. Tylne koło oraz bok wozu zmiażdżyły spadające kamienie i łatwiej było wykonać nową część, niż łączyć połamane kawałki. Kiedy Drake został właścicielem gospodarstwa Pally’ego, na początku rzadko wykonywał takie prace, bo uważano go przede wszystkim za kowala, lecz ludzie w końcu się dowiedzieli, że potrafi robić dobre, nadające się do użytku koła. Poza tym nie brał dużo i nie trzeba było jeździć w dalekie strony. Do wyrobu kół potrzebował jednak sezonowanego drewna, drogiego i trudnego do zdobycia, a nie miał wiele pracy tego rodzaju.

– Dlaczego robisz wgłębienie w obręczy w miejscu, gdzie styka się z ziemią? – spytał Geoffrey Charles.

– Wóz będzie jeździł po twardych, nierównych drogach. Gdyby obręcz była płaska, wstrząsy połamałyby szprychy.

– Któregoś dnia musisz mnie nauczyć robić koła. To ciekawsze niż ślęczenie nad głupimi deklinacjami łacińskimi.

Drake przerwał pracę i spojrzał na chłopca. W ciągu kilku tygodni bladość Geoffreya Charlesa zmieniła się w zdrową opaleniznę.

– Nie uczysz się tylko łaciny. Zdobywasz wiedzę, by zostać dżentelmenem.

– O tak. O tak, wiem. I będę dżentelmenem. Zamierzam odziedziczyć Trenwith. Ale pytam cię jako przyjaciela: jak sądzisz, co byłoby dla mnie bardziej użyteczne, gdy dorosnę – umiejętność zrobienia lub choćby naprawy koła czy odmiana rzeczowników, czasowników osobowych albo inne nonsensy tego typu?

Drake się uśmiechnął i zważył w dłoni kawałek jesionu, oceniając, czy będzie pasował do pozostałych części obręczy.

– Kiedy dorośniesz, będziesz mógł zamawiać u mnie koła.

– Kiedy stanę się właścicielem Trenwith, zamieszkasz tam jako mój zarządca i będziemy robić koła razem!

Drake podszedł do studni znajdującej się w bocznej części dziedzińca i podniósł drewniany cebrzyk.

– Kiedyś nauczę cię robić takie wiadra. To niezbyt trudne. Ale teraz spędziłeś u mnie już dwie godziny. Twoja matka będzie zła, jeśli zostaniesz za długo.

– Och, matka... Nie mam z nią kłopotów. Niestety za tydzień lub dwa wróci wuj George i wtedy mogą posypać się iskry. – Geoffrey Charles uderzył młotem w kowadło. – O tak! Wcale bym się nie zdziwił. Nie jest moim ojcem i nie będzie mną rządził. Sam wiem, co robić.

– Myślę, Geoffreyu, że nie powinieneś narażać się na kłopoty z mojego powodu. Przychodzisz tu prawie codziennie...

– Odpowiadam za siebie i nie zamierzam pytać o pozwolenie ani ciebie, ani wuja George'a. *Ma foi*, nie robię nic złego!

– Jednak mądrze byłoby nie zaczynać następnej kłótni, choćby ze względu na twoją matkę. Lepiej spotykać się od czasu do czasu w sekrecie, zamiast prowokować zakaz i zastanawiać się, czy powinniśmy się widywać.

Geoffrey Charles podszedł i spojrzał na cebrzyk.

– Phi! Chyba potrafiłbym zrobić takie wiadro! Wystarczy kilka klepek i żelazne obręcze.

– To nie takie proste, jak ci się wydaje. Ze złego wiadra woda wycieka między klepkami.

Geoffrey Charles powoli opuszczał cebrzyk do studni.

– Widziałem w zeszłym miesiącu Morwennę.

Drake znieruchomiał z uniesionym młotkiem i powoli go opuścił.

– Nic mi o tym nie mówiłeś.

– Wolałem o tym nie wspominać.

– A teraz?

– Uznałem, że zapomniałeś albo zaczynasz zapominać. Nie chciałbym jednak rozdrapywać starych ran.

– Zatem?

– Rana jeszcze się nie zagoiła, prawda?

– Jak się miewa Morwenna?

– Dobrze. – Geoffrey Charles nierozważnie poruszył zakazany temat, lecz miał dość rozsądku, by nie wspominać o chorobie dziewczyny. – Urodziła dziecko, wiesz?

Drake zaczerwienił się po same uszy.

– Nie, nie wiedziałem. Kiedy?

– W czerwcu, na początku miesiąca.

– Chłopca czy dziewczynkę?

– Chłopca.

– Jest szczęśliwa?

– Cóż...

– Co powiedziała? Czy cokolwiek mówiła?

Geoffrey Charles wyciągał ze studni cebrzyk pełen źródlanej wody.

– Kazała ci powtórzyć, że nigdy nie zapomni.

Drake zbladł jak kreda. Obrócił w dłoni trzonek młotka.

– Kiedy wrócisz do szkoły, znowu ją zobaczysz, prawda?

– Możliwe. To dość prawdopodobne.

– Przekażesz jej coś ode mnie, Geoffrey? Powiesz jej coś? Wiem, że między mną a nią wszystko skończone i że nigdy nic więcej nie będzie... Nie, nie, nie mów tego. Nie wspominaj o tym. Po prostu powiedz... po prostu powiedz, że mam nadzieję przynieść jej kiedyś kilka zimowych pierwiosnków...

– Przypominają mi się czasy, gdy odwiedzałeś nas przed Bożym Narodzeniem, dwa lata temu – odparł Geoffrey Charles. – Życie było wtedy mroczne, tajemnicze i piękne.

– Tak – odpowiedział Drake, patrząc niewidzącym wzrokiem w przestrzeń.
– Właśnie takie było.

2

Samuel niedawno skończył szychkę i przekopywał ogródek. Nie przeszkadzała mu wilgotna, mglista pogoda. Cały świat tonął w deszczu. W dali widać było posępne morze i fale uderzające o piaszczysty brzeg. We mgle zasnuwającej niebo kołowały i piszczały mewy.

Dotarł do końca ogrodu i strząsnął z łopaty mokrą ziemię. Kopanie w czasie deszczu zawsze jest dość trudne, lecz lekka, piaszczysta gleba w Reath prawie nie przylepiała się do szpadla. Już miał kopać znowu, gdy za jego plecami odezwał się głos:

– Co robisz, Samie?

Poczuł ściskanie w żołądku. Niepostrzeżenie zaszła go od tyłu po miękkiej ziemi.

– Cóż, Emmo...

– Kiepskie te twoje kartofle... – rzekła, zaglądając do wiadra.

– Zebrałem je w zeszłym miesiącu. Przekopuję ogródek po raz drugi, żeby zobaczyć, czy nie zostało trochę mniejszych.

Miała na sobie czerwoną pelerynę z serży i czarną chustę narzuconą na głowę. Spod chusty wystawały kosmyki kręconych włosów.

– Więc nie modlisz się w kościele?

– Jeszcze nie. Później będziemy czytać Biblię.

– Ciągłe poszukujesz zbłąkanych duszyczek?

– Tak, Emmo. Zbawienie to brama do życia wiecznego.

Trąciła nogą ślimaka, który natychmiast schował się w muszli.

– Zauważyłam, że ostatnio przestałeś się interesować moją duszą.

Samuel oparł się na łopacie.

– Gdybyś poświęciła Bogu choćby jedną myśl, Emmo, byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

– Tak mi się zdawało do zeszłego miesiąca. Łaziłeś za mną nawet do szynku Sally-Na-Rozgrzewkę. Nie widziałam cię od kilku tygodni. Znalazłeś inną duszyczkę, którą chcesz zbawić, co?

Samuel otarł wilgotną dłonią usta.

– Niczyja dusza nie jest dla mnie tak ważna jak twoja, Emmo. Chociaż wszystkie dusze są równe w obliczu Zbawiciela, nie ma żadnej innej, którą tak bardzo chciałbym uratować!

Emma popatrzyła na zamglone morze, a później wybuchnęła śmiechem. Głośno, serdecznie, bez zahamowań.

– Tom gada, że masz przed nim pietra. Dlatego dałeś spokój.

– Tom Harry?

– Tak. Powiedziałaś, że się myli. Że nie o to chodzi. Że to nie jego się boisz.

Spojrzał na nią. Mocno biło mu serce.

– A twoim zdaniem czego się boję, Emmo?

Popatrzyła mu szczerze w oczy.

– Diabła.

– Diabła... – zająknął się. – Moja droga, wszyscy walczyliśmy z diabłem. A ci z nas, którzy wstąpili do armii Jezusa Chrystusa...

– Diabła we mnie! – przerwała. – Powinieneś się przyznać, Sam. Czy nie tego się boisz?

– Nie – odparł. – Nigdy, nigdy się nie bałem, że jest w tobie zło, Emmo, chyba że jest również we mnie. Codziennie walczę z Szatanem w sobie. To się nigdy nie skończy, mam w duszy wroga. Ale nie widzę go poza sobą. Chcę ci pomóc, Emmo. Chcę, żebyś odnalazła wieczyste zbawienie. Chcę, żebyś była... Chcę...

– Chcesz mnie – powiedziała Emma.

Samuel spojrzał w niebo. Zapadło długie milczenie.

– Gdybym cię chciał, Emmo, to z czystym sercem. Szczerze wierzę, że gdyby twoja dusza zwróciła się do Boga, byłaby szlachetna i piękna. Gdybym cię pragnął, gdybym cię pragnął nie z cielesnego pożądania, ale chcąc pojąć cię za żonę, uczynić cię towarzyszką łoża i serca, zrobiłbym to w duchu łaski i wiary...

Urwał, nie mogąc złapać tchu. Nie zamierzał mówić takich rzeczy, wyrzucił je z siebie wbrew woli.

Emma stała obok niego, poruszając stopą skorupę przerażonego ślimaka. Jej twarz, na którą w dalszym ciągu padał drobny deszcz, nie miała żadnego wyrazu.

- Wiesz, że jestem obiecana Tomowi Harry’emu.
- Nie wiedziałem.
- Prawie obiecana... Mówią, że jestem kurwą.
- Nie uwierzę, dopóki sama mi tego nie powiesz.
- Chodziłam na pola z wieloma mężczyznami.
- Czy to znaczy, że jesteś kurwą?
- Tak gadają ludzie.
- Ale czy ty też tak mówisz?
- Widziałeś mnie pijaną – odparła.
- Co wieczór się za ciebie modliłem, bardzo cierpiałem. Ale nie jest jeszcze za późno, Emmo. Wiesz, co powiedział Ezechiel: „I wyleję na was wodę czystą, i będziecie oczyszczeni od wszech nieczystości waszych, i od wszech bałwanów waszych oczyszczę was” [8](#).

Poruszyła się niecierpliwie.

– Och, Samie, co wynika z twoich modlitw? Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem. Jesteś szczęśliwy w swojej dobroci. A ja jestem szczęśliwa w swojej nieczystości, jak to nazywasz. Czy to naprawdę wielka różnica?

– Emmo, moja droga Emmo, czy naprawdę nie czujesz, że błędzisz, grzeszysz? Czy miłość Zbawiciela nie jest dla ciebie cenniejsza od uścisku Szatana? Pozwól, bym pomógł ci odnaleźć skruchę, wiarę, zbawienie i miłość!

Zmierzyła go od stóp do głów zmrużonymi, lśniącymi oczyma.

– Poślubiłbyś mnie, Samie?

– Tak. O tak. To byłoby...

– Nawet gdybym nie okazała skruchy?

Znieruchomiał i westchnął. Jego pobrużdżona twarz na przemian wygładzała się i marszczyła.

– Poślubiłbym cię w nadziei, że nieskończona miłość Boga pozwoli mi cię nawrócić.

– Co stałoby się wtedy z twoją trzódką, Samie?

– To ludzie, którzy otrzymali łaskę. Przebaczył im Ten, który jako jedyny może odpuścić grzechy. „I odpuszczamy naszym winowajcom”⁹. Przyjęliby cię jako córkę marnotrawną...

Emma gwałtownie pokręciła głową, rozpryskując krople deszczu.

– Nie, Sam, to nieprawda, i dobrze o tym wiesz! Gdybym się nawróciła, i tak krzywo by na mnie patrzyli! Pytaliby, co robię między nimi, skoro się puszczałam. I co, Sam? Mówiliby, że się za mną uganiają jak inni mężczyźni! Gdybym za ciebie wyszła i nie żałowała za grzechy, co wtedy by pomyśleli? Pomyśleliby, że ich wspaniały przywódca tapla się w bagnie grzechu i nieprawości, nie chcieliby mieć z tobą nic wspólnego, uciekaliby przed tobą gdzie pieprz rośnie, powiedzieliby, że nie można dotknąć smoły i się nie pobrudzić! I byłby to koniec twojego wspaniałego zgromadzenia!

Deszcz przybierał na sile. Świat zakryły ciemne chmury.

– Wejź do chaty, Emmo – rzekł Samuel.

– Nie. Nie wypada, żebym wchodziła. Muszę wracać.

Mimo to stała bez ruchu. Samuel zamrugał, strzepując z powiek krople wody.

– Droga Emmo, nie wiem, czy to, co mówisz, jest prawdą. Mam mętlik w głowie. W naszym świecie w duszach dobrych ludzi stale pojawia się złość i niegodziwość. Wiem o tym, odwiedził nas przywódca naszego ruchu, posłuchałem jego rady i przez wiele dni prawie cię nie widywałem. Trudno mi zaprzeczyć, że dobrzy ludzie miewają złe myśli, choć to nie po chrześcijańsku...

– Widzisz.

– Ale wierzę, Emmo, naprawdę wierzę, że miłość pokonuje wszystkie przeszkody. Miłość do Zbawiciela to największy skarb, jaki człowiek może posiadać w tym życiu. Miłość mężczyzny do kobiety, choć ma mniejsze

znaczenie, również może być pobłogosławiona przez Ducha Świętego, a kiedy to się dzieje, wznosi się ponad więzy ciała i ponad złe myśli nikczemnych ludzi: może zatriumfować nad wszystkim. Naprawdę w to wierzę, Emmo! Naprawdę w to wierzę!

Drżał mu głos i znów zamrugał, lecz tym razem nie po to, by strząsnąć deszcz. Emma zrobiła kilka kroków do przodu, niezgrabnie po błotnistej ziemi.

– Jesteś wyjątkowo dobrym człowiekiem. – Musnęła dłonią jego rękę i pocałowała go w policzek. – Za dobrym dla takich jak ja. – Cofnęła się, odgarnęła z twarzy kosmyki mokrych włosów i mocniej zawinęła głowę chustą. – Nie ma we mnie takiego dobra, Samie. Wierzysz w to, bo sam jesteś dobry. Powinnam wyjść za mąż za przeklinającego, żłopiącego gin durnia takiego jak Tom Harry. Jeśli w ogóle wyjdę za mąż. Urządzaj swoje spotkania, czytaj Biblię, módl się – to twoje życie. Nie zadawaj się z kobietą taką jak ja. Naprawdę, mój drogi. Naprawdę, kochany. Naprawdę, jak mi Bóg miły. Widzisz, wspomniałam o Bogu, więc może jest dla mnie jeszcze jakaś nadzieja. Ale to długa droga. Za daleka dla ciebie. Dlatego mówię ci: żegnaj.

– Ja nigdy nie powiem ci żegnaj – wymamrotał ledwo słyszalnie Samuel. – Kocham cię, Emmo! Nic to dla ciebie nie znaczy?!

– To, że powinnam odejść i zostawić cię w spokoju – odparła. – Właśnie to chcę powiedzieć. Bylibyśmy od początku skażeni.

Odwróciła się i, grzęznąc w miękkiej ziemi, ruszyła w stronę wrzosowiska, gdzie grunt był twardszy. Samuel stał ze zwieszoną głową, ściskając łopatę. Na dłonie kapały mu łzy.

W górze w dalszym ciągu latały mewy, piszcząc i skrzecząc, intonując smutną litanie.

KSIĘGA DRUGA

Rozdział pierwszy

1

Lato powoli się kończyło. Zresztą w tym roku i tak nie trwało długo, gdyż nieustannie wiały południowo-zachodnie wiatry, a niekiedy wichury, które niosły ciemne chmury i zacinający deszcz. Wszystko pleśniało, niesłychanie rozmnożyły się ślimaki, mole atakowały ubrania, pojawiło się mnóstwo grzybów, wszędzie pleniło się robactwo.

Na kontynencie francuskie flagi również wyrastały wszędzie jak grzyby po deszczu. W ciągu roku w paryskich sklepach ceny towarów wzrosły dwunastokrotnie. Francuskie wojska maszerowały po całej Europie, a do stolicy kraju płynęły olbrzymie łupy, w tym czterdzieści milionów franków w złocie. Prusy, Sardynia, Holandia i Hiszpania zawarły pokój z Francją lub zebrały o pokój. Austria znalazła się na krawędzi katastrofy. Wielka koalicja stworzona przez Anglię uległa rozpadowi. Pitt, mający przeciwko sobie własnego króla, zastanawiał się nad zawarciem pokoju z przeciwnikiem po drugiej stronie kanału La Manche.

Coraz więcej ludzi uważało, że dla Anglii jest to wojna przede wszystkim o zasady czy wręcz poglądy. Anglia nie chciała niczego wymuszać na Francji, podobnie jak na innych krajach: nie zależało jej na rozwoju handlu, nie chciała zdobywać nowych kolonii, nie dążyła do supremacji militarnej ani przewagi na morzu. Po prostu nienawidziła jakobinów, jakobińskiej propagandy i bestialstw rewolucji. Może najgorsze to już przeszłość? Rewolucjoniści,

którzy zdobywają bogactwo i odnoszą sukcesy, zwykle przestają się troszczyć o rewolucję. Warto spróbować. Można nawet rozważyć, czy pokoju nie opłaca się okupić utratą kilku wysp lub skrawków posiadłości zamorskich. W ciągu ostatnich dwóch lat Anglia straciła czterdzieści tysięcy żołnierzy w Indiach Zachodnich – prawie wszyscy zmarli na choroby tropikalne. Wysoka cena za istnienie imperium, a nikt nie ma z tego żadnych korzyści.

W kraju od czasu do czasu cieszą się niewielkimi zwycięstwami marynarki wojennej, lecz sytuacja ogólna była równie zła jak pogoda. Zamknięcie europejskich portów doprowadziło do ograniczenia handlu z kontynentem, co wywołało falę bankructw, które z kolei zmusiły część mniejszych banków do zawieszenia wypłat. Wzrastały podatki i deficyt budżetowy, ograniczano wolność w imię obrony wolności.

W tej sytuacji Pitt zaproponował zaskakujące reformy, by poprawić los ubogich. Usiłował zmodyfikować kodeks dotyczący zasiłków sporządzony przez sędziów ze Speenhamland i przedstawił plan wprowadzenia ubezpieczeń zdrowotnych, emerytur dla starców, kredytów na zakup bydła, nauki rzemiosła dla młodzieży, zarówno chłopców, jak i dziewcząt, oraz zapomogi rodzinnej w wysokości szylinga tygodniowo na każde dziecko dla wszystkich znajdujących się w potrzebie. Projekty te wzbudziły zachwyt części zwolenników Pitta, ale oburzyły wielu innych. Ross czytał o planach premiera w „Sherborne Mercury” i doszedł do wniosku, że to najlepszy sposób walki z jakobinami w środku wojny. Gdyby kiedykolwiek uzyskał prawo głosu, głosowałby na Pitta.

Z innych powodów podobną decyzję podjął również sir Francis Basset, który, jak kwaśno przewidział lord Falmouth, niedawno otrzymał tytuł arystokratyczny i przyjął stare nazwisko rodowe de Dunstanville, stając się baronem de Dunstanville z Tehidy. Tym samym Pitt zdobył poparcie niewielkiej grupy posłów do Izby Gmin kontrolowanej przez Basseta.

Należało jeszcze zorganizować nowe wybory uzupełniające w Penryn.

W Namparze życie toczyło się normalnie. Przebudowa biblioteki w zasadzie się zakończyła. Graciarnię i skład na jabłka nad dawną sypialnią Joshui przekształcono w korytarz prowadzący do nowych sypialni nad biblioteką. Z sypialni Joshui usunięto dębowe łoże skrzyniowe i szafy, rozebrano masywny kominek i zastąpiono go mniejszym. Zdemontowano również stare przesuwne okno, które zawsze grzechotało pod naporem wiatru – przez to okno wślizgnął się niegdyś do sypialni Garrick, gdy jego pani spędzała pierwszą noc w Namparze. Zastąpiono je szerszym przesuwным oknem z lepszymi szybami. Zaklejono szczeliny w ścianach, które wyłożono białą wzorzystą tapetą, a sufit pokryto gipsem i pomalowano. W ten sposób powstała nowa jadalnia, tak jasna, że można było zamurować dwa dodatkowe okna. Nierówne deski zasłonięto jasnym tureckim dywanem pokrywającym całą podłogę. Zamówiono nowy stół na podstawie w kształcie kolumny i osiem pasujących do niego krzeseł z kubańskiego mahoni. Zestaw ten, nowoczesny i elegancki, okazał się wyjątkowo kosztowny.

Należało jeszcze kupić – a nawet zamówić – porcelanę, talerze, srebrne sztuce, karafki i całą resztę wyposażenia. Zdumiewające, jak brzydko wyglądały stare rzeczy, gdy ładnie urządzone jedno pomieszczenie. Ross chciał zabrać Demelzę na kilka tygodni do Londynu, by zamówić wszystko, co potrzebne, lecz się sprzeciwiła – uważała, że lepiej rozłożyć zakupy w czasie. Nigdy więcej nie przytrafi nam się równie dobra zabawa, róbmy to powoli. Czy to ważne, jeśli nie wszystko będzie od razu do siebie pasowało?

Jadalnia była prawie gotowa – regularnie jedli w niej posiłki – lecz nawet nie zaczęli meblować biblioteki. Wykańczał ją sztukator lorda de Dunstanville, a Demelza miała ochotę rzucić wszystko i przez cały dzień obserwować jego pracę. Podziwiała zręczność, umiejętności, szybkość rzemieślnika, sposób tworzenia dekoracji. Zajęło to bardzo niewiele czasu: sztukator stworzył

gipsowy gzyms biegnący wokół pomieszczenia i dwa okrągłe plafony w stylu greckim, idealnie umiejscowione i identyczne. W czasie pracy mieszkał w Namparze. Zapłacili mu fortunę, ale Demelza nie żałowała ani jednego pensa. Biblioteka wyglądała cudownie.

Ściany poniżej gzymsu wyłożono jasną sosnową boazerią. Ross i Demelza zakupili trochę mebli: dwa okrągłe stoły z drewna jabłoni wsparte na lwich łapach, kanapę, palisandrowy boczny stolik inkrustowany drewnem tulipanowca, dobry kornwalijski dywan. Był to dopiero początek: pomieszczenie nie wyglądało jeszcze jak należy. Na razie nic się ze sobą nie kłóciło i nie wyglądało dziwacznie, lecz należało zachować ostrożność. Często dyskutowali o tym do późnej nocy. Na jednej ze ścian umieszczono półki, by pomieszczenie zachowało charakter biblioteki, jednak większość książek Rossa – nie było ich wiele – była stara, podniszczona i zaczytana; nie wyglądałyby ładnie. Rossowi nie podobały się piękne książki, które widział w Trelissick i Tehidy. Złote litery i oprawy z półskórka wydawały się częścią dekoracji. Miał wrażenie, że nie są to książki przeznaczone do czytania.

Minęły piąte urodziny Jeremy'ego. Clowance wkrótce miała skończyć dwa lata. Szybko nauczyła się chodzić, ale nie mówiła. Jak dotąd wypowiadała tylko jeden zrozumiały zwrot: „Trocha więcą”, którego regularnie używała przy stole, gdy jej talerz był pusty. W pogodne dni Demelza zabierała dzieci na plażę, gdzie brodziły w wodzie. Clowance często siadała na piasku w złym momencie. Wpadała w zachwyty, gdy zimna woda obmywała jej pupę.

Czasem wypływali łodzią z zatoki Sawle na ryby. Zdarzało się, że gdy byli bliżej, ze skał zsuwały się do wody foki. Demelza przypominała sobie wtedy swoją wizytę w Tregothnan, pożegnanie z Hugh Armitage'em, i czuła lekki niepokój.

– Cokolwiek powiesz, Demelzo, cokolwiek teraz powiesz, nigdy cię nie zapomnę. Będziesz stale przy mnie jako wspomnienie kogoś, kogo kiedyś

widziałem, trochę znałem oraz, za twoją zgodą, kochałem.

– Nie masz mojej zgody, Hugh. Przykro mi, ale... cieszę się, że jestem twoją przyjaciółką, naprawdę, ale to wszystko. Popęlniasz błąd, już ci to powiedziałam, popełniasz błąd, sądząc, że spotkałeś idealną istotę i że nie może jej dorównać żadna inna kobieta.

– Mogę sądzić, co chcę.

– Przecież to nieprawda! Nikt nie jest ideałem! Wiesz, że jestem córką górniką, bez żadnej edukacji?

– Nie wiedziałem. Czy ma to jakieś znaczenie?

– Wydaje mi się, że ma duże znaczenie dla człowieka pochodzącego z tak starego rodu.

– Nie wiem, czy źle osądzasz moją sferę, ale na pewno źle osądzasz mnie.

– Masz gotową odpowiedź na każde moje słowo.

– I żadnej korzyści bez twojej uprzejmości.

– Jakiej uprzejmości się spodziewasz?

– Pozwól mi do siebie pisać.

– Mogę pokazywać twoje listy mężowi?

– Nie.

– Sam widzisz.

– Nie możesz się z tym pogodzić? Prawdopodobnie wrócę do Anglii dopiero za kilka lat.

– Ross będzie wiedział, że przychodzą do mnie listy – zaprotestowała, osłabiając swoją pozycję.

– Mogę się postarać, byś je dostawała bez jego wiedzy.

– To byłoby nieuczciwe!

– Czy w takim razie mogę ci przesyłać wiersze?

Demelza się zawahała.

– Och. Hugh, nie rozumiesz mojej sytuacji? Jestem szczęśliwa

w małżeństwie. Mam dwoje pięknych dzieci i wszystko, czego mogę pragnąć. Chcę być dla ciebie miła. Bardzo cię lubię, ale powinieneś rozumieć, że nie mogę być jeszcze miłsza...

– Dobrze. W takim razie będę wysyłał listy pocztą, możesz je pokazywać Rossowi. Możecie czytać je razem i śmiać się dobrodusznie z głupiego młodego porucznika marynarki, który cierpi z powodu cielejącej miłości. Ale...

– Wiesz, że nigdy bym tego nie zrobiła!

– Pozwól mi skończyć. Możecie się razem śmiać – na pewno dobrodusznie – a Ross z pewnością mi wybaczy, ponieważ uzna, że z czasem wyrosnę z tej młodzieńczej choroby. Lecz ty będziesz wiedziała, że jest inaczej, Demelzo. Musisz wiedzieć, że jest inaczej. To nie młodzieńcza choroba. Nie wyrosnę z niej w pierwszym porcie, do którego zawinie mój okręt. Wiesz, że cię kocham i że będę cię kochał do końca życia...

Takiej deklaracji nie może zlekceważyć żadna kobieta. Demelzie nie pozwalała na to temperament. Kochała Rossa, własny dom i rodzinę. Była szczęśliwa, potrafiła czerpać równą przyjemność i z kwiatu znalezionego przy drodze, i z codziennego życia. Jednak słowa Hugh napełniały jej serce ciepłem, gdy je sobie przypominała, choć czasem ich czyste brzmienie wywoływało niepokój, jakby wypowiedział je zaledwie wczoraj i czekał na odpowiedź.

Namparę kilkakrotnie odwiedził Hugh Bodrugan, kosmaty stary baronet. Towarzyszyła mu jego młoda macocha Connie. Sir Hugh spytał Rossa, czy mógłby kupić kilka udziałów jego kopalni. Ross grzecznie odpowiedział, że w tej chwili nie potrzebuje nowego kapitału, ale solennie obiecał, że jeśli postanowi sprzedać akcje, sir Hugh będzie miał prawo pierwokupu. Bodrugan prychnął i odjechał z niezadowoloną miną. Tak przynajmniej uważał Ross. Mimo to sir Hugh prawdopodobnie w dalszym ciągu żywił jakieś nadzieje związane z kopalnią, ponieważ dwa dni później przysłał Demelzie

w prezencie dwa czarno-białe prosiaki nowej rasy, które ponoć miały wyrosnąć na gigantyczną świnię i gigantycznego knura.

Prosiaki, małe i sympatyczne, natychmiast się zaprzyjaźniły ze starym Garrickiem i stały się ulubieńcami dzieci, które czasem nawet wpuszczały je do domu. Ross uroczyście ostrzegł Jeremy'ego i Clowance, że jeśli dalej będą to robić, pewnego dnia zwierzęta nie zdołają się przecisnąć przez drzwi i opuścić domu, ponieważ cały czas rosną. Demelza nadała im imiona Przyływ i Odpływ.

Podczas ciemnych dni późnego lata ćmy stały się takim problemem, że gdy tylko zapalano świecę przy otwartym oknie, pokój wypełniał się skrzydlatymi owadami wszelkich kształtów i rozmiarów. Z tego powodu wydano im wojnę. Demelza bawiła się z dziećmi w nocne polowania na ćmy. Rozpuszczała w misce cukier w piwie, a potem wychodzili razem po zmroku i smarowali słodkim płynem pnie drzew i słupki ogrodzenia. Po pewnym czasie można było obejść posmarowane miejsca z wiaderkiem wody i zebrać ćmy przyklejone do lepkiej cieczy, którą raczyły się, drżąc z rozkoszy. Jednak Demelza znudziła się tym szybciej od dzieci. Ćmy były zbyt ładne, by je zabijać, i wypuszczała mniej więcej połowę. W końcu zabawę zepsuł Garrick, który odkrył, że słodzone piwo bardzo mu smakuje. Zlizywał je z pni i słupków wraz z ćmami. Nie dawało się go powstrzymać.

Zbiory okazały się dobre mimo kiepskiej pogody. Słońce przebijało się niekiedy przez chmury, wichury pojawiły się za wcześnie, by wyrządzić szkody, a we wrześniu spadło niewiele deszczu. W Kornwalii i w większej części Anglii plony były najlepsze od czterech lat – i nigdy nie cieszone się z tego bardziej. Mimo biedy i kryzysu, który nagle zapanował w kraju po okresie prosperity w pierwszych latach wojny, Wheal Grace stale dostarczała rudę, a Ross zainwestował więcej pieniędzy w zakład szkutniczy Blewetta. Ponadto poważnie dyskutował z nadsztygarem Henshawe'em, czy nie należy

wyposażyć kopalni w nową, bardziej wydajną maszynę parową.

Zacky Martin wyzdrowiał i Ross zatrudnił go jako nadzorcę prac prowadzonych pod ziemią. Henshawe nie był w stanie pilnować wszystkiego, a górnikom należało patrzeć na ręce, podobnie jak pozostałym pracownikom zatrudnionym w kopalni. Niektórzy górnicy eksploatowali tylko najbogatsze części wyrobisk i nie wybierali rudy niższej jakości. Takie postępowanie byłoby do przyjęcia w kopalni miedzi, lecz nie cyny; sztygarzy zmianowi powiększali przez to swoje zarobki. Niektórzy, najsprytniejsi, wydobywali przez miesiąc kiepską rudę, po czym domagali się wyższych udziałów w zyskach, twierdząc, że ich wyrobiska są mało dochodowe. Po zmianie stawki jakość rudy w cudowny sposób się poprawiała. Zacky odkrył również niewielką spółdzielnię – część bogatej rudy przewożono taczkami do uboższych rejonów kopalni. Dodatkowe zyski dzielono później wśród uczestników tego procederu.

Takie praktyki zdarzały się w kopalniach często i nikt zanadto ich nie potępiał. Wszystko zależało od właściciela. Większość umów zawieranych w Wheal Grace ze sztygarami zmianowymi była dla nich korzystna, toteż Ross czuł, że ma prawo położyć kres temu procederowi.

2

Kiedy Dwight odwiedził po tygodniu Morwenę Whitworth, okazało się, że jej stan wciąż się poprawia. Mimo to zdecydował się przeprowadzić nieprzyjemną rozmowę z jej mężem. Gdy zszedł na parter, zapytał o proboszcza i wprowadzono go do gabinetu Whitwortha. Wiedział, że pastor będzie urażony, więc przedstawił swoją opinię bez żadnych wstępów. Ale źle ocenił duchownego, który tym razem nie okazał gniewu i nie zachowywał się sztucznie i nieprzyjemnie. Osborne spytał szorstkim tonem o zdrowie Caroline,

lecz nie wydawał się wytrącony z równowagi żądaniem, by w dalszym ciągu zachowywał wstrzeźliwość. Oznajmił, że z kobietami czasem tak bywa. Najważniejsze, by pani Whitworth wyzdrowiała. Jej przedłużająca się choroba jest bardzo niedogodna dla wszystkich domowników. Im szybciej odzyska siły, tym lepiej. Żona proboszcza ma wiele obowiązków i choroba jest bardzo kłopotliwa. Po narodzinach pierwszego dziecka wiele kobiet szybko znów zachodzi w ciążę, a wszystko toczy się normalnie.

Dwight odjechał. Nie przepadał za pastorem, lecz doszedł do wniosku, że szorstkie, głupawe zachowanie Whitwortha, które niewątpliwie odstręczało jego żonę, to jedynie pozór. Duchowny mógł być lepszym człowiekiem, niż Dwight wcześniej przypuszczał.

Po powrocie do domu zjadł talerz zupy i wypił kieliszek madery, a następnie udał się do swojego gabinetu, gdzie o piątej znalazła go Caroline.

– Co się stało? – spytała, wpadłszy do pokoju. – Podobno nie jadłeś obiadu. Jesteś chory?

– Nie, nie byłem głodny.

– Więc dlaczego nie udzielasz porad pacjentom jak zwykle o tej porze? Co się dzieje? Dwight, jesteś chory.

Zamknął książkę i uśmiechnął się do Caroline.

– Byłem zmęczony. Postanowiłem spędzić ten dzień inaczej.

Z włosami rozsypanymi na ramionach usiadła na skraju fotela i spojrzała Dwightowi w oczy.

– Wyjmij kciuk z książki – powiedziała. – Inaczej będę wiedziała, że nie słuchasz.

Roześmiał się i spełnił polecenie.

– Gdzie mieszka najbliższy lekarz? – spytała.

– Siedzi przed tobą.

– Nie kręć. Wezwę doktora Choake'a.

– Niech Bóg broni! Równie dobrze mogłabyś posłać po pana Irby’ego.

– Po niego też pošlę, jeśli uznasz to za stosowne. Chociaż w domu jest dość lekarstw i mikstur, byśmy otworzyli własną aptekę. Nie wiem tylko, co ci dać.

– Nie potrzebuję lekarstw, Caroline. Dobry sen działa cuda.

– Cuda... Powiem ci, co da dobry sen. Odzyskasz odrobinę energii, którą nazajutrz roztrwonisz na leczenie swoich nieszczęsnych chorych, a potem znowu będziesz kompletnie wyczerpany i będziesz musiał iść do łóżka. Czy nie tak? Powiedz mi: czy nie tak?

Dwight zastanawiał się przez chwilę.

– Praca jest dla ludzi, Caroline. Pobudza umysł, który w końcu zacznie pobudzać ciało.

– Powiedz mi, co jeszcze pobudza mężczyznę. Miłość do żony?

Dwight oblał się rumieńcem.

– Jeśli czasem nie wychodzi mi to najlepiej, winne jest ciało, a nie brak miłości. Zapewniłaś mnie...

– Ciało nie jest sprawne wskutek choroby, której nabawiłeś się w czasie pobytu w więzieniu. Proszę cię tylko, byś się starał, ale skoro przez cały czas wszystkie odzyskane siły zużywasz na pracę – natychmiast trwonisz to, co odzyskałeś – można się zastanawiać, czy twoja miłość jest szczerą.

Przez uchylone drzwi wszedł Horacy, kolebiąc się na tłustych łapkach, i cicho zaskomlał. Tym razem Dwight i Caroline go zignorowali. Położył się na grzbiecie, ale w dalszym ciągu nie zwracali na niego uwagi.

– Kwestionujesz szczerą moją uczucia, Caroline? – spytał Dwight.

– Powiedz mi, co dziś robiłeś – poprosiła.

– Dziś? Rano zbadałem kilkunastu nieszczęśników, którzy czekali przed drzwiami dla służby, licząc na radę albo chwilę uwagi. Później odwiedziłem pana Trencroma, którego astma się pogorszyła. Ponieważ tego dnia zwykle jeżdżę trochę dalej, zajrzałem do kilku pacjentów i dotarłem do Truro, gdzie

odwiedziłem panią Whitworth i pana Polwhele'a. Wróciłem do domu, stwierdziłem, że mam duszności i kłopoty z żołądkiem, więc zjadłem lekki posiłek. Teraz czuję się lepiej.

Caroline wstała, napięta jak struna, po czym podeszła do okna, wzięła książkę i przekartkowała ją z roztargnieniem.

– Wiesz, co ja dziś robiłam? Spędziłam godzinę na toalecie, później godzinę z Mynersem, załatwiając sprawy posiadłości. Następnie zerwałam trochę kwiatów do naszego pustego salonu, przebrałam się i przez dwie godziny jeździłam konno z Ruth Treneglos. Zjadłam obiad z Ruth, jej spoconym mężem i gromadą hałaśliwych dzieci i wróciłam do domu. Czy nasze drogi się skrzyżowały?

– Nie – odpowiedział po chwili Dwight. Wskoczył mu na kolana Horacy. – Nigdy jednak nie zakładaliśmy, że musimy spędzać każdy dzień razem.

– Nie, mój drogi, nie razem. Ale nie na przeciwnych biegunach.

– Myślisz, że teraz są to przeciwne bieguny?

Caroline się odwróciła. W dalszym ciągu mówiła lekkim tonem, który jednak nie zwiódł Dwighta.

– Kiedy się w tobie zadurzyłam, mój drogi, stryj był temu przeciwny. Mówił, że nie masz nazwiska, co nie było prawdą, ani majątku, co było prawdą. Powinnam wyjść za Unwina Trevaunance'a, bo moje wychowanie idealnie pasowało do jego trybu życia. Lecz zadurzyłam się w tobie, a ty we mnie. Nie chcieliśmy z siebie zrezygnować. Mimo to się pokłóciliśmy – można to nazwać różnicą zdań – jak mamy żyć po ślubie. Nawet bez majątku stryja Raya miałam dość własnych pieniędzy, by sfinansować twoją praktykę w Bath. Ustaliliśmy, że uciekniemy... i w końcu nie uciekliśmy, bo wolałeś... przynajmniej tak mi się wydawało... wolałeś swoich tutejszych pacjentów od małżeństwa ze mną i praktyki w modnym mieście. Rozstaliśmy się i nigdy więcej byśmy się nie zobaczyli, gdyby ten wścibski Ross Poldark nie

zaaranżował naszego spotkania. Prawie nas do tego zmusił. Wreszcie się pogodziliśmy, ale ty wstąpiłeś do marynarki i do dziś odczuwamy konsekwencje tego kroku.

– Dlaczego mówisz to wszystko, Caroline?

– Przeżywałam tortury, czekając na ciebie. Twój powrót dał mi nowe życie. Nie mam ochoty, by mówiono... plotkowano... a nawet po prostu sugerowano, że Ross Poldark się omylił, bo mimo naszej miłości jesteśmy ludźmi o zbyt różnych zainteresowaniach.

Dwight wstał, zrzucając piszczącego Horacego na dywanik.

– Moja droga, nie możesz mówić tego poważnie.

– Naturalnie, że mówię poważnie. Nawet jeśli my nie będziemy tak myśleć, inni dojdą do takiego wniosku.

– Jakie to ma znaczenie, co mówią inni?

– Ma znaczenie wtedy, gdy odbija się na nas.

Dwight w dalszym ciągu z trudem trzymał się na nogach i przysiadł na skraju stołu. Wyglądał na tego, kim był: chorego człowieka o silnej woli.

– Powiedz mi, jak to zmienić – rzekł.

Po chwili Caroline odrzuciła do tyłu włosy i uklękła na dywaniku obok Horacego.

– Wiem, że jestem kapryśna i roztrzepana... – odezwała się lekko zmienionym tonem. Tylko Dwight potrafił zauważyć, że stała się nieco łagodniejsza.

– To kłamstwo.

– Frywolna i...

– Tylko pozornie.

– I mój zasób pomysłów jest bardzo skromny...

– Masz wiele ciekawych pomysłów.

– Dwight, postanowiłam okazać wobec ciebie skruchę, ale nie mogę tego

zrobić, jeśli mi ciągle przerywasz.

– To ja powinienem okazać skruchę, że bardzo cię zaniedbuję.

Usiadła na dywaniku, oparta plecami o fotel, i podwinęła nogi.

– W takim razie nie będę dalej wyliczać swoich wad. Zgódźmy się po prostu, że lubię życie na wsi, jazdę konną, polowania, bale i wieczorki, a ty za tym wszystkim nie przepadasz. Chociaż bardzo bym chciała, nie potrafię szczerze interesować się medycyną. Nie widzę sensu leczenia ludzi, chyba że są naprawdę wartościowi, co zdarza się bardzo rzadko. Świat jest przeludniony. Wszędzie roi się od ludzi. To bardzo smutne, ale, ogólnie rzecz biorąc, pozwoliłabym większości umrzeć.

– Nie wierzę ci. To dawne poglądy twojego stryja, a nie twoje.

– Tak, moje! W tym przypadku to moje własne poglądy, bo dotyczą mojego męża. Po pierwsze, zaniedbujesz żonę, co bardzo mi się nie podoba. Po drugie, co jeszcze ważniejsze, zaniedbujesz samego siebie. To twoje podstawowe grzechy, Dwight, i mają one negatywne skutki. Drugi jest nawet gorszy od pierwszego.

– Jestem pewien, że się mylisz, Caroline. Jeśli cię zaniedbuję, jestem winny i postaram się poprawić. Drugi grzech nie jest bardzo ważny. Nie czuję się zbyt dobrze, lecz nie jestem bardzo chory. Sądzę, że za rok lub dwa całkowicie odzyskam zdrowie, i moim zdaniem nie zależy to od liczby przyjmowanych przeze mnie pacjentów ani wysiłku związanego z ich leczeniem.

– Skoro kwestionujesz drugi grzech, postaraj się poprawić w pierwszej sprawie.

– Spróbuję spędzać z tobą więcej czasu po obiedzie, pracować tylko rano...

– Och, spróbujesz... Będziesz próbował robić różne rzeczy, ale czy ci się uda? Praca to dla ciebie narkotyk, inni mężczyźni uzależniają się w ten sposób

od alkoholu. Przysięgają, że przestaną pić, i za dzień lub dwa wracają do dawnych przyzwyczajień...

Uklęknął obok niej na dywaniku. Zauważyła jego niepewne ruchy. Pocałował ją. Horacy warknął i zaszczekał w przyływie dawnej zazdrości.

– Jutro rozpocznę nowe życie. Zobacysz. Pijak wytrzeźwieje.

– Czy wiesz, że jeszcze nie tak dawno temu codziennie czuwałam przy łóżku człowieka chorego na cukrzycę? – spytała. – Mój stryj długo umierał. Prawie przez cały czas, gdy cię nie było. A ja czułam niesmak z powodu widoku i zapachu choroby – pastylek, naparów, nocników, nietkniętego jedzenia, kurczącego się ciała, śpiączek, krótkich powrotów do przytomności, po których było jeszcze gorzej. Jestem młoda, Dwight. Młoda. I frywolna, choć udajesz, że tak nie myślisz. Kocham cię. Chcę być młoda i cieszyć się swoją młodością razem z tobą! Wróciłeś – wydawało się, że prawie zmartwychwstałeś. Nie chcę znowu czuwać przy łożu chorego. Jestem egoistką, zrozum. Zaczekaj, zaczekaj, pozwól mi skończyć. – Przerwała i niecierpliwie otarła łzy z oczu. – Wiem, że poślubiłam chirurga, lekarza. Wiedziałam o tym od samego początku i jestem na to przygotowana. To, że zamierzasz dalej prowadzić praktykę, jest częścią naszej umowy. Nigdy nie wyraziliśmy tego słowami, ale uważam to za część umowy. Nie spodziewam się, że się zmienisz w głupawego ziemianina, by sprawić mi przyjemność, ani tego od ciebie nie oczekuję. Ty także nie spodziewasz się, że stanę się szarą myszką, która przygotowuje mikstury i wypisuje recepty, pomagając mężowi. Poślubiłeś mnie. Jestem twoją żoną na dobre i na złe, więc musisz brać to pod uwagę! Jestem żoną lekarza, lecz również młodą kobietą z majątkiem ziemskim, a ty jesteś nie tylko lekarzem, jesteś też właścicielem ziemskim i człowiekiem zamożnym. Potrzeba kompromisu po obu stronach, bo inaczej istnieje ryzyko, że obudzimy się pewnego dnia i odkryjemy, że już nic nas nie łączy.

Mopsik Caroline wspiął się niebezpiecznie wysoko po jej kolanach i próbował polizać ją po włosach.

– Horacy robi dokładnie to, co powinienem robić ja – powiedział Dwight.

– Powinieneś robić czy chcesz robić?

– Chcę.

– Ale ci nie wolno. W przeciwnym razie nie podziwiałabym twojej czystości.

– Uważasz, że tego chcę?

– Muszę tak uważać. Jesteś niezdrów, Dwight. Musiałeś się dziś bardzo źle czuć, bo inaczej nie zastałabym cię w domu.

– To minie. Już minęło.

– Może. Mam pewne wątpliwości. Daj spokój, Horacy. Twój język jest szorstki. – Odsunęła rude włosy, by pies nie mógł ich dosięgnąć. – A zatem, mój drogi, zamierzam być wymagającą żoną w jednych sprawach, ale nie w innych. Żądam, żebyś mniej pracował. Żądam, żebyś od czasu do czasu, sporadycznie, spędzał ze mną cały dzień i robił to, czego chcę. Ale w tej chwili nie żądam niczego więcej, chociaż najbardziej tego pragnę.

– Ja także.

– Więc to udowodnij.

– Proszę...

– Nie. – Zasłoniła mu dłonią usta. – Nie dziś wieczorem. Najpierw spełnij moje pozostałe życzenia. Tak będzie lepiej dla nas obojga.

Siedzieli razem na spleśniałym perskim dywanie. Trzymali się za ręce, lecz Horacemu udało się wcisnąć swoje pulchne ciało między nich i nie można go było stamtąd wyciągnąć.

Burza na chwilę ucichła. Oboje byli zmęczeni. Dwight o wiele bardziej, ponieważ taka była jego natura i miał znacznie mniej energii. Caroline zdawała sobie sprawę ze zwycięstwa, choć wiedziała, że musi dbać, by nie

wymknęło jej się z rąk, bo Dwight miał skłonność do determinacji – albo uporu. Żałowała, że wcześniej nie była bardziej bezpośrednia. Cudem uniknął śmierci, a później chorował, co nie sprzyjało sprzeczkom. Nie będzie to łatwe małżeństwo. Jak dotąd, przez kilka miesięcy, nigdy nie było łatwe. Caroline zamierzała jednak wygrać. Była tak samo zdeterminowana – lub uparta – jak Dwight. Było oczywiste, że się kochają. Problem polegał na tym, co zrobią ze swoją miłością.

Rozdział drugi

1

Ossie Whitworth otrzymał od doktora Enysa list z wiadomością, że z powodu złego stanu zdrowia musi on ograniczyć praktykę lekarską do obszarów położonych bliżej domu i dlatego nie będzie dostępny, chyba że nastąpiłoby nagłe pogorszenie zdrowia pani Whitworth, które wymagałoby jego wizyty. Dwight nadmienił, że jego zdaniem pani Whitworth w dużym stopniu doszła już do siebie po chorobie, na jaką zapadła po urodzeniu dziecka. Wskazana byłaby wzmacniająca dieta, a poza tym pani Whitworth powinna prowadzić proste, spokojne życie, unikając ekscytacji. Doktor Enys uważał, że jeśli Morwenna będzie przestrzegać tych zaleceń, nie ma się czego obawiać. Przesłał Whitworthowi wyrazy szacunku i podpisał list konwencjonalnymi formułkami.

Ossie przeczytał list, po czym prychnął i rzucił go na stolik do herbaty, by mogła go przeczytać Morwenna.

– Jak widzisz, jego lordowska mość znudził się nami, więc znowu musimy się zwrócić do doktora Behenny.

– O Boże, jaka szkoda! – zawołała Morwenna, czytając list. – Był taki miły! Jak dobry przyjaciel. Zawsze można było z nim porozmawiać.

– Wiem, że dużo z nim rozmawiałaś, moja droga. Znacznie więcej, niż wypada rozmawiać z mężczyzną. Naturalnie z wyjątkiem męża.

– To mój lekarz, Ossie. Nigdy nie rozmawiałam z nim o niczym, co nie

miałoby związku z chorobą.

– Mogą istnieć różne zdania na ten temat. Cóż, teraz jesteś znów zdrowa, przybierasz na wadze i wyglądasz całkiem dobrze, więc niewątpliwie będziesz mogła wykonywać swoje obowiązki parafialne.

– Już się staram. Przez cały dzień zajmowałam się twoimi sprawami. Jestem pewna, że nie chcesz, bym je wymieniała, bo sam to zrobiłeś dziś rano. Był to dla mnie szczęśliwy dzień. Dużo dzisiaj zrobiłam i chociaż jestem zmęczona, to przyjemne zmęczenie, zupełnie inne niż dawniej. Cieszę się na myśl, że jutro spędzę podobny dzień.

Ossie znów prychnął.

– Gram dziś wieczorem w wista u Carharracków, więc wrócę późno do domu. Każ Alfredowi na mnie poczekać. – Wyjął zegarek z kieszonki modnej kamizelki i spojrzał na cyferblat. – Ta dziewczyna się spóźnia. Co robi tak długo poza domem?

Morwenna zdjęła okulary.

– Rowella? Wyszła zaledwie przed godziną, jest jeszcze jasno. Nic jej nie grozi.

– Nie mam na myśli zagrożeń fizycznych, tylko moralne – odpowiedział Ossie. – Wiem, że poszła do biblioteki po książki. Obie spędzacie nad nimi pół dnia. Nadmiar lektur demoralizuje, zwłaszcza książki tego rodzaju. Prowadzą do marzeń, niewłaściwych marzeń. Traci się kontakt z rzeczywistością i przestaje żyć zgodnie z Bożymi przykazaniami. Wiesz, że nigdy nie prawię ci kazań, Morwenno. Nie chcę się zachowywać jak metodysta albo świętoszek. Powinniśmy prowadzić jak najlepsze życie, ale nie możemy tego robić, jeśli próbujemy, za pomocą książek, żyć cudzym życiem. To osłabia wolę i jest niezdrowe dla was obojga. – Dopił herbatę i wstał. – Spędzę godzinę w swoim gabinecie.

– Chciałabym któregoś dnia porozmawiać z tobą o edukacji Sarah i Anne –

rzekła Morwenna. – Podczas mojej choroby Rowella miała pełne ręce roboty i nie mogła poświęcić im tyle czasu, ile zamierzałyśmy. Chyba nic złego się nie stało, ale Sarah zrobiła się nieco zuchwałą. Rowella bardzo mi pomogła w opiece nad Johnem Conanem i wolałabym, żeby zajmowała się tylko nim.

– Kiedy indziej – odparł niespokojnie Ossie. – Porozmawiamy o tym kiedy indziej.

Gdy opuścił pokój, Morwenna pomyślała, że mąż dziwnie reaguje na wzmianki o Rowelli. Niekiedy manifestował wobec niej wyraźną niechęć i nazywał ją „tą dziewczyną”, więc Morwenna obawiała się, że Ossie uzna, że siostra nie wypełnia swoich obowiązków, i odeśle ją do domu. Mimo to czasem żartował i zachowywał się przyjaźnie. W rzadkich przypadkach, gdy zwracał się do niej bezpośrednio, był dość grzeczny. Nigdy jednak nie nawiązał z nią normalnych relacji jak szwagier z młodszą szwagierką. Morwenna włożyła okulary i zaczęła czytać list od Dwighta. Jego rezygnacja z praktyki w Truro było dla niej wielką stratą, stratą prawdziwego przyjaciela, a miała ich niewielu.

Wyszła do ogrodu i podążyła do ulubionego miejsca nad rzeką, ale trwał odpływ, wszystko śmierdziało szlamem, a Ledy i trzech innych łabędzi nie było. Rozrzuciła na brzegu kawałki chleba i ciasta, by łabędzie mogły je znaleźć, jeśli wcześniej okrucinów nie zjedzą kokoszki i inne ptaki. Właśnie w tym miejscu miała kiedyś ochotę rzucić się w błoto i udusić, by uniknąć obowiązków związanych z małżeństwem. Ciągle mogła to zrobić, ale krótka wiadomość przekazana niedawno przez Geoffreya Charlesa dodała jej otuchy, choć nadal nie miała żadnej nadziei.

Morwenna ceniła towarzystwo i pomoc Rowelli, jednak w ciągu dnia, spotykając się w domu, prawie nigdy nie rozmawiały szczerze jak siostry. Morwenna wiedziała, że Garlanda nieustannie starałaby się ją wspierać i nie zamykałyby jej się usta. Rowella w każdej sytuacji była sobą. Oschła,

chłodna, obserwująca wszystko krytycznym wzrokiem, sprawna i chętna do pracy, lecz pozbawiona ciepła. Może Rowelli brakowało tej cechy.

Ossie Whitworth siedział w swoim gabinecie, szkicując kolejny list do Conana Godolphina na temat wciąż wakującego stanowiska tytularnego proboszcza kościoła w Sawle. Gdyby chciał, mógłby przekazać żonie kilka interesujących uwag na temat natury Rowelli Chynoweth. W tej chwili nie mógł się skupić na liście, ponieważ czekał, aż usłyszy kroki. Jej kroki.

Bardzo wytrącało go to z równowagi. Nie był człowiekiem, który często się modli – naturalnie nie licząc modlitw odmawianych publicznie, co należało do jego obowiązków. Nie modlił się często prywatnie, lecz kilkakrotnie zwracał się do Boga o radę w sprawie szwagierki. I najwyraźniej jej nie otrzymał.

Czasami miał o sobie bardzo niskie mniemanie, na przykład teraz, gdy wiedział, że Rowella jest w pobliżu, i nasłuchiwał jej kroków. Było w tym coś niezwykłego. Żadna inna kobieta nie zrobiła jeszcze na nim takiego wrażenia. Nawet własna żona, kiedy gwałtownie pożądał jej przed ślubem. Przebywając z Rowellą pod jednym dachem, miał wrażenie, że nieustannie słyszy jej oddech. Może dlatego, że pamiętał, co się działo, gdy go ostatnio słyszał. Czasem przed oczami Ossiego nagle pojawiał się obraz ciała młodej szwagierki, przerywając mu tok myśli i wprawiając go w konsternację. Było to wyjątkowo nieprzyjemne.

Chodziła po plebanii w długich, wąskich, źle dopasowanych sukienkach, a jej ciało, które teraz już znał, stale bezwstydnie przyciągało jego uwagę. I naturalnie stopy, cudownie chłodne i smukłe w jego rękach – stopy o niewiarygodnie gładkiej skórze, z delikatnymi kośćmi, tak prześlicznie, uwodzicielsko smukłymi. Zachowywała się nienagannie, żaden błysk sprytnych, blisko osadzonych oczu nie zdradził, co się zdarzyło w nocy.

Chwilami się zastanawiał, czy Rowella nie jest wiedźmą, wiedźmą specjalnie zesłaną na ziemię, opętaną przez zło już w chwili narodzin.

Wiedziała więcej o uwodzeniu mężczyzn niż pierwsza i druga żona Osborne'a – nawet im się nie śniło, że można się tak zachowywać. Wiedziała więcej niż kobiety lekkich obyczajów z Oksfordu i okolic portu w Truro. Naturalnie była od nich świeższa i znacznie bardziej prowokująca. Kiedy niezgrabnie rozebrał ją do połowy w łóżku, zachowywała się jak dzikie zwierzę. Pluła na niego, wykrzywiając twarz i wyprężając ciało jak kotka. Ofiarowywała mu siebie i swoje bujne piersi, a następnie odmawiała. Dąsała się, śmiała, gryzła i robiła grymasy, a kiedy w końcu pozwoliła się posiąść, wszystkie wcześniejsze szaleństwa stały się częścią stosunku. Ossie odkrył doznania, o których nie miał pojęcia.

Było to oszałamiające, straszne i zwykle jej nienawidził. Najbardziej złościło go to, że musiał się tak poniżyć. Stoczył się do poziomu piętnastolatka – prosił, błagał, przekonywał, przypochlebiał się. A później w chwili szczególnego uniesienia Rowella nagle nazywała go „pastorem”, jakby z niego szydziła, rzucała mu wyzwanie, chciała go pozbawić godności.

Mimo to czasem miał wrażenie, że ją kocha. Chociaż brakowało jej urody, miała ogromny wdzięk. Po akcie miłosnym głaskała go niekiedy po czole, jakby próbowała przywrócić mu szacunek do samego siebie. Jak dotąd nie głaskała go po czole żadna kobieta i sprawiało mu to przyjemność. Naturalnie wcześniej traktował kobiety całkowicie instrumentalnie: istniały, żeby dostarczać przyjemności jemu, nie sobie. Nigdy dotąd nie spotkał kobiety, która znajduje zadowolenie w akcie miłosnym – i czuł tym większą podejrzliwość do tej tygrysicy udającej kociątko. Była wynaturzona. Kiedy przypominał sobie o zasadach moralności, rozumiał, że Rowella jest do szpiku kości zła. W świętej księdze, na której podstawie co tydzień wygłaszał kazania, opisano wiele takich kobiet. Było tam również mnóstwo złych mężczyzn, lecz starał się o nich nie myśleć.

Zdawał sobie także sprawę z niebezpieczeństw grożących jemu i Rowelli,

jeśli nie zerwie tego związku – ona mogła o nich nie wiedzieć. Nawiązał z nią intymne relacje częściowo dlatego, że nie mógł odbywać normalnych stosunków z żoną. Rozsądek nakazywał wymyślić jakiś pretekst, by odesłać Rowellę do domu. Teraz, gdy Morwenna odzyskała zdrowie, istnieje znacznie większe ryzyko, że wszystko wyjdzie na jaw. Niezależnie od tego, co by to oznaczało, Ossie czuł głębokie niezadowolenie na myśl, że jego żona mogłaby mieć uzasadnione moralnie opory przed spełnianiem obowiązków małżeńskich. Nawet gdyby sprawa pozostała w tajemnicy, jeden ze służących mógłby się czegoś domyślić i zacząć rozpuszczać plotki w parafii. Ossie szczególnie chciał tego uniknąć w chwili, kiedy wazą się losy beneficjum w Sawle.

Wbrew wszelkim rozsądnym kalkulacjom, wbrew ostrożności, przeważało szaleństwo jedno: Rowella. Była kimś niezwykłym. Ossie wiedział, że nigdy więcej nie spotka kogoś podobnego.

Mógł odesłać Rowellę do domu w przyszłym tygodniu. Albo za dwa tygodnie. Miała zaledwie piętnaście lat: to jeszcze dziecko. Chociaż była córką dziekana, nie okazywała żadnych wyrzutów sumienia z powodu uprawiania cudzołóstwa, tym bardziej grzesznego, że współżyła z mężem siostry. Miał obowiązek powiedzieć jej, że popełnia grzech. Miał obowiązek uzmysłowić jej, że postępuje źle, niezależnie od tego, że sam również źle postępuje. Wkrótce muszą porozmawiać. Rozsądnie i odpowiedzialnie, a nie dziko i niestosownie, a wtedy Rowella zgodzi się wrócić do domu...

Ossie usłyszał na korytarzu człapiące kroki, na które czekał. Rowella wróciła do domu. Czytała zbyt wiele książek. Może jej rozpasanie to skutek lektur. Wieczorami powinna grać w wista albo w pikietę, zamiast czytać. Może któregoś dnia powinien ją nauczyć gry w karty. Ale nie, to ryzykowne. Nie wolno robić niczego, co mogłoby sugerować, że poświęca jej szczególną uwagę. Jeśli będą ostrożni, bardzo ostrożni, może odesłać ją do domu dopiero

za jakiś czas.

2

Niezadowolenie Juda Payntera z życia stało się jedną z legend parafii. Na początku pracował jako górnik, później zaprzyjaźnił się z ojcem Rossa i zamieszkał w Namparze ze swoją rzekomą żoną Prudie. Towarzyszył Joshui Poldarkowi, gdy zaczął on prowadzić szalone życie. Drugi główny kompan Joshui, Tholly Tregirls, zawsze słynął z wojowniczości i brawury. Jednak Jud już w dawnych czasach niechętnie wdawał się w awantury, odznaczał się pesymizmem, wierzył, że świat sprzysiągł się przeciwko niemu.

Kiedy po śmierci ojca Ross wrócił z Ameryki, trzymał u siebie Paynterów przez kilka lat, lecz okazało się, że nie można na nich polegać, więc wyrzucił ich z Nampary. Zamieszkali w zrujnowanej chacie na północnym krańcu wioski Grambler. Później Jud przez dłuższy czas pracował dla Trencroma i zajmował się kontrabandą, ale za dużo pił i często robił się gadatliwy pod wpływem alkoholu, co nie podobało się bardziej ostrożnym przemytnikom, którzy pamiętali lutową noc tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku, gdy po wylądowaniu na brzegu wpadli w zasadzkę urządzoną przez celników i w rezultacie kilku przyjaciół skazano na deportację lub więzienie.

Pewnego dnia Trencrom, sapiący astmatycznie i z każdym dniem coraz bardziej podobny do mopsa Caroline, odwiedził niewielką chatę Paynterów i oznajmił Judowi, że rezygnuje z jego usług. Wkrótce potem szczęśliwy traf sprawił, że zmarł grabarz z kościoła w Sawle i Paynter objął wakujące stanowisko.

Praca ta pasowała do jego wieku i temperamentu. Miał około sześćdziesięciu pięciu lat i przez całe życie unikał ciężkiej roboty, ale nie widział nic złego w odrobinie wysiłku, jeśli nie musiał się śpieszyć. Zwykle

o wykopanie grobu proszono go z kilkudniowym wyprzedzeniem, a poza tym lubił pracę na wolnym powietrzu. Mógł kilkakrotnie wbić łopatę w ziemię i zrobić sobie przerwę, by zapalić fajkę. Zarabiał kilka pensów, miał dzięki temu również pretekst, by uciekać od Prudie.

Lubił chować zmarłych. Przez całe życie był ponurym człowiekiem, lecz rozchmurzał się, gdy widział ludzi pogrążonych w żałobie. Z zainteresowaniem obserwował wdowy, o których wiedział, że nie znosiły zmarłych mężów – później bez oporów komentował ich zachowanie. W szynku Sally Tregothnan chętnie opowiadał o jakości trumien i robił to nawet w domu, jeśli Prudie nie kazała mu się zamknąć. Groby nędzarzy i brak trumien były kolejnym tematem wzbudzającym jego zainteresowanie. Często grzebał dzieci i młodych ludzi, którzy padli ofiarą różnych epidemii, jednak szczególną przyjemność znajdował w grzebaniu swoich rówieśników. Z rozkoszą zasypywał ich ziemią i cmokał z radości, że znowu kogoś przeżył. Wieczorem po pogrzebie, podpiwszy sobie, chętnie przedstawiał każdemu, kto chciał słuchać, krótką biografię zmarłego, szczególnie podkreślając jego nieszczęścia i wady. Ponieważ przez całe życie mieszkał w wiosce Grambler i był jednym z najstarszych członków miejscowej społeczności, znał wszystkich i słyszał mnóstwo plotek, a alkohol sprawiał, że wspomnienia kipiały w nim niczym mleko.

To, czy doceniano jego opowieści, zależało od nastroju słuchaczy. Czasem traktowano je jako dobrą rozrywkę i pozwalano mu gadać, a kiedy indziej wieśniacy tracili cierpliwość na sam dźwięk jego głosu i krzykiem zmuszali go do zamilknięcia. Bardzo tego nie lubił i utwierdzało go to w przekonaniu, że świat jest niesprawiedliwy.

Pewnego wrześniowego dnia poszedł na cmentarz w wyjątkowo złym nastroju, ponieważ poprzedniego wieczoru Ed Bartle wyrzucił go z szynku. Zmarła stara ciotka Mary Rogers, właścicielka jedyne maleńkiego sklepiku

w Sawle, i Jud musiał ją pochować. Popijając rum, przypomniał sobie z niesmakiem słowa pastora Odgersa wypowiedziane w trakcie pogrzebu: „Nasza siostra odeszła do krainy cnoty i niewinności”.

– Niewinności, tak?! Brudna stara krowa! I ten jej zasrany sklepik! Nigdy nie darowała nikomu pół pensa, nie dała niczego na kredyt! Pół pensa ani nawet ćwierci pensa! Otwierałeś drzwi i włąziłeś, a ona zara wypełzała z nory, łypała ślepiami i zastanawiała się, jak człowieka oszwabić... – Jud wypił kolejny łyk. – Cnoty, zauważcie! Cnoty! Popłakałem się ze śmiechu! Stara ciotka Mary wzięła do roboty Wallasa Bartle’a, jak miała pięćdziesiąt osiem roków, a on dwadzieścia jeden, i wszyscy wiedzą, co robili z tyłu sklepu...

Judowi nie było dane dopić rumu. Zapomniał, że Ed i Wallas Bartle’owie to kuzyni i że Edowi mogą się nie podobać te uwagi. Obolały i trzeźwy wrócił do domu wcześniej niż w ciągu ostatnich miesięcy.

Następnego dnia odczuwał wyjątkowe rozgoryczenie z powodu niesprawiedliwości świata i stale się na nie skarżył. Przez pewien czas sprzeczał się z Prudie, lecz nie okazała współczucia ani zrozumienia, toteż poszedł na cmentarz. Należało dokończyć zasypywanie grobu ciotki Mary Rogers – brakowało jeszcze pół metra ziemi.

Był pogodny, słoneczny dzień i wysoko na niebie płynęły strzępiaste chmury. Dotarwszy na cmentarz, Jud usiadł, opierając się plecami o nagrobek z napisem: *Penlee. Ojciec, matka i ja w tym grobie leżymy. Ojciec, matka i ja snem wiecznym śpimy.* Zawsze przyprawiało go to o dobry humor. Nagrobek był wygodny, o nieco spadzistej powierzchni, która pasowała do pleców. Wypalił fajkę, a później się zdrzemnął. Obudził się koło południa, wziął łopatę i poszedł zasypać grób ciotki Mary. Nagle zobaczył kundla.

Jud zawsze nienawidził psów. Nie znosił ujadania, skakania, merdania ogonem, jęzora wystającego z pyska, dyszenia, obrzydliwych zwyczajów

i sposobu, w jaki obwąchują inne psy. Gdzieś w głębi duszy – bardzo głęboko – Jud był purytaninem. Bez trudu zapominał o tym, gdy chodziło o własne zachowanie, lecz wyrażało się to w niechęci do psów. Uważał, że są obrzydliwe. Liżą, węszą, szczekają, gonią za sukami – czworonożne plugastwo.

Ze wszystkich psów najbardziej nie znosił dwóch kundli, które prześladowały go na poświęconej ziemi. Bezpańskie psy biegające po okolicy nieustannie sprawiały kłopoty, rozkopywały ziemię, szczekały, gryzły się ze sobą i ujadały na Juda z bezpiecznej odległości. Skarżył się, że obsrywają cały cmentarz.

Dziś pojawił się tylko jeden, większy – duży kundel w szare łaty nieco podobny do collie. Rozkopywał miękką ziemię w pobliżu grobu Jamesa i Daisy Ellerych oraz ich sześciorga dzieci. Zamierzał tam ukryć kość.

Juda niesłychanie to oburzyło, ponieważ wiedział wszystko o kościach zakopanych na cmentarzu i nie chciał, by pojawiły się nowe. Po chwili zauważył, że kundel odwrócił się do niego zadem i że stare nagrobki tworzą coś w rodzaju ślepej uliczki, w której mógłby osaczyć zwierzę, gdyby zdołał je zaskoczyć. Uważał, że wszystkie psy zasługują na karę śmierci – niewątpliwie taki los spotkałby te dwa kundle, gdyby je kiedykolwiek schwytano, lecz nie było to łatwe. Wziął łopatę z długim trzonkiem i zaczął się skradać w stronę psa.

Między nagrobkami rosła wysoka, bujna trawa, wiatr wiał w stronę Juda. Ku swojemu zaskoczeniu podszedł na tyle blisko, by dosięgnąć kundla łopatą. Kiedy uniósł ją nad głowę, pies go usłyszał. Jud włożył w cios wszystkie swoje siły, dając upust złości gromadzącej się przez wiele tygodni, lecz pies zdążył odskoczyć. Zaskowyczał z bólu, gdy łopata trafiła go w bok i ogon. Ostrze uderzyło w kamień, a Jud puścił łopatę, stracił równowagę i upadł.

Leżąc na ziemi, zauważył, że za nagrobkiem jest również suka. Dwa psy

nagle znalazły się w pułapce i warczały wściekle na Juda, potem przebiegły mu po plecach i uciekły. Jeden ugryzł go w siedzenie. Po chwili Jud usiadł, zaczął otrząpywać ziemię z łysej głowy, kłąć i wrzeszczeć pod niebiosa.

Jeden z jeszcze żyjących Ellerych, mały Nigel, po chwili ze zdumieniem zauważył przed sobą na ścieżce bardzo rozgniewanego i zaniepokojonego pana Payntera, który krzyknął, trzymając się od tyłu za spodnie.

– Ugryzły mnie, psiajuchy! Pokąsał mnie wściekły kundel!

Jud ruszył w stronę domu – znajdującego się w pobliżu – a mały Nigel podążył za nim. Po drodze obwieszczał piskliwym głosikiem ważną nowinę, więc gdy Jud dotarł do ostatniej chaty we wsi, szła za nim grupka ludzi.

Prudie przygotowywała właśnie herbatę dla swojej kuzynki Tiny z Marasanvose, kiedy procesja doszła do domu Paynterów. Prudie, jeśli mogła sobie na to pozwolić, codziennie piła herbatę. Wielki imbryk подарowany przez Demelzę płukała tylko raz w tygodniu. Od czasu do czasu dolewała do niego trochę wrzątku i wrzucała szczyptę herbaty.

– Pokąsały mnie, psiajuchy! – krzyknął Jud po wejściu. – Pokąsały mnie wściekłe psy! To sie nie godzi, to naprzeciw naturze! Wściekłe jak szatany, z wywalonymi jęzorami! Kundel wielki jak kuc! Przewrócił mnie, a potem pogryzł! Walczyłem z nim gołymi rękami!

– Wciornaści! – Prudie zerwała się z miejsca z imbrykiem w ręce i popatrzyła podejrzliwie na Juda. Nie życzyła mu śmierci, choć bez przerwy sprawiał kłopoty, lecz doskonale wiedziała, że lubi wyolbrzymiać swoje cierpienia. – Chcesz powiedzieć, że ugryzł cie wściekły pies?! Gdzie cie pokąsał? Nie widze żadnej rany! – Popatrzyła przez ramię na ludzi stłoczonych za Judem. – Jaki wściekły pies? Widzieliście wściekłego psa?!

Zgromadzeni ludzie zaczęli mówić jeden przez drugiego. Tłumaczyli, że nic nie widzieli, i powtarzali słowa Juda, który krzyknął, by się uciszyli, i obnażył dwa zęby.

– Tu mnie ugryzły! Może i gdzie indziej: to sie jeszcze okaże. Poślij po doctora! Pokasał mnie wściekły pies! Moge umrzeć!

– Wyjdźta wszystkie! – zakomenderowała Prudie. – Wyjdźta, a ja zobacze, co mu jest. Idźta, idźta. Ty też, Tina.

– Dobrze – odpowiedziała kuzynka.

– Poślij po doctora! – wrzasnął Jud, trzymając się za tyłek.

– Zaczekaj, czarny smoku. Gdzie cie ugryzł? W dupe? Ściągnij gacie i pokaż. Oprzyj sie na krześle i wypnij. Wypnij sie!

Jud niechętnie spełnił polecenie. Prudie zmarszczyła brwi, patrząc na obnażony zadek.

– Wścieklizna, a potem siup i trup! Wściekłe kundle...

Na pośladku widniał niewielki ślad w czerwonej obwódce. Miał mniej więcej dwa i pół centymetra długości. Skóra nie była naruszona.

– Daj spokój, to nic, stary mazgaju. Beczysz jak jagnie...

– Pies był wściekły, powiadam ci! Poślij po doctora, babo!

Jud już się prostował, ale Prudie niecierpliwie przygięła mu głowę do ziemi.

– Poczekajże, zaraz sie tym zajme – powiedziała.

Wcześniej wrzuciła do paleniska wiązkę chrustu, by zagotować wodę w imbryku. Pochyliła się i wyjęła jedną z gałązek, której koniec w dalszym ciągu się tlił. Wydęła policzki, z impetem zdmuchnęła płomień i przycisnęła rozżarzony koniec do tyłka Juda.

3

Nazajutrz Demelza wybrała się na spacer do kościoła w Sawle. Wyruszyła z Jeremym i Garrickiem, ale Garrick, jak zwykle w ostatnich czasach, dotarł tylko do sosen otaczających kopalnię Wheal Maiden i nowy dom modlitwy.

Nie był już tak energiczny. Na szczycie wzgórza kładł się na chwilę, opierał łeb na łapach, po czym po krótkim odpoczynku odzyskiwał dość sił, by zbiec spokojnym truchtem w dół doliny. Demelza podejrzewała, że próbuje ją epatować zachowaniami przypominającymi nawyki starszego dżentelmena, lecz skończył trzynaście lat i miał prawo do dziwactw.

Tym razem Jeremy postanowił wrócić z Garrickiem, więc Demelza poszła dalej sama. Był kolejny piękny dzień, brzydkie lato zmieniło się w słoneczną jesień, a Ross poprosił, by sprawdziła, czy Boase, kamieniarz z St Ann's, przywiózł już granit na nagrobek ciotki Agathy. Wzięła niewielki bukiet, żeby położyć go na grobie staruszki, i pół gwinei dla Prudie Paynter.

Kiedy dotarła na cmentarz, okazało się, że nie rozpoczęto jeszcze żadnych prac przy nagrobku. Nie spotkała również Juda. Przez pewien czas czytała napisy na grobach. Pochowano tam ojca, matkę i brata Rossa.

Pamięci Grace Mary, ukochanej małżonki Joshui Poldarka, która odeszła z tego świata 9 maja 1770 roku w wieku 30 lat. Quidquid Amor Jussit, Non Est Contemnere Tutum.

Jaśnie Wielmożnego Pana Joshui Poldarka z Nampary w Kornwalii zmarłego 11 dnia marca 1783 roku w wieku 59 lat.

Na mniejszym nagrobku obok znajdował się napis:

Claude Anthony Poldark, zgasły 9 stycznia 1771 w szóstym roku życia.

Demelza wyjęła z kieszeni kawałek papieru i ołówki, po czym przepisała łacińską sentencję. Wcześniej pytała Rossa, co to znaczy, lecz odpowiedział, że już dawno zapomniał podstaw łaciny, których się kiedyś nauczył. Niewiele wiedziała o jego rodzicach: tylko tyle, że za młodu Joshua uchodził za hulakę, że jego małżeństwo było krótkotrwałe, lecz szczęśliwe i że po śmierci żony znów zaczął szaleć. Widziała poplamioną miniaturę przedstawiającą matkę

Rossa, ale nie miała pojęcia, jak wyglądał jego ojciec. Portretu Joshui nie było nawet w stosie obrazów na strychu w Trenwith.

Tego ranka otrzymała list od Hugh Armitage'a. Na szczęście Ross wyszedł z Jackiem Cobbledickiem obejrzeć chore ciele, więc schowała list do kieszeni przed powrotem męża. Teraz na odwrocie listu skopiowała łacińską inskrypcję.

Hugh pisał z pokładu HMS Arethusa. Chociaż zaadresował list do Demelzy, posługiwał się grzecznymi, konwencjonalnymi zwrotami. „Droga Pani Poldark, proszę przekazać najserdeczniejsze pozdrowienia i wyrazy przyjaźni swojemu mężowi, który wybawił mnie z opresji” – pisał. „Pozostaję Pani posłusznym sługą” – brzmiało zakończenie. Demelza miała wrażenie, że dostrzega między wierszami nutę melancholii. Smutek wydawał się związany bardziej z życiem niż z nią. Może odczuwają go wszyscy poeci, płaczą nad wieczną tragedią miłości. Jeśli nie jest odwzajemniona, powoli gaśnie. Jeśli jest, również gaśnie, bądź wskutek upływu czasu, bądź wskutek śmierci jednego z kochanków, pogrzebanego w chłodnej ziemi. Jak teraz. Jak tutaj: „Pamięci Grace Mary, ukochanej małżonki Joshui Poldarka, która odeszła 9 maja 1770 roku w wieku 30 lat. Quidquid Amor Jussit...”. Jak to dalej brzmiało?

Wydawało się, że Hugh kocha i musi pisać z pokładu okrętu miotanego przez wichury, gdy Anglia toczy wojnę. Nie żałował siebie, tylko całego rodzaju ludzkiego. Jego wiersze, gdziekolwiek je pisał, stawały się coraz bardziej bezpośrednie i przepełnione miłością. Demelza wyjęła arkusz papieru i zanim zaczęła czytać, popatrzyła wokoło, jakby spokojnie śpiący zmarli mogli zajrzeć jej przez ramię i okazać dezaprobatę.

Wiersz był dość krótki. Wiatr szeleścił papierem w dłoni Demelzy.

*Gdyby ma upragniona kochać mnie raczyła,
Serce dałbym jej w darze.*

*Błagam na klęczkach, aby uwierzyła,
Że o niej myślę i marzę.
Do niej należy wszystko, co posiadam,
Aż do ostatnich dni.
To właśnie przed nią na kolana padam,
To ona mi się śni.*

4

Obok drugiego z dwóch wielkich kominów należących do nieczynnej kopalni Grambler, gdzie wokół zapadniętego dachu cechowni latały z trzepotem gołębie, Demelza spotkała Willa Nanfana. Opowiedział jej o wczorajszych przygodach Juda. Śmiał się do rozpuku. Poszła do chaty Paynterów, spodziewając się, że usłyszy o tych nieszczęściach. Kiedy otworzyła drzwi, z zaskoczeniem spostrzegła, że Prudie ma podbite oko. Jud leżał na brzuchu na łóżku i próbował palić fajkę. Od czasu do czasu dym dostawał mu się do oczu, on zaś kasłał i przeklinał słabym głosem jak człowiek, któremu zostało niewiele życia.

– Och, to ty... – powiedział. Mimo częstych reprimend Prudie nie mógł zapomnieć, że Demelza pojawiła się w Namparze jako uboga znajda, chuda, wygłodzona, niepiśmienna, właściwie niegodna, by ją wpuścić do domu. Początkowo pracowała jako pomoc kuchenna i pomywaczka, a jej status był znacznie niższy niż status Juda i Prudie, głównych służących w Namparze. Mogła się zmienić nie do poznania i zostać panią, ponieważ kapitan Poldark czuł do niej litość, jednak nic nie zmieniało faktu, kim była na początku.

– Proszę wejść, pani – dodał po chwili. Nie obchodziły go upomnienia Prudie, ale przypomniał sobie, że Demelza czasami przynosiła pieniądze. – Musze leżeć przez cały dzień. Na pewno pani słyszała.

– Tak – odpowiedziała Demelza. – To smutne.

– Nic mu nie jest – wtrąciła Prudie. – Leniwy stary bałwan. Usiądź, moja

droga, a ja przygotowuje kubek herbaty.

Demelza zajęła miejsce na rozchybotanym krześle. Zauważyła, że lustro, które dała Paynterom w zeszłym roku, jest pęknięte, a jedno z krzeseł stoi oparte o ścianę i ma połamane nogi. Wydawało się, że się pokłócili.

– Psiajuchy! – warknął Jud, wspierając się na jednym łokciu. – Powiesić te wszystkie ścierwa! To naprzeciw naturze! Wściekłe kundle biegają po cmentarzu. Miałem szczęście, że mnie nie rozszarpały!

– Jeden maleńki ślad! – dobiegł z drugiej izby tubalny głos Prudie, która usiłowała znaleźć czysty kubek dla gościa. – Jakby cie kto w dupę uszczypnął! Tylko tyle, nic więcej!

– A coś ty zrobiła?! – Jud znów się zirytował, po czym jęknął. – Przypaliła mnie rozżarzono głównio! Przypaliła rane, i zrobiła się dwa razy większa! Głupia, stara krowa!

W dalszym ciągu obrzucali się wyzwiskami, a tymczasem Prudie przygotowywała filiżankę herbaty. Demelza chętnie by poszła, ale tuż po wejściu wsunęła Prudie do ręki pół gwinei i kobieta byłaby urażona, gdyby żona Rossa nie została i nie wypila herbaty. Był to sposób Prudie na wyrażenie wdzięczności. Demelza wiedziała, że Jud nie dowie się o pieniądzech.

– Byłam w kościele, by sprawdzić, czy Boase zaczął budować nagrobek ciotki Agathy – odezwała się, ostrożnie wypijając łyk gorącego czarnego płynu. – Widzę, że jeszcze nic nie zrobił. Wicie, czy wykonał pomiary?

– W ogóle żem go nie widział – odparł Jud. – Raz czy dwa spotkałem kapitana Rossa. Boase’a nie było na cmentarzu, od kiedy postawił ten okropny pomnik dla starego Penvenena. Jak go stawiał, to chciałem, by zwałił mu się na łeb. Wielkie paskudztwo... Widziałem kapitana Poldarka nawet w lipcu...

– Jud, czarny smoku! – przerwała Prudie. – Weź herbate, wypij i obyś się nie udławił!

Jud przyjął kubek i rozlał trochę, parząc sobie nadgarstek. Zaklął cicho i wypił łyk.

– Widziałem kapitana Poldarka pod koniec czerwca. Akurat żem zasypywał grób Betsy Caudle, kiedym zobaczył kapitana Poldarka, jak czekał pod drzewem...

– Jud, ty świnió! – zawołała Prudie. – Stul dziób!

– Dlaczego? O co chodzi? Co w tym złego? Widziałem kapitana Poldarka, jakem powiedział. Czemu nie mam o tym gadać? I widziałem, jak idzie do niego tamta kobieta, i żem pomyślał, że to ty, pani. Ach, żem pomyślał, przyszli się spotkać jak dwa małe ptaszki na gałęzi, ale niech mnie diabli porwo, jak to nie była pani Elizabeth Warleggan – to znaczy Poldark. Przywitali się, kapitan Poldark uchylił kapelusza i poszli razem w stronę Trenwith!

– Jeszcze herbaty? – zwróciła się Prudie do Demelzy, dysząc ciężko. – Na Boga, jeszcze prawie nietknięta, a ja wychłeptałam swojo. Zaraz doleje.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała Demelza. – Jest bardzo dobra, ale trochę gorąca. Nie mogę długo siedzieć, bo mam mnóstwo roboty w domu. Skosiliśmy zboże i trzeba zwieźć resztę do stodoły.

Prudie wygładziła czarną sukienkę, która wyglądała, jakby wcześniej służyła za płachtę do przykrywania kartofli w szopie.

– To bardzo miło, że do nas przychodzisz, moja droga. Troszczysz się o nas, prawda, Jud?

Jud z ukosa zerknął na Prudie przekrwionymi oczyma, a ona spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby zaraz po wyjściu Demelzy zamierzała mu rozbić głowę. Wczorajsze tortury to nic w porównaniu z tym, co go teraz czeka. Usiadł gwałtownie i się skrzywił, bo zabolął go tyłek.

– Ja... co to ja... – Urwał. – Jak przyjdzie Boase, rzekne mu, że nas pani odwiedziła i chce wiedzieć, kiedy zacznie robote. Dobrze, pani Demelzo? Mam mu to powiedzieć?

– Tak mu powiedz – odparła Demelza. Wypiła kolejny łyk gorącej herbaty, która sparzyła jej gardło. Wstała.

Jud spojrział niepewnie na Prudie i usiłował wymyślić coś miłego, co mógłby powiedzieć.

– Jak tam dwa pani szkraby? – spytał, gdy Demelza doszła do drzwi.

– Świetnie – odrzekła. – Clowance ząbkuje i rano trochę marudzi, ale zwykle jest szczęśliwa i zadowolona.

– Jak jej mama – zauważył Jud, obnażając dziąsła w nieudolnym uśmiechu.
– Jak jej mama.

– Nie zawsze – odparła Demelza. – Nie zawsze.

Wyszły na słońce. Prudie znów wygładziła sukienkę i zakasłała. Nie odezwała się jednak, bo mimo niezbyt bystrego umysłu doszła do wniosku, że nie powinna przeproszać za Juda. Ponownie poruszyłaby zakazany temat.

– Myśle, że Jud się stacza – rzekła, mrużąc oczy w słońcu. – Szybko się stacza. Nijak nie ma z niego pożytku. Pół dnia leży pijany, a przez drugie pół dnia nie wie, co się z nim dzieje. Schowam przed nim to złoto, coby go nie przechlał. Dziękuję, że nam pani pomogła.

Demelza spojrzała w stronę Trenwith.

– Warlegganowie są teraz w domu? W ogóle ich nie widujemy.

– Tak, chyba ciągle siedzo we dworze. W zeszłym miesiącu widziałam panicza Geoffreya Charlesa, jak jechał na kucu. Ale coś mi się zdaje, że już wrócił do szkoły.

– Domyślam się, że urósł.

– O tak, urósł jak tyczka. Jest chyba wyższy od ojca.

– Cóż, muszę wracać do domu. Do widzenia, Prudie.

– Do widzenia, pani Demelzo.

Prudie stała w drzwiach, patrząc na Demelzę idącą w stronę Nampary. Później weszła do chaty. Wyraz jej twarzy zwiastował apokalipsę.

Rozdział trzeci

1

George wrócił z Londynu na początku sierpnia, lecz do Trenwith przybył dopiero w połowie miesiąca. Zirytował go list z wiadomością, że Elizabeth pojechała na wybrzeże, więc jego dłuższa nieobecność po powrocie do Kornwalii miała jej to okazać.

Kiedy w końcu zjawił się w Trenwith, targały nim mieszane uczucia. Ekscytujący pobyt w Londynie zrobił na nim duże wrażenie. Poznał wielu notabli i arystokratów, którzy wydawali się traktować go jak równego sobie. Widział w teatrze księcia regenta i lady Holland, siedząc w wynajętej przez siebie łoży w Ranelagh House, gdzie niektórzy mężczyźni ciągle nosili szpady. Został członkiem najważniejszego na świecie parlamentu, którego posłowie czasem zachowywali się z taką powagą, jakby uczestniczyli w posiedzeniu Izby Gwiazdzistej, a czasem śmiali się i hałasowali jak publiczność w trakcie pokazów szczucia niedźwiedzi. Żałował, że nie ma z nim Elizabeth, ponieważ jej naturalna umiejętność znalezienia się w każdej sytuacji mogłaby się okazać bezcenna.

Zdał sobie sprawę, że stanowisko posła do Izby Gmin jest tym, czego najbardziej pragnął. Wcześniej tego nie wiedział, teraz to zrozumiał. Jednak po powrocie do Truro wrodzona duma i skrupulatne panowanie nad sobą powstrzymały go przed zaspokojeniem ciekawości rodziców – nie udzielił odpowiedzi na ich wszystkie pytania. Jediną osobą, z którą mógłby swobodnie

rozmawiać, była Elizabeth, lecz znajdowała się kilkanaście kilometrów dalej, w dodatku wyjechała wbrew jego woli.

W głębi serca toczył go czerw, czerw podejrzeń, nienawiści i zazdrości, lecz przeciwwagę stanowiła świadomość, że pragnie ją znowu ujrzeć. Jeśli złowrogie podejrzenia nie miały podstaw, niszczył własne życie – a także życie Elizabeth i syna – bez żadnego powodu, choć w sferze zawodowej odnosił same sukcesy. A jeśli złowrogie podejrzenie okazałoby się prawdziwe, co mu pozostało? Cudze dziecko i żona, której w dalszym ciągu głęboko pożądał. Jeśli go zdradziła, nastąpiło to przed ślubem. Odłożyła ślub o miesiąc. Czy świadczyło to o winie, czy niewinności? Nie można było wykluczyć ani jednego, ani drugiego, ale podstępna kobieta z pewnością nie odkładałaby ślubu. Zdrada, jeśli do niej doszło, wydarzyła się przed zawarciem małżeństwa i gdyby o niej wiedział, nawet na jotę nie zmieniałby jego pragnienia posiadania Elizabeth. Nagroda była zbyt wielka. Nagroda, której zawsze pragnął, choć nigdy nie wierzył, że ma szansę ją zdobyć – nie zrezygnowałby z niej mimo gniewu i goryczy.

Nic się nie zmieniło. Kiedy przebywali razem, rutyna życia małżeńskiego i zadowolenie z posiadania łagodziły pragnienia George'a. Kilkutygodniowe rozstanie sprawiało, że znów był ich niewolnikiem.

Dwa przeciwne bieguny, to właśnie one czyniły z niej istotę, której nie mógł się oprzeć. Elegancka żona, potomkini szlacheckiego rodu, niezliczonych pokoleń wielkich panów, zawsze nienagannie ubrana, zrównoważona, łagodna, pełna godności, piękna, młoda, mądra, swobodna. Na drugim biegunie była żona pozbawiona elegancji, którą mógł mieć, gdy mu na to pozwalała. Obnażona, z długimi włosami opadającymi na nagie ramiona i piersi. Należała do niego, do niego i do nikogo innego. W takich chwilach był jej absolutnym panem i władcą. George nie miał natury lubieżnika. Swoje emocje wyładowywał w sporach handlowych, w walce o władzę. W czasie kilku

tygodni spędzonych w Londynie bez trudu dochował wierności żonie. Dwie wysoko postawione damy czyniły mu awanse, lecz zignorował je bez cienia żalu.

Jednak czasem pragnął żony. Tak było w tej chwili.

Kiedy w czerwcu opuszczał Trenwith, zachowywał się chłodno. Teraz, po powrocie, wszystko się zmieniło, choć buntowała się przeciw temu jakaś część natury George'a. Podczas gdy wokół biegali zaaferowani służący, on pocałował Elizabeth w usta i uściśnął dłoń Geoffreya Charlesa (celowo nie zwracając uwagi, że chłopiec zachowuje się oficjalnie). Później wziął na rękę i pocałował Valentine'a, zwracając uwagę, że chłopiec znacznie przybrał na wadze. Powiedział nawet kilka miłych słów rodzicom Elizabeth (wskutek niefortunnego zbiegu okoliczności oboje cierpieli na letnie przeziębienie), a podczas kolacji otworzył butelkę francuskiego szampana.

Pod koniec wieczoru, gdy wreszcie zapadł zmrok i zapalono świece, zażądał od Elizabeth spełnienia obowiązków małżeńskich, ona zaś nie odmówiła. Potem przez chwilę rozmawiali. George, odprężony, opowiedział żonie o swoim pobycie w Londynie, po czym oświadczył, że w przyszłym roku zamierza wynająć tam dom i zamieszkać w nim z Elizabeth.

W ciągu następnych tygodni wszystko układało się dobrze. Elizabeth skarciła Geoffreya Charlesa za niegrzeczne zachowanie.

– Pamiętaj, najdroższy, że wujek George to dobry, hojny mężczyzna, który pragnie być dla ciebie najlepszym ojcem. Może ci się bardzo nie podobać to, co zrobił w zeszłym roku, ale nie zapominaj, że jesteś jeszcze młody i że czasami musisz pozwolić starszym osądzać sytuację. Nie patrz tak na mnie, bo się rozgniewam... Oczywiście to wszystko wydarzyło się dlatego, że Morwenna zaniedbała swoje obowiązki. Gdyby nie była taka nieostrożna i nie zaniedbała swoich obowiązków, nigdy nie musielibyśmy robić tego, co zrobiliśmy. Jeśli uważasz, że gniewaliśmy się na ciebie, jesteś w błędzie.

Zirytowała nas wyłącznie Morwenna i, jak widzisz, nie wyraziłam sprzeciwu, żebyś znów spotykał się z Drakiem Carne'em – choć uważam, że spędzasz z nim zbyt wiele czasu. Zaczekaj! Jeszcze nie skończyłam. Jak wiesz, zawsze byłeś moim najdroższym dzieckiem i myślę, wierzę, że mnie kochasz. Jeśli tak, niechaj twoim zachowaniem rządzi miłość do mnie. Wuj George, możesz go ciągle tak nazywać, jest twoim ojczymem i moim mężem. Jeśli będziecie się kłócić, jeśli będziesz mu okazywać wrogość i nieposłuszeństwo, sprawi to przykrość nie tylko jemu, lecz zrani również mnie. Podkopie moje szczęście. Zniszczy tę część mego życia, która jest dla mnie najcenniejsza.

Geoffrey Charles starał się dobrze zachowywać. Trzeciego dnia po powrocie do Trenwith George przyszedł do Elizabeth z chłodnym wyrazem twarzy i oznajmił, że według Toma Harry'ego Geoffrey Charles spędza każdą wolną chwilę z bezczelnym smarkaczem, który w zeszłym roku zakradał się do dworu, by uwodzić Morwennę. Elizabeth powinna mu tego zabronić.

– Och, może nie ma w tym żadnej szkody, z wyjątkiem tego, że młody głupi chłopiec zawiera niewłaściwe znajomości – powiedział George. – Jestem zaskoczony, że właśnie ty zachęcasz go do przyjaźni z jednym z braci Demelzy Poldark.

– Nie zachęcam, George. Wręcz przeciwnie. Ale Geoffrey Charles jest w trudnym wieku. Teraz możesz go łatwo zmusić, by przestał się widywać z tym kowalem, tylko że zapamięta to nam obojgu, a za kilka lat nie będzie tak łatwo go kontrolować. Zakazywanie mu tej przyjaźni to najpewniejsza droga, by go do niej zachęcać. Dobrze o tym wiesz. Jeśli zostawimy go w spokoju, nie będziemy się wtrącać, prawdopodobnie znudzi się tym człowiekiem w ciągu roku lub dwóch. Nie zapominaj, że na Geoffreya Charlesa bardzo łatwo teraz wpływać, a największy wpływ wywierają koledzy z Harrow. Wkrótce zauważy, że mówią i zachowują się zupełnie inaczej niż ten młody kowal. Jeśli Geoffrey Charles zobaczy, że do niczego go nie zmuszamy,

niebawem przestanie się nim interesować.

George obracał monety w kieszonce na zegarek.

– Rozumujesz rozsądnie, Elizabeth, ale jestem wściekły, że Poldarkowie ośmielili się kupić mu gospodarstwo praktycznie na granicy naszego majątku, jakby chcieli rzucić nam wyzwanie! Możliwe, że...

– Och, George, na granicy?! To przecież co najmniej trzy kilometry.

– W pobliżu naszych kopalni. Dopilnuję, by nie otrzymywał od nas zamówień... Trzy kilometry to nic. Zachowują się, jakby rozmyślnie chcieli nas sprowokować. Żałuję teraz, że nie wysłałem tego smarkacza do więzienia, gdy nadarzyła się okazja.

– Tylko pogorszyłoby to sytuację.

– Widziałaś Poldarków po swoim powrocie?

– Nie – odpowiedziała Elizabeth. Jej pierwsze kłamstwo. – Nigdy nie przyjeżdżają do kościoła.

George nie powiedział nic więcej i poszedł do swojego gabinetu. Geoffrey Charles odwiedzał Drake'a nieco rzadziej, mimo że nikt mu tego nie zabraniał. Jednak George nie zapomniał o całej sprawie. Nabral przekonania, że Drake Carne ponosi odpowiedzialność za podrzucanie ropuch do stawu. Nikt inny nie potrafiłby tego zrobić, nikt inny nie chciałby, żeby George wyszedł na głupca. Wszystkie elementy układanki ułożyły się w całość.

Dlatego pewnego dnia George rzekł do Tankarda:

– Kuźnia Pally'ego. To gospodarstwo należy teraz do młodego Carne'a. Czy jesteśmy właścicielami przyległych gruntów?

– Nie, sir. Chyba nie, sir. Ta ziemia jest własnością kilku rolników. Zdaje się, Trevethana i Hancocka. Jeśli pan chce, mogę to dokładnie sprawdzić.

– Zrób to. Dowiedz się wszystkiego o tym gospodarstwie. Sprawdź, czy Carne jest właścicielem praw górniczych do własności mineralnych. Sprawdź studnie i strumienie. Dowiedz się, kim są główni klienci Carne'a. Oprócz

naszych kopalni w pobliżu znajdują się tylko Wheal Kitty i Wheal Dream. Poza tym wykonuje okazjonalne prace dla rolników i ziemian... Sprawdź, co możemy zrobić, by ich zniechęcić.

– Tak, sir.

– I nie podejmuj żadnych działań bez mojej zgody. Możesz coś zasugerować, lecz to ja podejmę decyzję.

– Tak, sir.

– Nie ma pośpiechu. Złóż mi sprawozdanie do końca miesiąca.

2

George trzy lub cztery razy pojechał z wizytą do Basseta. Zjedli obiad w Tehidy. Geoffrey Charles był w świetnym humorze i rozmawiał z panną Frances Basset. Później Bassetowie przybyli na obiad do Trenwith. George zaprosił również sir Johna Trevaunance'a i jego brata Unwina, Johna i Ruth Treneglosów oraz Dwighta i Caroline Enysów. Dwight prawie nie uczestniczył w rozmowie przy stole i pomyślał, że George kilkakrotnie nieco zirytował nowego barona de Dunstanville. Nie chodziło o różnice zdań, raczej o to, że George niekiedy akceptował opinie Basseta i wyciągał z nich odleglejsze wnioski, niż podobało się to ich autorowi. Dwight wiedział, że George często głosi poglądy, które leżą w jego interesie, i wyczuwał fałszywe nuty w jego słowach. Zastanawiał się, czy Basset ma podobne wrażenie.

Następnego dnia Warlegganowie udali się na obiad do Treneglosów, co wymagało objechania majątku znienawidzonego Rossa Poldarka. Towarzyszył im Tankard, ponieważ George chciał obejrzeć niedawno zamkniętą kopalnię Wheal Leisure, by postanowić, czy można ją jeszcze jakoś wykorzystać. Otrzymywał dokładne sprawozdania, ale jak wszyscy solidni ludzie interesu lubił osobiście zapoznać się z sytuacją.

Zatrzymał konia na wzgórzu w pobliżu stróżówki, w której mieszkał niegdyś Dwight i która obecnie stała pusta, po czym spojrzął na nieregularne zabudowania Wheal Grace i dwór w Namparze na końcu wąskiej doliny docierającej prawie do morza. Przyglądał się im przez kilka minut.

W Wheal Grace panowała krzątanina. Nie była to pora zmiany szycht, ale niedawno dosypano węgla do paleniska i z komina buchał gęsty dym. Wielkie ramię pompy poruszało się do góry i w dół, szczękały koła zębate kruszące rudę, kobiety w czepkach przemywały ją w basenach, a między budynkami czekała karawana objuczonych mułów, która wkrótce miała wyruszyć do kotliny Sawle z transportem urobku, by go tam pokruszono.

– Widzę, że rozbudowa już się zakończyła – zauważył George.

Elizabeth podjechała do męża.

– Co masz na myśli?

– Rozbudowę dworu. Z pewnością o niej wiesz.

– Pierwszy raz o tym słyszę... Dwór wydaje się taki sam. Ach, masz na myśli tamten kraniec budynku...

– Dodali piętro i przebudowali bibliotekę. Wczoraj wieczorem wspomniał mi o tym Basset. Sprowadzili sztukatora z Bath.

– Przyjeżdżał tutaj?

– Basset? Nie sądzę. Myślę, że go nie zapraszano.

Wiał silny wiatr i Elizabeth uniosła rękę, by przytrzymać zielony trójrożny kapelusz.

– Rzadko bywałam w Namparze nawet jako żona Francisa. Po jego śmierci Ross przyjeżdżał raz na tydzień do Trenwith, ale ja go nie odwiedzałam.

– Wtedy kiedy oszukał Geoffreya Charlesa, przejmując za bezcen udziały w dochodowej kopalni?

Elizabeth wzruszyła ramionami.

– Uważał, że kopalnia lada chwila zbankrutuje. Kupił udziały, myśląc, że

nam pomaga. Znaleźli cynę dopiero pół roku później.

George się uśmiechnął.

– W końcu cię sprowokowałem do jego obrony.

Elizabeth się rozejrzała, ale Geoffrey Charles pojechał do przodu z masztalerzem. Nie uśmiechała się.

– Twoje podejrzania nie przynoszą ci zaszczytu, George. Ani te, ani inne.

– Jakie inne?

– Jakiegokolwiek możesz mieć. Jako wybitny obywatel, poseł do Izby Gmin, sędzia pokoju, mój mąż... a także ojciec Valentine'a... moim zdaniem powinieneś stać ponad takimi drobnostkami.

Uderzył w nich nagły podmuch i konie przysiadły na zadach. Z kopalni dobiegł dźwięk dzwonu, przytłumiony z powodu porywów wiatru.

Elizabeth przeszła do ofensywy i teraz George musiał zdecydować, czy powiedzieć coś więcej. Dobrze wybrała moment: trudno oskarżać kobietę siedzącą na koniu na nadmorskim wrzosowisku, gdy wieje silny wiatr, a jej syn i masztalerz czekają w odległości zaledwie dwudziestu metrów.

Mimo to był to rodzaj wyzwania. Elizabeth jeszcze nigdy nie mówiła tak zdecydowanym tonem. George zrozumiał, że żona zdaje sobie sprawę z jego podejrzeń, a może nawet zna ich charakter; że jest gotowa do walki. Oznaczało to, że on sam powinien lepiej panować nad swoimi nastrojami i że w przyszłości rzeczywiście dojdzie do walki.

– Co to za budynek między drzewami na stoku wzgórza od strony majątku Choake'a?

– Chyba nowa kaplica.

– Na gruncie Poldarków?

– Tak mi się zdaje. Mury są z kamieni ze starej kopalni, prawda?

– Wygląda jak obora.

– Budowali ją metodyści, pracowali za darmo.

- Niewątpliwie namówieni przez braci Carne'ów.
- Niewątpliwie. Przykro mi, że wyrzuciliśmy ich z domu modlitwy w pobliżu Trenwith. Nie warto tracić popularności z powodu takiej drobnostki.
- Nie musimy się umizgać do ludzi tego pokroju.
- Nigdy się do nich nie umizgałam. Ale mieszkamy wśród nich.
- Coraz rzadziej – odparł George.
- Cóż, wyjazd sprawiłby mi przyjemność – rzekła Elizabeth. – Nie mogę się doczekać podróży do Londynu.

George zerknął na żonę.

– Wczoraj wieczorem Trevaunance pytał, czy chcę zachować stanowisko sędziego pokoju. W tym roku uczestniczyłem tylko w jednej rozprawie. Nie zamierzam jednak opuszczać tego okręgu na stałe. To w końcu dziedzictwo Geoffreya Charlesa.

Elizabeth skinęła głową, lecz się nie odezwała.

– Kiedy ostatnio spotkałem Rossa, spytał, czy kiedykolwiek myślałem o sprzedaży Trenwith – ciągnął George.

– Naprawdę? – Była tak zaskoczona, że się zarumieniła.

– Może teraz, gdy jego nędzna kopalnia przynosi zyski, ma złudzenie, że udałoby mu się zdobyć dość pieniędzy, by kupić Trenwith.

– Wykluczone! Jak powiedziałeś, to dziedzictwo Geoffreya Charlesa.

– Rozumiem jego ambicję. – George spojrział na Namparę i ściągnął wodze.

– Nie zmieni tej rudery w porządny dwór, choćby się bardzo starał. Ze świńskiego ogona nie da się zrobić dobrego bata.

3

Drake nie widział Emmy Tregirls od dnia, gdy odeszła w towarzystwie Sama.

Rzadko opuszczał kuźnię. Lubił formować żelazo na kowadle, kowalstwo fascynowało go, znał się na tym fachu, był dobrym rzemieślnikiem i musiał dać sobie radę, by dowieść Rossowi i Demelzie, że postąpili słusznie, kupując mu warsztat Pally'ego. Mimo smutku czasem rozglądał się po swoim gospodarstwie i widział, że jest porządne. Każda godzina pracy sprawiała, że wyglądało coraz lepiej. Każda godzina spędzona poza domem była zmarnowana, bo Drake'a nie interesowało nic oprócz pracy.

Nie brakowało mu towarzystwa. Dostarczali go klienci. Gospodarz przyprowadzał konia, by go podkuć, i plotkowali w trakcie pracy. Pług wymagał nowej rękojeści albo należało wykonać żelazną podpórkę ściany chaty, czasem górnik przynosił szpadel, do którego należało dorobić trzonek. Caroline Enys polubiła wysokiego, bladego młodzieńca i zlecała mu różne prace. Czasem przyjeżdżała osobiście i spacerowała z nim po dziedzińcu, uderzając szpicrutą w fałdy sukni.

Jednak Emma Tregirls się nie pojawiała. Aż wreszcie pewnej środy na początku października, podczas wolnej połowy dnia, przysła z żelaznym hakiem do zawieszania kotła nad paleniskiem w kuchni. Hak się odkształcił i należało go przekuć, choć Drake zastanawiał się, czy nie potrafiłby tego zrobić również majster z Fernmore.

– Zaczekasz? – spytał.

– Zaczekam – odpowiedziała Emma. Usiadła na odwróconej skrzynce i patrzyła na młodego kowala.

Milczeli, gdy tymczasem hak rozgrzewał się do czerwoności. Emma jak zwykle miała na sobie czerwoną pelerynę, chustkę, niebieską sukienkę – najlepszą, wkładała ją we środy – i mocne buty. Założyła nogę na nogę. Jej kostki wyglądały na zaskakująco szczupłe. Drake doszedł do wniosku, że twarz Emmy nie wydaje mu się nieładna. Dziewczyna była śmiała, lecz miała w sobie jakąś świeżość, szczerłość. Nie zdawała sobie sprawy z zakazów lub

po prostu je lekceważyła. Łatwo było się domyślić, że kobieta, która nie udaje nieśmiałej – w ogóle niczego nie udaje – może się podobać mężczyznom. W końcu jednak przyjmowali opinię innych kobiet i całej wiejskiej społeczności i zaczęli nią gardzić.

– Masz ładny dom – zauważyła Emma.

– Tak, teraz wygląda lepiej.

– Wszystko czyste, posprzątane. Sam to zrobiłeś, tak?

– Tak.

– Brat nie przychodzi ci pomagać?

– Od czasu do czasu. Ma własną robotę.

– I te wszystkie modlitwy. Ty też tak się modliłeś, Drake?

– Tak. Dalej się modłę, czasami.

– Ale nie przesadzasz, co? Nie jak twój brat, który nie może otworzyć ust, żeby nie gadać o Bogu.

– Może. Ludzie są różni.

– Tak – odpowiedziała Emma i zapadła cisza.

Hak rozgrzał się do czerwoności. Drake wyjął go z ognia, położył na kowadle i zaczął prostować. Emma obserwowała jego długie szczupłe ramiona z rękawami podwiniętymi powyżej łokci, skupioną twarz.

– Drake... – odezwała się. Uniósł wzrok. – Drake, czy czasem się śmiejesz, bawisz, robisz coś dla przyjemności? Przede wszystkim: czy kiedykolwiek się śmiejesz?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Kiedyś dużo się śmiałem.

– Zanim zostałeś metodystą?

– Och, później.

– A Samuel? Czy się śmieje?

– Tak, czasami. Z radości.

– Ale dla zabawy, dla normalnej ludzkiej zabawy. Jak większość młodych mężczyzn.

– Niezbyt często. Życie to dla Sama poważna sprawa. Choć on także lubił się śmiać.

– Naprawdę? Kiedy?

Drake obejrzał hak, obracając go w różne strony, po czym uderzył w niego kilka razy młotem i zanurzył w wiadrze z wodą. Rozległ się syk i w powietrze wzbił się obłoczek pary.

– Proszę, gotowe.

Emma milczała. Drake zastanawiał się przez chwilę, czy chce jej jeszcze coś powiedzieć o Samie. Spojrzał dziewczynie w oczy.

– Kiedy ojciec się nawrócił, wszyscy musieliśmy się nawrócić razem z nim – rzekł. – Byłem wtedy szkrabem, ale Samuel miał czternaście lat. Nigdy go do tego nie ciągnęło. Zawsze uciekał, gdy trzeba było iść do kaplicy. Wiele razy dostał w skórę. Ale kiedy ojciec naprawdę się nawrócił, przestał nas lać i tylko przekonywał. Samuel był w rodzinie czarną owcą do dwudziestego roku życia. Nie naprawdę czarną, rozumiesz? Był wesoły, beztroski. Zawsze żartował, robił kawały. Lubiał wypić kufel piwa albo kieliszek rumu. Uprawiał zapasy, startował w wyścigach. Był najlepszym po ojcu zapaśnikiem w rodzinie. Walczył na jarmarkach o nagrody. Nazywali go Sonny Carne.

– Dlaczego Sonny?

– Chyba od Samsona. Sam-son.

Syczenie ucichło.

– Co go zepsuło? – spytała Emma.

Drake się roześmiał.

– Samuel tak by tego nie nazwał. Powiedziałyby, że się nawrócił.

– No i?

– Dziewczyna, którą lubił – och, tylko lubił, nic więcej – i chłopak, którego

lubił – brat i siostra – umarli na tyfus. Nawrócili się zaledwie miesiąc wcześniej. Patrzył na ich śmierć. Mówi, że właśnie wtedy się nawrócił. Podobno mieli twarze pełne radości zamiast bólu. Później przez wiele tygodni strasznie się męczył, cierpiał, walczył z Szatanem, aż wreszcie go pokonał i został dzieckiem Boga.

– Mówisz tak jak on – oznajmiła Emma.

– Nie powinienem?

Wstała i podeszła do wiadra z wodą. Wzięła od Drake'a szczypcę, wyjęła hak i położyła go na ławie.

– Dobra robota. Ile jestem ci winna?

Stali tuż obok siebie. Drake od dawna nie stał tak blisko młodej kobiety.

– Dlaczego pytasz o Sama?

– Martwię się o niego.

– Dlaczego?

– Zakochał się we mnie, Drake.

– A ty go kochasz?

– Och... – Wzruszyła ramionami. – To, co czuję, nie ma znaczenia. Powiedziałam mu, że go nie chcę.

– Proponował ci małżeństwo?

– Tak. Zabawne, co? On i ja. Ogień i woda. Myśli, że mnie nawróci. Zatruję jego bogobojne życie. Naprawdę, jestem tego pewna... Wyobrażasz mnie sobie wśród metodystów? Byłabym jak piąte koło u wozu, nie?

Drake odwrócił wzrok. Mówiła lekkim tonem, w jej oczach nie było śladu zakłopotania.

– Dlaczego do mnie przyszedłeś, Emmo?

– Żebyś wyprostował hak. Po cóż innego?

– Hm...

– Ale nagle przypomniał mi się Sam.

Drake ostrożnie dotknął haka. Ostygł.

– Dwa pensy.

Emma wręczyła mu monety.

– Poprosił cię o rękę, a ty mu odmówiłaś – rzekł Drake. – To koniec, prawda?

Wzięła hak i uderzyła nim mocno w ławę.

– Tak!

– Znowu go skrzywisz i będę musiał prostować.

– Przyszłam do ciebie, bo nie mam z kim pogadać, a podoba mi się twoja twarz. Kiedy przyniosłam tamten drąg, tak naprawdę zrobiłam to z ciekawości, bo chciałam cię zobaczyć i byłam zła, że spotkałam kaznodzieję Sama. Dalej mi się podobasz... ale nie mogę zapomnieć o Samuelu. Bez przerwy o nim myślę, to nie do wytrzymania!

– Kochasz go, prawda, Emmo?

Niecierpliwie wzruszyła ramionami.

– Kocham? Nie wiem, co to znaczy. Nie jestem wolna jak dawniej! Mogę wypić kilka kufli piwa z chłopakami, śmiać się, żartować, nikt nie zauważy żadnej różnicy. Ludzie mówią, że jestem kurwą. Kto to taki? Kobieta sprzedająca swoje ciało. Nigdy się nikomu nie sprzedałam! Nie jestem taka puszczalska, jak gadają... Nie żałuję tego, co robiłam. Ale kiedy poznałam Samuela, kiedy zaczęliśmy rozmawiać, nie sprawia mi to już przyjemności! Żałuję, że go spotkałam!

– Coraz lepiej rozumiesz, że jesteś grzeszna, Emmo? – spytał po chwili Drake.

Znów uderzyła hakiem w ławę.

– Nie! Do diabła z twoimi kazaniami o potępieniu! Nie, nie czuję się grzeszna, nie wiem, co to znaczy. Grzech? Grzech to robienie krzywdy innym ludziom, a nie cieszenie się życiem! Czasami myślę, że Sam nie jest dobrym

człowiekiem, tylko wyjątkowo złym. Myślisz, że mam powody do szczęścia? Wychowałam się w przytułku, wypożyczano mnie do pracy jak niewolnicę, harowałam jak wół, nie miałam ani jednej wolnej chwili, głodowałam, nie mogłam liczyć na lepszy los, wszyscy się na mnie gapili, macali. Teraz pracuję u Choake'ów, to i tak szczęście. Trochę czasu dla siebie i pół dnia wolnego co dwa tygodnie. Więc chcę być szczęśliwa, cieszyć się tym, co mam, wypić kieliszek rumu, flirtować z mężczyznami, uczestniczyć w wyścigach w czasie święta Sawle, spać we własnym łóżku, móc się najeść. Dlaczego miałabym się czuć grzeszna? Jakie grzechy popełniłam?! Chciałam tylko, by kilku ludzi było szczęśliwych! Ty i twój przekłety braciszek! Chciałabym, żebyście obaj skoczyli do szybu kopalni!

Była wyjątkowo wściekła. Dygotała z furii. Wydawało się, że za chwilę dźgnie Drake'a hakiem i go zabije.

– Nie odpowiadam za Samuela, Emmo – odparł młody kowal. – Ale jeśli chciałabyś naprawdę odnaleźć Boga tak jak on, powinnaś najpierw zrozumieć, że jesteś grzeszna. Potem pojawiłyby się przebaczenie, ratunek i radość zbawienia. Radość, którą poczujesz na końcu, będzie większa od radości, którą czułaś wcześniej. Właśnie tego uczy Samuel. Próbuje to przekazać ludziom! Chce, żebyś była szczęśliwa, ale szczęśliwa we właściwy sposób, szczęśliwsza niż w przeszłości!

Emma wsunęła hak pod pachę.

– To nie dla mnie, mówię ci. Popatrz na nich, popatrz na tych wszystkich metodystów. Łażą przygarbieni i zastrachani, ze zmarszczonymi brwiami, boją się przestraszyć gęś, bo może to szatan pod postacią gęsi. Czy naprawdę są szczęśliwi?! Nie widzę tego!

Drake westchnął.

– Musimy postępować najlepiej, jak potrafimy, siostro. Moje życie stało się pełne goryczy, na pewno o tym słyszałaś. Nie mogę udzielić ci odpowiedzi.

Przykro mi, że polubiłaś Samuela. Przykro mi z twojego powodu i z jego powodu. Jeśli jego nauki nic dla ciebie nie znaczą, moim zdaniem nic wam nie pomoże.

Emma stała i próbowała zawiązać chustkę.

– Powinniście obaj skoczyć do szybu kopalni – rzekła. – Skoczyć do szybu i utonąć...

Odeszła. Drake stał i patrzył za nią. Wrócił do domu dopiero wtedy, gdy jej sylwetka zniknęła w dali za grzbietem wzgórza.

Rozdział czwarty

1

Zima była pogodna, nie licząc krótkiego okresu przed Bożym Narodzeniem. W porównaniu z tą sprzed dwóch lat Anglia była inną wyspą, otoczoną przez przyjaźniejsze morze. W najgorszych miesiącach po mroźnych nocach następowały mgliste, słoneczne dni, a w Kornwalii nawet nie chwycił mróz. Przez całą zimę kwitły pierwiosniki, śpiewały ptaki, wiały lekkie wiatry, najczęściej wschodnie.

Ross, Demelza i dwójka dzieci wykąпали się w morzu dwudziestego pierwszego grudnia. Woda była lodowata, lecz powietrze rozkosznie ciepłe. Szorowali się ręcznikami w promieniach słońca wiszącego nisko nad morzem i rzucającego długie cienie na pustą plażę. Wróciwszy do domu, ciągle wilgotni, stali, chichocząc przy ogniu, jedli gorącą zupę i popijali ciepłą brandy z wodą i miodem. Jeremy po raz pierwszy miał w ustach alkohol, który uderzył mu do głowy. Położył się na ławie i pisał ze śmiechu, a Clowance patrzyła na brata, myśląc, że zwariował.

Pogoda zepsuła się tylko w okresie świąt, gdy padał śnieg i zerwał się wyjący huragan. Ross przypomniał sobie podobny początek roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego piątego, ale teraz w ciągu tygodnia sztorm minął i znów pojawiło się słońce.

Mimo ładnej pogody niewiele było powodów do radości. Lord Malmesbury, wysłany do Paryża na negocjacje w sprawie

ogólnoeuropejskiego układu pokojowego, miał skrepowane ręce, a w połowie grudnia został odwołany. Dyktoriał nie chciał pokoju. Hiszpania w końcu zawarła sojusz z Francją i wypowiedziała Anglii wojnę. Zajęto Korsykę – Francuzi wylądowali na jednym krańcu wyspy, natomiast Anglicy opuścili ją na drugim. Car Paweł, neurotyk i autokrata, nie miał ochoty wyciągać kasztanów z ognia za Anglię. W przeddzień odesłania Malmesbury'ego do kraju z Brestu wyszła w morze flota francuska złożona z czterdziestu trzech okrętów z szesnastoma tysiącami żołnierzy pod dowództwem budzącego lęk i respekt młodego Hoche'a. Wymknęła się flocie angielskiej i popłynęła, by wylądować w Irlandii czekającej na wyzwolenie.

Kapitan sir Edward Pellew, bohater bitwy, podczas której dostał się do niewoli Dwight, znów znalazł się we właściwym miejscu we właściwej chwili i w nocy wpłynął swoją fregatą w sam środek floty francuskiej, a następnie otworzył ogień ze wszystkich dział, siejąc wśród nieprzyjaciela zamęt i panikę. W wyniku tej akcji trzy francuskie okręty wpadły na skały, ale większość armady dotarła do zatoki Bantry i wpłynęła do niej, by wysadzić na ląd oddziały desantowe. Działo się to w chwili, gdy Ross i Demelza rozkoszowali się kąpielą. Później, w okresie Bożego Narodzenia, zerwał się huragan, cenniejszy dla Anglii od wszystkich eskadr blokujących wybrzeże. Trwał przez tydzień, uniemożliwiając lądowanie, po czym zawiedziona flota francuska zawróciła do kraju.

Kiedy jednak rozeszły się wieści o ucieczce Francuzów, w Anglii zapanowało przygnębienie, nie ulga. Skoro mogło się to zdarzyć raz, czy nie może się zdarzyć znowu? Przestano wierzyć w blokadę Francji. Stracono wiarę we wszechmoc brytyjskiej marynarki wojennej. Kolejne banki zawiesiły wypłaty, a obligacje skarbowe spadły do rekordowo niskiego poziomu.

Do Nampary nie dotarły żadne nowe wieści o Hugh Armitage'u i w rozmowach rzadko wymieniano jego nazwisko, ale Ross

zastanawiał się, czy między nim a żoną nie pojawił się cień młodego porucznika. W czasie pobytu Hugh w Kornwalii nigdy się to nie zdarzyło, rozmawiali o nim kilka razy, mówili o jego zauroczeniu Demelzą, o jej bezbronności. Zachowywali się jak kochankowie szczerze dyskutujący o czymś, co zaszło i nad czym trzeba się zastanowić, lecz nie mieli wrażenia, że w jakiś sposób zagraża to ich miłości. Tak było w czasie pobytu młodego oficera w Kornwalii. Po jego wyjeździe na początku nic się nie zmieniło, Ross miał jednak wrażenie, że ostatni, wrześniey list Hugh jakby wytrącił Demelzę z równowagi i że niekiedy nie jest zupełnie szczerą.

Dwukrotnie pytał, czy coś się stało, naturalnie nie wymieniając imienia Hugh, i za każdym razem zaprzeczała. Zmiana jej zachowania była nieznaczna. Ktoś, kto nie znał jej dobrze, w ogóle by tego nie zauważył. Wydawała się taka sama jak poprzednio – wesoła, ożywiona, rozmowna, dowcipna, cieszyła się życiem i dziećmi. Meblowanie nowej biblioteki posuwało się do przodu i dbała, by wszystko zrobiono porządnie. Dwukrotnie pojechała z Rossem do Truro w sprawie foteli. Kiedy indziej robili razem zakupy w Padstow i Penryn. Zaprosili Enysów na obiad. Demelza była nieustannie zajęta. Kiedy się kochali, dwa razy zdarzyło się, że nie pozwoliła się pocałować.

W styczniu Rossa bardzo zirytowała wiadomość, że wielebny Osborne Whitworth został tytularnym proboszczem kościoła w Sawle. W następnym tygodniu utrzymywała się ładna pogoda, więc Whitworth pojechał wraz z żoną i szwagierką do Trenwith, rozmawiał z rodzicami Elizabeth, spędził noc we dworze i oficjalnie objął nową funkcję. Podobno zwiększył wynagrodzenie Odgersa do czterdziestu pięciu funtów rocznie.

– Widać, jaką wartość mają obietnice składane przez lorda Falmoutha – zauważył Ross.

– Prosiłeś go?

– Tak. W czasie naszej wizyty w lipcu. Powiedział, że zanotuje nazwisko

Odgersa.

– Domyślam się, że zapomniał, Ross. To chyba zbyt wielka osobistość, by interweniować w takich sprawach.

– Sądzę, że gdyby miał z tego jakąś korzyść, coś by zrobił.

– Jak Ossie zdobył tę synekurę? Domyślasz się?

– Może mieć wpływ na dziekana i kapitułę. Jego matka pochodzi z rodu Godolphinów. Jest jeszcze George, właściciel największego dworu w parafii i poseł do Izby Gmin.

– Przypuszczam, że Elizabeth będzie zadowolona. To sukces męża jej kuzynki.

– Za to Odgers będzie zdruzgotany. To była jego jedyna nadzieja na wygodne życie bez kłopotów finansowych. Teraz wie, że zostanie nędzarzem do końca swoich dni.

– Czy gdybyś został posłem do Izby Gmin, miałbyś większe wpływy, Ross?

– Kto wie? Nie mam pojęcia. Nie jestem posłem do Izby Gmin i nigdy nim nie zostanę.

– Wszystko się może zdarzyć.

– Sama uważasz, że nie nadaję się do pełnienia takiej funkcji.

– To ty odmówiłaś, Ross, nie ja. Wiem, że wcześniej pytałaś mnie o radę, i rozmawialiśmy o tym, ale tak naprawdę postanowiłaś odmówić, nim się do mnie zwróciłaś, czyż nie? Uznałam, że lepiej zrezygnować, niż przez cały czas się zadrećcać, oceniając własne działania.

– Tak, tak, pamiętam, mówiłaś coś takiego. Cóż, moja droga, może któregoś dnia dorosnę, zacznę kupczyć mandatami poselskimi i intrygować z arystokracją. Może nauczę się panować nad swoim wrażliwym sumieniem, jeśli odmówię zapłaty i będę pomagać tylko przyjaciołom. Tak okażę szlachetność swej duszy.

– Wielebny Odgers niezbyt mnie obchodzi i działa mi na nerwy –

odpowiedziała Demelza. – Ale pani Odgers jest strasznie zapracowana, a dzieci zaniedbane. Szkoda, że wybrali Ossiego Whitwortha. Ma tak wysokie mniemanie o sobie, że kolejny powód do samozadowolenia to już przesada.

2

Ossie Whitworth rzeczywiście był zadowolony. Gdy tylko wezwano go do Exeter, by wręczyć mu nominację, napisał wyszukane listy z podziękowaniami do Conana Godolphina, George'a Warleggana i innych osób, które go wspomagały. Bardzo skrupulatnie dbał o własne interesy i nie dawało się przewidzieć, kiedy może znowu potrzebować pomocy przyjaciół. Ostatni weekend stycznia okazał się bardzo przyjemny. Ossie spędził go w Trenwith i zdawał sobie sprawę, że on sam, dwie towarzyszące mu kobiety i masztalerz to imponująca kawalkada.

Dla Morwenny była to pierwsza dłuższa podróż po chorobie, ale dobrze zniosła jazdę. Od chwili rozpoczęcia kuracji zaordynowanej przez Dwighta jej zdrowie stopniowo się poprawiało. To prawda, we wrześniu doszło do pogorszenia, które trwało dwa tygodnie. Położyła się do łóżka i nie chciała z nikim rozmawiać – nawet z Rowellą – z pewnością nie z Ossiem. Doktor Behenna orzekł, że to lekka malaria przyniesiona znad rzeki. Pacjentkę leczono lewatywami i korą peruwiańską. Kuracja okazała się skuteczna i przywróciła zaufanie rodziny do lekarza.

Od tamtej pory Morwenna, choć cicha i smutna, odzyskiwała siły, a wizyta w Trenwith dowiodła, że jest znowu w dobrej formie. Powrót do dworu Warlegganów był sprawdzianem innego rodzaju: każdy pokój wiązał się ze wspomnieniami o tragedii młodszej miłości. Wiedząc, że Drake mieszka tak niedaleko, o mało nie uległa pokusie, by wstać w niedzielę wczesnym rankiem i go odwiedzić, lecz w ostatniej chwili zabrakło jej odwagi.

A zresztą, czy istniała jakakolwiek korzyść z ponownego rozdrapywania ran? Wiedziała, że Drake wciąż ją kocha; on wiedział, że Morwenna nadal go kocha – to musiało wystarczyć.

Kościół był wypełniony, wielebny Clarence Odgers biegał w podskokach wokół nowego tytularnego proboszcza i asystował w czasie nabożeństwa. Tematem kazania Ossiego był szósty rozdział Pierwszego Listu Świętego Pawła do Tymoteusza: „Spierania się ludzi na umyśle skażonych, i którzy utracili prawdę, rozumiejących zyskiem pobożność. Lecz wielki jest zysk pobożność z przestawaniem na swym. Albowiem nie przynieśliśmy nic na ten świat; bez wątpienia, że też wynieść nic nie możemy. Ale mając żywność i czem się odziać, na tem przestawajmy” ¹⁰. Uznał, że wypadło niezłe. Było to właściwe kazanie w okresie niepokojów wśród biedoty. (W zeszłym tygodniu doszło do kolejnych rozruchów głodowych w St Just). Zastanawiał się, czy nie zebrać około pięćdziesięciu swoich kazań i nie postarać się o ich opublikowanie. W Exeter poznał właściciela niewielkiej drukarni, który zrobiłby to dość tanio, a sprzedaż książki dodałaby mu prestiżu. Uważał, że zrobił dobre wrażenie na nowym archidiakonie, i zasugerował, by zatrzymał się na plebanii kościoła Świętej Małgorzaty podczas następnej wizytacji.

Po nabożeństwie spotkał się z rodziną Odgersa i wszyscy pojechali do Trenwith na obiad. Elizabeth wysłała służącym pisemne instrukcje, by przygotowali posiłek dla dwudziestu osób, lecz zrobiono to nieudolnie, gdyż państwo Chynowethowie nie byli w stanie niczego nadzorować. Ossie postanowił porozmawiać o tym z George’em w czasie następnego spotkania.

Wrócili do Truro w poniedziałek rano. Whitworth pozostawił Odgersowi listę rzeczy, którymi należy się zająć: zarośnięty cmentarz, wypaczone drzwi, pęknięta szyba w oknie, myszy w zakrystii, kapa na ołtarz, dziurawa sutanna proboszcza, opuszczanie słów w trakcie nabożeństwa i błędy doktrynalne. Dostrzegł również inne niedociągnięcia, lecz uważał, że od tamtych należy

zacząć.

Kiedy dotarli do domu, Morwenna natychmiast pobiegła na górę, by zobaczyć, jak się miewa John Conan, a Ossie, który przez całą drogę nie mógł oderwać wzroku od chudych pleców Rowelli, wezwał ją do swojego gabinetu.

Gdy weszła, stanęła skromnie przy drzwiach, zerkając przez okno na rzekę i drzewa.

– Zamknij drzwi – rzekł Whitworth z nutą niecierpliwości.

– Tak, pastorze.

– Dziś zrobimy to późnym wieczorem – powiedział. – Jest coraz trudniej...

– Kiedy pan sobie życzy, pastorze.

– Dobrze wiesz, że nie robimy tego zawsze, kiedy sobie życzę.

W przeciwnym razie zrobilibyśmy to teraz!

– Teraz byłoby miło – odpowiedziała.

W jego oczach pożądanie mieszało się z gniewem.

– Nie możesz... Nie powinnaś...

– Czego nie powinnam, pastorze?

Strzepnął pyłek z surduta, w ulubiony sposób splótł dłonie za plecami i popatrzył na Rowellę.

– Idź już. Idź pomóc siostrze. Nie powinniśmy przebywać długo sam na sam. Chciałem ci tylko powiedzieć o dzisiejszej nocy. To musi być dziś w nocy, rozumiesz?

– Tak, dziś w nocy – odparła, kiwając głową.

Później, gdy już zrobił to, na co miał ochotę, powiedziała, że spodziewa się dziecka.

Płakała w jego ramionach, on zaś żałował, że brak mu sił, by wrzucić ją do rzeki.

Miał niekiedy wrażenie, że Bóg wystawia go na zbyt ciężką próbę. To prawda, nie odczuwał tak silnego powołania – matka zorientowała się, że Ossie nie jest w stanie zdać egzaminów umożliwiających karierę prawniczą, i w tej sytuacji uznała stan duchowny za rozsądny wybór. Kiedy Osborne przyjął święcenia, zaczął robić karierę w hierarchii kościelnej. Studiował prawo kanoniczne, więc mimo nawyków młodego, zamożnego dżentelmena stanowiska, na które go mianowano, nie wydawały się niezasłużone.

Natura obdarzyła go dużymi potrzebami cielesnymi i małżeństwo stało się koniecznością, by przestrzegał przykazań Kościoła. Po śmierci pierwszej żony poślubił następną, lecz po narodzinach dziecka nie mógł z nią współżyć z powodu zakazu wydanego przez lekarza. Jednocześnie przy jego stole zasiadała chuda dziewczyna o zdumiewającej figurze, mająca własne potrzeby. Nie mógł myśleć o niczym innym, ona zaś podstępnie go kusila, udając skromniśnię: namawiała go do pójścia na górę, by rozmawiać o bohaterach greckich, po czym rozbierała się i rzucała na niego. Nie zachowywała się jak córka dziekana, tylko jak rozpustna dziewczyna uliczna.

Pochwyliła go w swoje szpony, omotała pokusami, wykorzystując to, że nie może współżyć z żoną. Pozwolił się uwieść zepsutemu dziecku. Złamał szóste przykazanie i zasady obowiązujące w społeczeństwie, choć we własnym mniemaniu należał do elity.

Jak dotąd wszystko działo się w tajemnicy. Ale już niedługo ta Meduza płacząca na jego ramieniu stanie się gruba jak beczka i nie będzie można ukryć hańby. Nie będzie można ukryć jego winy. Jego własnej winy. Wszyscy się o niej dowiedzą. Nawiązał wyjątkowo grzeszny romans z młodziutką dziewczyną, prawie dzieckiem, siostrą własnej żony. Było to nie do przyjęcia. Kościół, archidiakon, administratorzy... Co się stanie z jego karierą,

stanowiskiem?!

– Daj spokój – odezwał się. – Nie wierzę, że to prawda.

– Och, prawda! – łkała Rowella. – Och, szczerą prawdą! W zeszłym miesiącu nie miałam tego, co powinnam mieć, a w tym tygodniu znowu nic się nie dzieje, choć już pora. Cały czas straszliwie mnie mdli, jakbym zjadła truciznę! Przez ostatnie tygodnie stale się modliłam, żeby to nie było to!

Długo leżeli w milczeniu. Chociaż Rowella nieustannie płakała, Ossie nie był zupełnie pewny, czy dziewczyna nie koloryzuje, by wzbudzić w nim jak największą litość. Przez pewien czas czuł kompletne oszołomienie, jakby jego umysł nie mógł się wydobyć z bagna, do którego wepchnęły go słowa Rowelli, potem stopniowo zaczął myśleć. Wszystkie możliwości wydawały się koszarne. Gdyby Rowella popełniła samobójstwo... Gdyby dało się ją przekonać do odwiedzenia jednej z babek w Truro... Gdyby znaleźć kobietę, która zaadoptowałaby dziecko po urodzeniu... Gdyby wyeksponować ją do matki jako zhańbioną pannę... Gdyby dało się zwalić winę na innego mężczyznę...

Oczywiście postanowił wszystkiego się wyprzeć. Jej słowo przeciwko jego słowu. Kto uwierzy historycznej pannicy oskarżającej szanowanego duchownego? Powinien odesłać ją do matki, niech sobie radzi z tym problemem. W parafii prawie nikt się o tym nie dowie. Może Morwenna, ale utrzymanie sprawy w tajemnicy leży w jej interesie, cokolwiek o tym myśli.

Rowella odsunęła się od Ossiego i usiłowała otrzeć oczy prześcieradłem. Ogarnęły go wątpliwości. Dziewczyna jest bardzo młoda, mimo to nie należy jej lekceważyć. Jeśli postanowi dotrzymać sekretu, to go dotrzyma, ale jeśli podejmie inną decyzję, jej oskarżenia nie będą tylko ledwo słyszalnym kwileniem. Przedstawi swoje stanowisko w sposób zdecydowany, bez względu na wiek i pozycję Whitwortha. Znalazł się w okropnej sytuacji i uważał, że ma prawo żywić pretensje do Boga.

– Trzeba się nad tym poważnie zastanowić – powiedział, jakby jeszcze tego nie robił.

– Tak, Ossie.

– Muszę iść. Pomyślimy o tym jutro, w ciągu dnia.

– Nie mów Morwennie.

– Nie, nie, nie zrobię tego!

– Stała się straszna rzecz.

– Tak, Rowello, straszna.

– Nie wiem, co ludzie o mnie pomyślą.

– Może się nie dowiedzą.

– Trudno będzie to ukryć.

– Tak, wiem! – odparł w przypiływie głębokiej irytacji.

– Może coś pan wymyśli, pastorze.

– Spokojnie, spokojnie. Musimy się zastanowić i pomodlić.

– Mogłabym się zabić z tego powodu...

– Tak, tak, moja droga.

Czyżby promyk nadziei?

– Ale tego nie zrobię – dokończyła Rowella i otarła oczy.

Rozdział piąty

1

Na początku lutego de Dunstanville'owie zjedli z Poldarkami obiad w Namparze. Demelza była temu stanowczo przeciwna od chwili, gdy Ross po raz pierwszy wspomniał o takiej możliwości. Przyjmowanie zaproszeń od arystokratów to jedno, a goszczenie ich w niewielkim dworze, gdzie nie ma wyszkolonej służby, to zupełnie coś innego. Bassetów obawiała się najbardziej spośród wszystkich arystokratycznych sąsiadów. Wolałaby zaprosić trzech lordów Falmouthów i dwóch Valletortów. Doskonale pamiętała Bassetów z dzieciństwa i zdawała sobie sprawę, że trzej jej bracia, macocha i siostra przyrodnia w dalszym ciągu mieszkają w nędznej chacie niespełna kilometr od bram Tehidy. Po wyjściu za mąż za Rossa nigdy nie miała trudności w kontaktach z mniej ważnymi członkami miejscowego ziemiaństwa: Bodruganami, Trevaunance'ami, Treneglosami i tak dalej. Nawiązała nawet coś w rodzaju sympatii z lordem Falmouthem (w rzadkich chwilach, gdy się do niej odzywał, miała wrażenie, że dostrzega w jego oczach błysk aprobaty), ale podejrzewała, że nowy baron i jego żona, choć zawsze traktowali ją łaskawie, znoszą ją tylko ze względu na Rossa.

Poza tym jeszcze przed dwoma laty żyli w biedzie, co w zasadzie uniemożliwiało zapraszanie gości, więc nie miała żadnego doświadczenia. Wydawało jej się skrajnie niesprawiedliwe, że musi rozpocząć karierę towarzyską od goszczenia dwojga najbogatszych i najbardziej wyrafinowanych

ludzi w Kornwalii, którzy z pewnością wiedzą, kim jest i skąd pochodzi.

Ross przez krótki czas ustępował przed obiekcjami Demelzy, w końcu jednak oznajmił, że byłoby wyjątkowo niegrzeczne, gdyby nie zaprosili Bassetów, ponieważ sir Francis kilkakrotnie wyrażał chęć obejrzenia efektów pracy zarekomendowanego przez siebie sztukatora.

– Mówiłem ci już wiele razy, że w Anglii różnice klasowe nie są takie sztywne, jak ci się wydaje – dodał. – Bankier Thomas Coutts poślubił pokojówkę brata, która teraz przyjmuje księżąt. Poza tym we wszystkich krajach, w Anglii i gdzie indziej, po ślubie kobieta uzyskuje status społeczny męża. Frances Hippenley-Cox została najpierw lady Basset, a później lady de Dunstanville. Jak to się stało, jak sądzisz? Ponieważ poślubiła sir Francisa Basseta.

– Tak, ale pochodziła ze szlacheckiej rodziny.

– Nieważne. Teraz jest lady de Dunstanville, a ty jesteś panią Poldark. Gdyby ktokolwiek traktował cię inaczej, wyrzuciłbym go za drzwi, nawet gdyby był królem. Powinnaś to rozumieć po tylu latach.

– Tak, Ross.

Nie lubił, gdy Demelza zachowywała się potulnie. Zwykle nie wróżyło to niczego dobrego.

– Och, rozumiem, co czujesz na myśl o Bassetach, Tehidy i kornwalijskiej arystokracji. Spróbuj o tym nie myśleć. Musisz po prostu zachowywać się naturalnie. Nie udawaj, nie musisz niczego ukrywać. Raczej masz mnóstwo powodów do dumy.

– A kto ugotuje obiad?

– Jane umie przyrządzić wiele dań, które podajesz. Może będziesz musiała dopilnować czegoś na początku...

– I pod koniec. Jeśli Jane się dowie, że zaprosiliśmy barona de Dunstanville, będzie taka zdenerwowana, że wrzuci gęś do ognia i poleje

szarlotkę sosem musztardowym.

– Na pewno pomoże nam żona Zacky’ego Martina. Skoro potrafi odebrać poród, jest w stanie wstawić potrawy do pieca.

– A kto będzie podawał do stołu w białych rękawiczkach? Jack Cobbledick?

– Nie potrzebujemy lokajów w białych rękawiczkach. Ena potrafi sprawnie usługiwać, a Betsy Maria może jej pomóc... Tak musi być, kochanie. Bardzo mi przykro, ale gdybyśmy nie zaprosili Bassetów, byłby to wobec nich afront. Chciałbym tego uniknąć. Jeśli nie spodoba im się nasza wiejska kuchnia, mogą wrócić do swojego pałacu i niech ich szlag trafi.

– Moim zdaniem znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że wrócą do swojego pałacu i będą się śmiać.

– Jesteś wobec nich niesprawiedliwa. Gdyby nie chcieli przyjechać, Basset nigdy by tego nie sugerował. Arystokraci nie gardzą prostotą. Śmieją się tylko z pretensjonalności.

– Gdzie miałabym ulokować lady Basset? Parter wygląda ślicznie, jeśli nie wpuścimy do domu świń i będziemy trzymać Garricka w kuchni, ale nie mamy nowych mebli w sypialni na piętrze i ciągle jest tylko wygodka na powietrzu.

– To znacznie zdrowsze. Najlepiej umieść ją w pokoju Jeremy’ego. Umieblowanie jest proste, ale nowe i świeże, poza tym wisi tam dobre lustro.

Demelza ponuro zastanawiała się nad tym, co ją czeka. Ross otoczył ją ramieniem.

– Polegam na tobie.

– Może nie powinieneś tak mi ufać.

– Zawsze będę ci ufał, niezależnie od tego, czy powinieneś, czy nie.

– Skoro musimy ich przyjąć, jakoś sobie z tym poradzę, choć pod jednym warunkiem: zaprosimy Dwighta i Caroline, żeby nie być z nimi sam na sam.

– Właśnie zamierzałem to zaproponować.

Obiad wydano we wtorek, w piękny dzień w połowie lutego. Demelza długo zastanawiała się nad menu, ponieważ wiedziała – chociaż Ross mógł mieć inne zdanie – że będzie musiała doglądać potraw do ostatniej chwili. Podała grochówkę, którą można było przygotować wcześniej, a ponadto gotowany ozór, równie łatwy do przyrządzenia, oraz pieczoną indyczkę nadziewaną posiekanym bekonem. Do tego ptysie z dżemem malinowym, syllabub i babeczki z bakaliami. Dzień wcześniej Ross odwiedził Trencroma i namówił go do sprzedaży sześciu butelek znakomitego czerwonego wina z Bordeaux, które Trencrom specjalnie przemycał dla siebie z Francji. Mieli poza tym holenderski gin, brandy i ulubione porto Demelzy, więc było mnóstwo trunków, i to dobrych. Basset, mimo swojego bogactwa, nie miał skłonności do nadużywania alkoholu, więc wszyscy wstali od stołu najedzeni, przyjemnie odprężeni i rozmowni.

Było dużo tematów do rozmowy. Padła Mantua i Włochy przestały się bronić, włoskie porty stały się całkowicie niedostępne dla angielskich statków, a Austria, ostatni bastion oporu, chyliła się ku upadkowi. Próbę podboju Irlandii udaremnił sztorm, lecz w każdej chwili mogła nastąpić kolejna, zwłaszcza że Francuzi mogli teraz liczyć na wsparcie floty hiszpańskiej i holenderskiej. Wojska, które przestały być potrzebne w innych częściach podbitej Europy, ściągano na wybrzeże kanału La Manche. Następną próbą inwazji mogła być skierowana przeciwko Anglii. W całym kraju trwał pobór do wojska i nawet w najmniejszych portach siłą wcielano ludzi do marynarki wojennej. Górnicy, zwolnieni z branki, tworzyli oddziały złożone z patriotycznie nastawionych ochotników, by bronić kraju przed Francuzami.

Później gości wprowadzono do nowej biblioteki, gdzie wszyscy zachwycali się sztukaterią. Ponieważ pogoda była piękna, zaproponowano spacer do Damsel Point. Demelza ku swojemu przerażeniu spostrzegła, że jest partnerką lorda de Dunstanville. Droga prowadziła wąską ścieżką wokół

długiego pola, więc nie było żadnych szans na pozbycie się barona przed dojściem do skał. Na czele pochodu kroczył Ross wraz z lady de Dunstanville, a Dwight i Caroline, którzy sprytnie utworzyli parę, podążali na końcu.

Pani domu i baron rozmawiali głównie o zbiorach. Było to dość proste, bo konwersację podtrzymywały okazjonalne grzeczne pytania. Demelza już dawno zrozumiała, że większość mężczyzn lubi dźwięk swojego głosu, nowy baron nie był wyjątkiem. To, co mówił, nie było nudne ani nieciekawe. Był wnikliwy, mówił na temat i przedstawiał wiele nowych idei. Po chwili Demelza zaczęła się uspokajać, gdyż doszła do wniosku, że im więcej baron mówi, tym mniej ma czasu na myślenie o jej brakach towarzyskich.

Dotarli do końca pola, gdzie ziemię orną zastąpiły skały porośnięte kolcolistem. Lord de Dunstanville przystanął i popatrzył na plażę Hendrawna. Ross i lady de Dunstanville poszli do przodu, a Dwight wyjmował cierń z pantofla Caroline.

– Jak pani wie, tam, gdzie mieszkam, klify stanowią coś w rodzaju muru obronnego. Ale długie piaszczyste plaże, tak jak tutaj i w Gwithian, przy sprzyjającej pogodzie pozwalają łatwo wylądować nieprzyjacielowi. Niepokoiśmy się o bezpieczeństwo naszych wybrzeży.

– Gdyby pojawili się tu Francuzi, wierzę, że otrzymaliby odpowiednią odprawę – powiedziała Demelza.

De Dunstanville zerknął na nią.

– Nie mam co do tego wątpliwości. Ale nasza niewielka armia walcząca z zaprawionymi w bojach weteranami kampanii w całej Europie... Jeśli chodzi o marynarkę wojenną, sytuacja wygląda zupełnie inaczej.

Demelza popatrzyła na morze. Tego ranka otrzymała kolejny list od Hugh i kolejny wiersz. Znowu udało jej się schować wiersz i Ross tego nie zauważył. List był oficjalny, zawierał listę wydarzeń, opisanych dość pobieżnie, gdyż streszczał cztery miesiące. Służba w marynarce wojennej była monotonna

i ciężka, częściej walczyło się z wiatrem i falami niż z okrętami nieprzyjaciela. Niekończące się patrole, nieustanna czujność, a flocie francuskiej i tak udawało się wymknąć. Demelza miała nadzieję – jakaś jej cząstka miała nadzieję – że ton listu oznacza, że Hugh przestaje się nią interesować. Niestety, nie potwierdzał tego wiersz. Był dłuższy od innych i mniej bezpośredni, lecz nie było wątpliwości co do uczuć autora. W ostatnim zdaniu listu Hugh wspomniał, że w przyszłym miesiącu może przypłynąć do Cawsand i otrzymać przepustkę, by odwiedzić rodziców, a może również wuja.

– ...więc może podjął słuszną decyzję – zakończył Basset.

Demelza oblizwała usta, czując przypływ paniki.

– Słucham?

– Mam na myśli to, że to trudny wiek dla mężczyzny w czasie wojny. Moim zdaniem właśnie dlatego odmówił. W wieku dwudziestu siedmiu lat naturalnie wstąpiłby do swojego regimentu. W wieku czterdziestu siedmiu lat wolałby zostać posłem.

– Tak, podejrzewam, że to prawda – odpowiedziała, ostrożnie starając się zrozumieć, o co chodzi.

– Jego brawurowy wyczyn we Francji przed dwoma laty dowodzi, że w dalszym ciągu chciałby brać aktywny udział w wojnie, a jednak uważam, że byłby dobrym posłem do Izby Gmin. Niestety tak się nie stało.

– Jego miejsce zajął nasz sąsiad – rzekła Demelza.

– Rzeczywiście. Bardzo... bardzo się przykłada do swoich obowiązków.

Ross i jego partnerka stali na skraju usianego kamieniami stoku, który opadał w stronę plaży Hendrawna. Frances de Dunstanville wydawała się bardzo mała obok Rossa.

Basset znów przystanął.

– Państwa rodziny są sobie niechętnie. Jaka jest tego przyczyna, pani

Poldark?

Demelza postawiła stopę na kamieniu i popatrzyła na plażę.

– Oto Czarne Klify, o które mnie pan pytał, milordzie.

– Tak, widzę.

– Przyczyny niechęci sięgają tak odległych czasów, że nie jestem w stanie ich wyjaśnić. A nawet gdybym potrafiła, nie powinnam tego robić. Musi pan spytać Rossa, milordzie.

– Nie chcę mówić o tych sprawach publicznie. Brudnej bielizny nie należy nosić na widoku.

– W ogóle nie należy nosić brudnej bielizny, milordzie.

Uśmiechnął się.

– Ani prać brudów publicznie, prawda? Tak czy inaczej, taka wrogość między krewnymi i sąsiadami jest bezprecedensowa. Należy ją zakończyć, podobnie jak wszystkie dawne waśnie, zwłaszcza w czasie wojny, gdy musimy walczyć z nieprzyjacielem. Proszę to przekazać ode mnie kapitanowi Poldarkowi, dobrze?

– Jeśli powie pan to samo panu Warlegganowi...

Zerknął na nią z ukosa.

– Z moich informacji wynika, że wina leży przede wszystkim po stronie Poldarków.

Demelzie mocno zabiło serce. Spojrzała Bassetowi prosto w oczy i westchnęła głęboko.

– Chyba pan ze mnie żartuje, milordzie.

– Nie ośmieliłbym się z pani żartować, madame. Znamy się zbyt krótko. Co to za kopalnia na szczycie klifu?

– Wheal Leisure. Zamknięta przez pana Warleggana dwa lata temu.

– Na ziemi Poldarków?

– Treneglosów. Ale to Ross ją zbudował przed dziesięciu laty.

– Dawne waśnie, dawne rywalizacje niełatwo znikają.
– Podobnie jak stare kopalnie.
– Myślę, że kapitan Poldark ma w pani zagorzałego obrońcę.
– Spodziewałby się pan czegoś innego, milordzie?
– Rzeczywiście, rzeczywiście. Boję się powiedzieć coś więcej.
– Moim zdaniem jest pan człowiekiem nieustraszonym. Niczego się pan nie boi, milordzie. A skoro mówimy o waśniach...

– Tak?

– Nie, nie była to właściwa myśl.

– Proszę mówić.

– Cóż... skoro mówimy o waśniach... Czy nie toczy pan wojny z lordem Falmouthem?

Spojrzał na nią z zaskoczeniem, po czym wybuchnął śmiechem.

– *Touché*. Choć należałoby raczej powiedzieć, że to lord Falmouth toczy wojnę ze mną. Nie czuję się odpowiedzialny za to, co się dzieje.

– Wina leży przede wszystkim po stronie Boscawenów.

– Ach, madame, sądzę, że tym razem to pani ze mnie żartuje.

Demelza nie była pewna, czy w uśmiechu Basseta nie pojawił się chłód dlatego, że posunęła się za daleko, lecz po chwili jego twarz się rozpogodziła i wyciągnął rękę, by pomóc gospodyni przejść przez głaz.

– Niewątpliwie wie pani, pani Poldark, że lordowi Falmouthowi nie podoba się sposób, w jaki odebrałem mu mandat w Truro. W następnych wyborach powszechnych z pewnością straci drugi mandat. Rywalizujemy ze sobą od lat. Nie miałbym jednak nic przeciwko jakiejś ugodzie, gdyby ją zaproponowano. Teraz, kiedy przeszedłem do Izby Lordów, sytuacja nieco się zmieniła. Kontroluję Penryn. Kontroluję lub staram się kontrolować kilka innych okręgów wyborczych, a stopniowo tracę zapal do nieustannej walki.

– Doprawdy, sir, nie wiedziałam. – Demelza się zawahała. – Tak więc

moja odpowiedź była mimo wszystko niestosowna...

– Bynajmniej. Odpowiedziała pani właściwie, po kobiecemu dowcipnie.

Demelza mogła tylko zgadywać, gdzie Ross zaprowadził lady de Dunstanville. Zniknęli z pola widzenia i przypuszczała, że schodzą po kamieniach do zatoki Nampary. Dwight i Caroline zostali daleko z tyłu. Caroline zdjęła buty.

– Zastanawiam się, czy mogłabym pana o coś zapytać, milordzie – odezwała się Demelza i sięgnęła do kieszeni. – Ross twierdzi, że zna pan łaćinę.

– Niezbyt dobrze. Studiowałem łaćinę i grekę w Cambridge, lecz później zajmowałem się innymi sprawami...

Demelza wyjęła kawałek papieru.

– Byłabym bardzo zobowiązana, gdyby zechciał mi pan powiedzieć, co to znaczy. To napis z cmentarza w Sawle i jestem bardzo ciekawa...

Basset wziął papier i spojrzał na niego.

– *Quidquid...* och, to znaczy... hm... Cokolwiek... nie... To znaczy: „Niebezpiecznie jest gardzić tym, co Amor rozkaże” [11](#).

– Dziękuję, milordzie. Niebezpiecznie... Tak, zapamiętam to.

– Co jest po drugiej stronie?

– Nic, nic takiego... – Demelza pośpiesznie schowała kartkę papieru.

– Myślę, że to cytat łaćniński. Gdzie go pani widziała?

– Na nagrobku.

– Dziwny napis, ale ładny.

– Tak, ładny – odparła Demelza.

2

Zeszli do zatoki Nampary, a później wspięli się doliną wzdłuż koryta

strumienia z wodą zabarwioną na czerwono, przeszli przez trzeszczący mostek i wrócili do domu. Było już późne popołudnie. De Dunstanville'owie wypili herbatę i o zmroku wyruszyli w drogę powrotną wraz z dwoma masztalerzami. Enysowie zostali trochę dłużej, po czym również odjechali. Poldarkowie przeszli do salonu, gdzie płonął jasny ogień i niedawno zapalono świece. Demelza zajrzała do kuchni, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Przez chwilę panował hałas i zamęt, bo Jeremy i Clowance wypadli z kuchni i pobiegli za matką do salonu, gdzie rozbawili rodziców, nie przestając paplać.

W końcu poszli do łóżka. Demelza wyciągnęła stopy w stronę ognia i uniosła ręce, by dotknąć włosów, które długo były zbyt ciasno związane.

– Och, jestem taka zmęczona, jakbym cały dzień harowała na polu. Mam przez ciebie ciężkie życie, Ross.

– Obiad udał się znakomicie. Nikt nie może temu zaprzeczyć.

– Zauważyłaś, że Betsy Maria wsadziła kciuk do zupy lorda de Dunstanville? A później oblizwała!

– W jego własnej kuchni dzieją się codziennie gorsze rzeczy, tylko ich nie widzi.

– Mam nadzieję, że tego nie zauważył!

Ross wyjął fajkę i zaczął ją nabijać.

– Ena upuściła babeczkę, która potoczyła się pod krzesło Dwighta! – ciągnęła Demelza. – Szkoda, że nie widziałeś kuchni dziesięć minut przed ich przybyciem! Wyglądała jak pole bitwy, wszyscy wpadali na siebie! Bałam się, że indyk będzie niedopieczony! Pani Martin zapomniała o nadzieniu, a potem...

– Wszystko wypadło znakomicie. Zbyt obfity posiłek byłby pretensjonalny. W całym hrabstwie nie ma lepszego ani lepiej przyrządzonego jedzenia, a to najważniejsze. Jak ci się rozmawiało z Francisem Bassetem w czasie spaceru?

– Chyba dość dobrze. Prowokował mnie, a potem ja go prowokowałam, ale moim zdaniem było to miłe. Skoro się go nie bałam, chyba go polubię.

– Jak cię prowokował?

– Powiedział, że powinieneś się pogodzić z George’em Warlegganem.

Ross zapalił dREWienko i uniósł je do cybucha fajki. W stronę sufitu poleciały smużki brązowego i błękitnego dymu.

– Przynajmniej raczył zauważyć nasz konflikt. Przypomniałaś mu, że wojnę toczą dwie strony? Obie muszą zawrzeć pokój.

– Przypomniałam mu o jego własnej kłótni z lordem Falmouthem.

Ross wybałuszył oczy.

– Niech cię diabli! To bardzo odważne z twojej strony!

– Wypiłam trzy kieliszki porto.

– Cztery. Widziałem, jak ukradkiem piłaś czwarty, gdy wychodziliśmy. Jak zareagował?

– Był bardzo uprzejmy. Myślę, że się nie obraził. Chociaż powiedział coś dziwnego. Oświadczył, że chciałby się pogodzić z lordem Falmouthem.

Zapadło długie milczenie. Na tyłach dziedzińca zaryczała krowa.

– Z tego, co mówił Falmouth, wynika, że nie ma ochoty godzić się z Basetem. Ale to interesująca myśl. Ciekawe, na jakich warunkach? Jeśli chodzi o George’a i mnie, dobrze byłoby mieć życzliwszego sąsiada, tyle że kiedy trzy lub cztery lata temu próbowałem trochę załagodzić spór, George nie przyjął wyciągniętej ręki. Później, w dziewięćdziesiątym piątym, pojawiły się kłopoty z Drakiem i wszystko zaczęło się od nowa. Poza tym...

– Poza tym?

Ross się zawahał, zastanawiając się ponownie, czy wspomnieć o swoim spotkaniu z Elizabeth, i doszedł do wniosku, że nie należy tego robić.

– Poza tym dzieją się dość nieprzyjemne rzeczy. Drake ma kłopoty w kuźni Pally’ego.

Demelza spojrzała szybko na Rossa.

– Drake? Nic mi o tym nie mówił.

– Mnie też. To nie w jego stylu. Słyszałem plotki. Zniszczono mu nowe ogrodzenie. Ktoś zmienił bieg potoku i teraz musi czerpać wodę ze studni, a kiedy jest sucho, zaczyna mu jej brakować. Naprawił coś kilku ludziom, a w nocy te rzeczy zniszczono.

– Myślisz...

– Któż by inny?

– Ale dlaczego?! To takie... małostkowe! Nie podejrzewałabym o to nawet George'a!

– Nawet George'a. Tak.

– Zniszczył romans Drake'a z Morwenną, więc czego może jeszcze chcieć?

– Zdaje się, że Geoffrey Charles ostatnio często się spotyka z Drakiem.

– Czy Drake cierpi na cholera i może go zarazić?

– Nie... Jest po prostu twoim bratem, czyli również moim krewnym.

– Co możemy w tej sprawie zrobić?

– Na razie nic. Może wszystko się skończy. To takie małostkowe, że moim zdaniem musi się skończyć. Ale w tej sytuacji trudno oczekiwać, że ja i George szybko się pogodzimy.

Demelza zastanawiała się, czy nie powinna zapytać Rossa, dlaczego spotkał się z Elizabeth i co z tego wyniknie: nowa wrogość i zazdrość między czworgiem ludzi? Czy należy znowu zasiać ziarno nienawiści? Nie mogła jednak o tym mówić. Nie mogła się zmusić, by zapytać...

Późnym wieczorem, gdy była sama w sypialni przed przyjściem Rossa, popatrzyła na łacińską inskrypcję, której tłumaczenie napisała ołówkiem poniżej. „Niebezpiecznie jest gardzić tym, co Amor rozkaże”.

Te kilka słów dało jej lepsze pojęcie o rodzicach Rossa niż wszystkie jego opowieści i rzeczy pozostałe w domu. Grace Mary, zaledwie trzydziestoletnia,

wysoka, szczupła i śniada, z długimi ciemnymi włosami, zmarła w bólach w tym domu, a obok niej siedziała widmowa postać ojca Rossa. Później, kiedy żona odeszła, kiedy nie mogła już się do niego odzywać, dotknąć jego dłoni, uśmiechać się ani odpowiadać na uśmiech, kiedy pochowano ją głęboko w piaszczystej ziemi i Joshua Poldark został zupełnie sam, kazał wznieść na jej grobie kamienny pomnik i wyryć na nim te słowa. „Niebezpiecznie jest gardzić tym, co Amor rozkaże”. Demelza miała wrażenie, że te słowa mówią więcej, prawdziwiej wyrażają głębię miłości jednej istoty ludzkiej do drugiej niż wszystkie wiersze Hugh Armitage’a.

Porównanie było niesprawiedliwe, ponieważ Hugh był młody i cierpiał w inny sposób. Joshua albo łaciński poeta wyrazili głębsze cierpienie.

Rozdział szósty

1

– Mogłabym zamienić z panem kilka słów, pastorze? – spytała Rowella. Wślizgnęła się do gabinetu Whitwortha i zamknęła za sobą drzwi.

– O co chodzi? O co chodzi? – odpowiedział gniewnie Whitworth.

Od dwóch tygodni nie odwiedzał jej w pokoju i nie rozmawiał z nią w ciągu dnia, chyba że zmuszały go do tego zasady dobrego wychowania. W owym czasie dwukrotnie zakłócał spokój Morwenny, żądając spełnienia obowiązków, z których wcześniej ją zwolnił. Był stale rozdrażniony, służący uciekali jak przerażone owady na dźwięk jego kroków, karcił swoje córki, doprowadzając je do płaczu, a administratorzy kościoła czuli się urażeni jego szorstkim tonem. Wysłał nieprzyjemny list do wielebnego Odgersa, ponieważ ten nie odpisał, co zamierza zrobić w związku z przedstawionymi mu skargami.

Wielebny Osborne Whitworth miał poważny problem. Nigdy nie ukrywał złego humoru, choć tym razem musiał ukrywać jego przyczynę. W tej chwili spoglądał chłodno na dziewczynę, która wywołała jego kłopoty. Nie było widać jej stanu. Wydawała się chudsza niż kiedykolwiek, miała bladą, ściągniętą twarz, a długa, luźna sukienka wisiała na niej jak na strachu na wróble. Zupełnie nie rozumiał, co go w niej zainteresowało. Wyglądała jak wyrosnięte dziecko o nadąsanej buzi i niezdrowej cerze, przypominała kiepsko ubraną lalkę. Czy to się naprawdę zdarzyło? Czy kiedykolwiek zachowywali

się tak grzesznie? Był duchownym w średnim wieku, człowiekiem o nieskazitelnej reputacji, a Rowella to niepoważny, zwariowany podłotek. A może to po prostu dziwny, lubieżny sen? Patrząc na nią, prawie wierzył, że to tylko złudzenie.

– Czego chcesz? – spytał.

– Chciałam... tylko kilka słów – odpowiedziała. – Mogę usiąść? Czasem kręci mi się w głowie.

Skinął ręką w stronę fotela, jakby chciał ją odprawić, a nie zaprosić do zajęcia miejsca. Nie mógł spać w nocy – bezprecedensowe wydarzenie – i zastanawiał się, co powinien zrobić. Z utęsknieniem myślał o specyfikach, za pomocą których można się pozbyć niechcianego płodu. (Czasem zdarzało się, że przy okazji umierała również matka, co szczęśliwie pozwalało jej uniknąć upokorzenia i wstydu). Ale trudno iść do jednej z nędznych bud i kupić taką miksturę – zwłaszcza duchownemu. Nie wierzył, że łatwo przekona Rowellę, by sama tam poszła.

Mógł również nic nie robić, mógł milczeć, ignorować dziewczynę, aż będzie musiała komuś powiedzieć. Później, litując się nad młodą grzesznicą, mógłby z wielką godnością zaprzeczyć, że ma z tym cokolwiek wspólnego. Rowella codziennie wychodziła z domu. Kto potrafi powiedzieć, czym się wtedy zajmowała? Mógłby też zwalić winę na Alfreda, ale szkoda tracić dobrego służącego.

– Myślę, pastarze, że znalazłam sposób – odezwała się Rowella.

Przerzucał stronicę książki z rachunkami.

– Co masz na myśli?

– Cóż... gdybym wyszła za kogoś za mąż...

Whitworthowi zabiło serce, chociaż starał się nic po sobie nie pokazywać.

– Jak to?

– Myślę, że pewien młody mężczyzna mógłby mnie poślubić. Przynajmniej

okazał wyraźne zainteresowanie. Naturalnie nie wiem. To tylko myśl, nadzieja...

– Kto to?

– Oczywiście nic o nas nie wie, nie wie o moim stanie. Może nie zgodzi się ze mną ożenić. Większość mężczyzn... Nie wiem, czy zechciałby dać swoje nazwisko... nazwisko... – Umilkła, wyjęła chusteczkę i przyłożyła ją do długiego nosa.

– Kto to taki?

– Arthur Solway.

– Co za diabeł... Och, masz na myśli tego młodego człowieka, bibliotekarza...

– Tak.

Umysł Ossiego pracował szybciej niż zwykle.

– Dlaczego? Dlaczego mógłby cię poślubić? Zadajesz się z nim?

Spojrzała przez łzy na Whitwortha.

– Och, pastorze, jak może pan tak mówić?!

– Ale mówię! – Wstał i wyprostował się. Odzyskał pewność siebie. – Prawdopodobnie to jego dziecko! Powiedz mi! Powiedz mi prawdę, Rowello! Jako twój szwagier i przyjaciel...

– Nigdy nie spotykałam się z nim po zapadnięciu zmroku – odpowiedziała Rowella. – Taka jest prawda. Nigdy nie rozmawiałam z nim sam na sam w miejscu, gdzie mogłoby się zdarzyć coś niestosownego. Sam pan tego pilnował, pastorze! Nigdy nie mogłam wychodzić z domu na dłużej.

Whitworth zaperzył się i chwilę się sprzeczali. Nie mógł nie zauważyć determinacji Rowelli, choć z pozoru wydawała się zastraszona. Na zakończenie dyskusji oświadczyła:

– Nigdy nie byłam z żadnym innym mężczyzną, pastorze, i noszę w sobie pańskie dziecko. Jestem gotowa ogłosić to przed światem.

Zapadło milczenie. Whitworth przestał spacerować po gabinecie i usiadł ciężko w fotelu.

– Skąd wiesz, że cię poślubi?

– W zeszłym tygodniu poprosił mnie o rękę.

– Na Boga żywego! I co odpowiedziałaś?

– Że potrzebuję pańskiej zgody i zgody matki. Wyraziłam wątpliwość, czy ją otrzymam.

– Dlaczego?

– Pochodzi z niższej klasy społecznej, pastorze. Jego ojciec to cieśla.

– Czy... czy na pewno nie zdaje sobie sprawy z twojego stanu?

– Na pewno! – Uniosła głowę. – Zgodnie z pańskimi instrukcjami nikomu o tym nie wspomniałam. – Jeśli pan...

– Tak, hm, tak. Myślisz, że jeśli go poślubisz, nigdy się nie dowie?

– Naturalnie, że musi się dowiedzieć! Nie mogłabym być taka nieuczciwa! Jestem zaskoczona, że w ogóle sugeruje pan, bym go oszukiwała!

Ossie obrzucił Rowellę nieprzyjaznym wzrokiem.

– Więc co proponujesz?

– Gdybym otrzymała zgodę na małżeństwo, poszłabym do Arthura Solwaya i wyznałabym mu prawdę. O nie! – dodała, widząc, że Whitworth zamierza zaprotestować. – Nie powiedziałabym, czyje to dziecko, tylko że mam wielkie kłopoty i że małżeństwo z nim ocaliłoby mnie przed hańbą. Gdyby dał dziecku nazwisko i kochał je jak ojciec, byłabym dla niego dobrą żoną, a on wzeniłby się w rodzinę z wyższej klasy, co przyniosłoby mu duże korzyści.

Im dłużej Whitworth słuchał Rowelli, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że to dobre wyjście, znacznie lepsze, niż sobie wyobrażał. Wydawało się jednak zbyt proste. Sprawa była ryzykowna.

– Kochasz go?

– Oczywiście, że nie. Ale... jak się nie ma, co się lubi... Jeśli ocali mnie to

przed hańbą... i pana również...

Whitworth się skrzywił. W trakcie rozmowy czuł lekką zazdrość, gdy wyobrażał sobie, że inny mężczyzna będzie się cieszył pięknem ciała Rowelli, ale ostatnie słowa dziewczyny sprowadziły go na ziemię. Odzyskał czujność.

– A twoja matka i Morwenna? Trzeba je będzie przekonać.

– Myślę, że dadzą się przekonać, jeśli się dowiedzą o moim stanie i jeśli im powiem, że ojcem dziecka jest Arthur Solway.

– Na Boga, dziewczyno, wydaje się, że dobrze sobie to wszystko obmyślałaś!

– Zastanawiam się nad tym od tygodni. Czy to dziwne? Nie myślę o niczym innym.

Ossie skinął głową. Brzmiało to rozsądnie. Spojrzał na Rowellę cieplejszym wzrokiem. Jeśli sprawę da się załatwić w ten sposób, uwolni się od strachu, który prześladowuje go po nocach.

– Chcesz utrzymać nasz związek w sekrecie?

– Oczywiście... Milczenie o tym, co się wydarzyło, przyniesie mi duże korzyści.

– A zatem... Skoro wykoncypowałaś to wszystko w swojej małej główce, Rowello, czy masz również plan co do reszty?

– Reszty? Co pan ma na myśli, pastorze?

– Jak się do tego zabierzesz?

– Dopóki nie miałam pana zgody, nie mogłam przygotować żadnych realnych planów. Ale... ale jeśli uzyskam pańską zgodę... jutro zobaczę się z panem Solvayem w bibliotece i wszystko mu powiem.

– W bibliotece, w obecności innych ludzi?

– Siedzi z boku. Będzie mi tam trochę... trochę łatwiej z nim rozmawiać.

– A potem?

– Jeśli się zgodzi... Jeśli się zgodzi, każę mu tu przyjść, żeby z panem

porozmawiał.

– Po co?

– Poprosić o moją rękę. Musi to wyglądać oficjalnie, by oszukać Morwennę. Będą sprawy do omówienia.

– Jakie sprawy?

– Arthur Solway jest bardzo biedny, Ossie. Bardzo biedny. Jako bibliotekarz zarabia piętnaście funtów rocznie. Ciężko pracuje wieczorami, przepisując listy dla notariusza Pearce'a. W ten sposób zarabia dodatkowo trzy funty rocznie. Podobno mieszka w bardzo ubogim mieszkaniu i uczy się przez pół nocy. Czeka mnie ciężkie życie, ale się nie skarżę. Zasługuję na to...

– Tak. Cóż...

– Lecz ze względu na pańskie dziecko...

– Tak? Czego chcesz?

– Może jakiś niewielki prezent pomógłby nam zacząć nowe życie. Wszyscy uznaliby to za prezent ślubny dla szwagierki. Morwenna byłaby zadowolona...

– Ile sugerujesz?

Rowella zrobiła zaskoczoną minę.

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Po prostu miałam nadzieję, że uzna pan to za właściwe... – Chlipnęła. – Jeśli... jeśli mogłabym mu powiedzieć, że nie jestem bez grosza, potraktowałby przychylniej moją propozycję.

Ossie potarł nos. Rowella była intrygantką, ale gdyby zdołał uniknąć skandalu, odczułby wielką ulgę. Mając nowe dochody z Sawle, mógł sobie pozwolić na hojność. Gdyby zachował się jak dobroduszny, wyrozumiały szwagier, spotkałoby się to z aprobatą Morwenny i pani Chynoweth. Kobieta przyłapana na cudzołóstwie. Niech pierwszy rzuci kamieniem... Jako proboszcz udowodniłby, że postępuje zgodnie z głoszonymi zasadami. Stać go na wydanie dwudziestu pięciu gwinei – byłoby to przeszło roczne

wynagrodzenie tego żalosnego człowieczka i pozwoliłoby im zacząć nowe życie. Należy dziękować Bogu za tak szczęśliwe rozwiązanie problemu.

W dalszym ciągu udawał, że się waha, by zrobić większe wrażenie na Rowelli. W końcu powiedział:

– Bardzo dobrze, moja droga. Jeśli ów młody człowiek zgodzi się na tę propozycję, przyślij go do mnie. Zadbam, by otrzymał niewielki prezent, który pozwoli wam rozpocząć nowe życie.

2

Arthur Solway nie przybył nazajutrz, lecz dzień później. Umówił się w porze, gdy Morwenna piła herbatę z Polwhele'ami. Rowella uznała, że siostra powinna być poza domem, gdy Solway przyjdzie po raz pierwszy. Była to trafna decyzja.

Solway był wysoki, chudy i nosił okulary. Miał wąskie ramiona, podobnie jak Rowella, i garbił się jak uczonec. Na jego młodzieńczej, dobroduszej twarzy malował się niepokój; pocił się ze zdenerwowania. Nikt by nie przypuszczał, że młody człowiek o takim wyglądzie mógłby rzucić wyzwanie proboszczowi, który ma własny gabinet i pochodzi z wyższych sfer, jednak Solway najwyraźniej okazał stanowczość. Początkowe ciche głosy zmieniły się powoli w gniewne okrzyki; przede wszystkim słychać było głos Ossiego. W końcu kłótnia zrobiła się bardzo głośna, po czym Solway, na wpół wyszedłszy sam, na wpół wyrzucony z gabinetu, pośpiesznie wybiegł z plebanii. Whitworth zatrzasnął za nim drzwi frontowe, wrócił do pokoju i zatrzasnął kolejne drzwi z taką siłą, że zadygotał cały dom.

Dziesięć minut później Rowella wślizgnęła się do gabinetu. Ossie stał przy oknie, rytmicznie zaciskając i rozluźniając pięści. Poły jego surduta falowały, miał ponurą, zaczerwienioną twarz.

– Pastorze...?

Odwrócił się.

– Ty mu kazałaś to zrobić, kobieto?!

– Co kazałam? O co chodzi? O Boże, czy coś się stało?!

– Rzeczywiście, powinnaś wzywać Boga! Stało się! Stało się coś bardzo złego! Bezczelny oszust! Gdyby został tu jeszcze przez chwilę, sprawiłbym mu takie lanie, że popamiętałby do końca życia!

Rowella załamała rękę.

– Och, Ossie, co się właściwie wydarzyło?! Miałam taką nadzieję... Myślałam, że znaleźliśmy rozwiązanie naszego okropnego problemu...

– Wydarzyło?! Powiedz temu zarozumialcowi, że jeśli jeszcze raz zbliży się do tego domu, każę go aresztować za naruszenie cudzej własności i zamknę w więzieniu!

Rowella podeszła do biurka.

– Niech pan mi powie, pastorze. Musi mi pan powiedzieć.

Odwrócił się i spojrzał na nią z wściekłością.

– Twój mały prezent. Za poślubienie ciebie, upadłej piętnastoletniej dziewczyny bez grosza, w ciąży, bez urody i rodziny, ten ignorancki osioł oczekuje – nie, żąda! – prezentu ślubnego w wysokości tysiąca funtów!

Rowella stała z dłońmi uniesionymi do twarzy, a Whitworth nie przestawał się wściekać. Od czasu do czasu powtarzał słowa „bezczelność”, „hańba” i „impertynencja”. W krótkiej przerwie Rowella wtrąciła:

– Nie wiem, co w niego wstąpiło.

– Ani ja! Ani ja! Bezczelny, arogancki, nędzny wyskrobek! Możesz o nim zapomnieć, Rowello! Nie jest dla ciebie, nie poślubisz go z moim błogosławieństwem i nie dostaniesz ode mnie prezentu! Możesz być tego pewna.

– Myślałam, że dostaniemy sto funtów – powiedziała Rowella.

Ossie nagle umilkł.

– Ach, więc myślałaś o stu funtach, co? Jesteś pewna, że nie mówiłaś mi o tysiącu? A może o dziesięciu tysiącach?!

Rowella jęknęła.

– Nie, pastorze, nie! Przysięgam! Przysięgam! Jak mogłabym coś takiego wymyślić?!

Spojrzał na nią.

– Czasem podejrzewam, że jesteś zdolna do wszystkiego! Zastanawiam się, jaki zły duch wstąpił w twoje ciało w chwili narodzin. Twoim ojcem nie mógł być duchowny, dziekan, przedstawiciel Kościoła, człowiek obdarzony łaską!

Rowella wybuchnęła głośnym płaczem.

Whitworth nagle usiadł i ciężko oparł łokcie na biurku. W dalszym ciągu był wściekły, lecz czuł również dawny niepokój.

– Więc co teraz z tobą zrobimy?

Rowella dalej płakała. W końcu wymamrotała przez łzy:

– Może zdołam przemówić mu do rozumu, gdy się z nim zobaczę.

– Musiał wiedzieć, musiał się domyślać, że mam jakiś inny motyw! Powiedziałaś mi, dlaczego chcę ci ofiarować prezent ślubny, dałaś mi to do zrozumienia?!

– Nie, nie! Nigdy! Nie zrobiłabym panu czegoś takiego, pastorze, chyba że bym musiała!

– A co by cię do tego zmusiło?

– Może zdołam przemówić mu do rozsądku, kiedy go zobaczę! – powtórzyła, łkając.

3

Rowella znów spotkała się z Arthurem Solwayem i z bezbrzeżną

cierpliwością starała się doprowadzić do następnego spotkania z pastorem. Młody bibliotekarz pocił się, drżały mu ręce, jednak obstawał przy swoim. Rowella nie uczestniczyła w negocjacjach, lecz zawsze znajdowała się w pobliżu. Ossie podniósł stawkę do stu funtów, a później, w desperacji, do dwustu – przekraczało to jego całoroczne dochody z Sawle. Solway obniżył żądania z tysiąca funtów do siedmuset, ale różnica ciągle była zbyt wielka. Przypominało to nieco targi Ossiego z George'em Warlegganem w sprawie posagu Morwenny, choć Whitworth tego nie dostrzegął.

W końcu Rowella zaczęła pokazywać pazurki.

– Nie zdaje pan sobie sprawy, w jakiej biedzie wychował się Solway – powiedziała pewnego dnia do Ossiego. – Skoro uważa pan, że chłopak jest chciwy, niech pan pomyśli, co musiała znosić jego rodzina. Jego ojciec mieszka na Quay Street w domku należącym do miasta. Mają dziewięcioro dzieci i tylko Arthur zdobył jakieś wykształcenie. Najstarsza córka cierpi na konwulsje, starszy syn służy u państwa Cardew, są także trzy dziewczynki, trzyletni chłopiec, półtoraroczny malec, a matka jest znowu w ciąży.

– Plenią się jak szczury! – prychnął Ossie.

– I żyją jak szczury – odparła Rowella. – Och, pastorze, niech pan się postara zrozumieć ich sytuację. Solway próbuje pomagać rodzinie. Płacą dwie gwinee rocznie czynszu za dom, a jego ojciec, który w zeszłym roku chorował, ma zaległości z opłatami i rada miejska zajęła wszystkie jego narzędzia i część mebli, więc nie może zarobić pieniędzy na spłatę długu! Poprosił parafię o zapomogę, która została mu przyznana pod warunkiem, że przeniesie się wraz z rodziną do przytułku dla ubogich. Ale, jak pan wie, oznaczałoby to rozstanie z żoną i dziećmi, a także utratę resztki dobytku. Jest uczciwy i pracowity – podobnie jak Arthur – jednak w tej chwili mieszka w domu wbrew woli rady miejskiej. Dzieci nie mają butów, jedzą tylko chleb i ziemniaki, chodzą w łachmanach otrzymanych od litościwych sąsiadów...

– Dużo o nich wiesz – zauważył podejrzliwie Osborne.

– Wczoraj rano po raz pierwszy ich odwiedziłam. Serce się kraje!

– Więc teraz stać cię na hojne gesty, co? Z moich pieniędzy! Dwieście funtów! Tyle ci zaproponowałam! To cztery razy więcej, niż zasługujesz!

– Ciii! Ciii! Morwenna pana usłyszy, pastorze.

Whitworth przełknął ślinę.

– Boże miłosierny, jesteś niewiarygodnie bezczelna! Nie będę tego więcej słuchał! Gdybym do nich poszedł i ofiarował im dwadzieścia funtów, nie posiadaliby się ze szczęścia, nie sądzisz? Możesz im je dać wraz z moim błogosławieństwem i zatrzymać sto osiemdziesiąt funtów, za które urządzisz sobie życie. To moje ostatnie słowo. Teraz, proszę, wracaj do swoich obowiązków. Oczekuję odpowiedzi najpóźniej do jutra, bo inaczej wycofam propozycję.

– Tak, pastorze – odparła Rowella. – Dziękuję, pastorze. – Wyszła.

Wróciła nazajutrz wieczorem.

– Prawie nie mogłam dziś z nim rozmawiać, bo w pobliżu była Morwenna i wszystko trzeba było załatwić bardzo szybko. Przekazałam mu pańskie słowa, ale on się nie zgodził.

– Nie zgodził!

– Niech pan zaczeka, pastorze, proszę. Dyskutowałam z nim, błagałam, lecz powiedział, że nie zgodzi się na mniej. Powiedział... nie znam się na tych sprawach, Ossie, ale powiedział, że musimy wydać dużo na dom i umeblowanie, a siedemset funtów, choćby najmądrzej zainwestowane, ledwo zdoła utrzymać mnie i rodzinę, choćby on sam bardzo ciężko pracował. Tak mówił. Bardzo mi przykro. Wydawał się zdeterminowany.

– Niech więc idzie do diabła! – zawołał Ossie. – I ty razem z nim! To wyjątkowo bezczelna próba wyłudzenia pieniędzy! Niech was piekło pochłonie! Mówię to świadomie. Niech was piekło pochłonie! Wynos się

z mojego pokoju! I nie płacz. Za często próbujesz tej sztuczki. Wynoś się, mówię!

– W końcu udało mi się go przekonać do sześciuset funtów – wyszłochała Rowella. – Sądzę, że nie zgodzi się na mniejszą sumę, a to znaczy, że straciłam męża!

– Mogę tylko powiedzieć, że na pewno byłby ciebie wart! – prychnął Whitworth.

4

W tym czasie na plebanii toczyło się normalne życie. John Conan Osborne Whitworth, rosnący jak na drożdżach, zachowywał się hałaśliwie i agresywnie – wszyscy mówili, że do złudzenia przypomina ojca. Rowella uczyła francuskiego Sarah i Anne, które pod nieobecność papy również potrafiły się zachowywać zaskakująco hałaśliwie i agresywnie. Morwenna miała mnóstwo zajęć jako żona proboszcza, mimo to w głębi serca nadal cierpiała. Wielebny Whitworth sondował kilku swoich przyjaciół, czy nie mógłby zostać wybrany na radnego miejskiego, ale uznał, że konkretne kroki w tej sprawie muszą poczekać na powrót George’a Warleggana na Wielkanoc. Tymczasem służący odkurzali, gotowali, zmiatali i szeptali między sobą. Whitworth w dalszym ciągu dwa razy w tygodniu grał w wista, a Morwenna i Rowella szyły i haftowały w niewielkim saloniku na piętrze. Nigdy dużo ze sobą nie rozmawiały, lecz teraz przeważnie milczały.

W następnym tygodniu Rowella przyniosła Osiemu arkusz papieru i powiedziała:

– Kiedy mój papa po raz pierwszy doznał apopleksji, miał sparaliżowaną prawą dłoń i nie mógł pisać do podległych sobie duchownych. Skończyłam wtedy zaledwie jedenaście lat, ale miałam najładniejszy charakter pisma

w całej rodzinie, więc dyktował mi listy. Później sporządzałam kopie do archiwum ojca. Po jego śmierci zachowałam część listów jako pamiątkę i w zeszłym miesiącu poprosiłam mamę, by mi je przysłała. Oto list do proboszcza z South Petherwin, który uwiódł młodą dziewczynę, a ona zaszła w ciążę. Zdaje się, że zawieszono go na trzy lata...

Ossie spojrział na Rowellę takim wzrokiem, jakby do jego pokoju nagle wkroczył Szatan. Położyła papier na biurku i się wymknęła. Whitworth przebiegł wzrokiem list, wstrząśnięty treścią czytanych zdań. List brzmiał:

Drogi Pastorze Borlase!

Pańską winę powiększają okoliczności całej sprawy i przyznaję, że nie widzę żadnego usprawiedliwienia dla takiego postępowania. Na litość boską, jak mógł Pan całkowicie zapomnieć, że jest duchownym, chrześcijaninem i dżentelmenem? Jak mógł Pan naruszyć przykazania religii, zasady moralności, gościnności, a nawet ludzkości? Proszę się zastanowić nad losem nieszczęsnej kobiety, którą w ohydny sposób nakłoniono do utraty czci i honoru – zastanowić się, czy istnieje bardziej haniebny, bardziej odrażający występki niż uwiedzenie. Mordercy i gwałciciele, których przemoc kaleczy tylko ciało ofiary, pod wieloma względami wyrządzają mniej zła niż uwodziciele.

Ale przypuśćmy, że sytuacja wyglądała inaczej, że kobieta, z którą Pan obcował cieleśnie, ponosi współodpowiedzialność za grzech. Czy w takim razie miał Pan prawo wykorzystać głupią, nierozważną dziewczynę? Czy nie powinien Pan z całych sił starać się uchronić ją przed nieszczęściem i niesławą, na które się naraziła? Tysiące argumentów wskazują, że Pana obowiązkiem było próbować na nią wpłynąć, by odzyskała poczucie honoru, poczucie obowiązków religijnych. Czy postąpił Pan jak przyjaciel, ojciec albo brat? Mógłby się Pan stać dla niej kimś takim! Czy zachował się Pan jak kapłan, głosiciel nauk Jezusa Chrystusa i Jego uczeń?

Czy ma Pan prawo zachęcać powierzone mu owieczki, by przestrzegały cnót, których sam Pan nie przestrzega, jak to wynika z Pana działań? Jak chciałby Pan przekonywać ludzi, by wierzyli w zbawienie lub czuli strach przed karą, skoro jawnie dowiódł Pan, że zasady moralne nie mają dla Pana żadnego znaczenia? Nie chcę już pisać o tej straszliwej sprawie. To, czego Pan nie słyszał ani czego nie podyktowało Panu serce...

Whitworth spoglądał na arkusz papieru takim samym wzrokiem jak przed chwilą na Rowellę – jakby ujrzał przed sobą węża. Tuż po Wielkanocy do

Truro miał przybyć na coroczną wizytację archidiakon i Ossie zaprosił go, by zamieszkał na plebanii...

Wstał, podarł list na drobne kawałki i wrzucił do ognia.

5

– Wezwałem cię, by zakomunikować swoją decyzję – oznajmił. – To z mojej strony uprzejmość, że zapoznam cię z nią przed poinformowaniem twojej siostry. Wrócisz do swojej matki. Okazałaś się nieprzydatna jako guwernantka moich córek i towarzysza mojej żony. Od chwili przyjazdu, a zwłaszcza od Bożego Narodzenia, zachowujesz się arogancko i krnąbrnie, wulgarnie i bezczelnie. Nie słuchasz moich poleceń ani rad, w całej okolicy stałaś się znana z rozwiązłości. Nie potrafię nad tobą zapanować i pozostawiam twojej biednej matce próbę poprawy tych obyczajów. Zostaniesz odesłana do domu na początku przyszłego tygodnia.

Rowella stała przed Whitworthem w brązowej sukience, nieco bardziej obcisłej niż zwykle i podkreślającej kształty, które skusiły duchownego. Śmiertelnie jej teraz nienawidził.

– A dziecko? – spytała.

– Jakie dziecko? Nic nie wiem o żadnym dziecku. Jeśli włączyłaś się po mieście i doprowadziłaś do takiego stanu, to wyłącznie twoja sprawa.

Rowella się zastanawiała.

– Oskarżę pana, pastorze.

– Nikt ci nie uwierzy. Czyje słowo więcej waży: moje czy twoje?

– Minimalna kwota, którą przyjmie Solway, to pięćset pięćdziesiąt funtów.

– Nic nie dostaniesz!

– Jestem córką dziekana. Ludzie mnie wysłuchają. Napiszę do biskupa.

– Szalone oskarżenia historycznego dziecka.

– Ma pan bliznę na brzuchu, pastorze. Ugodził pana nożem chłopiec, którego dręczył pan w szkole. Szczęście, że nie odniósł pan poważniejszej rany.

Ossie oblizwał wargi.

– Raz wspomniałem o tym dla żartu. Każdy może o tym wiedzieć.

– I ma pan pieprzyk na lewym pośladku. O dziwnym kształcie. Narysuję go biskupowi.

Whitworth nie odpowiedział.

– Jeśli da mi pan pióro, narysuję panu ten pieprzyk – ciągnęła Rowella. – Na pewno trudno go panu zobaczyć. Jest czarny i nieco wypukły. Jeśli da mi pan pióro...

– Prędzej cię uduszę! – szepnął. – Prędzej cię uduszę, nim zapłacę pensa temu bezczelnemu, smarkatemu wyskrobkowi, którego miałaś nadzieję poślubić! To niewiarygodne! Bezczelna piętnastoletnia dziwka usiłuje mi dyktować, co mam robić! Nie mam pojęcia, skąd się wzięłaś, jak wychował cię ojciec! Wynoś się stąd! Wynoś się stąd na zawsze! Nie chcę cię znać!

Zgodzili się na pięćset funtów.

Rozdział siódmy

1

Tydzień po tych wydarzeniach cztery francuskie okręty transportujące zbieraninę żołnierzy, dowodzone przez Amerykanów dokonały niespodziewanego desantu na Ilfracombe i Fishguard. Po krótkim zamieszanu siły francuskie szybko się wycofały i pośpiesznie odpłynęły do Francji. Rozeszły się jednak plotki, że napadnięto na Bristol i zachodnią część Anglii; w rękach nieprzyjaciela miało się znaleźć duże terytorium. Wielu ziemian wycofało pieniądze z banków i ukryło złoto w bezpiecznych miejscach w obawie przed inwazją. Cały kraj ogarnęła panika, banki oblegali klienci próbujący wycofać pieniądze, nim będzie za późno. Ludzie uważali, że Anglia wkrótce zbankrutuje. Obawy te potwierdziły się, gdy Bank Anglii zawiesił wypłaty.

W Truro panowała bardzo napięta sytuacja. Wszystkie trzy banki działające w mieście miały kłopoty i zadawano sobie tylko pytanie, czy wszystkie przetrwają kryzys, czy też jeden lub nawet dwa zbankrutują. W końcu stało się jasne, że dwa większe, nowe banki radzą sobie lepiej, głównie dzięki potędze finansowej i przemysłowej Warlegganów oraz ogromnemu majątkowi i prestiżowi lorda de Dunstanville. Trzeci bank, najstarszy i najmniejszy, wciąż znany jako bank Pascoe mimo pojawienia się kilku nowych wspólników, znalazł się na krawędzi upadku. Harris Pascoe twierdził, że pozostałe dwa banki nie tylko mu nie pomagają ani nie zachowują

neutralności, ale wręcz wykorzystują swoją siłę, by podkopać wiarygodność konkurenta i zapewnić sobie przetrwanie. Jednak po kilku dniach narastającego napięcia dyliżansem pocztowym z Londynu przybył lord de Dunstanville, po czym nastąpiła zmiana polityki i bank Pascoe otrzymał nowe kredyty, co uchroniło go przed bankructwem.

Ross przyjechał do Truro dzień po zażegnaniu kryzysu. Harris Pascoe schudł i posiwiał; wydawało się, że od ich ostatniego spotkania minęły dwa lata, a nie dwa miesiące.

Przez jakiś czas Pascoe wolał mówić nie o niebezpieczeństwie, w jakim się znalazł, lecz o niebezpieczeństwie grożącym Anglii, jakby dystans wobec spraw kraju pomagał mu łagodzić własne emocje.

– Pitt od lat kroczy po linie. Wojna niszczy gospodarkę... Musiał nadejść kryzys.

– Wywołała go garstka Francuzów, którzy wylądowali na brzegu, spalili farmę, a później uciekli lub złożyli broń przy pierwszych oznakach oporu! W czasach królowej Elżbiety nigdy by się to nie zdarzyło!

– Atak był iskrą rzuconą na prochy. Równie dobrze mogło się zdarzyć coś innego. To wojna nerwów, Ross. Najgorsza rzecz to złe plony przez kilka lat z rzędu... Musieliśmy kupować zboże za granicą. Tylko w zeszłym roku wydaliśmy na import zboża dwa i pół miliona funtów. Poza tym koszty utrzymania armii i wspierania sojuszników – w ciągu roku pożyczyliśmy Austrii sześć milionów funtów. Trzeba również finansować Irlandię. Pieniądze pochodzą z pożyczek; towarzyszy temu wzrost cen i kiepskie zbiory. Wszystko jest coraz droższe i coraz mniej ludzi ma pieniądze, by kupować. Nawet pomoc ubogim stała się znacznie kosztowniejsza, ponieważ jest coraz więcej biedoty. Poza tym – to zgryźliwa uwaga – w okresie inflacji we Francji wzrastały zagraniczne inwestycje w Anglii. Teraz, gdy powstał tam nowy rząd odnoszący sukcesy militarne, frank staje się stabilniejszą walutą i napływ złota

do Anglii maleje.

– Więc co będzie?

– Teraz? Przez pewien czas damy sobie radę. Bank Anglii otrzymał upoważnienie do emisji banknotów o nominałach jednego funta i dwóch funtów, które będą legalnym środkiem płatniczym. Oświadczone, że mają one pokrycie w złocie. Uspokoi to nastroje w kraju, ale czy ludzie przyzwyczajeni do złota zadowolą się papierem? Z pewnością nie na prowincji. Z pewnością nie w Kornwalii.

– W Truro najgorsze już minęło?

– Tak się wydaje. Na szczęście zachowaliśmy ostrożność w udzielaniu pożyczek i dyskoncie weksli. Jak wiesz, żaden bank nie jest w stanie uregulować wszystkich swoich wierzytelności, jeśli musi to zrobić nagle, bez uprzedzenia. Oczywiście ponieśliśmy duże straty, bo musieliśmy sprzedawać cenne akcje znacznie poniżej wartości, by zachować płynność.

– Rok albo dwa lata temu wszystko się rozwijało, łatwo było uzyskać kredyt, stopy procentowe spadały...

– Warunki się zmieniają, mądrzy ludzie oceniają sytuację i po cichu wyciągają wnioski. Aż w końcu ktoś zaczyna się mniej angażować, ograniczać kredyty, żądać spłaty istniejących długów, zamieniać papier na złoto. Nikt nie wie, kto rozpoczyna ten proces, ale wpływa on na innych, później na następnych i w końcu rusza lawina. A kiedy się zacznie, nigdy nie wiadomo, kiedy się skończy.

– George Warleggan jest w Truro?

– Wrócił mniej więcej tydzień przed wybuchem paniki. Dziś rano odjechał dyliżansem pocztowym do Londynu.

– A Elizabeth?

– Chyba została w Londynie.

– Bank Basseta ci pomógł?

– Pod koniec. Inaczej zbankrutowalibyśmy z powodu nędznych pięciu tysięcy funtów.

– Więc wyraźnie nie żywi do ciebie urazy z powodu twojej zmiany frontu w czasie wyborów.

Pascoe spojrział Rossowi w oczy.

– Do końca myślałem, że jest odwrotnie.

2

Reszta wiosny minęła w ponurej atmosferze, czasem przerywanej dobrymi wiadomościami. Zbankrutowany naród pozbawiony pieniędzy i ideałów ucieszyła nowina o wielkim morskim zwycięstwie admirała Jervisa odniesionym nad flotą hiszpańską, który zniszczył siły dwukrotnie większe od własnych i odsunął w czasie straszliwe niebezpieczeństwo wspólnej akcji francuskiej i hiszpańskiej marynarki wojennej. Oprócz Jervisa i innych admirałów chwalono także pewnego oficera. Działania komodora Nelsona świadczyły o genialnej, nieszablonowej taktyce morskiej i niezwyklej odwadze osobistej. Stawał się jednym z najbardziej znanych członków grupy utalentowanych oficerów marynarki wojennej, podobnie jak Bonaparte wśród francuskich generałów.

Jednak ulgę z powodu zwycięstwa Jervisa wkrótce przekreśliła straszliwa wieść o buncie we flocie brytyjskiej w Portsmouth. Była to dość spokojna rebelia przeciwko nieznośnym warunkom; spełniono niektóre postulaty załóg i wszystko zakończyło się pokojowo, lecz marynarze w innych portach zaczęli szemrać i pewność siebie Anglików doznała kolejnego uszczerbku.

Ross stawał się coraz bardziej niespokojny, jakby czuł, że wygodne życie drobnego kornwalijskiego ziemianina nie przystoi człowiekowi zdolnemu do walki. Ćwiczenia z ochotnikami nie mogły zastąpić służby w armii regularnej,

ponieważ miał wrażenie, że służba w oddziałach ochotniczych to azyl dla ludzi niekompetentnych i tchórzliwych. Demelza chętnie uniemożliwiłaby mu cotygodniową lekturę gazety, gdyby wiedziała, jak to zrobić. Spędzał coraz więcej czasu z innymi ziemianami, zastanawiając się nad sposobami obrony okolicy, jednak sąsiedzi zdawali się bardziej zainteresowani środkami zapobiegającymi rozruchom.

Pod koniec lutego panna Rowella Chynoweth poślubiła Arthura Solwaya w kościele Świętej Małgorzaty w Truro. Ceremonię odprawił proboszcz kościoła Matki Boskiej, a rolę ojca panny młodej pełnił proboszcz kościoła Świętej Małgorzaty. Whitworth prawie nie był w stanie patrzeć na szwagierkę. Uroczystość była dla niego koszmarem, zwłaszcza gdy jego kolega zadał nielicznym uczestnikom pytanie: „Ponieważ więc te dwie osoby chcą wstąpić w ów święty stan, zapytuję się, czy kto z was wie o jakiejś przyczynie lub przeszkodzie, dla którejby one nie mogły być prawnie połączone, i proszę, aby to teraz oznajmił, lub jeśli tak nie uczyni, zamilczał na zawsze”¹². Był wściekły, że musi uczestniczyć w tej farsie we własnym kościele. Rowellę należałoby wygnać w niesławie z miasta jako kobietę upadłą.

Pani Chynoweth nie przybyła na ślub. Była głęboko wstrząśnięta listem otrzymanym od Rowelli i urażona niskim statusem społecznym człowieka mającego zostać ojcem dziecka. Nigdy nie rozumiała najmłodszej córki. Pod względem charakteru Rowella najbardziej przypominała ojca Amelii Chynoweth, osławionego Trelawny’ego Tregellasa, przez całe życie zakładającego przedsiębiorstwa, które natychmiast bankrutowały. Mimo to należało podejrzewać, że mała Rowella ma zdolność radzenia sobie w życiu, o jakiej nie śniło się jej dziadkowi.

Garlanda przyjechała do Truro, by wspierać Morwenę, która po rozmowie z Rowellą przeżyła szok i zachorowała. W ponurej ceremonii ślubnej uczestniczyło niewielu gości. Pojawił się ojciec Arthura Solwaya, z zawodu

stolarz, wraz z najstarszą córką cierpiącą na konwulsje, lecz na szczęście nie doznała ataku w czasie uroczystości. Żona nie towarzyszyła mężowi, gdyż lada dzień miała urodzić dziesiąte dziecko. Stolarz nie zachowywał się tak uniżenie, jak się spodziewał Ossie. Był spokojny i grzeczny, ale nie okazał mu szacunku jak człowiek z niższych sfer, unosząc dłoń do czoła. Odznaczał się pewną szorstką godnością, co doskonale tłumaczyło, dlaczego arogancko odmówił przeniesienia się do przytułku dla ubogich i przyjęcia wsparcia zaproponowanego przez władze miejskie. Tłumaczyło to również, dlaczego bezczelnie odmówił opuszczenia miejskiego domku, gdy zaczął zalegać z czynszem. Arthur Solway, chudy, wysoki, przygarbiony, bezczelny, chciwy Arthur, wyraźnie wrodził się w ojca.

Arthur Solway wydawał się znacznie bardziej zdenerwowany od panny młodej, która wyglądała nieelegancko w najlepszej sukience, lecz nie miała przygnębionej miny. Osborne nie zaprosił nowożeńców na plebanię po zakończeniu uroczystości, ale dwaj jego służący przynieśli do kościoła herbatę i ciastka. Uczestnicy ceremonii rozmawiali prawie przez godzinę, nim wreszcie się rozeszli. Młoda para zamieszkała na River Street, zamierzała tam pozostać do chwili zakupu odpowiedniego domku.

Arthur i Rowella mieli skromne, choć pewne źródło utrzymania. Solway odwiedził bank Harrisa Pascoe i oświadczył, że chciałby zainwestować spadek, a Pascoe doradził mu zaryzykować, przyjmując, że Anglia nie zbankrutuje, i nabyć obligacje skarbowe, których cena ostatnio znacznie spadła. Dałoby mu to dochód w wysokości trzydziestu funtów rocznie. Pieniądze te wraz z pensją bibliotekarza oraz niewielkimi wynagrodzeniami za inne prace pozwoliłyby mu utrzymać rodzinę. Między zawarciem umowy z Whitworthem a ślubem Rowella często się zastanawiała, czy nie mogłaby uzyskać więcej. Czasem sądziła, że zdołałaby wyciągnąć od pastora jeszcze sto funtów, a czasem przypominała sobie wściekły wyraz oczu Ossiego i przychodziło jej do głowy,

że mógłby ją zabić.

Kiedy goście się rozeszli, siostry wróciły na plebanie, a Ossie z ponurą miną poszedł do swojego pokoju, by się przebrać na wista. Gdy po raz pierwszy rozmawiał z żoną o hańbie Rowelli, oznajmił jej, że postanowił podarować nieszczęsnej dziewczynie pięćdziesiąt funtów, by nie znalazła się na dnie nędzy wraz z podstępny uwodzicielem. Rowella na to nie zasługuje, lecz on postanowił uczynić wspaniałomyślny gest. Nie zamierzał również informować pracodawców młodego człowieka o jego nikczemnym postępku, choć czuje taką pokusę i obowiązek nakazuje to zrobić. Gdyby tak się stało, Solway straciłby pracę, a hańba Rowelli wyszłaby na jaw. Może uda się utrzymać pozory i ludzie będą tylko współczuć pani Whitworth, że jej siostra zawarła małżeństwo z człowiekiem niskiego stanu. Schował dłonie pod połami surduta i wyraził głębokie ubolewanie, że nowożeńcy w dalszym ciągu zamierzają mieszkać w Truro. Miał ogromną nadzieję, że Morwenna nie będzie utrzymywać z siostrą stosunków towarzyskich. Morwenna odpowiedziała: „Chyba nie”. Ossie wiedział, że rodzina Chynowethów jest ze sobą związana, i odpowiedź żony mile go zaskoczyła. Zrozumiał, że Morwenna nie toleruje niemoralności, podobnie jak on sam.

Kiedy Whitworth poszedł na wista, Morwenna i Garlanda zjadły kolację i rozmawiały chaotycznie przed pójściem spać. Garlanda miała nazajutrz wrócić do Bodmin. Nie mogła pozostać na plebanii, nie wchodziło to w rachubę. Ossie stwierdził, że poniósł duże straty w czasie ostatniego kryzysu bankowego i nie stać go na dodatkową opiekunkę do dzieci. Dziewczynki zostaną wysłane do szkoły, a Morwenna będzie miała więcej czasu dla Johna Conana.

Dla Garlandy była to bardzo męcząca wizyta i cieszyła się, że zbliża się do końca. Najpierw lamenty matki – ciche, bo w Bodmin nikt nie powinien znać prawdy – a później przyjazd na plebanie, której mieszkańcy wydawali się

patrzeć na siebie krzywym okiem. Pastor Whitworth, co zupełnie rozumiała, wydawał się głęboko urażony i wstrząśnięty hańbą szwagierki. Morwenna lepiej ukrywała emocje i traktowała nieszczęśliwą siostrę z pewną dozą współczucia, jednak wyraźnie bolała z powodu hańby rodziny. Uważała, że sama się do niej przyczyniła, gdyż młodsza siostra znajdowała się pod jej opieką.

Rowella czasem chlipała i wydawała się przygnębiona, jakby rodzina i społeczeństwo oczekiwało od niej takich zachowań, lecz w jakiś sposób zupełnie się nie zmieniła. Można było nawet pomyśleć, że w głębi serca nie czuje żadnych wyrzutów sumienia. Aż do dnia ślubu prowadziła niezmienny tryb życia – nieustannie czytała książki i uczyła córki Whitwortha. W czasie posiłków milczała. Była jak burzowa chmura wisząca nad plebanią.

Garlanda starała się dostosować do otoczenia. Kiedy nadarzyła się okazja, opowiadała o wydarzeniach w Bodmin, a poza tym mówiła jedynie o banalnych codziennych sprawach. Czuła, że nie należy wspominać o ślubie, chyba że chodzi o najprostsze kwestie praktyczne – Rowella i Morwenna nigdy nie poruszały tego tematu. Przyszła do kościoła, poznała chudego, zdenerwowanego pana młodego, wypila herbatę, zjadła ciastko, a później szczęśliwi nowożeńcy wsiedli do niewielkiej dwukółki, która zawiozła ich do nowego mieszkania. Rowella cmoknęła siostrę w policzek z taką swobodą, jakby zamierzała wyjść z domu na kilka godzin. Arthur ujął dłoń Garlandy, uśmiechnął się do niej, lecz nie próbował jej pocałować, jakby nie przychodziło mu do głowy, że mógłby nawiązać bliski kontakt z młodą damą.

Kiedy nowożeńcy odjechali, a Ossie poszedł na wista, dwie siostry po raz ostatni usiadły przy kominku.

Garlanda zauważyła, że starsza siostra bardzo się zmieniła. Poprzednio Morwenna bywała milcząca wskutek nieśmiałości, jednak w towarzystwie bliskich przyjaciół zawsze zachowywała się szczerze i otwarcie. Teraz było

inaczej. Choć oprócz prowadzenia domu nie miała żadnych innych obowiązków, nie wywiązywała się z nich dobrze. Nie dbała o swój wygląd. W rodzinie złożonej z samych kobiet zawsze była najschludniejsza, starała się wyglądać czysto nawet po najbardziej szalonych harcach. Kiedy w pobliżu nie było matki, zajmowała się młodszymi siostrami, doprowadzała do porządku ich włosy i sukienki. Teraz nosiła niechlujne stroje i nie zwracała uwagi na bałagan panujący na plebanii.

Jednak nabrała ciała i wydawała się zdrowa. Garlanda z trudem potrafiła pogodzić jej obecny wygląd z obrazem wycieńczonej, chorej istoty, którą opisała matka po wizycie w Truro w lipcu rok wcześniej, gdy przyjechała zobaczyć wnuka. Gdyby liczył się tylko stan fizyczny Morwenny, nie byłoby powodów do niepokoju.

Garlanda uznała zmiany w zachowaniu siostry za symptomy jakiejś głębszej niemocy. Skoro Morwennie nie zależy na mężu, może się do niego odnosić z powierzchowną kurtuazją, która nie powinna nikogo dziwić, ale czy musi tak traktować wszystkich, nawet własne siostry? Wydawało się, że w podobny sposób odnosi się również do syna. Zachowywała się bardziej jak niańka niż matka.

Wiedząc, że w Bodmin matka zacznie ją o wszystko wypytywać, ostatniego wieczoru starała się rozmawiać nie tylko o banalnych sprawach związanych ze ślubem. Otwarcie poruszyła też kwestię upadku Rowelli, co nie było takie banalne. Po drugiej próbie Morwenna odłożyła robótkę, uśmiechnęła się, mrużąc krótkowzroczne oczy, i powiedziała:

– Moja droga, po prostu nie mogę o tym mówić. Jeszcze nie. To zbyt bolesna, zbyt świeża rana. Wybacz mi. Podziwiam twoją cierpliwość.

– Nie, nie. Rozumiem, co czujesz, Wenno.

– Powiedz mamie, że napiszę. Tak będzie lepiej.

– Elizabeth nie przyszła na ślub. Pan Warleggan też. Zaprosiłaś ich?

– Są ciągle w Londynie, na szczęście. Zdaje się, że wrócą w przyszłym tygodniu.

– Powiesz Elizabeth prawdę?

– Prawdę? – Morwenna uniosła wzrok. – Prawdę, o nie... Po co? Prawdę należy ukryć. Wystarczy powiedzieć Elizabeth, że Rowella źle wyszła za mąż.

Wkrótce potem obie siostry położyły się spać. Dylizans miał przyjechać o siódmej, więc powinny wstać skoro świt. Kiedy Garlanda wspięła się na drugie piętro, Morwenna poszła zobaczyć, czy John Conan zasnął. Okazało się, że tak, więc sama też się położyła. Miała nadzieję, że zapomni o napięciach długiego dnia w trakcie lektury książki, lecz nawet ona budziła dręczące skojarzenia, gdyż pochodziła z biblioteki.

W końcu zrezygnowała, odłożyła książkę i wychyliła się z łóżka, by zgasić świecę. W tej samej chwili do sypialni wszedł Ossie w eleganckim surducie, koszuli z żabotem, kanarkowej kamizelce w prążki i obcisłych spodniach na grubych, muskularnych nogach.

Morwenna cofnęła rękę od świecy.

– Dlaczego wróciłeś tak wcześnie?

Ossie prychnął.

– Pearce miał atak podagry, rozegraliśmy tylko sześć rozdań. Mówił, że nie może dalej grać z powodu bólu. Gdyby nie reszta towarzystwa, w ogóle nie zapraszałbym go na wista. Ciągle coś mu dolega!

– Jest już stary, prawda?

– Więc powinien nas uprzedzić! Kiedy się wycofał, było już za późno, by znaleźć czwartego.

Wielebny Whitworth podszedł do łóżka, poprawił halsztuk i popatrzył na siebie w lustrze. Kątem oka dojrzał, że Morwenna spogląda na niego. Ostatnio rzadko bywał w tym pokoju, bo w trakcie choroby żony sypiali osobno, a później odwiedzał ją tylko od czasu do czasu, by skorzystać ze swoich praw.

Oczywiście nie robił tego z przerażającą regularnością jak na początku małżeństwa, lecz Morwenna natychmiast zrozumiała, że tym razem właśnie o to chodzi. Gra w wista się nie udała.

Osborne stał przez chwilę przed lustrem, ciągle patrząc na siebie, po czym próbował rozmawiać z żoną o ślubie, ale był to głównie monolog. Morwenna kilkakrotnie przytaknęła i nie odpowiadała, pozwalając mu mówić. W końcu umilkł.

Zapadła cisza. Na ścianie poruszał się cień wahadła francuskiego zegara ze złoczonego brązu, stojącego na kominku.

– Morwenno, nie wątpię, że wieczorem odpoczęłaś po męczącym dniu... – zaczął.

– Nie, Ossie – przerwała.

W dalszym ciągu się nie odwrócił.

– Nie? Nie odpoczęłaś? Przecież przez cały wieczór...

– Odpowiadam na pytanie, które zamierzałeś zadać. Mam nadzieję... mam nadzieję, że nie będziesz musiał go zadać.

– Chciałem powiedzieć...

– Proszę, nie mów tego, a wtedy ta rozmowa skończy się, nim się zaczęła.

– Myślę, że się zapominasz, moja droga – rzekł.

– Myślę, myślę, Osborne, że to raczej ty się zapominasz, przychodząc tu dziś wieczorem!

Kiedy się odwrócił, twarz Morwenny była prawie szara. Jeszcze nigdy tak otwarcie mu się nie sprzeciwiła. Wydawało się, że Whitworth puchnie. Często tak wyglądał w chwilach złości.

– Morwenno! Cóż za wybuch! Przyszedłem tu po przyjacielsku, by cię zobaczyć, nim udam się na spoczynek. Oczywiście pamiętam o obowiązkach, które mąż jest winien żonie, i spodziewam się, że uznasz, iż święty węzeł małżeński nakazuje ci...

– Już tak robiłam, ale więcej nie będę...

Ossie nie słuchał.

– Nawet próba odmowy świadczy o krnąbrnym usposobieniu. Nigdy cię o to nie podejrzewałem. Nie będę zwracał na to uwagi, ponieważ takie zachowania na to nie zasługują. Jednak ostrzegam cię, że...

– Nie, Ossie – przerwała Morwenna i usiadła na łóżku.

– Co to znaczy?! – prawie krzyknął. – Wielkie nieba, cóż ty sobie właściwie myślisz, że uważasz się za uprawnioną do odrzucania miłości i czułości, które ma prawo okazywać mąż?! Co...

– Proszę cię, Ossie, abyś wyszedł z tego pokoju i nie zbliżał się do mnie tej nocy – ani nigdy więcej!

– Nigdy więcej?! Postradałaś rozum, kobieto?! – Zaczął rozwiązywać halsztuk. – Z pewnością nie odejdę. Z pewnością zrobię to, co będę chciał.

Westchnęła głęboko.

– Czy posiadałeś Rowellę w równie brutalny sposób?

Jego dłonie się zatrzymały. Drżały lekko. Odłożył halsztuk.

– Jakie lubieżne, nieprzyzwoite myśli przychodzą ci do głowy!

– Takie, jakie wywołało twoje zachowanie.

Wyglądał, jakby zamierzał ją uderzyć.

– Sugerujesz, że kiedykolwiek dotknąłem tej bezczelnej, rozpustnej dziewczuchy, która niedawno na zawsze opuściła nasz dom?!

Morwenna uniosła dłonie do twarzy.

– Och, Osborne, myślisz, że jestem ślepa?!

Przez chwilę panowało milczenie.

– Uważam, że twoja siostra ma w sobie zło, które można usunąć tylko egzorcyzmami. Nie przypuszczałem jednak, że spróbuje oczerniać mnie przed tobą, wypowiadając takie pomówienia...

– Powiedziałaś „ślepa”, Osborne! Ślepa! Wiesz, co to znaczy?! Myślisz, że

nigdy nie widziałam, jak wchodzisz po schodach do jej pokoju?! Myślisz, że ani razu nie miałam odwagi iść za tobą?!

Pojedyncza świeca zamigotała od gestu wykonanego przez Morwennę i na ścianie zatańczyły cienie, jakby wstrząśnięte jej słowami. Nic nigdy nie mogło być takie samo.

Osborne zdjął surdut i powiesił go na krześle. Otarł dłonią oczy, po czym zdjął kamizelkę i ułożył ją obok surduta. Wydawał się mniejszy, nie wiadomo, czy dlatego, że zdjął część ubrania, czy dlatego, że opuszczał go gniew.

– To, co powiedziałem o twojej siostrze, to prawda – rzekł. – Ma w sobie zło, które doprowadza człowieka do szaleństwa. Nigdy nie myślałem – nigdy nawet nie śniłem, że coś się może między nami wydarzyć. Rowella jest opętana. Na pewien czas ja również stałem się opętany. To wszystko, co mogę powiedzieć.

– Wszystko?!

– Cóż, prawie wszystko. Twoja choroba pozbawiła mnie naturalnego ujścia dla potrzeb cielesnych. Wykorzystała to.

– A teraz poślubiła człowieka, którego prawie nie zna, by ukryć twoją hańbę?

– Nie masz prawa tak mówić!

– A ty masz prawo wracać do mnie, gdy od nas odeszła?

– To, co się stało, nie ma żadnego znaczenia. To tylko tymczasowy incydent.

– Rowella pomogła ci wszystko zatuszować?

– Za pewną cenę.

– Ach... tak podejrzewałam.

Whitworth znów się zarumienił.

– Nie podoba mi się twój ton. Wcale, Morwanno, wcale.

– A mnie się nie podoba twoje zachowanie.

Poszedł do okna, rozsunął zasłony i wyjrzał na dwór. Jego łagodna, potulna

żona jeszcze nigdy nie okazywała takiej wściekłości, nie była taka niemila, nigdy nie odpowiadała mu w taki sposób. Zazwyczaj wystarczyło podnieść głos, rzucić nieprzyjemne słowo. Naturalnie był w niekorzystnej sytuacji, bardzo niekorzystnej, ponieważ popełnił błąd i Morwenna to odkryła. Był wstrząśnięty, że wie, i zastanawiał się, od jak dawna – czuł złość, że próbuje go ganić za coś, za co w rzeczywistości sama ponosi winę. To, że Morwenna wie, z pewnością oznacza jej współuczestnictwo w całej sprawie. Skoro wiedziała, powinna natychmiast odesłać siostrę do Bodmin – każda przyzwoita żona tak właśnie by postąpiła. Może siostry spiskowały przeciwko niemu?! Czuł, że nigdy nie uwolni się od kłopotów, i szczerze żałował, że poślubił tę bezużyteczną istotę, która, to prawda, urodziła mu syna, lecz poza tym już od dnia ślubu była niczym bolesny cierń.

Odwrócił się i popatrzył na Morwennę. Siedziała na łóżku w pięknej wełnianej koszuli nocnej, z szarą twarzą i podkrążonymi oczami. Wyglądała tragicznie. Smukłe białe dłonie ścisnęły prześcieradło, czarne włosy opadały na ramiona. Ossie już od trzech tygodni nie miał kobiety. Było to wyjątkowo niesprawiedliwe. Oblizał wargi.

– Morwenno... twoja siostra odeszła. Nigdy nie wróci. To, co się między nami wydarzyło, jest skończone. Może wszyscy popełniliśmy błędy. Dużo wycierpiałem, zapewniam cię. Tylko Bóg wie, kto jest naprawdę winny, nie my. Nie śmiertelni ludzie. Dlatego proponuję, byśmy zakończyli tę historię i zaczęli wszystko od początku. Jesteśmy połączeni świętym węzłem małżeńskim i nic nie może nas rozłączyć. Nasz związek został pobłogosławiony narodzinami syna. Proponuję, żebyśmy odmówili razem modlitwę i poprosili Boga o błogosławieństwo dla naszego związku i owoców, które może wydać.

Morwenna pokręciła głową.

– Nie mogę się z tobą modlić, Ossie.

– W takim razie pomodlę się sam – na głos – obok łóżka.

– Możesz się modlić, nie mogę cię powstrzymać, ale proszę, byś szukał zaspokojenia swoich żądz gdzie indziej.

– To niemożliwe. Jestem z tobą związany sakramentem Kościoła.

– Nie przeszkodziło ci to zhańbić mojej siostry.

– W takim razie musisz mi pomóc uniknąć takiego błędu w przyszłości. To twój obowiązek. Święty obowiązek.

– Nie mogę wypełnić tego obowiązku.

– Musisz. Przysięgłeś.

– W takim razie muszę złamać przysięgę.

Whitworth oddychał coraz głębiej, wzbierały w nim gniew i frustracja.

– Musisz mi pomóc, Morwenno. Potrzebuję twojej pomocy. Po prostu odmówię krótką modlitwę.

Podszedł do końca łóżka i uklęknął w obcisłych spodniach z nankinu. Morwenna spoglądała na niego z przerażeniem.

– „Wiekuisty Boże – zaczął – Stwórczo i Opiekunie wszystkich ludzi, Dawco wszystkich łask duchowych i Sprawco żywota wiecznego, ześlij błogosławieństwo Swoje na Twe sługi, tego mężczyznę i tę niewiastę...” ¹³

– Ossie! – wrzasnęła Morwenna. – Ossie! Nie dotkniesz mnie!

– „...Panie, zbaw sługę Twego i służebnicę Twoją, którzy nadzieję swoją w Tobie pokładają...” ¹⁴ – Przerwał modlitwę i spojrzał na żonę. – Nie możesz mi odmówić, Morwenno. To wbrew nauce Kościoła. To również wbrew prawu obowiązującemu w Anglii. Zgodnie z prawem żaden mężczyzna nie może zostać oskarżony o gwałt na własnej żonie. Uniemożliwia to definicja małżeństwa...

– Jeśli mnie dotkniesz, będę walczyć!

– „O Boże, któryś nauczał, aby nikt nie rozłączał tych, których Ty w związku małżeńskim zjednoczyłeś, któryś poświęcił stan małżeński

i wyniósł tak wysoko, że w nim jest wyobrażenie duchowego małżeństwa i jedności...” [15](#)

– Ossie! – syknęła z wściekłością Morwenna. – Ossie! Zrobię coś jeszcze! Posłuchaj mnie. Jeśli mnie zmusisz, dzisiaj albo w przyszłości, jutro... to następnego dnia... zabiję twojego syna!

Whitworth przestał się modlić. Rozłączył ręce i spojrzał wzdłuż łóżka na przerażoną kobietę odsuwającą się od niego w stronę kotary łączącej się z baldachimem.

– Co zrobisz?!

– Myślisz, że kocham naszego syna? Tak, kocham. Częściowo tak. Ale nie tak bardzo, jak nienawidzę tego, co zrobiłeś. Jesteśmy związani przysięgą małżeńską, więc nie mogę cię opuścić. I dlatego... dlatego... jeśli przysięgniesz, że nigdy więcej mnie nie dotkniesz, nigdy więcej mnie nie dotkniesz, pozostanę twoją żoną, tylko z pozoru; będę się opiekować twoim synem, będę dobrą matką dla twoich córek, będę się zajmować domem i pomagać ci w sprawach parafii. Nikt nie powie, że nie wypełniam swoich obowiązków! Ale jeśli się do mnie zbliżysz, dotkniesz mnie, zbrukasz moje ciało, następnego dnia zabiję twojego syna! Przysięgam, Osborne, przysięgam przed Bogiem! Nic, co powiesz albo zrobisz, nie zmieni mojej decyzji!

Whitworth wstał.

– Zwariowałaś! Oszalałaś! Wielkie nieba, kompletnie postradałaś zmysły! Twoje miejsce jest w Bedlam!

– Może. Może to mnie czeka po śmierci Johna Conana. Nie możesz mnie wcześniej tam zamknąć, bo niczego nie zrobiłam i zaprzeczę, że kiedykolwiek ci groziłam zabiciem syna. Ale zrobię to, Osborne. Przysięgam! Przysięgam ci! Przysięgam przed Bogiem!

Stał, oblizywał wargi i spoglądał na wykrzywioną wściekłością twarz żony. Czy to naprawdę ta potulna dziewczyna, którą poślubił? Skurczona,

zapłakana, pełna furii wiedźma, która podrapałaby go jak kotka, gdyby zrobił krok w jej stronę? Cóż za groźba! Grozi, że zabije własnego syna! Johna Conana Osborne'a Whitwortha, jego pierwszego męskiego potomka! Swoje dziecko! Czy mówi poważnie? Nonsens! To po prostu histeria kobiety, która doprowadziła się do wściekłości z powodu prawdziwych lub urojonych krzywd. Przypomniawszy sobie jej konwulsje w czasie porodu. Naturalnie wszystko jest wynikiem choroby nerwów. Jutro zapomni to, co dziś powiedziała. Tak... ale czy nie lepiej dać jej spokój przynajmniej tego wieczoru? Czy nie lepiej, trochę bezpieczniej, przynajmniej raz nie wywoływać konfliktu, zwłaszcza że w domu jest w tej chwili druga z tych potwornych sióstr?

Co za dzień! Męczący ślub, wyjątkowo przykry, nieudana partia wista z powodu dolegliwości tego starego durnia Pearce'a, a teraz to! Popatrzył znowu na Morwenę, by sprawdzić, czy jej nastrój się nie zmienia. Może, przypadkiem, po gwałtownym proteście, za chwilę zaleje się łzami, a on mógłby ją pocieszyć i niby przypadkowo wślizgnąć się do łóżka.

Łzy na jej twarzy świadczyły o determinacji, nie zaś o zbliżającym się załamaniu. W dalszym ciągu była bliska szaleństwa. Wiedział, że gdyby choć raz jej ustąpił, byłby to niebezpieczny precedens, bo w przyszłości mogłaby próbować narzucać mu swoją wolę. Ale co miał zrobić? Mógł postawić na swoim, pokonać jej opór i skorzystać ze swoich praw małżeńskich. Nie byłoby to trudne i wydawało się dość atrakcyjną perspektywą, lecz wypowiedziana przez nią groźba wzbudziła w nim lekki niepokój. Gdyby ją teraz posiadał, jutro by się martwił, martwił o zdrowie swojego małego syna. Było to niesłychane, ale prawdziwe. Jutro wszystko się zmieni, nadejdzie nowy dzień. Rowella opuściła dom i zniknęła, więc wszystko będzie wyglądać inaczej.

– Jesteś wyjątkowo wytrącona z równowagi, Morwenno – powiedział. – Przez pewien czas chorowałaś i nie chcę cię znowu denerwować. Zostawię

cię teraz. Zostawię cię, żebyś przemyślała swoją rolę w tym domu i obowiązki wobec mnie, lecz nigdy więcej nie chcę słyszeć tego, co dziś powiedziałaś! Nigdy! To największe bluźnierstwo, jakie można wymyślić, nawet jako pusta groźba. Usuń ze swojego umysłu to zło, bo inaczej rzeczywiście postradasz zmysły i trzeba będzie ci zapewnić właściwą opiekę. Jako córka duchownego módl się o przebaczenie, że takie myśli kiedykolwiek powstały w twojej głowie. Ja także będę się za ciebie modlić. Jeśli w ciągu kilku dni twój stan się nie poprawi, pošlę po doktora Behenę.

Odwrócił się i wyszedł, zatrzasnął za sobą drzwi z niepotrzebną siłą. Był to efektowny gest, próba zamaskowania tymczasowej porażki. Ale zapomniał zabrać surdut i kamizelkę, co świadczyło o poniesionej klęsce.

Rozdział ósmy

1

Tuż przed Wielkanocą Drake dowiedział się, że Warlegganowie wrócili do dworu w Trenwith, i postanowił odwiedzić panią Warleggan.

Geoffrey Charles nie przyjechał do domu na Boże Narodzenie, bo jego rodzice przebywali w Londynie. Drake wiedział, że ferie wielkanocne w Harrow trwają tylko dwa tygodnie, nie było więc szans, by chłopiec pojawił się w Trenwith.

Nie zamierzał zachowywać się bezczelnie i chciał to wyjaśnić już na samym początku. Pragnął po prostu przez kilka minut z należytą powagą porozmawiać z panią Warleggan na temat Geoffreya Charlesa i narastających prześladowań, których był ofiarą. Wiele razy widywał panią Warleggan z pewnej odległości i wiedział, że cieszy się w okolicznych wioskach wielkim szacunkiem, toteż nie wierzył, że może mieć coś wspólnego z tym, co się dzieje.

Przede wszystkim chciał powiedzieć, że chociaż bardzo szanuje i lubi Geoffreya Charlesa, nie szuka specjalnie jego przyjaźni, ale mieszkając w tym miejscu, nie może nie przyjmować chłopca ani z nim nie rozmawiać, gdy Geoffrey Charles go odwiedza. Ceni sobie jego przyjaźń i ma nadzieję, że będzie trwała całe życie, skoro jednak państwo Warlegganowie nie aprobują ich znajomości, powinni sprawić, by się zakończyła. W tym celu powinni zabronić Geoffroyowi Charlesowi przychodzić do kuźni Pally'ego, co

zakończyłoby sprawę. Drake nie będzie próbował odnowić przyjaźni. Czy pani Warleggan wie, że farma leżąca bezpośrednio nad jego gospodarstwem została zakupiona przez niejakiego pana Coke'a? Wszyscy mówią, że to reprezentant państwa Warlegganów. W rezultacie zmieniono bieg strumienia płynącego obok kuźni, więc w okresie suszy Drake nie ma dość wody, by pracować w swoim rzemiośle. Czy wie o próbach, częściowo udanych, zatrucia wody w studni przez wrzucanie do niej zdechłych szczurów? Czy wie, że wozy lub inne rzeczy, które Drake naprawia, bywają niszczone? Czy wie, że niektórzy nie korzystają już z jego usług, gdyż obawiają się konsekwencji?

Drake miał nadzieję powiedzieć to wszystko spokojnie i z szacunkiem, a później spytać, czy pani Warleggan mogłaby coś zrobić, by to wszystko się skończyło. Gdyby powiedziała, że prześladowania to tylko jego imaginacja, zamierzał przedstawić kilka dowodów.

Zdawał sobie sprawę, że może nie zostać przyjęty w dworze w Trenwith, że jest tylko skromnym rzemieślnikiem i że pan Warleggan go nie lubi. Przez kilka dni miał nadzieję na rozmowę z panią Warleggan w wiosce, ale jej nie spotkał.

W Wielki Czwartek wyruszył w drogę do Trenwith. Był piękny, słoneczny dzień, choć wiał gwałtowny, lodowato zimny wschodni wiatr. W ciągu nocy morze się wzburzyło i nad załamującymi się falami tryskały w górę fontanny pyłu wodnego. Niebo przybrało ciemnoniebieski kolor, a krajobraz był bezbarwny.

Ponieważ Drake miał oficjalną sprawę, nie szedł niedozwoloną drogą na skróty, lecz dotarł do bramy i ruszył podjazdem. Przed dwoma laty wiele razy chodził tędy na spotkania z Morwenną i Geoffreyem Charlesem. Kiedy mijał bramę, zawsze przypominały mu się tamte czasy: szczęśliwe, a zarazem bolesne. Teraz, idąc podjazdem, czuł to wyjątkowo wyraźnie.

Zobaczył w oddali dwór. Z lasu, gdzie kiedyś zbierał dzwonki, wyszedł

mężczyzna i ruszył w jego stronę. Drake poznał Toma Harry'ego i leciutko przyspieszył kroku, by uniknąć spotkania.

– Hej, ty! – zawołał Harry.

Drake prawie dotarł do drugiej bramy prowadzącej do ogrodu.

– Hej, ty! Gdzie leziesz?!

Drake musiał się zatrzymać. Gajowy miał w ręce kij i szedł prosto na niego. Na twarzy Harry'ego pojawił się kwaśny grymas.

– No co?!

– Przyszedłem spytać, czy pani Warleggan zechce mnie przyjąć. Zajmę jej tylko pięć minut.

– Przyjąć? Ciebie? Po co?

– Chciałbym ją o coś poprosić. To dla mnie bardzo ważne. Pójdę do tylnych drzwi i zapytam. Jeśli się nie zgodzi, odejdę.

– Zaraz i tak odejdiesz! – warknął Harry. W ciągu ostatniego roku znienawidził braci Carne'ów. Po pierwsze, Samuel, ten przekłety kaznodzieja, zaczął się czepiać jego dziewczyny, próbował z niej zrobić świątobliwą metodystkę. Chociaż mu się nie udało i Emma śmiała się z niego za każdym razem, gdy go mijala, Tom miał wrażenie, że Samuel rzucił na nią jakiś złowieszczy, biblijny urok, bo mimo że Emma nadal była dziewczyną Toma, nie chciała za niego wyjść, a czasem wpadała w zły humor, wydawała się niezadowolona i rzadziej niż dawniej płoszyła rubasznym śmiechem stada wron.

A po drugie, po drugie, przeszło rok wcześniej pojawiły się plotki, które w końcu dotarły do brudnych uszu Toma Harry'ego. Podobno straszliwa afery z ropuchami, przez którą Harry miał tyle kłopotów, to sprawa Drake'a Carne'a, młodszego brata Samuela. I oto teraz chłopak stał przed nim i w arogancki, wyjątkowo zuchwały sposób miał czelność żądać, by wpuszczono go do dworu w Trenwith na rozmowę z panią Warleggan. Nie

zniósłby tego żaden normalny człowiek. Z pewnością nie Tom Harry. Wsadził palce do ust i gwizdnął przenikliwie.

Drake popatrzył na gajowego. Zrobiłby wszystko, żeby go nie spotkać. Nie bał się Toma Harry'ego, z kijem czy bez, ale pod żadnym pozorem nie chciał, by w czasie wizyty w Trenwith doszło do bójki. Nie mógł iść dalej, bo potężny gajowy zastąpił mu drogę. Wiedział, że nie zdoła przekonać pani Warleggan o słuszności swoich racji, jeśli jeden z jej służących będzie miał rozcięte wargi i zakrwawiony nos, a on sam pojawi się przed nią w podobnym stanie.

– Cóż, jeśli nie chcesz mnie przepuścić, przyjdę innym razem – powiedział.
– Zamierzałem grzecznie o coś poprosić panią Warleggan i nie mam zamiaru wchodzić na siłę. Życzę ci miłego dnia.

– O nie, nie! – odparł Tom Harry, uśmiechając się z zaciśniętymi wargami.
– Nie odejdziesz tak szybko. Takie bezczelne typy jak ty powinny dostać nauczkę za wdzieranie się na prywatny teren. Powinieneś trafić do więzienia!

Drake usłyszał za plecami kroki, odwrócił się i zobaczył nadchodzących dwóch innych gajowych. Byli podobni do Harry'ego i widywał ich razem w wioskach Grambler i Sawle.

– Złapaliśmy nieproszonego gościa, chłopcy – powiedział Harry. – O ile to nie kłusownik. Myślę, że zakładał wnyki w lesie. Trzeba się z nim rozprawić. Co wy na to?

Jeden z przybyszów trzymał kij, a drugi smycz. Zbliżyli się na kilka kroków do Drake'a i otoczyli go. Popatrzyli na młodego mężczyznę, a potem na swojego przywódcę: nieprzyzwyczajeni, że prosi ich o radę; niezdający sobie sprawy, że tak naprawdę wcale ich o nią nie prosi.

– Chyba najlepiej zabrać go do dworu – rzekł jeden. – Zajmie się nim pani Warleggan.

– Nie – odpowiedział Harry. – Nie. Nie chcemy robić mu wielkiej

krzywdy, prawda, chłopcy? Potrzebuje po prostu nauczki. Żeby nie miał ochoty znowu się tu włóczyć. Po prostu małe lanie. Brać go!

Drake udał, że skręca w stronę Harry'ego, po czym przebiegł między dwoma pozostałymi gajowymi. Czyjaś ręka chwyciła go za bluzę, która się rozdarła. Zrzucił ją i popędził naprzód. Boleśnie uderzono go kijem w nogę, potknął się, ale nie upadł. Zmierzał w stronę lasu.

Biegał znacznie szybciej niż trzech gajowi i dotarłby do drzew przed nimi, gdyby nie uderzenie kijem. Musiał przebiec pole, przeskoczyć kamienny murek, a następnie przebyć pas zaoranej ziemi pod lasem. Normalnie przeskoczyłby murek, podpierając się dłonią, lecz mięśnie nogi miał częściowo zdrętwiałe. Potknął się o kamień na szczycie murku i upadł z łomotem po drugiej stronie. Uderzył prawą piętą w ziemię, opierając na niej cały ciężar ciała, i poczuł przeszywający ból w kostce.

Uklęknął, oparł stopę na ziemi i znów się przewrócił. Próbował skakać na jednej nodze, lecz po chwili doścignęli go gajowi i zaczęli okładać pięściami i kijami. Przewrócili go na ziemię, a później, wściekli, że o mało nie uciekł, kopali go, aż stracił przytomność.

2

Stali wokół Drake'a, dysząc ciężko, z twarzami zaczerwienionymi z wysiłku. Jeden z nich, mężczyzna nazwiskiem Kent, nie podzielał entuzjazmu Harry'ego i jego towarzysza.

– Myślę, że wystarczy, Tom. Chyba już tu nie przylezie. Zostawmy go.

– Zostawić tego bydlaka?! Nie na naszej ziemi! Nie wypełnilibyśmy swoich obowiązków.

– Moim zdaniem powinien trochę dojść do siebie.

– Nie. Szczury to odporne bestie. Nawet jak połamać szczurowi wszystkie

kości, wlezie do dziury, a następnego dnia wypełźnie, jakby nic się nie stało!

– Zaprowadzimy go do dworu? – spytał drugi.

Tom Harry pokręcił głową. Pani Warleggan mogłaby uznać, że trochę przesadzili. Gdyby przypadkiem spotkali panią Warleggan, mogliby nawet stracić pracę.

– Nie. Wrzucimy go do stawu. Zaraz oprzytomnieje.

Staw znajdował się po drugiej stronie zagajnika i przylegał do głównej drogi z Sawle do St Ann's. Okoliczni mieszkańcy poili w nim owce lub kozy, wyprowadzano tam również bydło z Trenwith. Naprzeciwko drogi znajdowało się duże gminne pastwisko, na którym organizowano festyny i wypasano zwierzęta, jeśli rosło tam trochę trawy. Pastwisko sąsiadowało ze stawem, który w okresie deszczów miał średnicę około stu metrów i głębokość około stu trzydziestu centymetrów. W czasie suszy, tak jak obecnie, malał i miał zaledwie jedną czwartą normalnej powierzchni. Głębokość zmniejszała się o połowę, a woda była zielona od szlamu i pływały w niej odchody pojonych tam zwierząt.

– Podnieście go, chłopcy! – rozkazał Tom Harry.

Dźwignęli Drake'a za ręce i nogi, zanieśli wzdłuż skraju zagajnika nad staw, a następnie rozkołysali i wrzucili do wody.

Kontakt z zimną wodą otrzeźwił chłopca. Usiadł, kaszląc i plując. Z błotnistej wody wystawały głowa i ramiona.

– A teraz zabawimy się w puszczenie kaczek, chłopcy! – zawołał Tom Harry.

Zachęcał swoich kompanów, lecz Kent nie chciał się przyłączyć. Tom i drugi gajowy podnosili z ziemi kamienie i grudy błota, a następnie ciskali nimi w Drake'a. Czasem pudłowali, czasem trafiali. Młody mężczyzna usiłował wstać, nie mógł, znowu usiadł, obolały, po czym zaczął pełznąć w stronę przeciwległego brzegu. Ścigali go ze śmiechem, zagrzewali się, by

lepiej celować, sprzeczali się, kto ile razy trafił. Na końcu staw się zwężał, odległość również była mniejsza i jeden spory kamień rzucony przez Toma trafił Drake'a w skroń. Chłopak powoli osunął się do wody, głębokiej w tym miejscu na kilkanaście centymetrów. Najpierw leżał z twarzą zanurzoną w wodzie, a później przewrócił się na plecy – część twarzy znajdowała się pod wodą, a część nad nią. Na powierzchni pojawiły się bąbelki.

– Do licha, zabijecie go! – mruknął Kent. Okrążył staw, wszedł do wody, chwycił Drake'a za zakrwawioną koszulę i wyciągnął na błotnisty brzeg. W miejscu, gdzie leżał, woda zabarwiła się na różowo.

Kent otarł ręce, wyprostował się i spojrzał na nadchodzących kompanów. Popatrzyli na nieprzytomnego chłopca, którego usta pokrywała krwawa piana.

Tom Harry splunął na Drake'a i powiedział:

– To za ropuchy, draniu. Następnym razem dobrze się zastanów. – Odwrócił się i warknął do swoich towarzyszy: – Zostawcie go! Nic mu nie będzie. Zostawcie go! Niech go zabierze braciszek, co bez przerwy gada o Biblii!

3

W okolicy stawu często przebywali ludzie, lecz, co zaskakujące, nikt nie zauważył incydentu. W końcu jeden z synów Willa Nanfana spostrzegł człowieka leżącego na ziemi, podszedł ostrożnie, popatrzył i pobiegł do matki. Char Nanfan, silna, urodziwa kobieta o pięknych złocistych włosach – teraz nieco posiwiałych – wybiegła z chaty wraz z dwiema córeczkami, wołając: „Wielkie nieba!”. Nad stawem przewróciła Drake'a na plecy i oczyściła mu usta i nos z błota. Później zawołała swojego krzepkiego dziesięcioletniego syna i razem zanieśli Carne'a do chaty. Położyli go na klepisku w kuchni, spryskali mu twarz wodą ze studni, klepali po rękach, aż wreszcie odzyskał przytomność, straszliwie kaszląc. Will Nanfan, który zajmował się owcami,

obejrzał chłopca, sprawdził, czy nie ma połamanych kości, i oznajmił, że pośle po doktora Choake'a.

Drake nie chciał się na to zgodzić, nie wyjawiał, kto go napadł. Mówił, że próbowało go obrabować trzech włóczęgów. Nie znał ich i nie potrafiłby rozpoznać, nawet gdyby ich zobaczył, bo mieli zasłonięte twarze. Wypił trochę holenderskiego ginu, zakrztusił się i wydawało się, że zwymiotuje. Powiedział, że odpocznie dziesięć minut i pójdzie do domu. Will Nanfan zaproponował, by wezwać brata, ale Drake odrzekł, że Samuel ma do szóstej szychtę w kopalni. Nie warto go niepokoić, a on dojdzie do siebie w ciągu dziesięciu minut.

Char orzekła, że to okropne, bo Drake jest przystojnym chłopcem, a teraz może zostać oszpecony na całe życie. Miał poraniony policzek, opuchnięte wargi, podbite oko i rozciętą brew. Zabandażowała policzek, by powstrzymać krwawienie; przyłożyła zimny kompres do opuchniętej kostki i powiedziała, że Drake musi leżeć przez godzinę lub dwie, nim będzie mógł wstać. Odparł, że wystarczy dziesięć minut. Powtórzył to jeszcze dwa razy, po czym skapitulował i zapadł w półsen, z którego obudził go Samuel.

– Posłali po ciebie? – spytał Drake. – Nie powinni tego robić.

Samuel odparł, że jest po szóstej i że przyszedł prosto z szychty, a Drake odpowiedział:

– Wielki Boże, to już tyle czasu? Zgaśnie mi palenisko!

Po trzydziestu minutach wyruszyli do domu. Słońce przypominało rozgrzaną do czerwoności monetę wiszącą nad zamglonym morzem.

Po drodze Samuel wszystkiego się dowiedział. Drake nakazał bratu zachowanie tajemnicy. Miał na sobie pożyczoną koszulę, kulał i szedł tak wolno, że wkrótce ogarnęła ich ciemność.

– Nie chodzi o mnie, po prostu nie powinniśmy powiększać wzajemnej wrogości, rozumiesz. Może popełniłem błąd, uważając...

– Postąpiłeś wyjątkowo głupio – odparł łagodnie Samuel. – Wyjątkowo głupio. Powiniennem z tobą pójść. Tom Harry to biedny człowiek, pogrążony w grzechu. Tkwi w diabelskich okowach. Nie możemy powstrzymać waśni...

– Nie możemy powstrzymać, ale ważne, by nie dowiedział się o tym kapitan Poldark.

– Tak... tak... W wiosce trudno utrzymać coś w tajemnicy. Nikt cię nie widział?

– Chyba nie. Wydaje mi się, że nie. Już i tak narobiłem dość kłopotów, zasiałem ziarno niezgody między Poldarkami a Warlegganami. Gdyby to się wydało, kto wie, co by z tego wynikło? I tak dużo zawdzięczamy kapitanowi Poldarkowi. Gdyby się o tym dowiedział, Bóg jeden wie, co mógłby zrobić. Nie możemy do tego dopuścić. Ze względu na Demelzę i ze względu na nas.

– Przebaczenie to cnota chrześcijańska, ale... Drake...

– Zaczekaj, zaraz wstanę. Co chciałeś powiedzieć?

– Mamy obowiązek podążać drogą, którą wybrał dla nas wszechwiedzący Bóg. Wstawać skoro świt, późno chodzić spać, przykładać się do pracy. Właśnie tak każe nam postępować nasz Ojciec, gdy oczyścimy nasze dusze. Ale... nie wiem, czy możesz być dalej kowalem w tej okolicy, Drake. Jesteś prześladowany, cała twoja praca idzie na marne. Teraz...

Drake wstał i znów ruszyli naprzód.

– Muszę ci coś powiedzieć – rzekł. – Nie zamierzam się poddać.

– Tak... – Sam spojrział na pokiereszowaną twarz brata. – Boję się o ciebie.

– O moją duszę?

– To także, jak dobrze wiesz. Boję się o twoje życie i zdrowie w świecie doczesnym. Niewiele brakowało, byś się utopił albo by połamali ci zębra. Proszę Boga o przebaczenie, jeśli zbyt mocno kocham brata, ale byłoby mi ciężko, gdyby coś ci się stało. Gdybyś musiał codziennie lękać się o życie

i zdrowie, trudno byłoby to wytrzymać... Może gdybyś sprzedał gospodarstwo, łatwo byłoby znaleźć podobną pracę w Redruth czy Camborne – bliżej Illuggan. Później mógłbyś...

– Nie zamierzam się poddać – przerwał mu Drake.

Nie rozmawiali ze sobą więcej przed dotarciem do kuźni. Samuel nie chciał, żeby brat wchodził na piętro, bo obawiał się, że przez noc zeszywnieje i nie będzie w stanie zejść. Przyniósł dwa koce. W kuchni było trochę gotowanego królika. Samuel podgrzał mięso i podał z ziemniakami i jęczmiennym chlebem. Ucieszył się, że Drake zjadł kilka kęsów.

Później sprzątnął ze stołu i odmówił modlitwę. Postanowił przenocować, lecz przed pójściem spać chciał wybadać brata. Ślepa determinacja, by trwać w tym miejscu, nie wydawała się rozsądna. Prześladowania mogą się nasilić. Wypowiedział swoje myśli na głos.

Drake skinął głową.

– Tak, to prawda.

– A Ross i Demelza... Rozumiem – rzekł Sam. – Ale jeśli nie chcesz ich wplątać w kłopoty...

– Zrobię to, co postanowiłem dziś zrobić. Porozmawiam z panią Warleggan.

– Pójdę z tobą. Jeśli wybierzesz się sam, czeka cię coś jeszcze gorszego. Razem...

– Nie... Ty też się do tego nie mieszaj, Sam. Spotkam się z nią gdzie indziej.

– Gdzie? Może się wybrać na przejażdżkę konną, ale nie spodoba jej się, jeśli...

– Porozmawiam z nią w Truro, gdy tam przyjedzie. W mieście nie będzie gajowych.

– Będą służący. Mogą być okrutniejsi w swojej nieprawości.

– Nie znają mnie. Myślę, że pani Warleggan mnie przyjmie. Opowiem jej wszystko i poproszę o pomoc.

Sam zastanawiał się przez chwilę.

– Nigdy z nią nie rozmawiałeś?

– Nie, nigdy.

– Nic nie zrobiła, gdy oskarżono cię o kradzież Biblii Geoffreya Charlesa.

– Tak, ale pozwalała mu do mnie przychodzić przez całe lato.

– Dlaczego myślisz, że pomoże?

Drake przewrócił się na drugi bok, z wielkim bólem i nieskończoną cierpliwością.

– Czuję, że chce, by postępowano uczciwie.

Rozdział dziewiąty

1

Warlegganowie mieszkali w Trenwith do trzeciego tygodnia kwietnia. Tymczasem Drake zdrowiał i liczne stłuczenia na ciele przestały mu dokuczać. Rana na policzku się zagoiła, fioletowe i czerwone sińce przybladły, nie kulał. Wydawało się jednak mało prawdopodobne, że jego twarz będzie taka jak przedtem. Szczeka w dalszym ciągu była opuchnięta, miał wyraźną bliznę na lewej brwi.

Demelza dowiedziała się o napaści dopiero po tygodniu i była wściekła. Martwił ją wygląd Drake'a, niepokoiła się, że najmłodszy brat nie może się uwolnić od pecha prześladowającego go od chwili poznania Morwenny. Nie wierzyła w jego zapewnienia, że nie zna trzech mężczyzn, którzy go zaatakowali, i że nie zdołałby ich rozpoznać. Oświadczyła, że jej zdaniem to nieprawda, i spytała, czy to sprawka gajowych Warlegganów.

– Mieliśmy kiedyś przykrą przygodę z Garrickiem – powiedziała. – Ross wrócił do domu, a później poszedł do Trenwith i powiedział George'owi, że jeśli to się powtórzy, będzie to miało dla niego przykre konsekwencje. Próbowałam powstrzymać Rossa – dodała. – Nie chciałam być przyczyną nowych kłopotów, ale mnie nie posłuchał i poszedł.

– Ja też nie chcę nowych kłopotów – odparł Drake.

– Więc to oni.

– Ja tego nie powiedziałem.

– Tym gorzej.

– Proszę cię, żebyś nie mówiła kapitanowi Rossowi. Nieważne, czy to gajowi, czy włóczędzy. Jeśli mu powiesz, że mnie pobito, natychmiast zaczną podejrzewać to samo co ty.

– I tak usłyszy, że cię pobito. W tej chwili ćwiczy z ochotnikami i wróci do domu dopiero w piątek.

– Jeśli się o tym dowie, powiedz mu, że to nic wielkiego, że mam kilka siniaków, ale to nic poważnego.

– Skoro to gajowi Warlegganów, a nie włóczędzy, wszystko może się powtórzyć.

– Nie, jeśli będę ostrożny. A będę ostrożny, Demelzo.

Wschodni wiatr podrywał z dziedzińca kurz i popiół, które tworzyły niewielkie wiry. Ognia w palenisku kuźni nie trzeba było podsycać miechami. Demelza okręciła się ciasniej peleryną i wyjęła z ust kosmyk włosów.

– Te... prześladowania...

– Myślę, że się skończą.

– Dlaczego? Co miałyby to sprawić?

Uśmiechnął się, choć bez przekonania.

– Potrzebna jest cierpliwość, siostró. Pamiętasz, co zawsze mówi Samuel? „Z krainy śmierci, spośród wrogów, Ty mnie wywiodłeś, Panie” [16](#).

– Och, Samuel... Bardzo kocham Samuela – kto by go nie kochał? – ale nie poradzi sobie ze złymi ludźmi. Poza tym myśli tylko o duszy.

– Może. Mam nadzieję, że nie będę potrzebował jego pomocy, duchowej ani innej. Mam plan.

– Jaki plan?

– Nie mogę powiedzieć, siostró. Jeśli mi się nie uda, nie będzie gorzej.

Demelza popatrzyła na brata. Ostatnio bardzo wydorósł. Czuła żal, że zniknął niemal cały jego młodzieńczy urok.

– Uważaj na siebie – powiedziała. – Jeśli znowu coś ci się stanie, powiem Rossowi, czy tego chcesz, czy nie.

2

Drake bez trudu ustalił, kiedy Warlegganowie wyjechali do Truro. Zdobywszy tę informację, spakował trochę chleba i sera, po czym ruszył pieszo do miasta. Teraz, gdy Warleggan został posłem do Izby Gmin, nie można było przewidzieć, jak długo pozostanie w Kornwalii, lecz należało przypuszczać, że przed wyjazdem do Londynu spędzi przynajmniej dwa dni w swoim domu w Truro.

Miał rację. Nazajutrz rano przyszedł do domu i zastał Elizabeth. Zastukał do tylnych drzwi, a następnie podał swoje nazwisko pomywaczce, która mu otworzyła. Po chwili pojawił się lokaj o kamiennej, wrogiej twarzy, patrzył na niego groźnym wzrokiem, próbując go zastraszyć. Drake wyjaśnił, że chciałby się zobaczyć z panią Warleggan; nie chciał podać powodu wizyty. Domyślał się, że służący nie mogą go wyrzucić, nie pytając właścicielki, i zakładał, że zostanie przyjęty, gdyż pani Warleggan, słysząc jego nazwisko, uzna, że sprawa dotyczy Geoffreya Charlesa.

Elizabeth przyjęła Drake'a w dużym salonie na pierwszym piętrze. Była ubrana na biało, w strój, który często nosiła: gorset bez ozdób, prostą, długą suknię wciętą w tali, z koronką pod szyją i na mankietach. Wydawała się chłodna i nieskalana życiem. Chociaż Drake często widywał ją wcześniej w kościele albo gdy jeździła konno, jej piękno i młodość zrobiły na nim wrażenie, podobnie jak na większości mężczyzn. Elizabeth widywała go tylko z daleka, lecz również zrobił na niej wrażenie: wysoki, blady chłopiec o ciemnych oczach, z blizną na twarzy, mówiący z miękkim kornwalijskim akcentem. Zachowywał się grzecznie, nie okazywał zdenerwowania, był nieco

podobny do nielubianej przez nią Demelzy, jednak w przypadku młodego mężczyzny odczucie było inne. Kiedy mówił, przypominała sobie jego bezczelność, gdy próbował się zbliżyć do jej kuzynki Morwenny, a także wszystkie spowodowane przez niego kłopoty związane z George'em i Geoffreyem Charlesem. Zdała sobie sprawę, że jego pojawienie się tutaj również jest wyjątkowo bezczelne.

Prawie go nie słuchała, nie zwracała uwagi na to, co mówi, i szykowała się do pociągnięcia za sznur dzwonka, by go wyprowadzono, lecz stopniowo zaczęły do niej docierać wypowiedzane zdania.

– Sugerujesz, ośmielasz się sugerować, że te prześladowania, jak je nazywasz, to sprawka naszych służących?

– Tak, pani. Przepraszam, że zwracam pani głowę, ale głęboko wierzę, że nic pani o tym nie wie. Jeśli...

– Nie wiem? Twierdzisz zatem, że nastąpiło to na rozkaz pana Warleggana?

– Nie mogę tego powiedzieć, pani. Może ktoś inny kazał panu Coke'owi kupić ziemię nad moim gospodarstwem i odciąć mi wodę. Tom Harry, Michael Kent i Sid Rowe bili mnie i kopali, aż straciłem przytomność. Rozcięli mi brew, pani. Nie mogę oddychać połową nosa...

– Co robiłeś, kiedy cię napadli?

– Szedłem podjazdem do dworu, pani. Miałem nadzieję, że zechce mnie pani przyjąć. Chciałem obiecać, że nigdy więcej się nie spotkam z paniczem Geoffreyem Charlesem, gdybym dzięki temu mógł żyć w spokoju.

Elizabeth podeszła do okna. Była wściekła. W dalszym ciągu chciała wyrzucić tego młodego człowieka, bardzo pragnęła zaprzeczyć jego słowom i nazwać go kłamcą. Trudność polegała na tym, że nie była pewna, czy to kłamstwo. Wiedziała, że George jest zirytowany z powodu podarowania temu chłopcu gospodarstwa Pally'ego i czuje złość, niemal zazdrość, że Carne w dalszym ciągu serdecznie się przyjaźni z Geoffreyem Charlesem. George

uważał – przynajmniej tak się wydawało – że Drake’owi celowo kupiono kuźnię, by zrobić afront właścicielom Trenwith. Traktował to jako prowokację. Wiedziała również, że gajowi otrzymali polecenie, by surowo traktować każdego, kto wkracza bez pozwolenia na teren posiadłości.

Ale nie kogoś idącego w dobrej wierze głównym podjazdem, by się z nią zobaczyć! Zastanawiała się, czy powinna wierzyć w opowieść Drake’a Carne’a. Mógł przyjść, by zrobić złośliwy kawał. Dwa lata temu miał czelność regularnie odwiedzać dwór, gdy przebywali w nim tylko Morwenna i Geoffrey Charles. Nie wolno go zachęcać do impertynencji. Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Czy jej własny syn jest dobrym sędzią ludzkich charakterów? Oto młody człowiek, którego Geoffrey Charles uważa za znacznie ciekawszego kompana od wszystkich okolicznych chłopców z jego sfery społecznej. Carne nie wygląda na aroganckiego kłamcę. Jak wyrobić sobie o nim zdanie?

– Opowiedz mi wszystko od początku – rzekła. – Kiedy zaczęły się te prześladowania?

Drake jeszcze raz zrelacjonował przebieg wydarzeń.

– Jakie masz dowody?

– Ciotka Molly Vage – mieszka na wzgórzu niedaleko mnie – mówi, że widziała mężczyzn, którzy przeskakiwali przez moje ogrodzenie, gdy nie było mnie w domu. Poznała po ubraniach, że są z Trenwith. Jack Mullet mówi, że wszyscy wiedzą, że ludzie z Trenwith niszczą to, co naprawiam. Nikt nie widział, jak Tom Harry, Sid Rowe i Michael Kent mnie pobili, ale mam na ciele ślady, które są jakimś dowodem, pani. Jeśli mi pani wybaczy, to już blisko trzy tygodnie, lecz siniaki jeszcze nie znikły. Jeśli mi pani wybaczy...

Rozchylił bluzę i uniósł koszulę, pokazując przybladłe czarne plamy w okolicy żeber.

– Dość! – rzuciła Elizabeth, łapiąc oddech. – A zatem twierdzisz...

– Co tu robi ten człowiek?! – spytał ostro George Warleggan, który pojawił się w drzwiach.

Drake zaczerwienił się i opuścił rozchełstaną koszulę.

George wszedł do pokoju, po czym stanął z rękami splecionymi do tyłu.

– To Drake Carne – wyjaśniła Elizabeth. – Chciał się ze mną...

– Wiem, kto to jest. Jakim prawem został wpuszczony do tego domu?

– Zamierzałam ci powiedzieć. Chciał się ze mną zobaczyć i uznałam za właściwe dowiedzieć się, czego chce. – Skinęła głową w stronę Drake'a. – Myślę, że powinieneś już iść.

– Z pewnością pójdzie – rzekł George. – Zostawię służącym polecenie, że jeśli znów się tu pojawi, mają go wyrzucić.

– Idź już – powtórzyła Elizabeth.

Drake oblizał wargi.

– Dziękuję pani. Nie chciałem być niegrzeczny... Przepraszam, sir. Nie miałem zamiaru nikogo denerwować ani sprawiać kłopotów. – Podeszedł powoli do drzwi, mijając George'a w bliskiej odległości. Wydawał się wysoki, silny i nawet w tej sytuacji miał w sobie pewną godność.

– Zaczekaj – powiedział George.

Drake przystanął. George pociągnął za sznur dzwonka. Po chwili pojawił się służący.

– Wyprowadź tego człowieka – rozkazał Warleggan.

3

Po odejściu Drake'a George wyszedł z pokoju, nie odzywając się do Elizabeth. Spotkali się dopiero przy kolacji. Miał kamienną twarz. W połowie posiłku zauważył, że wyraz jej twarzy jest jeszcze twardszy. Zamówił na ósmą rano karete, więc przed snem należało się spakować. W końcu, gdy służący na

pewien czas opuścili jadalnię, spytał żonę, czy jest już przygotowana do podróży.

– Nic nie zrobiłam od rana – odpowiedziała.

– Dlaczego?

– Bo nie życzę sobie, żebyś odzywał się do mnie w obecności obcych ludzi w taki sposób, jak to zrobiłeś przy Drake’u Carne’em.

– Prawie się do ciebie nie odzywałem! Nigdy nie należało go przyjmować.

– Pozwól, bym sama to osądziła.

George uniósł brwi. Zrozumiał, że Elizabeth jest wściekła.

– Co powiedział ten chłystek?

– Że próbujesz go wyrzucić z gospodarstwa.

– Wierzysz w to?

– Nie, jeśli powiesz, że to nieprawda.

– Nie jest to całkowicie niezgodne z prawdą. Jego obecność w pobliżu Trenwith to celowy afront. Poza tym, jak wiesz, może dzięki temu się przyjaźnić z Geoffreyem Charlesem.

– Musisz więc stosować... naciski, na przykład odcinać mu wodę, niszczyć budowane przez niego ogrodzenie, grozić wieśniakom, którzy korzystają z jego usług?

– Wielki Boże, nie znam szczegółów! Pozostawiam je innym. Mogli się posunąć za daleko.

Elizabeth otarła usta chusteczką, zastanawiając się nad swoją złością i tylko częściowo starając się ją hamować.

– Skoro jesteś zbyt ważną osobistością, by zajmować się takimi drobnostkami, czy powinieneś się zniżyć do takich małostkowych działań wobec młodego człowieka, który przypadkiem działa ci na nerwy?

– Widzę, że braciszek Demelzy potrafi przekonywać – odparł George.

Celowo wymienił imię żony Rossa, by przypomnieć Elizabeth o dawnej

niechęci, wywołać wspomnienia dawnych czasów.

– Czy musisz również zatrudniać w naszym majątku bandziorów, którzy pobili tego młodego człowieka do nieprzytomności i oszpecili go, może na całe życie?

Wziął kruche ciastko, przełamał je i włożył kawałek do ust.

– Nic o tym nie słyszałem. Jak zapewne wiesz, nie przepadam za brutalnością. Co ci powiedział?

Elizabeth zrelacjonowała słowa Drake'a, obserwując męża.

– To oczywiste, że miał złe zamiary. Taka jest prawda. To on przyniósł ropuchy do naszego stawu.

– Przyznał się?

– Spodziewasz się tego? Ale jest dość dowodów. Nie mam wątpliwości, że zamierzał zrobić coś niedozwolonego, gdy Tom Harry go złapał. Ten chłystek potrafi przekonująco opowiadać i z pewnością przedstawił się w korzystnym świetle podczas rozmowy z tobą.

– Harry nie ma prawa traktować go w ten sposób, nawet jeśli chłopak kłusuje.

– Jeśli to prawda, Harry otrzyma reprimendę.

– To wszystko?

– Co jeszcze miałbym zrobić?

– Powinien zostać zwolniony.

– Na podstawie opowieści tego smarkacza?

– Należy zbadać sprawę. Myślę, że popełniasz wielki błąd, George.

– Jaki?

– Mieszkam... mieszkam w Trenwith połowę swojego życia. Jak wiesz, nie byłam szczęśliwa z Francisem, lecz ten dwór należał do Poldarków przez dwieście lat. Mieli reputację ludzi, którzy dbają o wieśniaków. Ty postępujesz inaczej. Nie mam nic przeciwko temu, żebyśmy mieli więcej prywatności,

lepiej oznaczone granice majątku, by między nami a wieśniakami istniał stosowny dystans. To twoja decyzja. Jestem twoją żoną, więc to również moja decyzja. Ale... nie powinienes dawać powodów do tego, żeby stać się człowiekiem nielubianym, znieawidzonym – Tom Harry i jego brutalni pomocnicy sprawią, że właśnie to nastąpi, jeśli się ich nie pozbędziesz. Widujesz ich tylko wtedy, gdy spędzamy wakacje w Trenwith. Jak się zachowują, kiedy nas tu nie ma? Jak potraktowali przyjaciela Geoffreya Charlesa? Potrafisz sobie wyobrazić, co będzie czuł Geoffrey Charles, gdy się o tym dowie? Czy zdołasz się z nim zaprzyjaźnić? Czy po tym, co się stało, uda mi się odbudować przyjaźń między moim synem a mężem? Nawet jeśli nie wydałeś im poleceń, teraz zamierzasz się ograniczyć jedynie do łagodnej reprimendy, prawda? To bardzo komplikuje sytuację, George!

Warleggan nie odpowiedział, ponieważ do jadalni wszedł służący, by zgasić świece, a po nim drugi, z karafką brandy na tacy. George i Elizabeth siedzieli naprzeciwko siebie w gniewnym, pełnym napięcia milczeniu, a ich spojrzenia krzyżowały się w migotliwym świetle. Wydawało się, że w pomieszczeniu nieustannie przebywają służący: wchodzili, znikali, zastępowali ich następni. Elizabeth nie miała ochoty na brandy i wstała. George również uniósł się z miejsca i uprzejmie czekał, aż żona opuści jadalnię. Później znów zasiadł przy stole i objął dłońmi kieliszek, by go ogrzać i wyzwolić aromat trunku. Rozumiał, że jego małżeństwu grozi kryzys.

4

Wszystko rozstrzygnęło się w sypialni. George wszedł i zastał żonę szczotkującą włosy. Robiła to co wieczór bez pomocy pokojówki. Szczotkowała włosy delikatnymi, rytmicznymi ruchami, działało to na nią usypiająco, przygotowując ją do snu. Zawsze się skarżyła na wypadanie

włosów i co wieczór po zakończeniu toalety znajdowała na szczotce cieniutkie niteczki, ale włosy szybko odrastały i wciąż były bujne. Jak dotąd nie straciły barwy.

– Twoje kufry nie są jeszcze całkowicie spakowane – rzekł ze spokojną kurtuazją George. – Polly mówi, że nie wydałaś jej wszystkich poleceń i że nie może skończyć pracy.

– Nie, nie wydałam.

– Wolno spytać dlaczego?

– Bo mam wątpliwości, czy powinnam jutro z tobą jechać.

Zamknął drzwi, usiadł w fotelu, skrzyżował nogi i, jak zawsze w chwilach, gdy dochodziło do konfliktu, lekko zgarbił ramiona, przyjmując charakterystyczną dla siebie groźną postawę. Elizabeth widziała ze swojego miejsca jego plecy, lecz oboje patrzyli na siebie w lustrze.

– Jaki byłby sens pozostawania w Trenwith?

– Wygląda na to, że coraz bardziej się od siebie oddalamy pod względem zachowań, sympatii, poglądów. Może lepiej byłoby, gdybyśmy rzadziej przebywali w swoim towarzystwie.

– Czy to wszystko... Czy stan, w jakim się znalazłaś, jest skutkiem wizyty mściwego chłopca?

– Nie – odpowiedziała powoli. – Ale ostatnia kropla... sam wiesz, że ostatnia kropla może przelać czarę.

– Jego opinie są dla ciebie łatwiejsze do zaakceptowania od moich?

– Bynajmniej. Choć jego pojawienie się i to, co powiedział, wskazuje na różnice, podziały między nami.

– Wyjaśnij mi to dokładniej. Sugerujesz, że zatrudniam nieodpowiednich służących, że wprowadzam zbyt surową dyscyplinę, że utrudniam ludziom dostęp do swojej – twojej – posiadłości. To dotychczasowe przyczyny twojego niezadowolenia. Teraz powiedz mi resztę.

Elizabeth przestała szczotkować włosy, spojrzała na toaletkę, po czym uniosła wzrok i znów popatrzyła na męża w lustrze.

– Uważam, że nasze małżeństwo psuje się z powodu twoich podejrzeń i zazdrości.

– Tym razem atakujesz mnie osobiście, nie moich służących.

– Och, George! Twój służący to tylko symptom choroby. Czy tak nie jest? Musisz to przyznać, bo inaczej nie będziemy mieć nawet wspólnej płaszczyzny dyskusji. Twoja niechęć do Drake’a Carne’a... Wiem, co można mu zarzucić. Nie lubię go i bardzo chętnie bym się go pozbyła z okolicy. Ale te... te małostkowe prześladowania... i jeszcze gorsze rzeczy... czy nie biorą się stąd, że jest bratem Demelzy, a zatem szwagrem Rossa?

– Ach, zastanawiałem się, kiedy zaczniesz o tym mówić – odparł George i wyprostował nogi.

– O czym?

– Twierdzisz, że moja niechęć do młodego Carne’a bierze się stąd, że jest szwagrem Rossa. Czy twoja wiara w to, co powiedział, twoje poparcie dla niego przeciwko moim służącym bierze się z tego samego źródła?

Elizabeth odłożyła szczotkę. Serce biło jej tak mocno, jakby tłoczyło nie krew, lecz kleistą ciecz.

– Powiedziałam, że nasze małżeństwo psuje się z powodu podejrzeń i zazdrości. Czy sam przed chwilą tego nie potwierdziłeś?

– Myślisz, że jestem podejrzliwy z powodu Rossa, zazdrosny o niego?

– Oczywiście. Oczywiście! A nie jesteś? Czy to cię nie dręczy, nie psuje smaku sukcesów, nie niszczy naszego życia rodzinnego, nie sprawia, że twoje osiągnięcia obracają się w popiół?

– Czy moje podejrzania są bezzasadne?

Odwróciła się w jego stronę z włosami rozsypanymi na ramionach.

– Powiedz, co podejrzewasz, a wtedy udzielę ci odpowiedzi.

Zadygotał z gniewu.

– Uważam, że wciąż kochasz Rossa.

– To nie wszystko! To nie wszystkie twoje podejrzania.

– To ci nie wystarcza?

– Wystarcza aż nadto! Przypuszczam, że to właśnie dlatego każesz mnie śledzić, gdy jestem w Truro! Twoi słudzy szpiegują mnie, jakbym była zbrodniarką podejrzaną o przestępstwo, które nie zostało jeszcze udowodnione! Żeby nie spotkała Rossa w jakimś ciemnym zaułku! Żeby nie umówiła się z nim na schadzke! Tego z pewnością wystarcza aż nadto. – Elizabeth wstała, załamywał się jej głos, chwyciła się za szyję, jakby chciała nad sobą zapanować. – Ale to nie wszystko! Chcesz, żebym ci podpowiedziała, o co jeszcze chodzi?!

W ostatniej chwili wrodzona ostrożność i kupiecki rozsądek kazały George'owi się cofnąć, nie posuwać się dalej. Nie był przygotowany do wypowiedzenia swoich najgorszych podejrzeń, bo obawiał się, że straci Elizabeth. Sytuacja wymykała się spod kontroli. Nie przywykł do ulegania emocjom. Instynktownie wiedział, jak sobie radzić ze zwykłymi kryzysami życiowymi, ale nie z tą sprawą. Nie z kryzysem w relacjach z kobietą. Czuł się, jakby zalewała go ogromna fala. Wstał.

– Dosyć! – rzekł rozkazująco. – Powiedzieliśmy dość. Możemy znowu porozmawiać rano, gdy odzyskamy równowagę.

– Nie – odparła z równym zdecydowaniem. – Jeśli mamy coś powiedzieć, musimy to zrobić dziś wieczorem.

– W takim razie proponuję ci umowę – odparł. – Jedź ze mną jutro, jak uzgodniliśmy, a ja przed wyjazdem napiszę do Tankarda list z poleceniem, by wszelkie prześladowania Carne'a natychmiast się zakończyły. Innymi problemami, innymi sporami możemy się zająć później.

– Nie – powtórzyła. – Nie będzie żadnego „później”. Teraz albo nigdy.

Ruszył w stronę drzwi, lecz zastąpiła mu drogę. Poblądły jej wargi. Coraz bardziej poirytowany George uniósł rękę, jakby chciał ją uderzyć. Nie poruszyła się.

– Dlaczego traktujesz swojego syna, jakby nie był twoim synem?

– Valentine’a?

– Valentine’a.

Oblizął wargi.

– A jest moim synem?

– Jak mógłby być synem kogoś innego?

– Ty musisz mi na to odpowiedzieć.

– A jeśli to zrobię?

– Jeśli zrobisz?

– Uwierzysz mi? Czy choć przez chwilę będziesz myślał, że powiedziałam szczerą prawdę? W żadnym razie! Właśnie dlatego mówię, że zżera cię zazdrość! Właśnie dlatego mówię, że nasze wspólne życie stało się niemożliwe! Musi się zakończyć. Zakończy się dziś wieczorem!

Opuścił rękę i spojrzał na Elizabeth. Wyglądał jak byk sprowokowany do ataku.

– Musisz mi powiedzieć, Elizabeth. Musisz mi powiedzieć! Musisz mi powiedzieć!

Zawahała się, obróciła na pięcie i zamaszystym krokiem weszła do garderoby, aż rozwiały jej się włosy. Przez chwilę sądził, że to koniec, że postanowiła go opuścić, że na zawsze straci swój największy skarb, ale prawie natychmiast wróciła. Trzymała w ręce Biblię. Podeszła do George’a i położyła Biblię na stoliku.

– A teraz posłuchaj, George – rzekła. – Posłuchaj mnie, mówię! Przysięgam na tę Biblię i na swoje zbawienie, że nigdy – nigdy – nie oddałam swojego ciała żadnemu mężczyźnie oprócz swojego pierwszego męża, Francisa,

i ciebie, George. Czy to wystarczy? A może nie przekona cię nawet moja przysięga?!

Zapadło długie milczenie.

– To wszystko – powiedziała i z jej oczu wreszcie popłynęły łzy. – Już wiem, że nawet to nie ma sensu, że to strata czasu! Rano pojedę do Trenwith. Możemy osiągnąć porozumienie, żyć w separacji. Zamieszkać z rodzicami. Ty rób, co chcesz. To koniec...

– Nie możemy pozwolić, by sytuacja wymknęła się spod kontroli – rzekł głuchym głosem. – Posłuchaj mnie, Elizabeth. – Miał wrażenie, że tonie w ruchomych piaskach. – Jeśli się pomyliłem...

– Jeśli...!

– Hm, tak. Hm, tak. Jeżeli to, co mówisz... Musisz dać mi czas do namysłu... – Zakasłał, usiłując oczyścić gardło z flegmy.

– Namysłu nad czym?

– Naturalnie... Akceptuję to, co mówisz... oczywiście akceptuję. Chyba zachowywałem się nierozsądnie, trochę jak wariat. Źródłem są podejrzliwość i zazdrość, tak jak mówisz...

Czekała.

– Ale wiesz...

– Co wiem?

– Podejrzliwość i zazdrość... możesz je słusznie potępiać, lecz w wypaczony sposób świadczą o moich uczuciach do ciebie. Miłość... miłość może być bardzo zaborcza, jeśli widzi zagrożenie. Zwłaszcza gdy to, co jest zagrożone, jest... jest cenniejsze od życia. – stwierdził. – O tak! – dodał szybko, gdy Elizabeth zamierzała się odezwać. – Łatwo powiedzieć, że brak zaufania nie świadczy o miłości. Ale ludzka natura jest bardziej skomplikowana...

Powoli się odwracała. Ruszył za nią.

– Posłuchaj... – rzekł z naciskiem. – Intensywność uczuć, jakie czuję do ciebie, wywołuje gorączkę, której nie mogą złagodzić żadne zapewnienia... żadne normalne zapewnienia. Nie płacz...

– Jak mam nie płakać?! – spytała z gniewem. – Od wielu miesięcy twoje gorzkie, haniebne zachowanie... chłód wobec mnie i twojego syna...

– To się skończy – przerwał, ciągle targany głębokimi emocjami, które pozbawiły go naturalnej ostrożności. – Teraz, dziś. Nie jest jeszcze za późno. Możemy zacząć wszystko od początku.

– Dziś! – rzuciła pogardliwie. – Może czujesz to dziś! Ale co będzie jutro i pojutrze?! To się zacznie od nowa. Nie mogę... nie zniosę tego!

– To się skończy. Przysięgam, Elizabeth. Posłuchaj. Nie płacz...

Machnęła ręką, nie chcąc przyjąć chusteczki George'a, i otarła zapłakane oczy rękawem koszuli nocnej. Podeszła z powrotem do toaletki, nerwowo podniosła szczotkę do włosów, odłożyła ją.

– Nie chcę od ciebie odchodzić. Naprawdę nie chcę. To, co przysięgam w kościele, w dalszym ciągu ma dla mnie znaczenie. Ogromne znaczenie. Ale odejdę, George, przysięgam, że to zrobię, jeśli znowu kiedykolwiek...

– Nie odejdiesz. Bo to się więcej nie powtórzy. – Znow podszedł do niej i podjął ryzyko. Pocałował ją w czoło. Nie odsunęła się.

– Przysięgam! – powiedziała. – Nie mogłam zrobić nic więcej. Więc ty przysięgnij! Że zapomnisz o tych wstrętnych podejrzeniach, wyrzucisz je z serca, nigdy o nich nie wspomnisz...

George wziął Biblię.

– Przysięgam – rzekł. W dalszym ciągu nie mógł opanować emocji. Jeszcze nigdy w życiu nie był taki poruszony. Jutro, mimo przysięgi, zgodnie z przewidywaniami Elizabeth, powinien przemyśleć całą sprawę. Choć może nie w ten sam sposób. Nie wolno tak na to patrzeć. O mało jej nie stracił. A zatem Valentine, mimo wszystko... Przysięga Elizabeth go przekonała. Była

głęboko religijna i wydawało się nie do pomyślenia, żeby narażała własną duszę, składając fałszywą przysięgę na Biblię, choćby po to, by ocalić swoje małżeństwo. George'em targały sprzeczne emocje. Groźba straty i ogromny zysk. Zwilgotniały mu oczy. Chciał coś powiedzieć, ale miał ściśnięte gardło i nie mógł wykrztusić słowa.

Elizabeth przytuliła się do niego, on zaś objął ją i pocałował.

Rozdział dziesiąty

1

Na Anglię padł długi cień zagłady. Minał początek lata i słońce stało w zenicie. Wybuchły nowe bunty w marynarce wojennej, znacznie bardziej niebezpieczne niż dotąd. Załogi wielu okrętów aresztowały oficerów i wywiesiły czerwone flagi. Rozpoczynała się rewolucja angielska podobna do rewolucji francuskiej, a tymczasem w Texel zebrała się flota holenderska z trzydziestoma tysiącami żołnierzy szykujących się do inwazji na Anglię. Uważano, że nawet Gwardia Królewska może lada chwila opanować Tower of London i Mennicę Królewską.

Wypogodziło się – idealne warunki na inwazję. Codzienne życie toczyło się normalnie: rolnicy doglądali zwierząt i zbierali plony, górnicy wydobywali rudę, ludzie chodzili po brukowanych uliczkach, by zrobić sprawunki, kupując coraz mniej za coraz większe kwoty; damy skarżyły się na męczący upał. W niektórych okręgach wiejskich brakowało wody. Niewielkie fale uderzały w nadbrzeżne skały, nie wyrzucając w górę fontann piany. Rybacy moczyli sieci w wywarze z kory dębu i brzozy, szykując się do corocznego połowu sardynek. Wkrótce miało się odbyć święto Sawle i mimo groźby wojny zamierzano jak zwykle zorganizować procesję, wyścigi i zawody sportowe. Tholly Tregirls przygotowywał turniej zapaśniczy. Jeremy Poldark nabawił się w końcu odry i zaraził nią siostrę, ale choroba miała lekki przebieg i nie doszło do komplikacji. Wyglądało na to, że Dwight Enys odzyskał zdrowie,

lecz dla odmiany Caroline wydawała się chora. Demelza miała nadzieję, że przyczyną nie jest frustracja.

Sfrustrowany był Ross, choć w inny sposób. Oświadczył Demelzie, że dowodzenie kompanią fajtlapów nie jest żadną przyjemnością, jednak gdyby zrezygnował ze służby w oddziałach ochotniczych i wstąpił do pułku milicji, w każdej chwili mógłby zostać odkomenderowany na drugi koniec kraju, a wówczas kopalnia, interesy, a także żona i dzieci pozostałoby bez opieki. Gdyby Francuzi, Holendrzy lub Hiszpanie postanowili najechać Anglię, mogliby wylądować na plaży Hendrawna i Ross wolałby być na miejscu, by z nimi walczyć.

Gdyby naprawdę musiał opuścić Kornwalię, powinien wstąpić do armii regularnej. W tej chwili, kiedy połowa marynarki wojennej wszczęła bunt, wojska lądowe nagle stały się popularne.

– Nie przepadam za wojną – zauważyła Demelza. – Wróciłeś cały i zdrowy z ostatniej eskapady zaledwie dwa lata temu.

Nadeszło lato. Kiedy w Kornwalii jest ciepło i utrzymuje się ładna pogoda, morze staje się jasnoblękitne. Nie przybiera lśniącej kobaltowej barwy, która pojawia się w chwili, gdy zaczyna wiać silny północno-zachodni wiatr, ani bladej zieleni towarzyszącej wschodniej bryzie. Teraz powietrze było nieruchome, od kilku dni nie wiał wiatr, jakby półwysep był trójpokładowcem uwięzionym w strefie ciszy morskiej. Świeciło ciepłe słońce. Pochylone drzewa trwały w odwiecznych pozach, kuląc się przed wiatrem, który nagle przestał wiać. Nieruchome źdźbła trawy, silne zapachy, spirale dymu.

Kiedy w czerwcu Ross wyjechał do Falmouth – miał uczestniczyć w spotkaniu z dowódcami wojskowymi i przenocować u Verity – Demelza zabrała dzieci na rozlewisko nad brzegiem morza w pobliżu Damsel Point. Kapali się w chłodnej, butelkowozielonej głębinie, a później łowili krewetki i inne dziwne stworzenia, które pływały między wodorostami i ukwiałami.

Naturalnie głębina była jedynie przenośnią. Jako dziecko Demelza widywała morze tylko z oddali, więc nigdy nie nauczyła się pływać. Ross już dawno by ją nauczył, ale uniemożliwiały to silne fale wdzierające się na plażę Hendrawna. Rozlewisko było na tyle płytkie, by mogła w nim brodzić Clowance, i dostatecznie głębokie, by Jeremy pływał. Demelza weszła na krótko do głębszego rozlewiska znajdującego się w pobliżu i udało jej się przepłynąć na drugą stronę.

Wrócili do domu przed dziesiątą, zadowoleni i roześmiani. Było wciąż wczesnie. Na niebie płynęło kilka beztroskich, rozmytych chmur, ale nikt nie brał ich poważnie: wkrótce miał zapanować skwar. Dzieci wbiegły z krzykiem do dworu. Nie wystarczyła im poranna kąpiel i wybierały się na plażę wraz z Eną Daniel, dwójkiem dzieci Martinów i dwójkiem dzieci Scoble'ów, by zbudować z piasku wielki mur powstrzymujący fale. Demelza wyniosła na zewnątrz fotel z wikliny, usiadła w cieniu starego bzu koło frontowych drzwi i cesała splątane, wilgotne włosy. Nagle zauważyła dwóch jeźdźców zjeżdżających w dolinę.

Natychmiast ich poznała, choć bardziej zadziałał instynkt niż wzrok, po czym wstała i wbiegła do domu. Zrzuciła luźny szlafrok z twillu i włożyła ładną sukienkę z zielonego płótna. Zeszła do salonu, szybko poprawiając strój. Po chwili weszła Jane i powiedziała, że przyjechał z wizytą dżentelmen.

Hugh Armitage z masztalerzem. Był ubrany w jasnoszary surdut do jazdy konnej, czarne bryczesy i wysokie buty. Miał luźno zawiązany halsztuk i nie nosił kamizelki. Wydawał się starszy i mniej przystojny. Uśmiechnął się, pochylił, pocałował Demelzę w rękę i już wiedziała, że jego zainteresowanie nie osłabło.

– Jakie to szczęście, że zastałem cię w domu, Demelzo! I co za radość, że cię znowu widzę! Jest Ross?

– Nie, nie ma go w tej chwili. Twoja wizyta to niespodzianka. Nie

wiedziałam...

– Jestem w Tregothnan dopiero od poniedziałku. Przyjechałem przy pierwszej sposobności.

– Masz urlop?

– Tak, w pewnym sensie... Jak się czujesz? Co u was słychać?

– Wszystko dobrze, dziękuję... – Popatrzyli na siebie niepewnie. – Proszę, usiądź. Napijesz się czegoś?

– Nie, nie teraz, dziękuję. Jestem... Nie jestem spragniony.

– Więc może podać coś twojemu masztalerzowi? Trochę piwa lub lemoniady?

– Na pewno będzie wdzięczny, ale nie ma pośpiechu.

Hugh odczekał, aż Demelza usiądzie, po czym przycupnął na skraju fotela. Chociaż był opalony, pomyślała, że nie wygląda zdrowo. A może po prostu spoglądał na nią z troską w oczach?

– Jak się miewają wuj i ciotka?

– Wybacz mi – odpowiedział. – Zapominam o dobrych manierach. Na twój widok zapominam o wszystkim. Przesyłają najserdeczniejsze pozdrowienia tobie i mężowi. Ciocia zamierzała dziś ze mną przyjechać, zabierając dwoje dzieci, i poprosić was o spełnienie obietnicy, ale John-Evelyn – młodszy – dostał lekkiej gorączki i doszła do wniosku, że niebezpiecznie będzie z nim wychodzić. Wiem, że powinienem jeszcze odczekać dzień lub dwa, ale mamy piękną pogodę, a ja bałem się, że może się popsuć.

– Ross odjechał zaledwie dwie godziny temu. Będzie żałował, że cię nie spotkał... Obietnicy? Jakiej obietnicy? Co masz na myśli?

– Ross nas zaprosił... oboje nas zaprosiliście. Mieliśmy pojechać konno nad morze i obejrzyć foki.

Demelza się uśmiechnęła.

– Naprawdę? Podejrzywałam, że właśnie o to chodzi. Jaka szkoda!

– Kiedy wróci?

– Jest... może dopiero wieczorem. Nie jestem pewna. – Nie chciała, by Hugh uważał, że Ross jest bardzo daleko.

– W takim razie może kiedy indziej. Ale bardzo się cieszę, że cię widzę. Odżyły moje piękne wspomnienia. To jak wizyta w zielonej oazie na jałowej pustyni.

– Czy na pustyniach nie pojawiają się... jak to się nazywa... miraż?

– Nie żartuj ze mnie – odpowiedział. – Nie na samym początku. Najpierw muszę się przyzwyczaić, że cię znowu widzę.

Słowa Hugh wzruszyły Demelzę. Zmarszczyła brwi i odrzekła ponuro:

– Czy śmiech nie jest maską ukrywającą inne uczucia? Oczywiście ja też się cieszę, że cię widzę, Hugh. Jest letni dzień i powinniśmy być radośni, a nie romantyczni. Moglibyśmy usiąść w cieniu przed domem i porozmawiać przez chwilę? Wyślemy twojego biednego masztalerza do stajni, żeby rozsiadł konia i odpoczął przed drogą powrotną.

Wyszli na dwór. Zachowywali się nieco niezgrabnie, jakby walczyli ze sztywnością ciała. Hugh zabrał drugi wiklinowy fotel, a Demelza wachlarz. Jane przyniosła ze spizarni chłodną oranżadę. Przez jakiś czas prowadzili przyjemną konwersację.

Hugh otrzymał bezterminowy urlop i nie wiedział, kiedy się skończy. Opowiedział Demelzie o służbie w marynarce wojennej, o jedynej krótkiej, lecz krwawej bitwie, w której uczestniczył – trwała zaledwie godzinę – na całe dziewięć miesięcy, jakie spędził na morzu. Dzięki Bogu, wydawało się, że bunty marynarzy w Plymouth, Nore i innych portach już się skończyły. Przez kilka dni los kraju wisiał na włosku, a potem kolejne okręty opuszczały czerwone flagi i pozwalały oficerom przejąć dowodzenie. Przywódców aresztowano i czeka ich sprawiedliwy proces. Obiecano uwzględnić wiele skarg załóg.

– Całkowicie się zgadzam ze skargami – powiedział Armitage. – Marynarka wojenna jest bardzo zaniedbana i haniebnie traktowana, wiele regulaminów pochodzi sprzed wieków. Choć chętnie powiesiłbym tych łajdaków z Nore na reji własnego okrętu.

– Jesteś bardzo surowy – odparła Demelza.

– Wojna jest surowa, jeśli można to tak określić. Walczymy o swoje życie i nie wiem, czy zdołamy zwyciężyć. Wydaje się, że kraj stracił wiarę w siebie, że nie chce walczyć o zasady, w które kiedyś wierzył. Jako naród jesteśmy leniwi lub pogrążeni we śnie. – Urwał i jego twarz się rozpogodziła. – Ale dlaczego mam cię martwić takimi myślami? Tylko dlatego, że uważam cię za zbyt inteligentną, by mogła cię zadowolić głupia paplanina. Opowiedz mi o tym, czym się zajmowałaś po naszym ostatnim spotkaniu.

– To właśnie byłaby głupia paplanina.

– Będę szczęśliwy, mogąc słuchać wszystkiego, co mówisz. W każdym razie czuję się szczęśliwy, siedząc tutaj.

Demelza zaczęła opowiadać, choć nie mówiła tak gładko, jak miała w zwyczaju. Rozmowy z ludźmi o wysokim statusie zwykle nie sprawiały jej trudności, ale nie teraz, i była zadowolona, że może przerwać, gdy za domem rozległy się głosy i hałaśliwe śmiechy dzieci.

– To Jeremy i Clowance z przyjaciółmi – wyjaśniła. – Zamierzają zbudować wielki mur z piasku, by zatrzymać przypyw.

– Idziesz z nimi?

– Nie, nie. Ktoś będzie ich pilnował. Wcześniej pływaliśmy w rozlewisku.

Hugh wstał i spojrzał w stronę morza, mrużąc oczy.

– Więc jest przypyw?

– Tak. Szczyt przypadnie tuż po dwunastej. Ale najwyższy poziom wody pojawia się zawsze około piątej po południu.

Przez chwilę panowało milczenie. Demelza obserwowała pszczołę na

kwiecie bzu. Owad przemieszczał się niezgrabnie z pręcika na pręcik niczym pijany żołnierz dźwigający zbyt wiele łupu. Kwiaty już przekwitwały, lecz ich woń wciąż wypełniała powietrze.

– Nie moglibyśmy popłynąć dzisiaj? – spytał Hugh.

2

Ileć wraçała pamięcią do tej sceny, Demelza doskonale zdawała sobie sprawę, że nie sprzeciwiała się zbyt zdecydowanie jego propozycji. Umysł zaćmiły jej niespodziewane emocje i nie rozumiała, że w ogóle nie powinna dyskutować na ten temat – wystarczyło po prostu grzecznie odmówić. Zamiast tego wymyślała coraz mniej przekonujące wymówki. W końcu, gdy Hugh przedstawiał wciąż nowe kontrargumenty, rzekła:

– Cóż, chodźmy.

Kiedy schodzili do zatoki Nampary wzdłuż cicho pluskającego strumienia, który zmniejszył się z powodu suszy, a wysoki masztalierz z poważną miną niósł wiosła i dulki, Demelza zastanawiała się, czy postąpiła niestosownie, godząc się na propozycję Hugh. Jeszcze nie wiedziała, jakie zasady zachowań obowiązują wśród arystokracji. Kiedy Ross się o tym dowie, może mu się to nie spodobać. Opinie innych nie mają żadnego znaczenia. Ale czy tak naprawdę jest w tym coś złego? Nawet gdyby nie towarzyszył im wysoki masztalierz, foki będą doskonałymi przyzwoitkami.

– Dlaczego woda w strumieniu jest czerwona? – spytał Hugh.

– Od płukania rudy cyny w kopalni.

Kiedy dotarli do niewielkiej kamienistej plaży, wyciągnęli łódź z jaskini i spuścili na wodę, Demelza zorientowała się, że masztalierz nie będzie pełnił roli przyzwoitki.

– Czy to długa wyprawa?

– Och, możemy wrócić za jakąś godzinę. Nie ma żadnej pewności, że spotkamy foki. Czasem znikają.

– Zostań tutaj, Mason. Będę potrzebował twojej pomocy, by wyciągnąć łódź na brzeg.

– Tak, sir.

– Mogę ją wyciągnąć – powiedziała Demelza. – Już to wcześniej robiłam.

– Mason równie dobrze może czekać w zatoce, jak i w domu.

– Nie powinien popłynąć z nami i wiosłować?

– Nie. Ja będę wiosłował, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Demelza się zawahała.

– Możliwość rozmawiania z tobą to tak ogromna przyjemność, że chciałbym mieć przywilej przebywania z tobą sam na sam.

Demelza, przyzwyczajona do wchodzenia do łodzi na bosaka i mokra do kolan, z lekkim rozbawieniem przyjmowała starania dwóch mężczyzn, którzy traktowali ją, jakby była porcelanową figurką. Usiadła na rufie i gdy Hugh zaczął wiosłować, związała włosy zieloną jedwabną apaszką.

Morze falowało w świetle słońca. Hugh zdjął długi surdut i wiosłował w koszuli z podwiniętymi rękawami: jego blade przedramiona były porośnięte ciemnymi włoskami. Kiedy Demelza po raz pierwszy zobaczyła go w Tehidy, uznała, że ma orle rysy, choć ich ostrość nie przydawała mu drapieżności. Kości były zbyt delikatne, twarz arystokratyczna, a nie agresywna. Nie nosił kapelusza i związywał włosy wstążką.

Na maszt łodzi można było wciągnąć niewielki żagiel, lecz panowała martwa cisza. Hugh wkrótce zaczął się pocić; nawet Demelza, mimo że lekko ubrana, trochę się zgrzała.

– Zastąpię cię na chwilę przy wiosłach, dobrze? – odezwała się.

– Co takiego? – Uśmiechnął się. – Nie mógłbym na to pozwolić.

– Bardzo dobrze wiosłuję.

– To byłoby niestosowne.

– Nie musimy się śpieszyć. To zaledwie półtora kilometra.

Hugh zwolnił i nie naciskał zbyt mocno na wiosła. Płynęli na zachód, w stronę Sawle, w odległości niespełna stu metrów od wysokich klifów. Gdzieś widać było niewielkie piaszczyste zatoczki, do których dawało się dotrzeć tylko od strony morza. Nie spostrzegli żadnych łodzi. Rybacy z Sawle, amatorzy i zawodowcy, woleli łowić w rejonie Trevaunance.

Hugh przestał wiosłować i otarł ręką czoło.

– Jestem szczęśliwy, że ze mną popłynęłaś. Czy to nie Dryden powiedział: „Przeżyłem dzień dzisiejszy, a jutro nieważne”? [17](#).

– Pogoda może się zmienić.

– Nie chodzi o pogodę, najdroższa Demelzo. Są inne rzeczy, o których chcę ci powiedzieć.

– Mam nadzieję, że nie są to rzeczy, o których nie powinieneś wspominać.

– Naprawdę nie chcę tego mówić. Wierz mi.

Zrobiła zdziwioną minę, a Hugh znów się uśmiechnął, po czym puścił wiosła i spojrzał na swoje dłonie.

– Zdumiewające, jak rzadko ma okazję wiosłować oficer marynarki. Kiedy byłem chłopcem, miałem na rękach odciski od wiosłowania, ale później moje dłonie znów stały się delikatne.

– Co zamierzasz mi powiedzieć?

– Muszę ci z przykrością wyznać, że mój urlop nie jest bezterminowy. Opuściłem marynarkę na zawsze. Zwolniono mnie. Inaczej by mnie tu nie było. Oficerowie marynarki bardzo rzadko otrzymują urlopy w czasie wojny.

– Zwolniono?

– Nie jako buntownika. Mieliśmy dobry okręt. Kapitan Grant to dowódca pokroju Collingwooda i Nelsona. Choć mimo wszystko to coś w rodzaju buntu... A przynajmniej nieudolności.

– Nieudolności?! Twojej?! Jak to możliwe?!

– To miło, że nie możesz w to uwierzyć. Tak naprawdę to rodzaj niesubordynacji. Moje oczy nie poddają się rozkazom. Kiedyś nie rozpoznały flagi z odległości dwustu metrów, a teraz nie chcą rozpoznawać flag z odległości pięćdziesięciu metrów. Nie wykonują rozkazów jak zbuntowany marynarz.

Demelza popatrzyła na Armitage'a.

– Hugh, tak mi przykro... Ale co próbujesz powiedzieć?

Zaczął znowu wiosłować.

– Mówię, że ledwo, ledwo widzę stąd klify. Powiedz, gdzie mamy płynąć.

Demelza w dalszym ciągu spoglądała w milczeniu na Hugh. Włożyła dłoń do wody, po czym wyjęła ją i strząsnęła krople na ławkę znajdującą się na rufie.

– Miałeś wyzdrowieć! Tak mówiłeś w czasie naszego pierwszego spotkania.

– Powinienem wyzdrowieć, ale mój stan się pogorszył. Mam w Londynie dwóch lekarzy, jeden jest chirurgiem marynarki wojennej, drugi to lekarz prywatny. Zgadniają się, że nic nie można zrobić.

Mimo upału Demelza poczuła chłód.

– Nawet jeśli jesteś krótkowidzem, przecież marynarka wojenna musi mieć stanowiska na lądzie albo...

– Nie po tej diagnozie. Uważają, że pozostało mi mało czasu...

– Mało czasu?

– Och, usłyszałem mnóstwo łacińskich terminów, które nic mi nie mówią, ale z opinii lekarzy wynika, że coś się dzieje za oczami i że mniej więcej za pół roku podążę śladami Milтона, choć nie dorównuję mu talentem.

– Czy to pora narodzin młodych? – spytał Hugh.

– Nie tutaj. Większość fok ma młode w lecie, ale u nas foki zwykle rodzą się później, we wrześniu lub październiku. Przynajmniej tak wynika z moich obserwacji. Niewiele poza tym wiem.

– A okres godowy?

– Mniej więcej podobnie. Powinieneś je wtedy słyszeć: strasznie hałasują.

– Demelzo, nie bądź taka smutna, bo zacznę żałować, że ci powiedziałem.

– Jak mogłabym nie być smutna?

– Może się mylą. Lekarze wiedzą bardzo niewiele nawet w obecnych czasach. Mamy dziś piękny dzień. Pamiętaj, co napisał Dryden.

– Więc dlaczego mi powiedziałeś? Dlaczego?

– Bo jeszcze nikt nie wie. Ukrywam to nawet przed rodziną i musiałem komuś powiedzieć, a ty jesteś moją najbliższą przyjaciółką.

Popatrzyła na Hugh. Zauważyła, że choć mówi lekkim tonem, jest napięty i smutny.

– To niedobrze.

– Opowiedz mi o jaskini.

– Jest niedaleko, jeszcze jakieś czterysta metrów. Naciskaj mocniej lewe wiosło. To duża grota. W dawnych czasach odprowadzano do niej wodę z kopalni. Jest nieczynna już od pięćdziesięciu lat albo dłużej. Pod koniec roku na skałach roi się od fok. Teraz spodziewam się kilku. Wszystko zależy od szczęścia.

– Przepraszam, że o tym wspomniałem.

– Myślisz, że będę radosna? Że będę się zachowywać, jakby nic się nie stało?

– Nie... Przepraszam. Zachowałem się egoistycznie. Nie rozumiałem, co to może dla ciebie znaczyć. To mi pochlebia.

– Nie mów tak. Zdenerwowałam się nie po to, by ci pochlebiać.

Hugh zanurzył wiosła w wodzie i odetchnął głęboko.

– Zatem... ale nie powinno to psuć dzisiejszego dnia. Naturalnie lepiej, gdybym napisał. Popatrz... na mnie, posłuchaj mnie...

– Cóż... – Demelza uniosła wzrok.

– Żyjemy w niepewnym świecie – rzekł łagodnie. – Życie trwa krótko. Jutro w tym miejscu mogą wylądować Francuzi albo Holendrzy, plądrować, zabijać i palić. Następnego dnia do Padstow lub Falmouth może przypląć statek z załogą chorą na cholera. Może wybuchnąć epidemia ospy. Sześć miesięcy! Nawet jeśli lekarze się nie mylą, zostało jeszcze sześć miesięcy. Zbuntowani marynarze czekający na rozprawę oddaliby wszystko za sześć miesięcy radosnego życia. „Przeżyłem dzień dzisiejszy, a jutro nieważne”. Czy mogę cię przekonać, byś zapomniała o tym, co powiedziałem – a przynajmniej nie zwracała na to uwagi?

– Łatwiej obiecać, niż zrobić.

– Proszę, uśmiechnij się do mnie. Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem, nie uśmiechałaś się w czasie całego obiadu i dopiero gdy poszliśmy nad jezioro... Wyglądało to tak, jakby ktoś rozrzucał brylanty.

– Och, nonsens, Hugh!

– Proszę, jeden mały uśmiech. Nie zacznę wiosłować, dopóki się nie uśmiechniesz.

– Sama mogę wiosłować – odparła.

– Byłby to bunt na pełnym morzu, a nie ma tu odpowiedniej rei...

Demelza niepewnie się uśmiechnęła. Armitage wydał radosny okrzyk.

– Cicho! – szepnęła. – Przestraszysz je. Łatwo je spłoszyć i nie zobaczymy ani jednej.

– Foki? – spytał Hugh. – Tak, rzeczywiście, przyplłynęliśmy oglądać foki.

Naparł na wiosła i słuchając wskazówek Demelzy, skierował łódź w stronę brzegu.

Klify oświetlało słońce stojące prawie w zenicie. Nawet płynąc kilka metrów od skał, znajdowali się ciągle w pełnym słońcu. Demelza znów chciała wziąć wiosła i kierować, bo wiedziała, że powinni się zbliżyć do jaskini z boku, by nie spłoszyć fok. Mimo to Hugh dalej wiosłował. Na widok nadpływającej łodzi kilkanaście wielkich zwierząt zsunęło się do wody.

Między skałami w pobliżu wylotu jaskini znajdował się wrak statku. Większość kadłuba już dawno się rozpadła, ale kilka drzewc i dziobnica zaklinowały się w miejscu osłoniętym przed falami; na szczątkach wisiały wodorosty niczym całun okrywający zmarłego. Po przeciwnej stronie znajdowała się niewielka plaża o szerokości dziesięciu metrów. Po bokach wznosiły się strome klify.

Słyszeli głucho ryki fok, a od czasu do czasu dziwne, posępne jęki. Miały w sobie coś ludzkiego, jakby w jaskini gnieździły się widma żeglarzy, którzy utonęli dawno temu. Mimo ładnej pogody czuło się, że morze wznosi się i opada. Nie były to fale, raczej spokojny oddech oceanu.

– Chyba ich nie spłoszyliśmy – powiedziała Demelza, gdy wypłynęli z za skalnego załomu.

Przed wylotem jaskini wygrzewało się na piasku przeszło dwadzieścia szarych fok, niektóre wielkie, inne niedorośle. Hugh przestał wiosłować i łódź powoli dryfowała w ich stronę, niesiona prądem. Na początku zwierzęta z pozoru nie zauważały intruzów, później wydawały się zaintrygowane, lecz nie okazywały niepokoju. Po kolei wbijały ślepia w łódź. Ich pyski przypominały karykatury ludzkich twarzy: młode, a zarazem stare, dziecięce, choć wąsate, niewinne, lecz doświadczone. Jedna z fok wydała dziwny gardłowy ryk, a mniejsze zwierzę, jej młode, odpowiedziało beczeniem. Inna foka ziewnęła. Z wnętrza jaskini dobiegły pohukiwania.

– Podobno bardzo lubią muzykę – szepnęła Demelza. – Mówią, że czasem przypląwał tu z fletem Pally Rogers i foki otaczały łódź.

Podpłynęli zbyt blisko do jednej z samic, która się podniosła, wygięła grzbiet i oddaliła się, pełzając po kamieniach. Nie chciała wskoczyć do morza, woda była zbyt rozgrzana.

– Szkoda, że nie ma tu ciotki i dzieci – powiedział Hugh. – Nie jest to jednak całkiem bezpieczne. Gdyby całe stado skoczyło do wody jednocześnie, mogłoby przewrócić łódź.

– To możliwe.

– Potrafisz pływać?

– Tak, a przynajmniej nie tonę.

– Żałuję, że nie mogli z nami popłynąć – rzekł po chwili Hugh. – Byliby oczarowani. Mimo to jestem szczęśliwy, że ich nie ma. Ja też jestem oczarowany.

– Cieszę się.

– Och, nie fokami, choć nigdy nie przypuszczałem, że je zobaczę z tak bliska. Dziękuję, że mnie tu zabrałaś. Jestem oczarowany, że spędzam ranek z tobą.

– Zbliża się południe – odrzekła niepewnie Demelza. – Myślę, że powinniśmy podpłynąć do wylotu jaskini, a potem wracać do domu.

Łódź znieruchomiła i ocierała się o skały porośnięte wodorostami. W tej samej chwili ocean znów odetchnął i Hugh musiał nagle poruszyć wiosłem, by burta nie uderzyła w klify. Tego było już za wiele dla fok. Jedna po drugiej poczołgały się pracowicie po skałach, po czym ześlizgnęły się lub zeskoczyły do morza. Przez moment panowało kompletne zamieszanie: w wodzie kłębiły się łby i ciała zwierząt. Łódź zakołysała się niebezpiecznie, na morzu pojawiły się małe fale. Po chwili powrócił spokój, łódź znieruchomiła, a Hugh i Demelza spoglądali na puste skały. W ciszy słychać było tylko piski mew.

Demelza się roześmiała, a następnie otarła krople wody z twarzy i sukienki.

– Zachlapały cię! – powiedział Hugh.

– Trochę mnie to ochłodzi. Chyba nie spłoszyliśmy mądrych starców siedzących w jaskini. Ale bądź ostrożny i nie wpływaj za daleko...

Wokół rozciągało się roziskrzane, błękitne morze, w górze wznosiły się klify, w ciemnym tunelu prowadzącym do wnętrza jaskini woda miała zieloną barwę jadeitu. Na sklepieniu wielkiej groty tańczyły refleksy światła. Kiedy wpłynęli do środka, znaleźli się w półmroku. Wyteżyli wzrok i zobaczyli, że koniec pieczary niknie w ciemności. Niedaleko po lewej stronie znajdowała się mniejsza grota z kamienistą plażą pokrytą kawałkami drewna, wodorostami i kośćmi mątw. Leżały tam ogromne, ciemne zwierzęta. Hugh zanurzył w wodzie pióra wiosel, by łódź płynęła wolniej. Spoglądało na nich przeszło dwadzieścia fok, starszych od tych, które widzieli na zewnątrz, groźniejszych, dźwigających brzemię wiedzy o tym, co dobre i złe, walki o przetrwanie i nieuniknionej śmierci.

Jedno ze zwierząt wydało w mroku straszliwy, głuchy ryk. Był to pierwotny krzyk wiatru i fal, lecz miał w sobie również coś ludzkiego. Nie brzmiał wrogo, tylko rozpaczliwie. Nagle foki ożyły, jakby usłyszały sygnał do ataku. Do wody spadła lawina olbrzymich ciał. Łódź zakołysała się gwałtownie, nabrała spienionej wody, obijała się o skały przy akompaniamencie ryków gigantycznych zwierząt. Po chwili uderzyła z trzaskiem w ścianę tunelu. Później fale powoli się uspokajały, a Hugh i Demelza spoglądali na lśniące szare kolosy płynące w stronę morza.

4

Przedstawienie się skończyło. Hugh wypłynął na słońce. Łódź miała na dnie piętnaście centymetrów wody, lecz gdy obejrzał miejsce, gdzie burta uderzyła w skały, okazało się, że nie ma żadnych uszkodzeń. Mocne deski wytrzymały.

Oboje byli mokrzy i zanosili się od śmiechu. Foki znikły.

– Czuję coraz większą ulgę, że nie przywiozłem tu pani Gower – powiedział Hugh. – Czy zapraszasz do tej jaskini wszystkich swoich przyjaciół, by przeżyli niezapomniane chwile?

– Jeszcze nigdy nie byłem w środku! – odparła Demelza.

Hugh znów się roześmiał.

– Cieszę się, że odważyliśmy się tam wpłynąć. Gdyby łódź zatonąła, nie mielibyśmy jak wrócić do Nampary, prawda?

– Chyba moglibyśmy się wspiąć na klif.

Hugh zmarszczył brwi i spojrzał na strome skały.

– Jestem przyzwyczajony do wdrapywania się na drzewa, ale nie chciałbym się wspinać na to urwisko. Przykro mi, że jesteś taka mokra.

– A mnie, że ty jesteś mokry.

Hugh się rozejrzał.

– Możemy wyczerpać wodę z łodzi na tamtej plaży. Inaczej w drodze powrotnej musiałabyś przez cały czas trzymać nogi w wodzie.

– To nieważne. Nie przeziębnię się.

Jednak powiosłował w stronę plaży i wyskoczył na brzeg. Kiedy Demelza podążyła za nim, ocean znów odetchnął, uniósł łódź z zaskakującą łagodnością i osadził ją na piasku, tak że nie musieli się trudzić. Zapominając, że uważa Demelzę za kruchą istotę, Hugh pozwolił, by mu pomogła, i razem obrócili łódź, by wylać z niej wodę. Później oboje usiedli na piasku, patrząc na swoje ubrania i pozwalając im schnąć w promieniach słońca.

– Demelzo... – zaczął.

– Tak?

– Chciałbym, żebyś pozwoliła mi się kochać.

– Jezu... – westchnęła.

– Och, wiem... wiem, że postępuję źle, wypowiadając te słowa. Wiem, że

nawet taka myśl jest niewłaściwa, niestosowna. Rozumiem, że wygląda to tak, jakbym chciał w niewybaczalny sposób wykorzystać twoją uprzejmość. Wiem, że moje zakusy na cnotę żony człowieka, który uwolnił mnie z więzienia, mogą się wydawać haniebne. Zdaję sobie z tego wszystkiego sprawę.

– Lepiej płynmy do domu – odpowiedziała Demelza, jękając się lekko.

– Daj mi pięć minut. Chcę po prostu z tobą posiedzieć.

– Chciałbyś coś jeszcze dodać?

– Może wytłumaczyć, co czuję. Żebyś nie miała o mnie zbyt złego zdania.

Demelza ścisnęła w dłoni drobny piasek. Opuściła głowę, włosy opadły jej na twarz. Zrzuciła z nóg pantofle i zanurzyła stopy w piasku.

– Nie mogę mieć o tobie złego zdania, Hugh, choć nie rozumiem, jak możesz to mówić, zwłaszcza dzisiaj.

Strząsnął z koszuli krople wody.

– Pozwól mi najpierw coś wytłumaczyć. Uważasz, że robię coś strasznego, gdy proszę cię, żebyś była niełojalna wobec Rossa. I ściśle biorąc, masz rację. Ale – jak to wyjaśnić? Ofiarowując miłość, nie umniejszasz jej. Kochając się ze mną, nie zniszczysz swojej miłości do Rossa. Miłość to akt tworzenia, miłość nigdy nie niszczy. Nie zdradziłabyś swojej miłości do Rossa, ofiarując część swojej miłości mnie. Kochałabyś go jeszcze mocniej. Czułość to nie pieniądze: im więcej się jej daje, tym więcej się jej ma. Czujesz coś do mnie, prawda?

– Tak.

– Wobec tego powiedz, czy mogłabyś czuć do mnie to samo ciepło i zrozumienie, gdybyś nie kochała Rossa?

– Może. Nie wiem.

– Miłość to nie pilnowanie skarbu, który się zdobyło. Trzeba ją rozdawać. To błogosławieństwo, balsam. Znasz przypowieść o rozmnożeniu chleba i ryb? Wszyscy źle ją rozumieją. Chrystus rozdawał chleb w sensie duchowym.

Dlatego wystarczyło go dla pięciu tysięcy ludzi. To cud, który nieustannie się powtarza.

– Pięć bochenków miłości – odparła Demelza. – A czym były dwie małe ryby?

– Jesteś bardzo surowa, Demelzo.

– Nie, nie jestem surowa.

Nad zatoczką przeleciała wielka mewa o czarnym grzbiecie. Znajdowała się dość nisko i jej skrzydła chwilowo zasłoniły słońce. Wysoko na klifach zakwiliły dwie inne mewy. Skwar sprawił, że niebo zbladło. Powietrze było zupełnie nieruchome.

– Sugerujesz, że nie rozumiesz mojej prośby, zwłaszcza dzisiaj – powiedział Hugh. – Proszę o to dziś, bo drugi taki dzień nigdy się nie powtórzy. Nie chodzi o moją chorobę, lecz o zwykłe okoliczności. Nigdy nie będzie drugiego takiego dnia. Możesz uważać, że proszę, byś to zrobiła z litości. Masz rację, ale to niesprawiedliwe. Nie z litości dla człowieka, który traci wzrok. Z litości dla kogoś, kto cię kocha jak samego Boga, jednak uważa, że na zawsze pozostanie poza bramami raj.

Demelza się zachnęła. Wydawała się wręcz zirytowana.

– To nieprawda, Hugh! Miłość to nie raj! Źle to rozumiesz. Miłość – taka, o jaką mnie prosisz – to coś ziemskiego, przyziemnego. Może być piękna, czasem przypomina kopalnię złota. Ale jest ziemska, przyziemna. Nie wolno jej porównywać z rajem. Miłość może przypominać raj, choć ciągle pozostajemy poza jego bramami. Jest czymś ludzkim, łatwo ją stracić, ma w sobie coś zwierzęcego, choć ma znacznie, znacznie więcej. Często sprawia, że człowiek szlachetnieje, przenosi się do innego świata... Ale... ale... nie wolno się mylić. To straszny błąd brać miłość za coś, czym nie jest.

Zapadła cisza. Hugh spojrział na Demelzę ciemnymi, wrażliwymi oczami.

– Więc uważasz, że przedstawiłem błędne argumenty. Myślisz, że moje

rozumowanie jest pokrętne?

Popatrzyła na niego przez włosy, które zasłaniały jej twarz, i uśmiechnęła się.

– Nie wiem, co to znaczy, ale tak sędzę.

– Gdybyś chciała się dać przekonać, jak radziłabyś mi się namawiać?

– Nie chcę się dać przekonać.

– Jest jakieś ryzyko?

– Nie ryzyko. Ryzyko to niewłaściwe słowo.

– A zatem nadzieja.

– Ani nadzieja. Hugh, powinieneś wiedzieć, że niepokoję się o ciebie, jestem poruszona. To nie litość. Żałuję, że to nie litość.

– Cieszę się, że mi nie współczujesz.

– Wszystkie twoje piękne słowa o tym, że miłość można dzielić... Czy inne rzeczy również można dzielić? Na przykład lojalność albo zaufanie?

Odpowiedz.

Hugh uklęknął, potem przysiadł na piętach. Wielkie wilgotne plamy na jego batystowej koszuli powoli schły.

– Nie – odrzekł pokornie. – Pokonałaś mnie. – Pokręcił głową. – Pokonałaś mnie.

Zaczęła kreślić palcem figury na piasku. Mocno biło jej serce. Miała tak zaschnięte usta, że nie mogła przełknąć śliny. Nagle zdała sobie sprawę z nagości swojego ciała pod sukienką; czuła, że rozkwita. Wydała z siebie lekki jęk. Próbowała go stłumić, lecz nie do końca jej się to udało.

Siedział, spoglądając na nią. Dzieliło ich zaledwie trzydzieści centymetrów.

– Co się stało?

– Proszę, chodźmy.

– Mogę cię tylko pocałować?

Uniosła głowę i odgarnęła włosy.

– To byłoby niewłaściwe.

– Ale pozwolisz?

– Może nie zdołam cię powstrzymać.

Zbliżył się do niej, a kiedy jej dotknął, natychmiast zrozumiał, że wygrał tę bitwę, choć nie wiedział, jak to się stało. Ujął w dłonie jej twarz, trzymając ją jak puchar, z którego zamierzał się napić, a potem ją pocałował. Z powagą, bez uśmiechu dotykał wargami jej powiek, policzków, włosów. Westchnął, jakby przez chwilę jej akceptacja była wszystkim, jakby nie było już w nim pożądania.

– Hugh...

– Nic nie mów, kochanie, nic nie mów.

Położył lewą rękę na jej karku, podtrzymując ją, dopóki nie osunęła się na piasek. Później zaczął rozpinać prawą ręką guziki sukienki.

KSIĘGA TRZECIA

Rozdział pierwszy

1

Ross spędził poza domem trzy noce, nie jedną. Pierwszego dnia spał u Verity, jak uzgodniono. Drugiego dnia odbył wiele spotkań w sprawie obrony terytorialnej, po których pozostało wiele nierozstrzygniętych kwestii, a potem przenocował w zamku Pendennis na skalistym przylądku obok zatoki Falmouth jako gość gubernatora Johna Melville'a. Gubernator Melville, sięgający zaledwie do górnego guzika kamizelki Rossa, nosił czerwony mundur i trójgraniasty kapelusz, którego nie zdejmował nawet w czasie posiłków. Kikut jego lewej ręki wisiał na czarnym jedwabnym temblaku, toteż jedzenie kroił mu ordynans. Prawe oko gubernatora zasłaniała czarna jedwabna opaska na satynowych wstążkach. Chodził, unosząc wysoko nogi jak w czasie defilady, i wyszcze kiwał rozkazy jak mały terier. Ross nie przepadał za takimi ludźmi, lecz i tak była to przyjemna odmiana po apatii i amatorszczyźnie większości oficerów, którzy powinni organizować obronę kraju. Następnego dnia Melville zawiózł Rossa do stale powiększającego się obozu dla francuskich jeńców wojennych w Kergillack w pobliżu Penryn. Przebywało tam teraz przeszło tysiąc osób, w większości marynarzy, i Ross chciał się przekonać, czy znowu zobaczy koszarne obrazy, jakie widział w Quimper. Wielu jeńców mieszkało w namiotach, a ponieważ utrzymywała się ciepła, słoneczna pogoda, byli opaleni i wyglądali na zdrowych. Racje żywnościowe wydawały się wystarczające, ale w zimie, w okresie lodowatych wichur, obóz

na szczycie wzgórza musiał być ponurym miejscem.

Później pojechali konno do Penrose na spotkanie z panem Rogersem i zjedli kolację. Zapadał zmrok i Ross miał w perspektywie czterogodzinny powrót do domu, więc już zamierzał przyjąć zaproszenie na nocleg, gdy nagle przybył na spienionym koniu posłaniec z wiadomością od lorda de Dunstanville, który prosił, by wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni stawili się natychmiast w Tehidy w sprawie o wielkim znaczeniu dla bezpieczeństwa kraju. Goście siedzący przy stole pomyśleli, że gdzieś wylądowali Francuzi i że należy zmobilizować ochotników, lecz posłaniec wyjaśnił, że w Camborne doszło do poważnych rozruchów i że lord de Dunstanville potrzebuje pomocy, by się nie rozszerzyły.

Wśród mężczyzn uczestniczących w posiłku trzech było w zaawansowanym wieku. Gubernator Melville uważał, że jako wojskowy nie powinien uczestniczyć w tłumieniu zamieszek, chyba że nie poradzą sobie z tym władze cywilne, dlatego w końcu pojechali Ross, Rogers oraz dwóch innych gości. Towarzyszył im masztalerz.

Chociaż w czasie jazdy okolica wydawała się spokojna, w Tehidy panowała gorączkowa atmosfera. Rozruchy wydarzyły się poprzedniego dnia. Tłum rozwścieczonych górników złożony z pięciu lub sześciu tysięcy ludzi, wielu wraz z żonami, opanował wioskę Camborne, w której znajdowało się kilka młynów, i zażądał sprzedaży zboża za cenę ustaloną między sobą. Młynarze poprosili o pomoc miejscowych ziemian, lecz ci bali się interweniować. Przy akompaniamencie buntowniczych pieśni górnicy wynieśli zboże z magazynów i sprzedali je za arbitralnie ustaloną, niską cenę. Co gorsza, włamano się do części domów i stodół, skradziono wiele dóbr i brutalnie pobito ludzi próbujących powstrzymać grabież.

W wielkiej sali zebrało się około trzydziestu mężczyzn, których zaprzysiężono jako konstabli. Ich liczba stale wzrastała, ponieważ posłańcy de

Dunstanville'a sprowadzali nowych rekrutów z dalej położonych okolic: rolników, faktorów, kowali, urzędników, każdego, na kim można by polegać w krytycznej sytuacji. Ross wszedł do salonu, gdzie w dalszym ciągu odbierano zeznania od młynarzy, i zastał tam Basseta. Arystokrata powitał go wyjątkowo przyjaźnie, mimo że był ponury – wydawało się, że traktuje rozruchy bardzo poważnie. Ross pomyślał, że raczej nie chodzi o ciężar popełnionych przestępstw, bo gdy słuchał zeznań, miał wrażenie, że prawie nie stosowano przemocy i nie popełniono wielkich kradzieży, zatem Basseta musiało dotknąć do żywego niepowodzenie miejscowych sędziów, którzy nie zdołali powstrzymać rozruchów. Gdyby ludzie uznali, że sędziowie nie są w stanie powstrzymać rozwścieczonego tłumu, zapanowałaby anarchia. Basset przybył tego dnia z Londynu – ostatnią noc spędził w Ashburton – i oznajmił, że nie wolno tolerować bezprawia w okręgu, gdzie jest największym właścicielem ziemskim i gdzie powinien utrzymywać porządek na mocy władzy otrzymanej od króla.

Dowiedziawszy się o zajściach, Rogers przychylił się do opinii Basseta. Zebrani mężczyźni byli pełni determinacji, choć poprzedniego dnia część z nich w ogóle nie próbowała przeciwdziałać zamieszkom. Brakowało im energicznego, odważnego przywódcy – teraz go mieli.

Ross, jak zwykle rozumiejący motywy górników, chętnie znalazłby jakąś wymówkę i pojechał do domu. Młynarze i kupcy byli bogatymi ludźmi, za którymi nie przepadał. Gdyby jednak teraz odjechał, rzuciłby wyzwanie własnej klasie w niejasnej sytuacji. Nie tak dawno sam wywołał zamieszki, ale bunty w marynarce wojennej – zwłaszcza późniejsze, kiedy ludzie tacy jak Parker stawali się małymi dyktatorami niewiele różniącymi się od swoich francuskich odpowiedników – sprawiły, że stał się wrogiem masowej anarchii, a odmowa pomocy po przybyciu do Tehidy sprawiłaby, że opowiedziałby się po stronie idei, którymi zaczął gardzić.

Przyłączył się więc do ekspedycji karnej, choć z każdą godziną czuł coraz większy niesmak. Znajdowali się w okręgu wiejskim i nazwiska większości prowodyrów były znane, gdyż podali je w swoich zeznaniach młynarze. Zaprzysiężono łącznie osiemdziesięciu konstabli, a Basset podzielił ich na dziesięć grup: każda miała aresztować pięciu uczestników rozruchów. Jeśli do rana pięćdziesięciu przywódców znajdzie się pod kluczem, zniknie groźba dalszych zamieszek. Dowództwa grup objęli Basset, Rogers, Stackhouse z Pendarves, Ross i inni.

Wszystko przebiegło wyjątkowo spokojnie. Przygotowania zakończono o pierwszej w nocy, a przed drugą aresztowano większość prowodyrów. Górnicy spali w swoich łóżkach, z wyjątkiem kilku, którzy mieli nocne szychty. Zatrzymani nie stawiali oporu i w większości nawet nie protestowali. Ross musiał przyznać, że zaimprovizowana operacja była udana i dobrze świadczyła o umiejętnościach organizacyjnych Basseta. Kiedy górników umieszczono pod strażą w aresztach, wstał świt. Ross nie przyjął zaoferowanego łóżka, tylko drzemał w fotelu przez godzinę, po czym wyruszył do domu.

Po drodze wstąpił do Killewarren. Dwight już wstał, Caroline jeszcze spała. Ross był skonsternowany, kiedy dowiedział się, że poprzedniej nocy posłano po Dwighta, który odmówił przybycia. Z kwaśną miną opisał wydarzenia ostatniej nocy, a Dwight powiedział:

– Cóż, ty i ja jesteśmy w zupełnie różnej sytuacji. Ty byłeś na miejscu, ja nie. Jesteś członkiem starego rodu, ja stałem się ziemianinem dopiero niedawno dzięki małżeństwu. Moim zdaniem postąpiłeś słusznie.

Ross prychnął.

– Nie podobało mi się wyciąganie po nocy z łóżek tych zagłodzonych nieszczęśników. Przez pewien czas będę sobie przypominał te sceny.

– Co zamierzają z nimi zrobić?

– Bogu dzięki nie jestem sędzią. Och, myślę, że wszystko zostanie rozsądnie zorganizowane. Basset mówił, że około trzydziestu pięciu stanie przed miejscowym sądem, a kilkunastu, oskarżonych o cięższe przestępstwa, zostanie odesłanych do Bodmin. Nie jest mściwy i teraz, gdy zmanifestował swoją władzę, powinien się zadowolić łagodnymi wyrokami.

Dwight zacisnął wargi.

– Miejmy nadzieję. To niedobre czasy dla ludzi, którzy wchodzą w konflikt z prawem.

Ross wstał i zbierał się do odejścia.

– Przekaż Caroline moje pozdrowienia. Mam nadzieję, że czuje się trochę lepiej.

– Niezupełnie. Podejrzewam anemię, ale moja żona jest trudną pacjentką. Przypuszczam, że w sekrecie wylewa na grządkę większość mikstur, które jej aplikuję.

– Dlaczego nie wyjedziecie? Nie mieliście normalnego miesiąca miodowego, a ty jesteś już znacznie silniejszy.

– Może w przyszłym roku.

– To kawał czasu. Wiesz, że kiedy siedziałeś w więzieniu, Caroline wiedła jak kwiat wyjęty z wody? Po twoim powrocie rozkwitła na nowo. Niewątpliwie uznasz te uwagi za impertynencję z mojej strony.

– Jeszcze nie.

Przed odjazdem Ross spojrział w zamyśleniu na przyjaciela. Po nieprzespanej, nieprzyjemnej nocy miał ochotę mówić otwarcie...

– Moim zdaniem Caroline to młoda kobieta, której wygląd i zdrowie w szczególny sposób zależą od nastroju. Wiele przecierpiałeś w Quimper – ale nie pod względem duchowym, jak Caroline w Anglii. Byłeś... masz naturę człowieka, który zawsze potrafi się czymś zająć, natomiast Caroline spędziła wiele miesięcy na oczekiwaniu, martwiła się i opiekowała umierającym

starcem, który przez wiele miesięcy nie mógł umrzeć. Domyślam się, że w dalszym ciągu cierpi z tego powodu, tak samo jak ty cierpiełeś fizycznie z powodu straszliwych warunków panujących w więzieniu. Caroline potrzebuje zmiany, Dwight, bodźca.

Dwight się zarumienił.

– Doktor Poldark...

– Tak... Lubię Caroline. W ciągu ostatnich lat wiele razy ją widywałem i ośmielam się sądzić, że znam ją tylko trochę gorzej od ciebie. Może w jakiś sposób lepiej, bo patrzę na wszystko z pewnej perspektywy.

– Nie tak dawno dyskutowałem o tym z Caroline – odpowiedział Dwight. – Mówiliśmy, że trudno jest nam się przystosować do życia obok siebie. Próbowałem... próbowałem spełnić część jej życzeń.

Ross chrząknął, jakby nie był przekonany.

– Skoro przypisujesz jej stan zdrowia nastrojom, wskazujesz oczywistą przyczynę jej przygnębienia – rzekł dość ostro Dwight. – Mianowicie, że nasze małżeństwo nie jest tak udane, jak powinno być. Czy mam prawo twierdzić, że się mylisz?

Ross wziął szpicrutę.

– Jeśli nie jest tak udane, jak powinno być, chciałbym dodać jeszcze jedno słowo. To, że pod wieloma względami jesteście swoim przeciwieństwem, nie jest jeszcze końcem świata, a nawet końcem małżeństwa. Wiesz o tym, oboje od dawna o tym wiecie. Mieliście niespełna dwa lata, by się przystosować. Potrzeba do tego czasu i cierpliwości. Wiem, że Caroline nie jest anielsko cierpliwa, lecz oboje macie czas. Moim zdaniem powinieneś bardziej jej ulegać, Dwight. W porządku, w porządku, trochę bardziej. Musisz pamiętać o swoim szczęściu i ponieść konsekwencje... Wiem, że to kazanie to wyjątkowa bezczelność i że miałbyś prawo wyzwać mnie na pistolety, ale pamiętaj, że zależy mi na waszym szczęściu.

– Bez ciebie nigdy byśmy się nie pobrali – odparł Dwight. – Masz szczególne prawo, by się tym interesować.

– Szczególne – powtórzył Ross. – Trzeźwiąca myśl.

– Więc nie wyzwę cię na pistolety, tylko poproszę o konia i odeślę cię do domu, szczęśliwie, bez udzielania ci karcących uwag na temat twojego małżeństwa.

– Też bywało burzliwe – odparł Ross. – Nie zapominaj o tym. Nikt nie dopływa do portu bez ryzyka katastrofy.

2

Kiedy Ross wrócił do domu, Demelza uczyła Jeremy'ego. Chłopiec siedział jej na kolanach z książką w kartonowej oprawie, a matka pokazywała mu litery. W tym czasie Clowance waliła w podłogę starym cynowym kubkiem, który gdzieś znalazła. Demelza zaczęła uczyć syna latem tego roku, by Jeremy czegoś się dowiedział przed pierwszą kąpielą w morzu.

Przybycie Rossa przerwało naukę. Demelza serdecznie go ucałowała, podczas gdy Jeremy obejmował jej nogę, a Clowance jeszcze szybciej waliła kubkiem w podłogę i piała z zachwytu. Gdyby Ross zwrócił na to uwagę, spostrzegłby, że Demelza całuje go szczególnie serdecznie i że trzyma za ramiona dłużej niż zwykle. Wiedział jednak, że w domu nie dzieje się nic szczególnego, co mogłoby zaburzyć spokój. Przez cały czas myślał o wydarzeniach ostatniej nocy i chciał jak najszybciej opowiedzieć o nich żonie.

Zjadł coś i poszli posiedzieć w ogrodzie. Ross zdjął surdut, Demelza otworzyła parasolkę, po czym rozmawiali o różnych sprawach i w pewnej chwili wspomniała, że we wtorek przyjechał Hugh Armitage.

Ross uniósł brwi i powiedział:

– Doprawdy? Co u niego słycać? – Pytanie miało charakter retoryczny.

– Bardzo źle – odparła Demelza. – W każdym razie nie jest zdrowy. Musiał opuścić marynarke.

– Przykro mi. Co się z nim dzieje?

– Kim był Milton?

– Milton? Poetą. Żył dawno temu.

– Oślepl?

– Tak... Tak, chyba tak.

– Podobno Hugh też to czeka.

– Wielki Boże! – Ross spojrzal na Demelze, marszcząc brwi. – Tak mi przykro! Kiedy się o tym dowiedział?

– Nie wiem. Przyjechał z masztalerzem, który, jak sądzę, towarzyszył mu z powodu jego wzroku. Nie chciał zostać na obiedzie, ale wcześniej zabrałam go do Foczej Zatoki. Bardzo mu na tym zależało i nie mogłam odmówić.

– Popłynęliście łodzią?

– Powiedział, że miała z nim przyjechać pani Gower, ale jedno z dzieci zachorowało i nie mogła.

– Były foki?

– O tak... Nigdy wcześniej tylu nie widziałam.

Ross jeszcze bardziej zmarszczył brwi. Zapadło ciężkie, groźne milczenie.

– Zastanawiam się, czy rozmawiał z Dwightem.

– Z Dwightem? – spytała z ulgą Demelza.

– Wiem, że Dwight nie zna się specjalnie na okulistyce, ale ma doskonałą intuicję, talent do medycyny. Rozmowa z nim na pewno by Hugh nie zaszkodziła... Wielki Boże, cóż za nieprzyjemna sprawa! Uważają, że przyczynił się do tego pobyt w więzieniu?

– Podobno.

Ross pochylił się i poklepał Garricka, który siedział obok fotela.

– Naprawdę nieprzyjemne. Świat wydaje się czasem bezsensowny i okrutny. Okrutny w stosunku do ludzi, choć oni sami również są okrutni...

Demelza wzięła halkę z błękitnej satyny, by obrębić brzeg. Zaczęła szyć. W kwiatach bzu brzęczała pszczoła i Demelza zastanawiała się, czy to ta sama, którą słyszała wcześniej.

– Co zamierza robić? – spytał Ross.

– Hugh? Nie wiem. Myślę, że pojedzie do domu rodziców w Dorset.

– Ciągłe jest w tobie zakochany?

Zerknęła na niego nieśmiało.

– Nie wiem, czy teraz też.

– A ty?

– Bardzo mi go żal. To naturalne.

– Bądź ostrożna. Mówi się, że litość to siostra miłości.

– Myślę, że nie chce, by się nad nim litowano.

– Nie, nie to miałem na myśli.

Garrick wstał na kościste łapy pokryte czarną sierścią i wyszedł z domu.

– Nie lubi upału – zauważyła Demelza.

– Kto? Hugh?

– Nie, nie, nie, nie.

– Przepraszam. Nie powiedziałem tego dla żartu.

Demelza westchnęła.

– Może byłoby lepiej, gdybyśmy żartowali na temat tego wszystkiego. Może bierzemy życie zbyt poważnie... Cieszę się, że wróciłeś, Ross. Wolałabym, żebyś nie wyjeżdżał na tak długo. Naprawdę wolałabym!

– Ja również. Tylko mnie to frustrowało.

Kochali się tego wieczoru, gdy nad morzem wciąż płonęła wieczorna luna, i Ross zauważył, choć tego nie komentował, że w Demelzie znów pojawiło się ciepło i bogactwo uczuć, których w ciągu ostatnich miesięcy odrobinę mu

brakowało. Nie po raz pierwszy spostrzegął w żonie blaski i cienie emocji, których nie dawało się określić, nazwać zmysłowymi lub uczuciowymi. Może źródłem tych emocji były ich wzajemne relacje, lecz w rzeczywistości wyrastały z głębszych pokładów jej temperamentu i nie potrafił ich zrozumieć. Prosta córka górnika wcale nie miała prostego charakteru.

Przez chwilę rozmawiali cicho, trochę nieskładnie, zadowoleni, a później poszli spać. Demelza leżała, patrząc na przygasające światło na suficie, po czym wyslizgnęła się z objęć Rossa, wstała, włożyła koszulę nocną i podeszła do łóżka. Na ciemnym niebie świeciły gwiazdy, a plaża i klify były czarne i puste. W pobliżu brzegu lśniła biała linia przyboju. Kilka nocnych ptaków leciało do swoich gniazd.

Zadrzała lekko, choć w sypialni było ciepło, i przypomniała sobie niewiarygodne wydarzenia z wtorku.

Ross był dla niej zawsze kimś więcej niż mężem. W pewnym sensie stworzył ją z niczego, ponieważ na początku była nikim: zagłodzoną znajdą, która rozumiała tylko najprostsze sprawy, niepiśmienną, prymitywną, zawszoną. W ciągu przeszło trzynastu lat, zachęcana przez Rossa, wyrosła na kobietę umiejacą czytać i pisać, mówić w miarę poprawną angielszczyznę, grać na szpincie i obracać się nie tylko wśród ziemian, lecz również, tak jak ostatnio, wśród arystokracji. Co więcej, poślubił ją, ofiarował jej swoją miłość (prawie zawsze), otaczał czułą troską (zawsze), obdarzył zaufaniem, dał piękny dom, służących wykonujących prace, na które nie miała ochoty, i troje pięknych dzieci, z których dwoje żyło. I zdradziła go pod wpływem nagłego współczucia, sympatii i namiętności do człowieka, którego prawie nie znała i który ją o to poprosił.

Było to zupełnie niewiarygodne. Kilka lat wcześniej Ross pojechał do Elizabeth. Zostawił Demelzę, porzucił, a ona wybrała się samotnie na bal do rezydencji Bodruganów. Pragnęła się zemścić w jedyny możliwy sposób

i rzuciła się w ramiona szkockiego oficera kawalerii o nazwisku Malcolm McNeil. Kiedy jednak miała mu się oddać, kiedy znalazła się sam na sam z obcym mężczyzną, a on próbował ją rozebrać, zaczęła się bronić, ugryzła go i uciekła. Przekonała się, czując z tego powodu niemal wściekłość, że należy do Rossa, niezależnie od tego, co zrobił, i że nie chce żadnego innego mężczyzny. Nie potrafiła go zdradzić nawet wtedy, gdy to sobie postanowiła i gdy miała absolutną pewność, że Ross ją zdradził.

Teraz zaledwie podejrzewała, że Ross potajemnie spotyka się z Elizabeth, i pozwoliła sobie na zdradę, choć uważała to za niemożliwe.

Spojrzała w noc. Zapadł zmrok, za dworem wstawał księżyc.

Szczerze mówiąc, nie mogła nawet przypisać swojej niewierności opowieściom Juda o sekretnych schadzках Rossa. Oczywiście przez wszystkie miesiące stale o tym pamiętała, coś niszczyło jej zwykłą radość. Na miękkim piasku Foczej Zatoki, wśród wysokich klifów, gdy patrzył na nią klęczący obok mężczyzna, wszystko nagle jej się przypomniało i osłabiło jej wolę. Stało się tak tylko dlatego, że bodźce były silne i wystarczył pierwszy lepszy pretekst. Bo był to pretekst, wiedziała o tym na pewno. Dobry czy zły, kto wie? Pretekst do czegoś, co niewybaczalne.

Nie mogła również udawać przed sobą, że jej opory przełamał romantyzm Hugh. Naturalnie sprawiało jej przyjemność, że ktoś uważa ją za ideał. Nie była jednak obdarzona tak dużym temperamentem, żeby robiło to na niej wielkie wrażenie. Doskonale zdawała sobie sprawę, że taki poetycki obraz miłości jest nie do utrzymania, i w trakcie rozmów z Hugh przez cały czas jasno dawała mu to do zrozumienia. Jego ekstrawagancje, choć urocze, działały na jego niekorzyść. (Czy byłoby niesprawiedliwie uznać, że usiłował ją oczarować, utkać wokół niej magiczną sieć, zahipnotyzować idealizmem i pięknymi słówkami? Może niesprawiedliwie, bo nie mogła wątpić w jego szczerść). Tak czy owak, Demelza nie pozwoliła się zahipnotyzować. Ale

w końcu mu się oddała. Ofiarowała mu swoje ciało z sympatią i zmysłową swobodą. Prawie się nie wstydziła. Zdarzyło się to z dala od reszty świata, pod gorącym słońcem.

Co zatem było przyczyną? Pociąg, zwykły fizyczny pociąg, który Demelza czuła od chwili, gdy rok wcześniej po raz pierwszy się spotkali; smutek z powodu wiadomości o stanie zdrowia Hugh; sposobność, która pojawiła się niczym dziwny ptak, wywołując nierealne wrażenie izolacji i dając Demelzie poczucie, że jest nikim i że oddaje się bezimiennemu mężczyźnie.

Czy te powody, oprócz pierwszego, są lepsze niż preteksty? Pragnął jej, odkąd ją zobaczył, a teraz ją posiadał. Może go to wyleczy. Może teraz, kiedy sprowadził ją do poziomu innych kobiet, będzie w stanie odejść i zapomnieć. Istnieje stare powiedzenie, że gdy zgaśnie świeca, wszystkie kobiety są takie same. Sugerował, że miał wiele kobiet; teraz Demelza stała się jedną z nich. Teraz mógł pokochać wyidealizowaną miłością inną dziewczynę. Może to, że mu się oddała, w końcu wyjdzie na dobre, oczyści jego umysł z pożądania, pozwoli mu się pogodzić ze sobą i zapomnieć.

Chciała w to wierzyć. Prawie. Żadna kobieta nie chce czuć, że oddając się mężczyźnie, traci dla niego urok. Ale to przypuszczenie wydawało się mniej prawdopodobne niż wczoraj. Po południu, gdy Ross zapadł w drzemkę i odsypiał frustracje i niepokoje nocnych wydarzeń, w których uczestniczył, znów przyjechał masztalerz Hugh. Stukając obcasami, podszedł do frontowych drzwi – był sam, dzięki Bogu – i otwarcie przekazał Demelzie wiadomość, którą Ross mógł zechcieć przeczytać. Trzeba przyznać, że list był dość oficjalny, zawierał grzeczne podziękowania za gościnność we wtorek i wyrażał nadzieję, że Ross i Demelza przyjadą na obiad do Tregothnan przed powrotem Hugh do domu rodziców. Ale w środku znajdował się kolejny wiersz i Demelza nie wiedziała, czy wystarczyłoby jej zręczności, by ukryć go przed mężem.

Metrum się zmieniło, lecz nie styl:

*Fala na morzu falę goni:
Piękno trzymałem w dłoni.
Leciałem do światła jak ćma,
By wypić puchar do dna.
Ciało obmyte falą,
Światła pożądań się palą.
Słodkie podała mi usta,
A plaża, rozgrzana i pusta,
Na jedną krótką godzinę
Zmieniła się w szczęścia krainę.
W pamięci zostanie do końca
Nasza nieziemska, gorąca
Miłość w promieniach słońca.*

Wydawało się, że uczucia Hugh się nie zmieniły i że w ogóle się z nich nie wyleczył. Czy zatem Demelza się wyleczyła? Tylko z czego? Z nagłego zmysłowego impulsu, by raz w życiu przespać się z innym mężczyzną? Z perwersyjnego pragnienia zdradzenia ukochanego męża? Z chęci dania szczęścia, jeśli to możliwe, komuś, komu grozi śmierć? Z gwałtownego przyływu niemoralności, gdy leżała na ciepłym piasku, a słona woda schła na jej ciele?

Dziwną, nieco niepokojącą rzeczą było to, że nie miała pewności, czy powinna się z czegokolwiek wyleczyć. Nie kochała Rossa mniej niż poprzednio – może, przewrotnie, nawet trochę bardziej. Jej stosunek do Hugh Armitage'a się nie zmienił – albo prawie nie zmienił. Polubiła Hugh, jego miłość sprawiła jej przyjemność i po części ją odwzajemniała. Doznanie, doznanie fizyczne, jeśli można je oddzielić w myślach od słodkiego napięcia i słodkiego podniecenia, w istocie nie różniło się od tego, co poznała wcześniej. Nie miała poczucia, że stała się w rzeczywisty sposób kobietą lekkich obyczajów. Nie uważała, że coś takiego może się powtórzyć. To, że

nie czuła się po tym zdarzeniu bardzo zmieniona, budziło w niej lekki niepokój.

Nie znaczy to, że spędziła później dwa szczęśliwe dni. Czasami dyskomfort i lęk, które czuła, można by mylnie wziąć za wyrzuty sumienia z powodu grzechu. Niestety, wyrzuty sumienia były czymś, o czym musiała sobie przypominać – nie pojawiały się samoistnie. Prawdziwy dyskomfort brał się z czegoś innego. W tej chwili wtorkowe wydarzenie było czymś odrębnym, niezwiązanym z przeszłością ani przyszłością. Gdyby jednak dowiedział się o nim Ross, a nawet gdyby zaczął coś podejrzewać, anonimowość doświadczenia zostałaby zburzona, odrębność zniszczona i życie Demelzy mogłoby legnąć w gruzach.

Nie była to miła myśl. Stojąc w oknie i czując lekkie dreszcze przeszywające ciało w ciepłym nocnym powietrzu, miała do siebie pretensje. Wydawało się, że jeśli popełniła cudzołóstwo, to ze złego powodu, a jeśli czuła żal – również ze złego powodu.

We wtorek opuścili plażę po pierwszej. Popłynęli prosto do domu.

– Nie zaprosiłaś mnie na obiad, ale i tak bym nie został – rzekł Hugh w łodzi. – Jeśli Ross wróci, będę zażenowany. Prawdę powiedziawszy, chciałbym być teraz długo sam.

– Twój masztalerz na pewno zmęczył się czekaniem.

– Ja też się zmęczyłem czekaniem... Kiedy mogę cię znowu zobaczyć?

– Dopiero po dłuższym czasie.

– Dłuższy czas będzie dla mnie za długi.

– Kiedy wracasz do domu?

– Do Dorset? Nie wiem. Mój wuj uważa, że wkrótce odbędą się wybory, i chce, żebym kandydował z Truro.

– Ale twoje... Och, domyślam się, że nic nie wie?

– Jeszcze nie. Tak czy inaczej, gdyby wybory odbyły się tego lata,

niewątpliwie zdołałbym oszukać elektorów. Podejrzewam, że w Izbie Gmin już wcześniej zasiadali niewidomi posłowie.

– Nie mów tak.

– Cóż, wcześniej czy później trzeba to będzie powiedzieć.

– Nie mógłbyś korzystać z okularów? Ciągle nie jestem pewna, jak dużo widzisz.

– Dziś widziałem dostatecznie dużo.

– Hugh, proszę, nie powinniśmy o tym mówić... Mam nadzieję, że nie muszę cię prosić, byśmy o tym nie mówili, gdy wyjdziemy na brzeg.

– Nie musisz mnie prosić, Demelzo. Nie skrzywdzę cię ani jednym słowem, moja śliczna. Zapewniam cię.

Dotarli do zatoki Nampary, a masztalerz o beznamiętnej twarzy, który siedział w cieniu skał, z poważną miną pomógł im wyjść z łodzi. Wciągnięto ją do jaskini, a następnie Hugh i Demelza wspięli się wąskim jarem do dworu, rozmawiając o fokach i innych nieistotnych sprawach. Armitage nie chciał wejść do domu, tylko gawędził z Demelzą na progu, aż przyprowadzono dwa konie. Hugh i masztalerz zajęli miejsca w siodłach, po czym odjechali ze stukotem w górę doliny. Nie pomachał Demelzie na pożegnanie, lecz odwrócił się i długo na nią patrzył, jakby chciał zapamiętać widok, którego może więcej nie zobaczyć.

Demelza odwróciła się od okna w sypialni i spojrzała na znajomy pokój. Tekowe belki na suficie, nowa kotara z zielonego aksamitu nad drzwiami, fotel przy oknie z różową jedwabną narzutą. Uchylone drzwi szafy i wystający z nich kawałek sukni, zielonej sukni, niczym wstydlivy sekret. Ciemne włosy Rossa i jego miarowy oddech. „Nie skrzywdzę cię ani jednym słowem, moja śliczna”. A to, co piszesz? W sferze, w której wychował się Hugh, listy przynosi na tacy służący podczas śniadania, a wszyscy są zbyt dobrze wychowani, by pytać, kto je przysłał, cóż dopiero czytać. Jednak w Namparze

panowały swobodniejsze, mniej sztywne obyczaje. Ross zawsze rzucał Demelzie otrzymane przez siebie listy, by mogła je przejrzeć. Ona również, gdy z rzadka dostawała jakiś list, odruchowo robiła to samo. Ostatni wiersz, choć ukryty, był naprawdę niebezpieczny: „Ciało obmyte falą / Światła pożądań się palą. / Słodkie podała mi usta...”. Boże drogi! Nic dziwnego, że Demelza drżała w ciepłym nocnym powietrzu!

Powinna natychmiast podrzeć ten arkusik papieru. Był jak ładunek prochu czekający na przypadkową iskrę. Ale czasem można przesadzać z ostrożnością i Demelza nie potrafiła się zmusić, by zniszczyć wiersz. Niezależnie od tego, co mogło w przyszłości znaczyć to, co się stało, wiersz był ważny. Coś dla niej znaczył i nie chciała go stracić. Dlatego wsunęła go wraz z pozostałymi wierszami otrzymanymi od Hugh do niewielkiej skórzanej saszetki znalezionej przed laty w starej bibliotece. Czuła, że jest tam bezpieczny, bo saszetka leżała w szufladzie, do której zaglądała tylko Demelza.

Wróciła do łóżka. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie zakwestionowała romantycznych argumentów Hugh zbyt lekko. Co mówił? Że miłości nie ubywa, jeśli się ją daje. Miłość zawsze coś tworzy, nigdy nie niszczy. Czułość nie jest podobna do pieniędzy: im więcej jej się daje, tym więcej ma się jej dla innych. Może to coś rozsądnego, a nie tylko poezja. Z pewnością, jeśli ktoś zdoła przewyciężyć lojalność, zaborczość, zazdrość i zaufanie. Ale jak to zrobić? A jeśli Ross spał z Elizabeth? A jeśli jego opowieść, że pomagał aresztować górników, to nieprawda i spędził noc w ramionach Elizabeth? Jak wtedy by się czuła? Czy uznałaby, że Ross bardziej ją kocha, ponieważ pieścił ciało innej kobiety? Miłość zawsze coś tworzy, nigdy nie niszczy. Czułość nie przypomina pieniędzy. Ale nie zaufanie, Hugh, nie zaufanie. Podobnie lojalność. Można je roztrwonić i znikają na zawsze, Hugh. Chociaż są tylko częścią miłości, mają podstawowe znaczenie, zbiera się je, gromadzi, buduje przez lata jak coś, co narasta wokół miłości, chroni ją, ociepla, nadaje jej siłę

i smak. Jeśli się je roztrwoni, znikają na zawsze...

Uniosła cienką kołdrę i wślizgnęła się obok Rossa, bardzo ostrożnie, by go nie obudzić. Leżała przez chwilę na plecach z szeroko otwartymi oczyma, oddychała cicho, patrzyła na ciemny sufit. Później Ross się poruszył, jakby wiedział, że wstała i wróciła. Nie objął jej ramieniem, lecz we śnie położył rękę na jej dłoni.

Rozdział drugi

1

Trzydziestu pięciu uczestników zamieszek, których osądzono na miejscu, otrzymało lekkie wyroki. Było powszechnie wiadomo, że sędziom bardziej zależy na ukaraniu prowodyrów niż ludzi, którzy dali się namówić do udziału w rozruchach. Pozostałych piętnastu miano osądzić w Bodmin i było wśród nich kilku przyjaciół Sama i Drake'a z okolic Illuggan. Rozmawiali o tym pewnego wieczoru, idąc razem do Sawle, by obejrzeć pierwsze w tym roku połowy sardynek.

Połowy od pięciu lat były kiepskie i tegoroczne wczesne pojawienie się ryb budziło nadzieję, że upalne lato i ciepła woda przyniosą mieszkańcom wybrzeża obfitość żywności. Sieci wyciągnięto wczesnym rankiem, lecz w dalszym ciągu sortowano i pakowano sardynki. Bracia, podobnie jak większość okolicznych mieszkańców, mieli nadzieję tanio kupić trochę ryb. Została jeszcze godzina do zachodu słońca. Plażę wypełniały tłumy ludzi, którzy obserwowali, pomagali, plotkowali.

Zgodnie ze zwyczajem sardynki wyjęte z sieci wyładowywano na brzeg w koszach. Później zawartość koszy wsypywano do taczek, które toczono pod górę do tak zwanej piwnicy, w gruncie rzeczy dużej szopy. Pracowały tam kobiety zajmujące się sortowaniem i soleniem ryb. Uszkodzone szprotki odrzucano, by sprzedać je tanio każdemu, kto chciałby je kupić, a nadmiar odrzucano, posypywano resztkami soli i sprzedawano farmerom po siedem lub

osiem szylingów za furmankę jako nawóz na pola.

Dobre ryby układano warstwami na podłodze piwnicy. Zatrudnione tam kobiety pracowały szybko, ale dokładnie. Ryby układano łbami w jedną stronę, po czym posypywano solą i przykrywano następną warstwą sardynek. Pracowano w trzyosobowych grupach – jedna kobieta przynosiła i sortowała ryby, druga układała warstwy, a dziewczynka lub chłopiec przynosił sól i ogólnie pomagali. Taka grupa mogła w ciągu dnia posortować i ułożyć siedem do ośmiu tysięcy ryb.

Po przybyciu braci Carne'ów zakończono większość pracy i w piwnicy leżał wielki stos ryb wysoki na półtora metra. Ułożono je bardzo starannie, mimo naturalnych różnic w rozmiarach, i dało się je policzyć. Był to dopiero pierwszy etap pracy. Ryby leżały przez miesiąc w piwnicy i w tym czasie zbierano wyciekający z nich tłuszcz. Później myto je i pakowano do baryłek, po około dwóch i pół tysiąca sardynek w każdej. Leżały w nich osiem dni i znów zbierano wyciekający tłuszcz. Cena soli i innych materiałów, nie licząc robocizny, wynosiła od trzynastu do czternastu szylingów za baryłkę, a w połowie września każdą baryłkę, ważącą blisko pięć cetnarów, sprzedawano za przeszło czterdzieści szylingów. Takie były ceny w normalnych czasach. W normalnych czasach jedną czwartą połowu eksportowano do krajów basenu Morza Śródziemnego. Teraz, gdy Morze Śródziemne było zamknięte dla angielskich statków, nikt nie wiedział, co się stanie.

Jednak przynosiło to jakieś zyski, a ryby, które nie spełniały standardowych wymagań, były znakomitym źródłem pożywienia. W tłumie czekało na koniec dnia wielu nędzarzy. O zmroku, po zakończeniu pracy, rybacy rozdawali kilkaset uszkodzonych ryb.

Samuel z satysfakcją zauważył, że Mary Tregirls i jedno z jej dzieci pracują przy układaniu ryb. Zarobią trochę pieniędzy, co pozwoli wyciągnąć rodzinę,

w tym niezadowolonego Lobba, z dna nędzy, w której się znaleźli.

Drake podszedł do rybaków i kupił od jednego z nich worek uszkodzonych ryb. Targom towarzyszyły głośnie żarty, a Samuel z zadowoleniem spostrzegł, że Drake śmieje się i żartuje, czego nie robił od długiego czasu. Po wizycie u pani Warleggan w Truro prześladowania całkowicie ustały. Nikt nie przeszkadzał Drake'owi w pracy, nikt nie groził jego klientom, nikt nie niszczył mu ogrodzeń. Samuel czuł błogosławioną ulgę. Wbrew jego oczekiwaniom wizyta okazała się skuteczna. Tylko strumień, którego bieg zmienił mieszkający po sąsiedzku rolnik, nie płynął już przez gospodarstwo Drake'a i w okresie suszy brakowało mu wody. Samuel doradził bratu, by nic więcej nie robił. Mógł dać sobie radę, oszczędnie gospodarując wodą ze studni, używając jej wiele razy. Każdy ma prawo zmienić bieg strumienia.

Za klifami zachodziło słońce. Bracia ruszyli w drogę powrotną do domu, idąc w górę doliny. Każdy niósł worek. Wokół rozmawiali, gawędzili, śmiali się ludzie. Wielu szło drogą, w większości niosąc jakieś ciężary. Nagle Sam zauważył czworo ludzi schodzących w pobliżu ostatnich lepszych chat, tak że nie mogli ich ominąć. Tholly Tregirls, Emma Tregirls, Sally Tregothnan, zwana Sally-Na-Rozgrzewkę, oraz Tom Harry. Tom Harry i Tholly nieśli dzbany rumu.

Kiedy zobaczyli Samuela i Drake'a, Tom Harry coś powiedział i wszyscy się roześmiali. Bracia poszliby dalej, ale zatrzymał ich Tholly, unosząc hak.

– Ach, Peter, właśnie cię szukam. Właśnie cię szukam. Myślę, że dobry z ciebie chłopak i że nadasz się do tego, co zamyślam.

– Nazywam się Samuel – poprawił go starszy z braci.

– Tak, Samuel. Mam pamięć dziurawą jak sito. Jednym uchem włata, a drugim wylata...

– Drake'u Carne, co się stało z twoją gębą? – spytał Tom Harry, podchodząc do Drake'a. – Coś cię podrapało w brew, co? – Popatrzył na

Emmę, szukając aprobaty. Dziewczyna się roześmiała, lecz nie był to swobodny śmiech. Jej włosy lśniły w słońcu jak miedź.

Za czworgiem ludzi, którzy nadeszli drogą, stało kilku innych mężczyzn, w tym Jack Hoblyn, Paul Daniel, jego kuzyn Ned Bottrell i jeden z braci Curnowów. Wszyscy byli wcześniej w szynku Sally i postanowili popatrzeć na sardynki przed zapadnięciem zmroku.

– Zamknęłam szynk! – zawołała wdowa Tregothnan do kobiety wyglądającej przez okno. – Zamknęłam, rozumiesz? Zrobiłam se godzinke przerwy. Wyrzuciłam tych próżniaków, póki jeszcze mogą chodzić! – Roześmiała się hałaśliwie.

– Posłuchaj, Peter – zaczął Tholly. – Niech to diabli, Sam! Organizuję zawody w czasie święta Sawle w czwartek za tydzień. Znasz się na zapasach. Gdybyś wystartował, byłbyś niezłą atrakcją. Jest nagroda! Zdobędę pieniądze. Będzie walczyć sześciu chłopaków, kilku z St Ann's i bracia Breague z Marasanvose. Twój braciszek uprawia zapasy?

– Jeśli masz na myśli mnie, odpowiedź brzmi nie – odrzekł Drake.

– Potrafisz tylko uciekać, co, chłoptasiu? – spytał Tom Harry. – Ale czasem cię łapią i dostajesz w skórę?

– Odczep się od niego! – zawołała Emma. – Odczep się, głupi, wielki durniu! – Odepchnęła Toma. – Co tam słyhać u mojego kaznodziei? – zwróciła się do Sama. – Dużo się ostatnio modliłeś?

– Codziennie – odparł. – Za ciebie. I za wszystkich ludzi. Choć szczególnie za ciebie.

Sally-Na-Rozgrzewkę głośno się roześmiała. Była tęgą, dobroduszną kobietą w wieku czterdziestu pięciu lat i zaprzyjaźniła się z Emmą. Miały podobny charakter. Dzięki temu Emma częściej przebywała w towarzystwie ojca i zaczęła go tolerować.

– Ej, co ty gadasz?! – spytał Tom Harry, przysuwając się do Sama. –

Modlisz się za nią?! Nie chcę, żeby jakiś zasrany metodysta modlił się za moją dziewczynę! Posłuchaj...

– Odczep się! – przerwała mu Emma, rzucając się w jego stronę. Wypiła kilka piw i była równie podniecona jak Sally. – Jeszcze nie jestem niczyją dziewczyną i lepiej o tym pamiętaj! Nie bądź taki bezczelny, Tom. Jest ładny wieczór i chcę zobaczyć sardynki. Masz worek, Sam? Zobaczmy!

Samuel otworzył worek i wielu ludzi zajrzało do środka, śmiejąc się i przepychając.

– Char Nanfan dostała trochę w południe, ale chyba nie były takie ładne. Uprawiasz zapasy, Samuelu? – zapytał Ned Bottrell.

Ned był najmniej pijany i najrozsądniejszy z obecnych. Od niedawna stał się nawróconym członkiem trzódki Sama, który bardzo się cieszył z przemiany duchowej Neda.

– Nie, nie uprawiam zapasów już od wielu lat – odparł Samuel. – Prawie wcale od...

– Nie gadaj! – przerwał Paul Daniel. – Chyba raz cię widziałem w Blackwater. Pamiętam twoje jasne włosy. Byłeś dzielny, nie ma co gadać. Uprawia zapasy, prawda, Drake?

– Pewnikiem już zapomniał, jak to się robi – wtrąciła Emma, a jej oczy zabłyśły. – Stale modli się za zagubione dusze takie jak ja. To męczące, prawda, Samie?

– O to mi chodziło...! – zawołał Tholly, przekrzykując hałas. – O to mi chodziło...! – Rozkasłał się gwałtownie, po czym się zgarbił i okropnie charknął.

– Spokojnie, spokojnie, kochany – odezwała się Sally Tregothnan i poklepała go dobrodusznie po plecach. – Spokojnie, spokojnie, kochaneńki, szybko to wypluj! Za szybko pijesz, na tym polega problem...

– Niech Tholly zorganizuje zawody – rzekł Ned Bottrell do Sama. – Był

kiedyś mistrzem w zapasach, nim stracił rękę. Będzie wspaniale. Mógłbyś walczyć za kościół. Powinniśmy się radować, co?

– Najważniejsze to radować się w Panu, w pracy albo w zabawie – odpowiedział Samuel. – Ale największa radość, Ned, to zbawienie duszy przez oczyszczającą skruchę...

– Tak – przerwał Paul Daniel, upadły konwertyta. – Widziałem cię w Blackwater. Cztery albo pięć lat temu. Ile masz lat, Samuelu?

– Dwadzieścia pięć.

– Więc kiedy cię widziałem, musiałeś mieć trochę ponad dwadzieścia. Wydaje mi się...

– O to mi chodziło...! – zawołał Tholly i zaczął kaszleć. – Chcę urządzić wspaniałe święto, jakiego jeszcze nigdy nie było! Masz ochotę na zapasy, Samie? Co ty na to, Drake? Im więcej zawodników, tym lepiej. A ty, Tom? A ty, Ned? Im więcej...

– Mnie i tak czekają zapasy – wtrącił z ponurym uśmiechem Tom Harry. – Z tobą, Emmo, co?

– Idź do diabła! To by dopiero było...

– Lepiej już chodźmy – rzekł Samuel do Drake'a. – Mam spotkanie o zachodzie słońca...

– A ty, chłoptasiu? – odezwał się Tom, przeciskając się obok Emmy. – Nigdy nie nauczyłeś się zapasów? Boisz się zapaskudzić sobie portki? Boisz się, że wyprują ci flaki, co?

– Boję się z tobą walczyć, gdy jest trzech na jednego – odparł Drake.

Tom spurpurowiał i chciał się rzucić na Drake'a, lecz Samuel i Ned zastąpili mu drogę. Przez kilka sekund panował hałas i zamieszanie. Kiedy odciągano Toma, krzyczał, że pokona każdego z braci Carne'ów jedną ręką i że złoł im tyłki. Obie kobiety również uczestniczyły w przepychance. Nie brał w niej udziału tylko Drake, który stał w samym środku z niewzruszoną

twarzą.

Po chwili zauważył, że przypatruje mu się Tholly Tregirls. Ze spłaszczonym nosem i pomarszczoną brwią wyglądał jak aktor w masce, uosobienie zła.

– Nie obrażaj się, Carne. Tom jest trochę rozgrzany, chyba za bardzo, ale nie chciał cię obrazić. Chcesz wziąć udział w zapasach w przyszły czwartek? A może w biegach? Wyglądasz na dobrego biegacza.

– Nie – odparł Drake. – Nie mam ochoty na zabawę.

Tom Harry i Samuel spoglądali na siebie. Emma trzymała Harry’ego za ramię, choć trudno było odgadnąć, czy chce go powstrzymać, czy utrzymać równowagę.

– A może chciałbyś ze mną walczyć? – odezwał się Harry. – Uczciwe zapasy. Skoro twój braciszek nie chce się bić, może spotkasz się ze mną, co? Tak się troszczysz o swojego braciszka...

– Jeśli się z tobą zmierzę, durniu, to nie w zapasach – odezwał się Drake.

– Nie, bracie – odpowiedział Samuel. – Zostawmy te bezużyteczne kłótnie. Nie wyniknie z nich nic dobrego. Mam jednak nadzieję, że nawet jeśli...

– Mogę z tobą walczyć na co chcesz! – ryknął Harry do Drake’a i wyszczerzył zęby. – Na pięści, pałki, noże...

– Cicho, cicho... – Emma zasłoniła mu usta dłonią. Pisnęła, gdy dla zabawy ugryzł ją w palec. – Dlaczego nie chcesz z nim walczyć, Samie? Pokaż mu, kto jest mistrzem! Co za dureń! Ugryzł mnie w palec! Walcz z nim, Samie! Porządne zapasy, z sędzią! Zobaczymy, kto wygra w uczciwej walce!

– Chodź, Drake – rzekł Samuel, ruszając w stronę wzgórza.

Tom Harry usiłował objąć Emmę, ale mocno go odepchnęła i wpadła na Daniela. Mężczyzna zaklął, bo nastąpiła mu na nogę.

– Słusznie! – zawołał Tholly. – Specjalna walka, co? Wszystko uczciwie. Gwinea dla zwycięzcy. Co ty na to, Sam? Gwinea dla twojego domu modlitwy, jeśli wygrasz. Zobaczysz...

– Stawiam szylinga na Sama! – wrzasnął Ned Bottrell, który nie lubił braci Harrych. – Uczciwe pieniądze! Zgódź się, Samie! Wszyscy przyjdziemy popatrzeć! Nie będzie żadnych oszustw!

– Tak, zgódź się, Samie! – odezwał się Daniel. – Będziemy mieć jakąś odmianę, co? Kaznodzieja uprawiający zapasy!

– Gwinea dla zwycięzcy! – zawołała Sally. – Nie, dam drugą gwineę!

Droga była wąska i panował duży ruch, więc wokół zebrał się tłum złożony z około trzydziestu ludzi i inni też zaczęli zachęcać Samuela do walki. Powszechny entuzjizm wynikał z dwóch powodów: po pierwsze, wszyscy mieli ochotę obejrzeć pojedynek ludzi, którzy szczególnie się nie lubią, a po drugie, nikt z miejscowych nie przepadał za Tomem Harrym, choć próbował on uczestniczyć w życiu wioski. Był równie niepopularny jak jego brat i wszyscy byliby zachwyceni, gdyby ktoś wreszcie utarł mu nosa.

Jednak Samuel nie chciał się zgodzić. Powtarzał z poważnym uśmiechem, że teraz jest wrogiem przemocy, nawet w sporcie. Niechaj inni uczestniczą w zawodach. On został wybrany na świadka chwały Boga i jego zadaniem jest wyzwalamie ludzkich dusz...

To zaimprovizowane kazanie przerwała Emma, która uwolniła się z objęć Toma i stanęła naprzeciwko Samuela z rozpuszczonymi włosami.

– A co z moją duszą?! – zawołała.

Samuel uśmiechnął się do niej, choć jego oczy nagle pociemniały.

– Twoją, Emmo? Przed chwilą powiedziałem, że modłę się za nią każdego wieczoru.

– Bardzo dobrze mi to robi – rzuciła Emma i wszyscy się roześmiali. – Nie czuję się lepiej. Naprawdę, Samuelu. Coś jest nie tak? Co wieczór polerujesz moją duszę, aż świeci jak kłamka. Wcale mi to nie pomaga.

Wszyscy znów się roześmiali.

– Powinnaś przychodzić na spotkania, siostró – powiedział Samuel. –

Moglibyśmy się razem modlić.

– Może bym przychodziła, gdybyś go pokonał! – Wskazała kciukiem Harry’ego, który stał z tyłu. Gajowy Warleggana się skrzywił.

– Nie należy z tego żartować, siostró – rzekł Samuel. – Gdyby moje słowa dotarły do twojego serca, wszystko wyglądałoby inaczej.

– Och, myślałam, że mówisz poważnie – odparła Emma. – Myślałam, że chcesz mnie ocalić.

– Chcę. Wiesz, że chcę. To jedno z moich największych pragnień...

– W porządku – odpowiedziała i wzięła się pod boki. – Walcz z tym durniem i pokonaj go w przyszły czwartek, to zacznę przychodzić na twoje spotkania!

Wokół rozległy się śmiechy i kilka wiwatów. Drake chwycił Sama za ramię i próbował go odciągnąć.

Wśród ogólnej wesołości dwóch mężczyzn było gotowych rzucić sobie wyzwanie.

– Mówisz poważnie? – spytał Samuel.

Emma kiwnęła głową.

– Poważnie.

– Przemawia przez ciebie wino – rzekł.

– Nie wino, tylko ja sama, do licha! – rzuciła.

– A jeśli ja wygram, co będę z tego miał? – spytał Tom Harry, zbliżając się do Sama i Emmy. – Wyjdiesz za mnie, co?

– Może tak, może nie – odpowiedziała dziewczyna. – To twoje zmartwienie.

– Chodź, Samie! – wtrącił Drake. – Chodź!

– Specjalna walka, co? – zawołał Tholly. – Zwycięzca dostanie moją córkę!

Znów rozległy się wybuchy śmiechu.

– Jak długo? – spytał Samuel.
– Co jak długo? – odparła Emma.
– Jak długo będziesz przychodziła na spotkania?
– Najpierw musisz wygrać. Myślisz, że wygrasz, co?
– Może.
– Nie ma żadnych szans! – wtrącił Tom Harry. – Przełamie go na pół!
– Nie zrobisz tego, jeśli ja będę sędziował! – rzekł Tholly. – Przy mnie wszystko odbędzie się uczciwie. Uczciwe zapasy albo nic.
– Trzy miesiące – powiedział Samuel.
– Hej, daj spokój! – zawołała Emma. – To dożywocie!
– Nie krócej – rzekł. – Krótszy czas w niczym ci nie pomoże. Musisz się nauczyć modlić.
Emma się roześmiała.
– Boże jedyny! Chyba odgryzłam więcej, niż zdołam połknąć!
– Spróbuj, dziewczyno, spróbuj! – zawołał ktoś.
– To twój pomysł, Emmo – powiedział Samuel. – Jeśli chcesz się teraz wycofać, ja też się wycofam.
– Nie! – zaprotestowała, wpadając w gniew. – Niech będą trzy miesiące! Ale pamiętaj: najpierw musisz wygrać!
– Hura! – ryknął Tholly. – Teraz nie możesz się wycofać, Samie! Ani ty, Tom! Stoczycie walkę. Musimy uzgodnić szczegóły!

2

Przed sądem w Bodmin stanęło piętnastu uczestników rozruchów. Pięciu uniewinniono i zwolniono, a dziesięciu uznano za winnych. Trzech skazano na więzienie, czterech na deportację, trzech na powieszenie. Wieść o wyrokach wzburzyła okolicznych wieśniaków, lecz wkrótce rozeszły się pogłoski, że po

rozprawie lord de Dunstanville rozmawiał prywatnie z jednym z sędziów. Uzgodniono, że egzekucja jednego więźnia będzie dostatecznie odstrasżająca, toteż wyroki dwóch pozostałych zmieniono na deportację, co w okresie wojny oznaczało przymusowe wcielenie do marynarki wojennej.

Ułaskawiono Williama „Różyczkę” Sampsona oraz Williama Barnes’a. Stracono tylko Johna Hoskina z Camborne o przywisku „Żbik”, za „gwałtowny zamach na młynarza Samuela Phillipsa i za kradzież towarów o wartości przekraczającej czterdzieści szylingów z przybudówki domu mieszkalnego”. Hoskin był starszym bratem Petera Hoskina, pomocnika Samuela w Wheal Grace. Sam pamiętał swoją ostatnią wizytę u rodziny Hoskinów, kiedy przyniósł wiadomości dla Petera. John Hoskin i „Różyczka” Sampson wyszli zaczerwienieni i podnieceni z zebrania protestacyjnego. Oto dokąd ich to zaprowadziło.

W tym samym tygodniu Ross pojechał odwiedzić barona de Dunstanville’a. Miał do załatwienia kilka spraw i starał się przybyć około piątej, kiedy, jak wiedział, Basset często przebywa w swoim gabinecie i zajmuje się sprawami majątku. Ale dziś wprowadzono go do jadalni, gdzie ciągle trwał obiad, choć damy już wyszły. Było tam sześciu mężczyzn: dwóch nieznajomych, dwóch znanych z widzenia oraz Basset i George Warleggan. Wszyscy zdążyli sporo wypić. Ross z ociąganiem usiadł w jednym z foteli zajmowanych wcześniej przez damy i przyjął kieliszek brandy, po czym przedstawiono go reszcie towarzystwa. Nieznajomi pochodzili ze środkowej części Kornwalii i Ross po kilku minutach się zorientował, że to spotkanie posłów do Izby Gmin, kontrolowanych przez Basseta. Wśród zebranych byli Thomas Wallace i William Meeks, posłowie z Penryn; Matthew Montagu i czcigodny Robert Stewart, posłowie z Tregony, oraz George z Truro. Zrozumiał, co się święci, gdy Basset powiedział, że Pitt rozwiązał parlament i we wrześniu odbędą się wybory.

George chłodno skinął głową Rossowi, lecz później unikał jego wzroku, podobnie jak Ross. Mimo obecności nowego gościa uczestnicy obiadu w dalszym ciągu rozmawiali o parlamencie. Wydawało się, że podjęto ogromne wysiłki, by obalić Pitta. Po wielu latach sprawowania urzędu potrzebował wotum zaufania od popierających go posłów i kraju. Chociaż wielu arystokratów należących do stronnictwa wigów odrzuciło Foga i wsparło rząd – tak jak Basset – pozycja Pitta była zagrożona z powodu zmęczenia wojną i determinacji opozycji. W kraju panowało mocne przekonanie, że wojny nie da się wygrać. Część armii była bliska buntu, w niektórych rejonach panował głód, skarb państwa znajdował się na skraju bankructwa i przeciwko Anglii walczyła cała Europa. Pitt odpowiadał na to wszystko: „Nie boję się o Anglię. Będziemy walczyć aż do dnia Sądu Ostatecznego”. Ale posiwiiał i wydawał się zmęczony.

– A co z ustawą Pitta, by ulżyć biedocie? – spytał nagle Ross. – Jakie są jej dalsze losy?

Basset zrobił zdziwioną minę, jakby przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, o czym mowa, a George uśmiechnął się lekko.

– Masz na myśli...

– Fundusz emerytalny dla starców, pożyczki udzielane wieśniakom przez parafię, by mogli kupić krowę. Kształcenie zawodowe...

– Och... To koniec. Ustawę zdjęto z porządku obrad, by wprowadzić do niej poprawki, i chyba nigdy nie stanie się przedmiotem debaty. Spotkała się z powszechnym sprzeciwem.

– Z czyjej strony?

– Chyba ze strony większości klas wyższych. Zwłaszcza sędziów pokoju. Szlachetne cele ustawy podkopałyby moralność publiczną. Przekonujące argumenty przeciwko ustawie przedstawił Jeremy Bentham, a także inni znawcy prawa.

– Może zabrakło im współczucia?

Basset uniósł brwi.

– Moim zdaniem współczucie lub jego brak nie były głównym powodem sprzeciwu. Tegoroczny kryzys finansowy sprawił, że wprowadzenie tych projektów w życie stało się nierealne. Podatki są w tej chwili niebezpiecznie wysokie. Najważniejszy cel to wygranie wojny.

Ross odstawił pusty kieliszek na stół, między resztki potraw.

– Uważam, że ta ustawa bardzo ułatwiłaby wygranie wojny. Zapobiegłaby niezadowoleniu w kraju.

– Mamy inne sposoby, by zapobiegać niezadowoleniu w kraju – zauważył George.

Wkrótce potem goście wstali od stołu i przeszli na taras. Lady Basset i inne damy uczestniczące w obiedzie się nie pokazały. Ross chętnie podałby jakąś wymówkę i odjechał, gdyby nie było oczywiste, że inni goście zamierzają zrobić to samo. George zaczął opowiadać, dość obszernie jak na niego, o sztukach, które widział w Londynie, o Johnie Philipie Kemble’u i Dorothei Jordan, o prywatnych teatrach w Westminsterze i wystawianych tam amatorskich przedstawieniach teatralnych. Ross podejrzewał, że Warleggan mówi głównie do niego. Później, gdy goście zbierali się do odejścia, George rzekł:

– Och, Ross, słyszałem, że twój szwagier zamierza stoczyć pojedynek zapaśniczy z jednym z moich gajowych.

Ross spoglądał na park. Jego oczy się nie poruszyły.

– Tak mi się zdaje.

– To nieostrożnie z jego strony, delikatnie mówiąc. Tom Harry to mistrz. Zdobył wiele nagród.

– Ma za duży brzuch. Chyba nie jest już taki dobry jak dawniej.

– Przypuszczam, że będzie trudnym przeciwnikiem dla twojego szwagra.

– Zobaczymy.

Pozostali goście wydawali się zaciekawieni tą wymianą zdań, więc Ross wyjaśnił, że w przyszłym tygodniu przypada lokalne święto, podczas którego Samuel Carne, górnik i szwagier Rossa (jak zauważył pan Warleggan) zgodził się stoczyć trzyrundową walkę z Tomem Harrym, gajowym z Trenwith. Czterej pozostali posłowie do Izby Gmin, z którym żaden nie był Kornwalijczykiem, nie znali reguł pojedynków zapaśniczych i należało im objaśnić całą procedurę. Wallace miał wrażenie, że widział podobną walkę w Londynie, lecz przekonano go, że to niemożliwe.

W pewnym momencie George odezwał się do Rossa:

– Więc uważasz, że twój szwagier metodysta ma szansę zwyciężyć?

Ross w końcu spojrzał na Warleggana.

– Mam nadzieję, że tak. Pora, by twój gajowy dostał nauczkę.

– Może chciałbyś postawić trochę pieniędzy?

– Choć uważasz, że szanse są nierówne?

– Jeśli masz inne zdanie, wesprzyj je kilkoma gwineami.

Pozostali goście słuchali, w połowie rozbawieni, w połowie poważni, zdając sobie sprawę z napięcia panującego między dwoma mężczyznami. De Dunstanville zażył tabakę i zmarszczył brwi.

– Ile proponujesz?

– Sto gwinei?

Ross spoglądał przez chwilę na ogród.

– Przyjmuję, ale pod jednym warunkiem.

– Ach!

– Że zwycięzca zapłaci pieniądze jego lordowskiej mości, by przeznaczył je na działalność charytatywną wśród górników.

– Zgódźmy się na tę propozycję – rzekł szybko Basset i uniósł chusteczkę do nosa. – Przeznaczmy tę sumę na nowy szpital. – Kichnął. – Będzie to

pierwsza wpłata!

Ani George, ani Ross nie mogli zakwestionować szybkiej decyzji Basseta, toteż zawarto zakład. Rozmawiano jeszcze jakiś czas, choć George i Ross nie zamienili więcej ani słowa. Po chwili goście zaczęli odjeżdżać, aż pozostali tylko Basset, Warleggan i Ross. W końcu George poprosił z ociąganiem o przyprowadzenie konia i odjechał galopem.

Basset odprowadził go wzrokiem i powiedział:

– Moje niezadowolenie z waszego sąsiedzkiego sporu się nie zmniejsza, lecz tym razem prawdopodobnie to ja na nim skorzystam.

– Ku niezadowoleniu obu uczestników zakładu – odparł Ross.

– Dlaczego?

– Gdyby George wygrał, nie przeznaczyłby pieniędzy na żadne przedsięwzięcie charytatywne. Gdybym ja wygrał, starałbym się pomóc górnikom szybciej i w bardziej bezpośredni sposób.

Basset się uśmiechnął.

– Szczęście, że udało mi się was przechytrzyć.

– Podejrzewam, że pieniądze zapłacę ja, ale, kto wie, może się zdarzyć coś nieoczekiwanego.

– Jeśli to nierówny pojedynek, namawianie pana do zakładu nie było zbyt uczciwe.

– Na szczęście, jak pan mówi, skorzystają na tym górnicy, choć nieprędko. To lepsze od naszych działań sprzed trzech tygodni.

De Dunstanville zacisnął wargi.

– Metody są inne, ale cel ten sam. Pomagamy tym, którzy na to zasługują, i staramy się nagradzać przedsiębiorczość, a poskramiamy tych, którzy próbują brać prawo w swoje ręce.

Kilka nadpływających chmur zasłoniło słońce, lecz wciąż było ciepło, a łagodny wiatr niósł zapach róż z ogrodu pod tarasem.

– Zgadzam się, że to właściwy cel i że zasada jest słuszna – odparł Ross. – W praktyce, w tej konkretnej sprawie, zastanawiam się, czy śmierć jednego człowieka ma jakiś rzeczywisty sens.

– Hoskina? Och, tak postanowił sąd. Jak pan wie, po rozprawie uwzględniliśmy okoliczności łagodzące i dwóch ludzi ułaskawiono. Postanowienie zapadło po bardzo starannym rozważeniu faktów. Doszliśmy do wniosku, że możemy okazać miłosierdzie i ukarać dla przykładu tylko największego szubrawca wśród oskarżonych.

– Tak... – odparł Ross. – Tak...

– Przepięknie, za które skazano tego człowieka, to tylko niewielka część jego występków. Oficjalnie Hoskin idzie na śmierć za wtargnięcie do domu i kradzież zboża o wartości przekraczającej czterdzieści szylingów, w rzeczywistości jednak jest od wielu lat znany jako malkontent i stale sprawia kłopoty. Zasłużył na przydomek „Żbik”.

– Może powinienem wspomnieć, dlaczego mnie to interesuje – rzekł Ross. – John Hoskin ma brata Petera, który pracuje w mojej kopalni. Peter twierdzi, że jego brat ma nieco gorący temperament i z pewnością nie jest niewiniątkiem, choć tak naprawdę nie ma złego charakteru. Może przedstawiać brata w pozytywnym świetle, ale moim zdaniem w przypadku rozruchów często się zdarza, że najgłośniejsi ludzie nie są wcale najgorsi... – Umilkł, bo wydawało się, że Basset zamierza mu przerwać.

– Proszę mówić dalej.

– Miałem zamiar powiedzieć, że moje zainteresowanie jego losem ma charakter dość osobisty: chciałbym spać spokojnie po nocach.

– Jaki pan ma z tym związek?

– Tak się składa, że dowodziłem konstablami, którzy aresztowali Hoskina w jego chacie.

Na taras wyszła lady de Dunstanville, lecz mąż powstrzymał ją skinieniem

dłoni.

– Mój drogi Poldarku, nie ma sensu brać tego osobiście! A ja jak się czuję, jak pan sądzi? W Bodmin musiałem podjąć trudną decyzję o skazaniu lub ułaskawieniu. Była to wyjątkowo nieprzyjemna decyzja! Zapewniam pana, cała ta sprawa przysporzyła mi tylu żmartwień, że również nie mogłem spać! Jeśli...

– Dlaczego zatem nie mogliśmy ulżyć swojemu sumieniu?

– Jak?

– Składając prośbę o ułaskawienie Hoskina. Mamy jeszcze pięć dni. Tylko działania podjęte przez wysoko postawione osobistości mogą przynieść jakiś efekt. Jest mnóstwo czasu. Wielu ludzi ułaskawiono, gdy stali pod szubienicą.

W dalszym ciągu spoglądali na siebie. Basset znów zacisnął wargi. Milczał.

– Wiem, że w obecnych czasach trudno być miłosiernym. Niedawno powieszono uczestników buntu w marynarce wojennej – i słusznie. Ludzie tacy jak Parker, ich herszt, choć bez przerwy gadali o wolności, jako pierwsi narzuciliby surowe rządy, znacznie surowsze od tych, które chcieli obalić. Ale wcześniejsze bunty wybuchały na znak protestu przeciwko nieznośnym warunkom, a admiralicja, postępująca tak głupio w wielu sprawach, potraktowała buntowników łagodnie. Uważam, że niedawne rozruchy w Kornwalii mają podobny charakter. Głód, brak opału, chore żony i marniejące dzieci to potężne bodźce. Moim zdaniem Sampson, Barnes lub Hoskin chcieliby przestrzegać prawa. Nie mają pretensji do pana, do mnie ani do władz. Nie lubią kupców i młynarzy, którzy bogacą się na handlu zbożem, gdy większość ludzi głoduje. Ułaskawienie ostatniego skazanego na śmierć nie byłoby oznaką słabości, lecz przekonałoby okoliczną ludność, że wymierzono sprawiedliwość.

Basset się odwrócił. Wydawało się, że odwraca nie tylko twarz, ale

ignoruje argumenty przedstawione przez Rossa.

– Nazywa pan tych ludzi patriotami, Poldark – rzekł. – Wie pan, że w zeszłym miesiącu w Camborne utworzono tak zwany klub patriotyczny? Jak rozumiem, wszyscy jego członkowie to młodzi ludzie, wszyscy noszą plakietki otrzymane bezpośrednio z Francji z wyrytymi słowami „wolność” i „równość”, śpiewają pieśń wysławiającą rewolucję oraz wszystko, co uosabia. Niech pan zwróci uwagę, wszystko, łącznie z perfidią, tyranią i rozlewem krwi. Co więcej, radośnie witają każde zwycięstwo Francji na lądzie lub na morzu i smucą się z powodu zwycięstw Anglii. Nie chcą zachowywać swoich poglądów dla siebie, tylko prowadzą propagandę wśród górników i biedoty, nakłaniając ludność do niepokoju i buntów. Wiem, że mieli kontakty z przywódcami zamieszek. Gdyby nie takie kluby i tacy ludzie, moglibyśmy się zastanowić nad różnymi rozwiązaniami... Teraz to niemożliwe.

Niebo ciemniało. Chmury gęstniały, zamiast się rozpraszać, jak często bywa w lecie. Zanosiło się na deszcz.

– Szanuję pana poglądy, milordzie – odparł Ross. – Doszło do tak przykrych sytuacji, że nikt nie wie na pewno, co jest słuszne, a co niesłuszne. Cóż... do wybuchu rewolucji we Francji z pewnością doprowadziła upodlająca nędza ludu w połączeniu z rozpustą dworu oraz słabymi rządami odznaczającymi się wyjątkowym okrucieństwem. W tej chwili w Anglii również panuje ubóstwo, które niewiele różni się od sytuacji we Francji w tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym roku. Właśnie dlatego ustawa Pitta dawała promyk nadziei. W moim przekonaniu jej wycofanie jest wielką tragedią. Ale nasz rząd w żadnym razie nie jest słaby. Czy jednak powinien wydawać się surowy? Czy to rozsądne?

– Skazując jednego człowieka, nie okazujemy surowości. Okazaliśmy miłosierdzie, gdy ułaskawiliśmy dwóch.

– To jedna z możliwych interpretacji.

Basset zaczął się irytować.

– Uważa pan, że ma pan prawo oceniać decyzje sędziów?

– Osądzanie kogokolwiek to ostatnia rzecz, do której czuję się uprawniony.

Właśnie dlatego byłbym tak kiepskim sędzią. Nie zamierzam nikogo osądzać. Chodzi o łaskę, w węższym sensie, oraz o mądrość w szerszym.

Basset zacisnął wargi.

– Ktoś powiedział, chyba jakiś wybitny znawca prawa, że ludzie, którzy sądzą innych, powinni zapomnieć o gniewie, sympatii, nienawiści, łagodności serca. Staram się tak postępować. Przykro mi, że pana zdaniem nie robię tego właściwie.

– Tego nie powiedziałem...

– Jestem pewien, że mówi pan szczerze – rzekł Basset.– Wie pan, że ja również. Nasze poglądy się różnią... Ach, moja droga, przyłącz się do nas. Kapitan Poldark właśnie odjeżdża.

Rozdział trzeci

1

W drodze do domu Ross zauważył Sama Carne'a krzątającego się w małej, ciasnej kaplicy koło Wheal Maiden, więc zsiadł z konia i wszedł do środka. Ponieważ byli sami, Ross poinformował szwagra, że są niewielkie szanse na ułaskawienie Johna Hoskina.

– Dziękuję, bracie – odparł Samuel. – To miło z twojej strony, że próbowałeś mu pomóc. Nie wiedziałem, że zamierzasz to zrobić. Jutro powiem Peterowi, ale moim zdaniem wie, że jego brat prawdopodobnie zawiśnie na szubienicy.

Ross zerknął na szwagra, trochę zaskoczony rezygnacją w jego głosie. W okręgach górniczych życie było niewiele warte. Samuel, który poświęcał tyle wolnego czasu na pomaganie chorym, doskonale o tym wiedział.

– Peter będzie chciał iść, a ja pójdę razem z nim – rzekł.

– Razem z nim? Dokąd? Do Bodmin?

– Tak. Na początku chciałem go przekonać, żeby tego nie robił, ale rodzina Johna powinna tam być.

– Dlaczego ty? Nie jesteś członkiem rodziny.

– Peter to mój pomocnik i nie chcę, żeby szedł tam i wracał samotnie.

– A jego rodzice?

– Ojciec i matka Petera przybędą do Bodmin dzień wcześniej. Mają nadzieję się z nim spotkać. Inni pójdą osobno.

Ross rozejrzał się po pustym, małym domu modlitwy. Zobaczył ławki, prymitywne krzesła i Biblię leżącą na stole pod oknem.

– Egzekucja jest we wtorek. Nie zapominaj, że w czwartek masz pojedynek zapaśniczy.

– Nie, nie zapominam – odparł Samuel.

– Myślisz, że wygrasz?

– Tak naprawdę nie wiem. Jestem bardziej przyzwyczajony do zmagañ z własną duszą.

– Uprawiałeś już zapasy?

– Tak, często. Ale odkąd pogodziłem się z Bogiem, nie walczyłem na ringu.

– Nie powinieneś trochę poćwiczyć?

Samuel się uśmiechnął.

– Dziękuję, bracie, tylko z kim?

– Mógłbym ci pokazać kilka rzutów.

– Uprawiałeś zapasy, bracie?

– O tak.

Samuel pomyślał, że należą do różnych sfer społecznych.

– Moim zdaniem nie byłoby to stosowne.

– Pozwól, że ja to ocenię.

– Cóż, dziękuję, bracie, może by mi to pomogło. Zastanowię się.

– Myśl szybko. Zostało tylko kilka dni.

Po powrocie do domu Ross opowiedział Demelzie o rezultacie swojej wizyty w Tehidy.

– Nie należy się dziwić – rzekła. – Bassetowi nie spodobała się twoja prośba, Ross. Myślał, że jest wspaniałomyślny, skoro ułaskawił dwóch. Nie będzie zadowolony, gdy zostanie uznany za surowego.

– Wszyscy wydają się tym przejmować mniej niż ja – odparł Ross. – Czy mam z natury bardziej wrażliwe serce, czy staje się ono wrażliwe z powodu

wyrzutów sumienia?

– Nie jesteśmy nieczuli – powiedziała. – Na pewno nie, tylko może bardziej zrezygnowani. Kiedy człowiek zostaje skazany na śmierć, godzimy się z tym, choć budzi to w nas smutek. Wiemy, że nie możemy niczego zmienić. Ty miałeś nadzieję, że coś zmienisz, i przeżyłeś tym większe... tym większe rozczarowanie. Czujesz, że poniosłeś fiasko. My tego nie czujemy, bo nigdy nie mieliśmy nadziei na sukces.

Ross nalał sobie kieliszek brandy.

– Coraz mniej podoba mi się mój udział w tej sprawie. Walczę z Francuzami jako dowódca oddziału ochotników. Jeśli napadną nas Francuzi, bardzo dobrze, do czegoś się przydamy. Jeśli zaś Francuzi nie napadną na Anglię, to najprawdopodobniej zostaniemy wykorzystani do tłumienia rewolucji w kraju.

– Więc jesteś zwolennikiem rewolucji?

Machnął niecierpliwie ręką.

– Jak mogę oczekiwać, że to zrozumiesz, skoro sam nie potrafię tego wyjaśnić? Jestem lojalny wobec obu stron.

– Czasem ja też – odparła szczerze Demelza.

– George przy każdym spotkaniu staje się coraz bardziej nieprzyjemny! Mniej więcej rok temu miałem wrażenie, że wrogość przygasa. Z każdym rokiem stajemy się coraz starsi i trochę bardziej tolerancyjni. Wydawało mi się, że jeśli będziemy się unikać, stopniowo staniemy się sobie obojętni.

– Czy nie na tym polega problem?

– Co masz na myśli?

– Kiedy lepiej poznałeś lorda de Dunstanville'a, trudniej jest wam się unikać.

Ross dopił brandy i nalał sobie kolejny kieliszek.

– Możliwe, że w przyszłości będę się rzadziej widywał z de

Dunstanville'em. Z pewnością wolałbym, by tak się stało.

– Mogę też dostać kieliszek brandy?

Ross uniósł wzrok.

– Przepraszam, kochanie. Myślałem, że wolisz porto.

– Porto jest dobre na przyjęciach – odparła Demelza. – Jak wypiję jeden kieliszek, natychmiast mam straszną ochotę na następne. Nie przepadam za brandy, więc mi to nie zaszkodzi.

Wyjął kieliszek i nalał żonie trochę trunku.

– To dziwne. Gdy odrzuciłem propozycję Basseta, by startować z Truro, częściej widuję George'a, bardzo pyszałkowego George'a, niż gdybym ją przyjął. Może powinienem zostać posłem do Izby Gmin, żeby go rzadziej widywać! – dodał dla żartu.

Demelza skrzywiła się nad kieliszkiem.

– Czy wtedy też nie musiałyś być lojalny wobec obu stron?

Spojrzał na nią, nieco zirytowany, że poważnie potraktowała jego sarkazm.

– Wcześniej mówiłaś, że twoim zdaniem byłbym złym posłem.

– Nie mówiłam, że złym – odparła. – Niespokojnym.

– Cóż, teraz też jestem niespokojny i muszę z tym żyć. Ty także.

– Nie walcz ze sobą, Ross. Nie stworzysz świata na nowo.

– Powinnaś to powiedzieć swojemu bratu, który chciałby wszystkich zbawić.

Wypiła następny łyk, zamyślona i nieco zdenerwowana.

– Samuel nie jest niespokojny. Niepokój to cecha charakteru. Mój brat wydaje się mieć niewiele wątpliwości.

– Wolałbym, żeby nie próbował nawracać gajowego George'a poprzez zapasy. Postawiłem na niego sto gwinei.

– Boże! Jak to się stało?

Ross opowiedział.

– Oczywiście Samuel nie zamierza zbawiać Toma Harry’ego – zauważyła Demelza.

– Nie, jak się domyślam. Widziałaś kiedyś Sama uprawiającego zapasy?

– Nie, był za mały, gdy opuściłam dom. Miał jedenaście lub dwanaście lat. Wierzę jednak, że wygra, choćby po to, byśmy nie stracili pieniędzy!

– Mam nadzieję, że wygra na złość George’owi. Tak czy inaczej, Tom Harry to leniwy prostak. Samuel powinien się przygotować do tej walki, więc powiedziałem mu, że w ciągu następnych dni poćwiczę z nim rzuty.

– Ross! Nie możesz tego robić!

– Dlaczego?

– Kiedy ostatnio uprawiałeś zapasy?

– Powinnaś wiedzieć. Wyrzuciłem wtedy przez okno twojego ojca.

– To było dawno! Trzydzieści lat temu! Niemożliwe, kochany! Na pewno zrobiłbyś sobie krzywdę!

Ross o mało nie prychnął z irytacji.

– W ogóle nie myślisz o tym, że Samuel mógłby zrobić sobie krzywdę.

– To wciąż młody człowiek. I nie znaczy dla mnie tak wiele jak ty. Nie, nie wolno ci tego robić. Obiecuj, że nie będziesz z nim uprawiać zapasów!

– Nie mogę, bo już obiecałem Samowi.

Demelza podeszła i naląła sobie drugi kieliszek trunku, którego nie lubiła.

– Wielki Boże, sama nie wiem, co z tobą począć. Stale szukasz kłopotów. Nie myśl, że uważam cię za słabeusza, Ross. Jest wręcz przeciwnie, jesteś silny, masz dobrą kondycję i nie przybrałeś na wadze, ale walczyłeś z ojcem, gdy byłeś w wieku Sama, a teraz nie jesteś już taki młody.

– Jestem mniej więcej w wieku twojego ojca, gdy ze mną walczył, a nie było łatwo go pokonać. Nadaję się na przeciwnika Sama.

– Wolałabym, żebyś to ty walczył z Tomem Harrym! – zawołała zirytowana.

– Wtedy byłbyś szczęśliwy i mógłbyś leczyć połamane kości!

– Może ja i George powinniśmy stoczyć pojedynek seniorów – odparł Ross. – To naprawdę byłoby warte kilku złamanych kości.

Demelza wypła duszkiem brandy.

– Posłuchaj, mamy kolejny mały problem. Dziś odwiedziła nas Caroline.

– Jaki problem? Dobrze się czuje?

– Lepiej. Miała kłopoty żołądkowe. Spędziła u nas godzinę.

Ross czekał. Zdawał sobie sprawę, że zdarzyło się coś ważnego dla Demelzy i że chciała o tym opowiedzieć od chwili jego powrotu do domu. Dlatego była taka nerwowa.

– A zatem?

– Zachorował Hugh Armitage i lord Falmouth napisał do Dwighta list z prośbą, by go zbadał. Jedzie tam jutro z Caroline, zjedzą u nich obiad.

– Przykro mi to słyszeć, ale jaki to ma związek z nami?

– Hugh dołączył list do Caroline. Poprosił ją, by spróbowała nas przekonać, byśmy im towarzyszyli. Twierdzi, że bardzo pragnie znowu nas zobaczyć, jeśli nie mamy ważniejszych zobowiązań, jak to określił. Spytał, czy nie moglibyśmy przyjechać z Enysami.

– Rozumiem.

– Caroline i Dwight wyjeżdżają jutro o dziesiątej, więc Dwight będzie mógł zbadać Hugh przed obiadem. Powinni wrócić o szóstej.

Zasześciła strona przeglądanej przez Rossa „Sherborne Mercury”.

– I co powiedziałaś Caroline?

– Że cię spytam i dam jej znać.

– Co dolega Hugh? Ma kłopoty z oczami?

– Niezupełnie. Stale boli go głowa i ma lekką gorączkę.

Ross popatrzył na gazetę wydrukowaną drobną czcionką.

– Obawiam się, że nie możemy pojechać. Mam spotkanie z Henshawe'em i przyjeżdża Bull. Tak czy inaczej, nie chcę jechać. Moje ostatnie spotkanie

z George'em Falmouthem nie było najłatwiejsze, a on wyraźnie starał się sprawić mi przykrość, nie wstawiając się za Odgersem mimo mojej prośby.

Demelza odstawiła kieliszek i zaczęła ssać palec.

– Dobrze więc. Ale myślę, że powinnam dać Caroline odpowiedź dziś wieczorem. Tak będzie grzeczniej.

– Jak chcesz to zrobić?

– Obiecałam, że wyślę do niej list, jeśli nie zdecydujemy się jechać. Może to bez znaczenia.

Ross zawahał się, zmagając się ze sobą.

– Chyba mogłabyś pojechać sama.

Spojrzała na niego i zamrugła.

– Jak mogłabym pojechać bez ciebie? To nie wypada.

– To nic niestosownego, jeśli pojedziesz z Dwightem i Caroline. Podejrzewam, że Armitage w rzeczywistości chce zobaczyć się z tobą.

Demelza pokręciła głową.

– Nie wiem. Nie wiem, czy mogę pojechać tylko z nimi.

– Cóż, nie mam nic przeciwko, ale wszystko zależy od ciebie.

– Nie, Ross... tak naprawdę to ty powinieneś zdecydować, nie ja. Ja... Nie wiem, co powiedzieć.

– Cóż... – Ross zrobił niecierpliwy gest. – Jeśli pozwolę ci jechać, może to być nieostrożne z mojej strony. Jeśli zabronię, okażę nieczułość.

– Nie muszę jechać. Mogę wymyślić jakąś wymówkę. Zrozumieją. Dlaczego postąpiłbyś nieostrożnie, gdybyś kazał mi jechać?

– Nie wiem, jak bardzo jesteś zaangażowana uczuciowo.

Demelza z poważną miną wyjrzała przez okno. Jej bladą skórę pokrywała letnia opalenizna.

– Sama nie wiem, Ross. To szczerą prawdą. Znam tylko...

– Tak?

– Jego uczucia do mnie.

– Czy to ważne?

– Tak, ważne. Czy może być inaczej? Jeśli jest poważnie chory, wtedy... może jest powód, by pojechać. Ale jestem twoją żoną, Ross, aż... aż do dnia mojej śmierci. Niczyją inną.

– W sercu kobiety nie ma miejsca dla dwóch mężczyzn, prawda? Nie na poważnie.

– A czy w sercu mężczyzny może być miejsce dla dwóch kobiet?

– Dlaczego pytasz?

– Nie jest to rozsądne pytanie?

Za chwilę powiedzieliby znacznie więcej, lecz rozmowę przerwał Jeremy, który gwałtownie otworzył drzwi i wpadł do salonu, by zakomunikować swoje plany związane ze świętem Sawle. Demelza i Ross wrócili do rozmowy dopiero wieczorem, w łóżku, a wtedy napięcie nieco zmalowało, choć nie znikło zupełnie.

– Nie wysłałaś wiadomości do Caroline? – spytał Ross.

– Nie. Nie wiedziałam, co napisać.

– Myślę, że powinnaś pojechać. Dlaczego nie? Jeśli nie mogę ci teraz ufać, to czy kiedykolwiek będę mógł?

Demelza się skrzywiła.

– Dziękuję ci, Ross. Będę miała... bardzo dobre przyzwoitki. Caroline nie pozwoli mi pobić.

– Sama się o to postaraj. Jak wiesz, cenię Hugh i nie mam do niego pretensji, że cię podziwia. Dopóki to tylko podziw. Każdy mężczyzna chce, by ludzie podziwiali jego żonę.

– Nie, Ross.

– Ale żaden mężczyzna nie chce, by kto inny zdobył jego żonę. Pamiętaj o tym, dobrze?

– Tak, Ross.

– Mam nadzieję, że Dwight mu pomoże. Liczę na dobre wiadomości.

– Jane powinna dać sobie radę z przygotowaniem obiadu dla ciebie – powiedziała Demelza, ciągle mając wątpliwości, choć z niewłaściwego powodu.

– Już się tym zajmowała. Nawiasem mówiąc, zjem go razem z Bullem.

– Jest także dobra zapiekanka, którą przygotowałam. Nie zapomnij o tym. Umilkli. Zapadł już zmrok i jasne czerwcowe niebo pociemniało.

– Jest jeszcze pytanie, które mi zadałaś, nim do salonu wbiegł Jeremy – rzekł nagle Ross.

– Jakie?

– Czy w sercu mężczyzny może być miejsce dla dwóch kobiet? Odpowiedź brzmi: nie. Nie można kochać dwóch kobiet. Nigdy ci nie wspomniałem... Mniej więcej rok temu poszedłem do kościoła w Sawle w sprawie nagrobka Agathy i spotkałem Elizabeth wracającą od Odgersów. Odprowadziłem ją do Trenwith i rozmawialiśmy o różnych sprawach.

– Jakich?

– Nieważne. To, o czym mówiliśmy, nie wpływa na to, co chcę teraz powiedzieć. Po raz pierwszy widziałem się z nią sam na sam od... cóż, od wielu lat. Myślę, że pod koniec rozmowy osiągnęliśmy najlepsze porozumienie od chwili, gdy... gdy poślubiła George'a. Wciąż jest piękną kobietą o łagodnym usposobieniu, ujmującą i uczciwą, zbyt dobrą dla człowieka, którego poślubiła. Mówię to celowo, bo taka jest moja opinia o niej.

– Miło mi to słyszeć.

– Nie, nie miło, ale to bez znaczenia. Chcę powiedzieć, że wróciłem z tego spotkania z jeszcze silniejszym przekonaniem, że Elizabeth już nic dla mnie nie znaczy – nie w taki sposób jak ty. Kiedyś ją kochałem, doskonale o tym wiesz,

i uważałem ją za ideał. Zawsze będę ją podziwiał i darzył sympatią. Ale... nigdy nie będzie dla mnie tak ważna jak ty: tak droga, tak pochłaniająca wszystkie moje myśli, niezbędna, zarówno jako osoba, jak i kobieta...

Ross zdał sobie sprawę, że zbyt długo zwlekał z wypowiedzeniem tych słów i że wybrał najgorszą możliwą chwilę – gdy pojawiła się między nimi niechęć. Sympatia Demelzy do Hugh Armitage'a wytrąciła go z równowagi, a tłumiona złość sprawiła, że wyraził swoje prawdziwe, szczerze uczucia w sztywny, pozbawiony ciepła sposób. Zanosilo się na powtórkę tego, co stało się pewnej wigilii Bożego Narodzenia, kiedy próbował powiedzieć jej mniej więcej to samo. Wyzwolił w niej wtedy perwersyjną skłonność do buntu – opacznie go zrozumiała, dobroć wydała jej się protekcyjnością, szczerść szyderstwem, komplementy obraźliwymi epitetami, a każde zapewnienie świadectwem czegoś przeciwnego. Zagniewany czekał na powtórkę tamtej sceny.

Zamiast tego Demelza westchnęła i rzekła przytłumionym głosem:

– Świat jest dziwny, Ross.

– Nie przeczę.

– Słowa nigdy nie wyrażają tego, co chcemy powiedzieć, prawda?

– Na pewno nie moje. Cieszę się, że to rozumiesz.

– Nie, nie to miałam na myśli. Nie chodziło o ciebie, o to, co mówisz, tylko o wszystkich. O każdego. Nawet w miłości dochodzi do nieporozumień. Próbujemy ze sobą rozmawiać jak przez szybę. Ale zastanów się, Ross... Jak mam odpowiedzieć na to, co mówiłeś?

– Nie możesz?

– Niezupełnie. Gdybym teraz coś powiedziała, w niczym by to nie pomogło, a nawet jeszcze bardziej wszystko poplątało.

– Po czyjej stronie?

– Może po obu... Mój drogi, nie mam gotowej odpowiedzi. Masz coś

przeciwko temu?

– A powinienem?

– Chyba muszę spokojnie poleżeć – odezwała się Demelza. – Czuję się trochę samotna.

Położył rękę na jej włosach i ujął je palcami. Zatem nie będzie awantury. Nie kwestionowała wyjaśnień Rossa dotyczących jego własnych uczuć. Nawet jego spotkania z Elizabeth. To dobrze, że tak zareagowała. Tylko czy rzeczywiście dobrze? Dlaczego się nie rozgniewała? Może było to nielogiczne, lecz jej cicha, spokojna odpowiedź nie sprawiła mu przyjemności. Miał wrażenie, że gorzej wróży ich małżeństwu niż wybuch złości.

2

Przybyli do Tregothnan w południe. Przy drzwiach powitał ich porucznik Armitage, który wyglądał zupełnie normalnie. Ucałował dłoń Demelzy, spojrzał na nią badawczo i z miłością – w jego oczach nie było nic mrocznego. Wspomniał lekkim tonem o niedawnej chorobie, oznajmił, że czuje się znacznie lepiej, i dodał, że skłonił ich fortelem do złożenia mu wizyty, by urozmaicić sobie monotonię cywilnego życia. Lord Falmouth się nie pojawił, a kiedy Dwight i Hugh poszli na górę do sypialni, Demelzą i Caroline zajęła się pani Gower i troje jej dzieci, które pokazały im ścieżkę prowadzącą do rzeki i widok wysokich żaglowców zakotwiczonych w porcie.

Lord Falmouth pojawił się w trakcie obiadu w towarzystwie męża Frances Gower, kapitana Johna Levesona Gowera, drugiego posła do Izby Gmin z Truro. Od czasu burzliwych wyborów uzupełniających w zeszłym roku wbrew własnej woli reprezentował on miasto wraz z George'em Warlegganem. Widywali się rzadko, chyba że w parlamencie, i niezbyt za sobą

przepadali. Trudno było się spodziewać czegoś innego, choć mieli dość podobne poglądy polityczne. Przez pewien czas nie wspomniano o konsultacji lekarskiej, która odbyła się wcześniej na piętrze, aż wreszcie lord Falmouth powiedział:

– Mam nadzieję, że gdy nadejdzie termin wyborów, dzięki pańskiej kuracji mój siostrzeniec będzie zdrowy jak rydz, doktorze Enys. Potrzebuję młodego, pełnego energii kandydata, by wesprzeć szwagra i pozwolić okręgowi wyborczemu odzyskać właściwą reprezentację.

Wychudzona twarz Dwighta pozostała obojętna.

– Bardzo trudno osiągnąć idealny stan zdrowia, milordzie. Obawiam się, że Hugh nie może na to liczyć. Musimy się zadowolić takim kandydatem, jakiego mamy, i ufam, że elektorzy z Truro go zaakceptują.

– Nie jestem pewny, czy elektorzy z Truro okażą się skłonni poprzeć jakiegokolwiek kandydata, którego wystawimy – rzekł kapitan Gower. – De Dunstanville zdobył takie wpływy, że bardziej prawdopodobne jest to, że stracę mandat, niż że Hugh go zdobędzie. Wiedzą państwo, kogo zamierzają wystawić wraz z Warlegganem?

– Zdaje się, że Henry’ego Thomasa Trengrouse’a.

– To popularny kandydat i ma tę zaletę, że jest dobrze znany w mieście.

– I pomyśleć, że kiedyś omal nie poślubiłam posła do Izby Gmin – odezwała się Caroline. – W dwumandatowym okręgu wyborczym lepiej mieć męża lekarza.

Rozległy się śmiechy.

– Nie wiem, czy Hugh przyzwyczai się do trybu życia parlamentarzysty po służbie w marynarce wojennej – rzekła pani Gower. – Oczywiście jeśli w ogóle zostanie wybrany.

– Mam szczęście, że dużo osiągnąłem – powiedział Hugh, zerkając na Demelzę. – Postaram się najlepiej wykorzystać to, co przyniesie los.

– Dlaczego nie pogodzi się pan z lordem de Dunstanville’em, lordzie Falmouth? – spytała Demelza, szybko zmieniając temat. – Czy nie moglibyście zawrzeć przyjaźni i zakończyć rywalizację?

Falmouth spojrział na nią z pewnym zdziwieniem, niezbyt zadowolony, jakby polityka nie nadawała się na temat dyskusji z kobietami.

– Byłoby to korzystne, gdyby w ogóle wchodziło w rachubę – zauważył Gower. – Niestety, ambitny nowy baron koniecznie chce realizować swoje plany i ma na to pieniądze.

– Nie zamierzam iść na kompromis z człowiekiem pokroju Basseta – rzekł ostro Falmouth.

– Wiosną napomknął w rozmowie ze mną... – zaczęła Demelza, nieco zdyszana. – Napomknął, że chętnie zawarłby z waszą lordowską mością porozumienie w sprawie kontroli nad mandatami w Kornwalii.

– Naprawdę? – spytał Hugh. – Kiedy to było?

– Przyjechali do nas na obiad. Później, w czasie spaceru po klifie, wspomniał, że kiedy otrzymał tytuł, sytuacja się zmieniła i że nie ma ochoty dalej toczyć wojny.

Zapadło milczenie. Goście zastanawiali się nad znaczeniem słów wypowiedzianych przez Demelzę.

– Och, puste gadanie! – rzucił niecierpliwie Falmouth. – Basset zawsze był dobry w gadaniu. Spotykamy się w Londynie od czasu do czasu. Mój kuzyn służy z nim w oddziałach milicji. Jeśli chce wykonać jakiś kompromisowy gest, ma mnóstwo okazji bez...

– Bez przekazywania swoich słów za pośrednictwem damy – wtrąciła Caroline. – To miał pan na myśli, milordzie? Mówił z panią Poldark tak szczerze właśnie dlatego, że nie spodziewał się, że jego słowa do pana dotrą. Jest pan uprzedzony do kobiet i powinien pan to rozumieć!

Falmouth dobrodusznie zaprotestował, gdyż z Caroline nie można było

rozmawiać inaczej niż dobrodusznie. Jednak rozmowa na temat wyborów się nie zakończyła. Rywalizacja o mandaty, trwająca od wielu lat, pochłonęła już mnóstwo czasu i pieniędzy. Gower podsumował ją następująco:

– Cóż, George, ze swojej strony byłbym zadowolony, gdyby doszło do jakiejś umowy w sprawie wyborów. Nie powinienem tracić teraz mandatu, bo miałyby to bardzo negatywny wpływ na moją karierę w admiralicji. Niewątpliwie udałoby się znaleźć inny okręg wyborczy, gdzie mógłbym zostać posłem, lecz aranżowanie tej sprawy byłoby wyjątkowo kłopotliwe. Dlaczego nie zasugerujesz, że ty również byłbyś skłonny do kompromisu?

– Co twoim zdaniem zaproponowałby Basset? – spytał Falmouth. – Nie zadowoli go nawet uczciwe *quid pro quo*! Zażąda dwóch mandatów za jeden!

– Może warto sprawdzić, co dokładnie ma na myśli.

– I narażać się na afront? Poza tym nie ma nikogo nadającego się na mediatora.

– Mógłbym nim zostać – rzekł Hugh.

– Ty? Jako jeden z możliwych kandydatów natychmiast stałbyś się podejrzany.

– Hugh nie powinien jeszcze wstawać – wtrącił Dwight. – Powinien leżeć przez następne dwa tygodnie.

– Och, nonsens! Przecież to nie walka ze smokami...

– Kto wie...?

– Zaczekajcie, panowie – powiedziała Caroline. Na dźwięk jej głosu wszyscy zastygli. Słonecznik znów zakwitł. – Bardzo nie lubię mediatorów, bo błędnie rozumieją intonację głosu i przekręcają wiadomości. Poza tym zostało niewiele czasu. Milordzie, czy jest pan zbyt dumny, by zjeść obiad z Dwightem i ze mną?

– Dumny? – spytał sztywno Falmouth.

– Nasz majątek ma dużą powierzchnię, ale dwór jest w złym stanie. Od

dnia ślubu opiekuję się mężem, który również jest w nie najlepszym stanie, więc nie zajęłam się jeszcze domem. Lecz jadamy normalne posiłki, a kucharka ma dość dobre kwalifikacje. Niech pan przyjedzie do nas na obiad w przyszłym tygodniu.

– W jakim celu?

– Proszę nie pytać o cel. Nie będzie pan musiał odmawiać.

– Jest pani zbyt łaskawa, ale...

– Myślę, że powinniśmy przyjąć zaproszenie – przerwał Hugh. – Czy mamy coś do stracenia? Nawet nie twarz, bo jeśli nic z tego nie wyniknie, nikt się o tym nie dowie.

– Wszyscy się dowiedzą! – prychnął Falmouth. – W tym hrabstwie nie istnieją żadne tajemnice!

– Myślę, milordzie, że próbujemy wywierać na pana zbyt duży nacisk – powiedziała Caroline, okazując rzadki takt. – Nie mówmy w tej chwili nic więcej. Pod koniec tygodnia wyślę służącego z zaproszeniem: może pan zdecydować, czy je przyjąć.

– Doskonały pomysł – rzekła pani Gower. – A teraz, moje panie, może zostawimy dżentelmenów samych z porto...

3

– A zatem? – spytała Demelza, gdy oddalili się od Tregothnan.

– Gorączka nie jest wysoka – odparł Dwight. – Gdyby wszystko się do tego sprowadzało, nie byłoby powodów do niepokoju, jednak gorączka to tylko objaw, podobnie jak ból głowy. Dałem mu nalewkę opiumową, by ją zażywał w niewielkich ilościach, a także trochę węglanu potasu i kory peruwiańskiej. Powinno to zapobiec wieczornym nawrotom gorączki, lecz jeśli przyczyna choroby jest głębsza, to go nie wyleczy. Dowiemy się za dwa lub trzy

tygodnie.

– A jego oczy?

Dwight ostrożnie trzymał wodze. Jechali po nierównym odcinku drogi.

– Nie ma katarakty. Przynajmniej ja jej nie widzę. Moim zdaniem ma coś w głębi oka. Niestety nie potrafię stwierdzić, co to takiego. Uszkodzone naczynie krwionośne, nerw wzrokowy, który przestał funkcjonować.

– Więc myślisz... zgadzasz się z opinią lekarzy z Londynu?

– Nie mogę jej zakwestionować. W dalszym ciągu jesteśmy ignorantami w takich sprawach. Moim zdaniem popełnili błąd, że mu powiedzieli.

– Dlaczego? Czemu mieli milczeć?

– W Quimper często widywałem, jak ludzie triumfowali nad chorobą, bo bardzo pragnęli żyć. Uważam, że umysł rządzi zdrowiem człowieka w większym stopniu, niż przypuszczamy, dlatego nie należy nikomu mówić, że jest skazany. Wszystko rozstrzyga się dopiero w chwili śmierci.

Caroline podjechała do Dwighta i Demelzy.

– Czy lord Falmouth pytał was o Hugh?

– Naturalnie. Niewiele mu powiedziałem, bo sam niewiele wiem. Nie kwestionowałem jego przekonania, że Hugh może objąć stanowisko posła do Izby Gmin. Nie da się tego wykluczyć. Ciągłe jest młody. Jedno oko jest w lepszym stanie niż drugie. Jeśli jego stan się nie pogorszy, poradzi sobie, korzystając z okularów.

Demelza zadrzała.

– A jednak... a jednak nie potrafisz nic powiedzieć.

– Musimy sprawić, by został wybrany do parlamentu – rzekła Caroline. – Będzie miał o czym myśleć i czymś się zajmie.

Pojechali w stronę przystani promowej.

Rozdział czwarty

1

Samuel Carne i Peter Hoskin opuścili chatę w Reath w poniedziałek tuż po zmroku. Wzięli chleb, ser i po bukłaku z wodą. Przejechali przez pola, minęli Marasanvose i Treledrę, dotarli do St Michael, po czym znaleźli się na gościńcu z Truro do Bodmin. Samuel nigdy wcześniej tędy nie szedł, a Peter tylko raz, łatwo więc mogli zabłądzić przy świetle gwiazd. Obaj nieśli mocne kije, lecz nie napotkali opryszków ani włóczących się złodziei. Okrążyli St Enoder i przez długi czas widzieli światło świecy migające w oknie gospody Pod Hinduską Królową, które pojawiało się i znikało jak daleka latarnia morska, nim w końcu do niej dotarli. Zatrzymali się na pół godziny w oberży, zjedli trochę chleba i sera, prawie nie rozmawiając.

Samuel nie popierał rozruchów, za które miano powiesić Johna Hoskina. Uważał, że prawo jest prawem: należy pracować dla dobra ludzkości i ratować dusze bliźnich. Głodni, zrozpaczeni, bezrobotni ludzie nie powinni nikomu grozić, a tym bardziej kraść najmniejszej części cudzej własności. Jeśli się spotykają, to w celu przekazywania sobie nawzajem bezcennego, oczyszczającego daru Ducha Świętego. Chociaż Samuel nie usprawiedliwiał przestępstwa Johna Hoskina, głęboko mu współczuł, zwłaszcza że miał on umrzeć bez światłości w duszy. Jeszcze bardziej współczuł jego żonie i dzieciom, a także swojemu pomocnikowi, któremu chętnie dotrzymał towarzystwa podczas trzydziestopięciokilometrowego marszu.

Znów ruszyli przez wrzosowiska. Kiedy dotarli do zalesionej doliny Lanivet, niebo rozjaśniło się przed nimi i zaczęła siąpić drobna mżawka.

– Mam nadzieję, że się roz pogodzi – powiedział Peter Hoskin. – Brat nie znosi deszczu.

Po dniu spędzonym w kopalni i nocnym marszu byli zmęczeni, a jeszcze musieli długo wędrować pod górę do Bodmin. Wstał dzień, nim dotarli do pierwszej uliczki miasta pełnej głębokich kolein, dziur wygrzebanych przez psy i smrodu mięsnych odpadków wiszących na haku przed sklepem rzeźnika. Znaleźli piwiarnię i zjedli resztę przyniesionego jedzenia. Peter wypił kufel piwa, Samuel zadowolił się wodą. Później odszukali żonę i dzieci Johna, a także kilkoro innych członków rodziny czekających przed więzieniem. Matkę Johna i jego najbliższych krewnych wpuszczono do środka, by się z nim spotkali.

Samuel wspiął się na wzgórze i poszedł w stronę pastwiska gminnego, gdzie miała się odbyć egzekucja.

Zebrał się tam już tłum, trzystu lub czterystu ludzi z miasta i okolicznych wiosek. Zbudowano szubienicę i platformę, a jeden z robotników w dalszym ciągu leniwie wbijał gwoździe we wspornik, gawędząc z sąsiadami. Przed szubienicą znajdowała się niewielka loża przeznaczona dla miejscowych notabli, gdzie można było zająć miejsce za opłatą i wygodnie obserwować ceremonię. Była prawie pusta, lecz z czasem nadjechało kilka powozów i zaprowadzono na miejsca grupę elegancko ubranych, zamożnych ludzi. Połowę stanowiły kobiety. W pobliżu szubienicy stały dwie klasy szkolne przyprowadzone przez nauczycieli i nauczycielki – ceremonia miała wywrzeć zbawienny wpływ na ich umysły. Dzieci przyprowadzono przed świtem, by zajęły dobre miejsca.

Wielu ludzi kucalo, siedziało lub leżało na ciemnych wrzosach porastających pastwisko. Krążyli wśród nich przekupnie sprzedający pierogi,

ciastka i lemoniadę. Dwie grupy śpiewały: grupa pijaków rubaszne pieśni, a inna grupa poważne pieśni religijne. Tu i tam leżeli obok siebie mężczyźni i kobiety w niedwuznacznych pozach, kobiety miały umalowane twarze i śmiały się ochryple. Szczekały psy, rżały konie, piszczwały dzieci, mężczyźni krzyczeli. Nadchodziło coraz więcej ludzi. Świeciło słońce, ale nad morzem unosiły się wielkie chmury, czarne niczym gniew Boga.

Gdzieś w oddali zegar więzienny wybijał dziewiątą. Kiedy umilkł, w tłumie zapadła pełna oczekiwania cisza. Przez chwilę słychać było tylko szum wiatru. Później odezwał się dzwon więzienny, a ludzie wstali z miejsc i stłoczyli się przed szubienicą.

Przez chwilę nic się nie działo. Gapie dyszeli i rozpychali się łokciami.

– Fałszywy alarm – rzekła do Samuela jedna z kobiet i zachichotała.

– Ale nudy! – rzuciła druga. – Już mam tego po dziurki w nosie...

– Może go ułaskawiono? – szepnął mężczyzna stojący w pobliżu. – Mój wuj powiada, że jednego z jego znajomych odcięto od stryczka. Ułaskawienie...

– Nie... nie kiedy bije dzwon...

Chociaż dzień był chłodny, w tłumie czuło się gorąco i zaduch. Samuel pomyślał: Tyle dusz pozbawionych zbawienia, tylu ludzi potrzebujących pomocy, tkwiących w otchłani doczesnych żądz. Tylu ludzi, o których należy się troszczyć, których należy poprowadzić do skruchy i odkupienia. Gdyby w tym miejscu pojawił się Duch Święty, podobnie jak w Gwennap dwa lata wcześniej...

– Idą!

Na wzgórzu wspinała się krętą drogą procesja, która przed chwilą opuściła więzienie. Na czele kroczył dowódca strażników więziennych, a za nim czterech jego podkomendnych. Później jechał wóz z kapelanem, skazańcem, katem i dwoma strażnikami. Następnie szło sześciu strażników, a za nimi

podążała karetą, w której siedział naczelnik więzienia wraz z szeryfem. Za karetą szli urzędnicy z buławami, lekarz więzienny wraz z pomocnikiem, sześciu członków najbliższej rodziny, dalej zaś przypadkowa zbieranina około sześćdziesięciu gapiów, którzy czekali przed więzieniem. Skazaniec, niski, krępy, mający około dwudziestu pięciu lat, nie zmienił się od chwili, gdy Samuel widział go w chacie Hoskina, uradowanego po zebraniu protestujących górników.

Strażnicy torowali drogę procesji. Stary wóz z piszczącymi drewnianymi kołami zatrzymał się przed platformą, po czym więzień zszedł na ziemię. Choć miał związane ręce, lekko się uśmiechnął do przyjaciół znajdujących się w tłumie, którzy pozdrowili go okrzykami zachęty, i zachowywał się jak zapaśnik szykujący się do świątecznej walki.

Samuel czuł na karku oddechy, ludzie napierający ze wszystkich stron szturchali go łokciami w żebra i tręcili kolanami w łydki. Tłum powstrzymywali strażnicy z kijami, w środku utworzyła się jakby niewielka arena. Naczelnik więzienia wygłosił krótkie przemówienie, przedstawiając charakter przestępstwa, i zacytował sentencję wyroku. Zagłuszały go okrzyki tłumu, który odpychano do tyłu. Ludzie następowali Samowi na stopy, a jedna z kobiet obok niego o mało nie zemdląła, uderzona łokciem przez kogoś w przednim rzędzie.

Po chwili rozległy się okrzyki: „Cisza! Cisza!”. John Hoskin o przydomku „Żbik” ukląkł obok kapelana i odmówił modlitwę. Miał bladą, spoconą twarz, lecz w dalszym ciągu wydawał się spokojny. Po modlitwie kat zawiesił linę na szubienicy i zawiązał pętlę, a Hoskin podszedł do skraju platformy i zwrócił się do tłumu.

– Moi przyjaciele! – zawołał. – Moi towarzysze i kompani! Przyszlście dziś zobaczyć, jak odejdę do lepszego świata. Wiedźcie, że pogodziłem się z Wszechmocnym Bogiem i że proszę o wybaczenie wszystkich, których w tym

życiu skrzywdziłem. Niechaj Bóg się zlituje nad moją duszą. Ale wiedźcie, przyjaciele, towarzysze i kompani, że choć być może popełniłem wiele grzechów, nigdy, przenigdy nie dotknąłem Samuela Phillipsa, nie ukradłem jego pszenicy i niczego, co do niego należało! Nigdy go nie widziałem, ani wtedy, ani wcześniej, ani później, a poza tym...

Głos Hoskina utonął w ryku tłumu. Wydawało się, że ludzie częściowo mu współczują, a częściowo świetnie się bawią. Słowa skazańca wyraźnie nie spodobały się naczelnikowi więzienia i kapelanowi – po pierwsze, sugerowały, że wyrok jest niesprawiedliwy, co miało demoralizujący wpływ na publiczność, a po drugie, świadczyły, że kapelan nie przekonał skazańca do okazania skruchy. Większość więźniów przyznawała się do winy u stóp szubienicy.

Próba zamknięcia Hoskinowi ust doprowadziłaby do zamieszek, więc pozwolono mu mówić. Przemawiał blisko kwadrans, niekiedy zwracając się do tłumu, czasem do swojej żony i matki. Nie było słyhać połowy tego, co powiedział, ponieważ znużeni ludzie przestali uważać. Niektóre dzieciaki stojące w pierwszych rzędach wrzeszczały, nie ze strachu czy współczucia, lecz jakby zarażone zachowaniem tłumu. Samuel żałował, że nie może podejść do Hoskina i pomodlić się z nim spokojnie, gdyż jego przemowa sugerowała, że nie rozumie natury grzechu i potrzeby skruchy.

Teraz jednak było już za późno. Za późno. Przemowa skazańca się skończyła i należało przeprowadzić egzekucję. Hoskin stanął na środku szafotu, gdzie umieszczono platformę z desek, którą można było szybko usunąć spod jego nóg. Kat zarzucił linę na poprzeczkę szubienicy, przywiązał ją, po czym podszedł założyć pętlę na szyi skazańca. Hoskin pochylił głowę i przesunął węzeł pod lewe ucho, by pętla szybciej się zacisnęła. Później spojrzął na niebo, a kat włożył mu na głowę biały worek.

Skazaniec uniósł rękę, prosząc o ciszę, a tłum natychmiast umilkł. Hoskin

zaczął śpiewać: „Chrystus panuje w słonecznej krainie”. Miał wyjątkowo niemuzyczny głos, lecz śpiewał wyraźnie, pewnie. Odśpiewał trzy linijki hymnu i nie pamiętał dalszego ciągu. Opuścił dłoń. Kat wyciągnął mu deski spod nóg i Hoskin opadł kilkanaście centymetrów, zwisając na końcu liny.

Tłum wydał ogłuszający ryk, dzieci krzyczały głośniejsze niż przedtem. Ciało skazańca zadygotało, związane ręce zacisnęły się i uniosły, jakby mężczyzna chciał zedrzeć z twarzy worek. Wierzgał nogami i kilku jego przyjaciół, którzy przedarli się przez kordon strażników, próbowało za nie pociągnąć, by mu pomóc, lecz nie mogli dobrze ich chwycić. Worek pokryła krwawa piana. Po chwili ruchy skazańca stały się wolniejsze i na ziemię zaczęły kapać mocz oraz czarne ekskrementy.

W końcu Hoskin znieruchomiał niczym lalka wisząca na sznurku, niczym kłęb brudnych, mokrych szmat powieszonych do wyschnięcia. Słońce na chwilę skryło się za chmurą, lecz teraz znów się pojawiło i oświetliło całą scenę. W górze latało kilka wron.

Tłum zaczął się poruszać, rzednieć, nie napierał, by zobaczyć to, na co nie warto było patrzeć. Część ludzi milczała, wytrącona z równowagi, część była podniecona i gadatliwa, część wpadła w dobroduszny nastrój, jednak większość spokojnie odchodziła, obojętny na spektakl, który przyszła zobaczyć, i myślała już o codziennych sprawach. Dzieci ustawiły się w pary, by wrócić do szkoły. Sprzedawcy pierogów znów głośno zachwalali swój towar.

Zwłoki położono na ziemi i lekarz więzienny orzekł, że skazaniec nie żyje. Naczelnik więzienia i szeryf wsiedli do karety, a czterech strażników ułożyło zwłoki na wozie, którym przywieziono Hoskina na miejsce egzekucji. Elegancko ubrani ludzie opuszczali trybunę, gawędząc. Kat ziewnął, włożył surdut i zapiął go. Kilku ludzi próbowało ukraść linę, wierzono bowiem, że ma magiczne właściwości, ale ich odpędzono.

Samuel splunął na ziemię pokrytą śmieciami i podeptanymi wrzosami, po czym podszedł do niewielkiej grupki członków rodziny Johna Hoskina, którzy mieli nadzieję, że będą mogli zabrać ciało i pochować je po chrześcijańsku.

2

Rankiem w dniu święta Sawle ziemię zasnuła gęsta mgła, co zdarzało się dość często o tej porze roku, gdy panowała ciepła, słoneczna pogoda. Nazywano to pogodą na sardynki, choć byłaby ona milej widziana innego dnia. O dziewiątej rano widać było tylko połowę łąki, gdzie ludzie mieli uczestniczyć w zawodach zapaśniczych, pić herbatę i oddawać się zabawom. O dziesiątej trochę się rozjaśniło i mgła zaczęła się rozpraszać. Jud Paynter mówił, że półtora kilometra od brzegu świeci słońce i panuje skwar, ale o jedenastej, kiedy rozpoczynało się nabożeństwo w kościele w Sawle, mgła stała się gęstsza niż wcześniej, wilgotna i zimna. Ludzie chodzący po dziedzińcu przypominali widma.

Kościół był przepelniony, część osób stała. Było to najbardziej oblegane nabożeństwo w roku i Ross dał się namówić do uczestnictwa wbrew swojej woli. Jeremy chciał iść, bo mieli tam być jego młodzi przyjaciele, na przykład Benjy Carter, i Demelza postanowiła pojechać razem z nim. Ross nie chciał znowu natknąć się na George'a, lecz Demelza, która wiedziała, że po południu obaj będą obserwować pojedynek zapaśniczy, stwierdziła, że powinien bez trudu uniknąć spotkania z Warlegganem zarówno w kościele, jak i poza nim.

Kiedy usiedli w ławce, Ross natychmiast pożałował swojej decyzji, bo okazało się, że nabożeństwo poprowadzą razem Clarence Odgers i Osborne Whitworth. Bardzo nie lubił młodego pastora o grubych nogach i drażniły go jego aroganckie maniery. Poza tym pamiętał, że George dwukrotnie poparł Whitwortha. Najpierw zaaranżował małżeństwo przesadnie strojącego się,

hałaśliwego pastora z Morwenną Chynoweth, gdy Ross już snuł plany skojarzenia jej z Drakiem, a później załatwił dla Whitwortha beneficjum, odbierając je cierpiącemu biedę Odgersowi, który naprawdę na nie zasługiwał.

Wszystko to było bardzo irytujące, zwłaszcza że Ross czuł, że popełnił błędy. Gdyby w obu przypadkach szybciej ocenił sytuację i działał bardziej zdecydowanie, mógłby odnieść zwycięstwo. Jednak dwa razy poniósł klęskę, ustąpił pola nadętemu durniowi. A kiedy nadęty dureń odprawia nabożeństwo w kościele przebrany w szaty duchownego, jest to wyjątkowo nieprzyjemne.

Ross pomyślał kwaśno, że w kościele są wszyscy. Wysoka, ciemnowłosa Morwenna obok niższej, jasnowłosej Elizabeth. George o byczym karku, w eleganckim surducie z brązowego jedwabiu i w bryczesach. Również Drake, w tylnej części kościoła, lecz ani śladu Sama. Może młody głupiec nie stanie do pojedynku i zakład będzie unieważniony. Ross przypomniał sobie styl walki szwagra. Poćwiczyli razem kilka rzutów i było oczywiste, że Samuel nie pierwszy raz uprawia zapasy, choć trochę wyszedł z wprawy. Dużo zależy od tego, czy zachowa jasność umysłu. Tom Harry jest silny jak byk i głupi; pod piegowatym, masywnym czołem nie ma ani jednej myśli. Ale jeśli Samuel zacznie myśleć o następnym spotkaniu modlitewnym, przegra z kretesem. Może uda mu się skoncentrować, jeżeli będzie pamiętał o duszy, którą powinien zbawić.

Wielebny Odgers nerwowo odmawiał modlitwę. Dawny tytułarny proboszcz nigdy nie pojawiał się w kościele w Sawle, a teraz w pobliżu siedział zwierzchnik, co było dla Odgersa nowym, trudnym wyzwaniem. Whitworth słuchał każdego słowa z krytycznym wyrazem na dobrze odżywionej twarzy. Odgers już wiedział, mimo krótkiego doświadczenia, że nowy posiadacz beneficjum z pewnością coś skrytykuje, a dziś Whitworth wydawał się w wyjątkowo złym humorze. Wypowiedział już kilka przykrych

uwag – o dzwonnikach, instrumentach muzycznych chóru, stanie cmentarza i ogólnej czystości kościoła. Należało się spodziewać dalszego ciągu. Wielebny Osborne Whitworth przerwał potok gniewnych komentarzy, gdy do kościoła przybyli państwo Warlegganowie i trzeba było rozpocząć nabożeństwo.

Po zakończeniu liturgii wielebny Whitworth wstał, by wygłosić kazanie. Stanął za pulpitem, odchrząknął i wyjął plik notatek.

Wybrał cytat z dwudziestego szóstego rozdziału Księgi Hioba, wersety piąty i szósty: „Oto olbrzymowie wzdychają pod wodami i ci, którzy mieszkają z nimi. Nagie jest piekło przed nim, i niemasz żadnej nakrywki u zatracenia” [18](#).

Był to równie dobry cytat jak każdy inny, lecz raczej nie nadawał się na temat kazania w dniu święta upamiętniającego nawrócenie wioski na chrześcijaństwo przez irlandzkiego mnicha, który tysiąc sto lat wcześniej zbudował kaplicę nad brzegiem morza. Zdenerwowany Odgers nie mylił się, przypuszczając, że Ossie jest wyjątkowo rozdrażniony. Przed tygodniem Whitworth odkrył coś, co przysporzyło mu straszliwych katuszy. Nawet święty Sawle nie cierpiał tak bardzo wskutek noszonej przez siebie włosiennicy.

Rowella nie była w ciąży.

Kiedy wyprowadziła się z domu i zamieszkała z Arthurem, jej kontakty z plebanią całkowicie ustały. Morwenna nie próbowała nawiązać relacji z grzeszną siostrą. Jeśli czuła jakąkolwiek miłość do Rowelli, zniszczyły ją wydarzenia zeszłej zimy. To, że nie chciała wznowiać stosunków małżeńskich z mężem, nie miało żadnego znaczenia. Morwenny nie obchodził nawet fakt, że zachowanie Rowelli – i Ossiego – pozwoliło jej odrzucać prawnie usankcjonowane żądania męża. Dobrze znała Whitwortha i czuła mdłości na myśl, że jej własna siostra nie uznała jego awansów za obrzydliwe.

Oba domy nie miały ze sobą żadnych kontaktów – naturalnie jeśli chata

Solwayów zasługiwała na nazwę domu. Przez pięć miesięcy nic się nie działo, aż wreszcie Ossie, który miał coś do załatwienia w Kenwyn, przypadkiem spotkał Rowellę, która odwiedziła nową przyjaciółkę. Działo się to przed tygodniem. Zauważył, że jest tak samo nieatrakcyjna, tajemnicza, podenerwowana i chuda jak zawsze. Kiedy przewyciężył niezliczone opory i surowym tonem zwrócił uwagę na jej wygląd, zrobiła bardzo zaniepokojoną minę, jej wargi zadrżały i powiedziała:

– Och, pastorze, bardzo się martwię z tego powodu! Mimo wszystko wydaje się, że nie byłam w ciąży. Jestem jeszcze młoda i strasznie się pomyliłam...

Wypowiedziała te słowa i jej oczy wypełniły się łzami. Whitworth szybko się odwrócił, lecz w jego duszy zapłonął ogień piekielny. Był przekonany, że ta nędzna, chuda gadzina celowo go oszukała, celowo szantażowała z przyczyn znanych tylko samej sobie. Może przez cały czas była zakochana w Arthurze Solwayu i postanowiła zapewnić sobie dostatnie życie? Może sprzymierzyła się z Morwenną, by go upokorzyć i zirytować? Może jest wysłannikiem diabła – a nawet pomocnicą Szatana – a jej celem było skusić do grzechu i zniszczyć jednego z kapłanów Kościoła?

Jakakolwiek była prawda, Whitworth nie potrafił uwierzyć w niewinność Rowelli. Został oszukany, nabrany, nabity w butelkę, pozbawiony prawie trzyletnich dochodów z niedawno otrzymanego beneficjum w Sawle, a żona czuła do niego złość i nie chciała spełniać obowiązków małżeńskich. (Próbował jeszcze dwa razy, lecz ku jego irytacji w dalszym ciągu zachowywała się buntowniczo i krnąbrnie, powtarzając groźby wobec syna).

W tym nastroju, z zatrutym cierniem w sercu, wielebny Whitworth wygłosił kazanie, przywołując najmroczniejsze lęki autorów Starego Testamentu. Mówił o gniewie Boga, karze za grzechy, gromach i ognistych paleniskach, o końcu rodu Jeroboama, rzezi królów Midianitów, o Rechabitach,

Amalekitach, zniszczeniu Sodomy i Gomory.

Po czterdziestu minutach zgromadzeni zaczęli okazywać zniecierpliwienie i nieco hałasować. Ossie podniósł głos, po czym powrócił do pierwotnego tematu kazania, nieszczęście Hioba: – „Niech zginie dzień, któremu się urodził, i noc, w którą rzecono: «Począł się człowiek»” ¹⁹. Perorował przez następny kwadrans, aż nagle skończył, jakby zamykał sklep: – A teraz w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego...

Ross uniósł głowę z piersi i obudził Clowance.

George również się poruszył. Najpierw spojrzał na Morwenę, która wbijała wzrok w ziemię, a później na Elizabeth, która uśmiechnęła się do męża. Warleggan wzruszył ramionami i również lekko się uśmiechnął. Odkąd pogodzili się w okresie Wielkanocy, ich stosunki nie zawsze były łatwe. Kiedy Elizabeth złożyła przysięgę na Biblię, George odczuwał radość, lecz po tym wieczorze starannie rozważał wypowiedziane przez nią słowa, analizował swoim kupieckim umysłem treść przysięgi. Chociaż poczucie sprawiedliwości kazało mu przyznać, że żona powiedziała wszystko, co potrzebne, miał jednak wrażenie, że mogłaby lepiej to sformułować. Niewątpliwie mówiła spontanicznie, wypowiedziała pierwsze słowa, które przysły jej do głowy. Było to rozsądne przypuszczenie. Jednak George z trudem zapominał o podejrzeniach zaszczerpionych przez ciotkę Agatę. Logika nakazywała przyjąć, że Elizabeth powiedziała prawdę. Logika nakazywała uznać Valentine'a za własne dziecko. A zatem wszystko w porządku. Ale od czasu do czasu, wbrew logice, dręczył go czerw podejrzeń.

Nie mógł zrobić nic więcej i zdawał sobie z tego sprawę. Gdyby poprosił Elizabeth o dodanie do przysięgi kilku zdań, zachowałby się jak prawnik przygotowujący umowę spółki. Naraziłby się na gniewną odmowę i ostateczny rozpad małżeństwa. Nie mógł się spodziewać niczego innego.

Czasami czuł się jak człowiek, który cierpi ból, lecz nie wie, co jest jego

przyczyną: drobna niedyspozycja czy straszliwa choroba. Chwilami wierzył, że wkrótce umrze, a chwilami, że nic mu nie jest. Najczęściej to drugie. Elizabeth to czysta kobieta, Valentine jest jego jedynym synem. Gdyby tylko przestał go dręczyć ten ból...

Przed poślubieniem Elizabeth zawsze pragnął mieć ją na własność i zapewnił mu to ślub zawarty w czwartek dwudziestego czerwca tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Jednak kłótnia w kwietniu tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego siódmego roku rozluźniła łączące ich więzy. Miał dość rozsądku, by rozumieć, że Elizabeth nigdy od niego nie odejdzie. Pozostanie lojalna, wierna, uszanuje jego interesy, będzie prowadzić dom, wychowywać syna, wspomagać go w słusznych sprawach, będzie jego towarzyszką i żoną. Jednak przedstawiła swoje warunki.

W tylnej części kościoła siedział Drake. Wydawał się zamyślony, choć w ogóle nie słuchał kazania. Odkąd do kościoła weszła Morwenna, niczego nie słyszał ani o niczym nie myślał. Minęła go, idąc do ławki w pobliżu ołtarza. Widzieli się po raz pierwszy od przeszło dwóch lat. Spojrzała na niego z lękiem w oczach, po czym spuściła wzrok, lecz Drake w dalszym ciągu wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany. Zauważył, że straszliwie się zmieniła. Wydawała się starsza, chudsza, twardsza – wokół jej ust pojawiły się zmarszczki, których wcześniej nie widział. Cera Morwenny, zawsze nieco śniada, stała się woskowa, a oczy się zwęziły. Jej piękna sylwetka nie była już taka piękna: za rok lub dwa zacznie się garbić. Przez ostatnie dwa lata Drake wiele wycierpiał, ale cierpiała również Morwenna. Bardziej niż ja, pomyślał. Nie mógł patrzeć na nią i na pompatycznego pastora, który stał za pulpitem i mówił o wojsku madyańskim²⁰. Ogarniały go mdłości.

Chętnie wyszedłby z kościoła w trakcie nabożeństwa, by uciec od tego widoku, zapomnieć o rozczarowaniu i rozpacz, oprzeć się o jeden z pochyłonych nagrobków na cmentarzu. Powtarzał sobie, że wszystko

naprawdę się skończyło, Morwenna już go nie obchodzi – jest żoną proboszcza, matką, znużoną, doświadczoną, normalną młodą kobietą o prostych ciemnych włosach i brązowych krótkowzrocznych oczach. Ma dziecko, męża, zajmuje się parafią. Marzenie prysło. Pojawiło się, znikło. Istniało przez pewien czas, nie dłużej niż tęcza na niebie, a później powiał wiatr i wszystko przepadło na zawsze.

Drake opuściłby kościół, lecz pozostał w nim, bo czuł potrzebę patrzenia na Morwennę. Ze swojego miejsca widział jej brązowy kapelusz i bark. Oczywiście siedziała w ławce Poldarków – to znaczy ławce właścicieli dworu w Trenwith – obok pana Warleggana. Po jej drugiej stronie siedziała pani Warleggan. Ross i jego rodzina zajmowali miejsca po przeciwnej stronie kościoła, kilka rzędów z tyłu. Geoffrey Charles był nieobecny. Prawdopodobnie nie wrócił do domu. Może tego lata nie spędzi wakacji w Trenwith?

Wielebny Odgers odmówił ostatnią modlitwę, po czym uczestnicy nabożeństwa wolno opuszczali kościół. Zgodnie ze zwyczajem ziemianie wychodzili pierwsi, więc Drake znalazł się w pułapce i musiał pozostać na miejscu. Kiedy Warlegganowie ruszyli w stronę wyjścia, wbił wzrok w ziemię, by więcej nie zawstydząć Morwenny. Niechaj patrzy na niego, jeśli chce; sam był zbyt nieszczęśliwy, by na nią spojrzeć.

Czasem jednak impuls pokonuje nawet najlepsze chęci i gdy zobaczył obok swojej ławki białą suknię Elizabeth, znów uniósł oczy.

Patrzyła na niego. Morwenna patrzyła na niego. Trwało to około siedmiu sekund i w tym czasie zdążyła się uśmiechnąć. Zaczęło się od oczu, które lekko zmrużyła, później poruszyła wargami i jej twarz nagle się rozpromieniła. Zmarszczki znikły, kolor twarzy się zmienił, przestała zaciskać wargi, oczy znów stały się ciepłe. Przez kilka uderzeń serca Drake czuł uniesienie: zza chmur znów wyszło słońce, na niebie pojawiła się tęcza. Później Morwenna

odeszła.

Sam Greet przepchnął się obok Drake'a, by wyjść wraz z pozostałymi na dwór, gdzie snuły się obłoki mgły.

– Chodź, synu – rzekł. – Chyba już dość modlitw na jeden dzień.

Rozdział piąty

1

Święto Sawle rozpoczęło się na dobre dopiero o drugiej. W Wheal Grace – jedynej czynnej kopalni w parafii – górnicy mieli wolny dzień, jednak zgodnie ze zwyczajem spędzili rano na czyszczeniu terenu, sprzątaniu zabudowań, bieleniu wnętrza cechowni, zamiataniu szop, w których oczyszczano rudę, i doprowadzaniu wszystkiego do porządku. Wieśniacy, którzy musieli dbać o zwierzęta, i tak nie mogli przybyć przed południem.

O drugiej odbywały się konkursy z udziałem dzieci. O wpół do czwartej podano herbatę: każde dziecko otrzymało cynowy kufel z gorącym ciemnym płynem i ogromny rogal z szafranem, praktycznie niemożliwy do zjedzenia za jednym zamachem. Dorośli mogli coś przegryźć, jeśli nadarzyła się okazja, lecz nie brakowało piwa, każdy dostawał go tyle, ile chciał. W dniu święta kopalnia wypłacała każdemu górnikowi szylinga, który najczęściej wydawano na mocne trunki – później płacono za nie z własnej kieszeni. O czwartej urządzano gry i wyścigi dla młodzieży, a o piątej zaczynały się zapasy. Samuel i Tom Harry mieli stoczyć pojedynek o szóstej, ale w zawodach zapaśniczych mógł wziąć udział każdy, kto rzucił czapkę na ring. Zwycięzca turnieju otrzymywał gwineę i kapelusz. Zapaśnik, który położył przeciwnika na łopatki, stawał do następnej walki i jeśli zwyciężył po raz drugi, przechodził do finału. Pojedyunki między finalistami były główną atrakcją konkursu.

Po nabożeństwie Drake wrócił do kuźni i zjadł skromny obiad. Kiedy

skończył posiłek, pojawił się Samuel.

– Miło cię widzieć, bracie – odezwał się Drake. – Bałem się, że się spóźnisz na walkę.

Samuel usiadł i zaczął jeść chleb z serem przyniesiony przez brata.

– Nie, nie zapomniałem.

– Może tak byłoby lepiej. Nie podoba mi się, że masz walczyć za mnie.

– Nie za ciebie, chłopcze, tylko za siebie.

Drake odłożył pręt, który prostował, i usiadł na skrzynce naprzeciwko Sama.

– Więc byłeś na egzekucji? Odbyla się?

Samuel wszystko mu opowiedział.

– Dobrze postąpiłeś, bracie – rzekł w końcu Drake. – Ale to smutne. Widzisz... widzisz w tym wolę Boga?

– Nie potrafimy zmierzyć ani odgadnąć zamiarów Ducha Świętego. Powinniśmy pochylić głowy i z pokorą przyjąć karę. Wydawało mi się, że poniósł ją tylko jeden grzesznik, a reszcie się upiekło. Zasmuciło mnie, że umarł bez prawdziwego błogosławieństwa.

– Należę ci trochę herbaty – powiedział Drake. – Poszedłeś z nimi do Camborne, prawda?! – zawołał z kuchni.

– Tak, na pogrzeb. Pozwolili nam zabrać ciało. Rodzina pożyczyła starą furmankę. Ciągnęliśmy ją w sześciu, na zmianę. Ciągnąłem razem z Peterem Hoskinem... Przed Camborne wyszło nam na spotkanie wielu ludzi. Porzucili pracę i szli za nami. Wielka procesja, ogromny tłum. Śpiewaliśmy hymny. Wielu należało do zgromadzenia.

Drake przyniósł kubek herbaty. Milczał.

– Dziękuję, chłopcze...

– Nigdy nie widziałem dziwniejszej sceny – ciągnął Samuel, popijając herbatę. – Pamiętasz sir Basseta? Sir Francisa Basseta? Lorda Dunster...

Dunstanville'a? Tak się teraz nazywa.

– O tak, dobrze go pamiętam.

– Wiesz, że to on kazał aresztować Hoskina, Sampsona, Barnesę i pozostałych, a potem był w sądzie, gdy ich skazano. Ponoć to on miał zdecydować, czy podpisać ułaskawienie Johna, podobnie jak innych. Nasza procesja – jestem pewien, że blisko tysiąc ludzi – mijała dom w pobliżu kościoła, może półtora kilometra od cmentarza, i nagle z tego domu wyszedł Basset we własnej osobie, tylko z jednym służącym. Wszyscy, którzy tam szli, w większości górnicy – wielu z nich brało udział w zamieszkach – doskonale wiedzieli, kto to. Człowiek, z którym lord Basset wyszedł z domu, usiłował go wciągnąć do środka, ale sir Francis nie chciał się kryć i powiedział, że nic mu nie grozi ze strony tych ludzi. Jeśli go zaatakują, spotka ich ten sam los, co trupa wiezionego na furmance... Podszedł do konia, wsiadł, jego służący wsiadł na swojego konia, po czym w ciszy przejechali przez procesję, minęli trupa, a ludzie rozstępowali się przed nimi jak wody Morza Czerwonego...

Drake powoli skinął głową.

– Wstąpiłeś, żeby się zobaczyć z Williamem, Johnem i Robertem?

– Tak, ale w domu był tylko Robert. Poza tym wdowa Flotina, druga żona Johna i dziecko. Zachowywali się dzielnie.

– Bobbie wyzdrowiał?

– Tak. Wszyscy pytali o ciebie.

– Basset to odważny człowiek – zauważył Drake. – Trzeba mu to przyznać. Niewielu ośmieliłoby się tak postąpić.

– Przez chwilę się o niego bałem – odparł Samuel. – Moim zdaniem odwagi dodawała mu wiara, że ma rację. Był to dziwny widok... Lekcja dla nas wszystkich...

– Nawet jeśli się mylimy? – spytał Drake z dawnym psotnym błyskiem w oczach.

Samuel się uśmiechnął i pokręcił głową.

– Powinniśmy się modlić, by Bóg nas oświecił.

– Gdzie jest Peter? Nie wrócił z tobą?

– Został z rodziną i wróci do domu dziś wieczorem.

– Straciłeś dwie dniówki w kopalni? Dostałeś wolne?

– O tak. Nie musimy się śpieszyć z robotą. Wróciłem do domu, bo czeka mnie... nowe wyzwanie.

– Będziesz zmęczony po długim marszu.

Samuel dotknął palcem cholewki buta.

– Bolą mnie stopy. Reszta to drobnostka.

– Dobrze ci życzę, bracie. Możemy jeszcze odpocząć godzinę. Wezmę cebrzyk i namoczysz sobie nogi. Mam nadzieję, że go pokonasz, Sam, choć jest uparty jak muł. Chciałbym zobaczyć, jak dostaje w kość.

– Bóg zdecyduje – odparł Samuel.

2

Enysowie nie przybyli na nabożeństwo, ale pojechali na obiad do Poldarków. Zwykle nie pojawiali się w kościele nawet w święta. Działo to na niekorzyść Dwighta, bo lekarz nie powinien być uważany za ateistę. W gruncie rzeczy nie był ateistą i mógłby uczestniczyć w nabożeństwach, gdyby chciała tego Caroline, która była głęboko uprzedzona do wszelkich form zorganizowanej religijności i przychodziła do kościoła tylko wtedy, gdy musiała, to znaczy w czasie ślubów, chrzcin i pogrzebów.

Wydawała się znacznie zdrowsza. W pierwszej części posiłku gawędziła miło z gospodarzami, a później, gdy podano główne danie – gicz baranią z kaparami, orzechami i topionym masłem – oznajmiła, że ma do zakomunikowania złe wiadomości. Spodziewa się dziecka.

Demelza upuściła łyżkę do nakładania potraw, zerwała się z miejsca, uściskała i ucałowała Caroline, po czym poszła ucałować Dwighta.

– Bardzo się cieszę, naprawdę bardzo się cieszę... Boże, cóż za wspaniała nowina! Caroline, Dwight, to cudowne! Cudowne!

– Przez cały czas właśnie to mi dolegało, ale mój mąż nie potrafił tego zdiagnozować! – rzekła Caroline.

– Stale mnie okłamywała – odparł Dwight. – A poza tym nie pozwalała się zbadać!

Kiedy Ross pochylił głowę, by pocałować Caroline, poszukała wargami jego warg.

– Widzisz za co jesteś odpowiedzialny? Choćby pośrednio! To ty przywiozłeś go do Anglii!

– Jeśli to chłopiec, ożenimy go z Clowance, a jeśli dziewczynka, wyjdzie za Jeremy'ego – odparł Ross.

– Wypiję za to – rzekł Dwight.

– Wszyscy wypijemy.

Kiedy usiedli przy stole i kontynuowali w milczeniu posiłek, Caroline powiedziała:

– Oczywiście nie chcę tego bachora.

– Caroline! – zaprotestowała Demelza.

– Dzieci są koszarne, prawda? Nie znoszę niemowląt! Mali tyrani o pomarszczonych twarzach, chciwi i egoistyczni. Stale czegoś chcą, nie panują nad fizjologią, puszczają wiatry, żądają, by dorośli zajmowali się nimi całą dobę na okrągło, i nigdy nie wypowiadają ani słowa podziękowania. Ciepłe, wilgotne, lepkie istoty, pachną siuškami i skwaśniałym mlekiem. Na świecie i tak jest ich za dużo!

Wszyscy się roześmiali, lecz Caroline zmarszczyła brwi i oznajmiła:

– Mówię poważnie! Dwight wie, ostrzegałam go.

– Nie ostrzegłaś nas wszystkich – odparła Demelza. – Nie wierzymy ci.

– Musisz myśleć o ciągłości rodu – zauważył ironicznie Ross. – Świat nie jest taki straszny. Szkoda byłoby go zostawiać cudzym dzieciom.

– Ciągłości rodu? – odparła Caroline. – Nie miałabym nic przeciwko temu, gdybym mogła urodzić małego Dwighta, a nawet – niechaj Bóg się nade mną zlituje – małą Caroline. Ale zauważyłam, że dziecko zawsze okazuje się żywym wizerunkiem najbardziej nieprzyjemnego kuzyna!

– Albo dziadka – zauważyła Demelza. – Jeremy ma stopy mojego ojca. Mam wielką nadzieję, że na tym się skończy.

Wszyscy znów się roześmiali.

– Myślę, że jako ojciec tego konkretnego dziecka mógłbym potępić uwagi Caroline – odezwał się Dwight. – Jeśli o mnie chodzi, jak to będzie dziewczynka, chciałbym, żeby była wysoka, szczupła, miała rude włosy i piegowaty nos.

– Opiszesz potwora – przerwała Caroline. – Czy właśnie tak wyglądała jedna z twoich starych ciotek?

– A poważnie? – spytała Demelza.

Wszyscy umilkli i czekali. Caroline zastanawiała się chwilę, krusząc kawałek chleba.

– Czy nie byłoby to cudowne?

3

Za kwadrans szósta zakończyły się główne walki zapaśnicze. Kapelusz i gwineę wygrał Paul Daniel, który mimo wieku (miał czterdzieści lat) i zamiłowania do mocnych trunków był zbyt doświadczony i zbyt przebiegły dla reszty zawodników. Widownia zgromadziła się wokół odgradzonej części gminnego pastwiska, przylegającej do głównej drogi z Sawle do St Ann's. Po

przeciwnej stronie drogi znajdował się cuchnący staw, w którym o mało nie utopił się Drake. Na pastwisku zebrało się łącznie kilkuset ludzi, z czego dwie trzecie zajęło miejsca w pobliżu areny walk zapaśniczych. Reszta rozproszyła się po polu: leżeli na trawie, grali, pili piwo, gawędzili. Wielu zdążyło już coś wypić w szynku Sally-Na-Rozgrzewkę znajdującym się przy drodze. Wzmógł się ruch pozwalając jej ufundować nagrody dla zapaśników.

Mgła się rozproszyła – a raczej odpłynęła kilkaset metrów w stronę morza i zatrzymała się na skraju łąki. Przez większą część dnia świeciło zamglone słońce, chwilami panował skwar, a czasem okolicę zasnuwała wilgotna szara mgła. W górze, zawsze w zamglonej części nieba, rozpaczliwie piszczwały mewy, których krzyki przypominały błagania ludzi proszących o łaskę.

Samuel i Drake przybyli na miejsce o wpół do szóstej. Przyszli razem z kuźni Pally'ego. Siedzieli na ławie, otoczeni przez kibiców, a tymczasem Tholly Tregirls chodził niczym nadęty strach na wróble między nimi a podobną mniejszą grupką otaczającą Toma Harry'ego. Emma Tregirls jeszcze się nie pojawiła, Sally również. Wręczywszy nagrodę Paulowi Danielowi, pośpieszyła z powrotem do szynku, by go znów otworzyć i nie stracić klientów, którzy mogliby przenieść się do konkurencji. Tholly umówił się z jakimś dzieciakiem, że ten popędzi do Sally, by ją zawiadomić o początku walki. Na razie jednak nie można było zaczynać. Podobno miał przyjechać dziedzic z Trenwith – plotkowano o zakładzie. Tak jak w przypadku nabożeństw wielebnego Odgersa w kościele w Sawle pojedynek nie mógł się rozpocząć przed przybyciem okolicznych ziemian.

Poldarkowie i Enysowie pojawili się około szóstej. Ross i Demelza nie chcieli jechać, ale nie mogli się wymigać. Zarówno ignorowanie walki Samuela, brata Demelzy, jak i patronowanie jej nie było dobrym pomysłem. Ale, jak zauważyła Demelza, Samuel i Tom Harry nie mieli walczyć na pięści – sędziowie powinni zadbać, by pojedynek odbył się przepisowo. Nie muszą

rozmawiać z Warlegganami.

Jednak gdy nadeszła pora walki, Ross i George siedzieli dość blisko siebie. Przygotowano tylko cztery ławy ustawione rzędem obok wejścia na ring. Kwadrans po szóstej George Warleggan i Osborne Whitworth wyszli z bramy dworu w Trenwith i ruszyli ku pastwisku. Osborne, który zdjął szaty duchownego, był ubrany w elegancki surdut z ciemnofioletowego jedwabiu i białe bryczesy. Nie towarzyszyły im damy. Dwaj dżentelmeni zajęli miejsca na końcu jednej z ław, jak najdalej od Poldarków.

Tholly Tregirls był w swoim żywiole. Przygarbiony, odziany w surdut z długimi połami, przypominał kruka siedzącego na gałęzi. Publiczność patrzyła na jego pokrytą bliznami twarz i rękę zakończoną hakiem, on zaś, dysząc astmatycznie, stanął na środku areny i zapowiedział walkę:

– Pojedynek zapaśniczy, trzy rundy. Nagroda: dwie gwinee ufundowane przez panią Sally Tregothnan z szynku Sally. Zawodnicy... po mojej lewej ręce Tom Harry... po mojej prawej ręce Samuel Carne...

Dwaj mężczyźni wyszli na arenę i rozległy się wiwaty zwolenników obu stron. Zawodnicy mieli na sobie regulaminowe stroje: włożone na nagie torsy krótkie luźne kaftany z szerokimi rękawami, z mocnego lnianego płótna, zawiązywane pod szyją solidnymi troczkami, oraz bryczesy sięgające do kolan i grube pończochy. Byli bosi. Kopanie, dozwolone na wschód od rzeki Tamar, w Kornwalii uznawano za niesportowe – liczyła się siła ramion i barków. Sędziami, oprócz Tholly'ego Tregirlsa, byli Paul Daniel i Will Nanfan.

Kiedy uczestnicy walki zbliżyli się do siebie, by wymienić uścisk dłoni, wszyscy spostrzegli, że Samuel jest przeszło osiem centymetrów wyższy od przeciwnika, ale Harry ma masywne, szerokie bary, grube nogi oraz umięśnione pośladki. W pojedynku zapaśniczym wzrost nie zawsze zapewniał przewagę.

Tholly zadał w gwizdek. Przechowywał go od lat i opowiadał, że dostał go

od umierającego bosmana na swoim pierwszym okręcie w wyrazie szacunku. W rzeczywistości ukradł go hiszpańskiemu żebrakowi w Gibraltarze. Kiedy Samuel krążył wokół przeciwnika, zauważył, że do skraju areny zbliża się Emma Tregirls wraz z Sally. Stały w grupie kibiców Toma Harry'ego. Emma w ogóle nie patrzyła na zapaśników. Rozmawiała z Sally i śmiała się. Było ją słychać na całej łące.

Publiczność wznosiła głośne okrzyki, a dwaj zapaśnicy ustawiali się w najlepszej pozycji do pierwszego chwytu. Większość widzów popierała Samuela i z zażenowaniem rozpoznał w tłumie głosy wielu metodystów. Nie miał nic przeciwko temu, by zagrzewali go do walki, lecz czuł, że sam znajduje się w fałszywym, dwuznacznym położeniu. W czasie długiego marszu z Bodmin, towarzysząc żałobnikom i zwłokom skazańca, dużo myślał o życiu, śmierci i swojej roli na świecie, własnych przywilejach i obowiązkach. Nie wydawało mu się, że jednym z jego przywilejów lub obowiązków jest głoszenie Słowa Bożego poprzez powracanie do dawnych zwyczajów z młodości i udział w publicznej walce z brutalnym mężczyzną, który zaatakował i pobił jego brata oraz groził, że poślubi dziewczynę, która z jakiegoś powodu ujęła Samuela za serce.

Harry rzucił się nagle do przodu i usiłował chwycić Samuela za kaftan, lecz ten, przykucnięty równie nisko jak przeciwnik, wykonał unik i próbował chwycić Harry'ego. Harry zdołał się wyrwać, po czym obaj znów krążyli wokół siebie, markując ataki. Była to jedna z technik walki i w przypadku mistrzów taka taktyka mogła trwać nawet pół godziny. Jednak nie tego wieczoru, bo przeciwnicy byli zbyt zaangażowani emocjonalnie.

Samuel pomyślał, że zdecydował się na udział w walce, by ocalić dla Jezusa ceną duszę, ale gdy spoglądał w głąb własnego serca, widział dwa inne, bardzo niechrześcijańskie motywy. Zemstę i żądzę. Zemstę i żądzę. Jak mógłby temu zaprzeczyć? A skoro nie mógł zaprzeczyć, jak to

usprawiedliwić? Był świadkiem egzekucji; ze smutkiem i przerażeniem uświadamiał sobie, że skazany odszedł z tego świata bez łaski zbawienia, jak więc mógł teraz uczestniczyć w pokazie przemocy, będącym rozrywką dla tłuszczy na festynie?

Nagle doszło do zwarcia i Samuel musiał się ratować przed rzutem. Tomowi Harry'emu udało się go chwycić. Obaj próbowali zdobyć lepszą pozycję. Harry wsunął głowę pod pachę Sama i usiłował podciąć mu nogi i go unieść. Samuel oderwał stopy od ziemi, usiłował się przekręcać i znalazł się w fatalnym położeniu. W końcu runął na trawę, lecz zdołał się obrócić i zamiast wylądować ciężko na plecach, upadł na bok. Potoczył się po ziemi, a Harry natychmiast rzucił się na niego, usiłując go przygnieść. Samuel oderwał od swojej szyi rękę przeciwnika, wstał na kolana i nagle padł na ziemię głową w dół. Harry wskoczył mu na plecy.

Rozdzielili się i znów zaczęli krążyć wokół siebie. Harry rzucił się do przodu – bardziej jak byk niż zapaśnik. Uderzył Sama barkiem w żebra, prawie go przewracając, po czym chwycił go za ramiona, aż troczek kaftana wpił mu się w szyję. Samuel uwolnił się od chwytu, uderzając Harry'ego łokciem w twarz, a później podciął mu nogi. Obaj jednocześnie runęli na ziemię, jeden przygniótł drugiego. Tholly musiał odskoczyć, gdy raptownie rzucili się w jego stronę, i zadał w gwizdek, bo walka na ziemi była zabroniona.

Musiał odciągnąć Harry'ego. Dwaj mężczyźni wstali przy akompaniamencie wiwatów, buczenia i krzyków publiczności.

Nie powinienem tu być, pomyślał Samuel. Popełniłem błąd. Harry chwycił go za kaftan i Samuel poczuł na podbródku byczy łeb. Jedna ręka objęła go w pasie, a druga chwyciła za spodnie. Upadł niczym złamane drzewo, przygnieciony stu kilogramami mięśni i kości.

Zaczął się dusić i oszołomiony bólem usłyszał gwizdek. Czyjeś ręce

ściągnęły z niego Harry'ego. Przegrał pierwszą rundę.

4

– Coraz mniej mi się to podoba – powiedziała Demelza.

– Mnie też – odparł Ross. – Ale musimy doczekać do końca.

– Ten człowiek nie walczy uczciwie. Chce zrobić Samowi krzywdę! Dlaczego nie przerwą walki?

– Szczerze mówiąc, nie mogą tego zrobić bez przyznania zwycięstwa Harry'emu. Nie łamie reguł, po prostu walczy brutalnie. Sędziowie mogą interweniować, jak to zrobił Tholly, ale nie wolno im przerwać walki. Ach...

Gniew i nienawiść nie zawsze są najlepszymi motywami w czasie zawodów wymagających zręczności fizycznej, choć pewna wojowniczość jest niezbędna, a tej jak dotąd brakowało Samuelowi. Nie miał pojęcia o zakładzie Rossa, natomiast doskonale pamiętał obietnicę Emmy. Dziś dotarło do niego, że to po prostu głupi żart z jej strony. Czuł wstyd i brak ochoty do walki.

Ale mimo religijności, której nabrał po nawróceniu na Chrystusa, i mimo wstydu zachował dość dawnego charakteru, by czuć złość z powodu bólu żeber i krwi ciekącej z zęba obłuzowanego uderzeniem głowy Harry'ego. Irytował go smród spoconego ciała przeciwnika, zmuszającego go do przybierania poniżających i bolesnych póz, i chrapliwe odgłosy triumfu wydawane przez gajowego. Harry, spodziewający się szybkiego zwycięstwa, teraz niemal pewnego, przestał się pilnować.

Wydawało się, że ciało Samuela instynktownie zareagowało na sytuację i podjęło szybkie, zdecydowane działania, których nauczyło się przed wielu laty podczas walk zapaśniczych. Nagła zmiana pozycji, obrót, oba ramiona na szyi Harry'ego, zaciśnięcie ręki na nadgarstku drugiej, by wzmocnić chwyt. Gajowy runął na ziemię, a Samuel na niego, unikając kontaktu z wystawionym

kolanem przeciwnika. Obłok kurzu i zeschniętych wrzosów, po czym Samuel bezlitośnie przycisnął przeciwnika do ziemi.

Ryki zachwytu wśród tłumu. Kiedy rozległ się dźwięk gwizdka, Samuel szybko wstał i cofnął się kilka kroków, a Tom Harry splunął krwią i również wstał. Tholly obwieścił, że drugą rundę wygrał Samuel Carne. Za chwilę miała się rozpocząć ostatnia, decydująca runda.

W trakcie przemowy Tholly'ego słońce zasłoniła mgła i wszystkie cienie zniknęły. Ziemia była zimna i szara. Wydawało się, że zachodzące słońce już nigdy więcej nie wzejdzie.

Zawodnicy byli posiniaczeni, ponieważ walki nie toczono po dżentelmeńsku i obaj padali na twardą ziemię wysuszoną podczas gorącego lata. Samuel dwukrotnie uniknął poważnego zranienia, uchylając się przed kolanem Harry'ego. (Jeśli ktoś upadł na przeciwnika z „przypadkowo” uniesionym kolanem, istniała szansa, że nigdy więcej nie stanie do walki na ringu. Gdyby sędziowie uznali to za celowe działanie, groziła za to dyskwalifikacja). Obaj mężczyźni chcieli uniknąć kolejnego upadku, toteż długo krążyli wokół siebie, a kiedy doszło do zwania, raczej się obejmowali, niż próbowali wykonać rzut. Takie zakończenie walki między dwoma przeciwnikami o podobnych umiejętnościach nie było niczym niezwykłym i publiczność lubiła takie sytuacje. Kornwalijskie zapasy były czasem nazywane „tańcem w objęciach”.

Ross, obserwujący walkę spod zmarszczonych brwi, patrzył na zmagających się mężczyzn i nagle przypomniał sobie swoją walkę z ojcem Demelzy przed wielu laty. W pewnym momencie znaleźli się w podobnej pozycji. Ross, wyższy i młodszy, był odchylony do tyłu, dłonie trzymał na podbródku przeciwnika, prawie klęczał na jego udach, podpierając się palcami stóp i powstrzymując nacisk całą siłą mięśni pleców i kręgosłupa. Teraz nagle poczuł, że identyfikuje się z synem starego Carne'a, który walczył,

tak jak kiedyś Ross, z przeciwnikiem o podobnej sylwetce i budowie ciała, i prawie o to samo. Mimo woli mruczał pod nosem, na wpół wykrzykując bezużyteczne rady. Gdyby Tom Harry okazał się silniejszy, a Samuel nie chciał się pogodzić z przegraną, brat Demelzy mógł zostać trwale okaleczony – nie mógłby już nigdy uprawiać zapasów ani pracować w kopalni.

Will Nanfan krzyknął do Tholly'ego, który chwycił Harry'ego za bark. Żaden z zapaśników nie zwrócił na to uwagi. Tholly zadął w gwizdek, ale tłum krzyczał do niego, by nie zasłaniał i pozwolił zawodnikom walczyć. Najważniejsza była walka: zasady nikogo nie obchodziły. Sam wyprostował zgięte plecy; w tej chwili to szyja Harry'ego wyginała się do tyłu. George odłożył tabakierkę. Ossie strzepnął pyłek z kłapy surduta i wyobrażał sobie z rozmarzeniem, że bije Rowellę laską. Emma zdjęła kapelusz i wydłubywała z niego słomki. Demelza siedziała nieruchomo jak kamień.

Nagle obaj zapaśnicy runęli na ziemię niczym dwa stare wiązy, walczyli o przewagę i Samuel znalazł się na górze. Wszyscy krzyczeli. Harry był skończony, wydawało się, że leży na łopatkach. Wystarczyło tylko trochę go nacisnąć, by Samuel wygrał trzecią rundę i cały pojedynek. Tholly uniósł rękę i włożył gwizdek do ust, lecz nagle Sam rozluźnił mięśnie w niewłaściwym momencie. Tom Harry, prawie pokonany, uniósł się lekko, ostatnim wysiłkiem uwolnił się od chwytu przeciwnika i po trzech sekundach to on znalazł się na górze. Tym razem Samuel był pod spodem, bliski klęski, rozpaczliwie usiłując rzucić z siebie Harry'ego. Leżał przygnieciony przez masywniejszego przeciwnika i po chwili w końcu się poddał.

Tholly zadął w gwizdek. Tom Harry zwyciężył.

Rozdział szósty

1

Tom Harry zwyciężył, lecz natychmiast stało się to przedmiotem sporów, dyskusji i kontrowersji w każdym domu i szynku. Nawet sędziowie nie zgadzali się ze sobą. Tholly i Will Nanfan uważali, że wygrał Tom Harry, choć Nanfan sądził, że Harry'emu należałoby odliczyć kilka punktów za niedozwolone chwytosy stosowane na początku pojedynku. Paul Daniel twierdził, że walka powinna pozostać nierozstrzygnięta, ponieważ w ostatniej rundzie całkowicie zlekceważono reguły zapasów i obaj zawodnicy tarzali się na ziemi jak dwaj pijani górnicy. Jednak ogólny pogląd był taki, że na początku każdy z przeciwników leżał raz na łopatkach, a w trzeciej rundzie obaj walczyli tak samo i kto w końcu wygrał? Nie była to popularna opinia, większość nie chciała jej zaakceptować, ale w końcu tak się stało.

Na szczęście Ross nie musiał się spotykać z George'em. Wysłał tratę do Basseta i poprosił o przekazanie informacji, że zapłacił. Tymczasem otrzymał list od Tankarda, przypominający o długu. Wyrzucił go do śmieci.

Po przegranym pojedynku Samuel przez tydzień nie przychodził do pracy w kopalni. Często pluł krwią, jednak stopniowo doszedł do siebie. Nie widział się z Emmą po walce, ona również nie próbowała się z nim spotkać. Zajmował się sprawami zgromadzenia, przestrzegając Bożych przykazań. Nie rozmawiał z nikim o walce. Dużo się modlił. Zauważył, że entuzjazm jego trzódki nieco przygasł. Wydawało się, że ich rozumienie Biblii wywodzi się

bardziej ze Starego Testamentu, gdzie nagroda za cnotę ma charakter materialny, niż z Nowego Testamentu, w którym przybiera wymiar duchowy, a kwestie materialne nie mają znaczenia. Często się zastanawiał, co by zyskał – i co stracił – dzięki zwycięstwu.

Dużo czytał i znów odwiedził go pan Champion, który wyraził zadowolenie z ogólnych informacji napływających z parafii. Wydawało się, że niefortunna znajomość z kobietą lekkich obyczajów została zerwana i wszystko jest w porządku. Mimo to krytykował sposób, w jaki Samuel jednoosobowo kontroluje sprawy zgromadzenia, zwłaszcza kwestie finansowe. Samuel obiecał poprawę.

Dwight dwukrotnie odwiedził Hugh Armitage'a i orzekł, że jego stan się nie pogarsza. Hugh napisał raz do Demelzy, lecz ograniczył się do uprzejmych formułek. Demelza pokazała list Rossowi, co przyjął z zadowoleniem.

– Przypuszczam, że zostanie w Kornwalii aż do wyborów, a później uda się do Londynu – powiedział Ross. – Powinno go to zająć.

– Tak, Ross. Jeśli zostanie wybrany.

– Mam nadzieję, że tak się stanie, nie tylko ze względu na Hugh, także dlatego, że George straci wtedy mandat.

– Doprawdy? Nie pomyślałam o tym.

– Rada miejska mogłaby wybrać jednego kandydata Bassetów i jednego Boscawenów, ale to mało prawdopodobne. Normalnie wybiera się dwóch posłów tego samego patrona, bo gdy elektor głosuje na jakąś osobę, zwykle wybiera również jego partnera. Jeśli George zachowa mandat, Gower prawdopodobnie go straci i posłem zostanie Trengrouse. Jeśli wygra Hugh, jego partnerem będzie Gower.

– Gdyby George stracił mandat w Truro, lord de Dunstanville znalazłby mu inny okręg wyborczy – zauważyła Demelza.

– Nie mógłby tego zrobić natychmiast, bo byłoby już po wyborach.

- Myślisz, że wytrąciłoby go to z równowagi?
- Kogo? George'a? Tak, bardzo.
- Hm – mruknęła Demelza. – Tak, nie pomyślałam o tym.

Związek z tą rozmową miał list, który Caroline wysłała kilka dni później do Demelzy:

Moja Kochana!

Wczoraj wydaliśmy uroczysty obiad! Dwa lwy salonowe oraz ja i Dwight, który, choć ma anielskie serce, czuł się zupełnie nie na miejscu. Tylko nas czworo! Cztery osoby, wyobraź to sobie! Mężczyźni są wyjątkowo podstępni: obaj udawali, że nie spodziewali się obecności drugiego! Robili obrażone miny i musiałam ich przekonywać, by zostali! W połowie obiadu pomyślałam: cóż za idiotka ze mnie, że postępuję w ten sposób, bo, Boże drogi, komu właściwie pomagam? Nie sobie, nie Dwightowi, nie bachorowi, którego mam urodzić. Może trochę pomoże to Hugh, ale to wszystko.

Wicehrabia i baron to niezwykła para starych lwów salonowych! Obaj mają zaledwie ciut ponad metr sześćdziesiąt wzrostu, lecz zachowują się tak pewnie, jakby każdy z nich mógł zatopić trójpokładowiec. Pamiętaj, nigdy nie widziałam takiej bitwy. W trakcie zwyczajnej rozmowy George Boscawen jest dość miły, może niezbyt dowcipny, ale sympatyczny i dobroduszny. Mój wuj bardzo go lubił. Widzę, że mają podobne temperamenty! A Francis Basset na łonie rodziny staje się życzliwy, uprzejmy, po prostu dusza człowiek! Jeśli jednak zaprosić ich do tego samego domu, posadzić po przeciwnych stronach niezbyt długiego stołu, wtedy – na Boga! – jeżą sierść jak dwa psy. Chwilami przypominali koguty, które zamierzają walczyć o kurę.

Pod koniec obiadu czekali, żebym ich zostawiła, ale zlitowałam się nad Dwightem, który zupełnie nie mógł tego znieść. Zachowałam się równie bezczelnie jak największa dziwka w Houndsditch. Poinformowałam obu dżentelmenów, że towarzystwo jest bardzo nieliczne, a ja jestem jedyną kobietą, więc nie zamierzam zostawiać ich samych, skazywać się na samotność i rezygnować z brandy.

Nie podobało im się to – wyjątkowo nie podobało. Tylko nienaganne maniery, które wszczepiano im od urodzenia, sprawiły, że nie zadzwonili na jednego z moich własnych służących, by mnie wyprowadził! Ale... Od dawna przechowywałam na specjalną okazję butelkę brandy wuja Raya – zostały tylko trzy. Nie kupił jej od przemytników, tylko przywiózł z Londynu, gdy po raz pierwszy zabrał mnie do Kornwalii jako ośmioletnią dziewczynkę. Ja i brandy pojawiłyśmy się w Killewarren razem i w odróżnieniu ode mnie brandy staje się z każdym rokiem lepsza. Pomyślałam, że z tej okazji należy otworzyć ostatnią z trzech butelek i wierz mi, kochana Demelzo, zdziałała cuda.

Oczywiście żaden z dżentelmenów nie upił się tak, jak to robią prawdziwi dżentelmeni. To

wbrew ich surowemu wychowaniu – nie lubią tracić kontroli nad sobą, by ktoś ich nie oszukał. Ale brandy ich zmiękczyła. Podziała jak słońce na kwitnące mleczce. Powoli zagłębiali się w fotelach. Wyciągnęli długie nogi. Mówili bardziej wylewnie. I nagle ktoś – sama nie wiem kto – wspomniał o sporze, rywalizacji trwającej od wielu lat. Francis odezwał się pierwszy, bardzo ugodowo. George odpowiedział na to równie pojednawczym tonem.

Naturalnie w końcu nie wszystko okazało się proste. Dwaj wybitni arystokraci targowali się jak handlarze końmi na jarmarku, którzy myślą tylko o tym, by nie dać się oszukać. Jeden z moich gości wywodzi się od irlandzkiego dżentelmena, który w jedenastym wieku osiedlił się w St Buryan, a drugi jest spokrewniony z Plantagenetami (tak, moja droga, wspominało o tym przy moim stole!). Ale uważam, że w końcu zawarto coś w rodzaju porozumienia. Wynika z niego, że w czasie wyborów dwaj panowie nie będą ze sobą rywalizować. Potomek irlandzkiego dżentelmena wycofa się z okręgu Tregony, jeśli krewny Plantagenetów wycofa się z Truro. Są również ustalenia dotyczące innych okręgów, lecz jeśli o nas chodzi, te są najważniejsze. Niech żyje kampania wyborcza i oby nasz chory kawaler zdobył mandat, na który tak bardzo zasługuje!

Nie czuję się najlepiej, ale przez cały ostatni tydzień wcale nie wymiotowałam. Dwight ma się dobrze, martwi się jednak nieszczęściami Anglii. Chyba nie poślubiłam optymisty.

Przekaż najserdeczniejsze życzenia Rossowi i pocałunki dzieciom. (Muszę przyznać, że widok twoich dzieci to jedna z nielicznych rzeczy, która przekonuje mnie do wychowywania własnych).

Caroline

2

Ostatniego dnia sierpnia wielebny Osborne Whitworth szedł Princes Street i przypadkiem zauważył Rowellę Solway wychodzącą z biblioteki z paczką książek pod pachą. Brązowa brzydka sukienka wisiała na niej jak habit. Twarz osłaniał przed słońcem biały słomkowy kapelusz. Dziewczyna szurała butami po bruku. Wydawała się blada, zamyślona i niechlujna. Spojrzała z zaskoczeniem na szwagra i pośpieszyła w swoją stronę.

Wielebny Whitworth niósł kilka napisanych przez siebie listów, by oddać je roznosicielowi „Sherborne Mercury”, który miał je dostarczyć mieszkańcom parafii Sawle i Grambler w czasie cotygodniowego roznoszenia gazety. Adresatami byli sir John Trevaunance, kapitan Ross Poldark, doktor Dwight

Enys i Horace Treneglos. Nowy tytułarny proboszcz zwracał uwagę na zaniedbania w kościele i na cmentarzu, które można by usunąć, lecz wymagałoby to znacznych nakładów finansowych. Wielebny Whitworth pochlebiał sobie, że przedstawił swoje stanowisko jasno i uczciwie. Wyraził pogląd, że zamożni właściciele ziemscy mieszkający na terenie parafii mają obowiązek przyczynić się do zachowania starego, pięknego kościoła. Przyniosłoby im to zaszczyt, gdyż świadczyłby o ich hojności i chrześcijańskich uczuciach. W tej chwili świątynia popada w ruinę i wymaga kompletnego remontu.

Widok Rowelli Solway rozgniewał pastora i wytrącił go z równowagi. Poprzedniego wieczoru spotkało go wyjątkowo przykre zdarzenie. Wyszedł z jednej ze zrujnowanych chat na brzegu rzeki: musiał tam iść, by zaspokoić swoje potrzeby, z powodu bezczelnego uporu żony. Dawno zapadł już zmrok, a kiedy nad śmierzdzącą, błotnistą rzeką wstał księżyc w pełni, jakiś człowiek zaświecił mu latarnią prosto w twarz. Whitworth nie był pewien, lecz wydało mu się, że to służący z gospody Pod Siedmioma Gwiazdami, który mieszkał na terenie parafii; jego drugie dziecko zmarło kilka tygodni wcześniej. Jeśli tak, mógł poznać Whitwortha, szepnąć słówko administratorom parafii. Naturalnie niczego nie dałoby się udowodnić, ale szacowni obywatele miasta zwykle nie pojawiają się po zmroku nad rzeką i Ossie musiałby się tłumaczyć.

To straszne, że znalazł się w takiej sytuacji. Winę za to, że musiał chodzić nad rzekę, ponosiła chuda dziewczyna idąca po nierównym bruku po drugiej stronie ulicy. Wracała do domu, do swojego domu, kupionego dzięki oszustwu za pieniądze Whitwortha. Wracała do domu, do cherlawego, mazgajowego męża. Poczł przyływ odrazy. Widok Rowelli przyprawił go o mdłości.

Z jakiegoś powodu nie mógł na nią patrzeć. Często miewał fantazje, że bije ją laską.

Tego samego dnia Demelza wybrała się z Jeremym i Clowance zbierać

jeżyny na długim polu. Na jego skraju wznosił się kamienny murek obrośnięty kolcolistami i jeżynami, a po drugiej stronie znajdował się kamienisty stok opadający w stronę zatoki Nampary. Zgodnie ze zwyczajem było to miejsce zarezerwowane wyłącznie dla rodziny Poldarków. Poza tym wieśniacy mogli zbierać jeżyny na terenie całej posiadłości Rossa.

Zapowiadał się dobry rok – inny niż poprzedni, gdy wilgoć sprawiła, że owoce zgniły, nim dojrzały. Teraz Demelza zbierała je już po raz drugi. Wzięli trzy koszyki: Demelza i Jeremy większe, a mniejszy Clowance, która niesforne mieszała jeżyny ze stokrotkami i mleciami.

Tego popołudnia morze wydawało się posępne. Nie było mgły, lecz w górze płynęły pierzaste obłoki, choć kilka kilometrów dalej, nad Truro, niebo było czyste. Spokojnie zbierali owoce przez jakieś dziesięć minut – od czasu do czasu rozlegały się tylko krzyki Jeremy'ego, gdy znalazł szczególnie ładne grono lub ukłuł się w palec – kiedy nagle Demelza usłyszała za plecami pokastywanie. Odwróciła się i zobaczyła wysoką dziewczynę w długiej czerwonej pelerynie, czarnych pończochach, czarnych butach, lekkim letnim kapeluszu niedbale włożonym na lśniące włosy.

– Bardzo przepraszam, pani. Przepraszam, że tak nagle się pojawiaam. Zna... zna mnie pani?

Demelza się wyprostowała, odgarnęła przedramieniem włosy z twarzy, odstawiła koszyk.

– Tak, oczywiście... Emmo.

– Tak, proszę pani. Chciałam panią odwiedzić, ale nie miałam śmiałości. Kiedy panią zobaczyłem, pomyślałam, że poproszę o chwilę rozmowy. Mam nadzieję, że nie uzna pani tego za bezczelność. – Wydawała się trochę zdyszana.

– Nie wiem, Emmo. To zależy, co chcesz powiedzieć.

Emma skinęła dłonią.

– Cóż... Przypuszczam, że pani wie, o co chodzi. Wszyscy wiedzą, o co chodzi. Wysłałam dziś po południu... Nie mam dziś wolnego i narażam się na burę, ale doktor pojechał do pacjentów, a pani poszła na podwieczorek do państwa Teague'ów. Miałam zamiar odwiedzić Samuela. Potem zobaczyłam ze szczytu wzgórza, jak pani wychodzi z domu, i pomyślałam, że opowiem pani o swoich kłopotach. Samuel to pani brat. Rozumie pani, o co mi chodzi?

– O tak, rozumiem.

Emma przełknęła ślinę i popatrzyła na morze. W stronę brzegu biegingy rzędy fal i od czasu do czasu się załamywały, po czym na powierzchni pojawiała się biała piana.

– Nie widziałam Samuela od zapasów. Ani widu, ani slychu. Czy coś mówił?

– Nie, Emmo. Nie chce o tym mówić. Myślę, że nie ma ochoty z nikim o tym rozmawiać.

– Dlaczego pozwolił wygrać Tomowi Harry'emu? Pozwolił, prawda? Zrobił to celowo. Pozwolił mu się przygnieść i wygrać.

– Nie mam pojęcia. Musisz spytać Samuela. Może ci powie.

– Wie pani, że obiecałam przez trzy miesiące przychodzić na spotkania metodystów, jeśli wygra? Więc czemu postanowił przegrać?!

Demelza była szczupła i dość wysoka, lecz Emma wydawała się dwa razy większa od niej. Tym razem się nie śmiała. Demelza zdawała sobie sprawę, że jest uprzedzona do dziewczyny nie z powodu jej prowadzenia się, ale dlatego, że jest córką Tholly'ego Tregirlsa. Było to w oczywisty sposób niesprawiedliwe.

– Kochasz Samuela? – spytała.

Emma uniosła jasne oczy, po czym szybko je opuściła.

– Tak myślę.

– A Toma Harry'ego?

- Och... to nic.
- Myślisz, że Samuel cię kocha?
- Tak przypuszczam... Ale...
- Tak, wiem...

Demelza zerwała kilka jeżyn i podała je Clowance, która chwyciła je pulchną rączką i wyrzuciła garstkę stokrotek.

– Widzi pani, on mówi, że chce mnie zmienić, uwolnić od grzechu, „stworzyć mnie na nowo”, jak to nazywa. „Stworzyć na nowo”. Chyba myśli, że stanę się szczęśliwsza, jeśli będę smutna...

- Na pewno nie o to mu chodzi.
- Nie, ale tak to wygląda!

Znów zapadło milczenie.

- Te jeżyny są smaczne – powiedziała Demelza. – Spróbuj.
- Dziękuję pani.

Zjadły po jednym owocu. Było to dobre posunięcie, bo poczuły się swobodniej w swoim towarzystwie.

– Nie znam Samuela tak dobrze jak swojego młodszego brata Drake’a. Wiem tylko, że nie byłby szczęśliwy, gdyby poślubił kogoś, kto nie należy do zgromadzenia, choć pewnie mógłby. Religia znaczy dla niego więcej niż dla innych ludzi. Jeśli staniesz między nim a religią, nie wygrasz. Znacznie, znacznie lepiej byłoby więcej się z nim nie spotykać i nie stawiać go przed takim wyborem.

– O tak – odparła Emma. – Rozstaliśmy się. W zeszłym roku zgodziliśmy się, że nie ma sensu się widywać. Ja tak postanowiłam. Powiedziałam, że tak będzie lepiej dla nas wszystkich: dla niego, dla mnie, dla zgromadzenia. Nie widzieliśmy się przez wiele miesięcy, ale potem przypadkiem się spotkaliśmy, wypiliśmy trochę piwa, byłam w wesołym nastroju i sprowokowałam go do zawarcia umowy. Samuel prawie wygrał i nagle postanowił przegrać z Tomem

Harrym. Jakby mnie odrzucił!

– Mamo! – zawołał Jeremy. – Nie zbierasz jeżyn! Będę miał więcej od ciebie!

– Dobrze, kochanie! Prześcignę cię, nie bój się!

– Zdawałam sobie sprawę, że to wygląda jak głupi żart, i śmiałam się jak wariatka, ale rozumiałam, że Samuel nie uważa tego za żart. Dla mnie też nie był to żart. Gdyby wygrał, dotrzymałabym umowy!

– Więc dlaczego nie zaczniesz chodzić do metodystów? – spytała Demelza.

Emma z irytacją otarła łzy z oczu.

– Skoro go kochasz – dodała Demelza.

– Tak, teraz rozumiem to lepiej niż w zeszłym roku – ciągnęła Emma. – Myślałam, że mogę się uwolnić, zapomnieć o Samie jak o każdym innym mężczyźnie. Znałam wielu mężczyzn. – Spojrzała Demelzie prosto w oczy. – Bardzo wielu. Myślałam, że mogę... że to nic nie znaczy. Ale teraz wiem, że jest inaczej. Samuel to coś innego... Teraz plunął mi w twarz!

– Dlaczego? Bo nie wygrał?

– Przecież to jasne, prawda? Mógł bez trudu zwyciężyć, ale nie chciał. To znaczy, że mnie nie chce!

– Może uważał, że nie powinien cię wygrywać w ten sposób? – odrzekła Demelza.

– Przecież wcale by mnie nie wygrał, pani! Obiecałam tylko, że będę przychodzić do kaplicy!

– A jednak...

Zapadło długie milczenie. Emma rozgniała stopą kępę suchej trawy.

– Uważa pani, że powinnam jednak wstąpić do metodystów?

– Jeśli rzeczywiście kochasz Samuela...

– Boję się...

– Dlaczego?

– Boję się, że nie będę nic czuć, a potem pomyślę, że coś czuję, i zacznę udawać. Łatwo przewracać oczami, pochylać głowę i zawodzić: „Przebacz biednej grzesznicy”, a potem nagle zrywać się z miejsca i wrzeszczeć: „Jestem zbawiona! Jestem zbawiona!”. To wszystko może nic nie znaczyć. Nie chciałabym oszukiwać Samuela!

– Skoro znasz ryzyko, dlaczego nie spróbujesz? Mogłabyś się pilnować.

– Boję się z jeszcze jednego powodu – rzekła Emma. – Zastanawiam się, co by się stało ze zwolennikami Samuela, ilu by go opuściło, gdyby zobaczyli, że występna Emma próbuje uwieść ich przywódcę!

Demelza się zastanawiała. Rozumiała niepokój Emmy i współczuła jej, lecz dziewczyna rozumowała niezbyt logicznie. Gdyby Samuel wygrał walkę i Emma musiała dotrzymać umowy, czy nie pojawiłyby się te same wątpliwości? Może nie... Może przymus uczęszczania na spotkania modlitewne ochroniłby Emmę przed wyrzutami sumienia? A jednak... Młoda kobieta znana ze śmiałości i determinacji...

Czy naprawdę chciała się spotkać z Samem tego popołudnia? A może rozpaczliwie pragnęła po prostu z kimś porozmawiać i przypadkiem zobaczyła siostrę Sama zbierającą jeżyny?

Demelza przypomniała sobie, po co przyszła na pole, i zaczęła znów zrywać owoce. Jeremy pobiegł do przodu.

– Mogę pani pomóc?

– Tak, oczywiście.

Zbierały jeżyny razem.

– Wie pani, że to nieprawda, co o mnie gadają?

– O czym?

– O mnie i o mężczyznach.

– Sama to opowiadasz.

– Tak, ale to nieprawda...

– Co jest nieprawdą, Emmo?

– Żaden mężczyzna nigdy mnie nie miał.

Demelza, w tej chwili szczególnie wrażliwa na punkcie kobiecej moralności, mimo woli się zaczerwieniła, co ją zirytowało.

– Co masz na myśli?

– Na dużo im pozwalam. Zawsze pozwalałam. Czy to ważne? Sprawia im to przyjemność. Czasami mnie też. Ale żaden mężczyzna nigdy mnie nie miał.

Demelza spojrzała matczynym wzrokiem na Clowance, która odeszła z koszykiem na rżysko. Zbierała późno kwitnące maki, nic jej nie groziło.

– Nie powinnaś powiedzieć o tym Samowi? – spytała Demelza.

– Jak bym mogła? A zresztą czy by mi uwierzył? Każdy mężczyzna, którego by zapytał, gadałby coś innego, bo wstydziłby się przyznać, skoro inni mówią, że mnie mieli.

– Samuel by ci uwierzył – odparła Demelza. – Może nie miałoby to dla niego wielkiego znaczenia... Im większy grzesznik, tym większy triumf... No wiesz, radość w niebie. Co o tym myślisz?

– Nienawidzę tej gadaniny! – zawołała Emma.

Jeremy pisnął z zachwytem, gdy z żywopłotu wyskoczył królik i popędził przez pole. Widać było jego poruszający się biały ogonek.

– Jesteś zadowolona z pracy u Choake'ów? – spytała po chwili Demelza.

– Tak, pani. To dobra robota. Pani Choake jest delikatna i, za przeproszeniem, próżna, ale miła. Zarabiam trzy funty i dziesięć szylingów rocznie, a poza tym dostaję mieszkanie, wyżywienie i trochę odzieży. Mogę pić herbatę trzy razy dziennie. Praca nie jest ciężka, choć mam mało wolnego.

Demelza dała Clowance jeżynę.

– Ostrożnie, kochanie. To nie kwiatek. Włóż jeżynę do buzi. O tak! Prawda, że smaczna?

– Je-ży-na! – zagruchała Clowance. – Je-ży-na!

– Śliczna mała... – rzekła z roztargnieniem Emma.

Demelza zastanawiała się, co powiedzieć, lecz nic nie przychodziło jej do głowy. Czasami lubiła udzielać rad i była pewna swojego sądu. Nie miała jednak pojęcia, jak sobie poradzić z zagmatwaną sytuacją. Sama, mając w tej chwili rozchwiane życie uczuciowe, wolałaby nie wyrażać zdecydowanych opinii.

– Musisz się zobaczyć z Samem – powiedziała wbrew sobie. – Porozmawiaj z nim o tym wszystkim. To sprawa między mężczyzną a kobietą i jest tylko jeden sposób, by ją rozstrzygnąć. Ważne, czego chce mężczyzna i czego chce kobieta. Reszta nie ma znaczenia. Nie przejmuj się, co gadają inni ludzie, co powiedzą metodyści. Martw się tylko o to, czy się nadajesz na żonę Samuela, i pamiętaj, że możesz nią zostać tylko wtedy, gdy wstąpisz do zgromadzenia. Powinnaś to zrobić szczerze. Nie możesz udawać, sama się przekonasz. To wszystko, co mogę powiedzieć. Nie potrafię ci pomóc, Emmo. Nie umiem.

Emma popatrzyła na morze.

– Powinnam iść. Inaczej dostanę straszną burę.

– Powiedziałaś przed chwilą, że nienawidzisz tej gadaniny – ciągnęła Demelza. – Czy tego, co mówią metodyści, czy uznania za grzesznicę?

– Może jednego i drugiego. Cóż, to po prostu... uczucie, które wydaje się... Trudno to znieść... coś w tym rodzaju.

– Myślę, że musisz się zdecydować – powiedziała Demelza. – Naprawdę, Emmo. Iść w jedną albo w drugą stronę. Wyjdź za Sama i żyj razem z nim. Albo nie. Skończ z tym, nawet jeśli zrobisz coś, czego nienawidzisz. Nie możesz mieć obu rzeczy jednocześnie.

– Właśnie tego się boję – odparła Emma. – Muszę się zastanowić. Już długo o tym myślę. – Westchnęła. – Powinnam się modlić. Zupełnie sama. Chyba zapomniałam, jak to się robi... jeśli kiedykolwiek wiedziałam...

Demelza patrzyła, jak Emma odchodzi przez pole w białym kapeluszu na kruczoczarnych włosach, w czerwonej pelerynie. Wkrótce zniknęła z pola widzenia i Demelza widziała tylko kominy Nampary. Z jednego z nich unosiła się powoli smuga dymu: Jane gotowała rosół na kolację dla dzieci.

Rozdział siódmy

1

W pierwszym tygodniu września do Nampary przywieziono list pani Gower zaadresowany do Rossa:

Drogi Kapitanie Poldark!

Ze smutkiem muszę Pana zawiadomić, że mój siostrzeniec zachorował na gorączkę mózgową. Jest przytomny, choć bardzo słaby. Poprosił o możliwość rozmowy z Panem i Pana Małżonką. Zastanawiam się, czy moglibyśmy prosić Państwa o wyświadczenie nam tej przysługi? Proszę przyjechać bez uprzedzenia, o dowolnej porze, i spędzić u nas noc, jeśli pozwalają na to Państwu inne obowiązki. Wszyscy bardzo się martwimy z powodu poważnej choroby Hugh i codziennie modlimy się o jego wyzdrowienie. W tym tygodniu opiekuje się nim nowy lekarz z Devonport, kapitan Longman, i z pewnością udało mu się doprowadzić do poprawy, choć jest ona niewielka.

Proszę przyjąć nasze najserdeczniejsze pozdrowienia

Frances Leveson Gower

Oboje byli w domu, gdy przywieziono list. Ross spojrzął na Demelzę, gdy go czytała.

– Możemy wysłać wiadomość przez ich służącego. Jaki dziś dzień? Poniedziałek? Moglibyśmy pojechać w środę.

– Kiedy zechcesz, Ross.

Wyszedł i przekazał maszalerzowi wiadomość. Kiedy wrócił, Demelza oglądała plamę na fotelu pobrudzonym dżemem przez Clowance.

– Zaproponowałem środę w południe, bo wolałbym tam nie nocować.

Możemy zjeść z nimi obiad i zaraz potem wyjechać.

– Dziękuję, Ross. – Twarz Demelzy była niewidoczna.

– Nie mam ochoty na tę wizytę, ale w takiej sytuacji trudno odmówić.

– Tak czy inaczej...

Podszedł do okna.

– Kiedy pojechałaś tam zeszłym razem, był to raczej fałszywy alarm, prawda?

– Tak mówił Hugh. Twierdził, że nic mu nie jest, choć moim zdaniem Dwight wydawał się zaniepokojony.

– Dziwne – rzekł krótko Ross.

– Co?

– Kiedy przywieźliśmy ługrem z Quimper Dwighta, Armitage’a i jeszcze jednego więźnia – jak on się nazywał? – już wiem, Spade, uważałem, że Dwight ma niewielkie szanse na przeżycie. Hugh wydawał się najsilniejszy. Wyglądał jak szkielet, podobnie jak pozostali, ale zbudowany ze stali. Teraz Dwight powoli wraca do zdrowia, a Hugh...

– Zdaje się, że Dwight przestał go leczyć, prawda? Zastanawiam się dlaczego.

– Mieszka dość daleko. Nie może tam jeździć konno każdego dnia. Bogaci ludzie mogą wynająć każdego lekarza. Zdaje się, że kapitan Longman zamieszkał w Tregothnan. W każdym razie wkrótce się przekonamy.

Przekonali się w środę. Po raz pierwszy od dwóch tygodni spadł deszcz. Mżawka przypominała żałobny woal. Drobne krople przenikały przez każde ubranie. Kiedy dotarli do Tregothnan, oboje byli przemoczeni. Pani Gower nalegała, by poszli do swojego pokoju, wysuszyli się i przebrali. Powiedziała, że Hugh źle się czuje, ale bardzo chciałby ich zobaczyć. Byli z nim kapitan Longman i pielęgniarka. Na wszelki wypadek posłano również do Dorset po pułkownika Armitage’a i jego żonę, rodziców Hugh.

Lekko zirytowany Ross chciał, by Demelza poszła porozmawiać z chorym jako pierwsza, ona jednak wolała, by jej towarzyszył. Dobrze się stało, bo Hugh zmienił się nie do poznania. Miał całkowicie ogoloną głowę i pijawki przystawione do czoła. Na szyi i potylicy widać było pęcherze: niedawno usunięto okłady z hiszpańskiej muchy. Pielęgniarka przemywała mu twarz wodą z dodatkiem ginu i octu. Poruszał nogami z wyraźnym bólem; na nich również najwyraźniej znajdowały się jakieś okłady. Kapitan Longman, tęgi, brodaty mężczyzna w wieku pięćdziesięciu kilku lat, z wielkim brzuchem i sztywną nogą, komenderował służbą jak generał dowodzący bitwą. Skinął na pielęgniarkę, by wyszła, po czym szybkimi ruchami magika zaczął odczepiać pijawki od czoła pacjenta.

Oczy Hugh, choć pełne bólu, krótkowzroczne i niezdolne do oceny odległości, w dalszym ciągu miały w sobie piękno i intensywność sprzed roku, gdy spoglądał na Demelzę w czasie obiadu w Tehidy. Tym samym pełnym miłości, namiętym wzrokiem patrzył na Demelzę na plaży w pobliżu jaskini w Foczej Zatoce. Poznał ją i na jego wargach pojawił się uśmiech, ona zaś oderwała dłonie od twarzy, bo wcześniej uniosła je z przerażeniem, i odwzajemniła jego uśmiech. Demelza i Ross usiedli po obu stronach łóżka, a Hugh zwilżył wargi i zaczął powoli mówić. Niektóre słowa były niesłyszalne, bo często zwilżał wargi i przerywał z wysiłku.

– Ach, Ross... Ładny widok, prawda? Najpierw oszukałem żabojadów, a potem sam dałem się oszukać...

– Trzymaj się – odparł Ross. – W więzieniu na pewno widziałeś wielu ludzi w gorszym stanie. Niedługo wyzdrowiejesz.

– Cóż, kto wie... Demelzo... *Mon petit chou*... Miło, że przyjechałaś...

Demelza nie odpowiedziała. Ścisnęła ją w gardle. Miała wrażenie, że nigdy więcej nie wypowie ani słowa.

– Przebyłaś taką długą drogę... Dużo o tobie myślałem... tego pięknego

lata. Nie zmokłaś?

Pokręciła głową.

– Ross... przekaz Dwightowi moje przeprosiny... Nie mógł tu zamieszkać, więc... więc mój wuj pomyślał... jest bogatym człowiekiem... że powinienem mieć własnego lekarza.

– Chciałbyś się zobaczyć z Dwightem?

Hugh się uśmiechnął i pokręcił głową.

– Nie sądzę... Jeden czy drugi lekarz to żadna różnica. Te... te irytujące stworzenia przyłączone do mojego ciała również nie zdecydują o wyniku bitwy.

– Te irytujące stworzenia, mój drogi panie, choć działają dopiero od dwudziestu ośmiu godzin, zmniejszyły gorączkę, usunęły szkodliwe humory i ograniczyły nadmierną aktywność naczyń krwionośnych – wtrącił kapitan Longman, któremu takie uwagi bardzo się nie podobały. – Stan pacjenta znacznie się poprawił. W ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin nastąpi przesilenie.

Ross i Demelza siedzieli przez chwilę w pokoju chorego, po czym Longman zauważył, że Hugh powinien odpocząć. Wstali, by wyjść, lecz Armitage chwycił Demelzę za rękę.

– Pięć minut?

Demelza spojrzała na Rossa, który z kolei popatrzył na Longmana.

– Moja żona zostanie jeszcze przez chwilę. Zaczekam na dole. – Ross odwrócił się w stronę Hugh. – Odwagi, przyjacielu. – Uśmiechnął się do chorego. – Jedna osoba zmęczy go mniej niż dwie – rzekł do Longmana. – Jestem pewien, że brzmi to rozsądnie z punktu widzenia medycyny.

Kiedy opuszczał pokój, zauważył, że pielęgniarka obchodzi łóżko, by zająć się swoimi czynnościami. Demelza znów usiadła, a Hugh zaczął mówić.

Ross podążył dwoma korytarzami do pokoju, w którym się przebierali.

Pokojówka powiesiła ubrania przed kominkiem, ale jeszcze nie wyschły. Ross nie lubił nosić cudzej odzieży, bo nigdy nie pasowała, a kieszenie znajdowały się w niewłaściwych miejscach. Obrócił halkę i pończochy Demelzy w stronę ognia, a następnie zszedł na dół. Spostrzegł dwóch służących, lecz ani śladu Falmoutha, pani Gower czy dzieci.

Wszedł do dużego salonu, w którym był tylko dog niemiecki. Pies go obwąchał. Ross usiadł w najmniej niewygodnym fotelu, pogłaskał zwierzę po łbie i patrzył na deszcz.

Nie wiedział, czy Armitage będzie długo chorował, czy szybko wyzdrowieje, lecz był zdenerwowany, przygnębiony i zły z powodu tego, co się stało. Martwił się, że Demelza jest wytrącona z równowagi, że tak bardzo zaangażowała się emocjonalnie – dziś w pokoju Hugh jej twarz zdradziła więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Melancholia i gniew Rossa miały jednak głębsze przyczyny. Mroczny, deszczowy dzień, wielki ponury dwór, w którym rozlegało się echo kroków, poczucie całkowitej samotności – wszystko to zdawało się sugerować, że życie Rossa jest puste, całkowicie pozbawione sensu. Jaki mogłoby mieć cel, skoro znikło to, co najważniejsze?

Nie chodziło jedynie o to, że jego własne życie stało się bezcelowe. Na ziemi roją się jak robaki niezliczone tysiące ludzi: oddychają, pełzają i rozmnażają się, by podtrzymać istnienie gatunku, lecz raz po raz wypadki albo wstrętne choroby eliminują część ludzkości, po czym pojawia się następne pokolenie. Kilka lat temu zmarł Jim Carter, później Charles Poldark i Francis Poldark, następnie Julia Poldark i Agatha Poldark, w tym roku być może Dwight Enys i Hugh Armitage. A w przyszłym roku? Kto następny? Czy ma to jakieś znaczenie? Czy cokolwiek ma jakieś znaczenie?

Ktoś kaszlnął cicho za plecami Rossa. W drzwiach stał chłopiec w wieku około dwunastu lat.

– Dzień dobry, sir. Wuj George chciał wiedzieć, czy jest pan na dole.

Powiedziałem, że chyba widziałem pana wchodzącego do salonu. Wuj pyta, czy nie wypiłby pan z nim przed obiadem kieliszka madery.

2

Lord Falmouth przebywał w swoim gabinecie i miał na sobie sięgający do kolan kwiecisty zielony szlafrok z indyjskiej bawełny. W kominku radośnie płonął ogień, a na stole stały kieliszki i butelka.

– Kapitan Poldark. Mam nadzieję, że surdut nie jest zbyt krótki. Należał do mojego stryja, który był mniej więcej pańskiego wzrostu.

– Najważniejsze, że jest suchy. Dziękuję, milordzie... Tak, z przyjemnością napiję się madery.

Bursztynowy płyn wiano do pięknego kryształowego kieliszka. Jego lordowska mość wyraźnie się nie przejmował, że podczas ostatniego spotkania mieli rozbieżne poglądy. Może w ogóle o tym nie pamiętał? Bierność w sprawie Odgersa mogła również wynikać z zapomnienia, a nie z celowego działania – Falmouth nie zawracał sobie głowy takimi drobnostkami.

– Widział pan Hugh?

– Tak...

– Wkrótce powinni przybyć jego rodzice. Będę spokojniejszy, gdy przejmą za niego odpowiedzialność.

– Kim jest nowy lekarz?

Falmouth wzruszył ramionami.

– Pracuje dla admiralicji. Cieszy się znakomitą opinią i polecił go Gower.

Ross wypił łyk trunku.

– To nowa wytrawna madera – wyjaśnił Falmouth. – Jest lepsza przed posiłkiem...

– Kiedy ostatnio widział go Enys?

– Dwa tygodnie temu.

– Nie sądzi pan, że należałoby znów go wezwać, milordzie?

– To dość trudne. Longman przebywa tu zaledwie od tygodnia i twierdzi, że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin nastąpiła znaczna poprawa. Zawsze są takie trudności, Poldark... Kiedy moja żona była bardzo chora, mieliśmy ten sam problem. Albo ufamy lekarzowi i pozwalamy mu prowadzić kurację, albo nie. Jak wszystko idzie dobrze, człowiek jest zadowolony. Jeśli nie, pojawia się myśl, że gdyby...

– Tak, rozumiem.

– Jeśli jutro przyjadą jego rodzice, odpowiedzialność spocznie na nich. Nie będą mieli łatwego wyboru, chyba że stan Hugh zacznie się wyraźnie poprawiać.

Ross zastanawiał się, czy Demelza w dalszym ciągu jest w pokoju chorego, czy wróciła do pomieszczenia, gdzie się przebierali. Falmouth wydawał się snuć podobne myśli.

– Przyjechała z panem pani Poldark? – spytał.

– Tak. Zostawiłem ją z Hugh.

– Myślę, że sprawi mu to przyjemność. Hugh bardzo ceni pańską żonę. Często o niej mówi. Ja również uważam ją za wspaniałą kobietę.

– Dziękuję. – Ross znów wypił łyk wina i obserwował gospodarza znad kieliszka.

Falmouth pochylił się i poprawił ogień.

– Pani Poldark i pani Enys pomogły, każda na swój sposób, zaaranżować spotkanie między mną a de Dunstanville'em, które doprowadziło do porozumienia.

– Słyszałem o tym, milordzie.

– Jest prawdopodobne, że w przyszłym tygodniu w Truro pojawi się dwóch odpowiednich kandydatów.

– W przyszłym tygodniu? Tak szybko?

– Jeśli wybory pójdą dobrze, co nie jest jeszcze pewne, dodatkową korzyścią będzie to, że pan Warleggan straci swój mandat, który sprawuje zaledwie od dwunastu miesięcy. Niczym się w tym czasie nie wyróżnił.

– Jeśli straci mandat, de Dunstanville niewątpliwie załatwi mu nowy.

Falmouth wyprostował się z twarzą zaczerwienioną po pochyleniu się nad kominkiem.

– Możliwe.

Zapadło milczenie. Ross zastanawiał się nad słowami arystokraty.

– Uważa pan, że tak się nie stanie, milordzie?

– Czy tak uważam?

– Coś w tonie pańskiego głosu zasugerowało, że ma pan wątpliwości.

– Co do Warleggana? Tak, rzeczywiście. W czasie jednego z naszych spotkań Basset dał mi do zrozumienia, że stracił nieco podziwu dla swojego nominata.

– Ach tak.

– Wydaje się, że w czasie kryzysu bankowego Basset wrócił z Londynu i był oburzony tym, co zastał.

– Miało to związek z George'em?

– Z Warlegganami, lecz trzeba pamiętać, że George jest najbardziej wpływowym członkiem rodziny. Rozumiem, że bank Bassetów i bank Warlegganów zawarły porozumienie o współpracy. Kilkakrotnie wspólnie finansowały różne przedsięwzięcia. Jednak w lutym, gdy Bank Anglii zawiesił płatności i każdy bankier emitujący skrypty dłużne stanął na krawędzi bankructwa, bank Warlegganów wykorzystał kryzys, by zniszczyć bank Pascoe, i w ten sposób wciągnął bank Bassetów do działań, które mogłyby być uzasadnione zgodnie z pewnymi standardami, a które Basset – trzeba mu oddać sprawiedliwość – uznał za wybitnie niesmaczne. Wrócił do Kornwalii w samą

porę, by wycofać swój bank z tego przedsięwzięcia i udzielić pożyczki bankowi Pascoe. Oczywiście mógł to zrobić tylko dlatego, że sytuacja w Londynie się poprawiła, ale powiedział mi, że w przyszłości zamierza ograniczyć współpracę z Warlegganami w sferze bankowości.

– Jakie wyciąga pan z tego wnioski, milordzie?

– To, co powiedział, sugeruje, że George Warleggan nie uzyska mandatu poselskiego w żadnym okręgu kontrolowanym przez Basseta.

Ross wyciągnął nogi w stronę ognia i szybko je cofnął, czując, że szwy spodni zaczynają pękać.

– Ponieważ jest to rzecz powszechnie znana, spodziewam się, że wie pan, milordzie, iż nie przepadam za Warlegganami, więc nie będę płakał, gdy w przyszłym tygodniu George straci mandat.

– Nie jest to wcale pewne.

– Nie? Przecież Basset zrezygnował z funkcji radnego i wycofał swoje poparcie. Tak to rozumiem.

– To prawda. – Falmouth uniósł pogrzebacz. – Powinien pan jednak pamiętać, że w zeszłym roku na posiedzeniu rady miejskiej wielu członków głosowało przeciwko mnie. Od tamtej pory po obu stronach wypowiedziano wiele gorzkich słów, panuje wzajemna niechęć. Spodziewam się, że część elektorów, którzy poprzednio głosowali na Warleggana, nie zmieni frontu nawet po rezygnacji Basseta. Będzie to bardzo wyrównany pojedynek.

– Hm... – W szybę bezszelestnie uderzały strugi deszczu, ciche niczym śnieg.

– Panują silne nastroje antyrządowe. Pitt budzi niechęć, ludzie mu nie ufają, a nawet darzą go nienawiścią.

– W Truro czy w całym kraju?

– W kraju, ale wiem, że prawie wszędzie są to opinie mniejszości. W Truro jest inaczej, ponieważ najważniejszym czynnikiem jest moja niepopularność.

– Hm... – mruknął ponownie Ross. – Gdyby Pitt upadł, kto mógłby nami rządzić?

– Nie ma nikogo, kto byłby choćby w połowie tak kompetentny. Nie w czasach kryzysu obejmującego cały kraj. Lecz kiedy wojna przybiera nieszczęśliwy obrót, ludzie potrzebują kozła ofiarnego. Najłatwiej obwiniać premiera, prawda? Rozpad koalicji, braki żywnościowe wśród gminu, ciągły wzrost cen, bunty we flocie, panika bankowa... Jesteśmy sami, otoczeni przez wrogów, a Pitt rządzi Anglią od trzynastu lat. Bardzo wielu ludzi wierzy, że to on nas do tego doprowadził.

– A pan, milordzie?

– Popęlniał błędy, ale kto ich nie popełnia? I, jak pan mówi, kto mógłby go zastąpić? W kraju nie ma żadnej równie wybitnej osoby. Portland to zero. Moira byłby jeszcze gorszy, kompletnie bezużyteczny.

– A toczące się rokowania pokojowe?

– Zakończą się fiaskiem, podobnie jak wszystkie poprzednie. Dyrektoriat stawia warunki niemożliwe do przyjęcia. Może sobie na to pozwolić, bo kontroluje całą Europę. Podobno ostatnio żąda, byśmy oddali wyspy na kanale La Manche, Kanadę, Nową Fundlandię, Indie, a także posiadłości w Indiach Zachodnich.

Ross opróżnił kieliszek, wstał i stanął plecami do ognia.

– Proszę sobie dolać, Poldark.

– Dziękuję. – Ross ponownie napełnił oba kieliszki. – Cóż, tak to niestety wygląda. Niezbyt miła sytuacja.

– Jedna z najgorszych w naszej historii.

W przedśionku rozległy się dziecięce głosy.

– Mam nadzieję, że członkowie rady miejskiej z Truro zagłosują zgodnie z pana życzeniami, milordzie – rzekł Ross. – Podejrzewam jednak, że w sprawach wojny George i Tom Trengrouse mieliby podobne poglądy jak

Pitt. Nie są zwolennikami Foxa.

Falmouth nie odpowiedział. Spoglądał w zamyśleniu w ogień.

– Cóż, zobaczę, czy moja żona wróciła z pokoju chorego – rzekł niespokojnie Ross.

– Naturalnie – odparł Falmouth. – Hugh, nawet jeśli zacznie odzyskiwać siły, nie może wystartować w wyborach w przyszły czwartek.

– Nie... niestety nie. Musi pan wybrać innego kandydata, milordzie. Wielka szkoda.

– Zastanawiam się, czy nie nominować pana – rzekł wicehrabia.

3

Za oknem rósł ogromny cedr, którego rozłożyste konary, szare i oliwkowozielone, opadały aż do ziemi. Ross zauważył wśród ociekających wodą gałęzi rudą wiewiórkę: siedziała, trzymając w łapkach orzeszek, i gryzła go ze smakiem. Wiewiórki prawie nigdy nie pojawiają się na północnym wybrzeżu Kornwalii, bo rośnie tam niewiele drzew, a jeśli już, to karłowatych wskutek wichur. Ross przez kilka sekund z wielkim zainteresowaniem obserwował zwierzątko, jego ukradkowe, szybkie ruchy, lśniące ślepia, puciołowaty pyszczek. Nagle wiewiórka zauważyła go przez okno i w mgnieniu oka zniknęła. Wspięła się po drzewie i rozplynęła w półmroku niczym widmo, a nie istota z krwi i kości.

– Sądzę, że nie mówi pan poważnie, milordzie – odparł Ross.

– Dlaczego?

– Zwykle mamy podobne poglądy na temat wojny prowadzonej przez Anglię, ale w czasie naszego ostatniego spotkania nie zgadzaliśmy się co do wszystkich kwestii związanych z rządzeniem krajem. Rolą parlamentu, sposobem wyboru posłów, nierównym podziałem władzy, powszechną

korupcją...

– Tak, ale toczymy wojnę. Jak już kiedyś wspomniałem, uważam, że stać pana na coś więcej niż ćwiczenie oddziału ochotników i pilnowanie, by pana kopalnia przynosiła zyski. Mógłby pan wykorzystać swój potencjał.

– Jako torys?

Jego lordowska mość lekceważąco skinął dłonią.

– Etykiety, które niewiele znaczą. Wie pan, że Fox rozpoczął karierę polityczną jako torys, a Pitt jako wig?

– Nie, nie wiedziałem.

– Czasy się zmieniają, podobnie jak sojusze. Nie wiem, czy studiował pan historię polityki w ciągu ostatnich stu lat, kapitanie Poldark... Mógłbym przedstawić panu swoje poglądy na tę kwestię?

– Naturalnie, milordzie.

– Cóż, jak pan wie, w tysiąc sześćset osiemdziesiątym ósmym roku wigowie ocalili kraj przed dyktaturą Stuartów, gdy król Jakub postanowił zerwać z Kościołem anglikańskim i podporządkować się Rzymowi, co miałyby tragiczne konsekwencje. Popierali Wilhelma Orańskiego, a później, po bezpotomnej śmierci królowej Anny, uczynili królem Jerzego Pierwszego z dynastii hanowerskiej. Niech pan pamięta, że przewodziła im nasza najświetniejsza arystokracja, która rozumiała, że należy bronić wolności poddanych przed absolutyzmem. Jestem dumny, że mój ród przez wiele lat popierał wigów i wybierał odpowiednie osoby do Izby Gmin. Nikt wtedy nie wierzył w idee, które pan wyznaje; nikt nie chciał zmieniać systemu wyborczego stanowiącego od dawna część naszej tradycji – nikt, dopóki król Jerzy, pod wpływem niewłaściwych doradców, nie postanowił zdobyć nadmiernej władzy. Wtedy wigowie znów zaczęli mówić o wolności – o prawach wynikających z Magna Charta – i mieli rację.

– Ale później...

– Proszę zaczekać. Niezrównoważonym politykom, Burke’owi, Foxowi i jego przyjaciółom, uderzyło to do głowy i zaczęli mówić o reformach. Wolność zaczęła dla nich oznaczać równą reprezentację i wiele rzeczy, o których pan myśli. Kiedy we Francji wybuchła rewolucja, ogarnął ich entuzjazm – doszli do wniosku, że ziściła się utopia. Jednak wielu szybko straciło złudzenia, zwłaszcza Burke i większość, która obecnie uważa się za wigów. Nie wierzą w równą reprezentację, kapitanie Poldark, podobnie jak torysi. (Niech pan pomyśli o swoim przyjacielu Bassecie). Pitt jest teraz torysem, podobnie jak ja. Chciałbym panu przypomnieć, że w swoim czasie torysi popierali wolność religijną, prawa drobnych ziemian angielskich, podział władzy między króla, arystokrację i gmin. Ale zostawmy to na razie. Kiedy wygramy wojnę, albo przegramy, możemy się zastanowić, co jest dla nas ważne. Pitt ma postępowe poglądy, czasami zbyt postępowe jak na mój gust, lecz w tej chwili odłożył te poglądy na półkę, ponieważ wie, podobnie jak wszyscy rozsądni ludzie, że rewolucyjna Francja nas zniszczy i że to jest w tej chwili najważniejszy problem. Przepraszam, poznał pan mojego szwagra, kapitana Gowera?

– Nie.

– Należał do czołowych zwolenników reform w marynarce wojennej. Chyba by go pan polubił.

Za oknem widać było tylko strugi deszczu.

– Wielki Boże! – zawołał niecierpliwie Ross. – Naprawdę proponuje mi pan mandat poselski, milordzie?! Przecież ma pan do wyboru najlepszych ludzi w Anglii! A poza tym mnóstwo krewnych oprócz Armitage’a!

– Odpowiedź na to pytanie, drogi kapitanie Poldark, jest bardzo prosta. Proszę pana, bo uważam, że ma pan największe szanse na uzyskanie mandatu. Czuję, że pańska popularność w mieście przeważy niechęć do mnie. Ostatnim razem mój kandydat przegrał jednym głosem. Poseł zasiadający w parlamencie

zawsze ma szczególne wpływy i Warleggan może zdobyć poparcie kilku nowych elektorów, co zrównoważy brak nominacji de Dunstanville'a.

– Dziękuję panu za szczerość, milordzie.

– Gdyby spodziewał się pan, że będę ukrywał swoje motywy, nie byłby pan człowiekiem, za jakiego pana uważam. Przedstawiłem już inne przyczyny swojej propozycji.

– Dlaczego, u licha, spodziewa się pan, że przyjmę tę ofertę, skoro półtora roku wcześniej odrzuciłem podobną propozycję Basseta?

– Okoliczności się zmieniły. Czasy są bardziej niebezpieczne. Kraj potrzebuje przywódców. Wie pan, co powiedział w zeszłym miesiącu Canning? „Nic nie wyrwie narodu ze snu i ośpienia. Anglia nie ma duszy ani kręgosłupa”. Przyzna pan, że obecne życie jest dla pana frustrujące. Można powiedzieć, że jednostka nie jest w stanie wiele osiągnąć, lecz naród składa się właśnie z jednostek.

Ross odwrócił się od okna i spojrzał na gospodarza. Chłodny człowiek, przynajmniej w interesach, nie owijał niczego w bawełnę. Doszedł do wniosku, że również nie powinien owijać niczego w bawełnę. Irytacja sprawiła, że jego słowa zabrzmiały bardzo szorstko.

– Proponuje mi pan, milordzie, kandydowanie w okręgu, gdzie nierozsądne nadużywanie przez pana władzy zantagonizowało elektorów, którzy normalnie łatwo dają sobą manipulować. Czy nie mam racji? A zatem, w konsekwencji, prosi mnie pan nie tylko o poparcie systemu, który mi się nie podoba, lecz również odrzucanego przeze mnie stylu sprawowania władzy. Występując jako pański kandydat, stałbym się uczestnikiem intryg i milcząco bym je popierał!

Lord Falmouth lekceważąco machnął ręką.

– Odziedziczyłem po stryju autokratyczne podejście do okręgów wyborczych, które kontroluję. W przyszłości zamierzam zwracać większą uwagę na wrażliwość rady miejskiej. Zmienimy nasze metody, by bardziej

panu odpowiadały, nie możemy jednak zmienić systemu wyborczego w całym kraju. Proszę przyjąć moją propozycję lub ją odrzucić. Ma pan możliwość działać na rzecz reform w parlamencie lub poza nim. – Wstał. – Jednak w tej chwili są pilniejsze sprawy, kapitanie Poldark. Zjednoczyła się przeciwko nam cała Europa.

– Myślę, że moje ubranie już wyszło – rzekł Ross. – Wolałbym się przebrać przed obiadem.

– Naturalnie. Nie będę pana zatrzymywał. Ale muszę znać pana odpowiedź, nim pan wyjedzie.

– Udzielę jej panu, milordzie.

Falmouth schował butelkę madery do kredensu i zamknął go na klucz.

– Proszę pamiętać o innej zalecie mojej propozycji.

– Jakiej?

– Wyświadczyłby mi pan przysługę, a zarazem zagrał na nosie Warlegganowi.

4

W przedsionku nie rozlegały się już śmiechy dzieci. Dwór był bardzo cichy, podobnie jak dzień, podobnie jak chory mężczyzna w pokoju na piętrze, jak nędza i pustka życia. Ross przeszedł przez salę, usłyszał za otwartymi drzwiami czyjeś głosy i zajrzał do środka. Demelza rozmawiała z panią Gower. Wyglądała dziwnie w pożyczonej sukience, była blada, jej ciemne oczy miały ciężki, mroczny wyraz. Wyglądała obco, nie przypominała młodej kobiety, którą znał od trzynastu lat, nie przypominała jego żony – coś sprawiło, że zanurzyła się w otchłani własnej duszy, gdzie żyły nieznanym uczuciom.

Nie spostrzegły Rossa, a on nie wszedł. Nie chciał przerywać ich rozmowy, wolał swoje mroczne myśli. Poszedł na górę, zabłądził, znalazł się u stóp

kręconych schodów prowadzących do kopuły. Wrócił tą samą drogą. Bardzo ponury dom. Dzięki Bogu nigdy nie będzie miał pieniędzy ani ambicji, by jeszcze bardziej rozbudować Namparę. W porównaniu z rezydencją Falmoutha dwór Bassetów wydawał się pogodny. Niektórzy ludzie mają talent do zarządzania domów.

Za trzecim razem odnalazł sypialnię. Ubranie jeszcze nie wyschło, lecz mógł je włożyć. Stryj lorda Falmoutha miał krótkie nogi i spodnie były piekielnie niewygodne.

Na kominku płonął jasny ogień i Ross przebrał się w przyjemnym ciepłe. Zawiązawszy halsztuk, przeniósł bliżej kominka część rzeczy Demelzy. Jej pończochy były nadal mokre, a spódnica i halka mogły schnąć jeszcze pół dnia.

Kiedy poruszył spódnicę, z kieszeni wypadł arkusz papieru. Pochylił się, podniósł go i zamierzał włożyć na miejsce, lecz jego uwagę zwrócił niebieski kolor atramentu i nieznamy charakter pisma. Nim zdążył się powstrzymać, czytał tekst napisany na kartce:

*Kiedy zostawię ten świat już za sobą,
Wiedz, że nikogo mocniej nie kochałem
I że większego szczęścia nie zaznałem
Niż w dniu spędzonym nad morzem wraz z tobą.
Wiem, że zapłaczesz na myśl o tej chwili,
A żal twój dumą napełni mą duszę.
W dniu, kiedy w drogę ostatnią wyruszę,
Ból w twoim sercu żałośnie zakwili.
Zostaw łez ślady na piaszczystej plaży,
Niech wiatr rozwiewa twoje jasne włosy,
A kiedy wspomnisz dziwne ludzkie losy,
Myśl o mej śmierci z uśmiechem na twarzy.*

Rozdział ósmy

1

Warlegganowie wrócili z Trenwith do Truro w niedzielę dziesiątego września, wcześniej niż zwykle, lecz George musiał być obecny w czasie czwartkowych wyborów, a Elizabeth postanowiła towarzyszyć mężowi. Pod nieobecność Geoffreya Charlesa widywała się w Trenwith tylko z chorymi rodzicami, toteż nie było tam żadnych atrakcji, a ładne, gorące lato dobiegało końca. Nowa sesja Izby Gmin miała się rozpocząć na początku października i Elizabeth postanowiła pojechać z George'em do Londynu. W czasie ostatniej podróży zdobyła nowe doświadczenia i nowych przyjaciół, ekscytował ją pobyt w stolicy, tak blisko ośrodka władzy. I miała spędzić kilka dni z Geoffreym Charlesem przed jego powrotem do Harrow.

Zgodziła się, by syn wyjechał na całe lato do Norfolk do kolegów ze szkoły. Uznała to za najlepsze rozwiązanie, które pomoże uniknąć konfliktów między Geoffreym Charlesem a mężem. Miała również nadzieję, że całoroczna nieobecność doprowadzi do całkowitego zerwania znajomości z Drakiem. Ale życie bez syna było dla Elizabeth czymś zupełnie nowym. Dla niej zawsze najważniejszy był Geoffrey Charles. Valentine nie mógł go zastąpić i nigdy nie pokochała go całym sercem.

George był wściekły, gdy dowiedział się o porozumieniu de Dunstanville'a z Falmouthem w sprawie okręgów wyborczych w Truro i Tregony. Tego samego ranka pojechał z listem do Tehidy. Padło kilka ostrych

słów. George wyraźnie okazał swoje niezadowolenie, lecz dawny patron okazał chłodną, grzeczną nieustępliwość – od tej chwili pan Warleggan musi radzić sobie sam w okręgu wyborczym w Truro. Była to przykra rozmowa i George żałował później kilku uwag podyktowanych urazą. Od czasu, gdy poznał Basseta, starał się traktować go uprzejmie i przyniosło to owoce. Sir Francis był zbyt wpływowym człowiekiem, by wszczynać z nim spory, i George podjął już taktowne wysiłki, by załagodzić konflikt.

W gruncie rzeczy, po pierwszej chwili zaniepokojenia, George przestał się martwić, że nie zdobędzie mandatu w Truro. Po rezygnacji Basseta z funkcji członka rady miejskiej w Truro toczyła się równie ostra walka jak w czasie każdych wyborów: mogła przesądzić o ich wyniku. Burmistrz, w tej chwili torys, w końcu ustąpił, bo zagrożono mu, że spotka go los jednego z poprzednich burmistrzów, który trafił do więzienia za próby blokowania decyzji większości. Wigowie triumfalnie mianowali na stanowisko burmistrza Viviana Fitz-Pena, potomka starego, lecz podupadłego rodu, wiga i zwolennika Foxa, który nigdy nie głosowałby na kandydata Boscawenów.

George wyjaśnił Elizabeth, że skład polityczny rady miejskiej w zasadzie się nie zmienił od ubiegłego roku. Przypuszczał, że powzięte przez niego kroki, by zwiększyć zobowiązania części radnych wobec rodziny Warlegganów, mogą sprawić, że zostanie wybrany jeszcze większą przewagą głosów niż poprzednim razem.

Jazda do domu była jak zwykle okropna, droga okazała się bardziej wyboista niż normalnie i pokryta kurzem, ale przynajmniej nie musieli ich wyciągać z błota służący jadący konno. Mimo mdłości i bólu głowy Elizabeth wysłała bilecik do Morweny, zapraszając ją na kolację w poniedziałek, a ta odpowiedziała, że z radością przyjadą.

Elizabeth o mało nie zaprosiła również Rowelli i Arthura, lecz po prostu nie mogła się zdobyć na zaproszenie miejskiego bibliotekarza, w każdym razie

nie na kolację. Poza tym wiedziała, że rozgniewałoby to George'a. I oczywiście zdawała sobie sprawę z dziwnej animozji między siostrami.

Kiedy wieczorem przybyli goście, George był nieobecny. Elizabeth spędziła kilka minut sam na sam z kuzynką, gdy ta zdejmowała pelerynę. Na początku oczywiście spytała, jak się czuje John Conan, a później, niedbałym tonem, o Rowellę.

– Nie widziałam jej – odparła Morwenna.

– Wcale?

– Wcale.

– Masz szczęście, że mieszkasz nad rzeką. Truro jest bardzo duszne i niezdrowe. Mam nadzieję, że nic jej nie dolega.

– Nie sędzę.

– Przed wyjazdem do Londynu spędzę tu jakieś trzy tygodnie, więc powinnam ją zaprosić na herbatę.

– Musisz przyjść na herbatę do mnie – rzekła Morwenna.

– Dziękuję, moja droga. Nie chciałabyś przyjść i wypić z nami herbaty razem z Rowellą?

– Dziękuję, Elizabeth. Wolałabym nie.

– Moja droga, czujesz do niej jakąś niechęć? Jest bardzo młoda i na pewno popełniła błędy, ale...

– Droga Elizabeth, wolałabym o tym nie rozmawiać, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Twoja matka nie pisze i nie pyta o Rowellę? Twoja siostra nie ma jeszcze szesnastu lat.

– Sędzę, że mama i Rowella korespondują ze sobą.

– Widziałam w bibliotece jej męża. Wygląda na grzecznego młodego człowieka.

– Tak, chyba tak.

Elizabeth westchnęła.

– Bardzo dobrze, moja droga. Wejdźmy do domu, bo Ossie będzie zupełnie sam i poczuje się zaniedbany.

Kiedy szły korytarzem, Elizabeth zauważyła, że gdy kuzynka zdjęła krepowy kaptur peleryny, nawet nie wygładziła włosów. Morwenna miała na sobie długą suknię z niebieskiego płótna z mantylką i koronkowymi mankietami, której Elizabeth nigdy wcześniej nie widziała, lecz była ona tak pognieciona, jakby kuzynka w niej spała. Mimo to nie wyglądała nieatrakcyjnie. W jej zachowaniu pojawiła się zaskakująca pewność siebie, która pasowała do niej równie dobrze jak dawna nieśmiałość. Wyraz twarzy świadczył, że przeżyła ciężkie chwile, lecz zwracała na siebie uwagę bardziej niż wtedy, gdy była młoda i niewinna.

Ossie rzeczywiście siedział samotnie w salonie i zastanawiał się nad kolejnym dziwnym, niepokojącym wydarzeniem w swoim życiu. Dzisiaj, po raz trzeci od chwili rozstania, minął Rowellę na ulicy. Tym razem spojrzała na niego z ukosa i lekko się uśmiechnęła. Nie potrafił zinterpretować tego zachowania: jej uśmiech mógł wyrażać szyderstwo, triumf, satysfakcję, przyjaźń, a nawet zaproszenie. Ossie oblał się rumieńcem, poczuł gniew i rozpaczliwe podniecenie. Podsycalo to jego najgorsze fantazje i zapomniał o nich dopiero pod wieczór.

Teraz znów doszedł do siebie. Pili maderę i słuchali jego monologu na temat problemów parafii, aż wreszcie pojawił się George.

Warleggan nie był zbyt zadowolony, że gości dziś Whitwortha – w ogóle nie miał ochoty go widywać. Ossie prawie co miesiąc pisał do niego listy z różnymi prośbami. Jego najnowszym celem było uzyskanie beneficjum w St Newlyn, gdzie pojawił się wakat. Nikt nie zwracał uwagi na te starania – jakby pozwalał o tym komukolwiek zapomnieć! – ponieważ uważano, że ma w tej chwili dochody z dostatecznej liczby parafii. George znosiłby prośby

krewnego bardziej cierpliwie, gdyby wuj Whitwortha, Conan Godolphin, okazał się użyteczniejszy w Londynie. Conan był dandysem przestającym z ludźmi podobnymi do siebie i chociaż często spędzał czas w towarzystwie księcia Walii, nie potrafił przedstawić nowego powinowatego ludziom, których towarzystwa nowy powinowaty poszukiwał.

Tego wieczoru George przybył prosto z kantoru bankowego, gdzie wraz ze stryjem Carym przeglądał weksle ze zbliżającym się terminem zapadalności. Zastanawiali się, które prolongować. Nie był w nastroju do głupiej gadaniny. W końcu zauważył to nawet Ossie, ponieważ zapadła długa cisza. Miał akurat pełne usta i wydawało się, że nikt inny nie ma ochoty zabrać głosu.

– Coś ci dolega, kuzynie? – zwrócił się do Warleggana. – Wydajesz się przygnębiony. Mam nadzieję, że nie złapałeś letniej febry. Dostał jej mój służący, od trzech dni poci się jak świnia. Dałem mu dziesięć granów jalapy, ale nie widać żadnej poprawy. Wszędzie szaleje febra. W zeszłym tygodniu pochowałem dziewczynkę, która nie pokonała choroby.

– Czuję się wyjątkowo dobrze – odparł George. – Myślę, że nie będziesz musiał odprawiać ceremonii pogrzebowej.

– Wybacz, nie miałem nic złego na myśli. Nie sądzisz, że twój mąż ma trochę niezdrową cerę, Elizabeth? Cóż, George, na pewno zajmujesz się pilnymi sprawami. Wszak wojna nie układa się najlepiej i zbliżają się wybory. Moim zdaniem pora, by nasi prawodawcy stłumili niepokoje w kraju przed kontynuowaniem wojny w Europie. Nie możemy walczyć, w gruncie rzeczy nie możemy nic zrobić, dopóki wszędzie mówi się o rewolucji. – Umilkł, by włożyć jedzenie do ust. Gryzł i przełykał, gryzł i przełykał. Wszyscy milczeli.

– Wybory odbędą się w czwartek? – spytała Morwenna. – Myślałam, że prawie wszyscy...

– Teraz, gdy Basset się wycofał, walka o reelekcję będzie bardzo ciężka. Myślicie, że nowy przeciwnik zdobędzie wiele głosów dzięki swojej tak

zwanej popularności?

George uniósł wzrok.

– Gower? Wątpię. Jeszcze nie wiem, kto startuje razem z nim...

– Och, nie słyszałeś? Dziś po południu wspomniał mi o tym Polwhele. Wiesz, że przyjaźni się z Boscawenami? Wczoraj wieczorem jadł z nimi kolację. Odwiedziłem go dziś rano w sprawach parafii. Jak wiecie, znów ma nas odwiedzić archidiakon i chciałbym, by wszyscy moi wpływowi parafianie wzięli udział w obiedzie z okazji wizytacji. – Ossie urwał i włożył do ust kolejny kęs.

George wypił łyk wina.

– Nie przypuszczam, żeby Falmouth...

– Kandyduje Poldark – rzucił Whitworth, po czym przełknął. – Poldark z Nampary. Moim zdaniem zwykły awanturnik, miłośnik nocnych eskapad, godny kompan Falmoutha. Wygląda na to, że zamierza wykorzystać swoją niedawną sławę.

Przez chwilę panowała cisza. Goście jedli kolację. Przed domem zastukały końskie kopyta. Stuk-stuk, stuk-stuk, rozlegało się leniwie za oknem.

George skinął dłonią w stronę lokaja.

– Sir?

– Zabierz to wino. Nie nadaje się do picia. Przyniesź butelkę bordo z Graves.

Ossie wypił łyk trunku.

– Nie jest najlepsze, zgadzam się. Może zbyt długo leżało poza piwnicą. Moja plebania przy kościele Świętej Małgorzaty wymaga jednego ulepszenia. Przydałaby się dobra, zimna piwnica. Podobno w pobliżu rzeki nie można kopać zbyt głęboko, bo pojawia się wilgoć.

– Plebania wydaje ci się wilgotna? – zwróciła się Elizabeth do Morwenny.

– Oczywiście my także mieszkamy w pobliżu rzeki, ale jest węższa niż między

waszymi pięknymi drzewami.

– Piętro wilgotnieje w czasie deszczu – odparła Morwenna. – Szczególnie poddasze, gdzie spała Rowella. Ale moim zdaniem wilgoć nie pochodzi od rzeki.

– W kościele też jest wilgoć – zauważył Whitworth. – I na cmentarzu. Mamy wielki problem z nagrobkami. Szybko zarasta je mech i nie widać napisów.

– Pytałam Morwennę o Rowellę – zwróciła się do Ossiego Elizabeth. – Widzieliście ją? Dobrze się czuje?

– Nie spotykamy się z nią – odparł pastor. Mówił tubalnym głosem. – Można powiedzieć, że przestała dla nas istnieć.

– Wybacz mi, Ossie, ale czy nie osądzasz zbyt surowo młodej dziewczyny tylko dlatego, że popełniła megalomanię? Wyszła za mąż nierozważnie, ale, jak rozumiem, z miłości?

– Nie mam pojęcia, czy z miłości – odparł pastor. – Najmniejszego pojęcia i nawet nie chcę się nad tym zastanawiać!

Lokaj wrócił z nową butelką wina i czystymi kieliszkami. Z niepokojem czekał, aż George spróbuje trunku. Kiedy gospodarz nie okazał ani niezadowolenia, ani aprobaty, służący zaczął napełniać kieliszki. Po chwili skończył. Ossie znów wypił łyk starego wina, a potem młodego, po czym przyznał, że młode jest lepsze. Zapadło długie milczenie.

– A zatem Ross Poldark wkracza do polityki – rzekł George, spoglądając na Elizabeth.

– Nigdy nie przepadałem za tym człowiekiem – odezwał się Whitworth. – Przypuszczam, że stanie się w mieście ważną postacią.

– I do tego jako kandydat Boscawenów! – zwrócił się George do Elizabeth. – Wyjątkowo cyniczna zmiana frontu jak na dawnego buntownika. Niektórzy ludzie są zdolni do rozpaczliwych gestów, próbując stać się szacownymi

obywatelami w średnim wieku.

– Był bardzo niezadowolony, gdy wasz gajowy pokonał jego szwagra – zauważył Ossie. – Ach, coś sobie przypomniałem... Nie otrzymałem od niego odpowiedzi na list w sprawie kościoła w Sawle.

– Jesteś pewien, że się nie pomyliłeś, Ossie? – spytała Elizabeth, nie mogąc złapać tchu.

– O Boże, tak. Polwhele wydawał się dość rozbawiony. Pamiętam, że żartował na ten temat. Powiedział, że Poldark w Izbie Gmin będzie twardym orzechem do zgryzienia! – Whitworth wybuchnął śmiechem, lecz nikt się nie przyłączył.

– Jeszcze nie jest posłem do Izby Gmin – odparł George. – I nie sądzę, by udało mu się zrealizować te ambicje!

W czasie kolacji nie rozmawiano więcej na temat Poldarka. Reszta posiłku przebiegła w milczeniu.

2

Cary Warleggan podrapał się pod myką i odłożył gęsie pióro.

– To niesłychane, skandaliczne! Ciekawe, co powie twój ojciec?!

– Nie przejmujmy się ojcem. Dowie się w odpowiednim czasie.

Cary wstał. Miał błyszczące oczy i skubał palcami dolną wargę. Z upływem lat zmienił się mniej niż pozostali członkowie rodziny. Chroniczna niestrawność i podagra sprawiły, że bardzo schudł, i ubranie wisiało na nim jak na strachu na wróble. Często jednak bywał w kantorze i kazał przynosić sobie skromne posiłki, by nie wychodzić, co mogłoby zaburzyć tok pracy banku. Starannie pilnował wszystkich interesów Warlegganów, angażując się w nie bardziej niż brat Nicholas i bratanek George. Czy chodziło o transport surówki z jednej z odlewni w Walii, czy o mianowanie urzędnika banku

prokurentem nowo utworzonej spółki akcyjnej, szczegółami zawsze zajmował się Cary.

Chociaż nigdy nie był nieuczciwy, to właśnie on stał się ucieleśnieniem nieprzyjemnych cech Warlegganów. W lutym jego naciski o mało nie doprowadziły do upadku banku Pascoe i chociaż działało się to za wiedzą i milczącą zgodą George'a, w tej chwili bratanek miał o to do Cary'ego wielkie pretensje z dwóch powodów. Po pierwsze, plan się nie powiódł, po drugie zaś, popsuło to stosunki między bankiem Warlegganów a firmą Basset, Rogers i Spółka. Cary bywał niekiedy zbyt sprytny, zbyt intrygancki, a George, który wcześniej częściej stawał po stronie stryja niż po stronie ojca, w tej chwili uważał, że skrupuły ojca mają więcej zalet.

Oczywiście Cary przestrzegał pewnych zasad i w tej chwili postanowił dać im wyraz. Nie wszyscy uznaliby jego standardy za godne potępienia.

– To przerażające, że człowiek taki jak Falmouth, który odziedziczył tytuł i ogromny majątek ziemski, może zawrzeć sojusz z bezczelnym oszustem, niemal skazańcem, a poza tym...

– Poldark nie siedział w więzieniu, stryju. Jak pamiętasz, został uniewinniony. – George jak zawsze zręcznie podsycił niechęć Cary'ego do Rossa, sprawiając, że jego własna nienawiść wydawała się mniejsza.

– Uniewinniony wbrew wszelkim zasadom prawa! Nawet jeśli nie siedział w więzieniu, jest znany z dzikich awantur w różnych częściach kraju. Musiał opuścić Anglię jako chłopak z powodu starć z celnikami, a po powrocie wdarł się do więzienia i uwolnił więźnia! Przyczynił się do śmierci naszego kuzyna, uczestniczył w plądrowaniu statków, zajmował się przemytem i podburzał górników do rozruchów! Teraz, nagle, stał się ulubieńcem hrabstwa z powodu równie podejrzanej awantury, tym razem przeciwko Francuzom! I oto wpływowy kornwalijski wicehrabia uznaje, że człowiek tego pokroju może reprezentować Truro w Izbie Gmin! To... to...

– Nasz wicehrabia usiłuje odzyskać utracone miejsce w parlamencie i nie obchodzą go zasady moralne – odparł George. – Myśli, że popularność Rossa zapewni mu zwycięstwo w wyborach. Musimy dopilnować, by tak się nie stało.

Cary okręcił się połami surduta, jakby czuł chłód. Czterdziestoletni surdut był dla niego zbyt obszerny.

– Zajęliśmy się większością naszych zwolenników.

– Tak, ale jeszcze raz przejrzyjmy listę.

Cary wysunął szufladę, wyjął księgę rachunkową i otworzył ją w miejscu, gdzie tkwiła zakładka.

– Cóż, oto oni. Wydają się pewni. Sądzę, że można mieć wątpliwości co do Auketta. I może Foxa.

– Aukett otrzymał w marcu dużą pożyczkę – odparł George. – Oprocentowanie wynosi trzy procent rocznie i nie ma ustalonego terminu spłaty. Wie, że nie zażądamy pieniędzy, chyba że okaże niezależność w głosowaniach. Dobrze to rozumie. Taki był cel pożyczki.

– Jak wiesz, kiedyś blisko współpracował z Poldarkiem i był jego przyjacielem. W czasach, gdy założyli odlewnię miedzi.

– Zapomnij o tym. Albo przypomnij Aukettowi, jeśli chcesz podkreślić, o co nam chodzi. Przyjaźń nie jest silnym motywem, gdy człowiekowi wisi nad głową groźba więzienia za długi.

– Fox również uczestniczył w projekcie budowy odlewni, choć nie był tak mocno zaangażowany. Szybko się wycofał. Ostatnio prowadzi interesy z Boscawenami. Otrzymał dzięki nim zamówienia na dywany; może go ciągnąć w obie strony.

– Zadbajmy o to, by opowiedział się po właściwej. – George zerknął na księgę rachunkową widoczną nad ramieniem stryja. – Jeśli to konflikt między obowiązkiem a długami, powinny zwyciężyć długi. Tak, muszą z pewnością

zwyciężyć. Jutro powinniśmy wysłać list, który uświadomi mu, w jakiej jest sytuacji, choć w oględnych słowach.

– Nie list – rzekł Cary, poprawiając mykę. – Wystarczy rozmowa. Mieszka daleko. Rano wyślę do niego Tankarda.

Do drzwi zastukał kancelista. Wszedł, by zadać jakieś pytanie, lecz George spojrział na niego takim wzrokiem, że natychmiast się wycofał.

– Polwhele? – spytał Cary.

– Beznadzieja sprawa. Jest zwolennikiem Boscawenów i ma konto w banku Pascoe.

– Notariusz Pearce?

– Zajmiemy się nim.

Po kolei omówili pozostałe nazwiska. W przypadku kilku wigów księcia Portlanda można było mieć pewność, że będą głosować przeciwko Pittowi, choćby nawet obie grupy współpracowały w Izbie Gmin. Inni byli torysami ze starej szkoły, zwolennikami przeciwnej strony. O wyniku głosowania mogło przesądzić dziesięciu spośród dwudziestu pięciu elektorów; należało wywrzeć na nich nacisk.

Minęła już jedenasta. Trzeba było kończyć, lecz George i Cary spędzili jeszcze pół godziny w małym, ciemnym kantorze. Dyskutowali o taktyce. Wczoraj policzyli głosy i doszli do wniosku, że George i Trengrouse z łatwością zdobędą większość. W tej chwili pojawiło się zagrożenie ze strony Poldarka – dodatkowy bodziec – i chcieli być absolutnie pewni, że wygrają. W końcu, przyjmując, że Aukett i Fox okażą się lojalni, wszystko tak naprawdę zależało od dwóch ludzi, a do tego dość wybitnych osobistości: Samuela Thomasa z Tregolls i Henry’ego Prynne’a Andrew z Bodrean. Warlegganowie niedawno podjęli ich obiadem, obaj byli starymi przyjaciółmi rodziców Elizabeth, wyrażali wdzięczność za drobne przysługi ze strony George’a. Gdyby ci dżentelmeni oddali głosy na George’a, wygrałby

przewagą pięciu głosów. Gdyby jeden lub dwaj nieodpowiedzialnie zagłosowali przeciwko niemu, miałby przewagę trzech głosów. Gdyby wskutek jakiegoś wyjątkowo pechowego zbiegu okoliczności również Aukett i Fox przeszli do przeciwnego obozu, George przeszedłby jednym głosem, tak jak poprzednio. Sytuacja wydawała się bezpieczna. Należało zdecydować, czy zwrócić się do jednego z tych dwóch dżentelmenów z bezpośrednią prośbą, czy może to przynieść więcej szkody niż pożytku.

Falmouth na pewno postara się na nich wpłynąć, ale krążyły plotki, że przed kilku laty Falmouth i Prynne Andrew toczyli spór o prawa górnicze.

Stryj Cary nie miał za grosz subtelności i potrafił tylko manipulować pieniędzmi. W końcu George schował arkusz papieru z powrotem do książki, po czym zamknął ją na klucz w szufladzie.

– Poproszę Elizabeth o radę. Zna ich od dzieciństwa i powinna wiedzieć, jak zareagowałiby na grzeczną prośbę.

Cary zacisnęła wargi, jak zwykle gdy wymieniano imię żony George'a. Rzadko ze sobą rozmawiali.

– Dlaczego jej nie poprosisz, by to ona z nimi porozmawiała? Są starymi przyjaciółmi. Niech się do nich odezwie. Może pojechać i spotkać się z nimi. Jutro po południu pojedzie konno, wypije herbatę lub cokolwiek się robi w takim towarzystwie. Co ty na to?

George popatrzył chłodno na stryja.

– Porozmawiam z nią o tym. Ale nie powinniśmy działać pośpiesznie. Ciągłe mamy czas.

Rozdział dziewiąty

1

Poranek czternastego września był olśniewająco jasny, a czerwone słońce wschodzące na niebie miało barwę krwi. Gimlett uważał, że pogoda nie utrzyma się przez cały dzień. Ciemny kolor morza zwiastował zbliżanie się jesieni. Z pola zwieziono już całe zboże, a Ross wysłał dwóch parobków do Sawle, by pomogli w kolejnym połowie sardynek. Malwy Demelzy, które wędły w gorące, bezwietrzne dni, wypuściły ostatnie spłowiełe kwiaty.

Ross powiedział żonie, że musi być wcześniej w Truro. Ponieważ nie wspomniał, po co się tam wybiera, przypuszczała, że ma to coś wspólnego z reorganizacją oddziału ochotników.

W czasie śniadania panowała cisza, bo Jeremy i Clowance wciąż spali, gdyż późno się położyli. Ostatnio podczas większości posiłków panowała cisza. Mieli za sobą trudny tydzień. Przypominało to ostatnie miesiące tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Demelza szczerze martwiła się o Hugh Armitage'a i przez cały czas czekała na dobre lub złe wiadomości. Ross, zraniony w swoich uczuciach, starał się wstrzymać z osądem, obserwował jej niepokój i milczał. Gdyby chciała rozmawiać o Hugh, mogła to zrobić. Jeśli nie, to nie.

Nie wiedział, co wynika z wiersza, który przeczytał. Mógł oznaczać, że Demelza go zdradziła, lub być tylko *licentia poetica*. Nie pytał i nie zamierzał pytać. W ciągu tygodnia stało się jasne, że zdradziła go w duszy, myślach,

uczuciach, sercu – że jest głęboko związana z innym mężczyzną.

Mężczyzna ten był ciężko chory. Co Ross czuł jako mąż? Zazdrość, ból? Gniew, wstyd, że nie stanął na wysokości zadania? Współczucie, zrozumienie? Dlaczego przy każdej innej myśli ścisnęło go w gardle?

Wyszedł z domu przed ósmą i pojechał odsłoniętą, lecz przyjemną doliną wśród leszczyń i głogów. Dotrzymywał mu towarzystwa plusk strumienia. Jego ziemia. W żywopłotach cykały świerszcze, nad ziemią latały jaskółki, na polach pasły się krowy, jego krowy. Z komina Wheal Grace unosił się dym i słychać było huk dobiegający z warsztatów kruszenia rudy. Okolica wyglądała ładnie, rośliny bujnie wyrosły w czasie ciepłego lata. Wszystko to należało do Rossa – czternaście lat wcześniej posiadłość leżała w ruinie i wszędzie rosły chwasty, on zaś doprowadził ją do rozkwitu. Ale dziś nie było w nim dojrzałości, zadowolenia. Człowiek snuje ambitne plany, a gdy je zrealizuje, zostaje pustka.

Przybył do Truro zbyt wcześnie, zostawił konia w gospodzie Pod Czerwonym Lwem i poszedł do portu. Nie miał ochoty z nikim się spotykać – z przeciwnikami, stronnikami ani nawet patronem. Zrobi to we właściwym czasie.

Trwał przypyływ i w nierówne kamienie starego nabrzeża uderzały z pluskiem drobne fale. W tym miejscu miasto się kończyło i zaczynał się obszar, na którym stały magazyny, szopy i zrujnowane, przeludnione chaty. Na nabrzeżu, wśród wozów i taczek, wałały się śmieci, jakie widuje się zwykle w niewielkich portach: kawałki lin, fragmenty połamanych drzewc, brezentowe szmaty, skrawki żagli, potłuczone dzbany, martwe mewy. Rozładowywano trójmasztowy lugier, marynarze toczyli beczki po wąskim trapie. Dalej przy nabrzeżu cumowały dwa inne statki, które wykorzystywały wysoką wodę. Do Rossa podbiegło, piszcząc, dwoje żebrzących dzieci, ale machnął ręką, by odeszły. Gdyby coś im dał, zaraz pojawiłoby się

dwadzieścioro innych. Kobiety wrzeszczały na siebie z okien. Koń potrząsał łbem w worku z sianem, by dosięgnąć ostatnich źdźbeł.

Po chwili Ross dotarł do trawiastej łąki i rozlewiska rzeki ciągnącego się w stronę Malpas i kościoła Świętej Małgorzaty. Panował tu zupełny spokój, świeciło słońce, na brzegach rosły drzewa, nisko nad wodą leciało kilka ptaków. W pobliżu brzegu pływały cztery łabędzie, prawie nieruchome, poruszały się tak wolno, że zdawały się dryfować z prądem. Każdy z nich odbijał się w nieruchomej wodzie. Wydawało się, że widzą własne odbicia i podziwiają same siebie. Później któryś mącił obraz, zanurzając w wodzie delikatny dziób. Wdzięczne, białe ptaki, podobne do kobiet. Nieprzewidywalne. Łagodne, gwałtowne, wierne lub niewierne, lojalne lub zdradzieckie. Boże, kto wie?

Wokół Rossa latała chmura komarów. Machnął na nie ręką jak na żebrzące dzieci. Odleciały równie niechętnie. W powietrzu snuł się zapach dymu płonącego drewna. Liście szybko żółkły. W zielonych koronach drzew gęsto porastających drugi brzeg rzeki widać było plamy miedzi i ochry.

Łabędzie stopniowo się od siebie oddalały, powoli, bardziej wskutek kaprysów nurtu niż celowo. Ptak znajdujący się najbliżej brzegu miał smukłą szyję i trzymał ją z gracją – przypominała znak zapytania. Popłynął w stronę Rossa, unosząc lekko skrzydła i obracając głowę w bok, kierowany przeznaczeniem lub przypadkiem. Później nagle się odwrócił, leniwie poruszając płetwami, tracąc zainteresowanie, jakie wcześniej okazał. Ross stał nieruchomo. Nie próbował go wabić ani płoszyć.

Cztery kobiety w jego życiu? Cztery kobiety, o których myślał w tym roku? Oczywiście Elizabeth i Demelza. Caroline? A czwarta? Jeden z łabędzi miał uszkodzone skrzydło, pióra krzywe i poplamione. W dniu święta Sawle Ross wychodził ze swojej ławki w kościele, gdy Morwenna uśmiechnęła się do Drake'a, a Ross to zauważył. Ranny łabędź. Właściwa metafora. Poślubiła

innego mężczyznę. Kto to może zmienić? Kogo Bóg złączył...

A jego własne małżeństwo? A małżeństwo Elizabeth? A małżeństwo Caroline? Wszystkie w tym samym tyglu? Z pewnością odnosi się to do małżeństwa Rossa. Właśnie to jest najgorsze, bo wcześniej uważał swoje małżeństwo za najtrwalsze, najbezpieczniejsze. Jak skała. Lecz okazało się, że skała wznosi się na piasku. W ich domu pojawił sympatyczny, lecz pozbawiony zasad mężczyzna, i stanął między Rossem a Demelzą. Teraz częściowo ją stracił. A może całkowicie? Nie wiedział.

Dlaczego, na miłość boską, zgodził się tu dziś przyjechać i uczestniczyć w tym przedstawieniu? Jaki głupi, niestosowny impuls sprawił, że w zeszłym tygodniu pojechał do Tregothnan?

– Zgadzam się – powiedział. – Przyjmuję pańską nominację pod trzema warunkami. Po pierwsze, niezależnie od pańskich poleceń, mogę wspierać Pitta w prowadzeniu wojny.

– Naturalnie.

– Po drugie, będzie mi wolno popierać każdą ustawę, która moim zdaniem ulży biedocie.

– Zgoda. – Falmouth zawahał się lekko przed udzieleniem odpowiedzi.

– Po trzecie, będę mógł wspierać starania Wilberforce'a w sprawie zniesienia handlu niewolnikami.

Kolejne wahanie.

– Zgoda.

Zawarli tamtego dnia umowę. Prawie nie rozmawiali, nie uzgadniali szczegółów. Zbyt mało powiedzieli. Dla wielkiego pana mogła to być drobnostka, ale nie dla Rossa – dotyczyła jego przyszłości. Gdyby omówili szczegóły, mógłby dostrzec absurdalność propozycji Falmoutha, tak jak w zeszłym roku, gdy podobną ofertę złożył mu Basset. Miałby czas się wycofać, zrezygnować, śmiałyby się z siebie, że w ogóle się nad tym

zastanawiał.

Jest jeszcze czas... Nie, już nie. Zawarli umowę, jej dotrzymanie to kwestia honoru. Honoru? Co ma z tym wspólnego honor?

Mógł nie zostać wybrany. W ciągu tygodnia słyszał dość komentarzy, by wiedzieć, że rada miejska jest wciąż w buntowniczym nastroju. Niedawno uwolniła się spod kurateli arystokracji, który kontrolował okręg wyborczy, więc trudno było przypuszczać, że po roku znów potulnie się pogodzi z taką sytuacją. Znacznie lepiej, gdyby tak się stało. Wtedy nie byłby potrzebny wściekły samokrytycyzm, wewnętrzny opór.

Ross z irytacją kopnął kamień leżący na ziemi. Świetnie. Zostanie pokonany. Zwycięży George Warleggan i znajdzie się znowu w Izbie Gmin. Czy Ross tego chce? Czy po takim rozstrzygnięciu będzie mógł prowadzić szczęśliwe życie? George znów nad nim zatriumfuje – po wszystkich poprzednich triumfach. Wszyscy będą mu gratulować.

Lepiej nie startować, niż dać się pokonać. Falmouth nie owijał niczego w bawełnę. Chociaż nigdy by się do tego nie przyznał, wrogość między Rossem a George'em mogła wpłynąć na jego wybór. Zły, wręcz haniebny motyw, lecz trudno go lekceważyć tylko dlatego, że jest mało przyjemny.

Łabędzie odpływały, białe, pełne godności, tajemnicze jak istoty z innego świata. Ich odbicia w nieruchomej wodzie wydawały się odwrotnością ich natury. Przypominały ludzi, którzy ukazują światu jedno oblicze, natomiast drugie, prawdziwe, zachowują dla siebie. Czy po tylu latach Ross zna lub rozumie lustrzane odbicie Demelzy? Chyba tylko w najpłytszej wodzie. Czy zna lub rozumie siebie?

Na niebie krążyły szpaki. Słońce nikło w wilgotnej mgle. Ross wyjął zegarek. Dziesiąta trzydzieści. Odwrócił się i ruszył w stronę miasta.

Sala posiedzeń rady była dość niewielka i mieściło się w niej niedużo osób. Choć była już za dziesięć jedenasta, nie przybyli jeszcze wszyscy elektorzy, wydawało się jednak mało prawdopodobne, że ktoś się nie pojawi. W mieście panowało podniecenie. Wybory w miastach podobnych do Truro zwykle przebiegały spokojnie i ich rezultat był przesądzony. Ale od czasu do czasu wybuchała burza – zeszłoroczne wybory uzupełniające wywołały wyjątkowe zamieszanie. Na szczęście było mało prawdopodobne, że dojdzie do przewlekłych sporów na temat prawomocności oddanych głosów, co często się zdarzało w innych okręgach. Członkowie rady miejskiej zostali prawidłowo wybrani. Niechętnie uznawali to nawet ich przeciwnicy.

Ross jako ostatni kandydat przybył na miejsce. W sali był już lord Falmouth, jak zwykle wyglądający niczym bogaty rolnik, który ma za sobą zły rok. Rozmawiał z nowym burmistrzem, panem Warrenem. Do Rossa podszedł kapitan Gower, tęgi, ciemno ubrany mężczyzna w wieku czterdziestu kilku lat, i uścisnął mu rękę. Ross uśmiechnął się do niego niepewnie i zerknął na George'a Warleggana rozmawiającego ze swoim partnerem Thomasem Trengrouse'em, szwagrem rodziny Cardew. George i Ross widzieli się po raz pierwszy od pojedynku zapaśniczego i nie patrzyli na siebie cieplejszym wzrokiem. Za George'em stał jego ojciec Nicholas, a za Nicholasem dwaj zatwardziali wigowie: wielebny doktor Halse i pan Hick. Ross zauważył po drugiej stronie sali Harrisa Pascoe i podszedł, by z nim porozmawiać. Bankier oblał się rumieńcem.

– Sam widzisz... – mruknął Ross.

– Tak... Rzeczywiście, widzę.

– Twoje sumienie to prawdziwy węzeł gordyjski. Mieszasz zbyt wiele rzeczy: przyjaźń, wierność zasadom i całą resztę. Na twoim miejscu trzymałbym się od tego z daleka.

– Na moim miejscu też byś przyszedł – odparł Pascoe. – Właśnie to

zrobiłem.

– By na mnie głosować, jestem tego pewien, i zniszczyć swoją pozycję przywódcy wigów.

– Nie bardziej niż poprzednim razem.

– Uczestniczyłeś już w takich wyborach, Harris, więc powiedz, jakie obowiązują konwenanse? Czy powinienem uścisnąć dłonie przeciwnikom jak przed walką zapaśniczą, czy mogę spoglądać na nich wrogo z przeciwległego końca sali?

– Chyba częściej zdarza się to drugie. Jestem ciekaw, Ross, dlaczego zdecydowałeś się teraz kandydować, skoro w zeszłym roku odrzuciłeś propozycję drugiej strony.

– Przyjęcie tamtej oferty wydawałoby się sensowniejsze, prawda? Basset jest bardziej w moim stylu niż Boscawen. Jednak w gruncie rzeczy oponenci niewiele się różnią. Możesz przypisać mój wybór kaprysom losu i dziwaczności ludzkiej natury. Właśnie dlatego świat jest takim smutnym, zwariowanym miejscem.

Pascoe spojrział na przyjaciela. Mimo zamożności i upływu piętnastu lat Ross niewiele zmienił się od czasu, gdy wrócił bez grosza z wojny w Ameryce jako chudy, kontuzjowany oficer i odziedziczył majątek leżący w ruinie. Dziś, może bardziej niż zwykle, przypominał Harrisowi tamtego młodego człowieka. Napięcie i niepokój znów stały się bardzo wyraźne.

Rozległ się dźwięk dzwonu. Uderzył w niego sekretarz rady, niejaki Gerald Timms, by dać znać obecnym, że minęła jedenasta i pora rozpocząć wybory. Kiedy wstał z księgą w ręce, pojawiło się jeszcze dwóch członków rady. Sekretarz odczytał urzędowe obwieszczenie o wyborach, a następnie przesłanie szeryfa. George Warleggan i Thomas Trengrouse zajęli miejsca obok Timmsa, a kapitan Gower skinął głową w stronę Rossa, po czym obaj zrobili to samo. Później sekretarz odczytał ustawę króla Jerzego II przeciwko

przekupstwu i korupcji. Miał piskliwy głos, który od czasu do czasu się łamał. Ross spojrzął na jego zęby i pomyślał, że prawdopodobnie są zepsute.

Następnie odczytano jeszcze inną ustawę. Po zakończeniu tych formalności zaprzysiężono burmistrza, który miał liczyć głosy. Ten usiadł, złożył podpis w księdze, zsunął okulary na czubek nosa i czekał.

George Evelyn, trzeci wicehrabia Falmouth, wstał ze swojego miejsca i miał zamiar zabrać głos, gdy przybyli dwaj ostatni spóźnieni członkowie rady. W sali zapadła cisza i lord Falmouth zgłosił dwie popierane przez siebie kandydatury. Na początku przedstawił swojego szwagra, kapitana Gowera, sekretarza admiralicji. Wspomniał, że pomógł on miastu uzyskać cenne kontrakty zaopatrzeniowe, mówił o jego poparciu dla Pitta i gorliwym wykonywaniu obowiązków w parlamencie i poza nim. Potem wygłosił pochwałę drugiego kandydata, kapitana Poldarka, który stawia pierwsze kroki w polityce, lecz którego wszyscy znają jako dzielnego żołnierza i odważnego człowieka. Jego brawurowy wyczyn w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym piątym roku odbił się echem w całym kraju, a gruntowna wiedza na temat górnictwa i miejscowego przemysłu będzie bezcenna dla miasta, które ma reprezentować.

George Evelyn usiadł. Był synem zmarłego admirała Boscawena, wybitnej postaci, zwycięzcy spod Portobello, Lagos i Cape Breton, pogromcy Francuzów. Mówił bez wysiłku i bez emocji, jednakże w sposób świadczący o tym, że przywykł, by go słuchano. Później wstał Nicholas Warleggan. Jego stary ojciec, kowal, nadal żył i mieszkał w niewielkim domu w pobliżu St Day wraz z dwoma opiekującymi się nim służącymi, których darzył serdeczną nienawiścią. Nicholas w ciągu ostatnich dwudziestu lat przyzwyczał się, że ludzie słuchają go w pełnym szacunku milczeniu, ale dwadzieścia lat do dość długi okres. Okraszał swoje przemówienie akcentami i sformułowaniami, których brakowało jego przeciwnikowi. Mówił o wydarzeniach sprzed

piętnastu miesięcy, gdy odbyły się wybory uzupełniające – słuchacze dobrze je pamiętali. Ponieważ w tej chwili zerwał z Boscawenami, nie wahał się ich przypomnieć i nie owijał niczego w bawełnę. Wspomnił o konflikcie w sprawie cmentarza, o domu pracy dla ubogich, kamieniołomie, o całkowicie nieuzasadnionych skargach jego lordowskiej mości, że utrzymanie okręgu wyborczego zbyt wiele go kosztuje, i o tym, że często próbował sprzedawać mandaty do parlamentu każdemu, kto zaoferuje najwyższą cenę. W końcu oskarżył Falmoutha, że traktuje Truro jak swoją własność, którą może dysponować bez zgody elektorów.

Nicholas Warleggan nie wyraził ubolewania, że powtarza te zarzuty. Podkreślił, że gniew rady miejskiej z powodu niewłaściwego traktowania skłonił George'a Warleggana do kandydowania na miejsce zwolnione wskutek śmierci sir Piersa Arthura. Rada wybrała go nie z powodu braku szacunku do rodu Boscawenów, lecz dlatego, by okazać niezależność i szacunek dla dobra publicznego. Od chwili wyboru do Izby Gmin George Warleggan lojalnie służy miastu, co niewątpliwie mogłoby potwierdzić wielu kupców i członków rady. Będzie robił to nadal. To, że reprezentantem miasta jest jeden z jego obywateli, stanowi pozytywną odmianę – z opinią tą zgodziłoby się wielu ludzi. George Warleggan mieszka w Truro, prowadzi w mieście bank, ma ogromną wiedzę na temat miejscowych przedsiębiorstw i ich potrzeb. Jest zupełnie innym kandydatem niż dżentelmen z prowincji służący cudzym interesom. Thomas Trengrouse również mieszka w Truro, jest znanym i cenionym adwokatem. Wymienieni dżentelmeni to znakomity zespół, jaki za ludzkiej pamięci jeszcze nie istniał w dziejach miasta. Nicholas Warleggan wyraził przekonanie, że George Warleggan i Thomas Trengrouse są znacznie lepszymi kandydatami niż urzędnik admiralicji zaabsorbowany sprawami marynarki wojennej i prowincjonalny ziemianin mieszkający daleko na północnym wybrzeżu, dżentelmen o wąskich horyzontach i skłonności do

nieprzewidywalnych, impulsywnych działań. Kapitan Poldark nie ma doświadczenia w handlu, a ponadto zdaje się nim gardzić. Najważniejszy problem polega na tym, czy rada miejska w dalszym ciągu pragnie zachować niezależność i wybrać dwóch kandydatów pragnących jej służyć, czy też chce się ukorzyć przed lordem Falmouthem i wybrać jego nominatów, którzy w przyszłości będą wykonywać polecenia swojego patrona w kwestiach parlamentarnych i obywatelskich?

Była to dobra mowa, pozbawiona błyskotliwości, lecz sensowna i na temat – znacznie lepsza od wygłoszonej przez Boscawena. Ross musiał przyznać, że Nicholas Warleggan prawie go przekonał. Gdyby nie przemawiał jeden z Warlegganów i nie zachęcał do wyboru własnego syna, Ross byłby skłonny głosować przeciwko sobie. Wiedział jednak, podobnie jak musiało to wiedzieć wielu ludzi obecnych w sali, co naprawdę reprezentują sobą Warlegganowie – w interesach, w bankowości, w stosunkach międzyludzkich. Ross zdecydowanie odrzucał to wszystko, nie zgadzało się to z jego podstawowymi zasadami. Ale ilu spośród dwóch tuzinów elektorów, wiedząc to co Ross, czuje to samo i w ten sam sposób zamierza odrzucić kandydatów Warlegganów?

Zdawał sobie sprawę, że nie wszyscy jego znajomi i sympatycy zamierzają na niego głosować. Domyślił się tego, gdy zauważył, jak przez ostatni kwadrans unikają jego wzroku. Gdyby oddawali głosy listownie i głosowanie było tajne, wszystko wyglądałoby inaczej. Domyślał się, że niektórzy są straszliwie rozdarci wewnątrz – nie bali się, że go urażą, bo nie mógł się mścić, lecz obawiali się gniewu Boscawenów lub Warlegganów. Basset stosował przynęty i nagrody, ale wycofał się ze współzawodnictwa. Wybór nie stał się przez to prostszy. Radni nie odczuwali gniewu, który doprowadził do zeszłorocznego buntu; nie upajali się swoją niezależnością. Wówczas głosowali „swobodnie” i pal licho konsekwencje. Teraz na niektórych

wywarto nacisk z dwóch stron.

Burmistrz pocierał brew gęsim piórem. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Nikt nie chciał wykonać pierwszego ruchu.

– Panowie... – zaczął.

Nicholas Warleggan wstał i podszedł do stołu.

– Oddaję głos na George’a Warleggana i Thomasa Trengrouse’a.

Znów zapadła cisza. Rozległo się skrzypnięcie odsuwanej krzesła. Następny był William Hick.

– George Warleggan i Thomas Trengrouse.

Po Hicku do stołu podszedł wielebny doktor Halse. Nienawidził Rossa od chwili, gdy przed wielu laty grał z nim w karty w gmachu Assembly Rooms. Może nawet wcześniej, usiłując uczyć go łaciny.

– George Warleggan i Thomas Trengrouse.

Do stołu zbliżył się lord Falmouth. Poruszał się dość szybko, jakby chciał zatrzeć wrażenie, że poniósł klęskę.

– Kapitan Gower i kapitan Poldark.

Podążył za nim Harris Pascoe.

– Kapitan Gower i kapitan Poldark.

Do stołu podszedł lord Devoran. Mrugał, jakby oślepiało go światło.

– Kapitan Gower i kapitan Poldark.

Znów chwila ciszy. Szepty. Odgłos koków. St Aubyn Tresize.

– Kapitan Gower i kapitan Poldark.

William Aukett, rozdarty, zezując jeszcze bardziej niż zwykle, zaczął się jąkać:

– George Warleggan i Thomas Trengrouse.

Stukot w tylnej części sali. W stronę stołu pokuśtykał notariusz Pearce, wspierany przez służącego, krzywiąc się z bólu i dysząc ciężko. Pearce miał za sobą bezsenność. Jego córka, stara panna, wiele razy pomagała mu siadać

na nocniku. Znakomity przykład elektora, który nie wie, jak postąpić. Pearce wolałby udawać chorego i nie pojawić się w sali, wiedział jednak, że obrazilby w ten sposób obie strony. Co powinien zrobić? Pytał córkę i pytał samego siebie. Miał dług wobec Cary'ego Warleggana – nawet nie wobec nieco bardziej bezosobowego banku Warlegganów. Połowa jego interesów zależała od Boscawenów, a wczoraj odwiedził go pan Curgenven, zarządca majątku lorda Falmoutha, by mu o tym przypomnieć. Wyjątkowo nieprzyjemna sytuacja. Zmarszczone brwi Pearce'a i pot na czole oraz pod peruką nie były tylko skutkiem słabej kondycji fizycznej.

Kiedy dotarł do stołu, zapadła głucha cisza. Burmistrz spojrzał na niego znad okularów. Pearce zaczął się jąkać, a potem powiedział:

– Kapitan Gower i George Warleggan.

Pearce odszedł z wysiłkiem. Ktoś zachichotał za plecami Rossa. Notariusz sugerował, że podjął kompromisową decyzję, by dogodzić obu stronom. W istocie obie strony wpadną we wściekłość, trudno jednak im będzie oskarżyć Pearce'a o zdradę. Stary notariusz okazał się wyjątkowo przebiegły i znalazł wyjście z nierozwiązywalnej sytuacji.

Do stołu podchodzili kolejni elektorzy. Zbliżali się szybkim krokiem, jakby chcieli mieć to już za sobą. Polwhele i Ralph-Allen Daniell oddali głosy na Gowera i Poldarka, Fitz-Pen, Rosewarne i Michell na Warleggana i Trengrouse'a. Później pojawił się Prynne Andrew. Elizabeth nakłoniono, by odwiedziła go we wtorek, co wzbudziło w niej niesmak, lecz wydawało się, że otrzymała pozytywną odpowiedź.

– Kapitan Poldark i kapitan Gower – rzekł Prynne Andrew.

Był to policzek dla Warlegganów. George zacisnął wargi, ale milczał. Nie patrzył na odchodzącego Prynne'a Andrew.

Do stołu podszedł kolejny elektor, mężczyzna nazwiskiem Buller. Miał niewielki majątek, dość pieniędzy, by go utrzymać, i żadnych długów.

– Kapitan Poldark i pan Trengrouse – powiedział.

Drugi głos na przedstawicieli przeciwnych frakcji, co mogło skomplikować sytuację. Burmistrz popatrzył na księgę i posypał ją piaskiem. Zostało jeszcze dziewięciu elektorów.

Następny był Fox i po jego niepewnej minie Ross domyślił się, że odda głos nie z przekonania, lecz wskutek presji, którą na niego wywarto.

– Pan Warleggan i kapitan Poldark.

Cóż, przykład Pearce'a stawał się zaraźliwy. Fox okazał swoim panom posłuszeństwo, a zarazem rzucił im wyzwanie. Wzruszająca oznaka dawnej lojalności.

Czterej kolejni elektorzy głosowali w sposób konwencjonalny, dwóch na stronników Warlegganów, dwóch na stronników Falmoutha. Później do stołu podszedł Samuel Thomas z Tregolls. Kiedy przyszła kolej na burmistrza, wydawało się, że się waha, jakby ciągle musiał podjąć decyzję, jakby był rozdarty między przekonaniem a obowiązkiem. Powiedział zdecydowanym głosem:

– Kapitan Gower i Thomas Trengrouse.

George pobladł. Jeszcze trzech. Pierwszym był doktor Daniel Behenna, który starał się utrzymywać dobre relacje z obydwoma obozami. Wiele mogło od niego zależeć. Ale poprzedniego wieczoru przemyślał dokładnie całą sprawę.

– George Warleggan i Thomas Trengrouse – rzekł.

Ostatni dwaj elektorzy byli spokojnymi ludźmi. Pierwszy nazywał się Symons i był niskim dandysem, który zawsze nosił dwa zegarki. Drugiego, Hitchensa, nazywano w mieście pajakiem z powodu niezmiernie chudych nóg. Symons był przewidywalny, Hitchens nie.

– Kapitan Gower i kapitan Poldark – rzekł afektowanym tonem Symons.

Hitchens zbliżył się do stołu tuż za Symonsem. Panowała głucha cisza

i słychać było tylko stukot obcasów odchodzącego Symonsa.

– Kapitan Gower i kapitan Poldark – powiedział Hitchens.

Na sali natychmiast zapanował gwar, tu i ówdzie rozległy się okrzyki. W jednym z rogów dwóch mężczyzn wszczęło bójkę. Przyjaciele próbowali ich rozdzielić, a burmistrz zaczął liczyć głosy, trzymając w ręce gęsie pióro. Dwukrotnie sprawdził obliczenia, po czym odłożył pióro, odchrząknął i spojrzał na księgę leżącą na stole.

– Wyniki głosowania są następujące. John Leveson Gower, trzynaście głosów. Ross Vennor Poldark, trzynaście głosów. George Warleggan, dwanaście głosów. Henry Thomas Trengrouse, dwanaście głosów.

George jednym głosem stracił mandat poprzednio zdobyty również jednym głosem.

3

W sali zapanował hałas. Zaczęły się spory. Nicholas Warleggan zakwestionował ważność głosów oddanych przez dwóch elektorów. Powołał się na to, że ich posiadłości znajdują się poza granicami miasta, lecz zdawał sobie sprawę, że nie ma to żadnego sensu – sprzeciw należało złożyć wcześniej. Dwaj mężczyźni, których udało się rozdzielić, znów wszczęli bójkę. Radni popierający zwycięską stronę wyrażali okrzykami swoje zadowolenie. Harris Pascoe chwycił rękę Rossa i powiedział: „Dobrze, dobrze, dobrze. To najlepszy możliwy rezultat”. Kapitan Gower po raz drugi uściskał dłoń Rossa. Na jego zarumienionej twarzy malowała się ulga.

Burmistrz przekazał oficjalne wyniki wyborów urzędnikowi, by przybił ogłoszenie po zewnętrznej stronie drzwi sali obrad w celu podania ich do wiadomości publicznej. Lord Falmouth nie pogratulował zwycięzcom, podobnie jak przegrani. Henry Trengrouse rozmawiał z Fitz-Penem i usiłował

nie okazywać rozczarowania. (Warleganowie byli tacy pewni zwycięstwa).

George stał z rękami splecionymi na plecach, obłany lodowatym potem. Był tak wściekły, tak wytrącony z równowagi, że prawie nie pamiętał przebiegu głosowania i nie wiedział, którzy ze stronników wystawili go do wiatru. Dusił się, prawie nie mógł mówić, konwulsyjnie zaciskał ręce, aż bieleły mu kostki. Wiedział, a przynajmniej uważał, że wie, dlaczego poniósł klęskę. Przyczyną byli ludzie tacy jak Andrew, Thomas i Hitchens, którzy uważali go za parweniusza i głosowali na tak zwanych ziemian. Nawet jego partner, Trengrouse, adwokat, nie miał odpowiedniego statusu. Uprzywilejowana kasta zwarła szyki i postanowiła zapomnieć o wszystkich bezprawnych lub niemal bezprawnych wybrykach Rossa Poldarka, o jego aroganckim przekonaniu, że stoi ponad prawem, o ledwo skrywanej pogardzie dla społeczeństwa, o które dbają ludzie tacy jak Andrew, Thomas i Hitchens, wkładając w to wiele wysiłku. George Warleggan przez całe życie przestrzegał prawa, dawał pieniądze na słuszne cele, przez trzy lata sumiennie wykonywał obowiązki sędziego pokoju, był największym pracodawcą w mieście i w okręgu jako właściciel licznych przedsiębiorstw, a jednak traktowano go protekcjonalnie i z pogardą, ponieważ pochodził z gorszej rodziny niż ziemianie.

Warlegganowi nie przyszło do głowy, że inni mieszkańcy okręgu o równie skromnym pochodzeniu są powszechnie akceptowani. Gdyby chciał zrozumieć, co się stało, powinien po prostu wziąć pod uwagę osobowość uczestników – własną, Rossa, kilku elektorów. Lord Falmouth doskonale to przewidział.

Drzwi sali obrad były otwarte i część radnych wychodziła.

- Wydacie obiad, by uczcić zwycięstwo? – spytał Harris Pascoe.
- Nie mam pojęcia. Nigdy wcześniej nie byłem w takiej sytuacji.
- Szczerze mówiąc, Ross, w połowie głosowania obawiałem się, że zwycięży przeciwna strona.
- Kiedy elektorzy zaczęli głosować na obie strony, byłem naprawdę

przerażony – odpowiedział Ross.

– Dlaczego?

– Mogłem zostać wybrany razem z George’em!

Wreszcie pojawił się Falmouth, obok którego siedł Ralph-Allen Daniell.

– Gratuluję, kapitanie Poldark – rzekł krótko wicehrabia. – Zwyciężyliśmy.

– Dziękuję, milordzie. Na to wygląda. Choć przewaga była wyjątkowo niewielka.

– Jeśli odnosi się zwycięstwo, wielkość przewagi nie ma znaczenia. Proszę się nie obawiać, nasza przewaga w tym okręgu wyborczym będzie się teraz stopniowo zwiększać.

– Doprawdy?

– Wydamy obiad w gospodzie Pod Czerwonym Lwem, ale poprosiłem pana Ralpa-Allena Daniella, by mnie zastąpił. Za kilka dni odbędzie się bal.

– Moje gratulacje, kapitanie Poldark – powiedział Daniell.

– Dziękuję.

– Za tydzień lub dwa chciałbym zaprosić radę miejską na obiad do Tregothnan – rzekł Falmouth. – Naturalnie mam nadzieję, że pan przyjedzie.

– Dziękuję.

Wicehrabia zakasłał sucho.

– W tej chwili nie mogę uczestniczyć w uroczystościach. Kiedy spotkaliśmy się przed wyborami, nie wspomniałem panu, kapitanie Poldark, że wczoraj wieczorem zmarł mój siostrzeniec. Nie było sensu wtedy panu o tym mówić.

Ross wytrzeszczył oczy.

– Hugh?

– Tak, Hugh. Nic nie dało się zrobić. Byli przy nim rodzice.

Falmouth się odwrócił i Ross za zdziwieniem zauważył, że miał oczy pełne łez.

Rozdział dziesiąty

1

Ross mógł odjechać dopiero po szóstej.

Niebo było zachmurzone, ale przepowiednia Gimletta, że spadnie deszcz, się nie sprawdziła. Na wrzosowiskach wiał suchy, zimny wiatr. Sheridan wykorzystał zapas energii zgromadzonej w czasie długiego oczekiwania w stajni i wjechał prawie galopem na strome wzgórze za miastem, po czym szedł stępą, a Ross nie próbował go poganiać. I tak dotrze do domu. Nie był pewny, czy chce tam wrócić.

Wydawało się dość prawdopodobne, że ktoś z Tregothan wyśle do Nampary wiadomość o śmierci Hugh, wiedząc o jego przyjaźni z Poldarkami. Miał taką nadzieję. Lecz tak czy inaczej, czeka go trudna rozmowa.

Ross był wściekły z powodu wydarzeń ostatniego tygodnia, a szok jeszcze nie uśmierzył jego gniewu. Naturalnie wiedział, że Hugh jest poważnie chory, ale nie wierzył, że człowiek, który przeżył rok w koszmarnym francuskim więzieniu, może po dwóch latach umrzeć z powodu osłabienia. Hugh był wciąż bardzo młody. W tym wieku człowiek odznacza się niezwykłą odpornością. Podejrzewał również, że Hugh nieco wyolbrzymiał swoją chorobę, by Demelza bardziej mu współczuła, podejrzewał te wydawały się jednak małostkowe i nie formułował ich świadomie. Chociaż lubił Hugh, nie potrafił się wyzbyć zwyczajnych uczuć męża, który widzi, że jego żona jest zauroczona innym mężczyzną.

Teraz rywal nie żył. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej mu się to nie podobało. Było oczywiste, że żałował młodego człowieka, który mógłby być cenny dla kraju i przyjaciół. Odczuwał prawdziwą przykrość i szczerzy smutek. To jedno, ale jest przecież inna kwestia. Czy kiedykolwiek uwierzy, że wyzwolił Demelzę z jej zauroczenia w uczciwy sposób? Jak walczyć z duchem? Jak walczyć ze wspomnieniem ideału, wspomnieniem mężczyzny, który wyrażał swoje uczucia strofami poezji? Śmierć Hugh była tragedią i dla Demelzy, i dla Rossa. Stał między nimi jak mur uniemożliwiający prawdziwą zgodę, gdyby nawet jej pragnęli.

Sheridan lekko spłoszył się na widok zwierzęcia, które przeszło między dwoma krzakami kolcolistu rosnącymi przy drodze. Był to koziół, z ciemnymi oczyma i długą brodą, miał otwarty pysk i coś żuł. Wydawał się agresywny i niespokojny – wyglądał jak stary diabeł, który wyszedł z moczarów. Ross poruszył szpicrutą, a koziół przestał jeść. Obserwował go, lecz się nie cofnął. Sheridan nerwowo przeszedł obok zwierzęcia. Ross długo czuł zapach kozła niesiony przez chłodny wiatr – była pora godów.

Gdyby życiem Rossa rządził stary koziół, który wynurzył się z trzęsawiska, czy wszystko nie ułożyłoby się bardziej przewrotnie? Bezmyślnie wpakował się w nową awanturę, a skłoniły go do tego sprzeczne motywy, po trosze nieczne – jednym z nich było oddalenie od Demelzy i poczucie, że skoro częściowo ją stracił, powinni się rzadziej widywać. Nie zapomniał również zdania żony, że mandat poselski w ogóle do niego nie pasuje. Nie zapomniał, że zdobył stanowisko, którego George pod żadnym pozorem nie chciał stracić. Wyjątkowo szlachetne motywy, które Bóg poczyta mu jako zasługi w dniu Sądu Ostatecznego. Był wzorowym obywatelem, ideałem.

Dotarł do starej szubienicy w Bargas, gdzie zbiegały się granice czterech parafii. Miejsce to nazywano Wzgórzem Śmierci. Wysoka złowieszcza konstrukcja w kształcie odwróconej litery L ciągle stała – nawet Cyganie

i włóczędzy nie odważyli się zużyć jej na opał – lecz prawdopodobnie nie odbędzie się tu więcej żadna egzekucja. W tej chwili przeprowadzano je uroczyście w Bodmin. Wokół rozciągał się jałowy, monotony krajobraz: St Ann's, pochylona wieża kościoła w Sawle, St Michael, Carn Brea, krzywe drzewa, gdzieś kominy kopalni, wszędzie ponure wrzosowiska.

Ross odetchnął głęboko i próbował spojrzeć na sytuację bardziej obiektywnie, bez gniewu i niesmaku. Wydarzenia tego ranka położyły ostateczny kres nadziejom na rozejm między Trenwith a Namparą. Mniej więcej rok wcześniej Ross liczył, że on i George, rzadko się widując, stopniowo staną się wobec siebie bardziej tolerancyjni jako sąsiedzi spowinowaceni przez małżeństwo, że nauczą się unikać absurdalnych kłótni o drobnostki, bardziej pasujących do młodych ludzi niż do mężczyzn w średnim wieku. Teraz stało się to niemożliwe. George cenił swój status posła do Izby Gmin jak największy skarb. Stracił go wskutek działań Rossa. Gorycz i nienawiść przybiorą na sile, utrwalały się.

Na zachodzie zbierały się ciemne chmury. Słońce zniżało się nad horyzontem i pojawiła się jaskrawa czerwona luna, podobnie jak rano, jakby rozdrapano świeżą ranę i wypłynęła z niej świeża krew. Po czerwieni poranka nadeszła czerwień wieczoru. Zapowiedź ładnej pogody czy pluchy?

Może Ross również chciał osiągnąć dwie rzeczy jednocześnie – usprawiedliwić siebie i utrzcęć nosa George'owi? A jednak, zapominając na chwilę o Demelzie, podstawowy element zadowolenia z tego, co stało się rankiem, powinien mieć charakter pozytywny, a nie negatywny. Dlaczego pozbawia George'a mandatu, skoro sam ma mnóstwo wątpliwości, czy naprawdę pragnie go zdobyć? Nie wyobrażał sobie, że będzie pasował do swojego patrona czy do ludzi rządzących Anglią, wśród których będzie teraz musiał spędzać sporą część każdego roku. Zawsze był samotnikiem. Czy potrafi się nauczyć, czy zechce się nauczyć działania w zespole? Czy chętnie

zniesie towarzystwo głupców – choćby w milczeniu?

A jednak potrafią to robić ludzie znacznie mądrzejsi od Rossa. To kwestia temperamentu, a nie talentu. Demelza uważa, że Ross nie ma odpowiedniego temperamentu. Cóż, kto wie, może coś jej udowodni. Oczywiście pod warunkiem, że Demelza w dalszym ciągu będzie zainteresowana.

Czy można przewidzieć, jaka przyszłość czeka ich oboje? Może Demelza odpłynie jak łabędź i na zawsze zniknie z jego życia? Może to ona jest kalekim łabędziem, nie Morwenna.

Kiedy Sheridan poczuł, że jest blisko domu, przyśpieszył. Ross przejechał przez wioskę Grambler. Kilku mężczyzn i kilka kobiet wracających do domu życzyło mu dobrej nocy. Przypomniawszy sobie październikowy wieczór przed czternastu laty, gdy wrócił z Ameryki i okazało się, że Elizabeth jest zaręczona z Francisem. Opuścił Trenwith, jego życie legło w gruzach, i jechał do domu tą samą drogą. Nampara była zrujnowana, a Jud i Prudie Paynter spali pijani jak bele w starym łóżu skrzyniowym ojca Rossa. Tego wieczoru powrót był inny, wracał do odbudowanego, umeblowanego, schludnego i zadbanego dworu. Miał tylu służących, ilu potrzebował, ładną żonę, dwoje ślicznych dzieci. Cóż za zmiana! A jednak, w jakiś sposób, czy nie było w tym złowrogiego podobieństwa?

Tuż przed wioską wyprzedził samotnego człowieka idącego w tym samym kierunku. Rozpoznał Sama, choć oślepiało go zachodzące słońce.

Usłyszawszy za sobą stukot końskich kopyt, Samuel zatrzymał się, by przepuścić jeźdźca, lecz Ross ściągnął wodze i zatrzymał się obok niego.

– Idziesz do domu modlitwy?

– Tak.

Zsiadł z konia.

– Przespaceruję się z tobą.

Wspięli się na stok wzgórza. Ross puścił wodze, które wlokły się po ziemi.

– Dziś nie ma spotkania – odparł Samuel. – Chciałem po prostu posprzątać i zobaczyć, czy wszystko jest czyste na jutro. – Mówił martwym, bezbarwnym głosem.

– Nigdy nie przestajesz pracować, prawda?

– Och... Lubię pracować. Zwłaszcza na chwałę Pana.

– „Jeśli Pan nie zbuduje domu...” [21](#).

– Słucham?

– Nic takiego, coś mi się przypomniało ze szkoły.

Na tle ciemnego nieba widać było kępę pociętych przez wichury drzew obok Wheal Maiden. Krwistoczerwona łuna znikła, drzewa przypominały czarne sylwetki na białym tle.

– Byłeś, bracie, w Tehidy? – spytał Samuel.

– Nie, w Truro.

– Och...

– Dlaczego pomyślałeś o Tehidy?

– Sam nie wiem.

– Ciągłe myślisz o Johnie Hoskinie?

– Nie... nie o to chodziło.

– Jak twoja grupa?

– Dobrze, dziękuję. W zeszłym tygodniu dwie nowe osoby przyjęły błogosławieństwo.

Ross się zawahał.

– A Emma?

Samuel pokręcił głową.

– Nie... nie Emma.

– Jeśli nie chcesz o tym rozmawiać, po prostu powiedz, proszę. Co począć z Emmą?

– Nie można nic więcej zrobić, bracie.

Ross się zawahał.

– Często chciałem cię o to zapytać, Sam, ale później dochodziłem do wniosku, że nie powinienem. Dlaczego przegrałeś walkę?

Samuel zmarszczył brwi i zacisnął pięści.

– Gdybym powiedział prawdę, mogłoby się wydawać, że rządzi mną pycha.

– Nie warto mówić nic oprócz prawdy.

– Pomyślałem, bracie... Kiedy byłem bliski zwycięstwa, nagle przyszło mi do głowy... Nagle pomyślałem o Chrystusie, który był kuszony przez diabła i zobaczył wszystkie królestwa tego świata... Pan Jezus odmówił, prawda? Pomyślałem, że skoro Chrystus odmówił, ja również muszę pokornie podążać za nim.

Dotarli do domu modlitwy. Było dość jasno, ale w dolinie osiadł już mrok niczym przednia straż nocy.

– Emma przyszła do mnie w zeszły wtorek – powiedział Samuel. – Długo rozmawialiśmy, tak jak poprzednio, i okazało się, że znaleźliśmy się w ślepym zaułku. Mówiła, że nie może udawać. Powiedziałem, że może przychodzić, a ona na to, że owszem, ale teraz... woli być dalej od zgromadzenia. – Uniósł rękę i rozluźnił chustę na szyi. – Któregoś dnia może zmieni zdanie. Wie tylko, że teraz nie ma ochoty. – Załamał mu się głos. Odchrząknął. – Tak to wygląda, bracie. Lepiej już pójdę. Pewnie chce pan wrócić do domu.

– Więc nie zamierza poślubić Toma Harry'ego?

– Nie, niechaj Bogu będą dzięki. Odchodzi.

– Odchodzi?

– Do Tehidy. Potrzebują pokojówki, chce tam pracować przez rok. Mówi, że to lepsze miejsce i lepsze pieniądze. Będzie jej tam wygodnie i przestanie nas widywać. Mówi, że tylko na rok. Demelza napisała jej list.

– Demelza?

– Tak. Napisała do lady de Dun... Nie wiem, jak się teraz nazywa, ale

ciągle nazywamy ją Basset.

– Co ma z tym wspólnego Demelza?

– Emma poprosiła ją o radę, później rozmawiała ze mną i z powrotem poszła do Demelzy, która powiedziała: „Dlaczego nie rozstaniecie się na rok, żeby wasze drogi stały się nie przecinały?”. Za rok, jeśli ja będę dalej chciał i Emma będzie chciała, siostra umówi nas na spotkanie. Zobaczmy, co z tego wyniknie, zobaczymy, czy coś się zmieni.

Zniecierpliwiony Sheridan potrząsnął łbem. Zabrzęczało wędzidło.

– Mam nadzieję, że coś się zmieni – rzekł Ross.

– Dziękuję, bracie. Codziennie modlę się za Emmę. Codziennie modlę się o cud.

– Mam dwóch szwagrów, którzy są nieszczęśliwie zakochani. Ciekawe, czy Drake również modli się o cud.

Samuel nagle uniósł wzrok, jakby nie przyszło mu to wcześniej do głowy, i uznał tę myśl za szokującą.

– Bardzo się cieszę, że pan i siostra jesteście szczęśliwym małżeństwem – powiedział. – To dla mnie wielka radość, kiedy tylko przychodzę do Nampary. Chociaż nie połączył was Chrystus, jest to szczęście dwojga dobrych ludzi połączonych przez miłość, bogobojną i pełną miłosierdzia.

– Dziękuję, Samuelu – powiedział Ross. Poklepał Sheridana po chrapach i poszedł w zamyśleniu w dół doliny.

2

Świece płonęły w starym salonie, lecz w nowej bibliotece panował mrok. W dalszym ciągu spędzali większość czasu w starej części dworu i korzystali z biblioteki tylko od święta. Gimlett usłyszał kroki zbliżającego się Rossa i obiegł dom, by odprowadzić Sheridana do stajni.

- Pani jest w salonie?
- Nie, sir, wyszła dwie godziny temu.
- Wyszła?
- Tak, sir.

Ross zastał Jeremy'ego i Clowance w salonie, gdzie urządzili sobie dziwną zabawę z Betsy Marią Martin, ładną szesnastoletnią dziewczyną, która zawsze rumieniła się na widok Rossa, podobnie jak wiele lat wcześniej jej starsza siostra.

- Przepraszam, sir. Bawiliśmy się w przesuwaniu mebli...

Wyjaśnienia Betsy utonęły w hałaśliwym powitaniu dwojga dzieci, które biegły do ojca. Wziął je na ręce, pocałował i żartował z nimi, a tymczasem Betsy pośpiesznie ustawiała krzesła i stół na właściwych miejscach.

- Podobno pani wyszła?
- Tak, sir. Niedługo po obiedzie.
- Powiedziała, dokąd idzie?
- Nie, sir, ale nie wzięła konia. Moim zdaniem wróci przed zmrokiem.

Ross zauważył pogniecioną kartkę leżącą na gzymsie kominka. Wziął ją i przeczytał: „Droga Pani Poldark! Muszę Panią z żalem zawiadomić...”. U dołu znajdował się podpis: „Frances Gower”. Kiedy Clowance gaworzyła mu do ucha, Ross pomyślał: Nie mogła tam pójść, nie na piechotę. Więc gdzie poszła? Czuł mieszaninę gniewu i niepokoju.

- Zostawiła jakąś wiadomość?
- Kto, pani? Nie, ale kazała Jane zająć się kolacją.
- Powiedziała, że wróci na kolację?
- Nie wiem, sir. Mnie nic nie mówiła.

Po chwili poszedł na piętro do sypialni. Zniknęła niebieska peleryna Demelzy, nic więcej. Żadnej wiadomości, którą normalnie by zostawiła. Znów podążył na dół i powoli obszedł budynki gospodarcze. Dwa prosiaki,

Przyływ i Odływ, które zdążyły już urosnąć, trzymano w specjalnym boksie obok koni. Ciągłe traktowano je jako młode zwierzęta i pozwalano im biegać po dziedzińcu. Powitały Rossa przyjaznym chrumkaniem, on zaś dał im po kromce chleba – przyniósł je specjalnie w tym celu. Sheridan, niedawno nakarmiony, zadowolili się kilkoma klepięciami, podobnie jak Swift, choć było widać, że jest niespokojny z powodu bezczynności.

W kuchni Jane Gimlett pochylała się nad garnkiem zupy, a Ena Daniel kroila pory. Na schodach rozlegały się głośne śmiechy i odgłosy uderzeń, co świadczyło, że Jeremy i Clowance powoli zmiierzają do sypialni. Dom wyglądał schludnie, tylko tu i tam leżały zabawki rozrzucone przez dzieci. Ross podniósł je, wrzucił do kosza stojącego za wielkim fotelem, nalał sobie pół kieliszka brandy i wypił. Ogień w wielkim kominku przygasł; dosypał trochę węgla i patrzył na dym ulatujący kominem.

Brandy smakowała jak spirytus, paliła żołądek, lecz nie złagodziła uczuć Rossa. Narastała w nim złość do żony. Mógł mieć do tego powody lub ich nie mieć; nie było w tym nic racjonalnego. Źródło tych uczuć było głębsze, bardziej prymitywne. Miał wrażenie, że Demelza jest przyczyną całej jego złości, niezadowolenia, frustracji i pustki. Mieli wszystko, a ona to odrzuciła. Prawie bezmyślnie na zawsze skaziła, zniszczyła ich życie. Demelza, którą wyciągnął z rynsztoka i dla której z oddaniem pracował – a potem nagle pojawił się pierwszy lepszy mężczyzna, ujął jej dłoń, ona zaś sentymentalnie, głupio, bezmyślnie się w nim zakochała. Nie stawiała nawet symbolicznego oporu. Kiedy popatrzył na nią Hugh Armitage, była gotowa rzucić mu się w ramiona. Nie robiła z tego sekretu, nawet przed Rossem. Powiedziała mniej więcej coś takiego: „Ten piękny, młody mężczyzna próbuje mnie uwieść, co bardzo mi się podoba. Nic nie mogę na to poradzić. Zamierzam mu się oddać. Szkoda, że stracimy dom, dzieci, szczęście, miłość, zaufanie. Wielka szkoda. To przykre. Wstyd. Do widzenia”.

Cała reszta, starania o mandat poselski, ostateczna wojna z George'em...
Dopił brandy i nalał sobie następny kieliszek.

Teraz Hugh nie żyje, a Demelza odeszła. Gdzie, do licha, mogła pójść? Może w ogóle nie wróci? Może lepiej, żeby nie wracała? Da sobie radę z dziećmi. Betsy Maria i Jane Gimlett mogą się zająć domem. Do diabła z nią... Nie powinien wyciągać jej z rynsztoka, przerabiać na fałszywą damę.

Wypił następny kieliszek. Czuł się dziwnie zmęczony, co rzadko mu się zdarzało. Dzień był męczący: farsa wyborów, idiotyczna celebra obiadu na cześć zwycięstwa. Zjadł niewiele i teraz czuł głód, lecz nie byłby w stanie niczego przełknąć. Nic go nie obchodziło.

Kiedy wypił kolejny kieliszek brandy, usłyszał kroki przed drzwiami.

Miała szarą twarz i rozczochrane włosy, jakby na dworze wiał wiatr. Popatrzyli na siebie. Rzuciła pelerynę na fotel. Zsunęła się na podłogę powoli jak wąż. Spojrzała na niego.

– Przepraszam, Ross – rzekła beznamiętnym głosem. – Miałam nadzieję, że wrócę przed twoim przyjazdem.

– Gdzie byłaś, do diabła?!

Pochyliła się i podniosła pelerynę, powoli wygładziła ją dłonią.

– Jadłeś kolację?

– Nie.

– Powiem Jane.

– Nie chcę kolacji.

Po chwili pokręciła głową, jakby chciała odzyskać jasność umysłu.

– Wiesz?

– Tak. Spotkałem w Truro lorda Falmoutha.

Usiadła w milczeniu w fotelu i przykryła kolana peleryną.

– Tak.

Dotknęła dłońmi policzków i rozejrzała się po salonie. Wyglądała, jakby

nie wiedziała, gdzie się znajduje.

– Demelzo, gdzie byłaś?

– Co takiego? Teraz? Chciałam... chciałam porozmawiać z Caroline.

– Ach... – Nie wydawało się to takie straszne. – Poszłaś na piechotę?

– Tak... Musiałam... musiałam czymś się zająć. Spacer... spacer mi pomógł. – Spojrzała na kieliszek w ręce Rossa.

– Lepiej się napij.

– Nie. – Znów pokręciła głową. – Lepiej nie. Zaraz bym wszystko wyrzygała...

Na dworze było ciemno. Pohukiwała sowa.

– To daleki spacer – rzekł Ross. – Lepiej czegoś się napij.

– Nie... dziękuję, Ross. Poszłam... poszłam w złych butach. Zapomniałam je zmienić.

Zauważył, że nosi domowe pantofle. Były podarte, jeden miał złamany obcas. Nalał sobie jeszcze jedną brandy.

– Poszłam się zobaczyć z Caroline tylko dlatego... że powinna rozumieć, jak się czuję... jak... ja... Jest taka...

– I rozumiała?

– Tak przypuszczam. – Zadrzała.

Ross trącił pogrzebaczem dymiące węgle, aż pojawił się ogień.

– Spędziłeś... miły dzień w Truro? – spytała.

– Raczej tak.

– Widziałeś lorda Falmoutha?

– Uczestniczył w wyborach.

– Wydawał się wytrącony z równowagi?

– Tak, bardzo.

– To taka... taka strata.

– Może gdyby Dwight w dalszym ciągu...

– Nie. Przynajmniej tak twierdzi. Może to tylko skromność.

– Był przy twojej rozmowie z Caroline?

– O nie... Nie.

Ross popatrzył na żonę, a później podszedł do kredensu obok starej szafki z książkami – Demelza ukryła się w nim kiedyś przed ojcem – i wyjął parę butów, w których chodziła czasem po plaży, płóciennych, płaskich i wygodnych. Chciała je od niego wziąć.

– Zaczekaj – rzekł szorstko, uklęknął, zdjął jej z nóg podarte pantofle i włożył buty. Miała dziurawe pończochy i otarte stopy, gdzieś zakrwawione.

– Powinnaś szybko umyć nogi – powiedział.

– Och, Ross... – Uniosła dłonie do jego ramion, lecz wstał. Opuściła ręce.

– Bydło na sprzedaż było liche – odezwał się. – Przed zimą ludzie próbują się pozbyć chudych krów i nikt nie chce ich kupować.

– Tak...

Znów zapadło długie milczenie.

– Przyszła dziś mała córeczka Trenegłosów, by zaprosić Jeremy’ego na przyjęcie – rzekła Demelza. – Ma brzydkie dzioby po ospie. Smarowali ją sokiem ze zgniłych jabłek, ale chyba nie pomógł.

Ross nie odpowiedział.

– Ja... musiałam z kimś porozmawiać, więc poszłam do Caroline – ciągnęła. – Chociaż jest zupełnie inna niż ja, nie mam nikogo bliższego, nie mam innego prawdziwego przyjaciela.

– Oprócz mnie.

– Och, Ross... – Rozpłakała się.

– Cóż... czy tak nie było? Dopóki to się nie stało?

– Tak było. Tak jest. Ty... Zawsze szczerze z tobą rozmawiam, nic nas nie dzieli. Nikt nigdy nie był mi tak bliski. Nigdy. Ale teraz...

– Do tej pory.

– Ale teraz, w tej sprawie... nie mogę cię prosić o tak wiele. Musiałam porozmawiać z inną kobietą. Nawet wtedy...

– Nie musisz mi się zwierzać, jeśli nie masz na to ochoty. Po prostu powiedz, co chcesz teraz zrobić, tylko tyle.

– Czego chcę? – spytała. – Nie chcę niczego.

– Niczego?

– Niczego więcej, niż mam.

– Miałaś.

– Jak uważasz, Ross. Jest tak, jak mówisz.

– Nie, moja droga. To ty to mówisz.

– Proszę, Ross, nie...

– Przestań płakać, głupia – przerwał szorstko. – To niczego nie rozwiązuje.

Otarła oczy rękawem, pociągnęła nosem i popatrzyła na niego spod wilgotnych rzęs i włosów opadających na oczy. Mógłby ją zabić z miłości.

– Co chcesz, żebym zrobiła? – spytała.

– Odejdź lub zostań, jak sobie życzysz.

– Odejść?! – zdziwiła się. – Nie chcę odejść. Jak mogłabym stąd odejść, opuścić wszystko, co razem stworzyliśmy?!

– Może powinnaś wcześniej o tym pomyśleć.

– Tak – odrzekła i wstała. – Może powinnam.

Znow się pochylił i dźgnął pogrzebaczem węgle.

– Jeśli chcesz, żebym odeszła, zrobię to.

Już miał powiedzieć, że się zgadza, ale nie mógł wykrztusić słowa. Utknęły mu w gardle i ogarnął go jeszcze większy gniew.

Otworzyły się drzwi. Stała w nich Clowance. W tym roku przybrała na wadze. Znakomite zdrowie i szczęśliwe dzieciństwo sprawiały, że jej policzki, ramiona i nadgarstki zrobiły się pulchne, a buzia krągła. Jasne

kręcone włosy opadały na ramiona, czoło zasłaniała rozwichrzona grzywka. Miała na sobie długą koszulę nocną z białej flaneli.

– Mamo, gdzie byłaś? – spytała.

– Tak, kochanie? Co się stało? – odpowiedział Ross.

– Mama obiecała.

– Co obiecała?

– Poczytać mi bajkę.

– Jaką bajkę?

Demelza nieopatrznie uniosła głowę.

– To... zapomniałam tytułu... W tej książce...

Clowance zerknęła na twarz matki i natychmiast się rozplakała. Otworzyły się drzwi do kuchni i wyszła z nich Betsy Maria.

– Och, przepraszam, nie wiedziałam... – Wzięła szlochającą Clowance. Demelza szybko się odwróciła, ukrywając twarz. Kiedy się pochyliła nad kieliszkiem Rossa, włosy opadły jej na twarz i zasłoniły łzy.

– Weź Clowance na górę – rzekł Ross. – Powiedz jej, że mama za chwilę przyjdzie. Zostań z nią. Jeremy śpi?

– Chyba tak, sir.

– Powiedz małej, że mama poczyta jej bajkę za kilka minut.

Drzwi się zamknęły.

Demelza otarła oczy i wypła łyk brandy Rossa. Podniósł jej zniszczone pantofle, wrzucił do koszyka z rzeczami dzieci, ponownie wziął pelerynę Demelzy i złożył ją. Nie chodziło tylko o uporządkowanie salonu.

– Powiedz mi, co czujesz – poprosił.

– Próbujesz powiedzieć, że nie chcesz, bym odeszła?

– Powiedz mi, co czujesz.

– Och, Ross, jak mogłabym to zrobić? Jakbym śmiała?

– Rozumiem, ale spróbuj.

– Co mam powiedzieć? Nigdy nie miałam takiego zamiaru. To mnie nagle opętało. Nigdy nie przypuszczałam... Musisz wiedzieć, że nigdy nie przypuszczałam... Tak mi smutno. Z powodu wszystkiego.

– Tak, cóż... Usiądź na chwilę i powiedz mi.

– Co jeszcze mogę powiedzieć?

– Powiedz mi, co czujesz do Hugh.

– Naprawdę?

– Naprawdę?

Znów otarła oczy rękawem.

– Jak mogę powiedzieć prawdę, skoro sama nie wiem? Mówię ci, nagle mnie to opętało. Nigdy tego nie szukałam. Teraz mam złamane serce... ale nie tak jak po śmierci Julii. Teraz płaczę, płaczę, płaczę z powodu młodości i miłości pogrzebanych na cmentarzu... Po śmierci Julii nie płakałam. Łzy były w środku – jak krew. Teraz spływają po mojej twarzy jak krople deszczu... jak deszcz, którego nie mogę zatrzymać. Och, Ross, przytulisz mnie?

– Tak – odpowiedział i przytulił Demelzę.

– Proszę, przytul mnie i nigdy nie puszczaj.

– Nie puszczę, jeśli dasz mi szansę.

– Aż do śmierci. Ross, nie mogę bez ciebie żyć... To... to nie łyzy skruszonej grzesznicy... Mogę odczuwać skruchę z powodu grzechu, ale nie o to chodzi. Płaczę... może brzmi to głupio... płaczę z powodu Hugh... siebie... i... i całego świata.

– Zostaw trochę łez dla mnie – rzekł Ross. – Chyba ich potrzebuję.

– Och, wszystkie moje łzy należą do ciebie... – Przytuliła się do niego, rozpaczliwie łkając.

Siedzieli przez chwilę w niewygodnej pozycji, nie zwracając na to uwagi. Od czasu do czasu Ross uwalniał rękę i niecierpliwie ocierał nos i oczy.

– Clowance czeka na ciebie – powiedział po dłuższej chwili.

– Zaraz do niej pójde. Najpierw muszę umyć twarz.

– Napij się.

Wypiła drugi łyk z kieliszka.

– Jesteś dla mnie bardzo dobry, Ross.

– Dobry dla ciebie, nie wątpię.

– Dla mnie... Przebaczasz... Ale czy zapomnisz? Nie wiem. Może zapominanie jest błędem. Wiem tylko, że cię kocham. Tylko to się liczy.

– Dla mnie na pewno.

Demelza zadrżała i po kolei wytarła oczy.

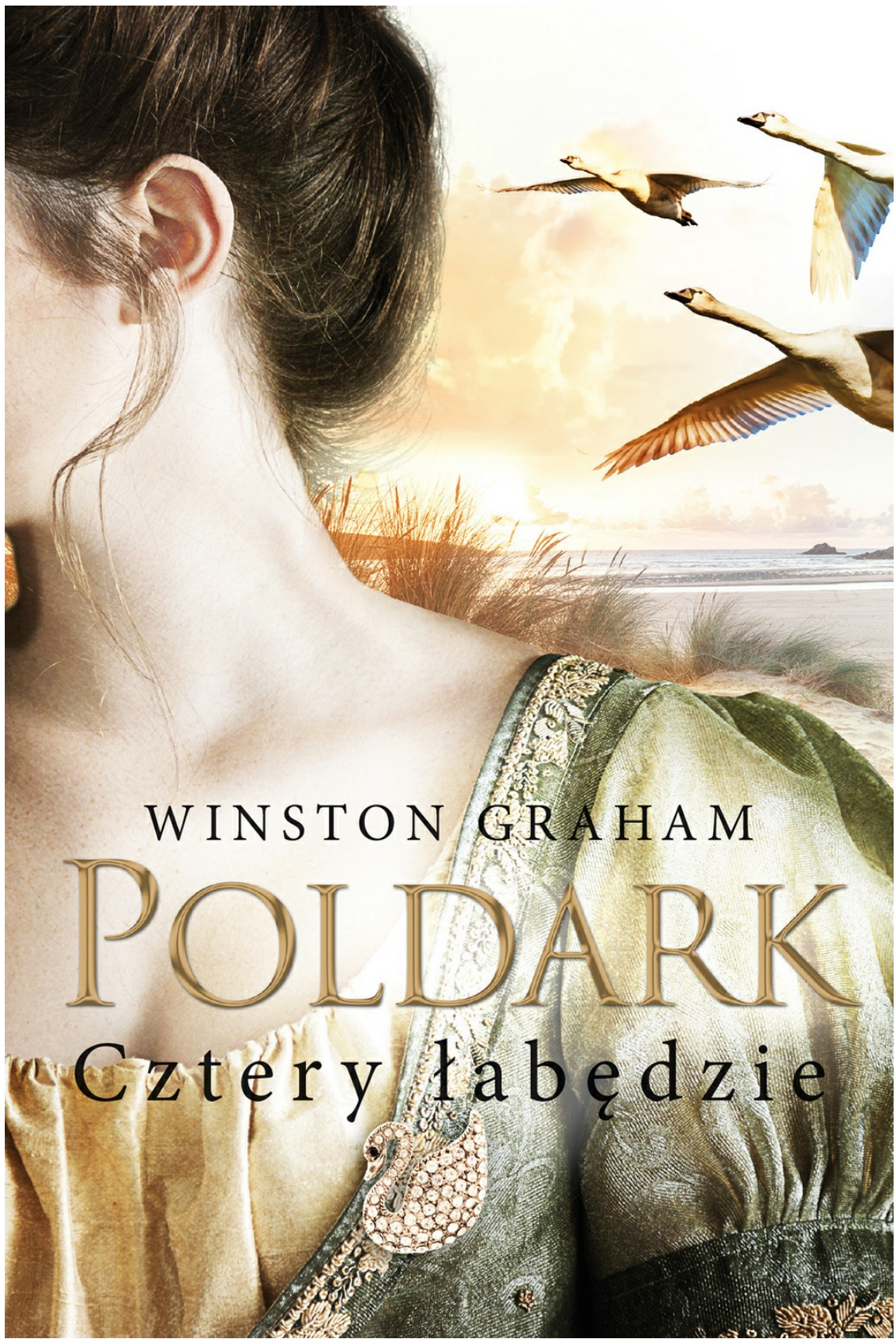
– Umyję się i poczytam Clowance bajkę. Jeśli chcesz, możesz zjeść kolację.

– Chyba pójde i poczytam razem z tobą – odparł Ross.

przypisy końcowe

1. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu*, przeł. Jakub Wujek, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa (bez roku wydania; przedruk edycji krakowskiej z 1599 roku), Księgi Psalmów, Psalm CXXXVIII, 14–15, s. 593 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). [\[wróć\]](#)
2. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, op.cit.*, Dzieje Apostolskie, IX, 4, s. 141. [\[wróć\]](#)
3. ** *Modlitewnik powszechny oraz sprawowanie sakramentów świętych i innych obrzędów i ceremonij kościelnych według rytuału kościoła anglikańskiego w Polsce*, Zakł. Graf. B. Pardecki i S-ka, Warszawa 1931, s. 160. [\[wróć\]](#)
4. * *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, op.cit.*, List do Efezów, V, 22, s. 216. [\[wróć\]](#)
5. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, op.cit.*, List do Kolossan, III, 18, s. 223. [\[wróć\]](#)
6. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, op.cit.*, Ewangelia według Łukasza, XV, 7, s. 87. [\[wróć\]](#)
7. Cytat z wiersza Williama Cowpera *Tirocinium; Or, A Review Of Schools* (przeł. T. Wyżyński). [\[wróć\]](#)
8. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, op.cit.*, Ezechiel prorok, XXXVI, 25, s. 786. [\[wróć\]](#)
9. *Modlitewnik powszechny, op.cit.*, s. 41. [\[wróć\]](#)
10. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, op.cit.*, List pierwszy św. Pawła do Tymotheusza, VI, 5–8, s. 233. [\[wróć\]](#)
11. Owidiusz, *Heroidy*, przeł. Wanda Markowska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986, s. 38. [\[wróć\]](#)
12. *Modlitewnik powszechny, op.cit.*, s. 160. [\[wróć\]](#)
13. ** *Modlitewnik powszechny, op.cit.*, s. 160. [\[wróć\]](#)
14. * *Ibid.* [\[wróć\]](#)
15. *Ibid.* [\[wróć\]](#)
16. Parafraza fragmentu hymnu Josepha Addisona *When All Thy Mercies, O My God* (1712) (przeł. T. Wyżyński). [\[wróć\]](#)
17. Cytat z wiersza Johna Drydena *Happy the Man* (przeł. T. Wyżyński). [\[wróć\]](#)
18. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, op.cit.*, Księga Hioba, XXVI, 5–6, s. 512. [\[wróć\]](#)

19. *Ibid.*, III, 3, s. 497. [\[wróć\]](#)
20. *Ibid.*, Księgi Sędziów, VII, 1, s. 241. [\[wróć\]](#)
21. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, op.cit.*, Księga Psalmów, CXXVI, 1, s. 589.
[\[wróć\]](#)



WINSTON GRAHAM

POLDARK

Cztery łabędzie